PRZEGLĄD

POWSZECHNY

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK TRZYDZIESTY CZWARTY. — ~~TOM CXXXV.~~

T. 133 – 34

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1917.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1917.

Nowe idee pokojowe.

W ostatnich czasach trzej kierownicy państw wspomnieli w swych mowach z naciskiem o nowej organizacyi pokojowej: Wilson, Bethmann-Hollweg i Grey — przedstawiciele dwóch światów walczących ze sobą i pośrednik między nimi. Wspomnieli z tym akcentem, jakoby w zasadach tej organizacyi tkwiło niechybne i niezłomne uspokojenie świata.

Organizacyą tą jest utworzona przed rokiem w Hadze „Organisation pour une paix durable". W samym środku obecnej wojny utworzyło się zrzeszenie przedstawicieli 33 państw, tak prowadzących wojnę, jak neutralnych, a utworzyło się w tym celu, by stworzyć podstawy powszechnego i trwałego pokoju. Prace tej organizacyi postąpiły już daleko tak, że obecnie ogłoszony jest jej program, t. zw. „program minimalny".

Do pacyfistycznych tendencyi świat już oddawna nie przywiązuje wagi; przekonał się tyle razy, że pacyfistyczna teorya idzie swoją drogą, a praktyka wojenna swoją. Ileż już od zarania nowoczesnego ruchu pacyfistycznego, a więc mniej więcej od wieku, nie powstało projektów, stowarzyszeń, organizacyi? Dziś równo sto lat, jak pod wpływem kwakrów powstały pokojowe organizacye w Ameryce i w Anglii; we Francyi występują w lat kilkadziesiąt później ze swymi związkami Passy i Lemonnier; w Niemczech powstają analogiczne związki z siedzibami w Królewcu i Stuttgarcie; w Szwajcaryi tworzy się międzynarodowe biuro pokojowe w Bernie, z szerokiem rozgałęzieniem po całym świecie. Iskrami rozsypującemi się z tego ogniska ruchu pokojowego są takie objawy, jak fundacya Blocha, fundacya Nobla, jak

muzeum pokojowe w Lucernie. Im bliżej naszych dni, tem bardziej ruch ten pacyfistyczny potężnieje. Wystarczy tu wspomnieć założoną w r. 1889 międzyparlamentarną konferencyę pokojową, składającą się z aktualnych posłów różnych państw, a obradującą corocznie w innem państwie — i głośne konferencye hagskie, które na pokojowych aspiracyach ludzkości wycisnęły pieczęć rządów. A jednak, mimo to wszystko, sroży się dziś nad światem wojna, jakiej nie zna historya.

Bezwzględnym pesymistom możnaby może zwrócić uwagę na to, że ruch pacyfistyczny nie doszedł jeszcze do swojej ostatniej mety, że dopiero wówczas, gdy to nastąpi, mogą się pokazać pewne jego dodatnie skutki. Niezależnie od tej możliwości sprawę nowych organizacyi i nowych idei pokojowych należy w tej chwili inaczej traktować, aniżeli w jakimkolwiek innym czasie. I to z kilku powodów.

Najpierw, chociaż traktaty pokojowe rzadko bywają zwycięstwem czystej idei i najczęściej zasady ustępują w nich miejsca konkretnym interesom zwycięzców, tak, że nowy traktat pokojowy jest tylko coraz większem oddalaniem się od właściwego pokoju, to jednak obecnie, po samobójczem wyniszczeniu się całej Europy i śmiertelnem znużeniu świata, ani przez chwilę nie można wątpić, że głównem dążeniem kongresu pokojowego będzie tak ułożyć stosunki, żeby przyszłą wojnę, jeżeli nie uniemożliwić, to przynajmniej w najwyższym stopniu utrudnić. Zanadto ciąży dzisiejsze jarzmo całemu światu, ażeby zrzucenie go nie było główną jego troską.

Powtóre jest to jasnem, że po takiej wojnie muszą stanąć kierownicy państw przed swoimi narodami z jakąś doniosłą zdobyczą ideową, z jakąś ewolucyą pomyślnego istnienia ludzkości, co wszystko łączy się z zasadą trwałego pokoju. Tembardziej o tę zdobycz ideową musieliby się postarać, gdyby zabrakło zdobyczy terytoryalnych, co przy ewentualnej partyi nierozegranej byłoby nieuniknionem. Już dziś padają różne hasła wyższego rzędu, mniej lub więcej fikcyjne lub prawdziwe. I tak, naprzykład, w analogii do trzech haseł rewolucyi francuskiej, obiegały przez czas jakiś prasę, jako najwyższy cel obecnej wojny, trzy hasła: orga-

nizacya, karność, autorytet. Innem takiem hasłem była restytucya prawa narodów, zwłaszcza prawa małych narodów, pognębienie militaryzmu, przywrócenie równowagi państw w Europie. Konkretnem i już urzeczywistniającem się hasłem było hasło państw centralnych: „Mitteleuropa". Ze strony entente długo na to hasło nie było odpowiedzi, tak, że przypuszczać można było, iż po wojnie staną naprzeciw siebie dwa syndykaty państw. W ostatniej chwili padło w Anglii nowe hasło: „rzeczpospolita europejska", rodzaj nowych Stanów Zjednoczonych.

Które z tych haseł zwycięży, pokaże przyszłość — dziś już jednak zaznaczyć trzeba, że w tej chwili dokonywa się w duszy Europy dziwna zmiana, ta mianowicie, iż decyzya o ukształtowaniu się stosunków po wojnie coraz bardziej staje się zależną nie tyle od oręża, ile od powszechnej woli trwałego pokoju i od tej wyższej idei, która tę wolę pokoju najlepiej urzeczywistni. Jest to w dziejach wojen i kongresów powojennych rzecz niezwykła.

W świetle tych uwag przedstawi się nam program nowej organizacyi pokojowej, o której piszemy, już nie jako utopijne marzycielstwo, lecz jako rzetelny wysiłek umysłu ludzkiego, mogący uledz korekturze, mający jednak prawdopodobieństwo jakiejś przynajmniej częściowej realizacyi. Tembardziej, że jak zaznaczyliśmy powyżej, decydujący mężowie stanu tak na ten program patrzą.

Przejdźmy do szczegółów tego programu.

Punkt pierwszy programu stawia zasadę co do anneksyi terytoryów lub ich wymiany, co zazwyczaj bywało głównym powodem wojen. Anneksya taka w myśl programu, nie miałaby się odbywać bez woli ludności i jej życzenia, o czem możnaby się przekonać przez plebiscyt lub w inny sposób. Co się zaś tyczy narodowości, które na tem samem terytoryum żyją, to wobec tego, iż nie da się przeprowadzić, by każdy naród samodzielnem państwem był, stawia program zasadę, iż państwa powinny zagwarantować narodowościom, żyjącym na ich terytoryum, równouprawnienie obywatelskie, wolność religijną i wolność używania mowy ojczystej.

Punkt drugi programu omawia kwestyę, która w gruncie

rzeczy jest istotną przyczyną dzisiejszej wojny, kwestyę imperyalistycznej polityki kolonialnej. Zasadę stawia program tę, że państwa zgodzić się winny, by w ich koloniach, w krajach stojących pod ich protektoratem i w sferze ich interesów, zaprowadzono wolność handlową lub co najmniej równe pod tym względem prawo dla wszystkich narodów . Rzecz oczywiście ulegająca dyskusyi i wymagająca szczegółowych określeń — choć z drugiej strony, w całym szeregu wypadków stwierdzono, że związane z handlem i z koloniami t. zw. „interesy państwowe", „interesy życiowe" były tylko interesami prywatnych klik, które kosztem kolonii i kosztem swego państwa bogaciły się. Najbardziej ludzkim w tej kwestyi postulatem byłoby, by ludności kolonialnej nie traktowano, jako przedmiot wyzysku.

Najważniejszy trzeci punkt programu opiewa: Usiłowania hagskich konferencyi pokojowych, zmierzające do pokojowego zorganizowania zrzeszeń państwowych, mają być rozszerzone. Konferencya pokojowa stać się winna stałą instytucyą, zbierającą się na sesye peryodyczne. Państwa zgodzić się powinny na to, by wszystkie ich zatargi poddawano procedurze pokojowej. W tym celu należy obok istniejącego w Hadze sądu rozjemczego ustanowić: 1) rzeczywiście stały trybunał prawa międzynarodowego, 2) również stałą radę, celem badania sporów i pośredniczenia. Państwa mają się zobowiązać do tego, że wspólnie przeprowadzą akcyę dyplomatyczną, ekonomiczną i militarną wobec państwa, któreby chwyciło za broń, zamiast zatarg swój poddać rozstrzygnięciu prawnemu lub starać się o pośrednictwo rady dla badania sporów i ich łagodzenia.

Trzy doniosłe momenty mieszczą się w tym trzecim punkcie. Najpierw w miejsce dzisiejszych czwórporozumień i czwórprzymierzy proponowany jest powszechny związek państw w celach pokojowych. Jak doniosłe w tym projekcie tkwią pierwiastki nie tylko dla powszechnego pokoju, ale i dla przyszłego układu Europy i świata, każdy łatwo zrozumie.

Drugim momentem jest idea stałego trybunału prawa międzynarodowego. Już kiedyindziej pisaliśmy, że prawo międzynarodo-

we w obecnych stosunkach niepoczesną odgrywa rolę. Jest to zbiór układów, taktatów, konwencyi, przez które zawierały państwa między sobą wzajemne stosunki. Składają się na ten zbiór układy pokojowe i państwowe, mniej więcej od westfalskiego pokoju, szczególniej zaś od kongresu wiedeńskiego, — a więc z bardziej znanych kongres wiedeński, pokój paryski po wojnie krymskiej, konwencya genewska, kongres berliński, wreszcie dwie pokojowe konferencye hagskie. Zbiór ten najpierw jest ułamkowym, efemerycznym, odpowiadającym tym tylko postulatom, jakie dana chwila stawiała. Główna jednak przyczyna kruchości i nieznacznej powagi prawa międzynarodowego leży w tem, że jak tylko stanie się niewygodnem silniejszym państwom, jest w tej chwili deptane, co znowu jest koniecznem następstwem sekularyzacyi prawa. Jeżeli, podług panującego dzisiaj poglądu, prawo jest tylko utworem państwa, a państwo samo jest sobie najwyższym panem, to gdzież miejsce na przymusowy posłuch prawu międzynarodowemu? Trzeba było dopiero takiego nieszczęścia, jak obecna wojna, ażeby silnym państwom przypomnieć, że istnieje jakieś prawo narodów.

Trzecim doniosłym momentem trzeciego punktu programu jest nowa idea wymuszenia pokoju. Trybunały i sądy rozjemcze, przed których forum miałyby iść sprawy sporne, są już ideą dawną, niejednokrotnie nawet uwieńczoną pomyślnym skutkiem, bezsilną jednak w zasadzie wobec ewentualnego uporu przeciwników. Idea wymuszenia pokoju, a więc wspólna akcya dyplomatyczna, ekonomiczna a nawet militarna wszystkich przeciw jednemu burzycielowi pokoju przedstawia się niewątpliwie jako skuteczny środek i jako sankcya pokoju. Czyby taka wspólna akcya była rzeczą łatwą do przeprowadzenia, czy przy ocenie słuszności danej sprawy i płynącej stąd wspólnej akcyi, nie powstałyby nowe zawikłania, to inna kwestya.

W bezpośrednim związku z tą sprawą pozostaje czwarty punkt programu, który opiewa: Państwa zgodzić się winny na ograniczenie swych zbrojeń. By ułatwić redukcyę morskich sił zbrojnych, prawo zabierania statków ma być zniesione, a wolność mórz zagwarantowana.

Jest to cios śmiertelny, zadany starej a fałszywej zasadzie: „Si vis pacem, para bellum". Tak niedawno zwalczał ją wymownie Leon XIII, kiedy uważał pokój zbrojny za jedną z największych klęsk swego czasu. I przekonaliśmy się dziś wszyscy, że ten żelazny mur uzbrojonych armii bynajmniej nie był puklerzem pokoju; był zaś nieznośnym ciężarem na zewnątrz i wewnątrz państw. Jeśli w poczuciu ludów istniała kiedykolwiek chwila śmiertelnej nienawiści do zbrojeń, to jest nią z pewnością chwila obecna.

Nie wymaga też wyjaśnień ostatni, piąty punkt programu: Polityka zagraniczna ma być poddana skutecznej kontroli parlamentarnej — tajne traktaty nie mogą posiadać żadnej prawomocności.

Taki jest nowy program pokojowy, którego szczegóły można pogłębić, zarysy udoskonalić, w którym jednak złożone są zasady trwałości. Mówimy o trwałym a nie wiekuistym pokoju, bo ten nie jest pisanym na ziemi, na której żyje namiętność ludzka.

Jeden tylko warunek programowi temu postawilibyśmy. Prawo międzynarodowe, o którem w nim mowa, musi być pojęte inaczej, niż jest dziś pojmowane. Na prawo to składać się winny nietylko paragrafy pozytywnych traktatów państwowych, ale także i etyczne, przyrodzono-prawne zasady i to w tym stosunku, że gdyby zaszła kolizya między pozytywnym traktatem a prawem przyrodzonem, ostatniemu należałoby oddać pierwszeństwo. Prawo to ponadto, jak tego istota prawa się domaga, poza zewnętrznem poparciem siły, powinnoby mieć grunt w sumieniu — prawu winien odpowiadać obowiązek sumienia. Bez tego fundamentu czcze i nieskuteczne są zewnętrzne paragrafy. Ale, żeby dojść do tego stanu, trzebaby zmienić doszczętnie panujące dziś przekonanie o prawie, jako o utworze czysto państwowym, nie mającym żadnego związku z sumieniem i z Bogiem. Są to już sprawy idące głębiej. Trzebaby wogóle podnieść wyżej obyczajowe i religijne stosunki dzisiejszej ludzkości; trzebaby chrześcijaństwu zapewnić należne mu miejsce w życiu prywatnem i publicznem świata. Na świecie bez Chrystusa spełniać się będą nieustannie słowa Pisma: „pokoju, pokoju — a pokoju nie było".

Ks. J. Pawelski.

List do przyjaciół Polski w zachodnich państwach koalicyi.

W 19-tym wieku, zwłaszcza w pierwszej jego połowie, mieliśmy istotnie w najlepszych, duchowo najwięcej rozwiniętych sferach Europy dużo szczerych, gorących przyjaciół. Tak było zaraz po roku 1815. Jeszcze silniej uwydatniło się to po upadku walki polskiej o niepodległość w r. 1831. Emigranci polscy zmuszeni do opuszczenia ojczyzny spotykali się tu i owdzie z prześladowaniem, a przynajmniej niechęcią i ukłuciami ze strony rządów, ale jako walczący za wolność bohaterowie wszędzie witani byli gorącem przyjęciem ludów. Dla sprawy przegranej na polach bitew, wzmogły się powszechnie sympatye Europy. Na cześć Polski rozlegały się hymny poetów i przedstawicieli literatury.

Była to epoka, gdy powszechnej polityce rządów ton nadawał Mikołaj I. Stojąc na czele reakcyi europejskiej, główny jej inspirator i przywódca, gniótł każdą swobodną myśl, każdy poryw ku wolności, nie tylko u siebie, nie tylko w podbitej Polsce, ale we wszystkich krajach Europy. Ta okoliczność sprawiała, że sympatye dążących do wolności ludów, zwracały się całą duszą ku narodowi polskiemu, który na swojem istnieniu najdotkliwiej odczuwał siłę przemocy i ucisku rządu rosyjskiego. Sympatye dla Polski były powszechne w owej epoce, w której wogóle cała umysłowość przejęta była nawskroś duchem idealizmu, w której idea sprawiedliwości i braterstwa ludów nie była wyśmiewanym przeżytkiem. Prądy powszechnej wolności ludów splatały się harmonijnie

z polskiemi dążnościami do niepodległości. Jednocześnie wychodźcy polscy uczestniczyli we wszystkich europejskich bojach, w których szło o wolność lub które przynajmniej za walki o ideę swobody przez naszych „błędnych rycerzy“ były uważane. Walczyli Polacy za sprawę Belgii, Włoch i jeszcze dużo później na polach Francyi.

Z czasem jednak nastąpiła zupełna zmiana w politycznem obliczu i duchowym nastroju Europy. Traciliśmy na zachodzie przyjaciół. W początkach bieżącego stulecia panowała w stosunku do sprawy polskiej obojętność, zapomnienie zupełne. Dopiero początek wielkiej wojny, która ogarnąwszy Europę, a raczej świat cały, nakazywała z góry przewidywać ogromne przewroty i zmianę w politycznej karcie państw, przypomniała wszystkim, że Polska jeszcze istnieje i żyje, że sprawa jej była czasowo zapomnianą, ale pogrzebaną nie została. W pierwszym roku wojny, za czasów panowania rosyjskiego, gdy Warszawa była w komunikacyi z Rosyą, a skutkiem tego i z państwami zachodniemi, dochodziły nas wiadomości o przebudzeniu się pewnego zainteresowania, a nawet sympatyi dla Polski na Zachodzie. Słyszeliśmy wówczas, że we Francyi znalazły się poważne osobistości, a nawet całe grupy, sympatyzujące z naszą ojczyzną. Więcej ich było podobno w Anglii, a już we Włoszech wśród ogółu społeczeństwa sprawa polska była bardzo popularną. Po 5 sierpnia 1915 r. wiadomości te i komunikacye zostały przerwane.

Jak tam obecnie dokładnie wygląda, nie wiadomo nic. Przypuszczać jednakże można, na zasadzie ogólnych danych psychologii ludowej i to z dużem prawdopodobieństwem, że chyba panujący przedtem nastrój nie uległ zmianie, że wszędzie na Zachodzie, istnieją jakieś ugrupowania polityczne i społeczne, które ze względów zasadniczych sprawiedliwości dziejowej, a może nawet politycznej natury, są dla sprawy polskiej życzliwie usposobione. Do tych to nieznanych mi osobiście, a nawet z nazwy ludzi i ugrupowań zwracam się w tej chwili w nadziei, że w drodze cytat i powtórzeń, jakie w prasie neutralnej bywają czynione, słowa te polskiego patryoty dojdą kiedyś i trafią, gdzie należy.

A więc przyjaciele Polski zechcą obecnie i powinni zwrócić

uwagę na ten wielki zasadniczy moment, jaki w trzecim roku wojny w stosunku do sprawy polskiej nastąpił. Deklaracya 5-go listopada proklamowała całemu światu wskrzeszenie państwa polskiego. Mocarstwa centralne obwieściły akt polityczny, jakiego od lat stu z górą nie usłyszała Polska od żadnego z państw europejskich. Jak przyjęto ten doniosły dla naszego narodu moment w kołach na Zachodzie życzliwie dla Polski usposobionych, dokładnie niewiadomo, ale za to wiemy doskonale z prasowych komunikatów, jak się odezwała prasa krajów zachodnich w odpowiedzi na inny, już ogólnej natury akt w toczącej się wojnie, na deklaracyę mocarstw centralnych o tem, że obecny moment jest odpowiednim do zawarcia pokoju. Z gazet krajów zachodnich posypały się głosy, że wojna zakończoną być może dopiero wtedy, gdy między innemi, ziemie zabrane Rosyi zostaną jej zwrócone. Tymczasem temi ziemiami to są właśnie ziemie polskie, te ziemie, którym wskrzeszenie istnienia państwowego proklamowała uroczysta deklaracya z 5-go listopada.

Wówczas, gdy rozległ się huk armat i popłynęły pierwsze potoki krwi, na Zachodzie uroczyście proklamowano, między innymi celami wojny, także szczęście i wolność „małych ludów". Do małych ludów ze stanowiska statystyki zaludnienia nie należymy. Ilościowo przewyższamy i to wielokrotnie ludność tak zwanych małych państw Europy, które oddawna mają własną państwowość i nigdy jej nie traciły lub też ją w ciągu 19-go wieku uzyskały. Mimo utraty jednakże niepodległości, zaliczać się możemy do tych ludów, którym w początkach wojny koalicya wolność przyrzekała. Jesteśmy właśnie narodem, który na uderzenie godziny sprawiedliwości oczekuje. I gdy ta godzina, ta wielka oczekiwana z utęsknieniem przez naród polski godzina w dniu 5 listopada r. b. na zegarze dziejów wybijać zaczęła, ze strony prasy zachodnich państw koalicyi odezwały się głosy, że broni złożyć nie można, dopóki ziemie polskie nie wrócą pod panowanie Rosyi. A więc wojna ma być dalej prowadzona, setki tysięcy, a może miliony mają ginąć na polach bitew lub nieszczęśliwymi kalekami powracać do domu, cała kultura i dorobek narodów mają się rozpadać w gruzy, wszystkie państwa mają się pogrążyć w otchłani długów, którym następne

pokolenia podołać nie będą w stanie, wielka masa robotniczego proletaryatu już nie tylko w państwach walczących, ale i w krajach neutralnych ma ponosić ciężar niebywałej drożyzny, wszystkie te nieszczęścia i klęski mają ogarniać ludzkość, byle Polska, ta nieszczęśliwa, od końca 18-go wieku tęskniąca do niepodległości, Polska, odzyskać jej nie mogła i zmuszoną została wrócić pod jarzmo rosyjskie. Tak jest, moi panowie — ujarzmienie Polski jest celem dalszej wojny ze strony koalicyi. Trzeba to sobie jasno i otwarcie wypowiedzieć.

My, Polacy, nie chcemy autonomii, która jeżeli przyrzeczona została, to w razie „powrotu ziem polskich do Rosyi", dotrzymanąby nie była, a gdyby nawet była wprowadzoną, wkrótce nastąpiłoby jej łamanie i unicestwianie. Polska, jak każdy naród z tradycyą państwową i to jeszcze tradycyą wielkiego, przez długie wieki istniejącego państwa, chce niezłomnie w tym ogromnym przewrocie dziejowym odzyskać swoją niepodległość. Wstępem do niej jest wielki akt mocarstw centralnych z dnia 5-go listopada.

Daleki jestem od udzielania rad komukolwiek, nawet najlepszym naszym przyjaciołom. To tylko z naciskiem zaznaczyć można i należy, że wojna, którą obecnie toczy dalej koalicya jest wojną zmierzającą do ujarzmienia Polski, do zdławienia zainaugurowanej przez państwa centralne niepodległości państwa polskiego. Wszystkie wiadomości, które dochodzą nas w komunikatach z prasy zachodniej, są w stanowczej sprzeczności z hasłem wolności ludów, proklamowanem na początku wojny. — Z całej tej obecnej sytuacyi, przyjaciele Polski, przyjaciele prawdziwi a nie hypokryci powinni wyciągnąć odpowiednie konsekwencye.

Alfons Parczewski, były poseł ziemi kaliskiej.

Wiośnie wolności.

Przy łunie bitew, rozświeconej krwawo,
Ze drżeniem serca czekana lat tyle,
Przyszłaś nakoniec, cudna, senna zjawo,
Wolności wiosno! — Zastygłe już w pyle
Wichrowe loty budząca z powrotem,
Przyszłaś nakoniec jasna — w słońcu złotem!...

I oto drgnęły rozbudzone rzeki,
Łom hen o Tatry wysokie uderza
I szum od Niemna przyleciał daleki:
Hej! Zamiast kwiatów — polskiego żołnierza
Bagnety błyszczą, jaśniejsze od słońca —
Witaj nam, wiosno, sen złoty iszcząca!

Zastygłe dawno ruszyły się lody
I nieprzepartym się wałem druzgocą,
Wezbrana fala życia i swobody
Uderza w tętna czarodziejską mocą,
Półtorawieczne pryskają ogniwa,
Hej! szczery wicher wolności się zrywa!

Słyszycie? Bije w brzegi Wisły fala,
Przez sine bory, uperlone rosą,
Od pobojowisk, od kresów, hen zdala
Jakieś zastygłe odgłosy się niosą,
Hussarskich skrzydeł szum — dawno przerwany —
Hej! wiosna idzie — promienna przez łany...!

Na zardzewiałym, krwią zlanym bagnecie
Zawilec główkę swą skłania perłowy,
Z granatów strzępem igra wiejskie dziecię
I drobną nóżką zasypuje rowy,
Nad kopce mogił stokroć kwiat buja
I jaskier cichę szepce „Alleluja"!

Wiosna! Bzy kwitną i bieleją sady,
Z piosenką dziatki zbiegają ku łące,
A tam w krąg jeszcze drży ziemia z posady
I grają działa, rozgłośnie huczące,
Jakąś zniszczenia pieśń — dziwnie żałosną...
Witaj! — wschodząca, wielka ludów wiosno!

Witaj nam, wiosno, radosna, szczęśliwa,
Choć jeszcze w łunie grzmiącej zawieruchy
I w szumie wichru, co zewsząd się zrywa,
Niosąca trwogę i armat jęk głuchy,
Przez orkan burzy, co drogę ci mości,
Witaj nam, wiosno promienna — wolności!

Orłowe z stepów przynoszą cię skwiry,
Cyranek ciągi i klucze żórawie
I Wernyhorskiej, zbudzonej dźwięk liry,
Co wnuki wojów znów wzywa ku sławie
I wielką zorzę swobody nam wieści,
Czekanej w mroku przez lat sto czterdzieści!

Hen, od Racławic, Wawru, Ostrołęki
Z zawieją gromkie porwały się echa,
Bagnetów błyski, wołania i jęki...:
Hej! wiosna idzie w wolne państwo Lecha,
Żelazem kute szeregi w brzask płyną
I orzeł leci nad wolną krainą...!

Z mgły sinej Wawel wychylił się stary
I utęskniony, po królach sierocy,
Słucha, skąd szumnie szeleszczą sztandary,

Skąd płyną dźwięki tej siły i mocy?
Lecz lwy spiżowe w zadumie leżały,
Rojąc sen jakiś cichy — dawnej chwały...

Przez gaje smętne nad Odrą i Wartą
Jaskółki rojem szczebiocą o wiośnie,
U Gopła króle, ze zbroją wpół startą,
Spiżową twarzą w dal patrzą żałośnie,
Wsłuchani w orkan bojowej zamieci
I łoskot stali, co burzą w krąg leci...

Hej! wiosna idzie, w gromowym dział grzmocie,
Dziejowy przełom stuleciom ogłasza,
Nadzieje niesie i cudnych tęcz krocie
Nad puste sioła, spalone poddasza,
Na ugór czarny, zryty przez kartacze,
Gdzie rzędom mogił żałosny wichr płacze!

Hej! wiosna idzie, z obłoków obsłonki
Błysnęły jasne, pogodne błękity,
Zwyczajną piosnkę zaczęły skowronki
I kwiat się słońcu uśmiechnął rozwity
I zaszemrały radośnie dąbrowy,
Witając pierwszy wolności liść, — nowy...!

Spełniony wieków sen — długiej tęsknoty,
Spełnione cudne pieśniarzy rojenia:
Czarownej wiosny zajaśniał blask złoty
I senna zjawa w dzień jasny się zmienia!
Ze krwi szkarłatów cudne kwiaty rosną
Witaj wolności pierwsza, błoga wiosno!

Nam, urodzonym wśród mroku niewoli,
Nędzarzom kornym, przykutym do jarzma
Obce twe widmo w jasnej aureoli;
My nie widzieli jeszcze, jaką twarz ma,
Jak się w królewskie przybiera szkarłaty
Ta Matka nasza, zabita przed laty!

Kiedyś — prawnuki nas będą pytały,
Jakie to wonne było twoje tchnienie,
Gdy po raz pierwszy w potędze ptak biały
Nad uwolnione się zrywał przestrzenie?
Zazdrościć będą nam wnuki tej chwili,
Co na lat tysiąc — raz jeden się chyli...!

A przecież — w tęcze świetlanych promieni
Ze drżeniem jeszcze patrzymy i trwogą
I jedni drugich pytamy zdziwieni,
Skąd takie blaski wśród burzy iść mogą?
Czy to nie widmo czarownej ułudy,
Co takie tęcze nam wieści i cudy? —

Praojców Boże! — my Tobie ślem dzięki,
Żeś tysiąclecia nam tryumf słał w darze;
A kiedy oręż wyrwano nam z ręki,
W sąd świata zszedłeś Sam — w bojów pożarze
I przez kruszące się wzajem państw siły
Ojczyznę naszą dźwignąłeś z mogiły!

O! bądź pochwalon, przez szumy zawiei,
Co zewsząd huczy i pieni się srodze,
Żeś nas, wierzących naprzeciw nadziei,
Jak trzciny słabe nie skruszył na drodze,
Aleś prowadził w bój ducha zwycięski —
Niezłomnych zawsze, niestartych wśród klęski!

Przy archanielskich trąb radosnym dźwięku,
Co budzi z grobu nieruchome kości,
Przy armat grzmocie i ginących jęku
Bądź nam pochwalon, o Dawco wolności.
Za wielką wiosnę, co Polsce nastała,
Jednemu Tobie najwyższa bądź chwała! —

Ks. Tadeusz Karyłowski,

Na powitanie państwa polskiego.

Głosy zagranicy.

Obok Polaków jestem jednym z tych Niemców, którzy z największą radością powitali proklamacyę nowego Królestwa Polskiego. Wśród narodu bowiem niemieckiego zawsze było bardzo wielu takich, co potępiali pruską politykę względem Polaków i pragnęli tego, aby Niemiec i Polak nie uważali się nawzajem za nieprzyjaciół, ale za prawdziwych sprzymierzeńców. Przedstawiciele tego zapatrywania, o ile ono zaznaczało się publicznie, należeli prawie wyłącznie do lewicy. Wprawdzie bardzo wielu członków także i prawicy nie pochwalało pruskiej polityki względem Polaków, i niektórzy ją wprost odrzucali; atoli największa część posłów z politycznych przyczyn nie wyjawiała swoich przekonań politycznych w tej sprawie, tak, że mogło się nieraz zdawać, jakobym był jedynym z polityków konserwatywnych, który pruską politykę zwalczał. — To też tem większa moja radość, że fakty historycznej doniosłości w taki sposób przyprowadziły do skutku niemiecko-polski związek, iż tenże nie może już być rozerwany.

Naturalnie, że do zupełnego zwycięstwa w tej sprawie dużo jeszcze brakuje, albowiem dwa narody, których interesy tak są ze sobą splecione, mają liczne punkty sporne i potrzeba będzie wiele politycznego zmysłu i dużo dobrej woli, aby ten związek obie zadowolił strony. Najważniejszą kwestyą jest na razie to, jak daleko ku wschodowi posunie się granica nowego państwa polskiego? Zaś prawno-państwowy stosunek

Polski do Niemiec nie będzie, jak sądzę, tak trudny, jakby to na pierwszy rzut oka mogło się wydawać.

Przeczytałem właśnie w jednym artykule prof. Maxa Webera znakomite *dictum* Bismarcka:

Mianowicie około roku 1870 mówiono raz u Bismarcka o przystąpieniu Bawaryi do Związku niemieckiego. Naprzeciw kanclerza siedział związkowy pełnomocnik Bawaryi, a około ich obu — posłowie stronnictwa narodowo-liberalnego. Skoro tylko poruszono drażliwą sprawę odrębnych praw państwa bawarskiego, kanclerz tak się wyraził: „Zapewne, opinia w Niemczech a nawet w samej Bawaryi była wskutek wojny taka, że gdybyśmy byli bawarski rząd bardziej przycisnęli, to moglibyśmy wtedy od niego więcej uzyskać. Ale — mówił dalej Bismarck, wyciągając rękę poprzez stół w stronę posła bawarskiego — jeśli mój przyjaciel swoją dłoń w mojej złoży, to przecież jej nie zgniotę..." i tu zacisnął rękę w kułak. Zaraz potem rozmawiałem z obecnymi i spostrzegłem, że wymowne słowo Bismarcka wywarło potężne na obecnych wrażenie, gdyż wyrażało ono dosadnie charakter ówczesnej polityki Niemiec. Sądzę, że, co Bismarck powiedział, zostało dotrzymane: dynastya i naród bawarski nie żałowały, że zaufały, a ówczesne ułożenie rzeczy okazało się zupełnie wystarczającem, mimo braku dokładniejszego sformułowania.

Obecnie w sprawie polskiej nie idzie wcale o przystąpienie do państwa niemieckiego nowego Królestwa w charakterze członka z większemi czy mniejszemi prawami odrębnemi, ale idzie o utworzenie zupełnie samodzielnego państwa, które dla własnego interesu i z natury rzeczy ma zawrzeć przymierze z państwem niemieckiem. Otóż przy ustalaniu formy przyszłego przymierza także dzisiejsi mężowie stanu pomyślą, aby nie zgnieść przyjaciela, który dłoń własną w naszej chce złożyć dłoni. *Prof. Jan Delbrück.*

W Berlinie, Wiedniu, Krakowie i Warszawie o niczem się tyle nie mówi obecnie, ile o kwestyi polskiej i o jej związku ze środkową Europą. Między wielu zdaniami, jakie w tej spra-

wie wygłoszono, pozwalam sobie powołać się na to, com 11. października wypowiedział w sejmie Rzeszy niemieckiej:

Ze wszystkich Słowian najwybitniejszymi są Polacy, w których historyi nastał teraz punkt zwrotny. Oto po więcej niż stuletniem zdrętwieniu w obszarach polskich, należących przedtem do Rosyi, a teraz obsadzonych przez nasze i austryackie wojska, rozpoczęła się historyczna wiosna, którą my Niemcy rozumiemy i z której szczęścia się cieszymy, — albowiem sami w naszej przeszłości dosyć zaznaliśmy ucisku od obcokrajowców, będących odmiennego od nas usposobienia. Polacy, w przeciwstawieniu do Rosyan, są narodem zachodniej kultury, co już w przynależności do rzymskiej formy chrześcijaństwa ma swoją podstawę. Jako Niemcy musimy się o losy tego sąsiedniego narodu troszczyć, jak o nasze własne, i musimy to według możności w sposób lepszy i praktyczniejszy spełniać, aniżeli to Anglia względem „mniejszych narodów — według swego mniemania — spełniła".

Te słowa, dawniej przezemnie wypowiedziane, dziś tembardziej naprowadzają mnie na myśl, którą chcę teraz wyrazić, mianowicie, że braterstwo oręża powinno prowadzić do wzajemnego kulturalnego szacunku dla siebie, albowiem nie podobna do tych samych ideałów zdążać, nie szanując się wzajemnie. Obie strony powinny szczerze to wziąć sobie do serca.

Kiedy dotychczas, po obu stronach często poprzestawano na zbytniem podkreślaniu sprzeczności pomiędzy niemczyzną a polskością — to odtąd przeciwnie, należy podnosić, jak bardzo, wobec świadectwa historyi, jesteśmy do siebie zbliżeni. — W Niemcach wschodnich płynie wiele krwi słowiańskiej — i na odwrót, wśród Polaków wielu znajdzie się takich, którzy są pochodzenia niemieckiego. Różnica rasowa bynajmniej nie zaznacza się tak stanowczo, jak to wielokrotnie sądzono. Także duchowo jesteśmy sobie bliżsi, aniżeli pod względem języka. Mieszkamy w tym samym klimacie, na tej samej glebie, a w średnich wiekach wzrastaliśmy pod opieką tego samego Kościoła. Co się zaś tyczy sztuki i umiejętności, to wpływ

niemiecki, o ile wiem, jest na tych polach większy, aniżeli krajów zachodnio-europejskich albo Rosyi. Polska praca znowu w Niemczech należytą ocenę znajduje. Wprawdzie polityczne ścierania się przyćmiewały trochę to, co nas zbliża do siebie, ale korzyści obustronnego oddziaływania na siebie istniały zawsze. — Teraz jednak miejsce walk ma zająć koleżeństwo oręża, a to sprowadzi większą harmonię obustronnego usposobienia, na której, jak w całej Europie wogóle, opierać się będzie łączność duchowa wszystkich wspólnie walczących ludów.

Dr Fryderyk Naumann.

Sprawa polska przed stu laty.

(Wykład publiczny, wygłoszony we Lwowie w grudniu 1916 r.).

Było to w pierwszych dniach maja roku 1813. Ks. Józef, wypierany przez wojska koalicyi, mógł się już trzymać zaledwie na małym skrawku ziemi po lewym brzegu Wisły ze swoimi.

Frimons i Sacken napierali na niego, by się połączył z koalicyą, Napoleon natomiast żądał wytrwania; w duszy ks. Józefa musiała powstać wewnętrzna straszna rozterka, bo chciał służyć jedynie i za wszelką cenę s w e m u n a r o d o w i, a nie mógł mieć pewności, czy mu usłuży najlepiej, trzymając się do ostatka sprawy Napoleona. Zaczęto go kusić, Aleksander I podobno mu ukazywał przez swych wysłańców k o r o n ę p o l s k ą, jeśli przejdzie na jego stronę. Tragizm położenia wzmagał się jeszcze, w miarę, jak i wpływowi rodacy poczęli mu przedstawiać, że interes narodowy wymaga, by dłużej nie ryzykował, lecz połączył się ze silniejszymi. Jednego poranku pojawia się przed łożem ks. Józefa radca stanu Linowski i pyta: Cóż Książę myśli? czy nie uważa, że byłoby może lepiej pozostać w kraju i szukać tu porozumienia, aniżeli narażać wojsko i naszą sprawę na nowe klęski i zawody, idąc za ułudną marą?“ A na to książę Józef: „Widzisz te dwa rewolwery na ścianie? — przykładałem je dzisiejszej nocy dwa razy do głowy, ale za każdym razem zawahałem się, bo mi sumienie powiedziało, że mi tak skończyć nie wolno. A skoro nie wolno, to pójdę tak, jak mi każe obowiązek honoru, bo z honorem niema transakcyi“.

Musiał on tej nocy przechodzić jedną z tych przejmujących grozą walk wewnętrznych, jakich mistrzowski obraz pozostawił nam Sienkiewicz, opisując pasowanie się Jeremiego Wiśniowieckiego ze sobą (czy ująć władzę nad wojskiem, które go o to błagało, czy się poddać pod komendę regimentarzów) albo walkę Kmicica z pokusami Radziwiłła.

Ale niezamącone niczem poczucie godności narodowej i wierności sztandarom, oraz wspaniała obojętność na wszelkie osobiste względy — przymiot niezbędny dla mężów stanu i tych, którzyby nimi być chcieli, a niestety tak rzadki — zwyciężyły [1]).

I ks. Józef wyruszył ze swymi wiernymi 7 maja 1813 z dworku pod Lipkami na t. zw. Salwatorze w Krakowie, niedaleko kopca Kościuszki, w pochód ku Napoleonowi, żegnany rzewnemi łzami przez mieszkańców. Odszedł w chwili, w której już istniał w Księstwie Warsz. rosyjski rząd okupacyjny pod nazwą „Rady Najwyższej Tymczasowej".

Dalsze koleje losu są znane. W październiku 1813 r. przychodzi do wielkiej bitwy narodów pod Lipskiem, ks. Józef ginie bohaterską śmiercią w nurtach Elstery 19 października 1813. Zwłoki jego sprowadzono w tryumfalnym pochodzie na Warszawę do Krakowa we wrześniu 1814, poczem Napoleon odchodzi do Francyi, zaś resztki armii ks. Józefa postanawiają odprowadzić go do Renu.

Przed jego przejściem, niedaleko Fuldy, Napoleon postanawia zachęcić je do pójścia z nim do Francyi i przemawia do nich publicznie. Znane mi są cztery wersye tego przemówienia: jedna gen. Jana Skrzyneckiego, druga Fr. Morawskiego[2]), trzecia podana u D'Angeberga[3]), czwarta u Ad. Skałkowskiego[4]); trzymam się tej ostatniej. Wedle niej, Napoleon stwierdza, że Polacy „spełnili wszystkie swe obowiązki wobec niego, że się doskonale bili i świetnie prowadzili", a zarazem, że „nie może już mieć żadnej do nich

---

[1]) Patrz M. Kukiel: Dzieje oręża polskiego, A. Skałkowski: Książę Józef, S. Askenaze: Książę Józef Poniatowski.

[2]) Podane przez S. Askenazego w Kwartalniku historycznym 1899.

[3]) Recueil des traités, conventions etc. concernant la Pologne.

[4]) Supplément à la correspondance de Napoléon.

pretensyi" i że „obecnie tak nieliczni, 2000—3000 ludzi, pomimo całej swej waleczności, nie mają dla niego żadnej wagi; zarazem dodaje, że zależy mu na Księstwie Warszawskiem, że to krew z jego krwi". Krytykuje przytem króla, którego sam postanowił: „To człowiek bez odporności, wiedziałem dobrze, że Wam nie dogodzę, to tylko okolicznościowy panujący". Krytykuje rząd i wojsko: „Nie stalibyście tak, jak stoicie, gdyby wasz rząd miał więcej tęgości. Wasz minister skarbu, T. M., porobił głupstwa. Czartoryscy mnie drażnili. Wasze pospolite ruszenie źle się odbyło". — Potem zapytuje o powody nieufności: „Cóż się stało? czyż brak mi tężyzny? Czy schudłem? 16-go b. m. bitwę wygrałem, 18-go b. m. jej nie przegrałem, 19-go cofnąłem się. Kapral wysadził most za prędko, to mnie kosztowało, co prawda, przeszło 12.000 ludzi. Ale, gdybym nawet był przegrał bitwę, cóż znaczy j e d n a bitwa? Ja wrócę, ja im pokażę..." I radzi, „jako mąż europejski" „w waszym własnym interesie zostać ze mną. Poszlę Was do wnętrza Francyi. Wsadzę Was wszystkich na koń. Przepędzilibyście tam spokojnie kilka miesięcy, a cóż złego spędzić sześć miesięcy w dobrym klimacie, w dobrym kraju? Będziecie zawsze płatni z budżetu ministerstwa spraw zagranicznych. Będę toczył wojnę tak długo, jak długo mój naród tego zechce. Musiałbym bardzo młodo umrzeć, jeżelibym nie miał poprawić jeszcze przedtem moich interesów. Pokój nastąpi niebawem, wtedy pomyślę o Was. Liczę na istnienie Księstwa Warszawskiego, ale gdybym był zmuszony zrzec się go, zajmę się Wami indywidualnie. Powrócilibyście wtedy z honorem, albo zostalibyście ze mną, jak zechcecie. Jeżeli powrócicie teraz, to będziecie traktowani j a k o n i e w o l n i c y. Przy zawarciu pokoju znajdzie się w traktatach artykuł dla Was. Powrócicie jako ludzie wolni. Cóż myślicie o tem?"

I Napoleon wygrał sprawę. Polacy zawołali: „Vive l' Empereur" i poszli jak jeden mąż. Ale wedle wersyi d'Angeberga miało paść z ust Napoleona daleko więcej cierpkich wymówek pod ich adresem, aniżeli je podaje wersya właśnie odczytana. Miał on mówić: „Wy zawsze żyjecie illuzyami w czasach najkrytyczniejszych; jeżeli mnie dziś opuścicie, będziecie oceniani jako niestali i lekkomyślni. Zresztą, gdybyście byli poczynili większe wysiłki pod-

czas, kiedy ja się znajdowałem w Rosyi, gdyby Wasz Sejm był powołał pospolite ruszenię, gdyby 40.000 lekkiej kawaleryi było pokryło mój odwrót, byłbym mógł przepędzić zimę u Was i Polska byłaby odzyskała swe istnienie". I tu miał mu, wedle D'Angeberga przerwać adjutant ks. Józefa, Artur Potocki z Krzeszowic, słowami: „Najj. Panie, to Najj. Pan sam powstrzymywałeś zawsze zapał narodu polskiego; kiedyśmy Ci wszystko oddali, wymagałeś zawsze więcej. A cóż odpowiedziałeś, Najj. Panie, deputatom skonfederowanego Sejmu oraz deputatom litewskim? Słowa ogólnikowe i zniechęcające, które stłumiły wszędzie zapał i osłabiły najbardziej wypróbowaną odwagę".

Na co Napoleon miał się zmieszać głęboko i odbąknąć kilka niezrozumiałych wyrazów o tem, iż pobudki jego zachowania się wynikają ze stosunków i okoliczności o polityce, o potrzebie oszczędzania drażliwości innych państw i t. d.

Po przybyciu do Francyi, Napoleon, co prawda, wydał 18 grudnia d e k r e t, reorganizujący korpusy polskie i przejmujący je na etat francuskiego skarbu wojennego. Napoleon nie powrócił jednak już, nie przyszedł, jak tego pragnął i jak zapowiadał, jakkolwiek po zwycięstwie pod Hanau poprawiły się chwilowo jego szanse. Natomiast mocarstwa koalicyjne przyszły do niego. W połowie marca 1814 zawarła koalicya w Chaumont przymierze odporne przeciw Napoleonowi na lat 20 albo i dłużej, postanawiając zwalczać go aż do skutku; poczem nastąpił jej zwycięski pochód na Paryż, dnia 30 marca wjazd monarchów sprzymierzonych do Paryża, a 11 kwietnia a b d y k o w a ł Napoleon w traktacie pokojowym we Fontainebleau. I rzeczywiście w tym traktacie „znalazł się artykuł dla Was", jak powiedział Napoleon, koło Fuldy, bo postanowiono tam (art. 19), że „wojska polskie, wszelakiego rodzaju broni, będące w służbie francuskiej, wolne będą mogły powrócić do kraju, zachowując broń i bagaże, jako świadectwo zaszczytnej służby. Oficerowie, podoficerowie i żołnierze zachowują przyznane dekoracye i pensye, do tych dekoracyi przywiązane".

Mówiąc słowami B o j a ń s k i e g o[1]), w kwietniu 1814 szczątki

[1]) Rządy tymczasowe w Królestwie Polskiem 1902, str. 13.

wojska Księstwa Warszawskiego, za uprzedniem pozwoleniem Napoleona, oddały się w opiekę Aleksandrowi I, który pozwolił połączyć w jeden korpus, pod nazwą wojska Księstwa Warszawskiego, wszystkie gatunki broni polskiej, oddał go pod tymczasowe naczelne dowództwo W. ks. Konstantego, odbył jego przegląd na polach St. Denis i pozwolił zorganizowanemu w ten sposób pięciotysięcznemu korpusowi pod wodzą jenerała dywizyi, Dąbrowskiego, powrócić do Warszawy. Jednocześnie w dniu 24 kwietnia t. r. mianował w Paryżu Komitet wojskowy organizacyjny pod przewodnictwem W. ks. Konstantego, złożony z siedmiu generałów: Dąbrowskiego, Kniaziewicza, Woyczyńskiego, Wielhorskiego, Zajączka, Sierakowskiego i Sułkowskiego. A jak mówi B. Winiarski[1]) „już w maju Komitet Organizacyjny wojskowy (t. j. ten właśnie), złożony z jenerałów polskich z Henrykiem Dąbrowskim na czele, pod prezydencyą formalną W. ks. Konstantego, objął naczelne kierownictwo sprawami armii polskiej".

Wkrótce potem zaś postanowiły mocarstwa sprzymierzone w traktacie paryskim z 30 maja 1814, zawartym pomiędzy niemi a Francyą, już z Ludwikiem XVIII na czele, zwołać do dwóch miesięcy wielki kongres do Wiednia celem ostatecznej likwidacyi stosunków i uporządkowania przewrotów, wywołanych wojnami napoleońskiemi „na zasadzie trwałej i rzeczywistej równowagi w Europie".

Pod jakiemi hasłami i w jakich stosunkach zbierał się ten kongres? i jak sobie wyobrażano tę trwałą i rzeczywistą równowagę? Hasłem nie było wcale wymierzenie sprawiedliwości narodom i stworzenie państw silnych przez to, że będą oparte na trwałych narodowych podstawach i danych niejako z góry naturalnych granicach, lecz raczej zaspokojenie interesów dworów i dynastyi, i stworzenie sztucznej mechanicznej równowagi przez przydzielenie, względnie odbieranie jednemu lub drugiemu pewnej ilości mil kwadratowych lub pewnej ilości dusz, tak, aby żaden dwór nie miał za nadto lub za mało, a przytem, aby każdy coś otrzymał, choćby w obcych sobie krajach. Wszak była mowa nawet o „nad-

[1]) Królestwo Polskie i t. d. Warszawa 1915, str. XIII.

reńskich posiadłościach", względnie o Parmie, Piacencу i Guastabli jako odszkodowaniu dla króla saskiego, a księcia Warszawskiego. Hasłem było dalej, odszkodować się za koszta wojen z Napoleonem, i to proporcyonalnie, w stosunku do poniesionych ofiar, a zarazem ukarać króla saskiego, a księcia Warszawskiego za to, że jako członek Związku reńskiego, stojącego pod protektoratem Napoleona, walczył po stronie Napoleona przeciw koalicyi. Przywódcą tej ostatniej był Aleksander; on też rościł dla siebie największy udział w korzyściach z tytułu rzekomo największych poniesionych ofiar i zasług w zwalczaniu Napoleona; jego wojska zajęły całe Księstwo Warszawskie; jego rząd już tam funkcyonował, Rosya również zajęła całą Saksonię, a ks. Repnin stał na czele jej zarządu.

W przeddzień zebrania się Kongresu 28/9 1814, oddała Rosya administracyę Saksonii królowi pruskiemu niby tymczasowo, ale w myśl poprzednio jeszcze w Kaliszu zawartej z nim umowy, mocą której całą Saksonię miały otrzymać Prusy, a całe Ks. Warsz. — Rosya. Król pruski, Fryderyk Wilhelm, zahypnotyzowany ponadto osobiście Aleksandrem, przyrzekł popierać niezłomnie plany Aleksandra co do Polski, przez które On zamierzał rzekomo przywrócić szczęście, jak się ciągle wyrażał, naszemu narodowi i wynagrodzić jego krzywdy. Gdy mu zaś w tem oponowano, uderzał się po szabli i wołał: Mam w Polsce 200.000 żołnierza. Kto mnie stamtąd wyrzuci?" [1]) Król saski, a książę Warszawski, więziony poprzednio w Berlinie, a niezaproszony na kongres, przebywał w Pressburgu.

Takiem było stanowisko Prus i Rosyi. Jakież było innych mocarstw?

Austrya nie godziła się pod żadnym warunkiem na osadzenie się Rosyi po lewym brzegu Wisły i na powiększenie się jej całem Księstwem Warszawskiem, chociażby nawet urządzonem jako osobne państwo polskie i gotowa była przeciwdziałać tej dążności wszelkimi środkami, a nawet przez postanowienie programu odbudowania prawdziwie niepodległej Polski pod innym osobnym królem. W tym duchu wysłaną została nota z 1 sierpnia 1814 do hr.

[1]) A. Fournier: Heute und vor hundert Jahren.
Tenże: Die Geheimpolizei auf dem Wiener Congresse.

Zichy'ego, ambasadora austryackiego w Londynie. Hr. Zichy odpowiedział wyraźnie notą z 12 sierpnia t. r., że kanclerz pruski, hr. Hardenberg chciałby także zamiary Rosyi udaremnić, ale gdyby zachodziły trudności, to jego monarcha nie będzie się przy tem upierał, a tembardziej narażał na wojnę[1]). Ta odpowiedź była zawodem dla ks. Metternicha, który oddawał się złudzeniom, jakim dała wyraz jego nota, pisana poprzednio, bo 6 lipca 1814 z Paryża do ambasadora austryackiego w Londynie, hr. Merveldta. W nocie tej, którą znalazłem we wiedeńskiem archiwum nadwornem i państwowem, pisze bowiem Metternich, że „kanclerz państwa pruskiego i sam król pruski od chwili, jak cesarz Aleksander nie wywiera nań swego wpływu osobistego, skłaniają się codzień więcej do tej opinii, której tryumf spodziewamy się ujrzeć (tj. do opinii, że gdyby Rosya upierała się przy proklamowaniu Polski rosyjskiej, to Austrya i Prusy powinny uciec się do wszelkich środków, nawet do ogłoszenia niepodległości Polski, ażeby tylko Rosyi w tem przeszkodzić), gdyż każda idea rozsądna powinna odnieść zwycięstwo nad wizyami i chimerami" i t. d.[2]) Na tę notę odpowiedział hr. Merveldt charakterystycznie, bo pominął milczeniem usposobienie Prus, natomiast podniósł, że przyszły przedstawiciel Anglii na kongresie, minister lord Castlereagh jest bardzo zaniepokojony zamysłami cesarza Aleksandra co do Polski, tudzież, że nie pojmuje, jak można niedoceniać w Londynie obawy, iż w razie oddania Rosyi krajów polskich, wysuniętych aż do granicy niemieckiej, Francya złączy się wkrótce z Rosyą[3]). Że takie złączenie musi być zawsze niebezpiecznem dla Polski, stwierdził później ks. Adam Czartoryski w swoich pamiętnikach[4]). Hardenberg kładł

[1]) Obie noty podaje A. Fournier: Zur Geschichte der polnischen Frage auf dem Wiener Congresse.

[2]) Haus- Hof- und Staatsarchiv., Konvol. 203 Weisungen nach London 1814, IV—VII (Merveldt).

[3]) Tamże j. w.

[4]) Mémoires du Prince Adam Czartoryski, ed. Mazade, Paris 1887, „Un accord entre la Erance et la Russie est toujours funeste aux Polonais" (I. 286). „Les Russes, m'ont toujours soupçonné de vouloir faire pencher la politique de la Russie vers un lien intime avec Napoléon; cela était bien loin de ma pensée, car il m'était évident, que toute entente entre les deux Empires ne pouvait manquer d'être funeste aux intérêts de la Pologne".

wprawdzie potem, na kongresie, aż do dnia 7 listopada, ciągły nacisk na konieczność łączności Prus z Austryą i zgodnego postępowania w sprawach kongresowych, ale to było spowodowane chęcią stałego zyskania sobie poparcia Austryi w sprawie saskiej, oraz w sprawie odbudowania Prus w granicach z przed r. 1806 i to mu się też w znacznej części udało; ale w żadnej nocie Hardenberga niema śladu, jakoby on wycofywał się z tego, co oświadczył hr. Zichy'emu; raczej wiec można sądzić, że żył on nadzieją przeciągnięcia Austryi na swoją stronę także i w sprawie polskiej. Natomiast można skonstatować, że Prusy znalazły się w tem szczęśliwem położeniu, iż ubiegano się o ich względy z dwóch stron, ale we wprost przeciwnych kierunkach: Rosya starała się dojść za ich poparciem do zagarnięcia całego Księstwa Warszawskiego, Austrya dążyła do tego, by za poparciem Prus to zagarnięcie udaremnić.

Innym środkiem, jaki Austrya miała jeszcze na myśli, było wykonanie zawartych jeszcze w r. 1813 traktatów: w Kaliszu z d. 26 lutego 1813, w Reichenbach z 26 czerwca 1813 i w Ciepicach (Teplitz) d. 9 września 1813, określających zasady rozbioru Księstwa Warszawskiego, celem militarnego zabezpieczenia sobie wzajemnych granic i stworzenia w ten sposób sztucznej równowagi. Jeden z przedstawicieli Austryi na kongresie bar. Wessenberg, przedłożył ks. Metternichowi nowy w tej mierze projekt, który znalazłem w archiwum ministerstwa spraw zagranicznych, a który, po trafnem skonstatowaniu, iż przyczyną wszystkich nieszczęść, spadających na Europę od 30 lat, jest rozbiór Polski, po zasadniczem potępieniu tego czynu, po stwierdzeniu, że dzięki temu Rosya ma już dziś nietylko „okno", ale i „bramę wpadową" do Europy, przecież nie zdobywa się na inną propozycyę, jak na tę, aby Austrya odebrała Tarnopolszczyznę, okręg zamojski i krakowski, a natomiast zostawiła resztę Polski do podziału, — lewy brzeg Wisły Prusom, prawy jej brzeg (W. Księstwo Warszawskie) Rosyi.

Co się tyczy Rosyi, to ks. Metternich polecił (równocześnie z wysłaniem noty do Zichy'ego) sondować teren w Petersburgu przez specyalnego wysłannika, br. Kollera i dowiedział się z jego relacyi, że cesarz Aleksander przy swym projekcie już rzekomo nie obstaje. Tem przykrzejsze było zdziwienie, gdy reprezentant

Rosyi na kongresie, hr. Nesselrode oświadczył kategorycznie ks. Metternichowi na konferencyi z dnia 19 września 1814, że Rosya żąda stanowczo całego Księstwa Warszawskiego.

Co do Francyi i Anglii, to rzecz się tak miała, że w imieniu Ludwika XVIII przybył na kongres Tailleyrand z instrukcyą iście faryzejską. Jej punktem kulminacyjnym była zasada, że „Polska nie może cała przejść pod panowanie rosyjskie“ — ale punktem wyjścia było twierdzenie, poparte szczegółową argumentacyą, że odbudowanie dawnej niepodległej Polski jest fizycznie niemożebnem, i że wobec tego, nie mogąc dopuścić do przyłączenia całego Księstwa Warszawskiego do Rosyi, należy pozostawić wszystko w Polsce na stopie po trzecim rozbiorze.

Wreszcie, co się tyczy Anglii, to Lord Castlereagh, jej główny przedstawiciel, rozpoczął swą działalność notą z 4 października, określającą stanowisko Anglii wobec traktatów zawartych pomiędzy sprzymierzonymi monarchami w przedmiocie Księstwa Warszawskiego, określił je, stając całą siłą w obronie traktatów działowych, a przeciw roszczeniom rosyjskim choćby w formie Unii realnej Polski z Rosyą (jak już o tem przestrzegał hr. Merveldt), dodał jednak:

„Jeżeli obowiązek moralny wymaga, by położenie Polaków zostało polepszonem w sposób tak stanowczy, jakiem jest przywrócenie ich monarchii, to niechże to dzieło zostanie przedsięwzięte na najszerszej i liberalnej podstawie przez uczynienie ich napowrót narodem niezależnym, zamiast robić z nich we więcej niż dwóch trzecich częściach narzędzie wojskowe, jedno z najstraszniejszych w rękach jednego mocarstwa. Takie zarządzenie liberalne spotkałoby się z aplauzem, bez sprzeciwu ze strony całej Europy, a nawet zostałoby przyjęte odrazu radośnie i przez Austryę i przez Prusy. Byłoby to, co prawda, rodzajem ofiary ze strony Rosyi, oceniając rzecz miarą zwykłych kalkulacyi państw; ale, jeżeli Jego Ces. Mość nie jest gotowa do poczynienia takich ofiar ze względu na swoje państwo, to nie ma ona żadnego uprawnienia do czynienia podobnych eksperymentów na koszt swoich sprzymierzeńców i swoich sąsiadów“ [1]).

[1]) Instrukcyę dla Tailleyranda oraz notę Castlereagha, patrz u D'Angeberga: Le Congrès de Vienne

Z państw, niezaproszonych na kongres zgłosili się, ale później: reprezentanci Turcyi z oświadczeniami sympatyi dla Polski i dla stanowiska Austryi, a przeciw Rosyi. W archiwum państwowem wiedeńskiem znalazłem relacyę br. Vincent'a do ks. Metternicha, datowaną z Paryża d. 14 listopada 1814, w której tenże powiada, że zgłosił się do niego pewien Grek, „charge d'affaires", Porty Ottomańskiej, nazwiskiem Angelo, człowiek roztropny, przebiegły i zręczny, który mu powiedział, że ma rozkaz od swego dworu, by się zbliżył do austryackiego ministra w Paryżu, poczem poruszył kwestyę Polski i oświadczył, że, jakkolwiek Porta Ottomańska nie wysłała nikogo na kongres, to jednak ta kwestya jest rzeczą pierwszorzędnej wagi dla Porty w szczególności, jak również jest wielkiej doniosłości dla Europy, że Turcya łączy się w swych pragnieniach i intencyach ze systemem słuszności, któryby przywrócił sprawiedliwą równowagę i że W. Porta uważa swoje interesa za ściśle złączone z austryackimi, pragnąc za naszem pośrednictwem módz ustalić swoją opinię i swą politykę [1]).

W tych tedy nastrojach jechali monarchowie i ministrowie do Wiednia, na rozpoczęcie kongresu.

Zjechali się tam o dwa miesiące później, niż zamierzano. W Warszawie tymczasem wyrobiła się u „patryotów" jednozgodna opinia (vide relacyę br. Bauma do ks. Metternicha z Podgórza z 20/7 1814), że cesarz Aleksander wcale już nie pojedzie do Wiednia i że kongres się wogóle nie odbędzie, albowiem „dwory berliński i wiedeński s p r z e c i w i ł y się zażądanemu przez cesarza Aleksandra odbudowaniu Królestwa Polskiego i połączeniu tego państwa z rosyjskiem cesarstwem" i „że przyjdzie z tego powodu do wojny austyacko-rosyjskiej" [2]).

Że ta wiadomość, o ile się tyczyła Berlina, była zupełnie mylną, widzieliśmy wyżej.

Kongres zebrał się, ale nie odbył ani jednego formalnego plenarnego posiedzenia; wszystkie sprawy traktowane były tylko w komitetach, w jednem z 8, w drugim, dla sprawy polskiej z 4, a od stycznia 1815 z 5 członków. Prace szły powoli, wszystko zaha-

1) Vincent an Metternich 1814. Nr. 11. B.
2) Archiwum wiedeńskie.

czało się o różnicę zasadniczą interesów i poglądów w kwestyi saskiej i polskiej. Przez dłuższy czas stanęło wszystko na martwym punkcie; toczył się pojedynek dyplomatyczny pomiędzy lordem Castlereagh a cesarzem Aleksandrem, Tailleyrand także docierał ostro, a przemawiali do siebie nieraz tonem, zgoła odmiennym od dzisiejszego gładkiego dyplomatycznego, tudzież dworskiego stylu, pomimo, że pojęcia o dostojeństwie osoby i o rozciągłości oraz pełni władzy monarszej, nie były wcale ani demokratyczne ani konstytucyjne, ale raczej owiane duchem niedawnej epoki Ludwika XVI. „Polska sprawa jest bardzo zawikłana — pisał wtedy ks. Antoni Radziwiłł z Wiednia do żony. — Ze wszystkich stron objawiają najlepsze zamiary, ale z całkiem odmiennych punktów widzenia. Jeżeli się chce uniknąć, by z tego nie wynikło największe nieszczęście dla jednych w teraźniejszości, a dla drugich w przyszłości, to trzeba przedstawić sprawę ze wszystkich punktów widzenia i sporządzić z tego ekstrakt (surrogat), który jednych uspokoi, a drugich zachęci, co nie całkiem jest łatwem". „Nasze polskie sprawy zbliżają się ku rozstrzygnięciu, są jednak niestety bardzo trudne" [1]).

Tego samego dnia, w którym ks. Radziwiłł pisał ostatnie słowa powyższego listu, nastąpił istotnie w sprawie polskiej bardzo ważny zwrot. Hr. Hardenberg, nie mogąc się doczekać przeciągnięcia Austryi na swoją stronę w sprawie polskiej, wychodzi z rezerwy, jaką dotąd zachowywał wobec Austryi, nie chcąc stracić jej poparcia w sprawie saskiej, odbywa w obecności swego króla dłuższą rozmowę z ces. Aleksandrem i występuje już otwarcie, w nocie do L. Castlereagh, w tym samym duchu, w którym jeszcze w sierpniu odpowiedział hr. Zichy'emu, ambasadorowi austryackiemu. Pisze do Castlereagha, że wprawdzie niedobrzeby było oddać Rosyi Księstwo Warszawskie dla prostego wcielenia go do Rosyi, ale że natomiast nic to nie zaszkodzi, jeżeli cesarz rosyjski posiędzie koronę Polski, złożonej z Księstwa i z przyłączonych do niego dawnych prowincyi polskich, tytułem Unii realnej, gdyż to Rosyę rdzenną raczej osłabi, a potęgę caratu raczej zniweczy — to wszyst-

1) Patrz listy X. Antoniego Radziwiłła do żony ks. Luizy pruskiej, wydane przez A. Fournier'a w „Deutsche Rundschau" 1915.

ko jednak oczywiście pod warunkiem, jeżeli cesarz zgodzi się na układ terytoryalny, nas (t. j. Prusy) zadawalniający i zagwarantuje nam nasze polskie posiadłości"[1]). Zarazem przedkłada obłudnie ks. Metternichowi „treść swojej ostatniej rozmowy z cesarzem Aleksandrem" i dodaje zapewnienie, że „żadna insynuacya nie będzie w stanie wzbudzić w nas nieufności"[2]), przyczem wiedział już wtedy, że Prusy otrzymają częściowy zwrot tego, co straciły w r. 1807, oraz, że opór Francyi i książąt niemieckich przeciw zagarnięciu przez Prusy całej Saksonii jest nie do przełamania.

Pomijam wszelkie poprzednie i następne dyplomatyczne kombinacye i matactwa, gdyż nas obchodzi ostatecznie tylko rezultat kongresu, t. j. sposób załatwienia na nim sprawy polskiej, zaznaczam tylko, że jest bardzo prawdopodobnem, iż cała ta nota hr. Hardenberga była jedynie manewrem ces. Aleksandra i wyszła z jego poduszczenia. Wiele przemawia za trafnością hypotezy K. Bartoszewicza[3]), że cesarz Aleksander pod wrażeniem energicznego oporu Anglii przeciw przyłączeniu Księstwa Warszawskiego do Rosyi, postarał się najpierw o przerwanie jawnych stosunków pomiędzy Hardenbergiem a Castlereaghiem, ażeby Anglia, którą niechęć do preponderancyi rosyjskiej zbliżała coraz bardziej do Austryi, nie mogła przeciwdziałać, że dopiero następnie odbył wspomnianą wyżej rozmowę z Hardenbergiem w obecności króla pruskiego i że potem hr. Hardenberg dopiero drogą tajnej noty nibyto „per nefas" odezwał się do Anglii. Ja dodaję, że najprawdopodobniej w tymże celu zerwał cesarz Aleksander swoje własne stosunki osobiste z ks. Metternichem, ażeby się usunąć z pod jego wpływów, a nawet wyzwał go raz na pojedynek, który oczywiście nie doszedł do skutku, że spowodował również zerwanie jawnych stosunków pomiędzy Metternichem a Hardenbergiem. Szło mu o to, ażeby usunąć i wyzwolić Hardenberga z pod jakichkolwiek wpływów, by tenże mógł zostawać tylko pod jego własną presyą i stać się narzędziem jego własnej woli, szło mu o zupełne zizolowanie

1) Nota Hardenberga u D'Angeberga l. c.

2) List z 9 listopada 1814, znaleziony przezemnie w archiwum wiedeńskiem, fascykuł kongresowy.

3) Utworzenie Królestwa Kongresowego, Kraków 1916, str. 112—115.

i unieszkodliwienie Metternicha i Castlereagha i o wyzwolenie się samemu z pod wszelkiego nacisku z ich strony, ażeby tem skuteczniej i bez przeszkód mógł przeprowadzić z oddanymi sobie królem i ministrem pruskim swe zamierzenia. Pokłócił więc wszystkich ze wszystkimi, poodsuwał ich od siebie i w mętnej wodzie łowił ryby z powodzeniem.

Na powyższe kroki i noty hr. Hardenberga, inspirowane przez cesarza Aleksandra, odpowiedziała Austrya notą, cofającą swą dotychczasową warunkową zgodę na zajęcie przez Prusy c a ł e j Saksonii. Hardenberg uznał to za prowokacyę. Cesarz Aleksander, znalazłszy dzięki swemu manewrowi już jawne poparcie Prus, nie ustępował i tak doszło aż do znanego przymierza obronnego, zawartego dnia 3 stycznia 1815 pomiędzy Austryą, Francyą i Anglią przeciw Prusom i Rosyi na wypadek wypowiedzenia wojny przez Prusy lub Rosyę, a więc do przymierza jednej grupy uczestników kongresu przeciw drugiej grupie, mieszkającej pod tym samym dachem w Burgu wiedeńskim.

Ale wkońcu ten sam Castlereagh, który jeszcze w nocie z 11 października 1814 uznał króla saskiego za zasługującego na „rozstrzelanie", a całą Saksonię chciał oddać Prusom [1]), poparł silnie stanowisko Austryi, Francyi i niemieckich książąt [2]) i sprawa polska została ostatecznie rozstrzygniętą.

Ale jak? Nie zwyciężył żaden z wyżej zaznaczonych kierunków: ani odbudowanie prawdziwie niepodległej Polski z własnym osobnym królem, jak było przed rozbiorami, ani prosta antiteza tego kierunku, t. j. rozbiór Księstwa Warszawskiego po myśli traktatów kalisko-reichenbachsko-cieplickich, ani oddanie całego Księstwa Warszawskiego cesarzowi Aleksandrowi w myśl jego żądań, ale zwyciężył kierunek czwarty, kompromisowy, nibyto połowiczny, ale będący w znacznej części zwycięstwem Aleksandra, bo wielce zbliżony do jego żądań. Aleksander przeprowadził prawie w całości swoje zamysły, bo tylko departament poznański

---

1) Dotycząca nota u D'Angeberga l. c.

2) K. B a r t o s z e w i c z l. c. str. 122, twierdzi, że stało się to z powodu, iż Anglia zawarła pokój ze Stanami Zjednoczonymi, a tem samem, odzyskawszy swobodę ruchów, mogła stanąć energiczniej w obronie Saksonii.

i bydgoski odstąpić musiał Prusom, które natomiast otrzymały tylko połowę Saksonii, a zarazem nie zatrzymał Krakowa, wyniesionego wraz z okręgiem na stanowisko wolnego miasta i musiał oddać Austryi Tarnopolskie i Czortkowskie. Zwyciężył, bo żadne państwo romańskie, niemieckie lub anglo-saskie nie traktowało sprawy polskiej szczerze i zasadniczo, aby naprawić błąd polityczny, popełniony przez rozbiory Polski i ciążący, jak klątwa nad równowagą Europy. Skoro więc Francya i Anglia ujrzały, że mocarstwa najbardziej interesowane, bo okalające Polskę, zgodziły się na takie, a nie inne zabezpieczenie swych granic, to i one dały na nie swe placet i umyły ręce, jak Piłat od odpowiedzialności za losy Polski, dając temu wyraz w swych notach, w których zgłaszały akces do słynnej noty okrężnej Lorda Castlereagh z 12 stycznia 1815[1]).

Nic dziwnego, że po takiem zakończeniu sprawy książę Adam Czartoryski przybył do Warszawy, jak czytamy we współczesnych pamiętnikach, chory na żółtaczkę; widział bowiem dobrze, że to, co kongres wiedeński stworzył, nie jest ani silną wielką państwowością polską, ani narodowem zjednoczeniem.

Jakżeż to Kongres wiedeński stworzył stanowisko prawnopaństwowe dla tej Polski kongresowej? — Akt końcowy Kongresu z 9 czerwca 1815 mówi w art. I, że „Księstwo Warszawskie, z wyjątkiem prowincyi i okręgów, którymi w następnych artykułach inaczej rozporządzono, zostaje przyłączone do cesarstwa rosyjskiego, będzie z niem nieodwołalnie połączone przez swą konstytucyę, aby pozostawało na wieki w posiadaniu Najj. Cesarza wszech Rosyi, jego spadkobierców i jego następców. Najj. cesarz zastrzega sobie nadanie temu państwu (Etat), cieszącemu się odrębną administracyą, rozległości wewnętrznej, jaką uzna za stosowną. Przyjmie wraz ze swymi innymi tytułami, tytuł cara, króla Polski“ i t. d. A następnie: „Polacy, poddani rosyjscy, austryaccy i pruscy, otrzymają reprezentacye i instytucye narodowe, urządzone stosownie do zasad egzystencyi politycznej, jaką każdy z rządów, do których należą, uzna za pożyteczne i stosowne im przyznać“.

---

1) Patrz te noty u D'Angeberga l. c.

Pozostawiono więc zupełnie swobodnemu uznaniu carów rosyjskich, czy przyłączą do Królestwa Kongresowego także Litwę i Ruś, co, jak wiadomo, było powszechnym postulatem polskim, co było wraz z konstytucyjną formą rządu jednym z niezbędnych warunków, od których nawet zwolennicy Unii realnej Polski z Rosyą czynili zależnem swoje „placet“ na tę kombinacyę i co wreszcie cesarz Aleksander z własnego impulsu przedtem wielokrotnie przyrzekał. Pozostawiono następnie swobodnemu uznaniu i dobrej woli carów rosyjskich określenie treści samej konstytucyi polskiej, wymiaru praw politycznych i swobód narodowych, jakieby miały przysługiwać Polakom, zdano ich więc po prostu na łaskę i niełaskę tak pod względem granic Polski jak i sposobu jej rządzenia, bo sama odrębność administracyi jeszcze niczem nie jest, a natomiast orzeczono z wielkim naciskiem, że połączenie tej Polski z cesarstwem rosyjskiem, jest „wieczne i nieodwołalne“, a więc bezwarunkowe. — Nic dziwnego więc, że skoro nowo utworzona Polska kongresowa doznała na każdym punkcie zawodu, skoro Litwy i Rusi nie przyłączono, skoro konstytucyę coraz bezwzględniej łamano, wprowadzając nawet w r. 1825 tajność obrad sejmowych, skoro szef armii polskiej, W. ks. Konstanty dopuszczał się coraz to nowszych i cięższych gwałtów, skoro w r. 1830 zaszła zupełnie uzasadniona obawa, że wojska polskie zostaną użyte do walki przeciw Francuzom w imię burbońskiego legitymizmu, skoro Królestwem Polskiem rządził intrygant-karyerowicz, generał Zajączek pod kontrolą Nowosilcowa, skoro swobody narodowe Polaków okazały się zupełną illuzyą, że wtedy stało się w r. 1831 to, co „rebus sic stantibus“ było nieuniknionem. Koniec stworzonej w r. 1815 Polski był żałosny, ale stało się to, co się w tych warunkach, naszem zdaniem, stać musiało.

I tu znowu przypominają się słowa, które czytamy w „Pamiętnikach“ ks. Adama Czartoryskiego (I. 373): „Żaden Moskal nie był nigdy sam przez się i z dobrej woli przychylnym Polsce; przekonałem się później, że ta reguła nie zna wyjątku i że niepodobnem jest zmienić pod tym względem usposobienie któregokolwiek z nich“.

— — — — — — — — — —

Dziś rodzi się nowe państwo polskie. Wedle prostego a trafnego porównania, które niedawno słyszałem, nie dano nam jeszcze całej drabiny, po której moglibyśmy zaraz śmiałym i pewnym siebie krokiem wkroczyć szybko na wyżyny niepodległej Ojczyzny, lecz dano nam tylko oba boczne drączki, w które my sami musimy dopiero wstawić naszą własną pracą szczeble, łączące je, a zarazem umożliwiające nam wkroczenie po nich do elizejskich regionów samodzielnej państwowości polskiej. Wytężmy więc wszystkie siły, całą dobrą wolę, wytrwałość i energię, a zarazem i rozum na stworzenie i wstawienie tych szczebli, a zarazem baczmy, by one były sporządzone z wiecznie trwałego, niezłomnego materyału. Nowe państwo polskie musi być silne, trwałe i stanąć raz na zawsze; jest to dla nas obowiązkiem i patryotyzmu i sumienia narodowego i honoru, a „z honorem — jak powiedział książę Józef — niemasz transakcyi".

Stanisław Starzyński,

W dniach grozy.

....Zaliż nam wolno w złote patrzeć światy,
kiedy wokoło wrą bólu otchłanie?
Zaliż to pora wonne pieścić kwiaty,
gdy zewsząd słychać rozpaczliwe łkanie?

Dopóki krzywda, rozpacz kędyś włada,
dopóki jedno serce kona z męki,
czyż wolno słuchać, choć szczęście zagada,
czyż wolno jasny kwiat nam brać do ręki?

— — — — — — — — — —

Gdy szczęście dano — to, by koić rany,
gdy dana światłość — to, by świecić tęczą!
Niech w mrocznej doli na ten świat zesłanej
o cudach boskich lutnie nasze dźwięczą!

Niech głosy nasze prawią wieści z nieba,
jasne uśmiechy niech dźwigają z mroku
tych, co nie wzrośli nad głód chciwy chleba
tam — gdzie już inny świat zabłyska oku!

W szpitalu.

Pragnę — by moje słabe ręce
świetlistym kładły się promieniem
na ciemnej waszej, gorzkiej męce,
dusze owiały szczęścia tchnieniem.

Pragnę wśród nocy stać wam białą
strażniczką jakąś z krain ducha,
skądby płynęła siłą całą
słodycz wam jakaś i otucha.

Niechbyż w tej nędzy ziemskiej, brudnej,
która objęła wasze łoża,
innego świata odblask cudny
rzucała ku wam ręka Boża!

Jakieś śnieżyste, srebrne kwiaty
na krwawe rany padać mogą,
i ciemną bólu idąc drogą,
można w tęczowe patrzeć światy.

Niechżeż zanurzą mi się dłonie
wśród tajemniczych prawd światłości,
by na zmęczone upadł skronie
blask z źródła wszech-miłości!

W. Krzyżanowska.

Zmiany w znaczeniu gospodarczem wojny.

I.

W przebiegu wypadków dziejowych dostrzegamy siły, których znaczenie jako czynnika, popychającego ludzi do wojny, wzrasta. Taką siłą jest poczucie narodowe. Wojny nowoczesne zawierają w sobie dużo pierwiastków narodowych. Mimo wzrastającego znaczenia współczynników narodowych w wywoływaniu starć zbrojnych, pierwiastki pokojowe w rozwoju ludzkości, wprawdzie nie są w stanie doprowadzić do zaniechania wojen, ale przecie, na ogół rzecz biorąc, ograniczają coraz to skuteczniej ilość i znaczenie starć zbrojnych. Stać się to mogło jedynie dzięki temu, że inne siły parły w coraz to mniejszym stopniu do wojen.

Wzrastająca siła pierwiastków narodowych, jest w pewnej mierze przejawem coraz to większego poszanowania jednostki, jej wolności osobistej i praw, na tej podstawie opartych. Dzieje ludzkości są powolnem, mimo chwilowych reakcyi, ciągłem zwycięstwem ideałów indywidualistycznych. Cząstką prądów indywidualistycznych jest także poniekąd walka o prawa narodowości. Poszanowanie godności osobistej człowieka jest sprzeczne z przymusowem narzucaniem mu obcego języka, obcej kultury. W świetle dążeń narodowościowych przymus państwowy wyczerpie swe uzasadnienie jedynie z przynależności do narodu, zorganizowanego w państwo. Jest bezprawny wobec jednostek, należących do

innego narodu, jeżeli dobrowolnie nie godzą się na jego stosowanie.

Program indywidualistyczny, o ile występuje w szacie narodowej, mógł przyczynić się pośrednio do wywołania niektórych wojen. Istotą jego jest odrzucenie przymusu, toteż zasadniczo program indywidualistyczny jest czynnikiem pokojowym. Zanik wojen religijnych w toku dziejów łączy się ze zwycięstwem hasła wolności sumienia, stanowiącego jeden z najważniejszych wykładników dążeń indywidualistycznych. Zmiany w stanowisku kobiety są również przejawem siły prądów indywidualistycznych. Osobowość kobiety zyskała uznanie, obce dawniejszym społeczeństwom. Przymus w życiu płciowem i w zawieraniu związków małżeńskich jest dziś mniej rozpowszechniony. Czy Grecy istotnie podjęli wyprawę trojańską o odzyskanie Heleny [1]) — nie wiem, atoli pewnem jest, że ongi walki i wojny były aż nazbyt często podejmowane gwoli zdobycia żon lub nałożnic. Porywanie kobiet było uważane za normalny sposób zawierania małżeństw. Także i dziś wojna jest sposobnością, sprzyjającą nadużyciom płciowym, ale ten czynnik przestał być znaczącym w wywoływaniu wojen.

Współczesny indywidualizm jest demokratyczny. Dążenia do pełnego i swobodnego rozwoju jednostek są odwieczne. Dzisiejsze społeczeństwa różnią się od dawniejszych upowszechnieniem dążeń indywidualistycznych. Chodzi o pełny i swobodny rozwój każdej jednostki. Jego zabezpieczeniem ma być współudział w rządzie szerokich warstw ludności. Prawdziwie demokratyczny a zarazem liberalny ustrój społeczny, przesiąknięty pierwiastkami indywidualistycznymi, nie sprzyja podejmowaniu wojen zaczepnych.

Straciły na znaczeniu, jako podnieta do wojen, czynniki gospodarcze i to także w znacznej mierze pod wpływem zindywidualizowania życia gospodarczego, jego oparcia w wyższym stopniu, niż przedtem na zasadzie wolności gospodarczej.

---

[1]) Prawdopodobnie gospodarczem tłem wojny trojańskiej była chęć wywalczenia przez Greków wolności dowozu zboża przez Dardanele do Peloponezu, której mieszkańcy Troi zagrażali

II.

Ludzkość bogaci się coraz bardziej przez rozrost, wydoskonalenie gospodarczego współdziałania i współzawodnictwa pokojowego. Wojna, jako źródło wzbogacenia się, traci na znaczeniu w porównaniu z innemi formami ludzkiego współżycia. Przez uzasadnienie zapatrywania, że wojny z biegiem czasu stają się ekonomicznie coraz mniej zyskowne, pragnę uzupełnić i poprzeć moje poprzednie wywody o rozwoju wojny. Starałem się wykazać, że ludzkość, mimo ciągłego nawrotu do orężnego rozstrzygania sporów, staje się przecież stopniowo bardziej pokojową. Gdyby wojna w czasach nowszych zapewniała zwycięscy większe zyski gospodarcze, niż przedtem, bylibyśmy świadkami wzmagania się wojowniczości. Rozwój wypadków był odwrotny, czego koniecznym warunkiem było osiąganie coraz to większych zysków gospodarczych przez rozrost i wydoskonalenie innych form ludzkiego współżycia, a równoczesne zmniejszanie się zysków, które można było zdobyć w orężnej rozprawie.

Może istotnie wojenne zyski gospodarcze z biegiem stuleci stają się coraz to mniejsze, ale ta okoliczność, sama przez się, nie może przeważyć szali wypadków. Nie chodzi o przedmiotowy, rzeczywisty stan rzeczy, raczej o zapatrywania ludzi na zyski wojenne. O gospodarczem znaczeniu wojen rozstrzygają podmiotowe mniemania ludzkie. Chcąc je ocenić, należy przedewszystkiem odpowiedzieć na pytanie, czy ludzie wojenne zyski gospodarcze cenią obecnie niżej, niż ich przodkowie ówczesne? Wątpliwości, w tym zarzucie zawarte, zasługują na uwzględnienie. Będę się starał dać odpowiedź także i na to pytanie.

Czytelnikowi moich poprzednich wywodów o wojnie i pokoju, kto wie, czy nie nasunie się uwaga, że właściwa teza, o której mowa, nie wymaga osobnego uzasadnienia. Wojowniczość ludzkości, na ogół rzecz biorąc, w porównaniu z przeszłością, raczej zmniejsza się. Koniecznym wynikiem stwierdzenia prawdziwości tego poglądu jest przyznanie słuszności zapatrywaniu, wedle którego ludzie coraz mniej sobie cenią wojenne zyski gospodarcze. Gdyby było odwrotnie, ludzie stawaliby się coraz bardziej wojowniczymi.

Wykazanie, że pierwiastki pokojowe zwyciężają w rozwoju ludzkości, zawiera w sobie także uzasadnienie zapatrywania o zmniejszającem się znaczeniu gospodarczem wojen. Rozumowanie wydaje mi się zupełnie przekonywające, ale przecie uważam za potrzebne bliższe uzasadnienie tezy, wypisanej na początku tego ustępu.

Gdyby brakło jej uzasadnienia, byłoby łatwiej zwalczać pogląd o ścisłym związku między zmniejszaniem się wojowniczości i wojennych zysków gospodarczych. Możnaby mu przeciwstawić inny. Przekonanie o moralnej wyższości pokoju jest tak silne, że doprowadza do zwycięstwa pierwiastków pokojowych w rozwoju ludzkości, aczkolwiek zmiana w tym duchu połączona jest ze stratą gospodarczą. Nie przeceniam doniosłości czynników gospodarczych. Nie chcę walczyć ze zapatrywaniem, że siły moralne były w przebiegu wypadków ważniejsze, niż rozważanie korzyści gospodarczych. Atoli przypuszczenie, że zmiana na rzecz pokojowości mogła dojść do skutku wbrew interesom gospodarczym, wydaje mi się zapoznawaniem motywów, przeważnie rozstrzygających o działalności ludzkiej. Czynniki gospodarcze może nie były rozstrzygającą przyczyną zwycięstwa pierwiastków pokojowych w dziejach ludzkości, ale w każdym razie były jego koniecznym warunkiem. Pogląd ten znajdzie silne poparcie w uzasadnieniu tezy o zmniejszaniu się gospodarczych zysków wojennych. Gdybym zaniechał uzasadnienia, nie znalazłbym w niej poparcia dla wywodów o zwycięstwie pierwiastków pokojowych. Brakłoby wyjaśnienia istotnego warunku rozwoju, wyrażającego się w pewnem ograniczeniu wojowniczości. Brakłoby także wyjaśnienia, w czem tkwi zmniejszanie się wzajemnych zysków gospodarczych.

Nie brak głosów, pojmujących inaczej przebieg wypadków, skłonnych do przypisywania czynnikom gospodarczym coraz to większego znaczenia. Tarde i inni pisarze wyrażali niejednokrotnie zapatrywanie, że człowiek pierwotny nie podejmował wojny w chęci osiągnięcia zysku gospodarczego. Co prawda, różnie odpowiadali na pytanie, co właściwie popychało go do rozprawy orężnej? Jedni sądzili, że chwytał za broń dla zadośćuczynienia wymogom sprawiedliwości, które uważał za obowiązujące. Wojny były wymie-

rzaniem sprawiedliwości, zadosyćuczynieniem obrażonemu poczuciu moralnemu, krwawą zemstą, nakazaną przez ówczesne zasady etyczne. Inni widzieli w wojnach pierwotnych przedewszystkiem wynik wrodzonej wojowniczości. Ich zdaniem podejmowano je jako rycerski sport. Później wojny nasiąkają celami religijnymi i narodowymi. Na tle stopniowej racyonalizacyi dochodzi do wojen handlowych i kolonialnych w epoce merkantylizmu. Z biegiem czasu nadzieją osiągnięcia zysków gospodarczych przez zwycięską wojnę staje się coraz to bardziej rozstrzygającym współczynnikiem w dojściu do skutku wojen.

O czasach najpierwotniejszych najtrudniej zdać sobie sprawę. Nie mam zamiaru dochodzić przyczyn powstania walki i wojny, atoli, zdaje mi się, że już od samego początku współczynnik gospodarczy nie był obcy ówczesnym starciom zbrojnym. Być może, że wówczas był podrzędnego znaczenia. Jeżeli nie odrazu, to w każdym razie później stał się wielce doniosłym. Przeczę jednak, jakoby stawał się coraz donioślejszym. Będę się starał udowodnić, że zyski, które dziś można osiągnąć wojną, są stosunkowo mniejsze, niż te, które wojna zwycięska zapewniała przed kilku wiekami.

Czy jednak ten mój pogląd nie jest sprzeczny ze stopniowem racyonalizowaniem się działań ludzkich, także wojennych, poprzednio przezemnie stwierdzonem? Wszak wyznawcy zapatrywania o ciągłem zyskiwaniu na znaczeniu gospodarczego współczynnika wojen widzą w tym rozwoju wyraz ciągłego, stopniowego racyonalizowania się działań ludzkich. Przygotowanie techniczne i skarbowe wojen, poszczególne działania wojenne, zwrócone wprost przeciwko ludziom, oraz polegające na zaborze ruchomości i nieruchomości, na zabezpieczeniu sobie pewnych praw, zaradzenie ujemnym skutkom wojen, wyzyskiwanie ich owoców uległy racyonalizacyi. Ostateczne cele, w imię których ludzie podejmują owe działania wojenne, zwrócone przeciwko nieprzyjaciołom, polegające na zaborze ich rzeczy, na narzuceniu im pewnych zobowiązań, uległy chyba także pewnej racyonalizacyi, co prawda, mniejszej, niż inne sfery życia ludzkiego. Dziś ludzie zapewne podejmują wojny mniej

instynktownie, niż dawniej, gwoli osiągnięcia ściślej określonych korzyści, niekoniecznie materyalnych.

Zwolennicy mniemania o ciągłem zyskiwaniu na znaczeniu gospodarczego współczynnika wojen mają na myśli materyalne pobudki prowadzenia wojen, chęć zyskania tym sposobem urodzajnej ziemi, bogatych pokładów mineralnych, korzystnych warunków komunikacyjnych, ułatwiających zarobek, budynków i ruchomego bogactwa.. Sądzą, że dziś chodzi o osiągnięcie tych namacalnych korzyści gospodarczych w wyższym stopniu, niż dawniej. Można zwalczać ich mniemanie i równocześnie bez popadnięcia w sprzeczność mówić o stopniowej racyonalizacyi działań ludzkich, nie wykluczając wojennych. Ich racyonalizacya polega na zastąpieniu działań instynktownych chęcią uzyskania określonych korzyści, na ich coraz to ściślejszem odważaniu, na dążeniu osiągnięcia korzyści jak najmniejszymi nakładami zasadą najmniejszego wysiłku. Ale niekoniecznie chodzić musi o korzyści przedewszystkiem materyalne.

Próbowano przeciwstawiać średniowieczne wojny religijne oraz późniejsze narodowe, obecnie najczęściej podejmowanym w celach ekonomicznych, zapominając, że religii nieraz nadużywano. Pod jej pokrywką rozpoczynano walki, rozpętane pobudkami wybitnie materyalnemi. Narodowe wojny były równocześnie gospodarczemi. Współczesnym nie brak współczynników bardziej idealnych.

III.

Gwoli wyświetlenia zmian, które zaszły z biegiem czasu w gospodarczem znaczeniu wojen, zajmę się najpierw poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie, czy i w jakiej mierze można uważać działania wojenne za pracę? Ekonomiści nieraz rozróżniali prace wytwórcze i niewytwórcze, które pomijali w swych systemach. — Do niewytwórczych zaliczali wojnę. Nie zastanawiali się nad pytaniem, czy wojna jest pracą? Wydaje mi się, że rozpatrywanie zagadnienia z tego punktu widzenia jest najpierw wskazane. Później przyjdzie kolej na zajęcie stanowiska wobec twierdzenia, że wojna jest pracą niewytwórczą.

Można wojnie odmawiać znamion pracy z przyczyn moralnych. Często przez pracę rozumiemy zajęcia godziwe, których podejmowanie stanowi obowiązek człowieka. Nie brak głosów odmawiających bezwarunkowo wojnie moralnej dopuszczalności. Wszelka wojna jest złem, nie może być pracą. Moralną stronę zagadnienia na razie wykluczam z zakresu mych dochodzeń. Na tej podstawie nie mogę odmówić wojnie znamion pracy. Należy poszukiwać innych kryteryów.

Człowiek dopiero z biegiem czasu nauczył się pracować. Badacze życia ludów dzikich często wspominają o ich lenistwie, które przeciwstawiają pracowitości ludów cywilizowanych. Zazwyczaj nie określają ściśle przeciwstawienia. Byłoby błędem przypuszczać, że ludzie, żyjący poza naszą cywilizacyą, nie podejmowali znacznych wysiłków gwoli uzyskiwania środków zaspokojenia swych potrzeb. Człowiek dziki, gdy głód mu dokuczał, szedł na polowanie, nie szczędząc wysiłku. Często podejmował wysiłki stosunkowo znaczne. Atoli jego praca była niesystematyczną, mało przewidującą. Pracował pod naciskiem potrzeb w danej chwili bezpośrednio odczuwanych. Nie wiele dbał o przyszłość. Odkładał bardzo mało zapasów na czarną godzinę. Zaopatrywał się w daleko mniejszym stopniu, niż człowiek współczesny w narzędzia, potrzebne do tańszego uzyskiwania środków bezpośrednio potrzebnych do zaspokojenia potrzeb. Nie zadawał sobie trudu, polegającego na pracowaniu dzień w dzień w ściśle oznaczonych godzinach. Pracował nieumiejętnie, bez należytego dostosowania nakładów do wyników. Coraz większa ciągłość i zracyonalizowanie wysiłków jest powolnem wytwarzaniem nowych form pracy.

Każda działalność ludzka uległa podobnemu rozwojowi, nie wykluczając wojennej. Wojna podobnie, jak nauka lub wysiłki gospodarcze rolnika, przemysłowca, kupca, staje się coraz bardziej pracą. Przygotowanie nowoczesnej wojny jest w wysokim stopniu wysiłkiem ciągłym, systematycznym, przemyślanym, nieraz do najdrobniejszych szczegółów. Olbrzymi aparat pomocniczy nowoczesnej wojny, w tej różnorodności i w tych rozmiarach nieznany starciom dawniejszych pokoleń, zawiera w sobie znaczne zasoby pracy. Pracy wymaga wyszkolenie żołnierza, ułożenie planów mo-

bilizacyjnych, słowem to wszystko, co stanowi przygotowanie nowoczesnej wojny. Jej prowadzenie jest także w wysokim stopniu wysiłkiem, zasługującym na miano pracy.

Wojna stawała się wolniej i później pracą, niż pokojowe zajęcia zarobkowe. Już od dawien dawna zabiegi zawodowe rolnika, przemysłowca, kupca były wysiłkiem ciągłym, niemal codziennym. Wojna przez długie wieki była wyprawą łupieską, podejmowaną w nieperyodycznych odstępach czasu, wymagającą stosunkowo mało przygotowań. Chwilowo bywała wielkim wysiłkiem, ale brakło jej znamion ciągłej systematycznej pracy. Była wyzyskiwaniem cudzej pracy. W tem tkwiła jej racya bytu. Żołnierz-łupiezca narażał życie gwoli łatwego wzbogacenia się. Człowiek unika ciągłego wysiłku, przewidywania na daleką metę. Woli wysiłek chwilowy, choćby znaczny i wielce niebezpieczny, ale obfity w wyniki natychmiastowe. Pociągają go zyski loteryjne, nęcące nadzieją uzyskania znacznych korzyści w zamian za małą stawkę, niemal bez pracy. Wojna dawniej miała w sobie coś z loteryi. Na tem tle narażanie życia staje się zrozumiałe.

Dziś stan rzeczy uległ oczywistej zmianie. Wojna stopniowo powolniej i w mniejszym stopniu, niż zarobki pokojowe, stała się także pracą. Pod tym względem upodobniła się do nich w pewnej mierze. Atoli z tą chwilą straciła znaczną część swej racyi bytu. Człowiek na wojnie dziś zarówno, jak przedtem, naraża swe życie. Dziś musi podejmowanie wojen, ich przygotowanie i prowadzenie okupywać pracą i to znaczną, usilną, systematyczną pracą. Zyski, które człowiek chce sobie zapewnić przez prowadzenie wojen, przestałyby być łatwem, loteryjnem wzbogaceniem się bez pracy. Dziś w wojnie człowiek znajduje mniej zadośćuczynienia żyłce do hazardownej gry, niż dawniej. Także i dlatego, że obecnie wyzyskanie owoców zwycięstwa wymaga również pracy. Coraz trudniej obarczać nią pobitych. Dawniej zwycięstwo polegało na odebraniu ziemi nieprzyjacielowi. Jej poprzedni właściciele stawali się niewolnikami, którzy ją uprawiali nadal, ale na korzyść zwycięscy. Wojna zapewniała żołnierzom zyski, pochodzące z cudzej pracy lub dostępne niemal bez pracy czyli przy małym nakładzie pracy. Zdobywano obszerne ziemie, których naturalne boga-

ctwa były prawie niewyzyskane. Można było z nich czerpać kosztem małych wysiłków.

Tak znamienna dla rozwoju ludzkości ciągła przemiana celów w środki osiągnięcia dalszych celów (przedłużanie łańcucha teleologicznego), stosowanie coraz to doskonalszej techniki znalazło swój wyraz w stawaniu się pracą w coraz to wyższym stopniu przygotowania, prowadzenia i wyzyskania wojen. Wojna przestała być uchyleniem się od ciężkiego jarzma codziennej pracy. Już to samo świadczy dobitnie o zmniejszaniu się zysków wojennych.

IV.

Adam Smith zaliczał wojnę do prac niewytwórczych. Jean Baptiste Say poszedł o krok dalej. Uznał określenie swego mistrza za zbyt pochlebne dla wojen. Nazwał je pracą niszczycielską (un travail destructif). Jeden ze współczesnych ekonomistów, Taussig, profesor uniwersytetu w Stanach Zjednoczonych w obszernym, dwutomowym systemie ekonomii zabiegom złodzieja stanowczo odmawia wytwórczości. Wojna sprawia mu widoczny kłopot; obronnej przyznaje znamiona pracy wytwórczej, odmawia ich — zaczepnej.

Okazuje się z jego wywodów, że także najnowsi ekonomiści powodują się moralnemi rozważaniami. Godziwość wojny ma rozstrzygać o jej wytwórczości. Odmawiają jej niegodziwym wojnom zaczepnym. Inaczej gospodarczo (!) oceniają wojny odporne, które uznają za dopuszczalne. Zgodnie z założeniami, poprzednio ustalonemi, szukać będę w znamionach gospodarczych odpowiedzi na pytanie, czy i o ile wojna jest niewytwórczą w przeciwstawieniu do czynności pokojowych rolnika, przemysłowca i przedstawicieli innych zawodów. Nie będę brał za podstawę moich rozważań ani moralnego ani przyrodniczego pojęcia wytwarzania. Ci, co stanowczo, a bez bliższego uzasadnienia uważają wojnę za pracę niszczycielską, powodują się raczej przyrodniczą niż gospodarczą treścią pojęć, nie zdając sobie sprawy z różnic, które zachodzą między tymi dwoma sposobami pojmowania zjawisk.

Przyrodniczo jedna i ta sama czynność może mieć zupełnie odmienny charakter gospodarczy zależnie od zamiarów, powodu-

jących osobami, które tę czynność uskuteczniają lub zarządzają. Palenie w piecu fabrycznym, za pomocą którego wytapiamy żelazo lub stal z rudy, jest wytwarzaniem. Zapalenie w mieszkaniu dla wygodniejszego spędzenia chwil wypoczynku po całodziennej pracy zawodowej jest konsumcyą. Jest nią każde umniejszenie wartości. Przysparzanie wartości stanowi produkcyę. Słowa: wytwarzanie czyli produkcya i konsumcya czyli spożycie, jedne i drugie są niezbyt szczęśliwie dobrane, bo wywołują wrażenie, że chodzi o wytwarzanie czegoś zupełnie nowego lub unicestwienie. W rzeczywistości człowiek nie może ani stworzyć, ani zniszczyć jakiejkolwiek cząstki materyi. Wytwarzanie i spożycie, jeżeli te słowa odnosimy do zjawisk materyalnych, są jedynie przetwarzaniem materyi. Człowiek pracą swą dostosowywuje otaczający go świat zewnętrzny do swych potrzeb. Zmienia, przetwarza materyę fizycznie i chemicznie, ale niczego ani nie stwarza, ani nie niszczy bez śladu.

Każde wytworzenie nowego dobra materyalnego jest zniszczeniem, a raczej przetworzeniem surowców względnie półfabrykatów na towar wyższej wartości. Fakt, że podczas wojny płoną budynki, narzędzia, nie jest dostateczną podstawą do nazwania wojny pracą niszczycielską, bo wojna jest równocześnie porodem nowych wartości. Chodzi o to, czy i o ile równoważą zniszczone. Nazwanie wojny pracą niewytwórczą czy niszczycielską niczego nie wyjaśnia.

Próbowano odmówić wytwórczości pewnym rodzajom pracy ludzkiej i powodów bardziej ekonomicznych. Przyznawano ją tylko tym, które wzbogacają. Ale kogo? — jednostkę, czy społeczeństwo? Można kwestyonować wytwórczość działalności złodzieja powołaniem się na okoliczność, że właściwie go nie wzbogaca, a zawiera w sobie wielkie niebezpieczeństwo. Gdy go policya wykryje, odbiorą mu jego nieprawy łup, nałożą nań ciężką karę. W innym zawodzie zarobiłby więcej.

Ten sposób pojmowania zjawisk jest teoretycznie oczywiście mało uzasadnionym. Na szczęście dla ludzkości w państwach naszej cywilizacyi policya przeważnie z dobrym skutkiem walczy ze złodziejami, to też przedstawiciele ludności chętnie uchwalają

podatki na jej utrzymanie. Ale zdarza się, że policya nie złapie złodzieja, że złodziej czerpie wcale znaczne dochody ze swej działalności. Prawda, narażony jest ciągle na niebezpieczeństwa. Wisi nad nim miecz Damoklesa. Ale są ludzie, którzy wolą tę loteryę, niż stałą, spokojną pracę. Są do niej niezdolni, z czego oczywiście nie wynika, ażeby im państwo i społeczeństwo pobłażało.

Zazwyczaj ekonomiści, którzy odmawiają wytwórczości pewnym zajęciom na zasadzie, że one nie wzbogacają, mają, na myśli wzbogacanie społeczeństwa. Niestety, w wielu wypadkach nie rozróżniają tych dwóch kwestyi, nie określają wyraźnie swego poglądu. Zwolennicy tego poglądu zazwyczaj nie wdają się w ocenę pytania, czy jednostka się wzbogaciła? Powołują się na brak wzbogacenia się społeczeństwa, a nawet na jego zubożenie. Złodziej zabrał komuś kosztowności, czy pieniądze. Zarobił, ale społeczeństwo nic nie zyskało. Część majątku społecznego przeszła z jednej ręki do drugiej, ale nie przybyło dóbr. Najczęściej ubywa ich. Kradzież była połączoną z włamaniem. Złodziej rozbił szybę w oknie, wyłamał drzwi w żelaznej kasie. Istnienie złodziei zmusza państwo do ponoszenia znacznych wydatków na policyę i sądownictwo. Rozpowszechnienie się kradzieży zniechęciłoby ludzi do normalnej produkcyi. Kradzieże nie tylko nie wzbogacają, ale nawet ubożą społeczeństwo.

Na podstawie podobnego rozumowania ekonomiści odmawiają wytwórczości wojnie. Dobra przechodzą z rąk do rąk, przyczem strony wojujące działają przemocą. Część dóbr bezpowrotnie ginie, społeczeństwo ludzkie jako całość ubożeje. Kupiec stara się tanio zakupić i drogo sprzedać; pośredniczy między producentem i konsumentem, ale działalność jego nie przysparza nowych dóbr społeczeństwu. Obciąża go kosztami równymi jego zyskom. Ci ludzie zarabiają, ale nie bogacą społeczeństwa, ich działalność nie jest wytwórczą.

Ograniczanie ekonomiki do działalności wzbogacających jest wprowadzeniem dążności utylitarnych do naszej nauki. Jest przesunięciem problemów teoretycznych w świat polityki ekonomicznej i techniki. Jest zajęciem stanowiska metodologicznie zbliżonego do wyprowadzania sądów etycznych, które uznałem za niedopu-

szczalne. Nie chodzi już o to, czy pewien czyn jest zły, czy dobry, ale o to, czy jest właściwym sposobem wzbogacenia czy nie?

Nie uważam ekonomiki za naukę o najwłaściwszych sposobach wzbogacania się, jest to bowiem nauką także i o mniej skutecznych sposobach wzbogacania się. Wchodzą w jej zakres wszystkie usiłowania wzbogacenia się, bez względu na racyonalność środków, wybranych do osiągnięcia celu i bez względu na wynik usiłowań. Adam Smith, pisząc w drugiej połowie XVIII wieku dzieło p. t.: „Bogactwo narodów", wychodził z założenia, które przebija się w jego dziele, choć nie jest w niem jasno sformułowane, że zadaniem ekonomiki jest badać raczej bogactwo, niż ubóstwo. Dziś uważamy także i ubóstwo za przedmiot ekonomiki. Nie możemy jej ograniczać do dobrych interesów z wykluczeniem złych, choćby dlatego, że złe zdarzają się w obrębie każdego rodzaju czynności gospodarczych, co prawda w różnej mierze.

Na szczęście, kradzież jest dziś rzadko dobrym interesem. Czy możemy to samo powiedzieć o wojnie? Już na pierwszy rzut oka sprawa nie przedstawia się jasno. Później będę się starał dać odpowiedź na to pytanie. Zajęcia kupca i bankiera przeważnie dają wcale znaczne zyski. Trudno na podstawie właściwości nieistotnych, bo nie zawsze zachodzących, określać pewną grupę zjawisk, obejmującą także zjawiska tej właściwości pozbawionych. Ale choćbyśmy ze względów więcej praktycznych, niż teoretycznych nad tym logicznym zarzutem przeszli do porządku dziennego i uznali za niewytwórcze zajęcia, które przeważnie nie dają odpowiednich korzyści jednostce, to jednak wynik przyjęcia tego założenia byłby nad wyraz skromny. Działalność złodziei przestałaby być wytwórczą, ale nie moglibyśmy na tej podstawie odmówić wytwórczości zabiegom krupierów: Zakłady gry hazardownej dają znaczne zyski.

Przeciwko wytwórczości różnych zajęć podnosi się najczęściej zarzut, że nie bogacą społeczeństwa, a nawet je ubożą. Przypatrzmy się przeciwstawieniu społeczeństwa i jednostki. — Czy istotnie ekonomika zająć się winna w pierwszym rzędzie społeczeństwem, a nie jednostką? Na dnie podobnych rozumowań tkwią zupełnie fałszywe założenia teoretyczno-poznawcze.

Naszą naukę nazywają często — i słusznie — nauką o go-

spodarstwie społecznem. Co to ma znaczyć? W moich oczach jest to przedewszystkiem przypomnieniem, że ekonomika zajmuje się w pierwszym rzędzie gospodarstwem wymiennem, wzajemnem oddziaływaniem na siebie gospodarstw indywidualnych za pośrednictwem wymiany. Gospodarstwo odosobnione jest także gospodarstwem społecznem, ponieważ i w tym wypadku istnieje związek między gospodarką jego poszczególnych uczestników, związek ściślejszy, niż zachodzący między gospodarstwami indywidualnymi, złączonymi wymianą w gospodarstwie odosobnionem, zaciera się odrębność gospodarcza jego uczestników na rzecz całości. Wymiana uwarunkowana jest uszanowaniem odrębności gospodarstw indywidualnych, biorących udział w obrocie wymiennym. Dzięki wymianie ich związek staje się wymiennym. W obrębie gospodarstwa odosobnionego jest ściślejszy, ale mniej uchwytny, skutkiem czego teorya ekonomiki mniej się nim zajmuje. Gdy mowa o gospodarstwie społecznem, mamy na myśli związek społeczny, oparty na wymianie, o ile chodzi o rozumowania teoretyczno-ekonomiczne. Pojęcia: gospodarstwo społeczne i wymienne niemal zlewają się ze sobą.

Już z tego, co powiedziałem, wynika, że pojęcie gospodarstwa społecznego w tem rozumieniu nie zawiera w sobie żadnego podporządkowania gospodarstw indywidualnych. Przeciwnie, mamy tu do czynienia z odrębnością gospodarstw indywidualnych. Gospodarstwo społeczne jest tylko ich wzajemnym stosunkiem, niczem więcej. Nie jest całością wyższego rzędu ponad gospodarstwami indywidualnymi. Jest objawem pochodnym w stosunku do nich. Tak samo „mutatis mutandis“ należy pojmować istotę społeczną gospodarstwa odosobnionego i innych typów gospodarowania. Także i w tych wypadkach, w których związki społeczne ścieśniają, choćby znacznie, swobodę ruchu jednostek, nie należy im przypisywać samodzielnego bytu. Jednostka posiada świadomość swej jaźni. O niczem podobnem niema mowy w odniesieniu do społeczeństwa. Działalność każdego związku społecznego nie może być niczem innem, jeno wzajemnem oddziaływaniem na siebie jego uczestników. Wynikiem ścierania się ich woli. Państwo, czy też każdy inny związek społeczny, polega na podporządkowaniu jednych drugim, po-

niekąd także na podporządkowaniu celom związku, ale przecie te cele nie narodziły się przed poczęciem jednostek. Jednostki je powołały do życia.

Z ogólnych teoretyczno-poznawczych założeń wynika, że nie można wysuwać naprzód społeczeństwa z ujmą dla jednostek. To może być w pewnej mierze wskazane politycznie, etycznie, ale jest logicznie niedopuszczalne w zakresie teoretycznej ekonomiki. Zwalczanie wytwórczości pewnych zajęć dowodzeniem, że nie bogacą społeczeństwa, aczkolwiek mogą być wzbogaceniem jednostek, opiera się na założeniu, że chodzi przedewszystkiem o społeczeństwo, a nie o jednostki. Ta zasada może być wskaźnikiem polityki ekonomicznej, ale nie wystarcza, gdy podejmujemy próby logicznego rozświetlenia zjawisk. Wówczas stosowanie wprost odwrotnej byłoby bardziej uzasadnionem.

Twierdzenie, że pewne zajęcia nie bogacą społeczeństwa, nasuwa metodologiczne wątpliwości. Uważam je także faktycznie za zgodne z rzeczywistością tylko w wielce ograniczonem znaczeniu. Wróćmy do przykładu szczególnie jaskrawego. Złodziej ukradł sto tysięcy franków. Dzięki kradzieży stał się bogatszym; okradziony — o tę samą kwotę uboższym. Rozdział majątku społecznego uległ zmianie. Ogólna wielkość majątku pozostała niezmienioną. To wszystko prawda, ale należy także brać pod uwagę dalsze następstwa. Nie można budować sądu na podstawie chwilowego stanu rzeczy, na podstawie zjawiska, oderwanego od jego skutków. Dalsze następstwa mogą być różne. Policya złodzieja nie złapała. Poprawił się. Sto tysięcy franków, które ukradł staremu sknerze, niedowierzającemu bankom, przechowywującemu swe skarby w ziemnej kryjówce, zużył na postawienie wspaniałej fabryki, zatrudniającej liczną rzeszę urzędników i robotników.

Przeciwstawiano prace niewytwórcze, nie wzbogacające społeczeństwa pracom wytwórczym, które społeczeństwu przysparzają nowych dóbr. Czyż przemysłowiec zawsze wzbogaca społeczeństwo? Czyż nie zdarzają się wypadki niepowodzenia? Z różnych przyczyn fabryki bankrutują. Przepadają kapitały, tracą dochody urzędnicy i robotnicy upadłych fabryk. Zazwyczaj bywa odwrotnie. Złodzieje ubożą społeczeństwo, bo ich działalność zmusza społe-

czeństwo do kosztownej obrony. Przemysłowcy bogacą siebie i ogół, o ile ich działalność jest przeważnie uwieńczona dobrym skutkiem, co na szczęście często się zdarza. O wielu zajęciach trudno orzec, czy bogacą, czy ubożą społeczeństwo. W każdym razie mylne jest mniemanie, jakoby tylko przysparzanie nowych dóbr było istotnem wzbogaceniem społeczeństwa. Także i zarobkowe czynności, nie połączone z wytwarzaniem nowych dóbr, mogą być wzbogaceniem jednostki i społeczeństwa. Również i w ich uskutecznieniu człowiek kieruje się zasadą gospodarności, chęcią osiągnięcia jak największych korzyści stosunkowo jak najmniejszym nakładem.

Wracając raz jeszcze do jaskrawego przykładu, przytoczonego przez Taussiga, spróbujmy dać ostateczną odpowiedź na pytanie: czy czynności złodzieja są pracą wytwórczą? Z pojęciem pracy łączymy wyobrażenie zajęcia godziwego, chwalebnego. Pracę uważamy za zasługę, toteż wzdryga się język przed nazwaniem czynności złodzieja pracą. Są niewątpliwie — gospodarowaniem, bo chodzi o zdobycie środków zaspokojenia potrzeb, o zapewnienie dochodów, o wzbogacenie złodzieja. Ta okoliczność jest rozstrzygającą. W porównaniu z nią podrzędnego znaczenia jest zarobkowość kradzieży, zyskiwanie dochodu, które chyba tylko ubocznie (złodziej, wytwarzający narzędzia kradzieży) łączy się z wytworzeniem nowego dobra. A przecie teorya ekonomiki może pominąć czynności złodzieja nie dlatego, że w ogólnem życiu gospodarczem znaczenie ich jest małe, że najczęściej ubożą społeczeństwo, ale dlatego, że są niewymierne, naukowo mało uchwytne, bo nie zawierające w sobie wymiany.

Wojna jest także gospodarowaniem, zdobywaniem środków zaspokajania potrzeb, wzbogaceniem jednostek, zarobkowaniem. Nie jest wytwarzaniem w znaczeniu ściślejszem, bo nowe dobra, które ludzie wytwarzają w związku z wojną, są stosunkowo małego znaczenia. Chodzi głównie o przejście przemocą już istniejących dóbr z ręki do ręki. I to przejście dóbr z ręki do ręki na równi z wymiennem jest zjawiskiem gospodarczem. Wojna od wymiany różni się mniejszą ekonomiczną wymiernością. Jest niewspółmierna z innemi zjawiskami gospodarczemi. Wszelkie gospodarstwo przymusowe, dobroczynne i odosobnione, jest gospodarczo mało wymierne

w przeciwstawieniu do wymiany. Wojnie nie podobna odmówić wszelkiej wytwórczości (w znaczeniu obszerniejszem) bez popadnięcia w rażącą sprzeczność z rzeczywistością. Dawniejsi ekonomiści podkreślali, że jest tylko zarobkiem, a nie wytwarzaniem. Na tej podstawie nie można wniknąć w jej gospodarczą istotę. Nie można wykazać, że jest mniej wytwórczą, niż wymiana, że jej znaczenie gospodarcze z biegiem czasu maleje. Istnieją czynności wybitnie zarobkowe, które po dziś dzień są wysoce wytwórcze, bo przysparzają dużo nowych wartości ludziom. Do nich nie należy wojna, bo jest gospodarowaniem przymusowem, mało wymiernem. W tych znamionach, a nie w rzekomym braku wytwórczości, należy szukać gospodarczej istoty wojny.

Na tej podstawie można uzasadnić zapatrywanie, że wojna jest zarobkiem w małym stopniu przysparzającym nowych wartości gospodarczych, a zarazem wytłumaczyć, dlaczego wojna jest mniej wytwórczą, niż gospodarstwo wymienne, dlaczego staje się coraz mniej zyskowną.

V.

Krzesło, którego potrzebuję, mogę albo sam zrobić (gospodarstwo odosobnione), albo mogę posługiwać się krzesłem, wykonanem przez kogoś innego. Nabycie cudzych krzeseł dochodzi do skutku różnymi sposobami. Zdarza się, że wytwórca krzeseł daruje je potrzebującemu (gospodarstwo dobroczynne). Częstszym jest wypadek zdobycia krzesła przemocą lub podstępem (wojna). Współczesne gospodarstwo polega przedewszystkiem na wymianie krzesła za towar, którego uzyskanie od potrzebującego krzesła skłania wytwórcę krzesła do jego dobrowolnego odstąpienia.

Mam na myśli wyłącznie dobrowolną wymianę, a więc wypadki oznaczania wzajemnych świadczeń na podstawie umowy, na podstawie zgodnego porozumienia się stron. Oznaczanie wzajemnych świadczeń wyłącznie przez jedną z stron bez względu na wolę drugiej wyklucza wymianę. Jeżeli niewolnik wykona pracę, wyznaczoną mu przez jego pana, który mu równocześnie daje odzież i pożywienie w ilości i jakości, którą on uważa za odpowiednią, wówczas mamy do czynienia ze świadczeniami dwóch stron,

niepozbawionemi pewnego związku, ale nie nazywamy ich wymianą. Wymiana jest wyrazem sądów i pożądań obu stron, z których każda daje pewne świadczenia pod warunkiem otrzymania od drugiej odpowiednich świadczeń. W razie, jeżeli tylko jedna strona oznacza świadczenia cudze i swoje, wówczas są wynikiem sądów i pożądań tylko jednej strony, co zupełnie zmienia postać rzeczy. Wymiana jest wyrazem wartości,którą obie strony przypisują wzajemnym świadczeniom. W razie ich wyznaczenia, nakazanego przez jedną ze stron, stają się objawem wartości, przypisywanej im tylko przez stronę, narzucającą drugiej swą wolę, skutkiem czego zmniejsza się ich znaczenie jako wykładnika życia gospodarczego. Trudno także mówić o prawdziwej wzajemności świadczeń, które są wypływem woli tylko jednej ze stron.

Wymiana dobrowolna, oparta na instytucyi własności, polega na specyalnej odpłatności za wzajemne świadczenia stron. Wymieniane bywają dobra i usługi ilościowo i jakościowo określone. W akcie wymiany jedne stają się miernikiem drugich. O tego rodzaju mierzeniu nie może być mowy, gdy zachodzą wątpliwości w dokładnem oznaczeniu wzajemnych świadczeń. Co właściwie otrzymuje niewolnik za wyznaczoną robotę, trudno przewidzieć, bo pan może mu każdej chwili część jego wynagrodzenia odebrać lub je podwyższyć, może mu pracy przysporzyć lub ująć. W tym stosunku jedna i druga strona daje pewne świadczenia. Można zestawiać ogół świadczeń jednej strony z ogółem świadczeń drugiej strony. Między nimi zachodzi pewna ogólna odpłatność. Inaczej w wypadkach wymiany. Każdy akt wymiany stanowi całość w sobie zamkniętą, czego nie można powiedzieć o świadczeniach, opartych na rozdziale, dokonanym przez jedną ze stron.

Przy sposobności wymiany następuje wycenienie wymienianych dóbr i usług jednych drugiemi. Tworzą się ceny targowe, które są względnie przedmiotowym wykładnikiem wartości dóbr i usług, mierzonej pieniądzem. Zjawiska gospodarcze, sprowadzone do wspólnego mianownika pieniężnego, stają się ilościowo wyrażalne. Jeżeli konia dla celów hodowlanych kupujemy za tysiąc koron, a konie robocze po sto koron, wówczas możemy powiedzieć, że konie hodowlane są w danem miejscu i czasie dziesięć

razy droższe, niż robocze. Ilościowa wyrażalność zjawisk gospodarczych w wysokim stopniu ułatwia ich naukowe zbadanie, przedewszystkiem porównywanie, niezbędne gwoli określenia podobieństw i różnic, zachodzących pomiędzy niemi. Na tej podstawie tworzymy kategorye zjawisk gospodarczych, zestawiamy ich znamiona, dociekamy związków przyczynowych, właściwych zjawiskom gospodarczym. Mierzenie wartości, tkwiące w każdej wymianie, nie jest zupełnie wiernem odbiciem tajników życia gospodarczego. Nie pozwala nam wniknąć tak głęboko w istotę zjawisk, jakbyśmy tego pragnęli. Jest jednak wymierność gospodarstwa wymiennego większa, niż odosobnionego i przymusowego, o czem łatwo przekonać się można, rozpatrując trudności ilościowej oceny zjawisk gospodarczych poza wymianą.

Robinson zrobił sobie stół i krzesło. Czy krzesło, czy stół przedstawia większą wartość? Przypuśćmy, że stół sprawia mu więcej przyjemności, zapewnia mu więcej wygody, skutkiem czego ceni go wyżej, niż krzesło. Ta wyższa ocena jest ilościowo niewyrażalna. Czy nie możnaby porównywać wartości stołu i krzesła na podstawie ilości pracy, zużytej przy sposobności ich wytworzenia lub potrzebnej gwoli ich sporządzenia, w razie gdy zajdzie potrzeba zastąpienia ich nowymi sprzętami po zużyciu dawnych? Robinson pracował dwa dni nad wyciosaniem i obrobieniem stołu. Przez jeden dzień trudził się wyrobem krzesła. Stół jest wart dwa razy tyle, co krzesło.

Dokonywanie rozdziału dóbr między członków społeczeństwa na zasadzie, wedle której każdy za godzinę pracy dostawałby dobra, w ciągu godziny przez jednego człowieka sporządzane, a więc zawierające w sobie godzinę pracy ludzkiej, może być etycznie sprawiedliwe, a więc pożądane — w to nie wchodzę. Ale trudno uważać pracę za odpowiedni miernik wartości, stanowiącej podstawę dotychczasowego gospodarstwa ludzkiego. Bardzo pracowite dzieła bywają mało pożądane i odwrotnie. Praca mogłaby być miernikiem życia gospodarczego, gdyby sama była wielkością znaną. Byłaby nią tylko wtedy, gdyby ludzie cenili dobra wedle pracy, zużytej na ich wytworzenie. Ponieważ gospodarują inaczej, przeto praca nie może nam posłużyć za podstawę do wyjaśnienia

ich gospodarstwa. Innemi słowy: nie wiemy, czem mierzyć pracę. Zachodzą dalsze trudności. Nie wiemy, czem mierzyć ilość wykonanej pracy. Chyba tylko czasem jej trwania. Godzina jednak pracy drugiej godzinie pracy tegoż samego człowieka, a tem bardziej dwóch różnych ludzi nie jest równą. Ten sam człowiek w różnym czasie pracuje z różnem natężeniem. Jednego praca trudzi mniej, drugiego więcej. Praca umysłowa nie jest równa fizycznej. Niema sposobu ilościowego oznaczenia tych różnic.

Także wojna jest gospodarczo w wysokim stopniu niewymierną. Częścią kosztów jest utrata życia wielu ludzi — wielkość w znacznej mierze nieobliczalna. Bardziej wiadome są rozmiary innych strat. Ich przeciwwagą — przyszłe, niepewne zyski.

Mała wymierność gospodarstwa odosobnionego i wojny pozostaje w najściślejszym związku z wielce rozpowszechnionym brakiem specyalnej odpłatności w ich obrębie, co znowu jest w znacznej części wynikiem przymusowego rozdzielania świadczeń.

Wojnę i gospodarstwo odosobnione można pojąć jako części obszerniejszej kategoryi, której znamieniem przymusowość w wytwarzaniu i rozdziale dóbr. Poza wojną i gospodarstwem odosobnionem istnieją także i inne typy przymusowego gospodarowania.

Gospodarka państwowa i całego szeregu podobnych związków społecznych polega na przymusie, na pobieraniu podatków, na monopolach. Przymus jest znamieniem odróżniającem ją od prywatnej gospodarki. Państwo gospodaruje także i w wolnem współzawodnictwie z prywatnymi, ale wówczas nie występuje na jaw odrębność gospodarki państwowej w stosunku do prywatnej. Przymusowem gospodarstwem jest także zakazany przez państwo rabunek. Chodzi tu o objawy dziś praktycznie mniej doniosłe.

Przymusowość gospodarowania wojennego nie wymaga bliższego wyjaśnienia. Inaczej przedstawia się sprawa z przymusowością, jako z istotnem znamieniem gospodarstwa odosobnionego. Zachodzi potrzeba uzasadnienia tego poglądu, ponieważ przymusowość jest w wyższym stopniu znamieniem wojny, niż gospodarstwa odosobnionego. Każda wojna jest conajmniej w pewnej mierze, choć nie wyłącznie, przymusową gospodarką. Nie jest nią każde gospodarstwo odosobnione. Ponieważ jednak najczęściej, a zwła-

szcza w wypadkach, w których chodzi o doniosłe objawy życia gospodarczego, odosobnione gospodarstwo polega na przymusowym rozdziale świadczeń przez władzę, przeto można je uważać z tem zastrzeżeniem za kategoryę gospodarstw przymusowych.

Robinson przed przybyciem Piętaszka gospodarował w zupełnem odosobnieniu od innych ludzi. W praktyce życia spotykamy się z innymi typami gospodarstwa odosobnionego. Związek rodowy, złożony często z kilkudziesięciu osób, złączonych związkami krwi, wspólnymi siłami i na wspólny rachunek członków stara się o zdobycie środków zaspokojenia potrzeb. Naczelnik rodu wyznacza każdemu pracę i udział w wynikach gospodarczych zabiegów całej społeczności. Starodawny zwyczaj bierze za podstawę swych zarządzeń. Nie krępuje się nakazami państwa, bo nie podlega żadnej organizacyi państwowej. Ród jest nietylko zrzeszeniem gospodarczem, ale równocześnie zawiązkiem organizacyi państwowej. Bez pewnego przymusu trudno sobie wyobrazić trwałe gospodarowanie nieco liczniejszych związków ludzkich, nie rozdzielających świadczeń na podstawie ich dobrowolnej wymiany. Dobroczynność mogłaby zastąpić przymus. Niestety, zbyt często zawodzi.

Doszliśmy do wniosku, że wojna i gospodarstwo odosobnione są gospodarowaniem przymusowem i mało wymiernem, czem wybitnie różnią się od gospodarstwa wymiennego. Z biegiem czasu wymiana, przedtem mało rozpowszechniona, stała się podstawową formą gospodarowania. Wielce ograniczyła gospodarcze znaczenie wojny i gospodarstwa odosobnionego. Poznanie przyczyn, które wywołały wypieranie gospodarstwa odosobnionego przez wymianę, ułatwi nam zrozumienie, dlaczego wymiana wzięła górę nad zarobkowaniem wojennem, dlaczego jej rozwój przyczynił się do umniejszenia gospodarczego znaczenia wojen.

VI.

Jeszcze dziś chłop znaczną część ziemniaków, które uprawia, zużywa dla wyżywienia siebie i swej rodziny. Dawniej wytwarzanie na zbyt w zamiarze uzyskania przez wymianę towarów potrzebnych na własny, osobisty użytek było znacznie mniej rozpo-

wszechnione. Niema potrzeby dowodzić, że ongi gospodarstwo odosobnione było regułą, a wymiana rzadkim wyjątkiem. Nie mogło być inaczej. Brakowało kupców, odpowiednich środków przewozu i porozumiewania się. Pieniądz i kredyt nie były znane. Cała organizacya handlowa powstała dopiero z biegiem czasu. Należy wytłómaczyć, dlaczego i jakim sposobem doszło do powstania wymiany.

Adam Smith zbytnio uprościł sobie zadanie twierdzeniem, że ludzie mają naturalną skłonność do wymiany. W rzeczywistości stan rzeczy jest wprost odwrotny. Badanie stosunków pierwotnych wykryło, że ludzie mają raczej odrazę do wymiany, uzasadnioną w przyzwyczajeniu do tradycyą uświęconego, odwiecznego gospodarstwa odosobnionego. Ten sposób odczuwania życia gospodarczego był przez długie wieki powszechnie przyjęty i w literaturze ekonomicznej był podstawą polityki ekonomicznej. Władze publiczne zwalczały wymianę, a zwłaszcza handel. Przejście do gospodarstwa wymiennego wymagało znacznych nakładów. Trzeba było opłacić zyski kupców, stworzyć środki porozumiewania się i przewozu, organizacyę pieniężną i kredytową. Wielkie koszta nie odstraszyły ludzi od przejścia do gospodarstwa wymiennego. Wymiana zwyciężyła odwieczny, głęboko zakorzeniony, popierany przez władze publiczne, uważany za właściwy w mniemaniu ogółu i uczonych zwyczaj wytwarzania na własne potrzeby. Dlaczego?

Jeżeli ludzie, nie szczędząc trudu, przeszli do gospodarstwa wymiennego, to dlatego, że korzyści przeważały straty. Widocznie uznali tę drogę za korzystniejszą. Uważali ją za odpowiedniejszy, za tańszy sposób pomnożenia bogactw, dobrobytu. Wyższość gospodarstwa wymiennego wynika z dwojakich przyczyn. Jedne tkwią w istocie działań ludzkich, złączonych z wymianą; drugie są mniej doniosłe w warunkach naturalnych, wśród których człowiek gospodaruje. Pierwsze obejmują czynniki wprost uzasadnione w istocie, a także zmiany techniczne poniekąd pochodne w stosunku do rozwoju organizacyi wymiennej.

Większa wymierność stanowi jedno z najwybitniejszych znamion wymiany w przeciwstawieniu do gospodarstwa odosobnionego. Życie ludzkie wogóle, a gospodarcze w szczególności ulega

stopniowo racyonalizacyi. Bardziej wyrozumowane gospodarstwo jest niemożliwe bez posługiwania się miernikiem zjawisk gospodarczych. Człowiek stara się coraz bardziej stosować zasadę najmniejszego wysiłku. Nie może tej swej chęci skutecznie zadosyćuczynić, póki mu brak odpowiedniego sposobu porównania nakładu z wynikiem. Póki nim nie rozporządza, waha się z mnożeniem nakładów pracy i kapitałów, bo nie może ocenić ich opłacalności, co stanowi jedną z przyczyn niezadowalających wyników gospodarstwa odosobnionego.

Główną przyczyną jest jego przymusowość. Jednostka ma wielce ograniczoną swobodę rozporządzania pracą i mieniem. Nie pracuje na własny, osobisty rachunek. Jej wysiłek wychodzi przedewszystkiem na korzyść zbiorowości, której jest podporządkowaną; tylko w małym stopniu, raczej pośrednio, na jej własną. Nie odczuwa wprost skutków mniejszego lub większego wysiłku gospodarczego, bo zbiorowość, której podlega, w zamian za korzystanie z jej pracy przypuszcza ją do udziału w ogólnych dochodach, zależnego nie tyle od jej pracy, jak raczej od jej stanowiska, rozstrzygającego o jej pokrzywdzeniu lub uprzywilejowaniu.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa w razie przejścia do ustroju bardziej indywidualistycznego, więcej wolnościowego, umożliwiającego gospodarstwo wymienne. Doświadczenie uczy, że człowiek przeważnie podejmuje większe wysiłki fizyczne i umysłowe tylko wtedy, gdy pracuje na własny rachunek. Rozporządzając swobodnie swą pracą, mogąc tę wolność wykorzystać, ponieważ przysługuje mu prawo własności w dość szerokim zakresie, człowiek wie, że owoce większego wysiłku przypadną w udziale w pierwszym rzędzie jemu i jego dzieciom, wie,że w razie małej zapobiegliwości skutki ciężko odczują on i jego rodzina. Człowiek działa wówczas pod wpływem uczucia zupełnej odpowiedzialności za swe losy. Dopiero wówczas: „Suae quisque faber fortunae".

Dalszą podnietą do wysiłku jest wolne współzawodnictwo, ściśle związane z ustrojem bardziej indywidualistycznym i z upowszechnieniem się gospodarstwa wymiennego. Obawa utraty zbytu w razie, gdyby współzawodnik zdołał taniej ten sam towar sprzedawać na targu, zapobiega szczędzeniu wysiłków.

Wymiana sprzyja podziałowi pracy, zwiększającemu wytwórczość ludzką. W gospodarstwie odosobnionem trudniej przeprowadzić podział pracy, ponieważ obejmuje zbyt szczupłe grono osób. Podział pracy w gospodarstwie odosobnionem, o ile się da przeprowadzić, jest mało skuteczny, ponieważ brak dostatecznej chęci wykorzystania tej sposobności zwiększenia wysiłków.

Siła gospodarstwa wymiennego tkwi w znacznej mierze w jego łączności z udoskonaleniem techniki. Sprzyja rozwojowi wynalazczości i stosowaniu wynalazków. Ułatwia wprowadzenie udoskonaleń technicznych. Wytwarzanie staje się tańszem, przez co utrwala się wyższość wymiennej organizacyi gospodarczej, złączonej z potanieniem środków zaspokajania potrzeb, ze zbogaceniem społeczeństwa.

Między przejściem do gospodarstwa wymiennego, a rozwojem techniki, istnieje wzajemna współzależność. Ułatwienia w wytwarzaniu towarów równoznaczne są z możnością wytwarzania ich w znaczniejszej ilości, przerastającej zapotrzebowanie gospodarstwa odosobnionego. Ten stan rzeczy nasuwa myśl wykorzystania owej możności przez wymianę zbędnych towarów. Z drugiej strony wymiana sprzyja postępowi technicznemu, albowiem stanowi zachętę do wysiłków gospodarczych. Człowiek w nadziei wykorzystania owoców swej pracy pracuje nietylko usilniej, ale także i lepiej. Wkłada w pracę więcej pomysłowości. W ciasnych granicach gospodarstwa odosobnionego przeważnie zbyt mało zarabia za wysiłek umysłowy w niej zawarty. Silniejsze współzawodnictwo, znamionujące bardziej wolnościowy ustrój gospodarczy, poniekąd zmusza ludzi do wytwarzania technicznie coraz lepiej, coraz taniej. Podział pracy zarówno zawodowy, jak techniczny rozpowszechniający się równolegle i we wzajemnej współzależności z wymianą, sprzyja postępowi technicznemu. Człowiek, ograniczający się li tylko do wytwarzania towarów pewnego rodzaju, lepiej ogarnia, głębiej wnika w tajniki ich wyrobu, niż człowiek mający do czynienia z wielością towarów. Dzięki tej okoliczności może łatwiej wprowadzać udoskonalenia techniczne.

Podobne skutki wywołuje podział pracy techniczny. W razie rozkładania wyrobu danego towaru na części, na ruchy możliwie

najprostsze, powierzane robotnikowi, który innej części towaru nie robi (np. czeladnik szewski, który robi wyłącznie cholewki), nasuwa się łatwo myśl wykonania maszynowego tej częściowej roboty, polegającej na ruchach prostych, w wysokim stopniu się nadających do wykonania maszynowego. Polega ono często na tem, że poszczególne części towaru (np. trzewika) wykonują ludzie z pomocą narzędzi, a potem ręcznie łączą części w całość.

Przejście do gospodarstwa bardziej wymiennego łączy się z przejściem do bardziej kapitalistycznej gospodarki. Ludzie od dawien dawna rozporządzali pewnym zasobem kapitałów, ale brakowało im zwłaszcza kapitału rzeczowego, stałego w formie narzędzi i maszyn, a także kapitału pieniężnego. Dopiero w nowszych czasach zdołali zaopatrzyć się w znaczniejszy zasób narzędzi i maszyn oraz pieniędzy dzięki oszczędnościom, które mogli poczynić, posługując się bardziej wytwórczem gospodarstwem wymiennem. Póki gospodarowali w odosobnieniu, nie byli w stanie postarać się o znaczniejsze zasoby kapitału.

Wymiana ułatwia wyzyskanie bogactw, przez przyrodę nierówno rozmieszczonych na kuli ziemskiej. Gospodarstwo odosobnione może wykorzystać jedynie kawałek ziemi, który doń przynależy. Może użytkować z nadmiaru zwierzyny w lesie sąsiedniego plemienia drogą wymiany. Ale gdy wymiana nie dojdzie do skutku z tej, czy owej przyczyny, gdy w jego własnym lesie zwierzyny niema, wówczas musi się jej wyrzec.

Dzięki przejściu do gospodarstwa wymiennego, człowiek pracuje chętniej i umiejętniej, praca staje się bardziej wytwórczą. Ale dlaczego człowiek przestał zadowalniać się i skromnymi wynikami gospodarstwa odosobnionego? Istnieje ścisła wzajemna współzależność między wzrostem ludności a przejściem do gospodarki bardziej wytwórczej czyli lepiej wynagradzającej nakład pracy. W miarę wzrostu ludności zachodzi konieczność coraz umiejętniejszego wyzyskiwania darów przyrody, wyczerpujących się snadnie, jeżeli człowiek nie stosuje wobec przyrody coraz to lepszej organizacyi gospodarczej i techniki [1]). Trudno sobie pomyśleć

[1] Por. Adam Krzyżanowski: Teorya Malthusa ze szczególnem uwzględnieniem jej stosunku do prawa zmniejszającego się przychodu z ziemi. Kraków. 1908.

wzrost ludności bez udogodnień, zawartych w wymianie. Znaczniejszy i trwały wzrost ludności mógłby dojść do skutku na zasadzie nieudoskonalonej gospodarki tylko wtedy, gdyby ludzie ograniczali się coraz bardziej w zaspokajaniu swych potrzeb. — W rzeczywistości ludy cywilizacyi zachodnio-europejskiej chciały żyć coraz dostatniej — jeden powód więcej przejścia do gospodarki bardziej wytwórczej — z drugiej strony gospodarstwo wymienne, zdolne wyżywić większą liczbę ludzi, ułatwiało rozrost ludności.

Plato, podobnie jak Ad. Smith, nie kładł nacisku na okres gospodarstwa odosobnionego, poprzedzający wymianę. Rozwój wypadków tłumaczył z natury odmiennem uzdolnieniem ludzi, które dało początek zawodowemu podziałowi pracy, a w dalszym ciągu wymianie towarów, wytworzonych ponad własne zapotrzebowanie. Twierdzenie o naturalnej skłonności ludzi do podziału pracy jest równie niezgodne z rzeczywistością, jak przypisywanie im naturalnej skłonności do wymiany. Poglądy powyżej przedstawione zadowalniają się wzięciem za podstawę rozwoju wypadków wrodzonego popędu do rozradzania się, który sprzyja wymianie, przyczyniającej się do wykształcenia najpierw zawodowego, a potem technicznego podziału pracy.

Głównym współczynnikiem przewagi gospodarstwa wymiennego jest jego podłoże bardziej indywidualistyczne, właściwa mu większa swoboda działania jednostek w przeciwstawieniu do przymusowości gospodarstwa odosobnionego. Dzieje zniesienia niewolnictwa i pokrewnego mu poddaństwa są również stwierdzeniem bezpłodności przymusu w życiu gospodarczem. Niewolnictwo, a później poddaństwo chłopów zostało zniesione z chwilą, gdy zwyciężyło przekonanie, że przejście do organizacyi gospodarczej bardziej wytwórczej nie da się uskutecznić bez usunięcia niewoli i poddaństwa. Praca niewolnika i poddanego wypadała zbyt drogo w stosunku do jej wyników. Wysoka płaca wolnego robotnika zapewniała większy dochód przedsiębiorcy, bo wolny robotnik pracował daleko więcej. Z chwilą ostatecznego stwierdzenia tego stanu rzeczy niewolnictwo, względnie poddaństwo, straciło gospodarczą racyę bytu. Nabywanie pracy, podobnie, jak poprzednio towarów,

stało się przedmiotem swobodnego obrotu wymiennego. Przestało być nabywaniem przymusowem. Przymus został zwyciężony przez zracyonalizowanie organizacyi gospodarczej i techniki.

Gdyby smyczek sam wygrywał melodye na skrzypcach, gdyby czółenka tkackie same tkały, wówczas panowie mogliby się obejść bez niewolników [1]). Aristoteles chciał powiedzieć, że niewolnictwo będzie tak długo trwało na kuli ziemskiej, póki rodzaj ludzki nie wymrze. Człowiek nie wynajdzie czółenek tkackich, któreby się poruszały bez udziału ręki ludzkiej, któreby same przędzę przerabiały na tkaninę; nie potrafi obejść się bez pracy niewolnika. Zawsze znajdą się tacy, którzy zechcą i potrafią przerzucić ten ciężki trud na barki niewolnika. Jeśli Aristoteles przypuszczał „per maxime inconcessum“ zniesienie niewolnictwa, to zapewne wyobrażał je sobie jako ogólne zubożenie gospodarcze, moralne i naukowe, jako zubożenie tych nielicznych bogaczy, którzy dzięki niewolnictwu mogli poświęcać swój wolny czas rozwojowi kultury, filozofii, działalności politycznej, bez równoczesnego wzbogacenia niewolników obdarzonych wolnością, a niezdolnych do jej zużytkowania.

Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że przewidywania Aristotelesa nie ziściły się. Człowiek nie wynalazł całkiem automatycznych czółenek tkackich. „Perpetuum mobile“ pozostało marzeniem mistyków. Wbrew Aristotelesowi niewolnictwo przestało istnieć. Jego zniesienie nie zubożyło ludzkości. Przeciwnie — zbogaciło ją. Jeżeli nie będziemy zbyt dosłownie tłumaczyli myśli Aristotelesa, jeżeli podejmiemy próbę głębszego wniknięcia w jej istotę, zrozumiemy, że wypadki nie zadały kłamu przewidywaniom Aristotelesa. Raczej je potwierdziły.

Czółenka tkackie dziś same wprawdzie nie krążą, ale człowiek tylko pośrednio je porusza. Działają pod wpływem olbrzymich, potężnych maszyn. Człowiek coraz bardziej ogranicza się do wprawiania w ruch, do nadzorowania, do zastanawiania maszyn w danej chwili. Obliczono, że przeciętnie każdy Anglik, dzięki maszynom, rozporządza siłami równymi zdolności do pracy fizycznej kilku ludzi. Gdyby człowiek nie umiał dokonywać wielu

[1]) Pol. I rozdz. II § 5.

ciężkich prac maszynami, gdyby dzięki posługiwaniu się „żelaznymi niewolnikami“ wytwórczość jego pracy nie była znacznie wzrosła, wątpićby należało w możliwość zniesienia niewolnictwa. Nizki stan techniki za Aristotelesa utrudniał zniesienie niewolnictwa, później jej rozwój znacznie je ułatwił.

Błąd w rozumowaniu Aristotelesa, po dziś dzień ciągle się powtarzający, polegał na przewidywaniu przyszłości, posługującej się mniej więcej nie zmienioną techniką. Istnienie niewoli było jedną z przyczyn lekceważenia techniki i niewiary w postęp techniczny. Ludzie wolni chętnie wyręczali się niewolnikami w zabiegach gospodarczych, uważanych za zajęcie mniej godne człowieka wolnego. Nie lubieli myśleć o technice. W ten sposób niewola obniżyła wytwórczość gospodarczą ludzi wolnych.

Upowszechnianie się wymiany podkopuje przymus w życiu gospodarczem, złączony z odosobnionem gospodarstwem, a nadto przymus, przejawiający się w stosowaniu wszelkiej pracy niewolnej, a więc także używanej dla wytwarzania towarów w zamiarach sprzedaży na targu. Gospodarstwo odosobnione i oparte na niewoli okazało się organizacyą, w granicach której postęp gospodarczy, polegający na zwiększaniu się wytwórczości pracy ludzkiej, nie znalazł warunków sprzyjających jego rozwojowi. Znalazł się w obrębie gospodarstwa wymiennego, skutkiem czego ludzkość coraz chętniej posługuje się tą organizacyą, w danych warunkach jedynie zdolną zadośćuczynić wzrastającym potrzebom coraz gęstszej ludności.

Wobec rozwoju wymiennej organizacyi gospodarczej stają się czynnikami drugorzędnymi nietylko gospodarstwo odosobnione i oparte na niewoli, ale także z tych samych przyczyn zarobkowanie drogą walk i wojen.

(Dok. nastąpi).

Dr. Adam Krzyżanowski.

Jak Rzym zdobył świat?

W kilka tygodni po wybuchu wojny światowej spotkałem się z jednym z najspokojniejszych naszych historyków. Rozmowa nasza wybiegła w pytanie, które mię wtedy najbardziej interesowało dlatego, że oderwany przez służbę wojskową od pracy zawodowej chciałem sobie zdać sprawę, kiedy mniej więcej będę mógł do niej powrócić. Pytanie brzmiało: Jak to długo może potrwać? Historyk zwrócił mi uwagę na ogłoszone wtedy właśnie odezwanie się któregoś z brytyjskich ministrów, że Anglicy zaczną wojnę dopiero w lecie r. 1915 i dodał, że tego rodzaju pożar musi wypalić cały nagromadzony materyał nie tylko stron wówczas już wojujących, ale i wszystkich wtedy jeszcze neutralnych; wtedy dopiero na tle dogasającej łuny zabłyśnie jutrzenka pokoju. Podniosłem popularne na początku wojny zarzuty, ukute przez pacyfistów, spopularyzowane przez Blocha, o granicach wytrzymałości ekonomicznej i finansowej, o zbyt niszczącem działaniu nowoczesnej techniki wojennej i t. d. Historyk nie bawił się w ich zbijanie, tylko mię zapytał, czy pamiętam dzieje wojen punickich? Wszelkie analogie wprawdzie chromają, bo historya nigdy się w zupełności nie powtarza, a to, co z daleka wydawało się podobnem, ukazuje zasadnicze różnice przy bliższem rozpatrzeniu, ale owe dzieje starożytnej walki o panowanie nad światem zawierają przecież niejedną naukę... Musiałem wtedy pożegnać interlokutora. Przebieg wypadków usprawiedliwił niejedno z jego przewidywań z początku wojny. Więc kiedy mi wpadła w rękę książeczka J. Kromayera

p. t.: „Roms Kampf um die Weltherrschaft“ (Teubner, 1912), przypomniałem sobie radę z przed półtrzecia roku; książeczkę zekscerpowałem, a zachęcony przez Redakcyę „Przeglądu powszechnego“ do przedstawienia jej wywodów, czynię to niniejszem.

Dokonany w przeciągu półtrzecia wieku (od zjednoczenia Italii w r. 241) podbój świata przez Rzymian nastręcza trzy intrygujące zagadki: Jak Italia mogła w tym czasie przywłaszczyć sobie obszar przynajmniej dziesięć razy tak wielki, jak jej własna przestrzeń? Jak mogła tak łatwo rzucić o ziemię i trwale utrzymać państwa hellenistyczne, które przez podbicie Wschodu dały przecież dowód swej tężyzny wojskowej, a także cywilizacyą i inteligencyą znacznie przewyższały Rzymian? Jak wreszcie ten podbój świata był możliwy wobec notorycznego braku jakiegoś Aleksandra W., Cezara czy Napoleona, jakiegoś potężnego, twórczego geniusza? Odpowiedź na te pytania daje rozpatrzenie sił, które stopniowo w toku walk objawiły się po obu stronach walczących.

Uprzytomniając sobie obraz sytuacyi nad morzem Śródziemnem w połowie wieku trzeciego, widzimy, że kulturalnie pierwsze miejsce zajmuje wschodnia część kotliny tego morza, gdzie na podłożu starych cywilizacyi wschodnich, jak egipska, syryjska, małoazyatycka bujnie rozkwitła kultura hellenistyczna, jedyna podówczas kultura — powiedzielibyśmy — europejska czy światowa. Z tą kulturalną jednolitością świata wschodniego nie idzie w parze jednolitość polityczna. Trzy główne państwa następców Aleksandra W., dyadochów, tj. Egipt, Syrya i Macedonia tworzą stale wrogie sobie obozy. A że żadne z nich nie miało dość siły do zupełnego pokonania przeciwnika, wytworzył się powoli system równowagi, przy którym już żadne z państw nie myślało o zniszczeniu egzystencyi drugiego, tylko o ochronie własnej — z pomocą licznych państw drugorzędnych, jak Pergamon, Bitynia, Pont, liczne republiki i związki miast w Grecyi i Azyi Mniejszej. Te państwa drugorzędne drżały jeszcze bardziej o swoją egzytencyę, niż tamte mocarstwa i dlatego w razie chwilowego wzmożenia się któregokolwiek ze sąsiadów, oddawały wszystkie swe siły do dyspozycyi jego każdorazowych przeciwników. Wobec takiej sprzeczności interesów Wschód wiązał nawzajem swe siły i znosił

je, a przez to nie mógł się zdobyć na żadną akcyę zbiorową. Silny i politycznie zręczny zdobywca z zewnątrz mógł tu zawsze mieć poważną część Wschodu po swojej stronie i z jej pomocą zwalczyć resztę.

Druga przyczyna słabości państw hellenistycznych leżała w ich ustroju wewnętrznym. Były to monarchie zdobywców, którzy z pomocą niezbyt licznej kasty przywiedzionych ze sobą wojowników i urzędników utrzymywali w ryzach obce pochodzeniem i językiem masy poddanych, nie mających żadnego interesu w utrzymaniu państwa. To też odporna siła tych wspaniałych państw hellenistycznych stała na własnych nogach. W razie zniszczenia jednej armii polowej, którą każde z tych państw rozporządzało, egzystencya jego była zakwestyonowana. Dla państwa, zbudowanego na podstawie zbrojnego narodu, podbicie hellenistycznego Wschodu nie przedstawiało więc poważniejszych trudności. Wprawdzie Macedonia była na pozór państwem narodowym, ale siła jej ludności wyczerpała się w ekspansyi Aleksandra W. i jego następców na Wschód, a pod jej bokiem czyhały republiki i związki greckie na każdego przybysza, z którymby się mogły połączyć przeciw Macedończykom.

Choć jednak cały grecki Wschód przez swoją słabość i brak jedności formalnie zapraszał sąsiada do wmieszania się w jego sprawy na swoją korzyść i do zdobyczy, to zachodzi pytanie, czy Rzymianie czuli w sobie jaki pęd na Wschód, czy chcieli wyzyskać stosunki wschodnie do ugruntowania tam swego trwałego panowania? Bo państwo z tak dobremi granicami naturalnemi, jak Italia, n i e m u s i a ł o garnąć się poza nie, zwłaszcza, że proces zlatynizowania Italii był jeszcze bardzo daleki końca. Nawet Italikowie, mówiący po łacinie, nie mieli jeszcze pełnych praw obywatelskich tak, że właściwie obywatele jednej gminy miejskiej, „cives Romani“ byli panami wobec przeważnej liczby poddanych. Powiększanie tej liczby w nieskończoność kryło w sobie zarody poważnych niebezpieczeństw, a otwarcie terytoryów immigracyjnych dla Italików mogło tak wyczerpać Italię, jak przedtem Macedonię i Grecyę. Jeśli mimo tych skrupułów Rzym zdecydował się na eks-

pansyę ku Wschodowi, to rozstrzygnęły o tem przedewszystkiem momenty gospodarcze i kulturalne.

Italia była wtedy w porównaniu z Grecyą krajem biednym, gospodarczo i kulturalnie zacofanym. Najpewniejszą miarą nizkiego stanu kultury w krajach starożytnych jest obfitość lasów. Otóż w Italii lasy zajmowały wtedy znacznie większą przestrzeń, niż role i pastwiska, sięgały prawie bram Rzymu. Roślin kulturalnych jak wiśnia, śliwa, morela, brzoskwinia, migdał, konopie, jeszcze tam nie znano. Orkisz i pszenica, jabłko i gruszka, rzepa i ogórek, wreszcie wino i oliwa dostarczały skromnych ingredyencyi do uczt obywateli, mieszkających w skromnych domach chłopskich, gdzie atrium było zarazem salonem i mieszkaniem, jadalnią i kuchnią. Nie mniejsza, a raczej jeszcze większa przepaść dzieliła Rzymian od Greków na polu kultury duchowej: Tu pół tysiąca lat eposu, tragedyi, komedyi, całej literatury pięknej i naukowej, filozofia i sztuka najwyższa. Tam prawie nic, a raczej pierwsze próby tłumaczeń i przeróbek. Ta przepaść kulturalna objaśnia nam pęd Rzymian ku Wschodowi. Ta siła, co niegdyś Persów ściągnęła do Babilonu, potem Gallów do Grecyi i Azyi Mniejszej, Germanów do państwa rzymskiego; ta siła, która nieraz szczepy aryjskie pchała w niezrozumianym czasem pędzie do ognisk wyższej cywilizacyi i bardziej „pańskiego“ życia, ta sama siła kazała Rzymianom pchać się do pięknych mieszkań i strojów, do smacznych uczt i wykwintnych sztuk, do bogactw i światła Wschodu. Działanie tej siły sprawiło, że do pokierowania nią nie potrzeba było genialnych jednostek; każdy, co czuł to samo, co wszyscy inni, nadawał się na przywódcę. Stąd ta ciągłość w ekspansywnej polityce Rzymian, mimo braku wielkich polityków i wodzów.

Poznawszy w ten sposób stosunek Rzymian do Wschodu, rzucimy okiem w inne strony świata. Otóż Italia północna, główne źródło sił i inteligencyi dzisiejszych Włoch, była siedzibą wolnych plemion gallickich, które jeszcze w r. 225 przedsięwzięły wielką wyprawę łupieską na południe, przypominając dawną klęskę nad Allią i zburzenie Rzymu. Tylko z największem wytężeniem sił udało się Rzymianom opanować i wytępić najezdników, ale podbój równiny nad Padem, konieczny dla zabezpieczenia półwyspu,

nie wyszedł jeszcze poza stadyum początkowe. Niebezpieczniejszy, niż nieujęte w dyscyplinę hordy Gallów, był inny nieprzyjaciel, który do niedawna panował nad większą częścią zachodniej kotliny morza Śródziemnego, a choć po 23-letniej wyczerpującej obie strony wojnie stracił na rzecz Rzymian Sycylię i Sardynię, to przecież w krótkim czasie zbudował w Hiszpanii nowe państwo... Tym nieprzyjacielem była Kartagina. Wódz jej, Hamilkar Barkas, wiedział, że z wojowniczych szczepów hiszpańskich będzie można utworzyć najemne wojsko zawodowe, opłacane z bogatych kopalni srebra tego państwa, które od stolicy Carthago nova (dziś Cartagena) otrzymało swą nazwę. Z chwilą, gdy plan Hamilkara oblekł się w ciało, istniała na tyłach Rzymian absolutna przeszkoda dla ich ekspansyi nie tylko na Zachód, ale i na Wschód. Usunięcie tej przeszkody zabezpieczało im nietylko tyły, ale otwierało drogę do panowania nad światem tem bardziej, że zwycięzenie takiego nieprzyjaciela podnosiło świadomość zwycięskiego narodu i gruntowało jego stanowczą przewagę nad resztą Italików. Te wszystkie owoce wydała tak zwana druga wojna punicka, czyli wojna z Hannibabem (218—201), wojna, stanowiąca punkt zwrotny w dziejach Rzymu i krajów śródziemnomorskich.

Zewnętrzny jej przebieg zbyt jest znany, by go tu trzeba było przypominać. Ticinus, Trebia, jezioro trazumeńskie, Kanny, to groby armii rzymskich, pomniki tryumfu Hannibala. Te klęski Rzymian zarówno są niezrozumiałe, jak postępowanie Hannibala po Kannach. Zwycięzca nie może zrobić już ani kroku naprzód, musi ustępywać coraz dalej na południe, a wreszcie odpłynąć do Afryki. Nie oręż rzymski złamał jego geniusz wojskowy, ale charakter narodu rzymskiego, ten charakter, który wolał ponosić największe ofiary, niż nawet w chwili największych klęsk przyjąć kompromis, kwestyonujący mocarstwowe stanowisko Rzymu.

To zmaganie się charakteru narodu z geniuszem wojennym przeciwnika, występuje wyraźnie na tle obrazu obustronnych sił materyalnych i duchowych. O materyale ludzkim, jakim wtedy rozporządzali Rzymianie, mamy dokładne liczby u Polybiusza. Samych sprzymierzeńców italskich w wieku wojskowym (do 46 roku życia) było przeszło 400.000, obywateli rzymskich w tym samym

wieku około 200.000. Z tego rezerwoaru można było wystawiać przez dłuższy czas armie, które w ówczesnych stosunkach liczyły po 20—40.000 ludzi. Hannibal na początku wojny zostawił w Hiszpanii 26.000 rezerw, w Afryce 20.000, a sam z 59.000 rozpoczął marsz przez Pireneje i Alpy do Italii. Na równinie italskiej stanął ostatecznie z 26.000, co odpowiadało zwykłej konsularnej armii o dwu legionach. Rzymianie, jak się w tej wojnie pokazało, mogli wystawić naraz 25 legionów. Czy więc przedsięwzięcie Hannibala nie było szalone? Byłoby takiem, gdyby Hannibal nie mógł był liczyć na pomoc północno-italskich Gallów i tych szczepów italskich, które z powodu upośledzenia prawnego gotowe były połączyć się z każdym wrogiem Rzymu, ofiarującym im lepsze położenie polityczne. Jedyna słaba strona tej kombinacyi leżała w tem, że rozbójnicze hordy gallickie, wcielone zaraz u podnóża Alp do armii Hannibala, odstręczały wszystkich „noszących togę" Italików od dziedzicznych wrogów „w spodniach". Ale ta słabość nie pokazała się odrazu. Próba przeniesienia wojny do Italii Hannibalowi się udała, a ofenzywa jego zawodowego wojska przeciw legionowemu pospolitemu ruszeniu rzymskiemu odnosiła jeden sukces po drugim. Sukcesom towarzyszyło straszne spustoszenie kolonii rzymskich i rewoltowanie kraju przeciw Rzymianom.

Czy Hannibal miał zamiar zniszczyć państwo rzymskie? Bynajmniej. Wiemy, że u szczytu powodzeń, po bitwie pod Kannami wyprawił do Rzymu Karthalona z propozycyą niezbyt bolesnego dla Rzymian pokoju: Odstąpienie Kartagińczykom Sardynii i zachodniej Sycylii i usamodzielnienie południowej Italii, to były warunki kartagińskie, zmierzające do ustalenia równowagi na morzu Śródziemnem, ale nie do zniszczenia Rzymu. Zawarty wnet po Kannach układ Hannibala z królem macedońskim, Filipem bierze za podstawę przyszłą przyjaźń między Rzymem i Kartaginą i na niej reguluje stosunki innych państw. Wiedząc o tych celach politycznych Hannibala, tem bardziej musimy podziwiać wielkość charakteru Rzymian, którzy nie chcieli pertraktować z Hannibalem, dopóki przebywał w Italii i dopóki na własnej ziemi nie został pokonany.

W toku walk, które zwycięskiego Hannibala zaprowadziły aż

do południowej Italii, Rzymianie zdobyli się w r. 216 na 80.000 armię, by przewagą mas zgnieść przeciwnika w otwartem polu. Gdy jednak i ta próba rozbiła się o przewagę nieprzyjacielskiej kawaleryi i geniusz taktyczny Hannibala pod Kannami, zdecydowali się unikać dalszych walk w otwartem polu i prowadzić wojnę wyłącznie defenzywną, a zarazem nużącą i wyczerpującą przeciwnika. Twórcą tego rodzaju wojowania był dyktator Q. Fabius Maximus, zwany od swej metody Zwlekaczem (Cunctator). Ale, czy można było ten system narzucić przeciwnikowi, dążącemu za wszelką cenę do rozstrzygnięcia w polu? W starożytnej taktyce możliwość ta istniała. Gdy Rzymianie wybrali takie stanowisko obronne, które uniemożliwiało Hannibalowi użycie konnicy i odbierało szanse oskrzydlenia czy otoczenia przeciwnika, wódz kartagiński, liczebnie słabszy, nie mógł się kusić o rozstrzygnięcie, któreby nawet w razie zwycięstwa taktycznego za dużo ofiar go kosztowało. Nie pozostawało więc Hannibalowi nic innego, jak pozostawienie przeciwnika na jego stanowisku i zwracanie się w inne strony, by pustoszyć kraj, zdobywać miasta. Ale na zdobywanie miast silniej ufortyfikowanych nie pozwalał mu brak maszyn oblężniczych i wojsk technicznych. Dlatego też nie kusił się po Kannach choćby tylko o zagrożenie Rzymu. A pustoszenie kraju byłoby wyniszczało tę podstawę operacyjną, której szukał przecież w południowej Italii, skąd dostawał prowiant i rekruta. Posiadłości więc oddanych sobie szczepów nie tylko nie mógł niszczyć, ale przeciwnie musiał je osłaniać przed zniszczeniem ze strony Rzymian. Ci jedną armią utrzymywali w szachu główną siłę Hannibala, nie wdając się z nią w bitwę, a drugą nawet i trzecią wysyłali na pustoszenie krain, Hannibalowi oddanych. Gdy on zawczasu nie przyszedł z pomocą, powaga jego coraz bardziej malała. Hannibal wszędzie spieszy, występuje raz przeciw tej, drugi raz przeciw tamtej armii rzymskiej, zasłania lub ratuje zagrożone miejscowości i w tych ciągłych marszach i wytężeniach niszczy swą armię, nie zdoławszy jej już użyć do nowego ciosu, do nowych Kann. W miarę zaś słabnięcia jego sił, w tej ciągle powtarzanej pracy Syzyfa, wzrasta nieufność u jego italskich sprzymierzeńców tak, że część sił musi poświęcić na strzeżenie ich wier-

ności. Mimo to wielu wraca do Rzymian, którzy korzystając z pobytu Hannibala w Tarencie, otoczyli i zdobyli Kapuę, a przez to odzyskali całą Kampanię. Demonstracya przeciw Rzymowi była bezskuteczna. Hannibal nie umiał tego, co umieli Rzymianie: zdobywania miast.

Gdyby Hannibalowi się było udało wziąć skądś drugą armię, którąby pod dobrym wodzem mogła operować na innym niż on terenie, szanse jego powodzenia wobec taktyki Rzymian byłyby wzrosły. Zdawało się, że tę armię dostanie od brata swego Hazdrubala, który z Hiszpanii dotarł był już do Sena Gallica. Ale tu nad rzeką Metaurus spotkała go klęska i śmierć. Hannibal cofa się coraz dalej na południe, aż do Bruttium i tu czeka w dobrej pozycyi na ostatni atak Rzymian — napróżno.

Tak po więcej niż dziesięcioletniem zmaganiu się Rzymianie bez bitwy „wymanewrowali“ Hannibala z Italii. Czego nie dokonało zmobilizowanie mas pod Kannami, to osiągły te same masy, rozłożone na kilka armii, które przez lat dziesiątek nużyły i wyczerpywały Hannibala, aż go bez walki zniszczyły. Ta strategia możliwa była tylko w społeczeństwie, które w każdej przegranej widziało tylko przymus do większego wytężenia sił, w każdej ofierze z majątku i życia zadatek przyszłego, choćby dalekiego jeszcze zwycięstwa; w społeczeństwie, które nie tylko rozumiało i wykonywało plany swych kierowników, ale samo niejako je z siebie wydawało. Heroiczna abnegacya całego narodu rzymskiego zwyciężyła genialną strategię i taktykę Hannibala.

Równocześnie z wyczerpywaniem Hannibala w Italii przygotowali sobie Rzymianie pomost do Afryki przez zdobycie Syrakuz i podbicie Sycylii w r. 212, a źródło sił kartagińskich w Hiszpanii podwiązali w r. 210 przez opanowanie Nowej Kartaginy. Tu wyćwiczył sobie młody Scypio ową armię, z którą potem przeprawił się do Afryki, gdzie wśród nieprzyjaciół Kartagińczyków znalazł także kawaleryę, dorosłą Hannibalowej. Zwycięstwo Scypiona pod Zamą przypieczętowało los Kartaginy.

Mając teraz zabezpieczone tyły i flankę w zachodniej części morza Śródziemnego, rozporządzając najlepszą na świecie armią, mogli Rzymianie pofolgować swemu instyktownemu pędowi na

Wschód i przy pomocy łatwych do pozyskania sprzymierzeńców podbić stopniowo Macedonię, Syryę, Grecyę, Azyę Mniejszą i wreszcie zagarnąć Egipt. Za czasów Augusta byli Rzymianie panami świata i pozostali nimi tak długo, jak długo mogli utrzymać odpowiednią armię, choćby najemną. To, co dawniej opowiadano o wędrówkach ludów, zalewających państwo rzymskie, okazało się przy trzeźwem badaniu przesadą. Owe „ludy" germańskie, przybywające do prowincyi państwa rzymskiego i do samej Italii, to były kilkunastotysięczne bandy awanturników, które potrafiły zakładać nawet państwa w bezbronnych prowincyach, ale nie potrafiły w wieku VI oprzeć się dwudziestopięciotysięcznej armii bizantyjskich najemników Belizaryusza i Narsesa. Gdyby państwo rzymskie, ścieśnione w połowie wieku V. do granic Italii, potrafiło było wystawić wtedy armię choćby tylko z 20.000 najemników, byłoby się utrzymało. Ale nawet na taką armię nie było wtedy pieniędzy. Bo latyfundya italskie należały do niewielkiej liczby senatorów, a ci, jako piastunowie wszystkich wyższych urzędów, tworzyli rząd, który swych przedstawicieli od ciężarów uwalniał. Podatki, wyduszone od dzierżawców, ledwie starczyły na wysokie pensye dla urzędników; na wojsko już nie starczyło funduszów. A że Romulus Augustulus nie miał siostry czy córki, której ręka przywiązałaby była do jego interesów Odowakra, ten wolał być samodzielnym patrycyuszem niż źle płatnym wodzem i posławszy swego imperatora na wilegiaturę do Misenum, sam odtąd sygnował akta państwa rzymskiego.

Tadeusz Sinko.

Pasterka w r. 1916.

Wiatr szumi, w okół noc czarna
świat cały kirem spowiła;
ziemia ta cała cmentarna,
ziemia ta... jedna mogiła...
Przez chmury księżyc przebłyska,
upiornem światłem przyświeca,
na krzyżach wśród cmentarzyska,
niepewne błyski roznieca.
Gdzie cmentarz, były wpierw chaty,
wioska zasobna, spokojna,
w perz ją rozbiły granaty,
z ziemią zrównała ją wojna...

Ponuro północ uderza,
a pośród zwalisk kościoła
słychać szept cichy... pacierza
i dzwonek... co na mszę woła...
W wilgòtnej, spękanej nawie
rozbłysły świateł miraże,
pod śniegiem niknące prawie
majaczą wizye... ołtarze.
Z zakrystyi wyszedł ksiądz stary,
w złocisty ornat przybrany,
w przestrzeni szepty, rozgwary...
to pękłe grają organy.
Grają jak niegdyś radośnie,
witają Dzieciątko Boże,
ton potężnieje, pieśń rośnie

i w niebie słychać ją może....
A tam, od mogił śnieżystych,
nadchodzą zwarte kolumny
postaci szarych i mglistych...
młodzieńczych duchów huf dumny.
Mundury w strzępach, lecz każdy
lśni swoją raną rozwartą,
jakgdyby Bóg swoje gwiazdy
rzucił na szatę podartą.
Nie masz już walki, ni wroga,
śmierć zjednoczyła, zbratała
jednako przed tronem Boga,
krew ich ofiarna błyszczała.
Jednako ważył na szali
ich ból i miłość ojczyzny,
więc w duchu braćmi się stali,
bo bratnie były ich blizny.

Cisza... ksiądz starcze wzniósł dłonie,
rozbłysła Hostya ofiarna,
młodzieńcze chylą się skronie,
i prośba płynie mocarna:

— O Panie! Ojcze ludzkości!
za nasze życia, za młode,
daj światu ducha miłości!
wróć światu ducha pogodę...

Przebrzmiały organów dźwięki,
pogasły świateł miraże,
wiatr jeno snuje piosenki
i śnieg otula ołtarze.
A wokół znowu noc czarna
świat cały kirem spowiła,
śpi ziemia... ziemia cmentarna,
jak jedna wielka mogiła.

Marya Czeska.

I była burza...

Zdało się, że łódź zawisnęła gdzieś na przełęczy dwóch światów; na ciemnym błękicie pogodnego nieba tysiące gwiazd lśniło, na kształt gwoździ złotych, wbitych w czarną oponę nocy, a w głębi Tyberyadzkiego jeziora świeciło ich odbicie złudą świetlistą.

Cisza... święta cisza... śpią żagle zwinięte u rei, od dalekiego brzegu płynie woń kwiecia, ciężka woń róż, oddychających po skwarze letniego dnia... Czasem wiosło pluśnie, woda się skłębi i spłynie z niego, zda się, srebra żywego strugą, a czasem rozżagwioną łzę smolna uroni pochodnia, gorejąca na przodzie statku i wtedy syk słychać dwóch wrogich żywiołów, zlewających się w jedność.

— Co czyni Nauczyciel?...

Piotr Szymon oderwał szare, pełne szczęścia oczy od głębin ukochanego jeziora i wskazując na budkę z desek skleconą, znajdującą się w tylnej części łodzi, rzekł z dobrym uśmiechem:

— Zasnął... znużony był całodziennym trudem, cieszy mnie, spoczął nareszcie.

Z mroku uchyliła się blada twarz Judasza z Kariotu, krwawy błysk pochodni przemocą wyrwał ją z tła, patrzył w dal z jakimś nieokreślonym uśmiechem wązkich warg.

— Przybijemy więc do drugiego brzegu?

— Po co?! — Jan, Zebedeuszów syn, spojrzał w ciemną twarz Piotra i prośbę miał w głosie. Taka pogodna, cicha noc... Łódź fale kołyszą, jak macierzyńskie ramiona dziecię najmilsze... Gdybyśmy

przybili do brzegu, wstrząśnienie zbudziłoby Nauczyciela, a z pierwszym świtem przybyłyby już rzesze ludu, spragnione jego słów... jego cudów... Najlepiej noc na morzu przepędzić... Mistrz znużony był... widziałem w Jego oczach smutek wielki, niechaj odpocznie.

— Tak, najlepiej noc przepędzić na morzu — rzekł Szymon-Piotr i dodał po chwili cicho: — Cudna jest noc...

— Ale i spoczynku potrzeba, ja przynajmniej czuję we wszystkich członkach trud dnia, ciało mi cięży, a powieki zamykają się przemocą... przecież i nam należy się odpoczynek...

— To śpij, Judo... wystarczy, jeżeli ja i Piotr czuwać będziemy, a nas nie przeraża noc niespana, tyle razy spędzaliśmy ją na morzu w oczekiwaniu połowu. Woda, to nasz stary, drogi przyjaciel, bo właśnie w takie noce tajemnicze a ciche opadały z nas ziemskie pragnienia, a szlakiem tęsknoty dusza się rwała i przeczuwała przyjście Pana, miłującego świat cały... We dnie otacza człowieka tyle życia, barw, tyle coraz nowszych wrażeń, że nie może się skupić w sobie... W dzień ziemia walczy z Bogiem o panowanie nad duszą człowieka, a noc... spójrz!... taka święta cisza, taki majestat...

— Poeto!... — uśmiechnął się Judasz z Kariotu — nocą szatan bliższym jest człowiekowi od Boga... Nie dosyć to jednak, byś ty z Piotrem czuwał, bo mógłby Pan pomyśleć, iż my mniej gorliwymi jesteśmy w Jego służbie. Mojem zdaniem, najlepiej byłoby przybić do brzegu, wtedy wszyscy znaleźliby spoczynek zasłużony.

— Pozostańmy na morzu. — Mateusz podszedł do grupy rozmawiających, jasny błysk płonącej pochodni padł na jego siwawą, pochyloną głowę i rysy, rzeźbionej kamei podobne. — Tamci już i tak zasnęli, a jeżeli wy spędzaliście noce bezsenne dla połowu, to i ja i Judasz z Kariotu napewne częściej jeszcze trawiliśmy je przy ucztach, winie i grze w kości... a w dusze wstępował nam przesyt i taka tęsknota, bolesna, krwawa tęsknota za jakiemś innem życiem, więc i dzisiejszą noc przetrzymamy bez szkody, czuwając nad snem Mistrza i jego bezpieczeństwem.

Żachnął się Jan i gniewnie niemal czarne rozbłysły oczy.

— Nad bezpieczeństwem Jezusa czuwać nie potrzebujemy, nie my bowiem nad Nim, ale On nad nami czuwa.

— Nawet wtedy, gdy śpi? — Ironicznie drgnęły bezbarwne usta Judasza z Kariotu, gdy, opierając rękę o ster, mówił: — Powiedz sam, Janie, żali we śnie czuwać można?

— A czyż matkę byle ruch dziecięcia ze snu nie budzi? Czyż można powiedzieć, że niemowlę czuwa nad matką, dlatego, iż przypadkowo nie śpi? A czyż my wobec Niego nie jesteśmy jako dzieci nieświadome?...

— Wielką jest twoja wiara w Niego, Janie...

— A twoja? Zali inną być może?...

— Moja... — Judasz z Kariotu odwrócił głowę i pochyliwszy się, uderzał wiosłem o brzeg łodzi... Miałże rzec, iż pozorną jest jego wiara, że jej w głębi ducha nie czuje, a ciąży mu ona z każdym dniem więcej, jak kajdany, z których się mimo pragnienia wydobyć nie może... Miałże rzec, że w nocy rozpaloną twarz do traw tuli, złorzeczy niebu i sobie, o pięknie ziemi śni... tarza się w kałuży wspomnień... wraca doń wtedy echem śmiech kobiet, widma pieszczoty, dźwięk złota toczącego się po stole do rąk szczęśliwego gracza... cała podłota i cała szaleńcza piękność ziemi. Raz jeszcze... raz... usta gorączką pragnień spalone do puharu życia przytulić i pić... pić do dna, chociażby śmierć wieczna miała być w kielichu... Miałże rzec, że we śnie wlecze się śladami Pana jak skazaniec z okrutną, krwawą z dnia na dzień rosnącą nienawiścią?

Och! i nie tylko Pana nienawidzi, ale i te wszystkie proste, czyste dusze, idące za Nim; chciałby je niewiarą swoją zarazić, od stóp Jezusa oderwać... wtedy czułby w duszy radość olbrzymią... a może tylko silniejszy ból?

Szaleństwo!

Jadem własnych wahań ich zatruć... świetlistą zjawę Pana zaćmić... czyż tylko on jeden ma przechodzić przez mękę pragnień, które się życiem nie stają?

O! ileż razy odejść już chciał i nie mógł... jedno spojrzenie Chrystusa zatrzymywało go w gronie uczniów i wargi jego mówiły słowa, których nie odczuwał mózg... obce wyrazy wiary głębokiej i czuł wtedy nad sobą moc, silniejszą od jego woli. A czasem wstawał w nim urągliwy śmiech:

— Oto myślisz, żem ci uczniem z drugimi zarówno i błogosławiąc, wyciągasz dłoń i nad moją głową... nad moją głową przeklętą!... Cóżeś za Bóg, iż nie wiesz, co w tworze twoim szaleje, męczy się, żyje... Tysiąc myśli mam, a każda przeciw tobie się burzy, tobie urąga... tysiąc pragnień, a każde wbrew twojej nauce ziemi pożąda, do niej lgnie... Jeśli Bogiem jesteś, dlaczegóż nie wyrzucisz mnie z pośród uczni twoich?! Dlaczego?! Wszak zakałą jestem wśród nich.

I stawał wtedy w pobliżu Pana, gorączką płonące oczy wpijając w Jego źrenice, szalał tęsknotą, obumierał wahaniem i nienawidził Go... nienawidził coraz goręcej. Dwie przypowieści wstrząsnęły nim do głębi, była w nich jakgdyby odpowiedź rzucona jego niewymówionym pytaniom. Pierwszą była przypowieść o kąkolu, który nieprzyjaciel zasiał pomiędzy pszenicę, doczekać on musi wraz ze zbożem do czasu żniwa, ale potem pszenica złota do gumna pójdzie, a kąkol spalonym zostanie...

Oto jestem kąkolem, przeznaczonym na spalenie wśród twego łanu, Chryste...

Krzyczało wówczas w duszy Judasza z Kariotu, chociaż milczały wargi, krzywiąc się w drwiącym uśmiechu.

A innym razem mówił Pan o ziarnie, które z ręki siewcy na różną pada glebę; jedne ptaki rozdzióbią, inne na głazy upadnie, wątłe korzonki wypuści i z braku soków zginie, a inne jeszcze w ciernie zapadnie i zgłuszą je, a część tylko w dobrą upadnie rolę i plon obfity wyda. A jako to ziarno, tak i słowo Boże w różnych duszach wydaje plon różny... a jednak siewca sieje.

A we mnie to ziarno ptaki złych myśli rozszarpią... ciernie pragnień zagłuszą, a gdyby nawet zapuściło korzonki, to uschnie na opoczystej roli serca... — myślał Judasz z Kariotu. I wstawało w nim straszne uczucie, jakiego doznaje człowiek na kładce, rzuconej na głębinę... widzi sąsiedni, jasny brzeg i widzi fale szalejące, lecące w dal, groźne, wzburzone, ciemne... jeden ruch nieostrożny.

Wyciąga ku brzegowi dłonie, ale już głowa mu się kręci... kładka trzeszczy, głębina ciągnie... śmierć... śmierć! Jeden skok

uratowaćby go mógł... ale, by go wykonać, trzeba mieć wolę, gorące pragnienie, siłę

Usiadł na ławie obok Szymona-Piotra i smukłą, białą rękę na jego szerokiej, spracowanej położył i chyląc złotawo-rudą głowę, mówił szeptem:

— Piotrze, zali ci za chatą twoją nie tęskno? Zali twój duch nie pragnie powrotu do dawnego życia?...

— Nie...

Piotr patrzył w wodę, szumiała tak cicho, sennie i głos Judasza z Kariotu zlewał się z jej szeptem w akord jeden, zbyt znany, by echa nie zbudzić...

Czy ci za twoją chatą nie tęskno?

I widzi wnętrze tej chaty ciche... takie znane, słyszy głos żony usypiający dziecko... kołysanką w duszę mu się wkrada.

Zali ci nie tęskno, Szymonie?...

Czy ci dawnego życia nie żal?...

I przed oczyma rybaka wstają ranki złociste, noce na morzu spędzone, ryb połów, całe bujne, młode, proste życie i owa chwila ostatniego połowu... owa nigdy nie zapomniana.

Noc była jako i dziś... jako i dziś smukły dziób łodzi ciemną taflę jeziora rozcinał na dwoje, drgała na falach blizna srebrzysta, a woda gwarzyła jakąś baśń nieskończoną, cicho, wabnie, swawolnie.

Chlusnęły w wodę sieci, rozbłysły smolne pochodnie, krwawy refleks rzucając w głębinę, łódź spoczywała na falach nieruchoma, martwa, wyczekująca. Ludzie milczeli, ostro występowały z mroku barki obnażone i poszczególne partye twarzy, rozświetlone pochodni rozbłyskiem.

Czasami dźwigano sieci i zapuszczano je znowu, albowiem próżnemi były. Pół nocy minęło, nie szedł połów, czasem trzepotał się na dnie sieci rój drobniejszych rybek, — taki drobiazg do niczego nie zdatny. Kazał zgasić pochodnie, głucha noc otoczyła ich zewsząd.

— Szymonie, ryby dziś nie idą — mruczał jeden z pomocników, przeciągając zesztywniałe członki, — szkoda czasu, najle-

piej byłoby do domu wrócić. Za długo trwała pogoda, woda jest czysta, jak kryształ, widzą bestye sieć i wymijają.

— Może o świtaniu najdą.

— Do świtania daleko jeszcze, a jak się teraz przy pochodniach nie łowiły, to i potem nie będą. Kości już bolą od daremnego siedzenia.

Więc rzekł im wtedy:

— Jeżeliście zmęczeni, śpijcie... ja czuwać będę za was, a o świtaniu spróbujemy połowu.

I usiadł przy sterze... cicho, cichutko uderzała fala o łódź, czasem drgnęły sieci zapuszczone, zmożył rybaków sen, a jego dusza szła śladami Pana. I pierwszy raz, w tej głuchej nocy wiosennej wszystkie jego duchowe siły skupiły się w rozmyślaniu. I gdy tak czuwał u steru, wpatrzony w sieci nieruchomo zwisające u burt, nieznane, nieprzeczuwane nawet głębie rozwierały się przed jego zdumionym duchem, w każdem ze słów Jezusa z Nazaretu. Jeżeli Go do owej nocy miłował, jeno wówczas zaczął Go odczuwać i rozumieć.

Potężna nauka miłości i wyrzeczenia wołała do niego z cieniów nocy wiosennej: pójdź! światłem jestem! Wskażę ci drugiego bytu jasny świt, z teraźniejszości dla człowieka przyszłość wstaje, nie tylko... przeszłość... Pomnij mnie, nie będziesz potrzebował o przyszłość się trwożyć, za przeszłość rumienić, bo w ogień rozjarzy się w tobie iskra, która z Boga jest!

Zaczęły drgać przestrzenią szare tony poranku, coraz wyraźniej majaczyła linia wybrzeży, otulonych opadającemi mgłami, a i w jego duszy coraz jaśniej się w ów czas stawało, pogodniej, ufniej. Blady róż świtu przeciągał błękity, zaczęły się odrywać pojedyncze nawoływania ptaków, jakgdyby senne jeszcze pytania: ranek-że to już?... ranek?

W dali z za wzgórz rozjarzonych wstawało słońce, roztopionem złotem zadrżała fala, jasną, świeżą zielenią rozbłysły wybrzeża, rozdźwięczały się w pieśń potężną ptaszęce chóry, rozkołysały nad wodami biało-skrzydłe mewy, a jego duch był również hymnem jednym na cześć Twórcy-Boga. I postanowił wówczas nie dzielić już życia pomiędzy ziemię i Boga, postanowił wyrzec się

praw osobistego bytu i pragnął stać się echem słów Chrystusowych.

A gdy do brzegu przybiła łódź, rybacy zabrali się do płukania sieci, po kolana stojąc w wodzie, prali je starannie, a on nagle odczuł, iż oto przełomowa chwila nadeszła. Po sperlonych rosą, jakgdyby łzami, trawach, szedł ku przystani Jezus z Nazaretu, a za Nim tłoczył się lud.

O, ile uczuć przeżył wtedy... chciał biedz na spotkanie Pana, ale odmówiły służby drżące kolana, zdławiło wzruszenie głos i tylko jego oczy, pełne krwawej tęsknoty i dziękczynienia, spoczęły w błękitnych, miłości pełnych źrenicach Mistrza.

A Jezus z Nazaretu, opierając smukłą dłoń na dzióbie łodzi, mówił łagodnie:

— Piotrze, użycz mi twojej łodzi, odbijemy nieco od brzegu, abym mógł mówić do ludu.

I wszedł do jego barki Pan.

Zgłuszony wzruszeniem rozkaz padł, wytężyły się ramiona, by łódź z powrotem zepchnąć na wodę, ale w twarzach rybaków było znużenie.

— Oche! razem! silnie... pchnij! Oche! Oche! O... Wysiłek ramion nie wielki był, lekko i cicho ześlizgnęła się łódź na wodę, od brzegu odbiła. Jak we śnie słuchał Piotr słów Pana, w duszy kłębiła mu się olbrzymia fala dziękczynienia i rwała na drżące usta; ściął je aż do krwi, by wybuchem swoim nie przerwać słów Chrystusa, w duchu jednak leżał u Jego stóp, kraj szaty do ust cisnął gorących, łzami oblewał sandały... A nad światem płynęło wówczas ośm błogosławieństw...

I stało słońce wysoko, gdy Chrystus rzekł:

— Zajedź na głębie i sieci zapuść ku łowieniu.

Spojrzał na czystą jak kryształ falę i zbudził się w nim rybak doświadczony, znający jezioro jak samego siebie, gdy z uśmiechem odparł:

— Mistrzu! przez całą noc robiąc, niceśmy nie pojmali!...

W tej chwili gorąca fala krwi uderzyła mu do twarzy, bo łagodne oczy Jezusa rzekły mu z politowaniem: Człowieku, wierz memu słowu i mojej mocy.

Ból, wstyd, żal rozszalały się w duszy rybaka, gdy dorzucił szybko rwącym się głosem: — „Wszakże na słowo Twoje zapuszczę sieć!“ — Do czeladzi się zwrócił, w ich zdumione twarze spojrzał... Któż o południu, w słońcu, sieć zapuszcza i rzucił twardo:

— Zapuścić sieć!

— Szymonie — mruczał, stojący obok niego stary rybak: — Rabbi z Nazaretu może być bardzo mądry i dobry, ale na rybołóstwie się nie zna... toć widać... Wytłumacz-że mu, Szymonie, śmiać się z nas będą jeno.. widać od brzegu.

— Zapuścić sieci!

Spełniono rozkaz w milczeniu... a w nim była pewność dziwna, bezmiar ufności i wiary.

On, Piotr na słowa Pana swego życie byłby dał bez żalu, on, Piotr przeszedł z okresu tęsknoty na próg czynu.

Na poblizkim brzegu widział, jak kupiły się postacie rybaków z Zebedeuszowych łodzi, zdało mu się, że słyszał szyderczy ich śmiech: zali oszalał Szymon?!

Spojrzał po twarzach czeladzi, zmieszane były, nieufne, ironiczne... bolał go ich wyraz... O gdyby był mógł dać im swoją wiarę!

Jasne, łagodne oczy Jezusa oderwały się od fal i spoczęły na jego twarzy, wzruszeniem pobladłej... i czuł, jak w duszy głąb mu wglądają — o gdyby ją mógł był rozkryć przed Panem! Nie było w niej myśli, którejby wypowiedzieć nie mógł, nie było uczuć, którychby musiał się wstydzić.

I rzekły mu oczy Chrystusa: Połów będzie miarą wiary twojej... a w nim była jakaś nadziemska radość — toć sieci pełne będą, Panie.

— Każ sieci wyciągać, Piotrze!

— Wyciągać sieci!

Rzucili się ludzie do sznurów, ale gdy je ciągnąć poczęli, zgasły na twarzach drwiące uśmiechy, prężyli ramiona, oblały się potem barki strudzone, zgrzytnęły nici rwącej się od ciężaru sieci, poczerwieniały wysiłkiem twarze, napięły mięśnie do pęknięcia. I jak anielskiej pieśni chór były dla niego owe szorstkie głosy, rwące się z piersi zmęczonych.

— Nie damy rady, Szymonie... sieci pełne aż po brzegi.

— Zebedeuszowych ludzi trzeba ku pomocy zawołać!

— Takiego połowu najstarsi rybacy nie pamiętają.

— I to w południe!

— W słońcu!...

— A... che! Bywajcie-no! bywajcie! bywajcie! — nawoływali ku brzegowi, skąd zaraz odbiły drobne rybackie łodzie.

A on patrzył na swe pełne, rwące się od ciężaru sieci, — nagle ogarnęła go fala miłości, uwielbienia, poczucie własnej małości wobec wszechmocy Boga i nieskończonej dobroci Pana, więc przypadł do kolan Jezusowych i obejmując je drżącemi dłońmi, szeptał:

— „Wynijdź odemnie,... bom jest człowiek grzeszny, Panie! Ale Jezus położył dłoń na jego pochylonej głowie i rzekł miękko:

— Nie bój się... od tego czasu ludzi łowić będziesz... I spłynęła na niego nieznana wpierw moc i nie był już Szymonem-rybakiem z Tyberyadzkiego pobrzeża, jeno opoką, na której Pan zbudować miał swój zakon.

— Zali nie tęskno ci, Szymonie?

Drgnął, czoło ręką potarł, a obok niego snuł się głos Judasza z Kariotu.

— Przyszłe życie... gdyby pomiędzy ziemią a niebem nie leżał grób... zali nie myślisz, iż lepsza garść zboża, trzymana w dłoni na jawie, niżeli łan cały, widziany we śnie?

Szeroko rozwarte, dziecięco zdumione oczy Szymona-Piotra spojrzały w bladą twarz Judasza z Kariotu:

— Czego ty odemnie chcesz, człowieku?

— Zali... mnie nie rozumiesz?

— Nie... nie rozumiem i nie chcę rozumieć. Masz w oczach niedobry błysk... uważaj, byś nie stracił śladu Pana, Judaszu z Kariotu, bo coś obcego jest dziś w tobie.

— Bo nocą szatan bliższym jest człowiekowi od Boga...

— O! nie — w duszy mojej właśnie nocą potęgę swoją objawił Bóg.

— Czy ty nigdy nie czujesz trwogi... wahania, Szymonie-Piotrze?

— Nigdy!

— I wierzysz, iż On... Bogiem jest?

— Wierzę...

Milczenie... a oto nagle nad morzem przeleciał cichy chichot wichru, lecącego od północy, drobną łuską rozbłysnęła fala, a Szymon-Piotr podniósł się z ławy i bystre, szare oczy w dal utkwił.

— Burza idzie!... Janie, zbudź uczniów i do wioseł!

— Sterujemy ku brzegowi?

— Tak, ale mam wrażenie, że burza osaczy nas na otwartem morzu... od północy ciągnie.

W tej chwili po ciemnym horyzoncie zsunął się złoty wąż błyskawicy i na mgnienie błękitnawe, upiorne światło wyrwało z mroku poszarpaną linię wybrzeży, szczyty drzew, wichrem rozkołysane i zjawę wielkiego Hermonu, lśniącego śniegiem, rozbłysłą srebrem, ciche jeszcze jezioro, drżące pierwszemi, drobnemi falami i łódź, u której steru Piotr stał, z ciemną czupryną, opadającą aż ku zsuniętym brwiom... wcielenie woli i czynu.

I znowu ciemność ogarnęła wszystko, a wokół wiatr chichotał, śmiał się, drwił... przeleciał z potępieńczym wrzaskiem wśród fal coraz silniej wzburzonych, urastał w ryk.

— Do wioseł! — rozległ się spokojny, silny głos Szymona-Piotra — i ku brzegowi... Najbliżej mamy do Gerazy i tam z pomocą Bożą dopłyniemy.

— Czy zbudzić Nauczyciela? — zapytał w ciemni, drżący niepokojem, głos Judasza z Kariotu; taki się w nim rozszalał lęk.

— Poco?... I tak jest On z nami, więc się nam nic stać nie może... do wioseł, bracia!

Jan szedł od ławy do ławy i uczniów budził, a wokół rozszalała się groza.

W migotliwem świetle coraz częstszych błyskawic widniało morze rozszalałe; nie było to już pogodne zwierciadło, odbijające tajemnicze niebios światy; leciały od północy fale olbrzymie z pianą białą u grzyw, a wiatr przeszedł w ryk rozpętanego piekła. Łódź ulatuje w górę, na grzbiety fal się wznosi, spada w czarną otchłań szalejącego jeziora, zabawką się zda zawieszoną na przełęczy życia i śmierci.

Tak blizką jest śmierć... z każdym gromem, z każdą nadlatującą falą zjawa jej unosi się nad wodami.

Prężą się ramiona, pot opływa czoła i lęk, śmiertelny lęk do dusz pełznie... chwyta je w swoje krwawe szpony i dręczy.

— Dlaczego Chrystus śpi? — budzi się trwożliwe pytanie w duszy Jana i jego młodzieńcze usta szepcą modlitwę, by zgłuszyć bolesny niepokój.

I ulgą jeno jest mu, iż w krwawym świetle błyskawicy widzi u steru rosłą sylwetkę Szymona-Piotra i spokojny, ufny, energiczny wyraz jego męskiej twarzy; on się nie trwoży, wicher bije w jego obnażone ramiona, w jego pierś szeroką, zimnem przejmuje do kości, opryskują go pianą rozwścieczone fale, a on u steru trwa, bystremi oczyma ciemność przeniknąć usiłuje i kieruje łódź ku brzegowi.

Rozległ się głuchy trzask, to pękło wiosło w dłoniach Judasza z Kariotu, odrzucił je od siebie... do dna łodzi przylgnął... Śmierć,— czuł ją nad sobą, w sobie i krzyczał, odchodząc od zmysłów niemal:

— Chrystus śpi... a my giniemy! Chrystus śpi — a my idziemy na dno!...

I ten jego krzyk łączył się z poświstem wichru, z rykiem fal, z druzgocącym echem gromów. Pobladły jeszcze więcej twarze uczni... Wicher roztworzył drzwi budy i dojrzeli, jak od ciemnego tła Piotrowego płaszcza odcinała się jasna głowa Jezusa z Nazaretu.

Zgasła z sykiem pochodnia u steru, ciemność taka, iż człowiek człowieka nie widzi.

— Czyż ginąć mamy? — Po twarzy Jana płyną łzy... bezradne, dziecięce łzy.

A odpowiada jego myśli krzyk Judasza:

— Oto giniemy! giniemy! giniemy!

— Milcz!... Pan jest z nami, więc bezpieczni jesteśmy, jako dzieci na łonie matki.

Głos Piotra zapanował nad burzą — czysty, ufny, potężny.

— Giniemy! giniemy!

Przez brzeg łodzi runęła fala i chlusnęła o dno, ciężką, słoną wodą oblała ich wszystkich.

Rzucili wiosła.

— Piotrze!... łódź na dno idzie...

— Piotrze!... zbudź Pana!

— Do rozpacznego krzyku Judy z Kariotu dołączył się szept Tomasza, straszny, bolesny, podobny jękowi, który wydaje człowiek w konaniu.

— Giniemy... a Chrystus śpi.

— Piotrze!...

I nagle, jak nad morzem burza, w sercach ludzkich obłędna rozpętała się trwoga, głosy pełne pożądania życia, szaleńczej trwogi, rozpaczy drżały przestrzenią; było w nich wszystko: ból, lęk, wahanie i wiara na skonaniu.

— Chryste, zbudź się... giniemy!

Spokojny głos Piotra tonął w tej burzy:

— Wszak jest z nami: wróćcie do wioseł... nie trwóżcie się... moc Jego czuwa...

Ale oni rzucili się na dno łodzi i wołali:

— Panie! Panie, ratuj, giniemy!

— Mistrzu, toniemy... ratuj nas i siebie!

— Mistrzu!

A ponad rozpaczliwym, błagalnym chórem ich głosów snuł się ochrypły głos Judasza z Kariotu:

— Mistrzu!... Zali obojętne Ci to, że giniemy?

I jeden tylko Piotr wytrwał u steru, a szare, głębokie jego oczy zamglił smutek, jak łatwo wiara ludzka w lęk się zmienia; oto rozlała się burzą w przestrzeni i w sercach ludzkich... w tych sercach, które takie wierne się zdawały i ciche.

Oto nawet Jan pochwycił szatę Chrystusa i tuląc ją do ust, błagał:

— Mistrzu! Mistrzu!

Krwawy, straszny błysk, ryk gromu gdzieś blizko... Obłąkane trwogą oczy uczniów patrzały w twarz Pana. Chrystus wstał, spojrzenie jego łagodnych oczu przesunęło się po klęczących z litością i ze smutkiem, gdy pytał:

— Dlaczego się trwożycie, o małowierni?

I dodał, patrząc w oczy Tomasza:

— Gdzie jest wasza wiara?

Zamilknęli... zamarły na drżących ustach słowa prośby — odczuli, iż On, mimo wszystko był między nimi... i ogarnął ich wstyd.

A Chrystus przeszedł aż do Piotra i stając obok niego, wyciągnął w dal smukłą rękę i rzekł, nie podnosząc głosu:

— Uciszcie się!

Raz jeszcze zawył wiatr i skonał w skomleniu żałosnem, raz jeszcze fala wzburzona szarpnęła łodzią i stała się cicha, gładka, przejrzystemu zwierciadłu podobna.

— Kto on,... iż wiatrom rozkazuje i burzy? — szeptały drżące wargi Judasza z Kariotu.

— A jeżeli On Bogiem jest, to czemże...

W fali lęku, gorszego od śmierci, niedokończona skonała myśl. A szare, spokojne oczy Szymona-Piotra stały się promiennemi, jak gwiazdy... fala miłości wielkiej, potężnej, wiernej płynęła z nich ku Panu.

— Oto Ty jesteś, który wichrom rozkazujesz i burzy... oto Ty jesteś, Boże mój!

A błękitne, łagodne, młodzieńcze oczy Jezusa z Nazaretu odpowiedziały spojrzeniem:

— Oto jam jest... Twój Bóg, rybaku!

Marya Czeska.

Emil Verhaeren.

Nazwisko Emila Verhaeren'a mimowoli pociąga za sobą cały tłum wspomnień o poetach ostatnich lat 50-ciu; przychodzą na myśl i Verlaine, i Wilde, i Henri de Regnier, i Rodenbach i George — poeci od życia oderwani, po ziemi ledwie stąpający, zapatrzeni w migotliwe światła przestrzeni, albo w zamglone zachwytem oczy kochanek, by w nich ujrzeć siebie, jak Narcyz w błękitnych toniach jeziora.

Wśród tych Narcyzów i Kameleonów jakże ciężkim, kanciastym i gwałtownym wydaje się Verhaeren.

Wygląda on, jak jeden z tych jego zgarbionych kowali, kujących ogromnym młotem przyszłość, walących po kowadle z całej swej siły i mocy.

Podobnym on także i do swego wiatraka, co wyciąga ramiona do wieczoru żałośnie, wyciąga od rana i znowu z rozpaczą w nocnym mroku do ziemi je schyla.

Podobnym on także i do drzewa, co je lato kołysze i zima potrząsa, które jest już niczego nie pomne, gdy styczeń się kończy, „kiedy wszystkiemi pączkami, wszystkiemi gałęziami, co są jak usta szalone i ramiona wyprężone, rzuca do jutra okrzyk ogromny"; wyciąga drzewo daleko swoje korzenie, wysoko wznosi gałęzie i hardo burzy i wiatrom, piorunom i nawałnicom wierzchołek nadstawia. Takim był poeta, mocno do ziemi przyrósł i wysoko ponad nią się wzniósł.

Jak opowiada Balzalgette, urodził się w Saint-Aimand, na brzegu Skaldy, gdzie się spotykają Flandrya Wschodnia, Antwerp-

ska prowincya i Brabant. „Na horyzoncie leżą szerokie równiny, które wiatr wymiata, na nich wyrosły wieżyce wiosek i miast, chodzą powolnie i milcząco stada; daleko migocą żagle, w dzień słońcem pozłocone, o zmroku czerwone".

Stamtąd wyszedł i poszedł Verhaeren po swojej Flandryi, jak pielgrzym, jak pastuch, zasłuchany w szept wiatru, w krzyk burzy, zapatrzony w krwawe zachody, w śmierć i strach, w „Milczenie ogromne, co obok Nocy zasiada".

Szedł miłując swoją wieś rodzinną, wchłaniając w siebie żywiczną woń pachnących łąk i pól, pędził przed sobą tłuste trzody i stada, chylił się do ziemi, zaglądając w rozorane i rozryte skiby, stając przed stawami, gdzie nieruchome pstrokate krowy swoje nogi i brzuchy kąpały, słysząc ryk byków, widząc przed sobą i siew i sianokos, goniąc oczami dalekie, bez końca, do nieba idące drogi i szosy.

Stał pochylony nad tym pracującym ludem, żyjącym w dostatku, w naiwnej prostocie i wierze, stał przytulony do niego, czołem kornem dotykając ziemi.

Jakbyś widział przed sobą „Les Glaneuses" Millet'a; takie są „Les Flamandes" Verhaeren'a, ten sam się w nich dramat pomiędzy człowiekiem i glebą odbywa.

Na jakiś czas oderwał się pastuch od ziemi, od rumieniących się poranków, od zrywanych palcami brzasku gwiazd; przypomniał sobie klasztory w Borhemie, dokąd z ojcem zwykł był co miesiąc odbywać pielgrzymkę.

Wydał „Les Moines". Widział w tych klasztorach złote brokaty grandów hiszpańskich i czarne aksamity, teraz widzi białych mnichów, idących do modlitwy chóralnej na głosy dzwonu, „jak aleje drzew, gdy słońce je woła... schodząc powoli po schodach wieczoru".

Cicho płacze dzwon, na „Anioł Pański" woła i znowu jakbyś zobaczył „L'Angelus" Millet'a, leżą rzucone narzędzia na rozrytej ziemi, wózek stoi na chwilę zapomniany, w biblijnej prostocie wielkości, schyliwszy czoła, słuchają modlitwy pracownicy. I jak oni do ziemi i pracy powrócą, tak też Verhaeren do wsi znów spojrzenie swoje skierował. Czas jednak swoje zrobił. Belgia z kraju

rolniczego przekształcała się postępowo i prędko w kraj przemysłowo-fabryczny. Jakby jakąś niewiadomą potęgą szła po ziemi flamandzkiej, siejąc wielkie nasiona, które wyrastały gęsto i bujnie. Łąki i pola porosły w miasta i miasteczka, najeżyły się dachami domów i wież, wyskoczyły lasy kominów fabrycznych, buchających dymem czarnym, plujących ogniem i parą, pobiegły aleje słupów, złowrogo huczących. Wieś uchodziła, ginęła. Lud z jękiem opuszczał rolę, już teraz zaniedbaną, biedną, samotną.

I jak na obrazie Millet'a „La herse" widzisz rzucony pług, nikogo wokoło i na horyzoncie zachód krwawy, żałosny.

W „Les campagnes hallucinees" w „Les villages illusoires", w „Les Debacles" i w innych, wieś umarła, niemasz ratunku i pociechy, stoją na martwej ziemi rzucone wozy i brony, lud błąka się po pustych polach, po zubożałych wsiach, gdzie wiatr plądruje, gdzie huragan świszczy i goni, a na krawędzi krwawej pożogi dymią dumnie i hardo czarne kominy, słychać huk maszyn, szum miast i hałas pociągów.

Rozpacz ogarnia poetę, wraca jednak do swojej ukochanej wsi, idzie za głosem Emersona, który mówi, że w warunkach codziennego życia trzeba szukać wielkości. I chce Verhaeren wyogromnić tych prostaczków i dać im wielkość nieruchomą, wieczną, nieśmiertelną; tworzy wspaniałe postacie Kowala, Dzwonnika, Młynarza.

Jednak tamta nowa potęga i odpycha i pociąga, czuje w atmosferze miast dziwną rozkosz, słodką, choć bolesną. Przechodzimy do „Les Villes Tentaculaires". Verhaeren podróżuje, siedzi w Londynie, tam czerpie swój smutek i rozpacz. Maluje te straszne miasta, które jak morskie potwory wysysają wieś, wciągają ją w swoje żelazne kleszcze, rosną przed nami gromady ciężkich tumanów i mgieł, mroczne i posępne gmachy z betonu i żelaza, skrada się ciemność, lecz wnet „nożyce światła przecinają cień miarowem uderzeniem od latarni do latarni". Rozpusta, grzech, szały pożądań i namiętności wyprzedzają się wzajemnie. I jednak nęci go ta nowa siła, choć przed jej ogromem truchleje, ból i rozpacz nie mają już granic, trwoga, prawdziwa agonia strachu, w duszy poety powstaje; złamanym głosem, z boleścią rozpaczy woła: „widzę żałobe

na srebrnych trójnogach i ołtarzach z bronzu, widzę, jak ogromne witraże przed Chrystusem klęczących stuleci, ze swoimi nieruchomymi papieżami, męczennikami, bohaterami, widzę, jak drżą one na hałas dumnego, przechodzącego nad miastem pociągu".

W tych ogromnych zwałach, wielkich, jak budowle Cyklopów, czarnych, jak Kręgi i Jary Piekła Dantejskiego, wyrastają potężne postacie panów i władców, co w garści swojej trzymają ruch tego życia.

Widzimy Trybuna, co na ulicach i brudnych kwartałach popularność swoją wybiegał, pędzi on na czele tłumu, wyciągającego pięść złowrogo do złotych sztachet pałacu, o które czoło i pierś swoją krwawi.

Cierpliwy i milczący Kowal, syn, brat, ojciec tego tłumu posępnie kuje przyszłe szczęście, „które wszędzie rozkwitnie, jak na polach kwiaty".

Przy biurku siedzi bankier, potężny władca ziemi, co rzeki i potoki złota trzyma na uwięzi, lub, podnosząc tamy, zalewa wielką falą miasta i ludzi, którzy pogardzają nim, a jednak słuchają go, gdyż piją z tych rzek i strumieni.

Król złota myślą sięga daleko, biegnie ona z Cejlonu na Jawę; z Południa na Północ, z Zachodu na Wschód, goni za żaglami wracających „do błękitnych portów" okrętów. Patrzy on na sploty i węzły cyfr i liczb, widzi w nich łzy i krew i cierpienia.

Posyła pociągi do dalekich pustyń, „gdzie jeszcze tylko słońce się rusza".

Jest jednak w tych miastach coś, co nietylko swoją potęgą i władzą umysł i wyobraźnię poety do siebie przykuwa, są w nich szlachetne uniesienia wiedzy, która zawsze i wszędzie prawdy istotnej i nieśmiertelnej szuka, z miast wyrastają wielkie, piękne idee, które także i tam mają swoje królowanie. Z nich wylatuje Pegaz, co sztukę po szczeblach pokoleń i wieków prowadzi, ponosi poetę, pędząc z nim w swym podobłocznym galopie nad białą koroną świątyń Hellady, nad wiszącymi ogrodami Babylonu, nad zaglądającymi do lustrzanych wód mędrcami wschodu, zwalniając swój lot nad ciężkim krokiem centuryonów rzymskich. Florencyę i Pa-

ryż i Londyn i dalekie Ameryki zwycięża ten galop Pegaza, który ze świata całego sobie zrobił arenę.

Ten ogromny polot fantazyi, śmiałość pomysłu, szeroki krok poetycki, krok, który prowadzi poetę po schodach historyi i legendy, zbliża Verhaeren'a do wielkiego romantyka — V. Hugo, zwłaszcza, gdy się przypomni „Legendę wieków". Verhaeren czuje, czuje i przeżywa metafizyczne tęsknoty w boleści, rozrania swoją myśl mistyczną rozpaczą, wplata się w czarne dymy buchających kominów, załamuje tęsknotę w zawrotnych błyskawicach i iskrach ogromnych żarowni i — ginie razem z niemi w ciemności, spada w bezdenne otchłanie mrocznej beznadziejności.

Pociechę, ukojenie, zgodę znajduje jednak w rzeczach pozytywnych. Daremne były poszukiwania spokoju i słońca w zaobłocznych krainach, szuka i znajduje ciepło i miłość na ziemi, znowuż do niej powraca i w wodach jezior widzi pocałunki słońca, w nieprzebranych źródłach serca ludzkiego znajduje zaspokojenie swojego pragnienia, w ożywczych ruchach mas, w życiodajnych i twórczych siłach ludzkości spostrzega pierwiastek przyszłej szczęśliwości i zgody.

Głos jego staje się cichym, spokojnym, mówi z tkliwością i rzewnością. „Les heures claires" wprowadzają nas do intymnego świata poety; w uczuciu miłości do kobiety kochanej, w braterskiem umiłowaniu ludzi, świata, jego błękitnych stawów, jego ogrodów, kwiatów, złotych róż i białych lilii, znajduje poeta rozwiązanie swojej tęsknoty.

„Przecież w nas, powiada, urzeczywistnia się siła twórcza najcudniejszego i najbardziej radosnego ogrodu świata całego". Jakbyś czytał hymn do „promiennego brata słońca", albo „kwiatki" św. Franciszka z Assyżu.

W tem przywiązaniu do ludzi, w tej ufności do ich siły twórczej i szlachetności ducha i serca przypomina Verhaeren epigona romantyzmu francuskiego — A. de Vigny, który także swój bezwzględny pesymizm opanował wiarą w serce i bohaterstwo ludzkie, beznadziejność transcendentalną potrafił pocieszyć, zasklepiwszy się w prawdzie i sprawiedliwości immanentnego kryteryum moralnego, którem jest sumienie człowieka.

W „Les heures claires“ Verhaeren jest pełen wzniosłego uniesienia, bezbrzeżnego umiłowania dobra, które już nie potrzebuje być pięknem, by pociągać poetę.

Opowiada o długoletniej miłości do kochanej kobiety, straciła już ona w tej chwili powab i czar młodości, już nie błyszczą jej oczy, jak dawniej, nie nachyla poeta głowy „nad masywnym ogrodem czarnych jej włosów“, „palce kochanych rąk już nie posiadają promieni“, które niegdyś pieściły czoło poety, wszystko ginie i więdnie bez ustanku, wszystko się zmieniło, ale cóż mu z tego; kiedy serce mocne i wierzące twierdzi, że nic nie potrafi zachwiać naszej wzniosłej istoty, ponieważ „dusza nasza jest zbyt głęboką, by miłość była jeszcze zależną od piękna“.

Ostatnie utwory Verhaeren'a odznaczają się jeszcze bardziej silnie wypowiedzianą wiarą i uwielbieniem dla wszystkiego, co jest ludzkie, co jest wysiłkiem człowieka. (La Multiple splendeur).

Twórczość Verhaeren'a zarysowała się harmonijnie i syntetycznie: opanował siebie i świat. Był lirykiem, choć mówił przedewszystkiem o rzeczach objektywnych, a to dlatego, że umiał dać swoim opisom formę i ton lirycznej emocyi. Odkrył liryce współczesnej nowe źródła, gdyż wprowadził do intymnego środowiska swojego „ja“ Wszechświat i Ludzkość. Ktoś go nazwał Dantem teraźniejszości, nasuwa nam się jeszcze śmielsze porównanie: czy nie jest Verhaeren Pindarem dzisiejszym?

I czyż tragiczna śmierć poety, którą jakby przeczuwał, kiedy mówił o pociągu, jak o „żałobnym orszaku posuwających się do mroku trumien“, czyż ta odłączy go od narodu? Nie. Odpowiedź mamy daną już dawno, odpowiedź mocną i piękną. Przypomnijmy sobie „Die Kraniche des Ibikus“ Schiller'a, gdzie ginie wielki poeta, umiera jego ciało, lecz wnet powstaje on znowu, imię jego biegnie z ust do ust tysiącznego tłumu całej Hellady i duch poety króluje nad narodem, który jak jeden mąż stanął na samo wspomnienie o wieszczu. Umiera Gustaw — Konrad żyje.

W. Lednicki.

E. VERHAEREN.

NAD WYBRZEŻEM.

W kraju kanałów,
Wydm i piaszczystych zwałów,
Gdzie ręce ciche, ruchy miarowe,
Drewniaki białe, lnianki płowe,
I ludzie nawpół senni kroczą,
Powiedzcież, żyć tam, w nadbrzeżnem przeźroczu!

O! ku zachodom wykąpanym w złocie,
W nieznane mi światy,
W burzy i gromów łomocie,
Jechałem przed laty.

Powiedzcież, żyć, gdzie tamtych krain strony,
U wybrzeży, wśród kołów, masztów, bark i doków,
Stary wędrowiec tylu kroków,
Wędrowiec znużony!

O! ku nadziejom zniweczonym nagle,
Wzbierały dumą statku mego żagle!

Dobra mieścina i jej ciche domy,
Wązkie okienka, wązkie strome dachy
I lśniące na nich smoły czarnej łachy,
Gdzie stary zegar od zarania
Ten sam wciąż kurant, każdemu znajomy,
Dźwięk po dwięku, powoli wydzwania.

Zwiedzałem rzeki dalekie, w mgieł płowy
Rańtuch spowite, a smutne jak wdowy.

Byłożby cicho, świeżo w mem mieszkanku,
Gdzieby służąca stara bez ustanku
O czystość dbała, a pokój mój biały
Byłżeby jasny, jak niedziela, cały?
A na mapce byłoby widać Baleary,
Tuż obok w złocie biskupie sztandary,
Tam na komodzie zasię istna dziwa:
— Patyczki drobne, sznureczków przędziwa.

Korabl, żaglowiec i rynsztunek wszelki
Wewnątrz brzuchatej butelki.

Obiegłem wszystkie kraje, to wśród rojeń
Gromkich, jak burze, to w ciszy ukojeń.

W małej karczemce, w blizkości kanału
Usiadłbym o zwykłej porze,
Kiedy u końca kamiennego wału
Latarnia światła rzucając na morze,
Łyskaniem nocną swoją spełnia wartę.
I zobaczyłbym przez okno otwarte
Brunatne barki, brunatne szalupy
W księżyca blasku, który srebrem prószy.
Patrzyłbym na odbite w wodzie kołów słupy,
Na drzewa, które u modrego brzegu
Stanęły w długim sadzone szeregu,
W tej nieruchomej i złotej godzinie,
Gdy w całym porcie nic się nie poruszy,
Chyba się żagiel źle spięty rozwinie
I zaszeleści, gdy niepostrzeżenie
Od morza ciche owionie go drżenie.

Morze, o! morze!

Morze niepewne, tragiczne,
Po którem rozwłóczyłem biedy swe rozliczne.
Od lat już jesteś mi treścią
Życia, każdego najlżejszego tchnienia,
Tak dobrze, że się w duszy mej spromienia
Każdy śmiech twoich fal i złość i żal;
Dusza ma twego życia opowieścią!
Powiedzcież, czy mi się to uda zdobyć,
Bym w portu zacisznego głębi
Z duszą, której nic nie gnębi,
Bez morza mógł się obyć?

Morze, o! morze!

Ono marzeniem mem i dreszczem,
W którym to czuję, że żyją me skronie.
Ono jest dumą, która na czoło mi wionie
Zawsze, gdy burza swym rykiem złowieszczym
Strach sieje; ręce me, skóra i włosy
Zebrały w sobie wszystkie morza wonie,
Barwa się morza w oczach moich znaczy,
Odpływów cisze, przypływów odgłosy
Są rytmem krwi mej, ducha wzlotów i rozpaczy.

Gdzie siarka ze złotem
U nieb z hebanu się pociera,
Widziałem, jak noc się otwiera
Otchłanna taka, daleka ogromnie,
Że do dziś jeszcze z powrotem
Tęsknota moja nie wróciła do mnie.

W każde o serce czasu uderzenie,
W każdej jesieni i wiosny przeźroczej,
Nachodzi obcych krajów mnie wspomnienie,
Piękniejsze, niźli zdolne widzieć oczy,
Zatoki, nieba, kraje,

Wszystko się w duszy mej obraca
I dusza sama, a z nią ludzkość razem
Naokół Boga. Zda się, na wyraje
Poprzez czas poszła, który się zatraca,
W nieskończoności ciemnie topiąc się odwieczne.
Serce me dumy, nędzy jest wyrazem,
W sobie łącząc te ziemi dwa bieguny sprzeczne.

Cóż znaczy, skąd są ci, co przed się zwrócą kroki,
Jeśli wciąż w duszy słyszą krzyk głęboki
Na zwątpień rozstajach!
Ciało me ciężkie, lecz zostać nie mogę,
Muszę iść w dalszą drogę
Po rozległych krajach.

Srogi ten wszechświat, na dróg jego sieci
Wiatr sobie hula, słońce w łunach święci;
Lepiej wyruszyć i paść zaraz z brzega,
Niźli zwycięzcą trudu dnia, wieczorem,
Z życiem ot takiem zasiąść w sercu chorem,
Co ponad życie wcale nie wybiega!

Powiedzcież, dal i morze, i cóż tam za morzem?
I podróż tą ostatnią, jakież kryję cudy?
Jakież prawdy widzenia, albo też ułudy?
Ponad czasu rozdrożem?
Powiedzcież, i te białe sygnały okrętów?
Czy w kraj jasności wiodą, czyli mąk odmętów?
I to słońce, co parzy, i już mgły przeciera
Przed dziobem statku mego, co się w drogę zbiera?

Przełożył Kazimierz Filip Wize.

Pogłosy Młodej Polski w powieści.

Gdybyśmy w naszej najnowszej literaturze powieściowej mieli tylko wielką wprawdzie, lecz znikomą przez swą treść, ilość powieści miłosnych, trzebaby było ubolewać nad upadkiem ważnego działu literatury. Na szczęście tak nie jest. Ogół czytelników polskich zdaje sobie sprawę, jak marnem i niegodnem polskiej duszy jest babranie się w odpadkach i śmietnisku instynktowności; czują to społem z ogółem wybitne talenty, skąd wypływa, że nawet autor „Dziejów grzechu" w dwóch ostatnich dziełach dokonał zwrotu, a jeśli go nie oślepia upór i zaciekła opozycya wobec przedmiotowych sądów, mógł łacno zmiarkować, o ile wątpliwej trwałości powodzenie „Dziejów grzechu" i pozbawione sensu procedury sądowe garstki niedowarzonych głów nad winą czy niewinnością bohaterki tego osławionego romansu nie przynoszą zaszczytu ani odnośnym rzecznikom rzekomej sprawiedliwości, ani autorowi, ani dziełu. Najwybitniejsi też powieściopisarze przestali — bodajby na zawsze — orać tę niewdzięczną glebę; uderzają natomiast z wielką przemocą w strunę uczuć miłości ojczyzny [1]).

[1]) Stefan Żeromski. U r o d a ż y c i a. Kraków 1912.
Tenże. W i e r n a r z e k a. Klechda. Kraków 1913.
Andrzej Strug. L u d z i e p o d z i e m n i. Lwów 1908.
Tenże: Z e w s p o m n i e ń s t a r e g o s y m p a t y k a. Kraków 1909.
Tenże: J u t r o. Kraków 1909.
Tenże: O j c o w i e n a s i: Nowela. Kraków 1911.

Najwięcej tych powieści wyrasta na tle wiekowej nienawiści ku głównemu gnębicielowi narodu naszego — Moskalom. Nieugięta i niezłamana niczem odporność polskiej duszy, wystawionej na tysiąc prób i pokus, we walce z tysiącem wątpliwości — oto dzieje udręki Piotra Rozłuckiego w „Urodzie Życia“ Żeromskiego. Dusza polska, zepsuta i wynarodowiona przez wpływ rosyjski, toć to przed Żeromskim nieraz już dawało wątek powieściom, choćby przypomnieć Orzeszkowej „Australczyka“ lub Rodziewiczówny „Szary proch“. Żeromski atoli głębiej wniknął od swych poprzedników w polsko-rosyjskiego metysa, wskazał wszystkie zapadłości i szczerby, jakie wyżłobiła w nim obca kultura.

Prawda — do obrazu wyjaśnionego wiódł długą i zawiłą drogą: od penzeńskiej gubernii, gdzie się Piotr Rozłucki u bogatej ciotki, Natalii Nietymkin wychował, prowadzi go autor przez Petersburg, Warszawę, Kieleckie, Podlasie, Paryż, Berlin, Kraków, znowu Paryż, Amerykę, Londyn, jeszcze raz Paryż — do Belgii i na morze... Kreśli długą kolej przeżyć bezdomnego człowieka. W pierwszej części kierują nim dwie mogiły, do których zagląda często, z przejęciem i głęboko: mogiła ojca Jana, bohatera znanego nam z „Ech leśnych“ i mogiła samobójczyni Tatiany, rosyjskiej kochanki. Piotr to nieszczęśnik. Jego umysłowość barwi się fałszami wiedzy rosyjskiej; jego serce zatrute jadem egoistycznej i niechrześcijańskiej etyki; jego uczucia narodowe, stłumione na-

---

Urbanowska Zofia. Wszechmocni. Warszawa 1909.
Ta sama: Cudzoziemiec. Opowiadanie. Warszawa 1912.
Słoński Edward. Partya. Romans rewolucyjny. Warszawa 1911.
Marya Jehanne-Walewska. Kryjaki. Kraków 1914.
Artur Gruszecki. Nad Wartą. Pow. współczesna. Warszawa 1905.
Tenże. Światłodawcy. Pow. współczesna. Warszawa 1909.
Tenże: W starym dworze. Kraków 1913.
Tenże: Kandydat. Warszawa 1914.
Tenże: Przebudzenie. Pow. współczesna. Warszawa 1914.
Tenże: Bojownicy. Kraków 1908.
Tenże: Na wulkanie.
Władysław Orkan. W roztokach. Lwów 1910.
Maciej Wierzbiński. Pod mysią wieżą. Warszawa 1912.
Wacław Sieroszewski. Zacisze. Kraków 1913.
Józef Weyssenhoff. Gromada. Powieść. Warszawa 1913.

ciskiem, wywieranym systematycznie przez ćwierć wieku, muszą szukać prawdy w mogile ojca, odkopanej tajemnie; ale ponad to, tkwi w duchu jego hyperkrytycyzm w pojmowaniu świata, życia i własnej natury, a romantyzm w rozpędzie do realizowania własnych mrzonek czy marzeń. Gdziekolwiek jest, wśród czegokolwiek żyje, wszędzie i wszystko radby przeistoczyć, a i w sobie coś radby pokonywać. Dla tej manii zwalczania czegoś w sobie odtrąca Tatianę, odtrąca protekcyę Moskala Polenowa i Polaka hr. Nastawy, staje się zlepkiem niekonsekwencyi i jałowego marzycielstwa, nieużytkiem społecznym w tak ostrej formie, jaka się tylko da wyobrazić. Wciąż innych oskarża, a i siebie nie pieści— choć w duchu ma się za geniusza. Był Moskalem, zmienił się w Polaka, potem w wędrówkach po świecie stał się „człowiekiem nagim", tj. zdarł ze siebie wszelką skorupę plemiennej przynależności; chociaż na samem dnie tkwiło w nim coś polskiego, jakby jakiś jęk zbolałej duszy. Człowiek ten podobny nieco do dr. Judyma z „Bezdomnych". Mieszaniec romantyzmu, pozytywizmu i modernizmu, ale natura odruchowa, wartka i gniewliwa, a pomysłowa i paradoksalna — czy wtedy, gdy „wrzał od głębokiej a poskromionej pasyi" ku wielkiemu księciu, mającemu go egzaminować (I. 6-7), czy wtedy, gdy — jak Judym — marzy o użytkowaniu wody rzecznej na dobro kraju, o zbiornikach elektryczności, oświetlających rozłogi, o drogach ze szklanych tafli, o pięknych szklanych domach z meblami ze szkła, błękitnych, różowych, białych, o budynkach rolniczych szklanych i t. d. (II. 128).

Skąd tytuł „Uroda życia"? Czy nie jest on krwawą i gorzką ironią? W obu tomach obrazy właśnie nieurody: nędzy Polski szlacheckiej i chłopskiej, ohydy rosyjskiego czynownictwa, nadużyć gospodarki księżej. Z jakiem naigrawaniem się malowany fikcyjny i nieprawdopodobny jakiś ów sąd nad Wolskim w klasztorze krakowskim! Wolski — ofiara, bohater, a cały sąd: intryga, hipokryzya, niesprawiedliwość, gwałt nad ludzką duszą.

Albo owa czeladka Kozdroja, owi uczniowie, palący machorkę, pijący gorzałkę i grający w stukułkę, nocami buszujący w „newnej instytucyi" za czerwoną firanką.

Nienawiść — zda się — zionie z tych kart ku wszystkiemu,

co polskie, zwłaszcza ku katolicyzmowi; przydech tej ostatniej nienawiści najsilniejszy. Wyjęci z niej tylko chłopi. Wyraźnie mówię: nie lud, jeno chłopi. Tych Żeromski traktuje nie bez widocznego sentymentu.

W wykonaniu powieść „Uroda życia" należy do słabszych dzieł Żeromskiego. Są tu wprawdzie karty krwią i łzami pisane, w gorący, wybuchowy sposób. Taki opis odkopania mogiły ojca przez Piotra. Są potężne potrącenia o duszę polską: niekiedy ogarnia Żeromskiego uniesienie twórcze i wówczas mkną niewstrzymaną falą potoki mocnych obrazów. Częściej niestety, szczególniej w drugim tomie, spisuje autor regestrowo wszystko, co mu zmęczona myśl podsunie i snują się anegdoty bez końca, zaprawione oryginalną, ale niezawsze piękną frazeologią, naszpikowane materyałem słowniczym, niezawsze szczęśliwie wynalezionym. Jeżeli słusznie zarzucano „Popiołom" i „Dziejom grzechu" zamęt kompozycyi, to „Urody Życia" zarzut ten dotyka w wyższym jeszcze stopniu. Żeromskiemu widocznie brak tchu na długie dzieło. Arcydzieła jego: „O Walgierzu Udałym" i „Echa leśne" były krótkie.

Do nich należy też „Wierna rzeka". Zajęła ona naczelne miejsce pośród licznych w ostatniej dobie powieści niepodległościowych i wdarła się głęboko w uczucia polskich czytelników przerażającymi obrazami męki, bohatersko znoszonej dla wzniosłej idei. Po bitwie pod Małogoszczem powstaniec, książę Józef Odrowąż, szeregowiec, z kulą w biodrze, z okiem rozbitem, z mnóstwem ran od pałaszy i bagnetów, uznany za trupa, pełznąc długo i mozolnie, dotarł do dworu w Niezdołach, gdzie był tylko głuchy starzec, kucharz Szczepan Podkurek i młoda panna Salomea Brynicka, kuzynka dziedziców. Mężna panna obmyła i owiązała rany, nakarmiła kaszą, ułożyła w swem łóżku — i tu Odrowąż przechorował potężnie i długo. Do dworu wciąż nocami wpadali powstańcy czy Moskale. Czyniono wiele rewizyi. Dziewczę i starzec tysiącem wysiłków ocalali nędzarza, aż zjawiła się księżna-matka i wywiozła syna do Włoch. Salomeę i księcia splotła miłość płomienna, na śmierć. On — choć ją kochał, odjechał. A matka wcisnęła jej trzos dukatów, które Mija wrzuciła do rzeki.

Powieść pisana językiem i stylem pięknym, ciętym, jak ostrze

klingi, świetlistym, jak błysk południowego słońca. Stron pięćdziesiąt — czar ogarnia duszę; stron sto — czar rośnie i potężnieje. Zachwyt rozpiera serce.

„Echa leśne" — to chyba miniatura „Wiernej rzeki". Przez ogromne, puste domostwo, niby przez sień publiczną, przeciągają wrodzy ludzie i tropią: wątłej pannie i niedołężnemu starcowi udaje się ratować nieszczęśnika z takich opresyi, że serce drży o los jego. A czyny bohaterskie: to jazda Salomei po doktora, to dźwiganie prawie trupa do siennej studni w stodole przez Szczepana! A te uboczne postacie — jak ze śpiżu lane, np. Hipolita Olbromskiego, syna Rafała z „Popiołów"!

Ma się wrażenie, że wielki talent Żeromskiego oczyścił ją z nalotów plamiących, że się potężnie w sobie skupił, aby ze spławu sił swych dodatnich wydać arcydzieło.

Koniec atoli psuje wrażenie. Jest on estetycznie i psychologicznie zły, a etycznie brzydki. Rozdział dziesiąty już toczy się po pochylni. Żeromski swoim zwyczajem wżera się w duszę Salomei — dotąd bohaterską. Salomeę pogrąża w topiel zmysłową.

Tego fatalnego błędu psychologicznego nie usprawiedliwią żadne wywody. Po bohaterstwie — zwykły upadek w kałużę zmysłów. A „książę pan" raczył łaskawie ją zhańbić. Błąd mści się na dziele. Analiza uderza w styl przesadny, barokowy, przypominający obrazy „Dziejów grzechu". Mija „kładła na sercu, gorejącem w płomieniach, tę chwilę, która biegła, i kołysała ją na łonie swem, błagając, żeby trwała", to znów: „wyciągnięte ręce chwytał i załamywał los" i t. d. Styl nabrzmiewa zwrotami nienaturalnymi; autor w dzieje duszy Salomei wtrąca własne sądy; usiłuje usprawiedliwić księcia domniemaniem, że szedł on „w nieświadomości" do swego czynu, „wdeptywał bez litości miłość w ziemię" — także bez świadomości. Wszelako poznaliśmy go, jako człowieka samodzielnego, tęgiego duchowo — a postąpienie jego z Miją — bezecne.

Ponad tą doliną łez ludzkich jedna natura roztacza miłościwie swe ukojone i kojące skrzydła anielskie. Tylko wierna rzeka w łono swe bierze okropne ludzkie tajemnice i śmiertelnie znękane ludzkie ciała.

Doliną łez nazwę obrazy Andrzeja Struga, który talentem i tendencyą najbliższy Żeromskiemu. Strug dotąd nie napisał ani jednej większej powieści. Same drobne studya psychologiczne i obrazki: „Co złe, to w gruzy", „Wigilie" „Z ręki przyjaciela", „Na stacyi", „Ojciec i syn", „Z powrotem", „Odruchy", „Jutro", „Mogiłka", „Ich syn", „Pan i parobek", „Posiew śmierci", „Polaki" — wszystko epizody i fragmenty, wzięte z agitacyi socyalistyczno-rewolucyjnej w Królestwie lub z walki niepodległościowej styczniowego powstania.

Są to sylwetki ludzi poziemnych, nieszczęśliwych i w swojej egzystencyi ziemskiej zagrożonych przez brutalną przemoc wroga, a tak owładniętych do głębi istoty swej namiętną ideą buntu przeciw tej przemocy, iż owa idea daje wykolejeńcom, nieszczęśnikom i łachmaniarzom tęczowo lśniącą aureolę bohaterstwa. Czyto zapożyczony przez Struga od Kuprina Helbik, skrzypek, nędzarz i pijaczyna, ale w grze swej, jak ów bohater kuprinowski z „Gambrinusa" rozmiłowany serdecznie, czy ścigany przez srogą sforę gończą policyi, a dzielnie umykający rewolucyonista Tański, czy dwaj emigranci: zgryźliwy Gawarski i jowialny Janek, niosący Warszawie odrodzenie w postaci paki „bibuły", czy ów na śmierć w 1905 r. skazany, a w rozmyślaniach o nieodwołalnem jutrze przebywający agonię duszy, życie i wir działania namiętnie kochającej, a w śmierci nie widzącej nic prócz gnicia trupa, czy dziedzic Złotowski wraz ze swym parobkiem dawnym, Frankiem na okrutną poniewierkę w Nerczyńsku skazani społem, czy panna Helena, którą posiew śmierci odarł z wiary w Boga, ludzi i ojczyznę, czy nareszcie ów demokrata i chłopoman Roszkiewicz i twardy szlagon Rusiecki: wszystkie owe figury, wspólnem krzyżmem ofiary i abnegacyi uświęcone, pod wspólnem jarzmem cierpienia jęczące, żyją, stają nam się w swych bolesnych rozmyślaniach zrozumiałe, blizkie i drogie — nam, w dostatek i spokój obficie wyposażonym. Nawet w opinii naszej wyrastają nad przeciętną miarę, pomimo całej ich nędzy, czasem śmieszności, a czasem i występków. Dzieje się to talentem Struga. On je wyjął ze swej głęboko zranionej i głęboko czującej duszy, on je zaopatrzył w tak wyłączną żądzę zdobycia ideału i walki ze złem, że wszelkie drobiazgi

maleją i nikną wobec czynu, ku ideałowi rwącego. Struga talent, jak i Żeromskiego, z przejmującym i do głębi wstrząsającym realizmem przedstawia bolesne szarpania duszy. Dramatyczne napięcie niektórych obrazków z „Ojcowie nasi" wprost o drżenie przyprawia czytelnika. Splata się tu prawda i zmyślenie w nierozwikłany węzeł. Ogromnie plastyczna wyobraźnia autora i drobiazgowa obserwacya wypełniają obrazy wielką ilością szczegółów konkretnych, a na tle prawdą uderzającej dekoracyi czasu, miejsca, otoczenia, dyalogu — ukazuje się dusza ludzka, rozpięta na ruszcie męki. Zawsze. Niemasz u niego szczęścia. Niema słońca. Ponury i martwy, nieczule obojętny las, noc, katorga, ciemna komora więzienna, a na tem tle: szał, obłęd, rozpacz — wszystkie psy wściekłe, kąsające ludzkiego ducha. Książki Struga napełniają też i czytelnika duszę po wręby smutkiem i tłumią radość życia, a dla myśli dają żer długotrwały. Strug, jak i Daniłowski, w powieściopisarskiej metodzie, w liryzmie swoim i w środkach zdobycia jak największej siły uczuciowej zapomocą słowa, są następcami i uczniami Żeromskiego. Ale wyższość Struga nad Daniłowskim wynika stąd, że w pościgu za tematem nie dba o senzacyę, że nie kala kart dzieł swych obrazkami lubieży, że jest prawdziwszy, głębszy i prostszy, że tchu na rozległą kompozycyę powieściową nie mając dotąd, nie kusi się o nią, jak Daniłowski, którego dwutomowa „Jaskółka" pęka i rozpada się we wszystkich swych spojeniach, mimo wysiłków autora. Twórczość Struga dotychczas zamyka się dość ograniczonem koliskiem. Jednakże zbiór „Ojcowie nasi" dowodzi potężnienia niezwykłego talentu i budzi wiarę, że talent w rozwojowym pochodzie nie utknie.

Ruch rewolucyjny 1905 w Kongresówce, pięćdziesięciolecie styczniowego powstania, obchody rocznic narodowych w połączeniu z niezliczoną ilością czynników pomniejszych, w związku z ożywczym powiewem prądu narodowościowego w całej Europie sprawiły, żeśmy mocniej zaczęli wyczuwać krzywdy, czynione nam przez ujarzmicieli, że jaśniej zaczęliśmy zdawać sobie sprawę z naszej odrębności plemiennej, wyżej ważyć starą swoją kulturę, śmielej dopominać się o należne nam prawa, mądrzej zabiegać o przyszłość w uświadomieniu przeszłej roli i samopoczuciu obecnej war-

tości. Do wytworzenia tego stanowiska naszego w koncercie zbiorowości europejskiej dopomogły nam prace wybitne czynnych polityków polskich, dopomogły dzielne głosy publicystów i prasy, dopomogła ekonomiczna produktywność w niektórych gałęziach wytwórczości, a także nie bez niejakiego — acz skromnego — znaczenia pozostała i powieść, zwłaszcza ta jej gałęź tendencyjna, która do waru narodowego entuzyazmu czyli nawet szowinizmu miała odwagę dorzucać ziarnko gorczyczne krytyki.

Warszawski zamęt 1905 roku ,zakończony szalejącą po kraju orgią bandyckich grasantów, nie czekał długo na surową ocenę publicystów i powieściopisarzy. W „Róży", dziele potężnie napisanem, napoły poemacie, napoły rozprawie, Stefan Żeromski wskazuje rakowate plamy na organizmie rewolucyi. Była ona zła dlatego, że po pierwsze podług głosów międzynarodowego socyalizmu Polskę z Rosyą skuł przemysł; powtóre socyalizm za warunek niepodległości Polski uznał dyktaturę proletaryatu; po trzecie wodzowie dla własnej pychy lud na śmierć pchali, lud zaś ciemny wolał żyć w głodzie, niż nie żyć wcale, stąd coraz liczniej zgłaszał się do ochrany; po czwarte powstał bandytyzm i żądza grabieży, a lud robotniczy, dorwawszy się władzy, okazał się niemniej bezecnym, jak fabrykanci; ujawniła się tyrania, wyzysk, zdrada, rozpusta; podniosło się niebraterskie hasło: trzeba strzelać w łby, w których się pali ogień buntu.

W „Hetmanach" Weyssenhoff podejrzewa, że rewolucyę zrobili Rosyanie i Niemcy, widzi fałsz, słabość i niewczesność całej akcyi; na czoło miasta wystąpiły takie twarze nędzne i groźne, jak pryszcze, wyrzucone na skórę przez śmiertelną gorączkę. Dusił smród tych dusz, których miliony nazywa swoim narodem.

W „Wirach" poddaje Henryk Sienkiewicz surowej krytyce stronnictwa polityczne, czynne w chwili rewolucyi. Z socyalizmem idą razem rozbój, zdziczenie, ślepota; przezwał się on polskim, lecz czuć go o milę dziegciem; narodowi demokraci mają, jeśli niemniej spocone, to i niemniej ciężkie pięści od socyalistów; realiści wychodzą orać pod wiosenne zasiewy w grudniu, tj. wówczas, gdy lemiesz nie chwyta zmarzniętej ziemi; a poza temi stronnictwami politycznemi są też rozmaici „Wołynianie z polską kulturą czy Li-

twini z polską kulturą", co samo już wystarczy za określenie ich narodowości.

W „Dzieciach" Bolesław Prus uważa za nieszczęście to, że polska młodzież za obowiązek swój miała popierać rosyjską rewolucyę. „Mamy wrażenie — mówi jedna z osób czynnych w rewolucyi — że poza naszymi warchołami i ewentualnymi zabójcami stoi ktoś inny, komu bardzo zależy na tem, ażeby w kraju upadł przemysł, rolnictwo, wszelki dobrobyt i ażeby stan wojenny trwał, Bóg wie, jak długo (210).

W „Partyi" Edward Słoński w jaskrawy sposób maluje znikczemnienie młodzieńca, wciągniętego w lej rewolucyjny. Siedmioklasista organizuje strejk studencki, poczem staje się socyalistą i bojowcem, rabuje monopole, sklepy i banki, kradnie z sumy zrabowanej tysiąc rubli, zabija mydlarza, morduje towarzysza, rozpija się i ginie z rąk bojowców. We wszystkich tych powieściach, wydanych w latach 1909, 1910, 1911 — ludzie rewolucyi to natury przeważnie miałkie, egoistyczne; odwagi i rozwagi za grosz miedziany; kłamstwo u nich łatwe i bez skrupułów; czyny odruchowe; natury pełzaczy — nie orłów.

Wszystkie te powieści są srogiem potępieniem t. zw. rewolucyi warszawskiej w 1905 r., a już same rozgłośne nazwiska autorów dają gwarancyę tego, z jaką przemożną siłą talentu i płomiennego przeświadczenia o złem, z jaką goryczą, lecz zarazem i dobrą wolą pragnęli wyłuskać prawdę, wskazać ją rodakom i umysły ku niej przechylić. Oświetlając w obrazach głównie strony ujemne, zaniedbali nieco ideał; zajęci głównie rewolucyjnym zamętem i jego twórcami w chwilach walki, powieści swe pisali krwią i łzami, nie zagłębiając sondy ani w zdrowe i dzielne cząstki organizmu narodowego, ani też dotykając tych niedomagań życia naszego, które występują w czasie pokojowym w postaci trwałych konfliktów, utrudnień czy zasadniczych plemiennych różnic, jakie nam przynosi życie w niewoli. Tu już w grę wchodzą sprawy narodowości, sprawy gospodarcze, oświatowe, przemysłu i handlu, słowem ideały praktycznego życia.

Ta serya powieści przypomina nieco polską powieść w kraju po r. 1831 w początkach literackiej pracy Kraszewskiego i Korze-

niowskiego, a także w okresie krzątań się pozytywistów i stańczyków po styczniowem powstaniu, kiedy Orzeszkowa, Prus i Rodziewiczówna nawoływali do utrzymania ziemi, do pracy wytwórczej do gospodarki zdrowej, trzeźwej i produktywnej. Strumień literackiej twórczości toczy się więc linią falistą. Raz uczucie i wyobraźnia wzbiorą tak, że ideały wzniosłe miotają pęki świateł na serca ludzkie i wypromienią rząd dzieł o górnych nastrojach i przepysznej formie; to znów rozsądek i trzeźwe liczenie się z warunkami bytu szukają środków trwałego utrzymania zdobyczy narodowych i zabezpieczenia rozwoju ekonomicznego, a dzieła — choć szare formą — mogą jednak o prawo do względów zabiegać.

Do takich to dzieł należą dwie powieści Zofii Urbanowskiej: „Cudzoziemiec" i „Wszechmocni". Pierwsza — drobiazg. Motywem głównym plemienna niechęć między Polką i Niemcem. Ograna to struna i na niej nie potrafiła autorka nowej zanucić melodyi. Za to druga zgoła niepowszednia. Napisana dawniej, wydana ponownie w 1908, nie straciła nic na aktualności i w treści swej, i w idei, i w metodzie powieściopisarskiej; co więcej — wzorem mogłaby służyć, bo tchnie z niej klasyczna siła i powaga. Rzecz dzieje się w Królestwie, w mieście, którego zaniedbany, niechlujny ustrój odsłoniłby się oczom dopiero teraz, czasu wojny, jak to się właśnie stało z tylu mieścinami, dotychczas prawie nieznanemi świadomości polskiej. Wszechmocni — to urzędnicy miejscy — Moskale: burmistrz, naczelnik powiatu, naczelnik policyi, kwatermistrz i ławnicy miejscy. Gnębią i wyzyskują obywateli, fałszują akta, kradną pieniądze, oszukują i kłamią na każdym kroku, popierani przez władze wyższe: gubernatora, generał-gubernatora i ministra. Podjął walkę z zastępem tych łajdaków młody szlachcic, Jerzy Wilczek, doktór prawa i filozofii, który, zamiast szukać świetnej karyery we Francyi, osiadł do pracy w rodzinnem miasteczku. Żelaznej woli, uczciwy i zacny, mężny i przytomny, doskonale znający ustawy i oparty o nie, długo toczy śmiertelne zapasy ze stajnią Augiasza, łamiąc i krusząc jej podłe podstępy. Zwycięża przy moralnej pomocy dwóch kobiet: staruszki Wilczkowej i jej wnuczki.

Powieść napisana po dickensowsku. Charaktery rozwijają się

na tle wydarzeń. Rozwój ich uwydatnia się częściowo w dyalogach, częściowo w zwięzłem sprawozdaniu ze zmian, dokonywanych w duszach osób pod wpływem akcyi. Stąd nacisk na szczegóły akcyi, stąd dramatyczność scen, ale i spokój epicki w ich układzie, stąd prostota narracyjnego stylu, jasność i ciągłość w ugrupowaniu wypadków, a przez to i w kompozycyi całości. W toku akcyi nie brak głęboko wzruszających momentów. Skala tych wzruszeń bogata. Inne uczucie ożywia miłosne zeznania Jerzego i Jadwigi, inne ratunek, niesiony przez Jerzego ludziom w czas pożaru lub powodzi, inne starcia się uczciwej jednostki z tłumem rzezimieszków, inne męka duchowej niemocy walczącego o dobrą sprawę, inne melancholii pełne wspomnienia lat powstańczych. Ale cały ów liryzm nie kusi się o górne słowa, jaskrawe obrazy. W samem przeżyciu tkwi materyał wzruszenia i cel osiąga, aczkolwiek to przeżycie ujęte w ramy niesztucznej techniki słowa.

A kobieta Urbanowskiej nie zna kompromisów z cnotą, patryotyzmem i religią. Jadzia kocha Jerzego, lecz ma moc poddania swego uczucia nakazom wyższego rzędu. „Żeby mię zdobyć — mówi — trzeba mieć serce, przepełnione miłością, która słabe dzieci przemienia w mężów, a męczennikom w godzinę śmierci daje uśmiech tryumfu". „Miłość kobiety może być osłodą życia mężczyzny, ale nie powinna mu być jedynym celem... przynajmniej tu, w tym kraju". „Nie będę twoją żoną, jeżeli kraj ci jest zupełnie obojętnym, jeżeli cię tu nie trzymają żadne wyższe pobudki". Dzisiejsze bohaterki Nałkowskiej lub Walewskiej przypięłyby niezawodnie Jadwidze etykietę: mamut; powiem jednak po staremu, że w charakterze Jadwigi więcej stokroć siły i zdrowia moralnego, niż w „Elach i Narcyzach", stoczonych przez skira rozpusty. Wszakże i miłość Jadzi nie jest wyłącznie instynktem. Da się nawet w najmocniejszym swym porywie opanować refleksyą, która jej nie tłumi, lecz uszlachetnia i pogłębia. Oddanie się może być aktem woli, nie zaś katastroficznym zanikiem wszelkiej władzy nad sobą wobec wszechwładnej burzy instynktów. Wówczas prawdziwa miłość sięga jasnowidzeniem w przyszłość i widzi w niej albo trwałe szczęście, albo zgniły żal, pustkę wrażeń, bezbrzeżną nudę i go-

rycz, widzi snującą się smugę wzajemnej niechęci i nienawiści; z pod płomienistej maski szału odsłania się potwornie wykrzywione oblicze nieszczęścia, albo anielsko uśmiechnięta twarz dozgonnej przyjaźni. Dlatego powiadam, że Jadzia ma się tak do El i Narcyz, jak życiodajne światło słońca do migotliwych i krwawych rozbłysków szalejącego pożaru.

Artur Gruszecki, bystry spostrzegacz, wyłowił w spółczesnem naszem życiu sporo zagadnień, które rozpatrzył w szeregu powieści.

W powieści „Nad Wartą" jeszcze raz po Korzeniowskim Kraszewskim, Orzeszkowej, Prusie i Rodziewiczównie z mniejszym talentem rozpatruje przebieg walki o ziemię pomiędzy żywiołem polskim a niemieckim. W powieści „W starym dworze" to samo tylko na kresach dawnej Polski pod zaborem rosyjskim. Upadła do szczętu kultura szlachecka. W Babinie rządzą ludzie brutalni, chciwi pieniędzy, prości czumacy. A ziemia — skarb bezcenny: dobroczynna dla każdego porówno, kto ją ukocha. Nieraz udaje się powieściopisarzowi wywołać w uczuciach czytelnika elegijne rozżalenie nad atmosferą prastarej siedziby przodków, zdanej obecnie na łup grubych, grabieżnych łap prostackich dorobkiewiczów. Końcowy swar trzech braci o schedę, przy trupie nieostygłym jeszcze dziada, brzmi jak ostry i zgrzytliwy finał dramatu.

W powieści „Przebudzenie" daje Gruszecki obraz walki ekonomicznej Polaków z żydami w Warszawie. Akcya skupia się około losów kantoru Lelickiego i sklepu Lińskiego. Po stronie żydów — oczajdusze, występnymi środkami osiągający pieniężną przewagę, wrodzy i obcy ideałom polskim, a szczelnie skupieni, jak ogniwa stalowego łańcucha; po stronie Polaków — chwiejni i ślepi, nieporadni i niedołężni, dający się wyzyskiwać i strzydz, jak owce. Dopiero żywiołowe uniesienie pod hasłem: swój do swego otwiera wrota ekonomicznemu wyzwoleniu.

W powieści „Światłodawcy" odsłania bagno protekcyi i sługalstwa w Galicyi, potępiając w czambuł władze szkolne i nauczycielstwo ludowe. Władza — podnóżkiem panującego systemu; nauczycielstwo leniwe, samolubne, niesolidarne i niewykształcone:

plany naukowe, instrukcye i podręczniki szablonowe, przestarzałe, „do dyabła z niemi"; ogół na sprawę oświaty ludu obojętny.

W powieści „Kandydat" w Krakowie walka konserwatystów z postępowymi o placówki zarządu miejskiego. Jest to kartka z miejscowych intryg magistrackich.

Braku pomysłów tedy u Gruszeckiego niema. Sypie, jak z rękawa, powieść za powieścią i z podziwu godną ruchliwością umysłu wyławia z powodzi spółczesnego życia grube ryby i mniejsze płocie, a zawsze prawie ma własny punkt widzenia spraw. Niestety — uznając zaletę aktualności — trudno oprzeć się żalowi, że artystyczna wartość dzieł tych bardzo nierówna, a nawet powaga pomysłów bardzo nierównomierna. Na przykład z pośród pięciu powyżej wymienionych — tylko „Przebudzenie" stoi na wysokości dzisiejszej techniki powieściowej. Akcyę ma żywą, rysunek postaci energiczny i konsekwentny, charaktery rozwijają się przez dyalogi wartkie i rzeczowe, bez frazesów i gadulstwa; kompozya nie zawiła, ale w wykonaniu pełna realistycznych szczegółów — słowem kawał zbiorowego życia, dla nas pełnego interesu. Nie odczuwa się nawet wśród przebiegu dramatycznych scen braku głębszych akcentów psychologii. Inne zaś powieści chorują na jednostronność ujęcia, na banalność typów, na wodniste i niezgrabne dyalogi — pisane jakby w pośpiechu i na zamówienie. Nie lepiej ma się rzecz z powieściami, wyjętemi z rewolucyi 1905 r.: „Bojownicy" i „Na wulkanie". Są to kroniki zapewne zmyślonych wydarzeń, regestrujące w bezładzie mało zajmującym i pozbawionym najczęściej dramatycznego napięcia podziemną robotą spiskowców. Szkoda, że Artur Gruszecki za dużo tworzy: opłaca to niewątpliwie wewnętrzną wartością dzieł i trwałością ich znaczenia w literaturze.

Nie on zresztą bywa na to narażony przez molocha prasy, domagającego się żeru. Da się prawie to samo powiedzieć o Macieju Wierzbińskim, autorze „Małżeństwa na próbę", „Oazy miłości", „Szalonego roku" i „Pod mysią wieżą". Dwie pierwsze małej wartości, trzecia dopiero się drukuje; „Pod mysią wieżą" daje widzenie nowego dla nas świata i nowych ludzi. Dlatego godna uwagi — zwłaszcza, że obejmuje inteligencyę małomiejską, szlachtę zamo-

żną i lud na Kujawach, zatem środowisko rozległe i wybitne jednostki. Środowisko miejskie złe: dba tylko o materyalne interesy; dla osobistego zysku gotowe poświęcić sprawy ogółu; poczucie narodowości pełga wątłym kagankiem; lęk przed pięścią mocniejszego ma zbyt wielkie oczy; zaśniedziałe w przesądach towarzyskich i obyczajowych, bez skrupułu ostracyzmem ściga każdego, kto nie chce ułożyć się do norm opinii publicznej. Tak widzi je i tak ocenia autor powieści, zaczem potępia wogóle i w szczególnych przedstawicielach. Ale bez zastrzeżeń pisać się na sąd p. Wierzbińskiego nie lekko. Bo oto co mówią fakty jego powieści. Bogaty szlachcic, Zbigniew Broniewicki, wrócił z włoskiej podróży z kochanką Cateriną. Miał z nią dwoje dzielnych dzieciaków. Kochankę wydał za rybaka, dzieciom dał własne nazwisko. Są ładne i zdrowe, bo — jak się wyraża — „matka była patentowaną „Mutterstutte". Okoliczne dwory zerwały z nim stosunki: on psy na nich wiesza i gardzi ich zdaniem. Sprowadził pannę — także patentowaną — do hodowli drobiu i dzieci, a sam wybiera się na wschód po nową odaliskę: Gruzinkę lub Czerkieskę. Wtem spotyka Kujawiankę Prawdzicównę, nowoczesną pannę, jak sam jest nowoczesnym mężczyzną. Wstęp do domu rodziców panny zamknięty, przeto dwoje „nowoczesnych" ludzi romansuje poza domem rodziców. Dwa światy zatem. Stary rządzi się w obyczajowem życiu tradycyą, nowy ją lekceważy; stary w stosunkach z Niemcami nie gardzi kompromisem; nowy, narodowo bardziej uświadomiony, umie się bronić przed wynarodowieniem; stary w wierzeniach i uczuciach trzyma się religii i moralności chrześcijańskiej, nowy nie zna skrępowań, a miłość traktuje, jako zjawisko czysto fizyologiczne. „Inteligentnik ocenia człowieka i zjawiska życiowe z fizyologicznego, naukowego punktu widzenia, a filister z wieżycy parafiańskiego kościoła" (369). Powieść odsłania szeroki widnokrąg na Kujawy polskie, nawet na Wielkopolskę. Nie zacieśnia się wyłącznie do erotyki. Bohater, dzielny ziemianin, tworzy kółka rolnicze i kieruje niemi rozumnie i praktycznie. Jako organizator i uczestnik wieców chłopskich, jako energiczny obrońca polskości—dodatni; mniej jako ojciec i wychowawca swych nieślubnych dzieci, bo tylko pieścić je umie i unosić

się nad ich fizyczną urodą. Piętą jego achillesową—bujny temperament i popęd zmysłowy. Cała sprawa z Cateriną, pragnienie odaliski, epizod z Kaśką (str. 81—2), wzmianki o romansowym sukcesie z doktorową w Sujkowie (str. 224), lęk przed tem, aby Marynka nie „wspomniała" mu publicznie w śpiewce jakiejś wiejskiej dziewuchy (str. 320), — wszystko potwierdza, że to głównie... kobieciarz.

Pomimo tej słabej strony powieść dowodzi, że literatura w Wierzbińskim zyskuje tęgą siłę. Liczne ułomności formy zacierają się dodatniem wrażeniem całości. Na ogół język Wierzbińskiego w tem dziele zyskał na słowniczym materyale, stał się w porównaniu z dawnym jędrniejszym, choć razi zrzadka wtrętami barokowymi.

Z tej samej sfery społecznej, to jest ziemiańskiej, lecz z innej dzielnicy polskiej, z Królestwa, wziął Wacław Sieroszewski materyał swej ostatniej powieści „Zacisze". Pokusił się o zadanie trudne: zobrazować psychologię ziemiańską w latach pozytywizmu, zatem przed trzydziestu laty. Trochę to już należy do historyi, trochę do chwili bieżącej — i niełatwo skonstruować duchowego człowieka z owego czasu tak, iżby w nim się zarysowały zarody pierwiastków duchowych romantyzmu przedpowstaniowego, pozytywizmu z lat 1880—90 już z nasionami neoromantyzmu. Sieroszewski usiłował dokonać zadania w ten sposób, że akcyę prawie usunął ze swej powieści. Zapewne — coś się i tu dzieje. Są śniadania, obiady, podwieczorki, wieczerze, polowania, wyprawy na grzyby, wycieczki do lasu, rybołóstwo, konne przejażdżki; są zabiegi o miłość, zatargi dworu z chłopami o las, o serwituty; jest nawet zabicie człowieka i zamach samobójczy czy śmierć w pojedynku, — ale to są luźno ułożone wydarzenia, nie związane przyczynowo w jedną artystyczną całość. Mogły być, mogłyby nie być, mogłoby ich być dziesięć razy więcej. Autor szkicuje je niedbale, jak niedbale kreśli fizyczne sylwetki ludzi. Raz Józio nazywa panią Romocką stryjenką, drugi raz ciotką, Karpowicz znany tylko z nazwiska, Cesia tylko z imienia; plączą się osoby bez treści, np. pani Tołłoczko. Ludzie stają się symbolami różnych przekonań i poglądów na życie, społeczeństwo, religię, stosunek

Rosyi do Polski, na rolę ludu, stosunek szlachty do ludu, na cele i widoki Polski w przyszłości. Oto główne zadanie „Zacisza". Poglądy owe wkłada autor w usta ludzi trzech pokoleń. Najstarsi są bądźto pieczeniarzami, jak rezydent pułkownik Jaskólski, bądźto groszorobami, jak skrzętny i zabiegliwy Domański, bądźteż zgorzkniałymi marzycielami, jak Rwęcki, najszczegółowiej sportretowany. Niegdyś powstaniec — był na Sybirze. Otacza go tedy nimb cierpień za narodową sprawę. Teraz — sentymentalno-egoistyczny przeżytek. Trochę w nim na dnie przechowało się dawnego idealizmu, więcej mętów z ochotką do zmysłowego użycia. Żony nie kocha, domu nie pilnuje, o dzieci nie dba. Są chwile, gdy knajpa, alkohol, karty wiodą go w głąb, unicestwiającą wszelką dostojność ludzkiej natury. Niegdyś zapaleniec, dziś bankrut moralny, podstarzały nicpoń, łasy na młode dziewczęta. Umie, jak wąż, oczarować słabą duszę, umie grać na strunach czułego sentymentu, umie zręcznie dotykać patryotycznych rozczuleń ofiary swojej. Sam się określa, jako szlachetny rycerz, a zarazem — pożal się Boże — pastwa przeznaczenia. Ale to oczywiście poza.

Z młodszego pokolenia antytezą Rwęckiego inżynier Stanisław Domański. Materyalista do szpiku, negujący wolną wolę, Boga, patryotyzm, ojczyznę, praktyczny i w pieniądzach widzący jedyny cel i jedyne bóstwo życia. Już napół zrusyfikowany.

Podobny doń Izyda, akademik, z tą odmianą, że kpi ze wszystkiego w mniemaniu, że człowiek — to nędzne bydlę, nie warte kopnięcia. Dowcipy jego, pełne uszczypliwych alluzyj i nikczemnych sarkazmów — wkońcu nudzą i każą pogardliwem zżymaniem się traktować wiecznie kwaśno wykrzywione wargi młokosa. Brutalna scena, kiedy, jak drwal, bije się z Kaziem, ohydna i niegodna pióra takiego pisarza, jak Sieroszewski.

Trzeci z grona młodszych, Karpowicz, zbzikował na punkcie nauczania ludu. Chłopoman z urojenia i przypadku, sili się uświadamiać lud, lecz niema w tych koszlawych próbach ani krzty systemu, przeto też i widoków powodzenia.

Z pośród najmłodszych Antoś i Kazio — mleczaki: jeden żywy, jak iskra — i bardzo dziecinny; drugi, z akcentem melancholii, udaje powagę.

Tak wygląda to całe „Zacisze", jakby było zacisza ironią. „Jest trosków, kolców, bolów niemało w tem życiu i więcej, niż na jawie, płynie łez w ukryciu" — żalił się niegdyś poeta. Takiem ukryciem, gdzie dużo łez płynie, gdzie burza w sercach, a zamęt w głowach — to właśnie „Zacisze", podobne do „Wesela" Wyspiańskiego.

Ileż tu rozlega się tonów, ile myśli zgrzytliwych, ile zniechęcenia, posądów i oskarżeń, ile najsmutniejszych wróżb na przyszłość!

— „Naród, który wyrzekł się ludu, zginie" — przepowiada Karpowicz.

— „Nasi wielmożni i najwielmożniejsi sprzedali Polskę za ukraińskie włości i za... gotówkę... to jasne. Wykazały to, jak na dłoni, najnowsze studya historyczne" — zgrzyta egoista Domański, sam uniżony służka moskiewski.

— „Nic nie pomogą prelekcye starych i młodych Domańskich — deklamuje Rwęcki. — Naród nie może żyć bez marzeń, bez celów dalekich, pozornie nieraz niedosięgłych... Praca, praca, praca! Zapewne, że praca — to rzecz wielka. Ale praca jest powszednim chlebem życia. Musimy co parę pokoleń mieć burzę i to nas ocala. Brud i śmiecie niewoli udusiłyby nas inaczej".

— „Naród — szydzi Izyda — nie może składać się z waryatów i żyć w wiecznej gorączce! Składa się on przedewszystkiem z chłopów, z robotników, z fachowców, z bankierów, przemysłowców, z literatów... My mamy garść marnej, zwyrodniałej szlachty i dużo chłopów — ciemnych, ubogich, głupich, wczorajszych niewolników. Cały naród tonie w przesądach, w mroku, w nędzy doczesnej, moralnej. U góry klerykalizm, u dołu zabobon, a w środku pusto!"

Ludzie i życie „Zacisza" — jak z tego wynika — kuso i satyrycznie przykrojeni. Natomiast obrazki dnia i nocy wiejskiej, natura rodzima przepysznie malowana. Słownik szepce Sieroszewskiemu, ilekroć tknie przyrody, nowe i dzielnie wybrane wyrazy; wyobraźnia przystraja opisy w barwy i kształty; uczucie ożywia je nastrojami. Obrazki te stanowią ozdobę książki, która bez nich nie powiększyłaby sławy powieściopisarza.

Stanisław Szczepanowski pisał przed laty: „Jak w przyrodzie martwej naczelnem prawem jest grawitacya czyli ciężkość, tak w martwem społeczeństwie naczelnem prawem jest egoizm. Każda bryła ludzka prawem tej grawitacyi toczy się na dół po pochyłości egoistycznych skłonności.

Społeczeństwo żywe przeciwnie rozwija się wbrew pociągom naturalnym, wbrew egoizmowi, strachowi, zemście, wygodzie. W społeczeństwie żywem pojawiają się obok przyrodzonych popędów pierwiastki duchowe spójni. Zamiast automatu o drapieżnych zmysłach pojawia się człowiek, który dla drugiego człowieka już nie jest wilkiem, ale sprzymierzeńcem, bratem, bo w jego sercu już się odezwały duchowe pobudki miłości, szlachetności, męstwa, natchnienia“ [1]). Myśli braterskiego i zgodnego działania, ujęte tu przez Szczepanowskiego w postulat narodowy, przed nim żyły w szlachetnych sercach poetów i powieściopisarzy XIX wieku. Głosił je Ujejski, Syrokomla, Lenartowicz, głosił w „Ładowej pieczarze“ Kraszewski, w „Projekta“ Romanowski, w „Nad Niemnem“ Orzeszkowa, w „Sprawie Dołęgi“ przed laty 14 ten sam Weyssenhoff, zanim je uczynił główną ideą ostatniej swej powieści pt. „Gromada“.

Gromadę — na razie idealną — tworzą chłopi i szlachta. Pani Jadwiga Godziembina, niewiasta mądra mówi: W zdrowem społeczeństwie żadna warstwa nie powinna być skazana na wymarcie, lecz odradzać się i przystosowywać do zmienionych warunków wspólnej pracy dla wspólnego postępu. Ma na myśli szlachtę, bo „jeżeli ma się poczynać nowa Polska, począć się musi od tych, którzy się jej krwią, poświęceniem i pracą zasłużyli. Szlachta jednak powinna się pozbyć „ulubionych wybujałości, partyzantki społecznej na rzecz wielkiej gromady“. Te idee wcielił Weyssenhoff w szereg ludzi, a tym dały one bodziec do działania, rozwiniętego w powieści.

Najsympatyczniejszym dla autora był Józef Broniecki, dzielny gospodarz, właściciel Sławoszewa, mądra głowa, przyjaciel chłopów. Gdzie stąpił, podniecał do wesołości, bo ludzie, zamiłowani

[1]) Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych.

w swej pracy, nie bywają smutni. Łakomy wprawdzie na grzech, szumieć niekiedy lubi, ale po wyszumieniu wraca znowu do usilnej roboty na roli. Energiczna, dziarska szlachecka natura, coś z Miecznika i coś z Soplicy.

Nie on wszakże, lecz Godziemba, jest osią gromady. Godziemba stworzył silną, zmówioną z sobą gromadę, która, gdy coś postanowiła, czepiała się sprawy tysiącem rąk zgodnych; gdy potrzebowała pieniędzy, mogła zsypać grosze w przeważne kupy. A on — Godziemba — znajdował się niby w pośrodku tej wielkiej gromady, naczelny nad wielu, zależny od kilku, ale skupiający w sobie pierwiastek ruchu i mocy, jak serce w organizmie żywym. Gdy on sprawę publiczną popierał, nie była to akcya jednego, choćby najsilniejszego człowieka, ale jakby dotknięcie łącznika elektrycznego, który robocie użyczał w mgnieniu oka siły stu koni. Wiedział, że siła osobnika ograniczona, ale przeciw gromadzie jednomyślnej nie poradzą. Wiedział, że gdy nas gnębi zorganizowany system, trzeba się bronić za pomocą innego zorganizowanego systemu.

Otóż, o ile Broniecki jest wcieleniem ziemianina, jacy u nas są, o tyle Godziemba ma znamiona ideału, możliwego w przyszłości. Prócz ich obu odmienne odcienie znajdujemy w Stefanie Czemskim i prof. Owocnym. Ostatni — brzydka kreatura intryganta i agitatora socyalistycznego — nie zasługuje na uwagę. Czemski, zrazu szkodnik. Działa śród chłopów, ale chciałby, żeby chłop był ślicznie wycięty z jego gazety, a chłop jest zupełnie inny. Czemski wyrósł śród młodzieży, gdzie kowano przyszłość demokratyczną, ludową, obrachowaną na wielkie i zbawienne przewroty. Uważał szlachtę za ludzi „znieprawionych przez tradycye wyzysku pracy włościanina i przez zamrocza klerykalizmu“, ale gdy posiedział kilka miesięcy w więzieniu za mowę, otrzeźwiał i zrzeszył się z Bronieckim i gromadą Godziemby.

Obok Godziemby główne miejsce należy w powieści Janowi Rykoniowi. To niepospolity chłop, dla którego prototypu literackiego szukaćby chyba trzeba w Janie z „Wiesława“, w Maćku nad Maćkami z „Pana Tadeusza“, w Bohatyrowiczu Orzeszkowej, w Balcerze Konopnickiej. Znakomity gospodarz. Najlepsze miewa

zbiory, najtęższy inwentarz, obfity sad owocowy, pańskie narzędzia rolnicze, sławne kury, bo też i głowa nad tem wszystkiem czuwała naczelna. „Jak się wszyscy w gromadę zbiją, jak wszyscy dla wszystkich radzą i składają się — mocni będą“ — to jego hasło. Mędrzec wiejski. Kochał przytem ludzi i dbając o ich pożytek, spodziewał się od nich wdzięczności i dobrej sławy. Czasem się gniewał, lecz gniew nie wywoływał w nim rozpaczy ani słabości; owszem — zawziętość do wykonania dzieła pomimo wszelkich przeszkód. Utrzymywał, że nie łatwo żyć na polskiej ziemi, ale co trudno dobędziesz, to mocno posiędziesz. Społeczne obowiązki przekładał ponad wszystko. On to stał się twórcą domu gromadzkiego w swej gminie.

Wszechstronnie i harmonijnie obmyślił autor pomysł swej powieści; przejrzyście zebrał w te główne jednostki wszystkie możliwe i czynne u nas siły w organizacyi życia wiejskiego; ułożył warstwy działaczy i warstwy frazesowiczów; nie pominął niewiast; na tem tle rozesnuł akcyę o liniach jasnych, lecz bardzo interesujących; przyozdobił dzieło humorem. A jest Weyssenhoff pierwszorzędnym epikiem. Ten publicysta-powieściopisarz gardzi modną dziś dyssekcyą duszy i sztucznem sentymentalizowaniem w powieści; gardzi martwym symbolem, wgłębianiem się w stany nieuświadomione duszy, sztuką dla sztuki; nie roztkliwia się nad niedolą duchową ludzkości, odtrąca choroby i zgnilizny wszelakiego rodzaju. Sztuka — dla społeczeństwa, słowo — czyn: oto jego zasada. Przytem mistrz w wykonaniu. Weźmy dla przykładu: miłość Rykonia i Magdaleny, miłość Maryni i Czemskiego. Para chłopska i para szlachecka. W rysunku pierwszej miłości niema ani sielanki, jak w „Ułanie“ Kraszewskiego, ani rozszalenia, jak w „Chłopach“ Reymonta; natomiast instynkt — uszlachetniony rozumem. Celem — rodzina. A jednakże uczucie mężczyzny hamowane i dzielne w swoim wyrazie, u kobiety trwałe, głębokie i tkliwe. Miłość drugiej pary ma więcej subtelności, więcej skrupułów, ale łatwiej ulega przemożnym pokusom. Pierwsza — zdrowsza, niż druga.

Nawet w obrazie zbiorowego rozigrania w czas dożynkowy stan zmysłowych uniesień odmalowany bez pornografii. Dyskrecya

powieściopisarza oszczędza uczucia wstydliwości tych czytelników, którym nie w smak grube obrazy orgii.

Pisze wogóle ekonomicznie, jakby rzeźbił. Umie kilku zwięzłymi rysami sportretować człowieka nie za pomocą opisu, lecz w jego dyalogu. Z przemówień np. Czemskiego i Godziemby (str. 52, 53) widać odrazu, z jakimi ludźmi ma się do czynienia. Nawet w nazwiskach akcenty charakterystyki. Drobiński i Młocki — nomen omen — gadają nie do rzeczy i o drobiazgach, potrafią rozbujać radę na niepewnych fluktach jałowej dyskusyi.

Weyssenhoff zresztą rozmową kieruje doskonale. Każdej osobie nadaje własną jej postać przez sposób myślenia, tok mowy, odrębne zwroty i słowa. Styl jego trochę twardy, miejscami nawet szorstki, jak namulona i zgrubiała od mozołu ręka chłopska, ale silny przytem i malowniczy. Złożone zdanie bywa pełne i okrągłe w miarę tchu, a jednak nigdy nie utraca swej przejrzystości. Humor czasem rubaszny, nawet nieco trywialny, jak u Reya. Śliczne obrazki wiejskiej natury są ozdobą akcyi. Drobne i dokładne w rysunku, a wierne realistycznie, stąd dają złudzenie obrazków widzianych, choć skutkiem nastrojów nie tracą barw obrazków z sennego marzenia. Słowem powieść — wyjątkowa, zjawisko w beletrystyce ostatniej doby fenomenalne swem zdrowiem, wyjątkową pięknością i szlachetną wiarą w lepszą przyszłość. Czytelnik po skończeniu książki doznaje wrażenia, jakgdyby świat się przed nim rozjaśnił, jakby ludzie stali się lepsi i wartościowsi, jakby życie nabrało ceny. Wszystko, co ukochane, co w duszy przyświeca otuchą lepszego jutra, bierze z niej pokarm żywy i odradza się. — Po Sienkiewiczu pisarz to jedyny wśród żyjących, który budzi nietylko zachwyt, lecz i miłość ku sobie.

A. Mazanowski.

Doktor anielski.

Nieśmiertelnej pamięci Leon XIII w swej encyklice: „Aeterni Patris“ z dnia 4 sierpnia 1879 wspaniały dał wyraz swej czci i swego podziwu dla rozległej, głębokiej i genialnej nauki św. Tomasza z Akwinu, którego w rok później ogłosił Patronem wszystkich szkół katolickich, a zarazem gorąco polecił, by, jak w ubiegłych stuleciach, tak i w naszych czasach, w studyach filozoficznych, a tembardziej teologicznych trzymano się Doktora Anielskiego.

Myśl tę uczonego swego Poprzednika podniósł i skrystalizował za dni naszych Pius X w swym dekrecie z roku 1914, w którym przepisuje, by w seminaryach włoskich filozofię i teologię wykładano podług nauki św. Tomasza. Dekret ten Benedykt XV zatwierdził i wprowadzenie nauki św. Tomasza gorąco polecił.

Nie będzie więc od rzeczy przypomnieć światu uczonemu, czem jest św. Tomasz w zakresie nauk teologicznych i filozoficznych.

Do św. Tomasza możnaby słusznie zastosować słowa hetmana Iooba, wyrzeczone do największego z królów izraelickich, Dawida: „Ty jesteś mądry, jako ma mądrość anioł Boży, że rozumiesz wszystko na ziemi“ [1]). Porównywano nieraz geniusz św. Tomasza, górujący nad światem uczonych, do piramid; wszelako porównanie to wydaje się zbyt blade; dzieła bowiem św. Tomasza wznoszą się wyżej i są trwalsze niż pomniki Faraonów, — nie-

[1]) 2 Król XIV. 20.

zrównanie też większy wywołują w nas podziw. Obudzały one podziw wieku św. Tomasza; podziw ten podtrzymywały wszystkie następne stulecia aż do naszych czasów. Podziw ten świat uczony wcielił jakby w bronz — w nazwę: „Doktor Anielski".

Podobnie, jak we fresku Rafaela, przedstawiającym uwolnienie Piotra św. z więzienia, światło anioła-oswobodziciela przyćmiewa wszystkie inne; tak blaski, jakie rzuca Doktor Anielski na najzawilsze zagadnienia, przyćmiewają nauki wszystkich innych w Kościele Doktorów. — Chyba nieuk ośmieliłby się nazwać barbarzyńskim wiek, który widział narodziny Innocentego III, Giotta i Danta, katedry kolońskiej i Summy teologicznej; nie licząc samego zakonu kaznodziejskiego, który na znak swego posłannictwa oświecania, ma za patryarchę Dominika św., noszącego gwiazdę na czole, a za pierwszego doktora Tomasza z Akwinu z godłem słońca na piersiach; nie licząc zakonu Braci Mniejszych, który nazajutrz po zgonie swego wzniosłego Żebraka z Asyżu mianuje swym generałem Bonawenturę, profesora uniwersytetu paryskiego i mnoży swych doktorów na równi ze swymi świętymi. Otóż Tomasz z Akwinu, to nie jedna z tysiącznych pochodni, rozświecających dzieje, ale pochodnia najjaskrawsza, najpotężniejsze roztaczająca blaski. Tomasz św. skupia w sobie wszelką światłość umysłową swej epoki, tak, że przy jego zgonie Papież woła: „Nigdy od czasu św. Pawła nie widziano na firmamencie Kościoła zgaślej tak promieniejącej gwiazdy!" Jeśli z czoła pacholęcego Tomasza tryskały już iskry tajemnicze, jakież strugi światła roztaczać musiał ten Anioł-szkoły — czyli uniwersytetów Kolonii i Paryża.

Przypatrzmy się bliżej tej genialnej jego światłości. Cechuje ją najpierw to, iż jest niemal bez cienia. Długoletni nawet obrońca prawdy nieraz w błąd popada. Tomasz to geniusz, który najwięcej pisał bez błędu; jego umysł pod względem pewności widzenia zbliża się najbardziej do nieomylności Kościoła. Św. Tomasz, anioł przez swe zwycięstwa nad duchem nieczystości, przez skrzydła swego geniuszu mieszkał na wyżynach, których ziemskie prochy nie przysłaniały.

To też niemasz nic większego jak panowanie, najwyższe władztwo tego geniusza, od sześciu przeszło wieków, w świecie myślicieli. Po wyrokach „ex cathedra“ żaden inny nie posiada takiej, jak jego, powagi. Powiedziano o Mozarcie: „Nie jest to muzyk — to muzyka“; podobnie Tomasz z Akwinu, to nie teolog, to jakby wcielenie teologii. Stąd to zdanie Danta: „Co Tomasz mówi, to mówi teologia katolicka“; a kiedy ten niezrównany poeta-teolog chce nam opisać wizyę tryumfującego w niebie Kościoła, cóż czyni? Wkłada w usta Beatryczy naukę Doktora Anielskiego.

A co dziwniejsza, to, że nauka św. Tomasza nieprzeparty wywiera urok samą jasnością prawdy bez czaru stylu, który tyle powabu dodaje np. św. Augustynowi lub naszemu Skardze.

Któż wysłowi prostotę jasnej, lotnej jego myśli, która ma w sobie coś ze spokojnych głębin nieba; z jego duszy płynie prawda jakby w dziewiczość ubrana, prosta jak to, co z Bożego tryska łona.

Anielski Tomasz! — jakże słusznie należy mu się to miano. Jest on anielskim w śmiałości swego lotu, co lubi przekraczać odległości obliczalne, by się zanurzać w Boskiej niezmierzoności. Roger Bacon, współczesny św. Tomaszowi, wynalazł teleskop, z którego pomocą zatapiał swój wzrok w niezbadane dotąd głębie przestworza. Ale czemże jest przestwór, zgłębiany teleskopem tego uczonego Franciszkanina, w porównaniu ze światami, jakie przeczuł ten żeglarz po nieskończoności, ten Kolumb Boskich krain, zwany Tomaszem z Akwinu? Jest on jeszcze i dlatego anielskim, że swe badania skierował głównie w tajemnice Boże, choć nie pominął rozległej dziedziny filozofii.

Jest on anielskim w pogodnej śmiałości, z jaką wpatruje się w źródło wszelkiej prawdy, w Boga. Snać to współzawodnik tych hierarchii niebiańskich, co zawsze p a t r z ą w o b l i c z e B o g a [1]). Wogóle mówiąc, kiedy śmiertelnik widzi niewyraźnie poprzez blade błyski zachwytu niektóre promienie najwyższej Piękności, wtedy pewne zaburzenia ujawniają się w jego zmysłach. Św. Paweł po-

1) Mat. XVIII, 10.

wraca z trzeciego nieba z wniosłem bełkotaniem, — św. Franciszek Ksawery, przywalony nadmiarem szczęśliwości, woła do Boga: „dosyć!“ Św. Teresa: „Panie, spraw, bym umarła, albo umrę dlatego, że umrzeć nie mogę“. Tomasz zaś święty nie ma wyglądu zdziwionego odkryciem, jakie uczynił w łonie Bóstwa; przeto wyjaśnia je, a nie opiewa; wskutek swej z Bogiem zażyłości, wskutek nieustannej kontemplacyi źrenica jego umysłu została cudownie wzmocniona tak, iż Majestat Boży zbytnio go nie przytłaczał.

To też św. Tomasz, to umysł najściślejszy, a zarazem najbardziej ekstatyczny, najwięcej wymagający i najprościej wierzący. Wszystko widział i we wszystko wierzył. Olbrzymi jego umysł już w jednem tylko dziele, wyświetlającem sporne zagadnienia, aż cztery tysiące stawia tez, przeszło dziesięć tysięcy zarzutów rozwiązuje; umysł, którego wiara z pola walki wychodzi z niebiańskim zachwytem, zawsze podobny do anioła, co rozbłyskami swego światła rozprasza ciemności, ale którego ciemności nie przysłaniają.

Jakże od swego imiennika odmiennym nam się przedstawia. Apostoł był najmniej wierzący z dwunastu; nasz Doktor, mimo głębokiego rozumu, był najmniej racyonalistą z teologów. Apostoł żąda dowodów, by uwierzył; nasz Doktor wierzy, bo miłuje, a podaje motywy do wierzenia z miłości ku drugim, nie zaś z własnej potrzeby. Z świetlistych wyżyn runął anioł pychy, — nasz Anioł wzbijał się coraz więcej na szczyt prawdy, bo nad mądrość wszelką umiłował pokorę.

Słusznie przeto nazwano św. Tomasza „Doktorem Anielskim“, bo jak Anioł rozświecał geniuszem swoim mroczną nieraz dziedzinę prawd teologicznych, a nie tylko był on mistrzem nad mistrzami w zakresie prawd teologicznych, ale i w dziedzinie filozofii niezrównanym był myślicielem, doktorem.

Nie skończyłbym, gdybym chciał rozwodzić się nad dziełami filozoficznemi św. Tomasza, dlatego przytoczę tylko kilka trafnych uwag ks. prof. J. Radziszewskiego [1]) o formie i treści dzieł

[1]) Odrodzenie filozofii scholastycznej, str. 13 i 14. Warszawa 1901.

filozoficznych św. Tomasza: „Wszystko, co wyszło z pod pióra św. Tomasza, zdradza geniusz autora, a napisał on bardzo wiele. Oprócz licznych mniejszych prac i monografij, pozostawił komentarze do wszystkich prawie dzieł Arystotelesa i ksiąg „S e n t e n t i a r u m“ Lombarda — przedewszystkiem zaś geniusz swój poznać dał w Summach: „teologicznej“ i „przeciwko poganom“. — Pisane są, że wspomnimy najpierw o f o r m i e, z uwzględnieniem metody scholastycznej, która wcale nie jest czemś identycznem z jałową, suchą formą sylogistyczną. By się z nią zapoznać, trzeba koniecznie wziąć dzieło którego ze scholastyków, szczególniej św. Tomasza. Przyjrzawszy się bliżej misternej strukturze, temu gotykowi w literaturze, nie omieszkamy z Sykstusem V oddać należących się tej metodzie pochwał; jej to bowiem zawdzięcza teologia i filozofia tę bijącą w oczy ścisłą łączność przyczyn i skutków, ten porządek i symetryę, co jakby przypomina występujące do boju szeregi wojskowe, te określenia i jasne podziały, tę solidność argumentacyi i w dysputach przejrzystość, a przez to wszystko światło łatwo oddzielić od ciemności, prawdę od fałszu, a kłamstwa, odarte z mroku, w całej ohydnej ukazują się nagości“ [2]). — Forma też sylogistyczna, której pochwały opiewali Leibnitz i Cousin, była uwzględniona, jako integralna część metody, co nie małą ma wagę dla tych wszystkich, którzy nie stanęli ze Stuart Millem na wrogiem dla sylogizmu stanowisku.

Co się tyczy treści dzieł św. Tomasza, możemy tylko powiedzieć, że zawiera się w nich system teologiczny i filozoficzny. Nad szczegółami zatrzymywać się nie sposób. Wskażemy choć kilka wybitnych punktów filozofii św. Tomasza, które razem wzięte, złożą się na definicyę mniej więcej kompletną filozofii scholastycznej w ogóle; określenie to tę nad innemi może mieć wyższość, że wyraża, czem jest sama w sobie ta filozofia. — Jej teorya poznania jest idealno-empiryczna, metoda badań analityczno-syntetyczna. Odrzuca ona monizm i jest dualistyczną, stąd też wszelki panteizm potępia; — w teodycei dowodzi osobowości Boga i po-

[2]) Sykstus V w bulli „Triumphantis“.

chodzenia odeń całego universum przez akt twórczy; wspomniany dualizm przejawia się we wszystkich częściach filozofii, najrozmaitsze znajdując zastosowanie. W metafizyce bytu hołduje ona umiarkowanemu dynamizmowi i indywidualizmowi; w kosmologii broni celowości; jej psychologia jest spirytualistyczna, objektywistyczna i doświadczalna, w przeciwstawieniu do materyalistycznej, subjektywistycznej, idealistycznej, apriorystycznej; jej etyka jest indeterministyczna i eudemonistyczna".

Przypatrzmy się teraz choć na chwilę świętym bojom, jakie Anielski Doktor zwycięsko staczał. Nie można w tej krótkiej rozprawie wyliczać wszystkich jego walk, ani opisywać zdumiewającej na polu umiejętności jego epopeji. Zaznaczam tylko, że Tomasz św. nie traci z oka ziemi, niebiańskie roztaczając prawdy; praktyczny i transcendentny zarazem, zaradza on wszystkim potrzebom swej epoki i czasów następnych, dzięki potrójnemu apostolstwu pisarza, profesora, kaznodziei; niema jednego wyłomu w trzynastem stuleciu, gdzieby ten nowy Michał nie połyskiwał zwycięskim swym orężem.

Wielki wyłom w Kościele uczyniły podboje saraceńskie.

Pod tym sztandarem straszliwa zawiązała się koalicya islamizmu, judaizmu, manicheizmu, budyzmu, które od strony Hiszpanii wciąż przypuszczały szturm do twierdzy Kościoła Chrystusowego. Napróżno Jakób Zdobywca i Ferdynand III z Kastylii stawiali tamy przed szeroko rozlanym potokiem błędów; idee nieczyste łamały zapory i zalewały świat chrześcijański. Na widok tego potopu zła, św. Reymond de Pennafort, pozostawiając królom opór orężny, usiłuje zatamować tę moralną zarazę. W tym celu udaje się z prośbą do św. Tomasza, by wydał dzieło, któreby wszystkie grasujące już błędy w niwecz obróciło. I tak powstało jedno z najwznioślejszych dzieł św. Tomasza: „Summa contra gentiles". — Nieświadomi rzeczy pytają: jakiż mógł być pożytek praktyczny z dzieła, napisanego przeciw poganom w trzynastym wieku? — Otóż zalew muzułmański, który Europie groził żelazem za czasu Abderrahmana, za czasu Averroesa, stał się groźniejszym przez swą filozofię. Przeciw muzułmańskim tym dwom potęgom Boski nasz wódz, Jezus, dwóch stawia bohaterów, od-

miennie uzbrojonych: Karola Młota i św. Tomasza. „Summa contra gentiles“ to walka pod Poitiers, wydana na doktrynalnym terenie.

Pomijam zwycięskie boje naszego Anioła przeciw owym krótkowidzącym politykom, którzy usiłowali znieść zakony, te najwybrańsze pułki wojującego Kościoła. Niezawodnie długo jeszcze państwa Europy byłyby pozostawały pogrążone w ciemnościach barbarzyństwa, gdyby z katedr najgłośniejszych uniwersytetów nie nauczali doktorowie tej miary, co Wincenty z Beauvais i Tomasz z Akwinu. W obecnej dobie polityka państw wzięła rozbrat z nauką teologów, dlatego coraz bardziej poganieje. Nie wielka stąd pociecha, że dziś mniej błota na ulicach miast naszych, kiedy go coraz więcej w umysłach i w sercach; że nasze miasta więcej oświetlone, kiedy sumienia coraz bardziej pogrążają się w ciemnościach...

Pomijam walki Anielskiego Doktora ze schizmą. Gdyby odszczepieńcy byli przyszli na Sobór Lugduński i posłuchali głosu tego wielkiego Doktora, sprawa pojednania Kościoła wschodniego z zachodnim dawno szczęśliwie byłaby się zakończyła!

Nie było jednego fałszywego głosu, któryby uszedł czujnej uwagi tego Anioła szkoły. Wszystkie jego dzieła to arsenały, które i na przyszłość zaopatrywały świat chrześcijański.

Walczący nasz Anioł, św. Tomasz, wykonywa jeszcze funkcye Anioła Stróża w dziedzinie umiejętności. Marcin Bucer mawiał: „Znieście Tomasza, a ja się podejmuję obalić Kościół“. Jest to przesada. Kościół wszystkimi się posługuje, ale ostatecznie nikogo nie potrzebuje, by istniał. Wszelako przyznać musimy, że Doktor Anielski swą powagą chroni teologię od błędu, zatem Kościołowi oszczędza zaburzeń rewolucyi, jakie błędy wywołują. Jego geniusz, to jak ta latarnia morska, co ostrzega przed szkopułami żeglujących po rozległym umiejętności oceanie.

Wiemy, jakiem dziełem zdobył sobie to najwyższe władztwo. W epoce św. Tomasza był pęd do stawiania wielkich katedr i pisania summ dzieł teologicznych. Była to ta sama idea pod dwiema odmiennemi postaciami; boć słusznie powiedziano: nasze katedry to dzieła teologiczne, napisane marmurem; dzieła teologiczne to katedry, dźwignięte pojęciami. Przeszłość wyjaśnia nam

tę dążność współczesnych św. Tomaszowi do rozległej syntezy. Od dwunastu wieków byli na świecie doktorowie, co bronili prawd z dnia na dzień, wedle potrzeb chwili, nie troszcząc się o całokształt. Były to ułomki wzniosłe, ale nie wykończone budowle. Materyały leżały gotowe; potrzeba było tylko architekty. Był nim Doktor Anielski.

Św. Tomasz zabiera się więc do ujęcia i streszczenia całej pracy i wysiłku pojęć chrześcijańskich od św. Pawła do św. Augustyna i od św. Augustyna do swego czasu. Bierze on wszystko, co znajduje pod ręką, co chrześcijańska tradycya przekazała z faktów i pojęć; — wszystko to kombinuje, podporządkowuje i w harmonijną związuje całość. Za punkt wyjścia obiera rozum, który analizuje, zgłębia; prawdy naturalne wyrównywa i ustawia w majestatyczną kolumnadę, mającą otaczać świątynię; następnie, wnikając do jej wnętrza, ustawia w porządku prawdy objawione, niby tyleż kolumn, opartych o ziemię, by się wznosić ku niebu; w nawy rozumu wprowadza wiew Boży i sprawia, że on krąży i ożywia je i przenika; dźwiga wspaniałą kopułę prawdy, którą podtrzymuje wiara, którą upiększa miłość, którą uwieńcza nadzieja; a tak z rąk tego genialnego architekty wychodzi świątynia, podobna do tych olbrzymich pomników, które budziły i po dziś dzień budzą podziw i zachwyt widzów. Świątynią tą to jego Summa teologiczna.

Jego „Summa theologiae“, zbiór wszelkiej wiedzy, jest po dziś dzień niewyczerpaną mistrzynią nowożytnego świata; ona wytworzyła mistrzów wszystkich następnych wieków. Ustnie Tomasz św. nauczał tylko przez lat dwadzieścia; atoli cały świat katolicki we wszystkich swych wiekach i pokoleniach nie przestaje uznawać się jego uczniem. I po zgonie swoim Doktor Anielski na każdym soborze przemawiać nie przestanie. Na soborze Trydenckim jego „Summa theologiae“ leżeć będzie otwarta obok Pisma św. jako najpoważniejszy i największy katechizm wiary po Księgach natchnionych.

A iluż niewiernych, iluż wrogów Kościoła, czytając tę „Summę“, powróciło do prawdy; że tylko jednego wspomnę: kalwinistę Davy, który po przeczytaniu tych kart powrócił na łono Kościoła

i stał się słynnym kardynałem Dupperon. Słusznie można do niego zastosować słowa, wyrzeczone o Izajaszu: Dałem cię na świadectwo narodów, byś był zbawieniem aż do końca ziemi[1]).

Któreż z jego dzieł przyczyniło się najbardziej, iż św. Tomasz wiekuistym stał się Mistrzem? Księga najpiękniejsza, która nie stanowi czwartej części jego dzieł, księga, której nie miał czasu wykończyć, a dokonała tego inna ręka z materyałów, jakie po sobie pozostawił.

A jednak, kiedy najwyższe góry obniżają się do horyzontu, gdy się od nich oddalamy, to arcydzieło to, mimo stuleci oddalających nas od jego urodzin, zachowuje całą swą niezmierzoność. Św. Tomasz za życia i po zgonie liczne czynił cuda — atoli największym może jest jego nauka. Jego imię — to imię własne geniusza, zespolenie z iście anielską niewinnością.

Dlaczego skrzydeł tego Anioła nigdy nie obciążyła olbrzymia jego uczoność? Dlaczego najuczeńszy ze świętych był najświętszym z uczonych? Wszak znamy naszą słabość; dusza nasza nieraz się wypróżnia w miarę, jak umysł nasz napełnia się wiedzą. Czemu światłość Tomasza jest pochodnią, której jego dusza niewygasłem jest ogniskiem? Dlatego, że główną jego księgą — jak sam świadczy — był krucyfiks; a nadto miał on zawsze przed sobą otwarte „Konferencye Kassiana", w których orzeźwiał swe spragnione Boga serce, kiedy wytężona praca umysłowa zdawała się je wysuszać.

Chyba więc usprawiedliwiony jest ten chwalebny tytuł, jaki świat chrześcijański nadaje św. Tomaszowi — tytuł „Doktora Anielskiego". Nikt lepiej od niego, na wzór Aniołów, nie nauczał, nie walczył, nie stał na straży prawdy.

W nim najgłębsza i najrozleglejsza wiedza najściślej skojarzyła się z świętością. Lubił on powtarzać z wielkim Apostołem: „Chociażbym znał wszystkie tajemnice i posiadł wszelką wiedzę, bez miłości byłbym niczem". W nim wiedza, zamiast się zogniskowywać w wyższych regionach umysłu, zstępowała do serca, by je

[1]) Izaj. XLIX, 6

użyźnić, czyli raczej serce jego tak było potężne, że przyciągało do siebie jego umysł. Oboje poślubiły się; z ich świętego zjednoczenia rodziły się te modlitwy, te hymny wzniosłe, w których rozum, zawsze górujący, wskazywał miłości drogę, jaką miała kroczyć; to głębokie skupienie, te tkliwe wylania, te upojenia serafi-cznej miłości, które w zachwyt go porywały.

O filozofii Doktora Anielskiego krążyły i krążą po dziś dzień rozmaite opinie; nie trudno atoli wykazać, że mnóstwo nieprzychylnych opiera się na uprzedzeniach, które nie pozwoliły głoszącym je nawet na poważne zbadanie jego systemu.

Głębsi myśliciele, zbadawszy gruntownie dzieła św. Tomasza, nie mają dość słów na jego pochwały. Oto, co mówi niepodejrzany o stronniczość Rudolf van Ihering, a przez jego usta — wielu nowoczesnych myślicieli i profesorów filozofii: „Robiono słuszny zarzut mnie i wogóle filozofom nowożytnym z nieznajomości zasadniczych myśli Tomasza z Akwinu. Teraz, gdym się już zapoznał z tym wyższym umysłem, zapytuję sam siebie, jak mogły takie prawdy, które on wygłaszał, pójść u nas w zupełne zapomnienie? Iluż bowiem ustrzeżonoby się błędów, gdyby trzymano się wiernie tej nauki. Co do mnie, to gdybym ją był wcześniej poznał, nie napisałbym, mniemam, swej książki, ponieważ myśli główne, których podanie ogółowi leżało mi na sercu, znajduję już u tego wybitnego myśliciela, wypowiedziane z doskonałą jasnością i zastanawiającą głębokością ujęcia“ [1]).

Jeśli takie pochwały oddają filozofii Doktora Anielskiego uczeni z obecnej doby, musi ona mieć w sobie coś istotnie nadzwyczajnego. To też — jak wyżej zaznaczyłem — od najdawniejszych czasów Kościół, uczone instytucye i poszczególni myśliciele nie szczędzili jej słów uznania i zalecania. Papieże: Klemens VI, Innocenty VI, Urban V, Mikołaj, Pius V, wspomniany Sykstus V, Klemens XI, Innocenty XII, Benedykt XIII, Benedykt XIV, Pius IX, Leon XIII, Pius X, Benedykt XV stwierdzają, że „niemasz części filozofii, którejby św. Tomasz nie traktował z całą gruntownością i przenikliwością; prawa rozumowania, Bóg i sub-

1) Der Zweck im Recht. 2 Aufl. S. 161.

stancye duchowe, człowiek i inne postrzegalne twory zmysłowe, ludzkie czyny i ich zasady, wszystko to stanowi przedmiot jego badań; — przytem wszystko tam jest uwzględnione: obfita dociekań ilość, harmonijny układ części, wyborna w przeprowadzeniu rzeczy metoda, gruntowność zasad, siła argumentowania, jasność i dosadność w wysłowieniu się, zadziwiająca łatwość w rozwikłaniu najbardziej zawiłych zagadnień“ [1]).

Sobory powszechne: Lyoński, Vienneński, Florencki, Trydencki, Watykański w szczególniejszy sposób wyróżniały naukę św. Tomasza, powołując się często na nią w swych orzeczeniach.

Uczone dawniejsze korporacye, uniwersytety, akademie, uważały sobie za zaszczyt kroczyć za genialnym myślicielem z Akwinu; Paryż, Salamanka, Douai, Tuluza, Lowanium, Padwa, Bolonia, Neapol, Koimbra i wiele innych, to czciciele „Doktora Anielskiego“.

Jeśli sobie uprzytomnimy nadto okoliczność, iż znalazł on około 700 komentatorów, to niepodobna, byśmy nie powiedzieli z prof. Van der Vlugt: „Chwała niech będzie Tomaszowi, dziełu jego cześć!“

Przez to jednak, cośmy powiedzieli o Doktorze Anielskim, nie myślimy twierdzić, że był on nieomylny, ani też, że na nim kończy się rozwój filozofii i teologii. Owszem, genialny ten mistrz nieraz pobłądził, najczęściej dlatego, iż ówczesny stan nauk przyrodniczych wiele pozostawiał do życzenia, dawał zatem myślicielom, a więc i św. Tomaszowi fałszywe dane jako przesłanki; na takowych się opierając, dochodzili do błędnych wniosków. Wszelako błędy te nie burzą całości ani harmonii systemu, syntezy scholastycznej. Dalej, są luki w jego filozofii i teologii; te wypełnić należy, wzbogacić cały system wynikami badań i prac następnych pokoleń aż do naszych czasów.

Ani Leon XIII w swej encyklice: **Aeterni Patris**, ani Pius X w swym dekrecie i Benedykt XV bynajmniej nie twierdzą, że filozofia i teologia już się więcej rozwijać nie mogą, że ostatni

1) Aeterni Patris, ustęp: „Jam vero“.

ich okres skończył się w XIII wieku; nie chcą jednak, ani chcieć mogą, by w pościgu za nowością i oryginalnością porzucano zdobycze dawnej filozofii, a to właśnie jest kardynalnym dogmatem nowożytnej filozofii, że kiedy w naukach przyrodniczych dorobek ubiegłych stuleci niemałą dla niej ma wartość i jest etapem do dalszej pracy, to w filozofii nowoczesnej odrzuca się zdobycze dawniejszych myślicieli jako nic lub mało warte.

Jeśli w naszych czasach Leon XIII, Pius X i Benedykt XV zalecają powrót do scholastyki, do św. Tomasza, tedy nie jest ich zamiarem, by wprowadzano na nowo średniowieczne poglądy przyrodnicze, lub przesadną subtelność, lub nieuzasadnione twierdzenia, sprzeciwiające się wynikom pewnym obecnej wiedzy, ale chcą na podstawie zasad prawdziwych i zdrowych rozwijać myśl filozoficzną i korzystać z danych obecnej wiedzy — o ile one przyczynić się mogą do postępu nauk filozoficznych i teologicznych.

„Wszak wszyscy widzimy" — mówi Leon XIII — „w jakiem krytecznem położeniu jest rodzina i społeczeństwo, dzięki przewrotnym — jakie panują — zasadom; cieszyłyby się one spokojem większym i pewnością, gdyby w akademiach i szkołach wykładano naukę zdrowszą, taką, jaką znajdujemy w dziełach św. Tomasza z Akwinu.

Wszystkie nauki mogą sobie wiele korzyści obiecywać po tem wznowieniu studyów filozoficznych. Co do nauk przyrodniczych, które obecnie tak są cenione i otoczone szczególniejszą aureolą dla wielu wspaniałych odkryć i wynalazków, nietylko nie poniosą one szkody przez ten powrót do filozofii tradycyjnej, lecz owszem niezmiernie wiele na tem zyskują. Prawdziwe bowiem ich uprawianie i postęp nie polega na samem obserwowaniu faktów i przyrody wogóle, — lecz po stwierdzeniu faktów trzeba dalej posunąć badanie; należy poznać naturę rzeczy, wykryć prawa, którym podlegają, jak również zasady, z których wynikają: ich harmonia, ich jedność w rozmaitości i wzajemne ich, mimo różnic, powinowactwo. Badaniom tego rodzaju odda filozofia scholastyczna nieocenione usługi, byle mądrze była nauczana".

Ks. J. St. Adamski T. J.

Przypowieści Chrystusa.

Przekład Ks. Wład. Szczepańskiego[1]).

Onego dnia, wyszedłszy z domu, usiadł Jezus nad morzem. I zebrały się wokoło Niego mnogie rzesze, tak, iż wejść musiał do łodzi i usiąść, a lud wszystek stał na brzegu. I dawał im wiele nauk w przypowieściach, mówiąc:

Oto siewca wyszedł na siejbę. I kiedy siał, jedne padły podle drogi, a ptactwo powietrzne, nadleciawszy, wydzióbało je. Inne zaś padły na grunt skalisty, gdzie nie miały wiele ziemi; zaraz też zeszły, bo gleba nie była głęboka; ale gdy weszło słońce, przypaliły się i uschły, bo nie miały korzenia. Inne znowu padły między osty, a osty wybujały i przygłuszyły je. Inne wreszcie padły na ziemię dobrą i przyniosły plon: jedno stokrotny, inne sześćdziesięciokrotny, inne trzydziestokrotny. Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha!

Potem przystąpili uczniowie i pytali Go: Dlaczego to w przypowieściach mówisz do nich? A On, odpowiadając im, rzekł: Wam dano poznać tajemnice królestwa niebieskiego; im zaś nie dano. Kto bowiem ma, temu dadzą tyle, że opływać będzie; a kto nie ma, temu odbiorą i to, co otrzymał. Dlatego więc mówię do nich w przypowieściach, że patrząc, nie widzą, a słuchając, nie słyszą, ani rozumieją. I spełnia się na nich proroctwo Izajasza, który mówi:

[1]) Wkrótce opuści prasę nowy przekład Ewangelii; podajemy niniejszy urywek jako próbkę. Redakcya.

„Uchem będziecie słuchać, a nie zrozumiecie;
okiem będziecie patrzeć, a nie zobaczycie.
Albowiem ogłupiało serce ludu tego:
zatkali sobie uszy,
i oczy swe zmrużyli,
by okiem nie dostrzedz,
i słuchem nie pochwycić,
a sercem nie pojąć....
i nie nawrócić się,
i abym ich nie zleczył".

Wasze atoli oczy błogosławione, bo widzą; także uszy wasze, bo słyszą. Albowiem zaprawdę powiadam wam: Wielu proroków i sprawiedliwych pragnęło widzieć, co wy widziecie, a nie widzieli, i słyszeć, czego wy słuchacie, a nie słyszeli.

Posłuchajcie tedy przypowieści o siewcy. Choć każdy słucha słowa o królestwie, to jednak, gdy go nie zrozumie, przychodzi Zły i wyrywa posiew z jego serca: u tego to posiano podle drogi. A u kogo posiano na gruncie skalistym, ten słowa słucha, i z radością odrazu je przyjmuje, ale nie mając w sobie korzenia, zatrzymuje je tylko do czasu; gdy zaś nastanie ucisk, czy prześladowanie z powodu słowa, zaraz odpada. Dalej, u kogo posiano wśród ostów, ten słowa słucha, ale troski tego świata i ponęty bogactw przyduszają słowo, tak, iż plonu nie przynosi. Wreszcie, u kogo posiano na dobrej ziemi, ten słucha słowa i rozumie je, i plon przynosi, wydając u jednego stokrotny, a u drugiego sześćdziesięciokrotny, a u innego trzydziestokrotny.

Inną przypowieść przedłożył im, mówiąc: Z królestwem niebieskiem jest podobnie, jak z człowiekiem, który zasiał dobre ziarno na roli swej. Ale gdy ludzie spali, nadszedł nieprzyjaciel jego, nasiał kąkolu wśród pszenicy, i odszedł. Gdy zaś zboże podrosło, i ziarnem się obsypało, wówczas ukazał się i kąkol. Przyszli więc słudzy do gospodarza i rzekli mu: Panie, czyż nie posiałeś dobrego ziarna na roli twej? Skądże więc kąkol się wziął? — A on im odparł: Nieprzyjazny człowiek to uczynił. Słudzy zaś powie-

dzieli doń: Chcesz-li, abyśmy poszli i wyplewili go? Ale on odrzekł: Nie! — byście, plewiąc kąkol, nie powyrywali zarazem i pszenicy. Pozwólcie obojgu róść razem aż do żniwa; a w czasie żniwa powiem żeńcom: Zbierzcie naprzód kąkol i zwiążcie go w snopki na spalenie, pszenicę zaś zgromadźcie do spichrza mojego.

Inną przypowieść przedłożył im, mówiąc: Z królestwem niebieskiem rzecz ma się podobnie, jak z gorczycznem nasionkiem, które ktoś wziął, i zasiał na roli swojej. Mniejsze jest ono wprawdzie od wszystkich innych nasion; gdy jednak podrośnie, staje się większem od wszystkich jarzyn, przechodzi w drzewo, tak, iż ptactwo powietrzne przylatuje, i na gałązkach jego się gnieździ.

Powiedział im też inną przypowieść: Z królestwem niebieskiem ma się podobnie, jak z kwasem chlebowym, który wzięła niewiasta i zaczyniła w trzech miarach mąki, aż się wszystko zakwasiło.

Wszystko to mówił Jezus rzeszom w przypowieściach; — bez przypowieści zaś nie przemawiał do nich, aby się spełniła przepowiednia proroka, który rzekł:

„Otworzę usta moje w przypowieściach,
opowiem tajemnice zamierzchłych czasów".

Gdy cały świat stanie się katolickim.

Z powodu książki R. H. Bensona*).

(Ciąg dalszy).

Trzecia grupa przyczyn, prowadzących ludzkość do uznania katolicyzmu, wyrosła na podłożu stworzonem przez tę naukę, która najpotężniejszy może wpływ wywarła na ukształtowanie się naszych stosunków społecznych i ekonomicznych, to jest fizykę. Fizyka nowożytna nietylko dała możność do zawrotnego rozrostu przemysłu, tworząc nowe jego gałęzie i przyczyniając się do rozszerzenia dawnych, nietylko zmieniła przez to ustrój społeczny pod wieloma względami, ale wycisnęła silne piętno na szkołach i poglądach filozoficznych.

„Trzeciej przyczyny — mówi p. Manners — szukać należy w nowej filozofii oczywistości (Philosophy of evidence), która zaczęła się rozszerzać wkrótce przy początku wieku.

„Aż do tego okresu t. zw. nauki fizyczne tak dalece stryranizowały umysły ludzi, iż przyjęli ów postulat fizyki, wedle którego oczywistość, której nie można zredukować do pojęć fizycznych, właściwie mówiąc nie jest żadną oczywistością. Ludzie żądali, by rzeczy czysto duchowne „udowadniano“, jak mówili, przez co rozumieli konieczność sprowadzenia ich do pojęć fizycznych. Zwolna jednak zrozumiano niedorzeczność tego żądania. Ludzie poczęli pojmować, że każda dziedzina życia ma oczywistość swoistą, że istnieją takie na przykład rzeczy, jak dowody moralne, dowody artystyczne, i dowody filozoficzne; i że dowo-

*) Tom 130, str. 275 i nast.

dów tych jedne na drugie zmieniać nie można. Żądać dowodów fizycznych na każdy artykuł wiary było czemś równie fantastycznem, jak domagać się na przykład dowodu chemicznego na piękność obrazu, albo oczywistości, wyrażonej w pojęciach światła lub głosu o moralnym charakterze przyjaciela, albo dowodu matematycznego na miłość matki do swego dziecka. Ta, zupełnie prosta myśl spadła jakgdyby piorun na wielu, którzy rościli sobie prawa do nazwy „myślicieli"; niszczyła ona bowiem całą artyleryę argumentów, uprzednio używanych przeciwko Religii objawionej.

„Przez pewien czas odsiecz przybywała z obozu filozoficznego w postaci pragmatyzmu; lecz natarcie było tylko krótkie; gdy bowiem zastosujemy metody pragmatyczne, to znaczy, gdy celem stwierdzenia prawdziwości religii odwołamy się do świadomości ludzkiej, to stanie przed nami fakt jasny i niezaprzeczalny, iż religia katolicka ze swem odwoływaniem się do wszelkiego wieku i każdego typu temperamentu, jest ze wszystkich najwyższa".

Tu autor może zbyt krótko i ogólnikowo załatwił się z systemem filozoficznym, który pod nazwą pragmatyzmu, zjawiwszy się najpierw w Ameryce, nabył wkrótce dosyć wiele rozgłosu. Autor może zanadto uczcił tę niedorzeczną teoryę, sądząc, że z jej własnych zasad dojść można do ugruntowania prawdy katolickiej. Pragmatyzm od początku stanął na zasadzie fałszywej, a z fałszu tylko przez błąd logiczny można dojść do prawdy.

Na fizyce i pragmatyzmie zakończywszy Mr. Manners jedną dziedzinę myśli ludzkiej, która poddała się z świadomem siebie i swych zasad przekonaniem prawdzie katolickiej, przechodzi następnie do drugiej dziedziny, praktycznej. Więc oczywiście na pierwszem miejscu stanie socyalizm. I przyznać trzeba, że szkoła ta ekonomiczna spokojnej, całkiem rzeczowej, lecz bardzo dlań niebezpiecznej poddaną jest krytyce.

„Socyalizm — są słowa Mr. Mannersa — z punktu widzenia czysto ekonomicznego, był pełnem dobrej chęci usiłowaniem, by znieść prawo współzawodnictwa — to znaczy, naturalne prawo przeżycia osobnika najsilniejszego (Survival of the fittest). Był usiłowaniem, mówię, a zakończył się, jak wiemy, katastrofą; al-

bowiem socyalizm, o ile się pomyślnie rozwinął, ustanowił w miejsce prawa współzawodnictwa, prawo przeżycia większości (Survival of the Majority), i rozciągnął swą tyranię najpierw nad mniejszością, a następnie nad osobnikiem.

„Lecz było to usiłowanie pełne dobrych chęci, gdyż instynkt, z którego pochodziło, był całkiem słuszny, mianowicie, że współzawodnictwo nie jest najwyższem prawem wszechświata. Były nadto w socyalizmie rozmaite inne jeszcze ideały, bardzo godne polecenia w teoryi, na przykład: że społeczeństwo uświęca i ubezpiecza osobnika, a nie osobnik społeczeństwo; że posłuszeństwo jest cnotą bardzo zaniedbaną, i tak dalej.

„Wtedy, prawie nagle, zdaje się zaświtało światu, że wszystkie ideały socyalizmu, wyjąwszy jego metod i dogmatów, były ideałami chrystyanizmu; i że Kościół, ogłaszając prawo miłości, wyprzedził odkrycia, dokonane przez socyalistów, prawie o dwa tysiące lat. Dalej, że w zgromadzeniach zakonnych te ideały czynnie się wcieliły, i że w nauce o powołaniu — to jest w wolności osobnika poddania się przełożonemu — prawa indywidualne uszanowano i równocześnie ochroniono prawa społeczeństwa".

Tu możnaby dziwić się nieco, że Mr. Manners, czyli mgr. Benson, zestawia i porównuje altruistyczne dążenia socyalizmu z owem wspaniałem, Bożem prawdziwie, prawem miłości bliźniego, ogłoszonem przez Chrystusa ludzkości wzajemną nienawiścią targanej. Pominąwszy już cechę zewnętrzną, że mianowicie socyalizm ochrania jedną tylko klasę robotniczą, a innym, posiadającym, chociażby do majątku przyszły drogą uczciwą, wypowiada wyniszczającą walkę, to już w samem psychologicznem poczęciu leży głęboka różnica między chrześcijańską miłością a socyalistycznym altruizmem. Pierwsza opiera się na umiłowaniu najwyższego ideału, jakim jest Bóg, a drugi na umiłowaniu siebie, na egoizmie. Stąd powiedzieć można, że socyalizm jest chrystyanizmem, którego główną cechę i podkład — pokorę, zastąpiono pychą. Jak materyalizm, w pysze swej nie chcąc ugiąć karku i uznać nad człowiekiem władzy Boga, poniża człowieka, odmawiając mu najistotniejszej cechy, różniącej go od zwierząt, bo ducha, — tak socyalizm, wychodząc z pychy, niemogącej znieść, by

jeden człowiek przewyższał drugiego potęgą i znaczeniem, stwarza w następstwie system społeczny, w którym ten egoizm, to „ja", zupełnie znika, stratowane i sponiewierane przez najstraszniejszego i najokrutniejszego tyrana, jakim jest społeczeństwo bez Boga. Sam Benson zresztą przytacza zaraz doskonały a rażący przykład tej głębokiej, zasadniczej różnicy między miłością chrześcijańską a płynącemi z altruizmu materyalistycznego uczuciami socyalistów, przykład równie oryginalny jak dosadny. Jest nim porównanie jałmużny chrześcijańskiej z ustawą o pensyi robotników na starość, którą świeżo dopiero wprowadził do Anglii osławiony Lloyd George.

„Przypominacie sobie państwo — mówi autor przez usta Mannersa — że przed reformacyą, a w krajach katolickich długi czas jeszcze po niej, nie było systemu praw o ubogich, gdyż domy zakonne troszczyły się o chorych i biednych. Gdy więc domy zakonne zniszczono w Anglii, państwo musiało wykonywać ich pracę. Nie można przecież okrutnymi środkami usunąć żebraków, jak to Elżbieta usiłowała uczynić. Wtedy stało się to, co było nieuniknionem: poczęto uważać za znamię hańby pomoc państwową w domach pracy; ludzie woleli często ponieść raczej śmierć głodową. Wówczas na początku dwudziestego wieku podjęto pełne dobrych chęci usiłowania, pod postacią pensyi dla ludzi starych, i ustawy George'a o powszechnem ubezpieczeniu, by temu zapobiedz, i by znaleźć taki sposób wspierania biednego, któryby nie ranił w nim szacunku dla siebie samego. Oczywiście to także zawiodło. Jest prawdziwie rzeczą nie do uwierzenia, że mężowie stanu nie widzieli, że tak być musi. Także i na pensye starych, równie jak i na państwowe ubezpieczenie, skoro tylko przyjęły się w społeczeństwie, zaczęto patrzyć jako na coś poniżającego — z tej prostej przyczyny, że nie samo przyjmowanie pieniędzy jest przykrem, lecz motyw, dla którego pieniądze się daje i stanowisko dającego. Państwo dawać może wyłącznie z powodów ekonomicznej natury, chociażby osobiście mężowie stanu byli ludźmi bardzo sumiennymi i miłosiernymi; podczas, gdy Kościół daje dla miłości Bożej, a miłość Boża nigdy jeszcze nie zniszczyła w człowieku żadnym własnego szacunku. Wiadomo jednak, jak się to

skończyło. Kościół wkroczył znowu i pod pewnymi warunkami ofiarował się, że zdejmie z państwa cały ten ciężar. Dwojaki był z tego skutek: najpierw zniknęły wszystkie narzekania, a powtóre, cała ludność uboga Anglii, w przeciągu lat dziesięciu, w sympatyach swoich stała się katolicką. A przecież wszystko to jest tylko powrotem do czasów średniowiecza — powrotem, który stał się bezwarunkowo koniecznym wobec zawodu, jaki sprawiło zastąpienie metod Bożych przez ludzkie".

Także i na najogólniejszą stronę kwestyi, walki między społeczeństwem a prawami osobnika, indywidualnością, dał Kościół odpowiedź i rozstrzygnięcie ostateczne skołatanej ludzkości, wskazując na rodzinę jako jedyną arkę ratunku, „w rodzinie bowiem obie dążności znajdują uznanie: w rodzinie jest powaga władzy, a jednak jest tam wolność, gdyż jedność rodziny leży w miłości, a miłość jedynie jest ogniwem, łączącem w zgodną całość powagę i wolność".

Jasną tę i prostą prawdę, znaną ludzkości oddawna, zapoznawano przez czas długi, ale nie zapoznawano jej bezkarnie: dopiero „strasznych wypadków pierwszego dwudziestolecia dziewiętnastego wieku było potrzeba, by zdyskredytować niedorzeczne usiłowania socyalizmu, starającego się szerzyć prawo miłości zapomocą siły". Jakżeż silną i krwawą ilustracyą tych proroczych słów Bensona stanowią świeże ogłoszone odezwy socyalistów ententy, francuskich i angielskich, którzy „w imię wolności ludów" postanawiają prowadzić dalej szaloną walkę niszczącą beznadziejnie dzisiejsze społeczeństwa!

Od socyalizmu przechodzi Mr. Manners do odległej bardzo dziedziny ludzkiej myśli, bo do s z t u k i, by wykazać, jak i ona doprowadziła ludzkość do prawdy katolickiej. Ustęp ten odznacza się bardzo charakterystycznemi uwagami i pod względem oryginalności myśli dorównuje poprzednio przytoczonym.

„Sztuka, jak pamiętacie, pod koniec epoki wiktoryańskiej chciała stać się realistyczną, dążyła więc do tego, co jest bezwarunkowo niemożebnem; a fotografia wyciągnęła na jaw tę niedorzeczność. Żaden bowiem człowiek nie może być prawdziwie realistą, gdyż jest literalnie niemożliwą rzeczą odmalować lub opi-

sać wszystko, co oko widzi. Gdy fotografia rozpowszechniła się ogólnie, zaczęto to pojmować; dostrzeżono bowiem wkrótce, że ten tylko fotograf może rościć sobie pretensye do pracy artystycznej, który dobiera i zmienia i układa — czyli układa przedmiot w mniej lub więcej symboliczne formy. Wtedy zaczęto znowu przekonywać się naocznie, że symbolizm jest tym duchem sztuki, leżącym na jej dnie — jak o tem oczywiście doskonale wiedziano w czasach średniowiecza; że sztuka zasadza się na wnikaniu popod materyalne powierzchnie, które odbijają światło, lub poza materyalne wydarzenia, które się odbywają, tak w malarstwie, jak i w literaturze; ma ona za pomocą odpowiedniego doboru przedstawiać symbolicznie (a nie odtwarzać metodą fotograficzną) idee popod rzeczami—istotę pod przypadłościami—myśl pod wyrażeniem (możecie to nazwać, jak wam się podoba). Zola w literaturze, Strauss w muzyce, francuska szkoła malarska — ci doprowadzili realizm „ad absurdum". Wtedy raz jeszcze odkryto, że Kościół katolicki, tak tu, jak i gdziekolwiek indziej, posiadał tajemnicę zupełną. Stąd zaczęła się symboliczna reakcya i cała nasza muzyka, całe nasze malarstwo i nasza dzisiejsza literatura są otwarcie i niezaprzeczenie symboliczne — to znaczy katolickie. I to także, jak widzicie, doprowadziło do tej samej lekcyi, co psychologia, że popod zjawiskami znajduje się siła, która zjawiska przewyższa; i że Kościół w ciągu całej swej historyi zajmował się tą siłą, wiedząc, że jest ona osobistą".

Jak widzimy, synteza dziejów sztuki i jej stosunku do Ducha, jaką autor tu daje, zarówno jest śmiałą jak i głęboką, a jak każda dobra synteza, rzuca wstecz i naprzód żywe światło na szczegóły, które jej służą za podłoże.

Z przytoczonych powyżej uwag autora wynika, że sprawdzianem dzieła sztuki nie jest tylko harmonia, a pod działającemi na zmysły nasze, zawartemi w dziele sztuki podnietami musi tkwić duch, idea. Każda zaś idea, byle prawdziwa i szlachetna, jest odbiciem najwyższego Bytu, nieskończonego Ideału, bytującego osobiście—więc musi prowadzić do Niego, a więc tem samem musi wieść do katolicyzmu. Tem się też tłómaczy, że niejeden twórca, choć sam niewierzący, byle w chwili natchnienia twórczego poddał się

posłusznie i bez oporu tchnącej nań sile, zdolny jest stworzyć dzieło wzniosłe, odbijające nieraz bardzo od intencyi i wartości etycznej autora. Dzieła genialnych mistrzów pogańskich, tak przedchrześcijańskich, jak i nowopogańskich, europejskich, jakże często mimo, a nawet wbrew woli twórców przyczyniają się do prowadzenia ludzkości drogą tego wielkiego postępu, którego kresem jest zapanowanie idei Bożej także i w świecie piękna i estetyki!

Przeszedłszy w ten sposób wszystkie ważniejsze działy myśli ludzkiej, Mr. Manners kończy rzutem oka na całość oddziaływania idei Kościoła, streszczającego się w owej zdumiewającej własności odrodczej Kościoła, zdolności odradzania dusz, „Recuperative Power", jak ją autor słusznie i krótko nazywa. Zarówno zwięzłość tych uwag końcowych, jak i doniosłość i trafność zmusza do tego, by przytoczyć je dosłownie:

„W końcu — a jest to argument koronujący wszystkie inne, który wszystko zestawia i porządkuje — było wzrastające naukowe i popularne wyobrażenie zdolności odrodczej Kościoła — tej samej, którą sam Boski nasz Mistrz nazwał znakiem Jonasza Proroka, zmartwychwstania.

„Były oczywiście niezliczone inne linie postępu we wszystkich naukach, a wszystkie zmierzały w tym samym kierunku, i spotykały, że tak powiem, ze wszystkich stron światokręgu, koniec tunelu, który Kościół wiercił poprzez nagromadzoną zewsząd głupotę i niewiadomość ludzi. Wierciła ten tunel psychologia i wkrótce usłyszała wśród ciemności głosy egzorcystów i echa z Lourdes. Wierciły tunel religie ludzkie: hinduizm ze swą ideą wcielenia Bóstwa, buddyzm ze swem grubem pojęciem wieczystego pokoju i wiecznie uszczęśliwiającej wizyi, północno-amerykańska religia ze swymi przebłyskami sakramentalnymi, religie dzikich z karykaturą ofiary krwawej; wszystkie z rozmaitych stanowisk; i wkrótce usłyszano poprzez wrzawę historyczny dogmat Wcielenia Chrystusa, dogmat o życiu wiecznem, o systemie sakramentów i ofierze Krzyża — wszystko ogłoszone w jednem, ściśle spojonem i w sposób doskonały filozoficznie przeprowadzonem Credo. Ideały reform socyalnych te same poczyniły doświadczenia. Socyalista ze swem marzeniem o boskiej społeczno-

ści, anarchista z namiętną zmorą zupełnej osobistej wolności, obaj zderzyli się we wnętrzu czarnej ciemności, z wielkim zarysem Bożej rodziny, która była faktem, a nie dalekiem dążeniem — rodziny, która upadła w Edenie i stała się państwem; świętej rodziny, która odkupiła Nazaret i świat cały; katolickiej rodziny w której nie było ani żyda, ani Greka, w której nauka o powołaniu zabezpieczała prawa i godność społeczeństwa z jednej strony, a osobnika z drugiej. Wkońcu sztuka, błąkając się tam i sam po manowcach realizmu, ujrzała przed sobą światło i znalazła w sztuce katolickiej i symbolizmie tajemnicę swego życia.

„Taki więc był wynik tego, że Kościół, jak się przekonano, miał wieczystą słuszność na wszystkich polach. Potępiano go na jednem polu po drugiem. Piłat — prawo oddzielnych narodów — stwierdził, że Kościół jest winien buntu: Herod — raz chciwy cudów, to znów sceptyk — człowiek nauki, oświadczył, że Kościół jest winien zdrady; Kajfasz potępił go w imię narodowej religii. Albo znowu stronnicy greccy sądzili, że Kościół jest nieprzyjacielem sztuki; łacinnicy, że jest nieprzyjacielem prawa; żydowscy faryzeusze, że nieprzyjacielem religii. Niósł on napis w języku greckim, łacińskim i hebrajskim. Ukrzyżowano go i szydzono zeń, gdy tam wisiał; zdawało się, że umarł; a oto, patrzcie! — gdy zaświtał dzień trzeci, ożył na nowo na zawsze. Z każdego poszczególnego punktu usprawiedliwiono go i obroniono. Ludzie myśleli, że wynaleźli nową religię, nową sztukę, nowy porządek społeczny, nową filozofię; drążyli i dociekali i kopali we wszystkich kierunkach; i wkońcu, gdy wypracowali swe teorye i osądzili, że znaleźli nagrodę za swe prace, dostrzegli, że patrzą znowu w pogodne, uśmiechnięte oblicze katolicyzmu. Powstał on znowu z martwych i ujrzano, że jest córą Boga, z Mocą".

Tą piękną paralelą między historyą męki Chrystusa, a dziejami Jego Kościoła, kończy Mr. Manners swą przemowę. Jakkolwiek jest ona tylko jednym z krótszych epizodów książki Bensona, trzeba było zająć się nią dokładnie, bo ona głównie daje odpowiedź na pytanie interesujące, jak autor sobie wyobraża drogę, po której myśl ludzka, dzisiejszą przeniknięta cywilizacyą, mogła dojść do uznania panującej roli katolicyzmu na wszystkich po-

lach. Czy do tej mety kiedyś dojdzie? Bezsprzecznie dojść powinna, i doszłaby niechybnie, gdyby ludzie w badaniach swych i dociekaniach kierowali się wyłącznie miłością bezstronną prawdy. Ale wiemy z doświadczeń życia codziennego, że tak nie jest, że często bardzo badania naukowe są poprzedzane urobionemi przedtem zasadami i przesądami, a stąd nawet dzieła nawskróś teoretyczne i pozornie bezstronne mają podkład, który myśl badacza i czytelnika ustawicznie, choć w sposób zaledwie albo tylko trudno dostrzegalny sprowadzają z drogi prostej, jaką wytyczyła logika, do koryta, spływającego ku naprzód wyznaczonym zbiornikom.

Wykład Mannersa jest u samego początku książki — po niem dopiero następuje właściwa fabuła, która w miarę swego rozwoju odpowie nam na drugie, nie mniej ciekawe pytanie, mianowicie, jak autor wyobraził sobie to panowanie katolicyzmu nad całym światem, tym światem, który mimo jednolitego prawie pokostu cywilizacyjnego, przecież tak olbrzymię wykazuje w poszczególnych krajach i stopniach społecznych różnice. Jak wspomnieliśmy, autor użył w przedstawieniu rzeczy pewnego rodzaju fortelu psychologicznego. Wiedząc z góry, że niejedna z sytuacyi przezeń wymyślonych spotkałaby się odrazu z nieprzychylnem odrzuceniem ze strony dzisiejszego czytelnika, wciela stan psychiczny, w którym żyjemy, w postać Monsigniora Mastermanna, który z przepracowania dostał szczególnej choroby psychicznej: zapomniał dokładnie o całej teraźniejszości, w której istnieje, a myślą żyje w przeszłości, w epoce, którą studyował tuż przed swem zapadnięciem, a jest nią epoka nasza. W ten sposób Mgr. Benson równocześnie podsuwa sobie sposobność do umotywowania swego poglądu.

W chwili zaczęcia powieści „cały świat — jak się zdumiony Mgr. Mastermann dowiaduje z ust swego przewodnika i dawnego spowiednika, którym jest Father Jervis — jest chrześcijański, w ten sam przynajmniej sposób, w jaki Europa była chrześcijańską, powiedzmy w wieku dwunastym“, przyczem chrześcijański znaczy to samo identycznie, co katolicki. A katolicyzm ten nie jest wcale tem, co u nas pięknym zwrotem określają, mówiąc

np. że naród nasz jest „bądź co bądź katolicki", lecz jest to katolicyzm przeprowadzony logicznie przez wszystkie konsekwencye. Tak dowiadujemy się, że katolicyzm nie jest jeszcze religią państwową w Anglii, „not yet established as the State Religion", chociaż wkrótce do tego przyjdzie, mimo, że rozwody zniesiono przed trzydziestu laty, a w dziesięć lat później uznano cudzołóstwo za ciężką zbrodnię (felony)". Beneficya kleru przywrócono przed trzema laty, a istnieją także osobne trybunały do sądzenia herezyi, z władzą oddawania przekonanych o nią ramieniowi świeckiemu. Gdy zaś zdumiony tem wszystkiem Mgr. Mastermann pyta, co wobec tego O. Jervis ma na myśli, mówiąc, że Kościół katolicki nie jest jeszcze w Anglii urzędowym, odpowiada Jervis: „Mam na myśli to, że od urzędników państwowych nie żąda się dowodu religijności, i że biskupi i opaci nie mają krzeseł w parlamencie".

Przewrót ten stosunków nastąpił wedle autora wskutek nadania praw obywatelskich kobietom, które obecnie zrównane są z prawami mężczyzn. Anglia jest monarchią katolicką, na której czele stoi król katolicki, a rządzoną przez ludność, przyczem jednak wymaga się do pełni praw bardzo wysokiego cenzusu intelektualnego, skutkiem czego zaledwie siedmdziesiąta część dorosłych głosuje, ale za to całość jest rządzoną przez osoby należycie uświadomione i wykształcone. Podobne zmiany zaszły i na kontynencie. „Najpierw Rzym. Austrya wypędziła dom sabaudzki mniej więcej przed dwudziestu pięciu laty, a Ojciec święty... Grzegorz XIX, który jest Francuzem, ma władzę doczesną nad całymi Włochami, lecz cesarz austryacki niemi zarządza. Dalej Francya jest, oczywiście, bardzo małym krajem". „Dlaczego małym"? — pyta Jervisa Mgr. Mastermann. „No, wie ksiądz, wojna europejska z r. 1914...?" Jest ona całkiem obecnie katolicką, krajem świętych, jakim była niegdyś, podobnie, jak katolicką jest południowa Ameryka, gdzie królem Meksyku jest król hiszpański. Także i Stany Zjednoczone Ameryki przestały być rzeczpospolitą i wraz z Kanadą utworzyły katolicką, angielską monarchię, podczas gdy Japonia zagarnęła wielką część wybrzeży zachodnich. Irlandya uzyskała zupełną niezawisłość, lecz ludność jej w dalszym ciągu

emigrowała, głównie do Australii, także całkowicie katolickiej, zaś na Zielonej wyspie poczęły się osiedlać zgromadzenia zakonne, biorąc powoli w posiadanie całą większą własność, a nawet i wiele miast, tak, że praktycznie biorąc, Irlandya jest jakby jednym wielkim klasztorem. Jest ona zarazem lecznicą i psychiatryczną ucieczką dla dusz skołatanych i złamanych życiem, gdzie pod przewodnictwem świątobliwych i uczonych zakonników, którzy są jakgdyby fachowymi psychiatrami, oddając się czas jakiś ćwiczeniom duchownym w odosobnieniu, odzyskują powoli równowagę duchową i zdrowie. Zresztą nietylko w psychopatologii, lecz w całej medycynie doszli wreszcie uczeni do poznania należytego wpływu duszy na zdrowie organizmu ludzkiego. „Sto lat temu — mówi znakomity lekarz ówczesny, wezwany do Mgra Mastermanna przez Jego Eminencyę kardynała Arcybiskupa Londynu — gdy człowiek zachorował, zaczynali od leczenia jego ciała. Wiemy jednak, że dusza jest znacznie więcej człowiekiem, niż ciało, jak teologia nas zawsze nauczała". Na zarzut Mastermanna, że to przecież nic innego, jak Christian Science (znana dziś sekta w Ameryce, która oddziaływaniem psychologicznem chce uleczyć wszelkie choroby), odpowiada sam Kardynał: „Nie, my nie przeczymy rzeczywistości materyi, jest ona doskonale rzeczywistą. Tylko, jak mówią lekarze, wolimy raczej atakować rzeczywisty korzeń choroby, aniżeli jego wyniki fizyczne. Używamy jeszcze lekarstw, lecz tylko celem usunięcia bolesnych objawów". Jestto myśl, która dzisiaj już zaczyna coraz więcej zyskiwać zwolenników wśród wielu lekarzy, uznających w człowieku coś więcej ponad biologiczną maszynę, w przeciwieństwie do swych materyalistycznych kolegów, używających w odniesieniu do chorego człowieka zawsze jeszcze mniej lub więcej weterynarskich metod.

(C. d. n.).

Ks. F. Hortyński.

Z nieznanych autografów Lelewela.

Jednym z największych tytanów pracy, jakich mieliśmy, był Joachim Lelewel. Zasługi jego na polu badań historycznych, numizmatycznych, archeologicznych i geograficznych były już niejednokrotnie w naszej i obcej literaturze naukowej omawiane. To też nie mamy zamiaru o nich mówić w niniejszem artykule, lecz chcemy zapoznać czytelników z kilku nieznanymi listami Lelewela z ostatnich lat jego życia.

Po upadku powstania listopadowego, pośród wygnańców, ciągnących do Francyi, znalazł się, jak wiadomo, i Lelewel, który pragnął tam pracować nad oswobodzeniem ojczyzny. Lecz już w r. 1833 na rozkaz rządu francuskiego musiał opuścić Francyę i przeniósł się do Brukselli, gdzie do końca życia przebywał († 1861). Z tą chwilą zakończył swą działalność polityczną na emigracyi i wrócił do pracy naukowej. Długi szereg dzieł, jakie wtedy wydał, świadczy o niezwykłym umyśle i harcie tego człowieka, który, mimo przeciwności losu, ani na chwilę nie ugiął się, którego celem w życiu była praca bez wytchnienia na pożytek ojczyzny i zgotowanie jej lepszej przyszłości. Dość przypomnieć monumentalne dzieło dwutomowe p. t.: „Numizmatyka wieków średnich", pamiętniki, przeznaczone dla dzieci polskich p. t.: „Polska odradzająca się", zawierające dzieje lat 1795—1831, spis urzędników koronnych i biskupów wraz z wyjaśnieniami heraldycznemi w herbarzu Niesieckiego, wreszcie 20-tomowe dzieło p. t.: „Polska,

dzieje i rzeczy jej" — by mieć wyobrażenie o ogromie pracy Lelewela na obczyźnie. A jeśli jeszcze uchylimy rąbka zasłony z jego życia codziennego i zajrzymy do ubogiej stancyi, w której pracował od rana do późnej nocy, często o głodzie i chłodzie, odrzucając wszelką pomoc życzliwych mu osób, wtedy dopiero staje przed nami postać w całej swej okazałości i powadze, jakby wykuta z jednej bryły marmuru. Ożywiał ją duch szlachetny, niepodległy, który wolność uważał za najwyższe dobro przyrodzone jednostki i narodu; biło w niej serce, czułe na wszelką niedolę, które pragnęło widzieć naród swój wolny i zjednoczony w braterskiem pożyciu wszystkich stanów. Najwięcej bolała Lelewela niedola ludu, którego losami zajmował się często w swych pracach historycznych z myślą, że żyjące i przyszłe pokolenia naprawią krzywdy, wyrządzone ludowi w minionych wiekach [1]).

Ciekawe światło na poglądy społeczne [2]) Lelewela rzuca jego własna korespondencya z Antoniną Machczyńską w latach 1857 do 1860. Była to młoda wówczas i początkująca działaczka na niwie społecznej (potem znana zaszczytnie i do dziś dnia, mimo wieku, ciągle czynna), która podobnie jak Lelewel, odczuwając smutne położenie ludu, pragnęła jego podniesienia przez oświecenie. Dla szerzenia tej idei w społeczeństwie i obudzenia w niem żywszego zainteresowania się ludem, chwyciła za pióro i w r. 1856 wydała w Warszawie książkę p. t.: „Szkółka wiejska", która dostała się do rąk pierwszych osobistości ówczesnej Polski w kraju i na emigracyi. Czytał ją książę Adam Czartoryski i ks. Aleksander Jełowicki — i obaj pochlebnie się o niej wyrażali w listach do autorki, a Lelewel napisał o książce recenzyę do „Czasu", którą przesłał potem autorce do Warszawy, bo uległa konfiskacie. Osnowa jej była następująca:

„Szkółka wiejska" przez A. Machczyńską. Warszawa, nakład Gluksberga 1856.

[1]) Uczucie krzywdy, wyrządzonej ludowi, żywił też Mickiewicz, czego dowodem ów upiór pana-ciemiężyciela, zjawiający się w obrzędzie Dziadów, jako najcięższy zbrodniarz. Kto wie, czy nie należy w tem upatrywać wpływu Lelewela, z którym zetknął się Mickiewicz na uniwersytecie wileńskim i słuchał jego wykładów.

[2]) Pomijamy tu poglądy polityczne Lelewela.

Jeśli o tym dziełku w dziennikach mało było wspomnień, cieszyłbym się niezmiernie, gdybym się dowiedział, że kilka następnych o nim słów drogą dziennika jakiego autorkę doszły. Dziełko jej piękne, niepospolitych zalet, miłe nieci uczucia. Młoda autorka własnym go kreśliła natchnieniem. Możnaby powiedzieć, powodowana zacnego Jachowicza nauką, bo jego będąc uczniem, przejęła się, którą godnie wyraża. Osnowa powieści o szkółce wiejskiej w Jarzębnie mówi o jej założeniu i powodzeniu. Kasztelanowa wdowa, osiadłszy na wsi, zakłada ją, najdując na nauczyciela podżyłego i zasłużonego pułkownika. On dzieci uczy i w dzienną naukę wciąga; podrastającemi kieruje, ich pojęciem i moralnością powoduje.

Książeczka i szkółka wziętości nabywają; podżyli wieśniacy cieszą się. Kasztelanowa nie zaniedbuje czuwać nad szkółką, na różny sposób zachęcać; chce, aby podrośli w nauce na wspólną z paniczem, to jest z jej synem, przychodzili zabawę. Pułkownik, w lata zachodzący, stara się i ma pociechę, że z celnych uczniów jego ten, co wszedł do stanu duchownego, po zmarłym proboszczu w Jarzębnie proboszczem zostaje; stara się o to, aby miał po sobie w szkółce nauczyciela i podobnież ma pociechę, że nauczycielstwo i kierunek szkoły oddaje wieśniakowi, jakiego sam usposobił.

Piękna myśl, bo stan wieśniaczy najłatwiej się ukształci, najlepiej się podniesie, gdy bez opiekunów sam sobą się zajmie, gdy z pomiędzy siebie kierowników uzyszcze; a póty za krzywdy zaszłych wieków zadość im uczynione nie będzie, dopóki nie zjawi się paniąt z wieśniakami braterska zażyłość.

Cześć cnej autorce, co to pojęła, co takiej przyszłości podwoje otwiera. Bóg daj rychło!

Wysłowienie jej nie ma toku sielskiego ani dziecinnego; ale jest jasne, proste, całe czystego języka, dla każdego wieku zrozumiałe. Powieść zrazu dzieci nauczająca, następnie staje się zajmująca wydarzeniami, a w miarę rosnącego powodzenia szkółki, w rozmaitości obrazów coraz więcej ożywioną.

Było posłane do Krakowa do „Czasu“ i umieszczone w numerze 62, 17 marca; numer zatrzymany został przez policyę, musiano odrzucić odbitych już z połowę, a w drugiej wyjąć go z kolumny“. J. Lelewel.

Machczyńska, zachęcona powodzeniem „Szkółki", pisze dla ludu opowiadania i powieści, zwracając się do Lelewela po wskazówki i źródła z dziejów Polski. W odpowiedzi obszernie rozpisał się Lelewel w liście z 23 maja 1860 r., wysłanym do Paryża, dokąd świeżo przybyła Machczyńska, by objąć w hotelu Lambert stanowisko nauczycielki języka i literatury polskiej w Instytucie panien polskich i sekretarki księcia Adama Czartoryskiego.

„Szanowna i łaskawa Pani" — pisał Lelewel. — „Witam w Paryżu. Niewiele to nas zbliża, kiedy ubiegają ku schyłkowi lata. Nie troszcz się Pani jakim zatrudnień przerywaniem, bo tych już niema dla tego, co się do wiecznego spoczynku zbliża, a zatym i od Paryża oddala a niezdolnym się stawa mówić o tym, czego nie wie, albo przypomnieć sobie to, co z pamięci wymknęło się na zawsze.

Jedną z najpierwszych figur wieśniaczych w historyi jest bez wątpienia Piast i Ziemowit. Byłby pewnie piękną Masław, gdyby nie został sponiewierany i ohydzony. Dla ludu wielką jest figurą, ale skrzywioną, Bolesław Śmiały: miłowali go wieśniacy. Odtąd w historyi rośnie ludu poniewierka, ostatecznie ucisk. Za Łokietka lud sam przez się rwał się na Krzyżaki: o tem jest w Naruszewiczu i Moraczewskim. Łokietka lud miłował, tradicja jak przechowywał; za Łokietka pisano ustawy o przesiedleniu, które Kazimierz, ludu opiekun, tylko ponowił. — Janicki.

Za Jana Kazimierza lud pierwszy sam z siebie tłukł Szwedy, mówi o tym Moraczewski. Czyli w tych ludu wzruszeniach są pojedyncze jakie jimiona wymieniane, niepomnę. Kilku z tych, co się odznaczyli pod Racławicami, pod Szczekocinami niedawno widziałem, szukam i znaleść nie mogę.

Nie o te przecie ogólniki Pani mej jidzie: chcąc mieć powiastki partikularne z dawnych i nowszych czasów. Zdarzało mi się napotykać takie opowiadane i w druku spominane: wszakże bałamucić niepewnym przypomnieniem nie zdołam. Na moje miejsce nastręczę lepszego.

Jest w Paryżu z małżonką i synem, zacny mąż (może już Pani mej znajomy) mnie osobiście nieznany. Znany jedynie z różnych koleji życia swego i zasług dla sprawy naszej i ludzkości; instru-

ktor co poformował różnego stanu ludzi na ludzi: Smagłowski (Liwoczanin), a Paris rue Hautefeuille 11. Zabierz Pani z małżonką jego i z nim znajomość; on wierszem i prozą napowiada wiele, wiele.

Powiesz mi Pani: udałam się do Ciebie z małą nadzieją; na swe miejsce stręczysz mi jinnego, z którym nowy zawód, a ja na to kupić nie kupić, potargować wolno; u niego najdzie się żywy towar.

W wiosce ojca mego byli Małecki, Orzeszkowski, rodziny Wardyńskich dawnością poważne, bo najdawniej zasiadłe, kiedy jeszcze znikła potym włość Wardyn existowała i cała okolica nazwę Wardynu nosiła. Te nazwy pamiętam. A w całej osadzie po upadku Polski najzamożniejszy półwłoczniak był na jimie Bazyli: nazwy niepamiętam. Miał dostatkiem drobiu i nabiału, bo liczył prócz roboczych wołów, krówek dojnych 12, w ogrodzie kilka ulów, w polu wszystko bujno, dobrze uprawne; co tydnia do Warszawy powózki z rolniczym i folwarku swego towarem słał, cielęta, kurczęta, sery, masło, ziarno co niebądź. W domu zgoda rodzinna, dzieci niemnogie, ale były; zacny to był człowiek, usłużny, nierzadko było biednemu na zasiew ziarna dał; niemogącemu sobie rady dać nie samą radą, ale i robocizną dopomagał, bądź parobka swego o to zobowiązał, bądź sam z kosą i pługiem. Miłowany był powszechnie i Pan Bóg mu błogosławił, a zamożny Bazyli grosz mnogi zbierał. Taki został z czasów Rzeczypospolitej. W lat kilka (3 czy 4) po upadku Polski, przyszedł do mego ojca z wiosną oświadczając, że chce półwłok i posadę opuścić. Dlaczegoż to, czy ci źle, czy doznałeś jakiej krzywdy? o nie. Gdzież tedy zamierzasz przenieść się — nigdzie — jak to? nigdzie. Chcę sobie spocząć, pójdę na swoje na kątnika. Człowieku! co zamierzasz? w pustynie, jesteś w sile wieku, chcesz na swoje, masz grosz, kup sobie ziemi na swoje, czy ci grosza brakuje? Niebrakuje, ale chcę osobności. Zastanów się, wiesz jakbym mógł przepisami austrjackiemi niedopuszczać odejścia: tego nie uczynię: ale sądzę, że mi za złe niepoczytasz, kiedy odejście do jesieni odłożę: wszak to czas zdawien dawna najprzyzwoitszy tak jest. Nie żądam, abyś kogo na swe miejsce stawiał, puściłbym zaraz;

jeśli się domagam, abyś do jesieni pozostał, to jedynie dla tego, aby dać czas do namysłu; rozważ dobrze, co czynisz, a radzę kup sobie posiadłość na swoje. Jednego późnego wieczoru w jesieni zaryczały woły pod oknem dworu. Pamiętam ojciec rzekł: to pewnie Bazyli dworskie woły oddaje. I tak było. Poszedł na kątnika, w niewiele lat zmarniał, dobytek mu przepadł, do Warszawy nie miał co wozić, powtarzano, że w biedzie i w biedzie zostawił swojich, a grosza, jaki miał, nieużył, niedobył...

Widziałem też pastuchę. Służył w gwardyi pieszej pod komendą mego ojca, potym był dworskim i gromadzkim pastuchą; nieżenny, trzeźwy, uczciwy człek; co miesiąc lat wiele po kilkadziesiąt złotówek gdzieś grzebał. Przy zgonie ni grosza nie znaleziono przy nim. Jakto zrobić, aby lud pomyślał o ulepszeniu bytu swego i użyciu dostatków? (A takie grosza krycie jest we zwyczaju dotąd we Francyi, w Bretanji i wszędzie).

Chłopaczek jeden ze wsi mego ojca był w służbie u starego Xawerego Rostworowskiego, kiedy Dekiert (dzisiejszy biskup) był instruktorem domowym najmłodszego syna Jana. Ucząc Jasia, uczył razem i sługusa i wyuczył tak, że za Księstwa warszawskiego wyszedł na biuralistę. Kochany od kollegów spacerował z nimi. Widzieliśmy z okien na długiej ulicy przechadzającego się, ze szczerą starego ojca mego satisfakcją. Aż raz i drugi postrzegliśmy coś więcej. Koło Paulinów przy straganach pojawiała się jego matka wieśniaczka. On w tenże opuszczał kollegów, biegł do niej z uszanowaniem. Było to za Księstwa warszawskiego; jinne czasy nastały za Królestwa Kongresowego, wieśniakowi wypadło z biuralistostwa wyjść. Miał przejść do kogoś na komisarza jego dóbr i obowiązku należycie dopełniać. O tym Dekierta czynie chciej Pani powiedzieć Liwoczaninowi, skoro z nim znajomość zabierzesz: czego życzę.

Pisząc do Mamy, proszę polecać mnie Jej łaskawym względom, a Mamie i siostrzycce wyrazy mego uszanowania przesyłać.

Cześć i życzliwość — Lelewel.

Bruxella, 23 maja 1860.

A czyż to się godzi radzić i życzyć takiej instrukcji, jaką Dekiert dał, jest to odrywać ręce od roli: szkoda dla kraju. Wie-

śniak powinien miłować jedynie stan swój o niczym jinnym nie myślić. Wszak takie maximi kierują dotąd".

List ten, oprócz zapatrywań Lelewela w kwestyi ludowej, oświetla we wstępie stan psychiczny Lelewela, przeczuwającego blizką śmierć, która też rzeczywiście miała go w roku następnym wyzwolić z cierpień doczesnych. Lepiej jeszcze maluje ten stan własny wiersz Lelewela z r. 1859, jedyny prawdopodobnie, jaki w życiu napisał. Odpowiedział nim wtedy na wiersz Machczyńskiej, p. t.: „Chrzest i pogrzeb", którego każda strofa zawierała słowa: „dzwonią, dzwonią". Tych słów też użył Lelewel w swym wierszu, który brzmiał, jak następuje [1]):

Dzwonią, dzwonią
Po cóż mię gnębi żmudna praca?
Lata gonią
Zgon do spoczynku nagle zwraca.
Dzwonią, dzwonią
Kruszy mi się pług zardzewiały
Braciaż wzbronią
Zużyć w grobie gnat przestarzały?
Dzwonią, dzwonią
Czyste skronie, cnej Antoniny
Niech osłonią
Wieńcem czci — matki i dzieciny.

Po wierszu, przesłanym Machczyńskiej przez Lelewela w liście z 13 września 1859 r. do Ostendy, gdzie wtedy bawiła, następuje dopisek: „A że wierszy naszych nie będą czytać ni kmiecie ni dzieciny, wolę pisać wolną mową. Prozę przerwano wolną mową, wiersz tedy musi być w pętach niewolny, a zatem chętnie wracam do wolnej mowy przesyłając wyraz życzliwości i wierne służby — J. L e l e w e l".

Dr. Władysław Bogatyński.

[1]) Wszystkie tu przytoczone autografy Lelewela są w posiadaniu p. A. Machczyńskiej, której uprzejmości zawdzięczamy ich odpisy.

Z ekonomii chowu drobiu u nas i za granicą.

W roku 1902 austryackie Ministeryum rolnictwa rozesłało do Wydziałów wszystkich krajów koronnych w sprawie chowu ptactwa domowego następujące pismo:

„Doniosła nader hodowla drobiu w poszczególnych krajach koronnych w stosunku do innych gałęzi kultury krajowej znajduje się w zaniedbaniu. Produkty tymczasem, pochodzące z chowu drobiu, stanowią poważny czynnik dochodów rolniczych. Wywóz tych produktów w latach ostatnich podniósł się wprawdzie, ale w najnowszych czasach wskutek rosnącej konkurencyi rosyjskiej, serbskiej i włoskiej znowu w ciężkich znajduje się warunkach."

„Wielkie znaczenie gospodarcze hodowli drobiu, pomijając już dużą konsumcyę wewnątrz kraju, okaże się, gdy zestawimy wywóz z jego przywozem. Tak np. w roku 1894 wywóz z Austryo-Węgier drobiu i produktów, pochodzących z chowu drobiu, wynosił 107 mil. koron, przywóz natomiast przeszło 18 mil. koron. Chów tedy drobiu w roku 1894 przyniósł 88 mil. koron", a w roku 1900 przeszło 100 mil. koron dochodu.

Z tego przypada na drób okrągło 15 mil., na jaja 72 mil., na pierze 15 mil. koron. Stosunek obu państw, Austryi i Węgier w wywozie tym przedstawia się, jak 4 : 5".

W 10 lat później stan ptactwa domowego w Galicyi według wykazów krajowego Biura statystycznego przedstawia się następująco:

	Ilość drobiu		Przybyło	
	1900	1910	od r. 1900—1910	
Kury	6,878.377	10,301.255	3,422.878	49,8
Gęsi	457.939	566.671	108.732	23,7
Kaczki	285.319	384.533	99.214	34,8
Inny drób	133.252	234.271	101.019	75,8
Razem	7,754.887	11,486.730	3,731.843	48,1

Objawem pocieszającym więc jest silny przyrost ptactwa domowego w Galicyi, który w ostatnim przeglądzie statystycznym we wszystkich powiatach znacznie się powiększył. Przedewszystkiem w powiatach, ciągnących się po prawym brzegu Wisły (wyjąwszy miasta: Oświęcim i Podgórze) aż do ujścia Wisłoki, w obszarze między Wisłoką i Wisłokiem i na Podolu i Pokuciu chów drobiu najbardziej się rozwinął.

Wzmógł się też udział procentowy Galicyi co do bogactwa ptactwa domowego w stosunku do całej Austryi. W roku 1900 przypada na Galicyę 29,1% drobiu, w roku 1910 natomiast 32,1%.

„Najznaczniejszą ilość ptactwa domowego na 1 km.^{2} spotykamy w powiecie śniatyńskim (409,2 sztuk), ilość najmniejszą w skolskim (59,6); na 100 mieszkańców przypada najwięcej drobiu w Horodence (244,7), najmniej w Podgórzu (64)".

Zasługa to niewątpliwie Towarzystw rolniczych w Krakowie i Lwowie i niektórych towarzystw chowu drobiu, jak np. w Jarosławiu, które w tym kierunku rozległą i nader owocną rozwinęły działaność.

Gdy atoli przypatrzymy się jakości i rentowności tego gospodarstwa, przekonamy się, że ono jeszcze nie wywinęło się i nie otarło z pierwotnych pieluch i brudów, że jeszcze nie przeobraziło się w planową akcyę bogatego gospodarstwa intenzywnego.

Prawie wszędzie jeszcze widać gromady najróżniejszych kur włościańskich, które odmładzają się własnemi siłami. Tylko niekiedy obce jaja wylęgowe służą do odnowienia krwi starzejących się i wyradzających rodzin kurzych. Kurniki są marne. Jakieś

ciasne i ciemne, nigdy prawie nie czyszczone, przepierzenie w chlewie, jakaś ciemna i wilgotna nora, sprzyjające różnym chorobom, służy na schronienie nocne. O racyonalnem karmieniu niema mowy.

Toteż w rezultacie z takiego chowu ani pożytku wielkiego, ani dochodów niema. Szkoda wielka, bo postępowy chów drobiu stanowi bogate źródło dochodów, dostępne dla włościan i najuboższych nawet chałupników.

„Co do rentowności hodowli drobiu — pisze praktyczny gospodarz w „Tygodniku rolniczym“ — wykazano jak najdokładniej rachunkiem w zakładzie chowu drobiu w Otterbach, że 7 kur może dać taki dochód, jak jedna krowa mleczna, a może i więcej. Zakłady tuczenia drobiu przy fachowem kierownictwie dają 100% od włożonego w przedsiębiorstwo kapitału. U nas nie zrozumiano jeszcze doniosłości chowu drobiu, to też mimo tego, że Galicya jest krajem rolniczym, sprowadza i tak wielką ilość drobiu tuczonego, bitego ze Styryi (pulardy styryjskie) i Węgier. Galicya wywozi prawie za 40 mil. koron jaj i drobiu, ale drobiu nie tuczonego, który zwykle wraca do nas z obcych zakładów dla tuczenia drobiu pod mianem pulard i t. d. Dołóżmy zatem starań do hodowli drobiu, starajmy się poprawić i ustalić rasę naszych kur krajowych „zielononóżek“, a zyskamy wiele milionów dla kraju i ludu rolniczego“ [1]).

Gorzej jeszcze przedstawia się zbyt drobiu i jaj, który nie ujęty w żadną organizacyę, mimo znakomitych rynków i dużego zapotrzebowania, przyprawia producentów o milionowe straty.

„Wywóz naszych jaj — pisze redaktor „Mleczarstwa“ w Warszawie p. Z. Chmielewski — znajduje się całkowicie w ręku żydów, którzy, aczkolwiek mają u nas opinię dobrych kupców, w rzeczywistości są złymi kupcami. Dobry kupiec musi rozumieć naczelną zasadę handlu, że towar winien być całkowicie i w najdrobniejszych szczegółach dostosowany do wymagań rynku, a więc dobry kupiec powinien jak najdokładniej sam poznać wymagania rynku i udzielić wytwórcy szczegółowych wiadomości co do nich. Mniejsza już o to, że nie wprowadzono u nas dotych-

[1]) Tadeusz Misiewicz w „Tygodniku rolniczym“, str. 561, r. 1912.

czas nowoczesnego opakowania, ale najgorsze jest to, że nasi dotychczasowi handlarze jajami nie uczyli producenta, że jajo musi być świeże, czyste i duże. Płacono za jaje stare, brudne i małe tak samo, jak za jaje wyborowe, więc oczywiście producent nasz nie dba o jakość produktu; żydowscy handlarze zadawalniali się za granicą nizką ceną, bo umieli od naszego producenta kupić za nizką cenę. A producent znów, uzyskując nizką cenę, nie uczynił wielkich zachodów“ [1]).

A na tle dzikich stosunków wojennych jak smutnie dla naszego majątku narodowego i dobrobytu włościan przedstawia się ten brak organizacyi i buszowanie żydów po kraju!

Potężnym czynnikiem i dźwignią polepszenia chowu drobiu i powiększenia dochodów, stąd płynących, są przedewszystkiem towarzystwa hodowców i związki sprzedaży produktów ptactwa domowego. Niech tylko przy poparciu towarzystw rolniczych kraj cały pokryje się siecią stowarzyszeń jajczarskich, a gospodarczość i dobrobyt włościan naszych rozwinie się ogromnie.

Chów drobiu, to gałąź gospodarstwa, która mało potrzebuje miejsca, zabiegów i żadnego prawie kapitału. Trzeba tylko trochę rozumieć się na tem, a źródła dochodów rozszerzą się wydatnie.

W Rosyi chów drobiu i sprzedaż jaj są ważnym czynnikiem i wciąż sączącem się źródłem dochodów gospodarstwa chłopskiego. Obniżenie kolejowych kosztów przewozowych przyczyniło się tam wydatnie do rozwoju chowu drobiu w głębi kraju i do bogatego wywozu jaj do zachodniej Europy. Z portów Rygi, Libawy, Piotrogrodu, poprzez stacye graniczne do Galicyi i na Śląsk i do Prus szły z głębi Rosyi ogromne transporty jaj do Anglii, Austryi i Niemiec — do Belgii i Holandyi.

Ale chcąc popchnąć i przynaglić chłopa do racyonalnego chowu, chcąc podnieść sprzedaż produktów drobiu, potrzeba koniecznie stowarzyszeń handlowych.

Spółki jajczarskie dopiero zdołają zapewnić sobie i uporządkować rynki zbytu, zadzierżgnąć węzły z konsumentami, podjąć

---

1) Znaczenie jajczarstwa dla Królestwa Polskiego w zeszycie listopadowym 1913 r. „Mleczarstwo“. Warszawa.

walkę z pasożytnym handlem pośrednim i przysporzyć włościanom dochodów. Związek hodowców drobiu w Scharding w Austryi, liczący 1419 członków, miał ze sprzedaży jaj w ostatnich latach przedwojennych czystego dochodu 72,119 koron. Z tego przypadło na kurę 1,95 kor. czystego dochodu z jaj, podczas gdy dawniej bez organizacyi zbytu dochód ten wynosił zaledwie 53 hal.

Spółki jajczarskie dopiero zdołają przez odpowiednie wskazówki podnieść nośność kur i przeciętną wagę jaj i wogóle uszlachetnić hodowlę drobiu. W Scharding po kilku latach stosownych zabiegów przeciętna waga jaja w spółce podniosła się z 54,25 na 56,90 gramów. Przecież z kury pospolitej, hodowanej obecnie po wsiach, przez staranny wybór i dobór sztuk, odznaczających się wczesnym i bujnym rozwojem, obfitą i wczesną nośnością, można wyhodować pożyteczną i do klimatu naszego doskonale dostosowaną rasę.

Związki hodowców i spółki jajczarskie dopiero nadają hodowli drobiu charakter produkcyi przemysłowej i organizacyi handlowej przez zakładanie kurników zarodowych i fabryk wylęgowych i centrali produkcyjno-handlowej, przez dostarczanie członkom swym piskląt, już to z powierzonych, już to z doborowych jaj wylęgowych, przez organizacyę hurtownego zbytu zagranicznego.

Hodowla drobiu, zbyt i wywóz jaj wspaniale są zorganizowane w Danii. Towarzystwa hodowców i spółki jajczarskie tworzą tam związki centralne, liczące po kilkanaście tysięcy członków. Duńskie handlowe towarzystwo wywozu jaj „Dansk Andels Egexport", mające obecnie w swym ręku jedną czwartą część krajowej produkcyi jaj, liczyło w roku 1897 przeszło 18.000 członków w 364 okręgach, w trzy lata później 25.000 członków w 400 okręgach, a obecnie 40.000 członków. Roczny obrót towarzystwa wynosił w roku 1900 około 3 i pół miliona, a w roku 1913 sięgał 5 milionów koron. Z powyższych cyfr widać, jak szybko tam kraj cały pokrył się siecią spółek jajczarskich.

Ciekawy opis ruchu tego znajdujemy w „Le Tour du Monde" z roku 1912 p. t. „Une visite aux paysans danois" (str. 145—156).

„Kooperatywy jajczarskie — czytamy tam — liczą po kilka tysięcy członków, kooperatywa w Esbjergu 18.000. Członkowie

dzielą się terytoryalnie na różne dzielnice. Jaja przed wysłaniem do zbiornicy stempluje się pieczątką kauczukową, dostarczaną przez kooperatywę, tak, że na każdem jaju widoczna jest liczba dzielnicy i członka. W zbiornicy centralnej sortuje się je według wielkości na trzy kategorye, liczące po dwie kopy jaj. Pracę tę wykonują kobiety z wprawą i szybkością, rzucającą się w oczy. Przebrakowane jaja wkłada się do specyalnych miar i waży się, gdyż cena ich zależy od wagi według zmiennej taryfy, stosownie do ich wielkości. Spód tych miar jest przeźroczysty z płótna metalicznego, aby przebrakowane jaja można prześwietlić światłem elektrycznem. Świeże są przeźroczyste, stare natomiast mętne.

Dostawcę nadpsutego jaja karze się wysoką grzywną, niekiedy do 5 koron duńskich. Członków niedbałych wyklucza się z kooperatywy. Zresztą procent jaj zepsutych jest zawsze bardzo mały. Na 700.000 jaj, które co tydzień wpływają do kooperatywy w Esbjergu, przypada nie więcej jak 200 jaj nadpsutych".

Wogóle główną zasadą organizacyi duńskich jest dostarczać towaru dobrego i świeżego. Zbiórka odbywa się przynajmniej raz na tydzień, tak, że dłużej jaja nigdy nie są w ręku włościan. W ciągu dalszych 4 dni jest cały transport już w drodze do Anglii.

„Ażeby w ciągu zimy wysyłka jaj nie doznała przerwy, konserwują się jaja na zimę. W salach jasnych i ogrzanych ustawia się wielkie kufy cementowe i napełnia rozczynem chemicznym o stałej temperaturze, nieprzekraczającej 5° C. W płynie tym zanurza się następnie jaja i zabezpiecza od fermentacyi i zepsucia. Na powierzchni płynu tworzy się delikatna błona, nieprzenikliwa dla powietrza. Skład chemiczny płynu tego jest starannie strzeżony tajemnicą handlową. Jaja, przechowywane w ten sposób, pochodzą z miesięcy: kwietnia, maja, czerwca, a więc z czasu najobfitszego niesienia. W lipcu zapasy zimowe są już gotowe. Niektóre składnice przechowują zakonserwowanych jaj za dwieście, trzysta, czterysta tysięcy franków.

Do Anglii wysyła się jaja w opakowaniu z włókna drzewnego po 24 kóp. Na rynku londyńskim jaja duńskie są poszukiwane i droższe, niż inne, o 6 do 7 halerzy na tuzinie.

Wartość jaj duńskich, wywożonych do Anglii, wynosiła w r. 1885 cztery miliony, w 10 lat później 10 milionów, a w 1907 r. 35 milionów franków.

Wywóz ten odbywa się metodycznie i z precyzyą. Kontrolę nad sprzedażą (przedewszystkiem masła) pełnią w Londynie specyalni agenci, należący do t. zw. towarzystw kontrolnych z ramienia Związku kooperatyw. Agenci informują producentów duńskich o życzeniach klientów angielskich. Trzy razy na tydzień od lat piętnastu kursuje okręt, zaopatrzony w system oziębiających rur amoniakowych, pomiędzy Esbjerg a Harwick, wioząc jaja, mięso i masło na sprzedaż do Londynu. Droga trwa 22 godzin".

Za pokarm kurzy służy głównie kukurydza, która do Danii wolny ma wstęp. Nadto zboże, zwłaszcza owies, koniczyna, gotowane kartofle i mleko, odpadki i tłustości z rzezalni, a w zimie zaparzane, siekane siano lub plewa koniczynowa, z pokarmem zmieszane. W czasie pierzenia, gdy ptactwo dużo potrzebuje fosforanu wapna, daje się kurom mąkę rybną, potłuczone skorupki jaj, owies, zieleninę. Zielenina wogóle w żywieniu kur dużą odgrywa rolę w Danii. Zwyczajnie na 100 kur przypada dziennie 7—10 kilo posilnego pokarmu.

Z ras kurzych cenione są w Danii przedewszystkiem kury włoskie, plimutki i minorki.

Kurniki są o ile możności jasne bardzo, ma to w zimie przedewszystkiem wpływać na nośność kur. W lecie na dworze, a w zimie w kurniku znajduje się kąpiel piaskowa, czyli dołek wypełniony piaskiem z dodatkiem siarki, ażeby uchronić kury, zwłaszcza w czasie pierzenia się przed pasożytami.

W każdym kurniku też znajduje się tak zwane grzebalisko, rodzaj deptaka dla kurzych harców. Jest to przedział, przeznaczony do grzebania, lub duża skrzynia nizka, wyścielona sieczką lub plewą, zmieszaną z skąpem ziarnem. Ruch ten jest dla ptactwa potrzebny w zimie i w czasie pierzenia, gdy półnagie kury ospałe tułają się po kątach.

Grzędy w kurniku są zwyczajnie wszystkie na jednakowej wysokości. W przedziale noclegowym przypada przeciętnie na jedną kurę 0,19 m^2 przestrzeni.

Rentowność racyonalnie prowadzonego gospodarstwa drobiu w Danii jest stosunkowo duża. Chałupnicy oczywiście i drobni włościanie ciągną z chowu drobiu największe dochody. W gospodarstwie większem i więcej postępowem koszty hodowli są większe, a dochód czysty mniejszy.

Dzierżawca dóbr Viggo Ulrik na podstawie dokładnie prowadzonych rachunków podaje, że w jego gospodarstwie koszty te przy taniem i praktycznem urządzeniu i prowadzeniu wynoszą 65,6% ogólnych dochodów, reszta przypada na czysty zysk. — W pierwszym roku każda kura dawała 2,19 mk. czystego dochodu, później, gdy liczba ich wzrosła do kilkuset, 2,60 mk. i więcej. Trzeba przedewszystkiem dbać o to, mówi on, żeby kury miały ochronę przed wichrami i niepogodą, żeby nie tłoczyły się na zbyt małej przestrzeni i żeby nie skąpiono im dostatecznego pokarmu.

W jego gospodarstwie zagrody kurze ciągną się wzdłuż leszczynowych krzewów (knicks), tworzących rodzaj płotu żywego. Do leszczyny tej, ogrodzonej po obu stronach płotem drucianym, przytykają rzędem kurniki, każdy obliczony na 150 kur, w odległości 125 m. jeden od drugiego. Każdy zajmuje 4,25 m^2 przestrzeni i ma dach spadzisty. Tylna ściana jest 2,2, przednia 1,5 m. wysoka. Do ściany południowej i zachodniej przypiera 30 gniazd. W środku są grzędy. Urządzenie całego gospodarstwa odznacza się taniością i praktycznością.

Za przykładem Danii poszły niebawem inne kraje. Rychło zerwała się do walki przeciwko duńskiej konkurencyi Irlandya. Już w roku 1897, a więc równocześnie prawie z ruchem współdzielczym w Danii, powstały tam wśród drobnych dzierżawców rolnych i włościan pierwsze związki jajczarskie. W trzy lata później było już związków takich przeszło 20, liczących 2569 członków. Równocześnie wzrosła też produkcya jaj z 87,14 mil. marek w roku 1897 do 108, 12 mil. w roku 1900. Odrazu też przystąpiono tu do założenia ogólnej centrali handlowej, gdzie ogniskuje się ruch cały produkcyjno-handlowy na tem polu.

Za przykładem Danii od roku 1900 i w Niemczech począł ruch współdzielczy w dziedzinie chowu drobiu coraz większe zakreślać koła. Obok handlowych spółek producentów, zajmują się tam zby-

tem jaj, jak np. w księstwie Baden nadto różne konsumy rolnicze, spółki mleczarskie i spółki producentów drobiu. Najbujniej rozwinął się ruch współdzielczy w tym kierunku w Brandenburgii, w królestwie Hanowerskiem i księstwie Oldenburskiem.

Rozwój jajczarstwa np. w księstwie Oldenburskiem, mającem tylko 5400 km² przedstawia się tak: W r. 1900 sprzedano tam 37.169 kg. jaj za 39.179 mk. W roku 1912 zaś 1,587.644 jaj za 2,067.143 mk. Równocześnie zaś z ruchem handlowym stale wzrasta cena i przeciętna waga jaj. W roku 1912 w księstwie Oldenburskiem było 28 stowarzyszeń jajczarskich, liczących 6746 członków.

W spółkach niemieckich zasługują na uwagę postanowienia przeciwko miejscowym handlarzom, podkopującym byt spółki. Tak w statucie jajczarni spółkowej we wsi Wiefelstede czytamy:

„Każdy członek obowiązany jest dostarczać do zbiornicy swego okręgu wszystkie jaja, otrzymywane od swych kur, z wyłączeniem jaj potrzebnych do domowego użytku i do wylęgu. Nie wolno dostarczać jaj kupowanych lub wymienionych pod karą do 50 mk. Jaja powinny być codziennie z gniazd wybierane i przechowywane do dnia dostawy do zbiornicy w chłodnem, ciemnem miejscu... Nie wolno członkom sprzedawać jaj poza zbiornicą, to jest handlarzom pod karą 30 marek. Zbiornica nie przyjmuje jaj, ważących mniej od 50 gramów i więcej od 80 gramów“ [1]).

Rentowne gospodarstwo kurze przedewszystkiem od trzech zależy momentów.

Naprzód od odpowiedniej rasy, przystosowanej do naszych warunków klimatycznych. Wszystkie zalety gospodarcze ras kurzych są wynikiem celowej hodowli. Z zalet tych najważniejsze są: nośność i waga jaj.

Jakie znaczenie ekonomiczne ma wielkość jaja, tłumaczą następujące cyfry [2]):

---

[1]) Patrz: „Jajczarnie współdzielcze w Niemczech“ Hieronima Smolińskiego w czasopiśmie „Mleczarstwo“.

[2]) „Tygodnik Rolniczy“ 1913 r. Nr. 40.

Waga jaja w gramach	Na kg. potrzeba jaj	Wartość jaja w hal. przy cenie 1 kor. za 1 kg. jaj
40	25	4
60	16	6,2
70	14	7,0

Doświadczeniem zaś stwierdzono, że tylko kury najnieśliwsze, dające duże jaja, dostarczyć mogą potomstwa o większych jeszcze zaletach w tym kierunku. Podobnie rzecz się ma z wszystkimi innymi przymiotami i cechami. To też hodowca, chcąc polepszyć gatunek kur w danym kierunku, łączy upatrzone sztuki w odrębne gromadki o danych zaletach co do nośności, upierzenia i t. d. i przeznacza tylko takie jaja do wylęgu, które najlepiej odpowiadają jego wymaganiom gospodarczym. Tak drogą planowej selekcyi wytwarza się rasa.

Drogi i prawa rozwoju ras odkrył i wyjaśnił nam w drugiej połowie ubiegłego wieku wielki przyrodnik ks. Mendel, Augustyanin, który dopiero przed niewielu laty, po śmierci, zdobył sobie uznanie świata uczonego i zaliczony został do rzędu największych przyrodników.

Otóż prawa te, które do żmudnego i ciemnego warsztatu hodowcy wniosły jasną pochodnię nauki, mówią nam, że z właściwości i cech rodziców nie można zgoła wnosić, jakie będzie ich potomstwo. Przeto nie należy usuwać jednostek z pierwszej generacyi, choć nie są podobne do typów, które chcielibyśmy otrzymać.

Chcąc wyhodować czystą rasę, dobrze jest obserwować oddzielnie potomstwo od każdej jednostki, ażeby się przekonać, które są heterozygotes, tj. te, które się nie nadają do wytworzenia rasy, a które homoiozygotes, tj. te, które względną czystość zamierzonego typu okazują. I te ostatnie tylko należy zachować do dalszej hodowli.

Prawa tedy Mendela obalają szeroko upowszechnione mniemanie, że selekcya przez długi przeciąg czasu jest konieczna, by

rasa zachować się mogła w czystości typowej, bo t. zw. homoiozygotes, tj. te jednostki, które dają potomstwo podobne do siebie, odcinają się już zwykle od drugiej generacyi [1]).

Z kur rasowych najwięcej u nas upowszechniły się: kury włoskie, minorki i orpingtony, plimutki i wyandoty i nasze zielononóżki. Prawda, zielononóżki nie stanowią dzisiaj rasy w ścisłem znaczeniu o ustalonych cechach typowych, ale bądź co bądź są wyśmienitym materyałem hodowlanym, który, na naszym gruncie wyrosły, dla swych wielkich zalet gospodarczych pod umiejętnem i pieczołowitem kierownictwem rychło w czysty typ rasowy skrystalizować się może. W dawnej Polsce były one szeroko rozprzestrzenione i odznaczały się zawsze niezwykłą nośnością i wytrzymałością na zimno i głód i wszelkie niewygody. Z czasem jednak wraz z upadkiem rolnictwa u nas i pod wpływem różnych ras zagranicznych poszły w zaniedbanie i poniewierkę. Dopiero w ostatnich czasach towarzystwo chowu drobiu w Jarosławiu zaczęło wyszukiwać u włościan najbardziej typowe okazy i tworzyć z nich zawodowe kurniki. Później komitet Towarzystwa rolniczego w Krakowie, po licznych a nieudałych próbach z rasami zagranicznemi, postanowił je wyłącznie popierać i rozpowszechniać w obrębie swego terytoryum. I odtąd zielononóżka stała się znowu ulubioną kurą w zachodniej Galicyi. Że zaś praca hodowlana dotąd z niej nie wyrzeźbiła jeszcze ustalonej rasy, to już, zdaje się, wyłączna wina naszych hodowców.

Powtóre rentowność chowu drobiu zależy w dużej mierze od postępowego gospodarstwa wylęgowego.

Kura dobrej rasy, dostatnio żywiona, daje rocznie 200—250 jaj. Ponieważ atoli suma jaj, które kura wogóle znieść może, nie przenosi 500—600, rozumny gospodarz zwyczajnie kury trzyletnie usuwa ze stada i przeznacza na mięso. Kura natomiast pospolita, niedbale utrzymywana i licho żywiona, wydaje zaledwie połowę tej ilości jaj w ciągu 4—5 lat, wobec czego utrzymanie jej częstokroć więcej kosztuje, niż pożytku przynosi.

Chcąc tedy w całej pełni wyzyskać siłę produkcyjną kur,

[1]) L'Hérédité mendélienne par M. Maigre w La Revue des idées 1910, I, str. 241).

postępowy gospodarz powierza wysiadywanie jaj wylęgowych indyczkom, które o każdej porze roku łatwo dają się zmusić do spełnienia tej funkcyi.

Ale bo też indyczka to urodzona kwoka o wybitnych instynktach macierzyńskich, która potrafi 3—4 miesięcy z rzędu wysiadywać kilka seryi jaj, i to zimą nawet, gdy kurczęta są w największej cenie, aż do zupełnego wyczerpania sił. Gdy schudnie i okaże się niezdolną do dalszej pracy wylęgowej, czynić się powinno tak, jak czyniono we Francyi, gdzie chów drobiu zdawna prowadzi się na wielką skalę, mianowicie indyczkę taką tuczono płynnem ciastem jęczmiennem, rozmieszanem w mleku, i sprzedawano.

Od indyczki już krok tylko do t. zw. wylęgarki lub zakładu wylęgowego, będącego niczem innem, jak cieplarnią, w której hodowca najdokładniej stosuje do jaj wylęgowych cały porządek zachowania się kwoki, wysiadującej jaja.

Obecnie wylęgarki są wszędzie, gdzie postępowe kwitnie gospodarstwo drobiu, rugując używanie kwoki i indyczki i dostarczają przez rok cały kurcząt, czy to na sprzedaż, czy też do chowu kur rasowych.

Zadziwiająca jest precyzya, z jaką kwoka przez cały czas lęgu reguluje dostęp powietrza i ogrzewanie jaj stosownie do potrzeb rozwijającego się zarodka i wykluwającego się pisklęcia.

W pierwszym okresie, gdy zarodek dopiero się formuje i dużo potrzebuje ciepła, a mało powietrza, „kwoka siedzi bardzo troskliwie, starając się swem ciałem jak najmocniej do jaj przylegać i jak najwięcej im ciepła oddawać... W ciągu tych pierwszych dni kwoka opuszcza gniazdo niechętnie i zawsze na bardzo krótki czas, spiesząc z powrotem". Ponieważ zaś jaja nie leżą w jednakowem cieple, stosownie do miejsca, jakie zajmują pod pierzem piersi lub skrzydeł, „kwoka jak gdyby zdawała sobie z tego sprawę, powracając do gniazda, miesza jaja między sobą, tocząc je dziobem ze środka na zewnątrz, a te, co były dalej — do środka. Dzięki temu, jaja zmieniają swe miejsca i przez cały czas lęgu po kolei bywają w ciepłocie od 38 do 40° C., nigdy wyżej".

Podobnie i w wylęgarce temperatura powinna być zmienna

od 38 do 40° C. Ponieważ zaś jaja podczas odżywiania się kwoki— co odbywać się powinno codziennie o tej samej porze — znacznie oziębiają się, to i przy sztucznym wylęgu, codziennie przekładając jaja z miejsc chłodniejszych do cieplejszych, przestrzegać tego należy do tego stopnia, żeby każde jajo codziennie kolejno zmieniało swoje położenie i temperaturę. W tym celu znaczy się je odpowiednio na dwu przeciwnych stronach.

W drugim okresie życia zarodka „kwoka już przestaje w tak gorączkowy sposób troszczyć się o jaja i zaczyna opuszczać gniazdo na dłużej, a powracając doń, już nie przylega do jaj tak mocno, jak dawniej, wobec czego one mają większy dostęp powietrza". Dla czego? Bo zarodek, rozwijając się, już sam wytwarza ciepło i więcej potrzebuje powietrza. Stąd pozorne zaniedbanie się kwoki, które wzrasta w miarę, jak okres zarodkowy, przypadający na trzeci tydzień, dobiega do końca.

„W trzecim tygodniu wysiadywania kwoka stara się możliwie lekko siedzieć, jak gdyby obawiając się rozgniecenia jaj swym ciężarem. Z gniazda wstaje chętnie i nie spieszy się bardzo z powrotem.

Ale wnet się wszystko zmienia, skoro tylko kwoka usłyszy pierwszy pisk kurczęcia, lub poczuje jego poruszenie, staje się ona tak samo troskliwą, jak w pierwszych dniach wylęgu, za nic nie chce zejść z gniazda, natomiast stara się przykryć wszystkie jaja jak najszczelniej, opierając się jednak na nogach z obawy zgniecenia pisklęcia".

Ale bo też w tym czasie pisklę, nowe rozpoczynając życie, potrzebuje więcej ciepła i wzmożonej siły życiowej, żeby obrócić się w jajku, przebić skorupę i wyjść na świat, i wymaga najtroskliwszej opieki macierzyńskiej. W porze też wykluwania się nie wolno niepokoić kwoki i zdejmować z gniazda dla nakarmienia, ani „ruszać piskląt, które bezwarunkowo przez pierwszy dzień powinny zostać w gnieździe" [1]).

Od kwoki tedy uczyć się trzeba, jak należy obchodzić się z jajami wylęgowemi i obsługiwać wylęgarkę. Obsługa ta zape-

1) Nieco o wylęganiu kurcząt przez St. Piątkowskiego w „Tygodniku Rolniczym" r. 1913, Nr. 42 i 44.

wne wymaga pewnego doświadczenia i wprawy. Cała sztuka w tem, jak szafować ciepłem i powietrzem stosownie do potrzeb zarodka. Ale to pewna, że gdziekolwiek wylęgarki się upowszechniły albo funkcyonować poczęły lęgniki zakładowe, chów drobiu począł przybierać charakter przemysłowy i znaczne przynosi dochody.

W końcu rentowność gospodarstwa kurzego zależy w niemałym stopniu od obfitości jaj świeżych przez rok cały. Podwójna stąd korzyść: raz że świeże jaja w miesięcach zimowych są bardzo poszukiwane i drogie, o powtóre, że przy nośności kur w późnej jesieni i w ciągu zimy łatwo w czasie tym krytycznym pokryć koszty ich utrzymania.

Mamy wprawdzie rozmaite środki konserwowania jaj, jak np. przechowywanie w wodzie wapiennej, w piasku, w popiele, smarowanie tłuszczem skorupki i t. p., ale wszystkie te sposoby, chociaż umożliwiają przechowanie jaj na potrzeby kuchni, to jednak nie zastąpią nigdy jaj świeżych, poszukiwanych przez kuchnie wykwintne.

Ale jak sobie radzić, żeby przez cały rok mieć jaja świeże? Idzie tu przedewszystkiem o czas krytyczny w późnej jesieni, bo w miesiącach zimowych młode i dobrze żywione kury już poczynają się nieść. Na pytanie to doświadczony gospodarz Otto Eitel Hechingen, hodowca kur włoskich, w Monatshefte für Landwirthschaft tak odpowiada:

„Ściśle biorąc, od starszych kur mamy jaja na pewno świeże jedynie od początku wiosny do końca czerwca. Jaja lipcowe, jak wiadomo, pod względem dobroci pozostawiają wiele do życzenia, bo w tym miesiącu kury po większej części nabierają skłonności do kwoczenia". Jaja zaś świeżo zniesione, wysiadywane choćby przez kilka tylko dni przez kwoczące kury, stanowczo nie są już świeże. „Jaja znoszone w sierpniu doskonale dają się przechowywać, a nawet bez użycia jakiegokolwiek sposobu konserwowania pozostają przez dłuższy czas w zupełnej świeżości i mają żółtko świeże i gęste, jak u jaj świeżo zniesionych. We wrześniu i z następującem w tym czasie pierzeniem się, ustaje nośność kur, a jeżeli w dodatku nastaną chłody i deszcze, to kury nawet po skończe-

niu się pierzenia nie zaczną się prędzej nieść aż z nadejściem wiosny.

Ale są też kury, które wogóle nie kwoczą, jak np. kury rasy włoskiej i minorki, ale i u tych nawet zmniejsza się nośność w gorących miesiącach", a od września i później prawie całkiem ustaje.

„Natomiast w październiku zaczęły się nieść moje młode kurki, pochodzące z wczesnego lęgu...

Kur takich, któreby się niosły w zimie, a które często bywają dla tej zalety zachwalane, według mojego doświadczenia niema wcale". Tylko kury z wczesnych lęgów, z kwietnia lub maja, ras wcześnie dojrzewających „już w szóstym albo siódmym miesiącu życia zaczynają się nieść — przekonywałem się o tem każdego roku na moich „włoszkach". Kury te, pochodzące z wczesnego lęgu, nie podlegają pierzeniu się w jesieni. Warunkiem dobrego ich rozwoju jest odpowiedni, urozmaicony i obfity pokarm, bo złe lub niedostateczne żywienie zawsze bardzo niekorzystnie wpływa na nośność kur". Tłusty pokarm roślinny, jak siemię, słonecznik, makuchy i nasienie pokrzyw zwyczajnych potęguje ich nośność znacznie.

Ks. Leonard Lipke.

Z polityki wschodniej księcia Adama Czartoryskiego.

Jednem z głównych założeń programu obozu dyplomatycznego z ks. Adamem Czartoryskim na czele, w okresie popowstaniowym, było dążenie do odtworzenia w oczach świata Polski żywej, udowodnienie, że nie brak jej sił i zasobów wewnętrznych do samoistnej egzystencyi.

Podjęcie obrony na drodze starań gabinetowych po ustaniu walki orężnej z Rosyą zmierzało w pierwszej linii do tego, aby sprawę polską „wprowadzić odrazu wedle czasu i okoliczności w istniejące Europy stosunki i prawa nasze o jej prawo publiczne zaczepić“ [1]). Stąd w miarę rozwoju stronnictwa arystokratycznego, organizuje się Hotel Lambert w porządną służbę dyplomatyczną polską, rozsyła swych agentów do wszystkich państw europejskich, aby wsłuchując się w tętno polityki dworów, śledząc bacznie jej kierunek, gromadzili środki do korzystnego wyzyskania ogólnej sytuacyi na rzecz interesów polskich.

Naczelną dewizą całej akcyi było zwalczanie polityki rosyjskiej, a granice jej stopniowo stawały się tak szerokie, że, idąc za zdaniem Juliana Klaczki, jednego z późniejszych pracowników tej partyi, można powiedzieć, iż „na którymkolwiek gruncie dyplomacya rosyjska podziemne i tajemnicze wyrobiła sobie przekopy, tam niezawodnie spotykała kontrminy ręką ks. Adama i Zamojskiego podłożone i przygotowane“.

[1]) Wiadomości Polskie 30/VI 1860.

Skoro usiłowania rozwiązania kwestyi polskiej przy pomocy Anglii i Francyi, mimo przychylnych manifestacyi, nie przynosiły pozytywnych rezultatów, zwraca się, naturalnym biegiem rzeczy, dyplomacya emigracyi ku przeciwnym krańcom horyzontu europejskiego, na którym „kwestya wschodnia“ zaczęła gromadzić złowróżbne chmury. Stąd i nadzieje ks. Adama Czartoryskiego skupiają się około państwa, które, jako punkt ścierania się wpływów współzawodniczących ze sobą mocarstw, mieściło w sobie zapowiedź blizkiego starcia i nowych politycznych kombinacyi.

Potrzeba wznoszenia wałów obronnych dla równowagi europejskiej, mocno nadwyrężonej chyleniem się ku upadkowi Porty i równoczesnem wzrastaniem w potęgę Rosyi, przedstawiała problem poważny do rozwiązania.

Niepokój państw zachodnich wzmaga się zwłaszcza od chwili traktatu w Hukiar-Skelessi i przedwstępnych porozumień rozbiorowych między Austryą a Rosyą w Münchengraetz i przynagla je do wejścia na drogę silnego przeciwdziałania rozciągającemu się nad Portą protektoratowi rosyjskiemu.

Jakkolwiek Mikołaj I głosił, że z ambitnych planów Katarzyny II co do Turcyi zrezygnował [1]), mimo to jednak przypisywał sobie wyłączne prawo decydowania w kwestyi wschodniej. Podział cesarstwa ottomańskiego na drobne państewka, przyczem Rosya zagarnęłaby obszary po Dunaj, był jedną z najczęściej powtarzających się kombinacyi w tym okresie w Petersburgu. Na gruzach Porty wznieść się miało pod protekcyą Rosyi imperyum greckie. Z chwilą jednak, kiedy król Otton zaczął hołdować kierunkowi liberalnemu w rządzeniu państwem, porzucono nad Newą ten projekt, obdarowywując Konstantynopolem Austryę [2]). Zwrot ten jest znamienny jako konsekwencya austrofilskiej polityki, poczętej obaleniem Burbonów we Francyi i wybuchem powstania w Polsce, a umocnionej zjazdem münchengraetzkim. Wezwanie Austryi do

---

1) Hof- und Staatsarchiv. Wien. Russland-Berichte 1833. Fasc. 27. Tajny raport amb. Fiequelmonta do Metternicha. Petersb. 6 maj (24 kwiecień) 1833.

2) Tamże: Fasc. 45. Russl.-Berichte. Misya Fiequelmonta do Warszawy. List sekr. Fieq. do Metternicha, Wied. 4/X 1843. — Fasc. 47. Russl.-Ber.Weis. Varia. 1844. Colloredo do Metternicha. Petersburg, 29/14 marca 1844.

udziału przy rozwiązywaniu problemu wschodniego [1]), to odstąpienie od tezy absolutnej wyłączności tej domeny jako rosyjskiej, bronionej jeszcze silnie na kongresie wiedeńskim przez Aleksandra I, — który nie dopuszcza mocarstw, aby swemi gwarancyami obejmowały Turcyę — oraz w pierwszych latach rządów mikołajowskich.

Rosya dzieli się swemi prerogatywami wobec Porty z Austryą i z nią jedną tylko i dlatego natrafia na trudności. Metternich, aczkolwiek czuwał nad tem, aby dla Austryi, jako państwa sąsiadującego, zastrzedz stanowisko dominujące, uważał wykluczenie Anglii i Francyi od wpływu na uregulowanie sprawy, która dla całej Europy posiadała pierwszorzędne znaczenie, za rzecz niebezpieczną i ryzykowną. Na wezwania naglące ze strony Mikołaja [2]), aby iść „au devant des événements et en prendre la direction", na pogróżki, że w razie dalszego zwlekania Austryi co do powzięcia pozytywnych rezolucyi będzie zmuszony „à passer outre et à agir seul", Metternich zachowywał się z rezerwą; nie olśniewały go propozycye Mikołaja, które traktował jako błąd polityczny.

Istotnie państwa zachodnie gotują się spiesznie do przeciwdziałania zakusom Petersburga i mobilizują środki, aby osłabić protektorat rosyjski nad Turcyą. Wkraczał on bowiem ze swym wpływem zarówno w dziedzinę polityki tureckiej, zjednawszy przy pomocy energicznych zabiegów ambasadorów rosyjskich głos decydujący w radzie sułtana, jak i zakres spraw religijnych. Z tytułu i pod osłoną przysługującego jej prawa opieki nad chrześcijanami Wschodu, rozwija Rosya szeroką propagandę prawosławia wśród ludności słowiańskiej półwyspu, torując sobie tym sposobem drogę do przyszłych politycznych zaborów.

Państwo, które w pierwszym rzędzie staje w szranki, aby zmierzyć się swym wpływem na Rosyę, to Anglia, jej przeciwniczka i rywalka na Wschodzie.

Poczyna ona od rozpostarcia gęstych sieci handlowych na Bałkanach i z Konstantynopola czyni centrum swych relacyi ko-

[1]) Hof- und Staatsarchiv. Russland-Berichte 1835. Fasc. 31. List Fiequelmonta do Metternicha. Baden, 29 lipca 1835.

[2]) Tamże. Russl. Ber. 1843. Fasc. 45. Misya Fiequelmonta w Warszawie.

mercyalnych. Za pośrednictwem zręcznych agentów rozbudza świadomość narodową ludów bałkańskich, której bezpośrednim następstwem jest rosnąca chęć wydostania się z pod więzów pieczy rosyjskiej. Energiczna działalność jednego z najwybitniejszych przedstawicieli polityki antirosyjskiej, Dawida Urqhardta, Ponsonby'ego i Strafford Canninga, stara się zepchnąć Rosyę ze stanowiska, jakie pracą szeregu lat sobie wyrobiła.

Rok 1839 przyniósł już znaczny wyłom w dobrze ubezpieczonej pozycyi rosyjskiej, wciągając mocarstwa zachodnie w kontakt z Turcyą przy sposobności jej zatargu z Mehemet-Alim, dając im możność wywarcia wpływu na losy państwa tureckiego. Od tej pory wzmaga się intensywność propagandy państw zachodnich wśród ludności w kierunku liberalnym i narodowościowym. O skuteczności tej pracy świadczy fakt usunięcia Obrenowiczów, związanych ściśle z Rosyą, od tronu w Serbii, trudności, jakie napotykali w rządzeniu hospodarowie, ulegli Rosyi, w księstwach naddunajskich, wrzenie w Mołdawii i Wołoszczyźnie, zwycięstwo konstytucyonalizmu w Atenach.

Ponieważ antagonizm państw zachodnich i Rosyi na Bałkanach wzrastał, wojna zdawała się być nieuniknioną. Ks. Czartoryski, wierny swej dewizie zwalczania Rosyi na każdem polu, postawił przeto w swym programie politycznym złączenie z kwestyą wschodnią sprawy polskiej, jako jeden z najważniejszych i najbardziej obiecujących sposobów pracy dla Polski. Nawiązanie stosunków z państwem, którego najżywotniejszym interesem była walka z Rosyą, nastręczało się jako dobra sposobność do podjęcia pod jego osłoną przygotowań na upragnioną chwilę rozprawy z autokratą północnym, co identyfikowano ze strony polskiej z drogą ku wyzwoleniu.

Rozwój działalności polskiej na Wschodzie [1]), wedle wyty-

[1]) Fr. Rawita-Gawroński, Materyały do historyi polskiej XIX w. Działalność emigracyi 1831 r. na terenie Turcyi. Przew. nauk. i lit. 1908. str. 673. — Michał Budzyński, Wspomnienia z mojego życia. Poznań 1880, str. 352. — Z. Miłkowski, Sylwety emigracyjne. Lwów 1904, str. 77. — Bronisław Zaleski, Nekr. Wład. Zamojskiego. Rocznik T. Hist.-Lit. 1868, str. 339. Arch. XX. Czartoryskich: Correspondances de Czajkowski. Constantinople (1841-46).

cznych polityki Czartoryskiego, dokonywa się zwłaszcza z wysłaniem do Konstantynopola Michała Czajkowskiego w r. 1841. Założenie agencyi stambulskiej i zorganizowanie filii w Belgradzie, Bukareszcie, Ruszczuku, Jassach daje ks. Czartoryskiemu możność przeniknięcia zamiarów polityki rosyjskiej na Bałkanach, a Hotel Lambert staje się nawet dla członków gabinetów, angielskiego i francuskiego, źródłem cennych wskazówek i informacyi. To też wysłannicy księcia doznają silnego poparcia ze strony przedstawicieli obu państw, co, obok przychylności rządu tureckiego, ułatwiało im zadanie. Było niem przedewszystkiem osłabienie podatności, z jaką ludność słowiańska i chrześcijańska Turcyi europejskiej przyjmowała przez długi przeciąg czasu oddziaływanie Rosyi. Usiłowania agentów ks. Czartoryskiego łączą się z akcyą państw zachodnich w kierunku rozbudzania poczucia narodowej godności, prądów kultury zachodniej i jej haseł, a młodzież słowiańska, bawiąca na studyach we Francyi, staje się ich rozsadnikiem w południowej Słowiańszczyźnie. Ks. Czartoryski nie ustaje w utrzymywaniu kontaktu z przedstawicielami Porty w Paryżu [1]), Tecthi i Reszydem Paszą oraz z przewódcami ruchu antyrosyjskiego na półwyspie [2]).

Los Polski, jęczącej pod obuchem caratu, miał być przestrogą dla Słowian Wschodu przed niebezpieczeństwami, jakie grożą narodowej odrębności i samoistności przez zbliżenie się do Rosyi, pobudką do znienawidzenia jej, jako państwa ucisku i niewoli. Na tak przygotowanym gruncie mieli wysłannicy Czartoryskiego wszczepiać idee słowiańskiej łączności i zjednywać sprzymierzeńców dla przyszłej niepodległej Polski.

Wytrwałą pracą wyrobił sobie ks. Czartoryski na Bałkanach stanowisko, z którem Rosya i Austrya liczyć się musiały. W tajnej korespondencyi między obu dworami odzywają się ustawicznie wzajemne nawoływania do baczności na zabiegi emisaryuszów polskich, świadczące wymownie o uznaniu pewnej siły przeciwnika.

Już w r. 1833 pilny obserwator politycznych nastrojów i kon-

[1]) Fr. Rawita Gawroński. Michał Czajkowski. Petersburg 1900, str. 32.

[2]) Arch. XX. Czartoryskich Nr. 5410. Constantinople. Correspondances de Czajkowski. M. Czajk. do A. Cz. X. 7/X 1841. Nr. 33 i 35.

stelacyi w Europie, Metternich, przyznaje emigracyi wpływ na urabianie się opinii publicznej w Anglii, Francyi i Niemczech, niekorzystnej dla Rosyi [1]), teraz konstatuje to i na półwyspie bałkańskim, zwłaszcza w Serbii [2]).

Tam to udaje się ks. Czartoryskiemu odnieść znaczny tryumf, skierowując politykę państw zachodnich na właściwe tory w kwestyi poparcia ks. serbskiego Aleksandra, z usunięciem Obrenowiczów od tronu [3]). Serbski zamach stanu był dla Rosyi niemiłem upokorzeniem, jako zwycięstwo partyi antyrosyjskiej i objaw samodzielności ze strony Turcyi, która bez porozumienia się z Petersburgiem wybór ks. Aleksandra zatwierdziła. Ponadto był on dowodem, że nieprzyjaciel, którego wpływów Mikołaj początkowo nie doceniał [4]), stawał się istotnie niebezpiecznym. Udział emigrantów polskich w spisku Wuczicza i Petroniewicza pod osłoną Anglii i Francyi dał mu się dotkliwie we znaki.

Widnieje to z instrukcyi Nesselrodego do Medema z 11 stycznia 1843 [5]), która miała być i dla rządu austryackiego ostrzeżeniem i wezwaniem do obrony przeciw wspólnemu wrogowi. „Łatwo prze-

---

[1]) Staats-Archiv. Wiedeń. Russland-Weisungen, Varia 1833. Fasc. 28. Tajna instrukcya Metternicha do Fiequelmonta. Wied. 6/III 1833. Metternich, cytując przyczyny upadku Rosyi w opinii publicznej europejskiej, jest zdania, że sprowadziły go w pierwszym rzędzie: „la mauvaise guerre en Pologne, enfin l'influence que les émigrés polonais exercent pas leurs calomnies".

[2]) Tamże: Russl. Weis. 1843 fasc. 46. Instr. dla Fiequelm. wrześ. 1843.

[3]) M. Budzyński, op. cit. str. 355. Bron. Zaleski, op. cit. str. 339. Staats-Archiv., fasc. 46. Russland-Weisungen 1843. Instrukcya Metternicha dla Fiequelmonta (wrześ. 1843) zaznacza wyraźnie, że komplikacye w Serbii zostały wywołane, obok przyczyn charakteru lokalnego, współudziałem emigracyi polskiej. O porozumieniu między przewódcami ruchu rewolucyjnego Serbii Wuczieżem i Petroniewiczem a ks. A. Czartoryskim donosi, jako o rzeczy pewnej Nesselrode Medemowi w styczniu 1843 r. — Tamże: Nesselrode do Medema. Petersburg 29 grudnia (11 stycznia). — Dep. Metternicha do Colloreda, Wiedeń 4 lipca 1844. Staatsarch., fasc. 47. Russl. Ber. Weis., Varia 1844.

[4]) Kiedy Fiequelmont usiłował zwrócić uwagę Mikołajowi na niebezpieczeństwo, grożące pokojowi z powodu dużej emigracyi polskiej, wywołanej postępowaniem Rosyi wobec powstańców, cesarz rosyjski miał mu odpowiedzieć: „Nie obawiam się tych, którzy są przed nami, są to nieprzyjaciele, których wolę mieć zdaleka, obawiam się raczej spisków wewnętrznych...". Staatsarchiv., fasc. 27. Fiequelmont do Metternicha. Petersburg 16/V 1833.

[5]) Tamże: Fasc. 46. Varia 1843.

widzieć — pisał kanclerz do przedstawiciela rosyjskiego nad Dunajem — że jeśliby machinacye emisaryuszów polskich na Wschodzie nie były odtąd bacznie śledzone i tłumione z energią, sprowadziłyby niezawodnie konflagracyę ogólną, która niezależnie od gwałtownego wstrząśnienia, jakiegoby doznało cesarstwo ottomańskie, oddziałałaby w sposób niebezpieczny i na spokój ludów słowiańskich podległych Austryi. W interesie bezpośrednim rządu J. C. kr. Ap. Mości leży przeto złączenie swoich usiłowań z naszemi, aby nie dopuścić do zgubnych następstw spisku, uknutego na Wschodzie przez propagandę polską".

Metternich nie pozostał obojętnym na wezwanie Nesselrodego. Bar. Stürmer otrzymuje rozkaz użycia wszelkich środków, aby nakłonić Portę, a zwłaszcza Rifaat Paszę do roztoczenia nad Serbią większej czujności i powstrzymywania wszelkiemi siłami: „que l'élément polonais n'y exerce le pouvoir" [1]).

Od kiedy Metternichowi udało się dotrzeć do samego jądra „intryg" emigrantów polskich i odkryć między ruchem narodowościowym ludów słowiańskich Bośnii, Bułgaryi, Abanii, Rumeliii, a dążeniami niepodległościowemi Polaków ścisły związek, widmo zespolenia Słowian pod egidą Polski nie daje mu spokoju [2]). Zwycięstwo partyi Czartoryskiego w Serbii jest dla niego wstępem do urzeczywistnienia planu o cesarstwie słowiańskiem wzdłuż dolnego Dunaju [3]), zgrupowanego około zawiązku niepodległej Serbii, zapowiedzią ogólnej perturbacyi socyalnej i politycznej Lewantu, za którą w ślad pójdą usiłowania wyzwolenia Polski [4]).

---

[1]) Staatsarchiv. Russl. Weisungen 1843. Instrukcya Metternicha dla Stürmera, Ischl 11/VIII 1843.

[2]) Polonizm, nierozłączny dziś z radykalizmem socyalnym i politycznym, który zdobył całą wschodnią część Europy, liczy i w innych odłamach naszego slawizmu swych sprzymierzeńców" (Tamże: Fasc. 47. Russl. Berichte, Weis. Varia 1844) czytamy w depeszy Metternicha do Colloreda z 4/VII 1844.

[3]) Tamże: Fasc. 47. Metternich do Colloreda, Wiedeń 9/IV 1844.

[4]) Tamże: „Nie czuję potrzeby — pisał kanclerz wied. do Colloreda, austryackiego pełnomocnika w Petersburgu — wskazywać dziś na epokę, w której emigracya polska, nie poprzestając na objęciu swymi planami szczupłych granic Serbii, rozciągała je aż do wywołania powstania w Rumelii i Bułgaryi. Czyżby ta emigracya miała odstąpić od swych widoków?" (Fasc. 47. Metternich do Colloreda, Wied. 4/VII 1844).

Trudności, jakie rządowi rosyjskiemu i sprzymierzonej z nim Austryi stwarzała działalność ks. Czartoryskiego na Bałkanach, świadczyły wymownie, że praca paraliżowania wpływów Petersburga nie była bezowocną. Skutki jej były dla Mikołaja dotkliwe, skoro się sam użalał przed Fiequelmontem, w czasie swego pobytu w r. 1843 w Berlinie, „że po roku 1831 ks. Adam Czartoryski i Władysław Zamojski najwięcej mu szkody wyrządzili w Europie“ [1]).

Nietylko na terenie politycznym usiłował ks. Czartoryski podkładać „kontrminy“ Rosyi, sięgnął on do fundamentów wpływu caratu na Słowian półwyspu illiryjskiego, do kwestyi religijnej.

Osłabić przywiązanie ludności do schizmy, trzymającej się głównie swą słowiańską liturgią, przez propagandę katolicyzmu w obrządku unickim, równało się zniszczeniu jednym zamachem politycznej przewagi Rosyi na Bałkanach. Ponadto odradzanie się Unii w krajach sąsiednich w chwili, gdy Rosya w swem państwie wykreślała obrządek ten z liczby istniejących, było dla niej ze wszechmiar niemiłem i niewygodnem wznawianiem kwestyi, którą radaby była uważać za przebrzmiałą.

Zasługa ks. Czartoryskiego na tem polu jest znaczną. Zbadawszy gruntownie, przy pomocy swej agencyi stambulskiej i jej filii na półwyspie, tamtejsze stosunki wyznaniowe, starał się wejść w porozumienie z Rzymem i wskazać skuteczne środki, któreby mogły otworzyć katolicyzmowi dostęp do tych krajów.

Kołatał tu o szczególną pieczę dla grecko-katolickiego obrządku, a jako pierwszy postulat dla pomyślnej pracy konwersyjnej stawiał oparcie się na duchowieństwie narodowem. Był to środek sympatyczny dla ludności schizmatyckiej, ktora odnosiła się z niechęcią do własnego kleru — przeważnie Greków — gdyż, obok wyzysku materyalnego, stawał on w poprzek jej dążeniom do reform i odrodzenia narodowego. Za wzorem Serbii, pragnęła i część duchowieństwa bułgarskiego uniezależnienia od patryarchy konstantynopolskiego i stworzenia Kościoła narodowego, a ruch ten, podniecany, mógł zataczać coraz szersze kręgi na półwyspie.

Pogłębieniem tego rozdźwięku w łonie schizmatyckiego ko-

[1]) Bron. Zaleski, Nekr. Wład. Zamojskiego. Rocznik Tow. Hist.-Liter. 1868, str. 340.

ścioła na Bałkanach zajęli się wysłannicy ks. Czartoryskiego, a zwłaszcza Michał Czajkowski, który snuł plany złączenia wszystkich obrządków katolickich pod jednym patryarchą ormiańskim [1]), aby skonsolidować rozstrzelonych katolików na półwyspie i zwiększyć możność oddziaływania katolicyzmu na inne wyznania.

Ponieważ rząd turecki od publikacyi haki-szerifu zapewniał swym poddanym wolność religii, znikały przeszkody dla propagandy katolicyzmu wśród schizmatyków. Rząd sprzyjał jej nawet, gdyż osłabiała ona wpływ Rosyi i okazywał przychylność wobec Stolicy Apostolskiej.

Dlatego ks. Czartoryski powziął myśl nakłaniania papieża do tego, aby nawiązał bezpośrednie stosunki z Portą i wysłał do Konstantynopola swego przedstawiciela [2]). Projekt ten nie zyskał początkowo w Rzymie poklasku. Przeważała wówczas opinia, że ks. Czartoryski przecenia znaczenie podobnego zbliżenia, a nawet uważano wejście w ścisłe relacye z państwem ottomańskiem za rzecz niezbyt stosowną dla głowy katolickiego Kościoła. Wysłanie za następnego pontyfikatu, za Piusa IX, mons. Valergi do stolicy Turcyi świadczyło jednak, że zapatrywania uległy zmianie. Zrozumiano potrzebę wprowadzenia w życie myśli rzuconej i usilnie popieranej przez ks. Adama [3]).

Aby Polsce zapewnić znaczenie w procesie budzenia się ludów południowej Słowiańszczyzny i sprawić, aby element polski stał się nietylko pod względem politycznym fermentem, przetwarzającym je na modłę Zachodu i odrywającym od Rosyi, starał się ks. Czartoryski wyrobić w Rzymie przeświadczenie, że na nowootwierającej się dla katolicyzmu arenie w tych krajach współdziałanie

---

1) Archiwum XX. Czartoryskich. Rps. Nr. 5410, Constantinople. Correspondances. Michał Czajkowski do ks. Adama Czartoryskiego 1841 r. Nr. 35., oraz: Nr. 5380. Correspondance de Rome, Ludwik Orpiszewski do ks. A. Czartoryskiego, Rzym, 25/III 1845.

2) Archiwum XX. Czartoryskich, Nr. 5376, Correspondances avec le pape 1844—1846 r., memoryał ks. Ad. Czartoryskiego do Grzegorza XVI. Paryż 16/III 1844. Tamże: Mémoire communiqué au baron de Bourquenay à Paris 1/III 1845. Raport Ludwika Orpiszewskiego do ks. Ad. Czartoryskiego, Rzym. 25/III 1845. (Nr. 5380 Correspondances de Rome).

3) Tamże: Rps. Nr. 5377. List L. Orpiszewskiego do ks. Ad. Czartoryskiego. Rzym 7/XI 1847 i następne.

kleru polskiego, jako słowiańskiego, może być w skutkach doniosłem. Wystąpił on z propozycyą, aby zużytkowano do tej pracy członków zniesionych w Rosyi klasztorów, zanim się nie zapełnią szeregi duchowieństwa narodowego, a tymczasem, wszedłszy w porozumienie z francuskimi Lazarystami, zakładał polskie kolonie, placówki projektowanej pracy religijno-społecznej na terenie Turcyi europejskiej [1]).

W Rzymie wzrosło zainteresowanie się tą sprawą, zwłaszcza pod wpływem gorącego jej rzecznika biskupa Lucquet, byłego misyonarza na Wschodzie. Jego plan założenia nowej kongregacyi, z celem wyłącznej pracy w tych stronach, zyskał zatwierdzenie Propagandy [2]). Nadarzała się więc pomyślna sposobność do działania dla ks. Czartoryskiego.

Chodziło o to, aby zwrócić uwagę na najpodatniejsze tereny pracy, a zarazem zmusić niejako Rzym do szukania pośrednictwa ks. Czartoryskiego, który, dzięki swej oryentacyi stambulskiej, cieszył się wpływem w szerokich kołach i mógł być pomocnym dla stawiającej pierwsze kroki kongregacyi. Zaufanie do ks. Czartoryskiego w sferach kuryalnych istotnie wzmagało się. Wysłanie Polaka, ks. Krasnosielskiego do Bułgaryi [3]), objawianie życzeń użycia do misyi w Mołdawii i Wołoszczyźnie [4]) duchownych polskich, poleconych przez księcia, wreszcie projekt osadzenia tam biskupa polskiego [5]) ze strony Propagandy dla zorganizowania szkół i seminaryów duchownych, były poważnymi rezultatami wobec znanej nieufności Rzymu do emigracyi polskiej.

Obok starań o poparcie Watykanu, nieodzowne dla zrealizowania programu ks. Czartoryskiego w krajach bałkańskich, zabiegali jego agenci w Konstantynopolu i w Rzymie — którzy,

1) Arch. XX. Czartoryskich. Constantinople. Corresp. M. Czajkowski. Nr. 5410. M. Czajkowski do ks. A. Czartoryskiego. Konst. 27/XII 1841. — Nr. 5486. Koresp. M. Czajkowskiego 1841—1845. M. Czajkowski do ks. Ad. Czartoryskiego 5/I 1842, 16/I 42, 27/I 42 i następne.

2) Archiwum XX. Czartoryskich Nr. 5376. Correspon. avec le pape. Kopia projektu przy depeszy Ludw. Orpisz. do Paryża 7/II 1845. Nr. 5380.

3) Tamże: Raport L. Orpiszewskiego do ks. Ad. Czartoryskiego. Rzym, 27/X 1845 (Rps. Nr. 5380).

4) Tamże: Raport L. Orpisz. do ks. A. Czartor. Rzym 17/III 1845.

5) Tamże: Rap. Orpisz. do ks. A. Czartor. Rzym 28/V 1845.

w sprawach związanych z propagandą katolicyzmu na tym terenie, działali wspólnie, — o zdobycie pomocy Francyi.

Państwo to, uważane od szeregu stuleci za jedynie uprawnionego protektora chrześcijan Lewantu, nie chciało ze względów polityki ustąpić od swego dawnego przywileju, ani podzielić się ze swym wpływem ze swą rywalką, Austryą i nieprzyjaciółką, schizmatycką Rosyą.

Akcya emigracyi polskiej, zwalczająca równocześnie zakusy rosyjskie, jak i usiłowania Austryi do ugruntowania swej przewagi na Bałkanach, popierała jej własne interesy, stąd też ambasador francuski w Stambule, Bourquenay i Latour-Maubourg nad Tybrem, odnosili się z zupełnem zaufaniem do wysłańców ks. Czartoryskiego, zwłaszcza Michała Czajkowskiego i Ludwika Orpiszewskiego [1]), dając chętnie poparcie ich zamysłom. Z drugiej strony ks. Czartoryski zyskiwał przez to swobodę ruchów, nie wysuwał się naprzód, ale starał się spożytkować tę korzystną sytuacyę do tego, aby pod osłoną Francyi i jej celów działać dla sprawy polskiej.

Te ścisłe stosunki polsko-francuskie drażniły Rosyę niesłychanie. Nesselrode w tajnej depeszy do Wiednia uskarża się przed Medemem na to, że agent ks. Czartoryskiego „przez podstępne insynuacye potrafił pozyskać dla swych planów ambasadora Francyi w Konstantynopolu. Podsyciwszy zazdrość, jaką żywi Francya do prawowitego wpływu Rosyi na jej współwyznawców na Wschodzie, potrafił on wpoić mniemanie o rzekomych politycznych korzyściach i moralnej przewadze, jakieby ona zdobyć mogła, przygotowując swą akcyą niby cywilizacyjną i propagandą katolicyzmu emancypacyę ludów słowiańskich [2]).

Mimo, iż wyniki działalności ks. Czartoryskiego na półwyspie Bałkańskim nie przybrały rozmiarów, jakie obejmował plan inicyatora, i katolicyzm nie zdławił schizmy, to jednak osłabiły one do pewnego stopnia jej znaczenie, kładąc tem samem podwaliny pod

---

1) Ludwik Orpiszewski (ur. 1810 um. 1875), agent dyplomatyczny ks. A. Czartoryskiego przy kuryi pap. w latach 1844—1848.

2) Staats-Archiv. Wien, Fasc. 46. Russl. Varia, h. 1843. Kopia depeszy tajnej Nesselrodego do Medema. Petersburg 29 grudnia 1842 (11 stycz. 1843).

późniejsze masowe przechodzenie Bułgarów [1]) na Unię, które było, między innemi, owocem i ks. Czartoryskiego posiewu.

Podobnie, praca w kierunku politycznym zakreślała zbyt szerokie horyzonty, aby wobec trudnych warunków i ograniczonych środków, jakie ks. Czartoryski miał do rozporządzenia, mogła się udać. Ludy półwyspu, stojące zaledwie u progu cywilizacyi, nie były zdolne wznieść się w swej polityce do spraw szerszej natury ponad interesy własne, lokalne, i stać się oparciem dla przygotowań polskich orężnych, zapełniać kadry przyszłej armii, jako korpus ochotniczy, zszeregowany w imię walki o wolność pobratymczego plemienia.

Możnaby tedy zarzucić słusznie polityce wschodniej ks. Czartoryskiego nieroztropne rzucanie się na niedościgłe pola pracy, brak ujęcia zamiarów w ramy możliwości, a więc wybujałość i brak liczenia się z realnym stanem rzeczy, gdyby nie było dowodów na poparcie jej użyteczności dla sprawy polskiej.

Współudziałem w zmaganiu się Zachodu z potężną Rosyą, stwierdzał element polski swą żywotność, rozwijał swój zmysł polityczny w szkole własnej samodzielnej dyplomacyi, okazywał zręczność w szukaniu dla Polski naturalnych aliantów wśród Słowian bałkańskich. Na tej arenie nie starał się on o pośrednika w głoszeniu swych praw do bytu, ale gotował się sam do zabrania głosu i własnym zabiegom chciał zawdzięczać wytworzenie na obcym terenie sprzyjających warunków swego odżycia.

Rozległość akcyi, wciskającej się wszędzie tam, gdzie Rosya tajemne zarzucała sieci, dla wydobywania na jaw jej intryg i podstępów, choć była przeszkodą w osiągnięciu bardziej konkretnych rezultatów i przyczyną niejednokrotnych zboczeń, jako metoda zwalczania przeciwnika była w skutkach nieocenioną. Dzięki ruchliwości swych pracowników na Bałkanach, wytwarzał ks. Czartoryski sytuacyę pełną komplikacyi i zawikłań dla Petersburga, tamował swobodę jego ruchów, a tą nieustającą walką podjazdową niszczył pracę przygotowawczą zaborczej polityki wschodniej Mikołaja. *Janina Brzozowska.*

[1]) Unia Bułgarska z Kościołem katol. Wiadomości Polskie 1859 r. Hier. Kajsiewicz, rec. St. Tarnowskiego, Przegląd Polski 1873 r. Bron. Zaleski, ks. Hier. Kajsiewicz, Poznań 1873 r.

OLBRACHT.

Charakterystyka:

Najbardziej ulubiony przez matkę Elżbietę austryacką, do niej ze wszystkich dzieci najbardziej podobny, o regularnych rysach twarzy, harmonijnej budowy ciała, o oczach pełnych wyrazu, wysokiem czole, o wydatnem zaokrągleniu brody, o wardze dolnej nieco obfitszej od górnej, był Jan Olbracht, jak wszyscy ulubieńcy rodziców, jakby wyrocznią i pierwszą osobą w domu Jagiellońskim, urosłym w wielką powagę, na który narody sąsiednie oglądały się jako na szkołę przyszłych królów. Matce ukochanej miał też głównie Olbracht do zawdzięczenia tron polski.[1]) Podobnie jak całe rodzeństwo, staranne otrzymał wychowanie, a tacy mistrzowie nauki i pióra jak Długosz, Kalimach byli jego nauczycielami. Nie pracował w kancelaryi królewskiej, jak najstarszy brat, później na ołtarzach czczony Kazimierz, miał jednak zamiłowanie w naukach, w książkach; lubował się w towarzystwie ludzi światłych, uczonych. Jak miłem mu było obcowanie z mężami wiedzy, widać z korespondencyi jego z biskupem warmińskim, Łukaszem Watzelrode.

Z listów współczesnego wojownika, Piotra Myszkowskiego wypływa też, że rad Jan Olbracht obcował z mężami wojny, że żądał on od nich sprawozdań w szczegółach, dotyczących

[1]) Tubero.

wojska i wojny. Najbardziej bowiem zamiłowany, był w sprawach wojennych i tak bardzo się w nich odszczególniał, że ojciec go dwudziestokilkoletniego mianował wodzem wyprawy na Tatarów, i Olbracht odniósł nad dwoma zagonami słynne zwycięstwo pod Kopestrynem, za którem w rok potem poszło nie bez ofiar drugie, pod Czarnym Ostrowem. W narodzie wojowniczym, ustawicznie broniącym się na długiej linii południowego wschodu, niedziwna, że bohaterskiego syna królewskiego pod niebiosa wysławiano i uważano za godnego następcę ojca. Umiał też kilkoma słowy zagrzewać wojska do męstwa, jak w bitwie pod Koszycami: Mała nas liczba, ale zwycięstwo w męstwie naszem; mamy zresztą przed sobą i liche wojska i króla wodza bez władzy [1]). Szedł sam na czele pułków, jak i w tejże bitwie przeciwko bratu Władysławowi, i zapalony walką po trzykroć zmieniał konia, aż wreszcie uchodząc przed przewagą przeciwnika ostatni, ledwie uszedł niewoli. I pod Preszowem, jakkolwiek znacznie mniejsze posiadał od brata siły, rwał się do bitwy. W Węgrzech uległ przewadze, szlachta jednak za wstąpieniem na tron polski nazywa go niezwyciężonym [2]), a i współcześni: jak poseł signoryi Marco Dandalo, jak humanista Ursinus, jak profesor krakowski i historyk Miechowita oddają mu pochwały, jako mężowi bez trwogi w bojach i niezwyciężonego umysłu, a autor współczesny *Cronica mundi* wita go, jako przyszłe cudo świata [3]). W broni tak dalece był zamiłowany, że osobnego na dworze trzymał zbrojomistrza i podobnie jak dziad, Witold litewski, lać kazał lub sprowadzał największe armaty, podziwiane przez swoich i obcych. Jeździł też zawsze w towarzystwie tysiąca sześciuset zbrojnych, podobny w tem do dziada Jagiełły.

Łatwo zrozumieć, że w czasach, gdy na ustach wszystkich książąt i ludów Europy był wyraz wojna turecka, mąż,

---

[1]) Bonfini.

[2]) Invictissimus, Mon. Pol. V. 979.

[3]) Et armis et fortitudine princeps intrepidus; Ursinus. Inter omnes Polonos rex Albertus eminebat non corporis modo ac armorum specie sed etiam animi magnitudine; Tubero.

który od wczesnej młodości rycerstwo i wojnę ukochał, który rad rozczytywał się w dziele mistrza swego Kalimacha, poświęconem dziełom wojennym Władysława Warneńczyka, swego stryja, mógł marzyć o wypędzeniu Turka z Europy, a skoro zasiadł na tronie rycerskiego narodu, skierować wszystkie siły duszy, aby młodzieńcze marzenia urzeczywistnić.

Już sama postać wojskowa z godnością królewską połączona, surowość w rozkazywaniu wskazywały na syna Marsowego, z drugiej zaś strony wysokie wykształcenie, znajomość kilku języków, łatwość wymowy, bystrość w pytaniach, a ciętość w odpowiedziach wskazywały na męża stanu. Rozumem i odwagą nikomu nie ustępował, mówi o Olbrachcie współczesny historyk. Nigdy nie braknie mu bystrych pomysłów, które natychmiast w życie wprowadzał. W pierwszej swej bitwie trafnym pomysłem dwa oddziały Tatarów, jeden po drugim pokonywa, a w wojnie z Stefanem, wojewodą mołdawskim, każe natychmiast wypuścić na wolność pojmanych mołdawskich bojarów — jak wiadomo, tyranizowanych przez wojewodę, aby sobie ująć tych, którzy ciężko znosili jarzmo tyrana. Równowagi umysłu nigdy, nawet w najbardziej krytycznych chwilach nie traci. Z ksiąg metryki koronnej dowiadujemy się, że w czasie odwrotu z Bukowiny, równającego się klęsce, załatwiał punktualnie sprawy, dotyczące karności pospolitego ruszenia, wydając wyroki na nieposłusznych i nieobecnych w wojnie, a gdy nad Prutem, na wieść o nadciągających wielkich siłach nieprzyjacielskich wszczął się zamęt w wojsku, Olbracht, lubo chory, ukazuje się żołnierzom, tłumi zamieszki i sam, tudzież przez brata Zygmunta pokrzepia serca zrozpaczonych.

Lubo, jak wszyscy współcześni władcy, otoczony był pochlebcami i dymem kadzidła humanistów, nie stara się jednak Olbracht wcale o względy artystów, poetów, wzorem ówczesnych Sforzów w Medyolanie i innych władców w Perudżyi, Rimini, Mantui, Syenie, Ferarze. Ci musieli się okupywać uczonym, muzykom, artystom, wzbudzać podziw wspaniałemi budowami, blaskiem panowania pokrywać nielegalność władzy. Olbracht był legalnym królem, nieobawiającym się buntów ni sztyletów

ze strony niezadowolonych z rządów, nie miał potrzeby otaczać się szpiegami, ani też tajemniczymi planami osłaniać swoje zamiary. Kraj jego wymagał obrony od wschodu i południa, a trzeźwy, odczuwający te potrzeby król, od pierwszych zaczątków panowania wszystkiemi swemi mowami, dziełami, zmierza ku celom, będącym wymogami konieczności ojczyzny. Jako król dynasta podbija szczerością i gdy Stefan Zapolia, zwycięzca Olbrachta w Węgrzech, wzbrania się przyjechać na zjazd z królem do Lewoczy, chyba za listem żelaznym króla, Olbracht odpowiada, że idzie za przykładem przodków, którzy słowem królewskim zapewniali bezpieczeństwo, nie glejtami. Otwartością ujmuje sobie i mieszczan, skoro im częstokroć powtarza, iż otrzymał koronę w tym celu, by Rzpta ustawicznie się bogaciła i w licznych przywilejach dla miast z wdzięcznością wspomina o ich zasługach przy osiągnięciu tronu, podnosi podupadające miasta, zwalniając je od podatków.

Jest też król dyplomatą w stosunku do swych i państwa swego zawistników. Skoro nie można mieczem bronić kraju, idzie Olbracht za przykładem ojca i kupuje sobie pokój krótkoterminowymi rozejmami za cenę podarunków, które rozsyła Turkom a nawet Tatarom [1]). Przygotowując się do wojny, usypia czujność wrogów układami. Mistrza Zakonu Krzyżaków, a kuzyna swego, ks. Fryderyka Saskiego pragnie mieć wiernym korony swej hołdownikiem, a jakkolwiek widzi, że tenże wyłamuje się z pod posłuszeństwa, pisze doń łaskawie z kondolencyą po śmierci ojca książęcego, Albrechta Saskiego, że stracił w zmarłym drogiego ojca, a całe Niemcy utraciły światłość swego państwa. I w tej ujmującej serce kondolencyi nie zaniedbał jednak król upomnieć mistrza do czynienia zadość obowiązkowi, jaki na nim ciąży . . . Bystry oceniacz charakterów wie, że Maksymilian cesarz sprzymierzył się tajnie z Iwanem III. moskiewskim przeciwko Polsce, toż zręcznie godzi w sumienie cesarza, upraszając go przy sposobności, by w pewnej sprawie pokrzywdzonego przez Moskwę wojewody Mołdawskiego wstawił

[1]) Cod. ep. III. p. 607.

się cesarz u moskiewskiego Iwana [1]). Raz tylko nie umiał być dyplomatą wobec cesarza, gdy tenże wzywał poddanych polskich, Gdańszczan do posłuszeństwa Rzymskiemu państwu, pisząc cesarzowi szorstko o niemięszaniu się w cudze sprawy.

Były o nim posądzenia, jakoby był tajemniczym; mówiono, jakoby kanclerzowi Krzesławowi z Kurozwęk miał z powodu danej sobie przestrogi dopowiedzieć, że spaliłby koszulę, gdyby wiedziała, co głowa myśli. Wątpić jednak należy w prawdziwość tego podania. Wszakżeż słowa owe przypisywano już przed Olbrachtem Ludwikowi XI, potem Bajazetowi II, wreszcie bratu królewskiemu, Aleksandrowi litewskiemu. To pewna, że zasięgał rady u zaufanych, u takiego Kalimacha lub u Łukasza Watzelrodego bardziej, aniżeli u sędziwych senatorów, ale i to pewna, że ani pierwszego ani drugiego zdania bezwarunkowo się nie trzymał, owszem, że zawsze i wszędy miał swoje wyrobione, własne przekonania, silne i niezachwiane. Zapewne, że mąż taki tajemnicę chował, dopokąd pomysły jego były w stadium przygotowywań, że oceniał je, poddawał krytyce, jak ów plan przeniesienia Zakonu Krzyżackiego na stepy Podola dla obrony od Tatarów. Ale żeby z planami fantastycznymi miał się nosić, jak mu to zarzucał współczesny cesarz Maxymilian, na to nie ma dowodnych wskazówek, chyba, że cesarz plan wojny z Turcyą, do którego sam zdążał, uważał

---

[1]) Z korespondencyi Olbrachta z bratem Alexandrem litewskim przebija się głęboka znajomość, jaką Olbracht posiadł o zamiarach cesarza przeciwko Polsce, o tegoż tajnem przymierzu z Moskwą przeciwko Polsce. Olbracht proponował też bratu litewskiemu osadzić Zygmunta na Kijowie, widocznie przeciwdziałając zamiarom cesarza, pobudzającego Moskwę do akcyi antyjagiellońskiej, ale Litwa nie zgodziła się na projekt. Już z samej propozycyi widoczna, że Olbracht był powiadomiony o warunkach tajnego traktatu Maxymiliana z Iwanem, któremu pierwszy miał dopomódz do owładnięcia Kijowa. Przymierze to zaprzysiągł Maxymilian jeszcze za życia ojca a zarazem za życia Kazimierza Jag. 22. kwietnia 1491 r. Było ono podstawą wszelkich dalszych wrogich Polsce układów cesarza z dworem moskiewskim. Na wspomniany list Olbrachta do Alexandra z 1493 r. zwraca słusznie uwagę prof. Finkel w kwart. hist. XXVIII, 334: Zjazd Jagiellonów w Lewoczy, jako na klucz do objaśnienia stosunku Olbrachta do ces. Maxymiliana.

jako fantastyczny. Wszakże dla pomysłu przesiedlenia Krzyżaków zjednany był trzeźwy margrabia Fryderyk Brandeburczyk, wszakże przez Łukasza Watzelrodego starano się o mandat z Rzymu w celu przeniesienia Zakonu, a jednak król uważa to wszystko za projekty, dalekie od rzeczywistości; Zakon nic nie wie o zamiarach i Albrecht jest jak zawsze najlepszym obrońcą, opiekunem Zakonu, i zaledwie później zdołali dygnitarze Zakonu zmiarkować, że król otoczony jest nieprzychylnymi bezwładnej, zmurszałej, będącej już anachronizmem instytucyi zakonnej. Zresztą przesiedlenie to stało w związku z zamierzaną wojną przeciwko grożącej Europie Turcyi.

Chciano widzieć w królu obraz autokraty, w tym mężu, który kondotyerów na dworze swym nie chował, jak ów Francesco Sforza, ale przeciwnie postępując, bezpieczeństwo ojczyzny usiłował oprzeć o piersi wolnych obywateli, nie o tych, którzy doświadczenie swe, dłonie i broń sprzedawali więcej dającemu, bez względu na to, czy nim był król rzymski czy którykolwiek z tyranów włoskich. Obywateli wolnego kraju, którzy go wolnymi głosami królem obrali, używał Olbracht na kresach jako zaciężnych wodzów, jako straż Rzptej na jej granicach, i można śmiało od jego czasów datować usiłowania stałej obrony kresów Rzptej. Jeżeli zaś wpływał nieco arbitralnie na elekcye biskupów i dygnitarzy duchownych, jeżeli zakazywał niekiedy egzekwować klątwy kościelne lub zabraniał kolekty świętopietrza bez swego zezwolenia, tak, że dopiero brat kardynał przedstawieniem swem spowodowuje odwołanie zakazu, to naśladował w tem tylko ojca swego surowe nieco postępowanie [1]).

Równość kochał u poddanych i podkreślał przy każdej sposobności, ale równość, polegającą na odrębności stanów, a bezwzględną tych, którzy się łączyli w polityczny związek unii narodów.

Przy powziętych zamiarach obstawał, tylko wytrwałości

[1]) Acta Capitulorum I. 888, 2391, 2396, cf. N. 1307; Co do zakazu kolekty świętopietrza I. 873 cf. II. 1527. Co do zakazu egzekucyi exkom. II. N. 1528.

cierpliwej brak mu było, tak dalece, że chorował w czasie natężonych hamowań woli, w czasie, gdy jego cierpliwość narażona była na wielką próbę. Do przymiotów jego należy dbałość o królewszczyzny, o podniesienie bogactwa kraju[1]) przez skupywanie sum, ciężących na dobrach królewskich, jak na Samborszczyznie, przez popieranie rudników, kupców i t. p., ale także i przez hojność na cele państwowe, na obronę kraju, na działa... Do wad stały brak pieniędzy, i można było o nim powtórzyć, co Machiavelli powiedział o cesarzu Maksie, że gdyby wszystkie drzewa w ojczyźnie jego zamiast liśćmi sypały dukatami, jeszczeby tych ostatnich nie starczyło królowi...

W czasach kandydatury węgierskiej unosił się ambicyą... próżnością. Druga jego kandydatura węgierska była nawet powodem różnic z ojcem, który zarzucał synowi brak rozwagi i zbytnią powolność zauszníkom, i starał się wpłynąć na cofnięcie tej wyprawy synowskiej z Węgier groźbą odmówienia zapłaty żołdu żołnierzom, a nawet użyciem broni. Niedoświadczony, dał się unieść ambicyi, sądząc, że będzie odpowiedniejszym królem dla Węgier aniżeli słaby, dający się łatwo powodować, ufający wszystkim i bez granic łagodny brat, król Władysław, że wreszcie jako król węgierski łatwiej spełni zadanie wyrugowania z Europy Turka. Ukarał go za ambicyę niepomierną ojciec, gdyż wprawdzie zapłacił żołd żołnierzom z wyprawy węgierskiej, atoli gotówki synowi nie zostawił; dał ją Aleksandrowi i reszcie rodzeństwa z uwagą, że na wyprawę Olbrachta węgierską zbyt wiele wydał gotówki, dlaczego też jej Olbrachtowi nie zostawia. Także i łagodny brat Władysław umie w sposób najdelikatniejszy poniżyć dumę brata, skoro zwyciężonego poleca podjąć gościnnie na jednym z królewskich zamków i odprowadzić do Polski.

W tych to latach młodzieńczej zapamiętałości unosił się Olbracht łatwo w gniewie i w Węgrzech opowiadano sobie, że zadał raz policzek jakiemuś senatorowi, gdy tenże odważył się na radzie swobodniejszym nieco głosem mówić wobec ojca,

---

[1]) Metricarum pol. summaria I. 2, N. 555, 267. Akt. g. z. IX, N. 103.

króla Kazimierza. Toż obawiano się w Węgrzech, że Olbracht nie zniesie cierpliwie upadku swej kandydatury węgierskiej. To pewna, że jako król w Polsce, nigdy nie okazał owej gwałtowności, o którą go oskarżają, znanego z ludzkości i dworności Węgrzy [1]). Niezmiernie ambitny i dumny magnat, Stefan Zapolia był swego czasu stronnikiem Olbrachta, w czasie wspomnianej kandydatury. Na zjeździe stronników Olbracht publicznie zarzucił Stefanowi niestałość i przewrotność [2]), — a wrogi odtąd stosunek magnata do Olbrachta odbił się ujemnie w sądzie o tymże historyografów węgierskich. Duma prawdopodobnie oburzyła nań i w Polsce wielu magnatów, i dlatego to w czasie elekcyi, po śmierci ojca Kazimierza tak wielu miał nieprzyjaciół, a przedewszystkiem prymasa Oleśnickiego, Tenczyńskich, Jarosławskich i cały ród Toporczyków. Że celem osiągnięcia rozejmu użył podstępu, opowiada o nim historyk węgierski [3]).

Przykładnie religijnym nie był; raczej był wolnomyślnym, w duchu kończącego się wieku XV i jak to trafnie zauważono, podobny w tem do Ostroroga, autora memoryału: O naprawie Rzptej. Wszakże doradzał bratu Aleksandrowi, by dla celów politycznych przyspieszył zamierzane małżeństwo z akatoliczką Heleną, córką Iwana III, jakkolwiek mógł przypuszczać, że Helena pod presyą ojca nie zmieni wyznania. Adoruje wprawdzie w Gnieznie z pokorą relikwie swego patrona, Świętego Wojciecha, ale załatwia przytem ważny dla siebie a niebardzo dla Kościoła korzystny wybór brata swego, Fryderyka na arcybiskupa gnieźnieńskiego [4]). Nie widziano jednak w nim złowiernego, jak to o Maksie wyrażał się kardynał Rajmund z Gurk, upatrujący w cesarzu złego, nieprawowiernego męża i cesarza. O Olbrachcie nikt nigdy nie poważyłby się takiego wydać sądu, jakkolwiek wśród duchowieństwa wysokiego nie liczył ani przyjaciół ani zwolenników. Marco Dandalo chwali nawet Olbrachta za silną

[1]) Ira commotus. Epistola Georgii Syrm. Ferox ingenium. Tubero.
[2]) Perfidiam et inconstantiam.
[3]) Induciis dolo impetratis.
[4]) Acta Capit. I. N. 2391, 2396.

jego wiarę, którą okazał w bitwie z Tatarami pod Czarnym Ostrowem, gdy z małą tylko drużyną uderzył na wroga, ale przed bitwą wzniósłszy załzawione oczy ku niebu, głośno prosił Boga, aby ludu swego nie wypuszczał z opieki [1]).

Pomawiano go, że był zwolennikiem wolnej miłości [2]). Prawdą jest, że jakkolwiek brata nakłaniał do związków małżeńskich, sam ani myślał się żenić, ani też żaden dwór europejski nie dowiadywał się o królewskich pod tym względem zamiarach. Wątpić jednakowoż należy, żeby po nieudałych zamiarach politycznych miał się rzucić do biesiad i do rozpusty, i by się tak dalece miał zapomnieć, że aż w nocy narażał schadzkami majestat królewski na zniewagę, jak o tem opowiada późny Kromer. Oceniając bowiem charakter historycznej działalności Olbrachta, musi podnieść historyk, że niepowodzenie nie złamało jego hartu duszy, że do ostatniej chwili był zawsze czynnym w ustaleniu powagi państwa na wewnątrz i na zewnątrz, że do ostatniej chwili myślał o obronie Polski od Turka. Mamy też dowodną wskazówkę, że oburzał się na złe obyczaje u młodzieży [3]), coby właśnie świadczyło, że pomówienie u Kromera polega na jakiejś mylnej tradycyi.

Charakter człowieka najwymowniej uzewnętrznia się w stosunkach do otoczenia, do ludzi, do społeczeństwa i jego instytucyi. Jakim jest stosunek Olbrachta do rodziny, do poddanych, do państwa, na tron którego wszakże nie bez krwi rozlewu, nie bez wojny domowej go obrano [4]), gdzie, jak wiadomo, i po obiorze na króla wielu miał wrogów... Trudności miał król do przełamania olbrzymie na drodze do ujęcia sobie serc poddanych... Te przełamuje się groszem, a król go nie miał; przełamuje się powolnymi, oddanymi sobie *sługami*, tych dopiero sobie pozyskać, wyrobić należało; pozyskuje się wreszcie siłą woli i charakteru...

[1]) Dogiel I. p. 437.

[2]) Miechowita. In Venerem proclivis.

[3]) Consvetudinibus adolescentum, quadam effrenata sensualitate ductórum... Vol. leg. I, 255.

[4]) Tempore gerrarum, que tunc tempore defuncti regis notorie essent. Acta Capit. II. N. 1478.

I oto Olbracht zaraz po wstąpieniu na tron zawiesza swoją butę, dumę, zapomina o świeżej jeszcze dla wielu nieprzyjaźni, zmienia się w sobie i dla wszystkich. Mógł o sobie powiedzieć jak Ludwik XIII. mówił, że jako król zapomina o tem, co było przekonaniem królewicza, następcy tronu... Począwszy od brata Władysława, z którym krwawe toczył o węgierską koronę boje, zaczyna zdobywać sobie serca wielu. Czuł był to, że potrafiłby być dzielniejszym królem dla Węgrów, aniżeli dobroduszny „Król dobrze" zwany, o którym mówił Sebastione Guistiniani, „że jeżeli kiedy był król malowany, pewno nim był dobry jako człowiek Władysław, który o drugich nigdy źle nie mówił, ani też dawał wiarę, że pośród ludzi także i źli bywają, i który w gronie rodzinnym najswobodniej gwarzyć umiał, a w sprawach państwowych bełkotał tylko nie trzymające się kupy słowa". Z tym bratem pogodziwszy się, postanawia być mu wiernym przyjacielem, o ile, że widzi trudności jego rządów na Węgrzech, słaby króla charakter, butę magnatów węgierskich, zawisłość ich od cesarza. W trosce o los brata, o honor rodziny podaje Olbracht bratu tajnem przymierzem pomocną rękę do wyzwolenia się z pod wszystkich tych przewag, w jakich pozostawał podówczas następca korony św. Szczepana. O tych przewagach mówi otwarcie bratu Aleksandrowi i skłania tegoż do wspomnianego wyżej małżeństwa, celem złamania gestów, wymierzonych przeciwko domowi Jagiellonów. On to stara się o lepsze wyposażenie najmłodszego brata Zygmunta, pragnie dlań jakiego udzielnego księstwa na Litwie. I tutaj pragnienie jego ma głębszy podkład polityczny; szło bowiem o obronę od Moskwy, której władcy podawał cesarz pomocną rękę do zaboru od Jagiellonów Kijowszczyzny, i od Tatarów. Olbracht był tej myśli, że zdolny brat, jako udzielny książę na Kijowszczyźnie, mógłby temu zadaniu sprostać, z korzyścią dla Litwy i dla domu całego.

Względem matki jest jak dawniej powolnym synem i mówiono, że ona to doradziła synowi przyzwolić na kandydaturę ks. Fryderyka Saskiego na mistrzostwo Zakonu Krzyżackiego, co później tyle kłopotu sprawiło królowi, ale dziś

wiemy, że kandydatura ta tak zręcznie była wprowadzoną i tak silnie popartą przez Niemcy, że osłabiony nieudaną wojną król nie mógłby był jej przeszkodzić. Najzdolniejszego z braci, kardynała Fryderyka i dalej rady zasięga; rada ta wpływa pozornie na zamiary i działalność króla i tu jednak wiemy, że król nie zrażając sobie brata, odsuwał jego rady, nie dlatego, jak niektórzy sądzą historycy, że może zrażony był do życia, przypominającego wielu rozkosznisiów z epoki pseudoreformacyi, o jakie pomawiano kardynała, lecz, że był samodzielnym, rodzinę kochał, brata cenił, ale za przekonaniami szedł własnymi. Brat zaś Fryderyk propaguje ulubioną przez Olbrachta myśl wyprawy tureckiej i kler, za wpływem kardynała, lubo nie bardzo ochotny królewskim życzeniom, na synodzie uchwala czwartą część dochodów na ten cel królowi [1]). Wiernym sprzymierzeńcem króla jest margrabia Fryderyk brandenburski, propagatorem jego zamiarów wojennych, przesiedlenia Krzyżaków — i on pozostaje pod potęgą wysokiego umysłu króla. Słowem cała rodzina, w której pozorny lub też rzeczywisty rozdźwięk panuje, już to z powodu odmiennych widoków trzech władców i ich ludów i krajów, już to z powodu różnych ich charakterów ulega czasowi ducha Olbrachtowego, i możnaby powiedzieć, że on jeden utrzymuje harmonię w domu jagiellońskim, on poddaje myśli wspólne, mające zjednoczyć ludy i władców do jednej akcyi, on daje bodźca do przymierza narodów jak najściślejszego, do przymierza polsko-węgierskiego z 1499 r. I podczas, gdy państwa Jagiellońskie, otoczone zewsząd przez nieprzyjaciół, narażone były na straty i klęski, jeden on najbardziej czynny, czuwa na straży, broni je wszystkie i Polskę i Węgry i Litwę przymierzami i uniami. Skarżą się Litwini na nierówne z nimi ze strony Polaków postępowanie; król każe umieścić na czele układów o wznowienie unii zdanie: że sprawy królestw i państw natenczas tylko pozyskują niewzruszoność, jeżeli zachowaną jest równość pomiędzy stanami, które są ich podstawą. Toż Litwini odwzajemniają się królowi i w legacyi

[1]) Acta capitul. I. N. 2241.

o wzmocnienie i odnowienie związków unii umieszczają te wymowne słowa, będące niejako dewizą Olbrachtową: dopokąd Kilija i Białogród w rękach są pogańskich, nie może być mowy o pokoju na granicach naszych państw . . .[1]) Że Olbracht był duchem harmonii wśród braci Jagiellończyków, okazało się dowodnie po śmierci jego, gdy zabrakło tego, który stale ją podtrzymywał.

Dopokąd żył i działał, miał zarówno na Węgrzech jak i na Litwie oddanych sobie mężów, którzy popierali jego zamiary. Na Litwie taki mąż wojny i hetman litewski, jakim był później Konstanty Ostrogski[2]), w Węgrzech owi magnaci z podgórza karpackiego Rozgonowie, Tareziowie, Pereni'owie, Paloczowie, Homonowie, Bebekowie i dzielny Błażej Magyar, którzyto pierwsi poznali się na wojennym talencie Olbrachta, wzywając go do kandydatury, wprost na ratunek chrześcijaństwa[3]). A lubo ich zraził Olbracht swą stanowczością i dumą, lubo domyśleć się mogli, że on to pobudzał brata Władysława do starcia rogów bucie magnatów węgierskich, przecież gorąco poparli w 1499 r. myśl ścisłego przymierza Węgier i Polski, przy ich pomocy doszło ono do skutku. Najmniej popierają go magnaci polscy, jednak i w ich gronie ma swoich, jak owego Piotra Kmitę z Wiśnicza, któremu nadał marszałkostwo koronne po Rafale Jarosławskim, Jakóba Buczackiego, wojewodę podolskiego, Dobka Kurozwęckiego, wojewodę lubelskiego, jak kasztelana gnieźnieńskiego, Jana Trnkę Karnkowskiego, słynnego wodza, który zniszczył związek śląski przeciwko Maciejowi Korwinowi powstały, wodza wyprawy Kazimierza Króla na Mołdawię w 1485 r., a także i wodza w wyprawie Olbrachtowej w 1497 r. Nosi tytuł wodza czyli hetmana także i drugi mąż, wojewoda bełzki, Piotr Myszkowski, stale zajęty obroną kresów od napadów tatarskich. Zresztą w otoczeniu króla jest wielu rycerzy swoich i obcych, jak Andrzej Górski, Stanisław Koniecpolski, Brictius z Niedrawiče, dworzan, rotmistrzów,

[1]) Lewicki. Cod ep. III. N. 421.
[2]) Arch. Sławuckie II. p. 249.
[3]) Quoniam videmus perniciem christianitatis . . .

parających się wojaczką. Dla wszystkich tych jest król łaskawy, hojny w nagrodach, ale wymagający w służbie. Pamięta zresztą król o swych dworzanach, czy to o Mikołaju Gardzinie z Lubrańca, późniejszym kasztelanie gnieźnieńskim, czy to o zasługach wpływowego za króla Kazimierza, lekarza dworskiego, Jana Lieberhanda, który jest i lekarzem syna, lub też fizyka swego, hiszpańskiego żyda Izaaka, którego wyłącza z wszelkiej jurysdykcyi. Wielu najwierniejszych obdarzał konfiskowanemi za nieposłuszeństwo dobrami i przyjmował na dwór, jako rycerstwo gotowe na każde skinienie, a doświadczone w wojnie. Jest przypuszczenie, że posługiwał się służbami rycerza serbskiego, Konstantego z Ostrawicy, zwanego Janczarem i że używał go jako posła, czy też raczej agitatora w sprawie wyprawy na Turka. To pewna, że znawca sprawy tureckiej, jakim był Janczar, z uwielbieniem mówi o królu, a nawet się wyraża, że niemasz w Europie mężów, którzyby szczerze bronili wiary od Turków, bo nawet cesarz tylko goduje, a o krucyacie nie myśli — jeden o wojnie tureckiej myśli Olbracht! Lubuje się też król w mężach wymownych politykach, jak w owym Jastrzębczyku Mikołaju z Rosenberga, którego wysyła na sejmy do Rzeszy Niemieckiej, celem pozyskania pomocy od Zachodu, a którego następca Olbrachta zamierzał historyografem uczynić polskim.

W stosunku do możnowładztwa własnego narodu podnieść należy ten znamienny rys, że nawet nieprzyjaciół swoich, jak owego Rafała z Leszna, marszałka nadwornego, uczynić zdołał jeśli nie zwolennikiem swym, to w każdym razie popieraczem wyprawy na Turka. Tego bowiem męża użył zaraz po wstąpieniu na tron jako posła do zawarcia tajnego przymierza z bratem Władysławem przeciwko Turkowi. Największych przeciwników swoich czyni nieszkodliwymi dla swej polityki, a i prymas Oleśnicki, jak wiadomo, wielki jego przeciwnik, pogodził się z koronowanym. W taki sposób ze szczupłego grona Różyców i dworzan urasta zastęp mężów, podzielających wojenne zamiary króla, które kardynał Fryderyk słusznie nazwał świętymi . . .

Sprzyjał narodowościom, zamieszkującym szeroką Rzptą, jak Rusinom i nawet w miastach, w których przeważna część mieszkańców była katolicką i według magdeburgii, niesprzyjającej akatolikom się rządziła, rozstrzygał sprawy na korzyść Rusinów [1]). Życzliwy unii z cerkwią popierał zamiar jej ponowienia. Ludzki jak mało ze współczesnych mu książąt, przyjął do Polski wypędzonych z Litwy Żydów [2]), a zniszczonych przez Tatarów Ormian osłania swą protekcyą [3]).

Podobnie jak król sam, tak i dwór jego ma wygląd rycerski. Jakby za pierwszych wielkich Piastów, jakby za Władysława Jagiełły otacza króla drużyna rycerskich mężów, których też używał do bojów, jak pod Czarnym Ostrowem, gdzie kilkuset z nich poległo. Wśród tej drużyny spotykamy mężów o imieniu bardziej znanem, ale ogółem charakter dworu jest szlachecki o typie szlachty wioskowej, zamożnej i zaprawionej do służby publicznej. Już z samego oblicza dworu królewskiego można było śmiało wnosić o charakterze rządów Olbrachtowych, opartych na najsilniejszym żywiole państwa, na szlachcie. Tej to szlachcie, czy w Polsce, czy to w Prusiech, czy na Rusi, oddaje pochwały za dynastyczną wierność, za sprzyjanie swej kandydaturze i nadaje jej przewagę w dziedzinie prawa publicznego, popiera jej agrarną politykę w kierunku otworzenia drogami wodnemi do Gdańska zbytu produktów, aby tem powolniejszą mieć ją do wielkich celów, ciążących na Polsce, jako przedmurzu Europy. On potwierdza i rozszerza w tym celu przywileje rycerstwa, a gdy one połączone były z częściowem ograniczeniem praw senatu i duchowieństwa, mieszczan i chłopów, Olbracht krzywdy te wynagradza tym stanom osobistem wglądaniem w wykonanie prawa i wielką sprawiedliwością.

Czy mieszczanom, którym sam przyznawał zasługi, oddane przy swej elekcyi sprzyjał w znaczeniu zachodniem? Możnaby o tem powątpiewać, jakkolwiek wiele miast i miasteczek zniszczonych przez ogień, powietrze lub wroga podnosił,

[1]) Cod. ep. III, Nr. 426.
[2]) Sumar. Metr. II, N. 1241.
[3]) Ibidem Nr. 54.

jakkolwiek w sprawach ważnych wzywał do siebie na narady mieszczan krakowskich, na co szlachta dość krzywo patrzała [1]). Ale i w tych serdecznych stosunkach króla z mieszczaństwem widzimy umiarkowanie. Król podnosił ojczyznę, podnosząc mieszczan. Wszakże Polska miała mało miast zachodnich, skoro atoli żywioł wielkomiejski ówczesny nie mógł być uważany za ściśle narodowy, skoro liczebnie był szczupły, dlatego oparł się król o ziemian, o szlachtę. Podzielał król ówczesne poglądy na zachodzie co do większego przywiązywania chłopów do gleby, gdyż w kraju, obfitującym w wielkie przestrzenie, wymagano wiele sił do pracy, jeżeli gospodarstwo narodowe nie miało upadać. Zresztą Olbracht postępował drogą przodków, wprowadzając w życie to, co istniało już w instytucyach partykularnych po niektórych ziemiach, a w 1496 r. nie on to nadał *magnam chartam libertatum* szlachcie, lecz, jak słusznie zauważano, tylko potwierdził, co już istniało w przywilejach Nieszawskich; dodatki zaś przez króla nadane żyły w społeczeństwie jako zwyczaje i prawa prowincyi.

Co do naczelnego stanowiska w Rzptej szlachta wiele miała Olbrachtowi do zawdzięczenia. Z drugiej jednak strony dodać należy, że w zamian za przywileje król stawiał szlachcie wielkie zadania do spełnienia, że wskazywał na obowiązki krwi, życia i mienia. Sejm też co do środków na wyprawę turecką, na obronę ojczyzny spełnia życzenia króla — które nie kończą się na dużych poborach, na zebraniach zbrojnych szlachty, na których badano sprawność jej bojową, na powoływaniach pod broń całych prowincyi, ale co ważniejsza, na powoływaniu wszystkiej szlachty pospolitem ruszeniem do krwawej wojny przeciwko Turkowi. A gdy wśród stutysięcznego rycerstwa znalazł się mały procent nieposłusznych, którzy nie uczynili zadość obowiązkowi, ulegli oni surowej karze konfiskacyi dóbr, jaką prawo zastosowywało za nieposłuszeństwo. Z ksiąg metryki koronnej wiadomo dowodnie, że król nawet wśród wojny,

[1]) Invidiam apud nobilitatem peperit; Behma: Cod. pictur. u. Sokołowskiego M. Sprawoz. z hist. sztuki 1902.

wśród pochodu wojennego najściślej wykonywał prawo, skazując setkami szlachtę za nieposłuszeństwo, za niebranie udziału w wojnie. Należy podnieść ten rys bezwzględnej sprawiedliwości króla chociażby dla odparcia zarzutu, jakoby był autokratą, wywyższającym jednych, aby tem silniejsze mieć oparcie do gnębienia drugich i dla stwierdzenia, że był roztropnym i sprawiedliwym władcą, opierającym się na żywiole najbardziej odpowiadającym do dzieła obrony Polski od wschodu.

Trzeba było fatum, aby właśnie dla tych przymiotów spotkała króla nienawiść i to ze strony tej szlachty, na której się oparł, którą wywyższył i obsypywał dobrodziejstwy! A urosła ta nienawiść z chwilą, gdy plan króla rozbił się o niepowodzenie, a szlachta dotkniętą była rózgą sprawiedliwości królewskiej za nieudział w wojnie. Mówi wyraźnie ów nieznany z imienia cenzor Miechowity, że nienawiść szlachty poszła od klęski bukowińskiej, a my dodajmy, od gromadnej kary na nieposłusznych. Pospolite ruszenie doznawszy klęski, — powtórzyć można słowa jednego z naszych badaczy — starało się winę niepowodzenia złożyć na barki wodza. Ale skąd się wzięły owe fałszywe pogłoski o celu wyprawy, dla której Turek miał być tylko pozorem? Skąd poszło, że pogłoski te przeszły do historyi, jako fakta nie ulegające wątpieniu? Skąd owe najzjadliwsze sądy o charakterze panowania, o zamiarach Olbrachtowych, których wyrazem ów paszkwil, prawdopodobnie niebawem po wyprawie wśród szlachty powstały, a znany pod nagłówkiem „Rady Kalimacha"? Z jakich powodów sąd, tak bardzo ubliżający charakterowi króla wkorzenił się w społeczeństwo? Są to pytania trudne do odgadnienia, to jednak pewna, że pogłoski fałszywe towarzyszyły już samej wyprawie, że podejrzenia i zamęt stąd powstałe wpłynęły na wyprawę i jej zwichnięcie, gdyż podburzony niemi Stefan Mołdawski postawił wyprawie nieprzezwyciężoną zaporę.

Niektórzy historycy obcy, a za nimi i swoi, mówią z ironią o chybionym zamiarze niektórych dziejopisarzy pasowania Olbrachta na bohatera chrześcijaństwa, tego, który pod pozorem wojny krzyżowej uskutecznił wyprawę celem zajęcia

Mołdawii w celach państwowych i dynastycznych, gdyż zamierzał osadzić tam brata Zygmunta! Olbracht wszakże nigdy nie pozował na rycerza chrześcijaństwa, chociaż obraz stryja, poległego pod Warną, żywo stał mu przed oczyma — do wojny jednak przeciwko Turkom stale zdążał. Zarzut, jakoby pod pozorem wojny tureckiej — o której przez całe życie myślał — zamierzał zająć Mołdawię — stanowczo odpiera król — i to wobec brata, króla węgierskiego, który za podmową niechętnych i zazdrośników uczynił mu wymówkę. Znamienne są słowa Olbrachta i malują nam nietylko stan duszy jego w chwili, gdy brat własny ciężki a nieusprawiedliwiony czyni mu zarzut, ale cały charakter oddanego wysokim zamiarom męża. „Czy godziło się Waszej Kr. Mci — mówi on przez posła do brata — tak surowe posądzenie mi wyrzucać? Sam tok wojennej sprawy wykazuje, a Boga nadto biorę na świadectwo, że nie w innym celu broń podniosłem, jak tylko do walki przeciwko Turkowi. Jeślibym tedy z boleścią przyjął uczyniony mi zarzut od każdej innej osoby, to z największym bólem serca przyjmuję go od W. Kr. Mci, od którego tylko dobra się spodziewałem, jako od starszego brata i na którym, zarówno jak na mnie, cięży obowiązek troskać się o pożytek i chwałę naszego domu . . ."

Dowiódłszy obszernie, że Stefan Mołdawski zwichnął cel wyprawy, że zdradził sprawę chrześcijaństwa, a wreszcie złamał rozejm, upraszał Olbracht brata o pomoc do ukarania wojewody, który hańbę zadał domowi całemu, a wrogom chrześcijaństwa dał zgubny przykład do naśladowania. „Gdyby Stefana kara nie spotkała — dodawał — niechaj król węgierski będzie pewny, że dla domu całego jagiellońskiego sprawa ta gorszące spowoduje pomówienia, albowiem słusznie będą wnioskować z zaszłych wypadków, że we współce z Turkami i Tatarami podniósł broń przeciwko bratu rodzonemu, przeciwko chrześcijanom i przeciwko królestwu polskiemu, starożytnymi węzłami przymierzy z Węgrami połączonemu, a przedewszystkiem przeciwko Polsce, w której Wasza Kr. Mć urodził się i wychował, od niej szczęścia swego i wysokiej godności otrzymał

zadatek, ochronę i posiłki. Takie posądzenie byłoby wielce dla króla Węgier ubliżającem. Któż bowiem z książąt chrześcijańskich, chociażby stał się komu zajzaciętszym wrogiem, już dla samej godności wiary świętej i religii, użyłby pomocy niewiernych przeciwko wiernym!"

Czytając te myśli, musimy uwierzyć, że wypowiedzieć je musiał ten, którego zamiary srogi los zwichnął — a którego własny brat posądzeniem niegodnem niesłusznie potępił i zmusił do rozejmu z chytrym nieprzyjacielem. Rozejm ten na swoją szkodę podpisał Olbracht, aby odrzuceniem medyacyi nie utrwalać w świecie opinii [1]), jaką o nim najniesłuszniej powziął własny brat, król węgierski. Wiara nasza w rzetelność Olbrachtową co do zamiarów wojennych znajduje oparcie w biegu panowaniu po klęsce Olbrachta, który i po klęsce nie przestaje pracować nad wojną turecką i gdy signoria po wzięciu Modonu przez Turków prosi go o pomoc, on zagrożony przez Tatarów, przez Moskwę, przez ks. Fryderyka Saskiego, mistrza Zakonu, nie mogąc dać posiłków Wenecyanom, zachęca gorącemi słowy sławną Rzptę, „by nawet teraz, kiedy świat cały ją opuszcza, wytężyła wszystkie siły dla własnej obrony, co też i król uczyni, jeśliby nawet życie miał ponieść w ofierze". A słowom tym towarzyszyły czyny, przymierze najściślejsze przeciwko Turkom z Węgrami — przygotowanie nowej z Litwą unii, przygotowania do unii z cerkwią — i zarządzenia przeciwko Mistrzowi Krzyżaków, gdyż bez tych ostatnich nie można było i myśleć o ponownej wyprawie.

Wśród tych przygotowań nagle król umiera . . . i pogłoski, których źródło zaczynało już usychać, znowu odżyły . . . wśród szlachty zgorszonej kilkakrotnie zarządzanymi masowymi konfiskacyami dóbr, wśród społeczeństwa, bezustannie trapionego nowej wojny widokiem. Zabrakło tego, który czynami dowodził swoich zamiarów, a wrogowie tychże, nieprzychylni kierunkowi demokratycznemu rządów, nie protestowali przeciwko

[1]) Cod ep. III, p. 446. O wyprawie tej z 1497 r. pomieścił Kwartalnik hist. z 1915 r. obszerniejsze studyum.

kłamliwości posądzeń, które raczej były im na rękę, albowiem niechęć przeciwko pamięci króla przygotowywała pole dla ich zamiarów wywrócenia wszelkich prac i trudów i całego kierunku, zaznaczonego przez nieprzychylne możnowładztwu panowanie Olbrachta. A kierunek ten nie miał poparcia i w wysokiem duchowieństwie, w którem również ani czyny ani pamięć króla nie znalazły obrońców. Przyczyna łatwa do odgadnienia. Król bowiem [1]) podobnie jak ojciec wpływał na elekcye biskupów, on bez wiedzy i zezwolenia swego zabraniał zbierać świętopietrze w Koronie, on oponował przeciwko rzymskim prowizyom, a beneficya rozdawał wiernym ojczyźnie synom; on spowodowywał nawet gniew Kuryi przeciwko sobie. Wiemy, że brat kardynał musiał informować nieraz króla o niewłaściwości a może i o nieprawności rozkazów królewskich, mijających się a czasem sprzecznych rozkazom Kościoła, że kardynał wyjednywał na synodach podatki od duchowieństwa, ono bowiem z powołaniem się na ustawy krajowe, na tradycyę, wzbraniało się składać pobory.

W taki sposób i po śmierci króla pogłoskom fałszywym o ekstyrpacyi Wołoszyna nie położono nawet w Polsce tamy. W najpoważniejszych dziełach można i dziś spotkać się ze zdaniem, że wtajemniczonym w zamiary królewskie co do wyrzucenia Stefana z Mołdawii był Łukasz Watzelrode, mimo, że korespondencya króla z tymże biskupem dowodzi wręcz przeciwnie, że takowej tajemnicy między nimi niema ani śladu. Powtarza się i dziś zdanie, że Olbracht co do zamiarów swych w 1497 roku był tylko wykonawcą rad swego mistrza, Filipa Kalimacha, lubo tenże przed wyprawą umarł — i lubo wiadomo dziś dowodnie, że jeżeli nawet Olbracht żywiłby zamiar ukarać Stefana, to zamiar ten upadł dawno przed wyprawą, na zjeździe w Lewoczy. Natomiast jest prawdopodobnem, że król i po śmierci Kalimacha rozczytywując się w życiu Wła-

[1]) Szereg danych co do stanowiska króla Olbrachta do duchowieństwa zawierają zapiski w publikowanych przez B. Ulanowskiego. Acta capitul. I, 886, 888, 873; II. 1527; II. N. 1518 cf. Cod. ep. III. N. 412, 413. Gołębiowski Pan. Olbr. III. p. 431.

dysława Warneńczyka, pióra Kalimachowego, pozyskiwał w rozpamiętywaniu dziejów swego stryja, bodźca do wojny tureckiej, że w pismach swego mistrza czerpał pomysły do wyprawy... pomysły, które i po doznanem niepowodzeniu znowu wznowić i w życie wprowadzić usiłował.

A że nie unosił się fantazyą, że nie zbyt ufał Wenecyanom lub Francuzom — co mu wyrzucał cesarz Maxymilian — świadczą w kancelaryi jego opracowywane memoryały, krytycznie i z pesymizmem niemal odnoszące się do projektów signoryi [1]). Wszakże pamiętać trzeba, że Olbracht był trzeźwym politykiem i dobrym gospodarzem Rzptej, że nie stracił i piędzi ziemi, że zakupił księstwo Zatorskie, że z księciem Mazowieckim Konradem korzystny zawarł układ dla Korony, że czerską ziemię dał mu w lenno, ale zastrzegł sobie posiłki, a jako najwyższy zwierzchnik lenniczy także i to, by książę nie uciskał poddanych, a dobra zabrane im zwrócił. Płocką ziemię, najbogatszą na Mazowszu, po bezpotomnem zejściu Janusza odjął król na rzecz Korony, jako lenno wymarte, a tylko warszawską, wyszogrodzką, zakroczymską, ciechanowską, łomżyńską pozostawił w dożywocie Konradowi, ale i tutaj kazał szlachcie zwrócić niesłusznie jej zabrane dobra... Nie — taki król nie mógł Rzptej wieść na manowce, nie mógł kierować się zasadami niemoralnemi, przypisywanemi Kalimachowi, a mającemi królowi w Polsce zapewnić władzę absolutną, do której rzekomo miał zdążać. Czyż może usunął możnych z rady, a wyparł duchowieństwo z senatu; czy wadził senatorów duchownych ze świeckimi, czy strzegł się pospolitego ruszenia jak ognia, lub może sprzedawał urzędy więcej ofiarowującym, a podskarbiego używał jako prasy do wyciskania podatków z poddanych; czy może znosił statuty *de abrogandis plebeis*, przywilej Ludwika Węgierskiego, statut *de homicidiis nobilium* i szacunek pogłowia? Nic z tego, co stało w satyrze, wyszlej z łona malkontentów, chciwych władzy, a oburzających się, że ich król nie słuchał. Był nielubiany przez możnych już w pierwszych latach panowania; w stronnictwie mazowieckiem miał też potężnych przeciwni-

[1]) Obacz taki memoryał w Tonicyanach I, Appendix N. 4.

ków, a mimo to wszystko, mimo pociski nienawiści od swoich i obcych, tak przywiązał naród szlachecki do swych zamiarów, że mógł odważyć się na wielkie dzieło. Gdyby się ono było udało, lub gdyby dłuższe życie pozwoliło było na spełnienie zamiarów, naówczas szlachta ta pamięć króla uwieczniłaby w narodzie i historyi. Niestety, Opatrzność nie dozwoliła Olbrachtowi dłuższego życia . . . malkontenci przyśli do steru, wzruszyli do fundamentów jego dzieło, postawili na nich nowe, napiętnowali pamięć króla na czele prawodastwa mielnickiego i tak utrwalili potępienie pamięci Olbrachta . . . Szlachta przez niego podniesiona a zniechęcona trudami, odstręczana karami, uwiecznia swą niechęć w potocznym wierszyku: za króla Olbrachta — wyginęła szlachta . . . a ten król tak szczerze ukochał ten najzacniejszy żywioł w narodzie, że na nim budował wielkie i trzeźwe dla ojczyzny, dla całego chrześcijaństwa, dla Europy całej potrzebne projekty . . .

Takim był Olbracht, jako król, jako rządca narodu w stosunkach do otoczenia, do stanów, do społeczeństwa. Nie był ani tak dumnym, ani zarozumiałym, jak to o nim głoszono, gdyż po nieszczęsnej wyprawie 1497 r. przyznaje się publicznie przez swego posła, że rezultat wojny zawsze jest wątpliwy i że jedno królestwo nie jest w możności podołać zadaniom wojny z Turcyą na czas dłuższy. A dodać należy, że mówi to mąż wcale nieszczęściem wojny nie złamany, owszem ponownie z wysiłkiem pracujący, aby później w lepszych stosunkach wspólnie z Węgrami ponowić walkę, mąż, który wszystkie siły ducha, wszystkie środki materyalne poświęcał na obronę państwa i kiedy umarł, kasy pozostawił próżne, pieniądze jubileuszowe, z dziesięcin z całego królestwa zniknęły, nikt nie wiedział, gdzie się podziały; biskup Cagli i legat wskazywali na brata królewskiego Fryderyka, inni na sekretarzy, a nikt nie obliczał wydatków, jakie pochłonęła obrona granic, po niefortunnej wyprawie przez całe dwa lata atakowanych przez Turków, Tatarów, Wołoszę . . . Toż wspomniane te narody cieszyły się ze śmierci Olbrachta, jak to podnoszą współcześni; one bowiem podejrzywały, ale i bały się króla z powodu jego śmia-

łych zamysłów, dotykających ich dumy, miłości własnej i nienasyconej niczem chciwości ówczesnej Porty.

Król nie zostawił po sobie żadnych wielkich budowli, żadnych fundacyi; wszystko pochłaniał cel, mający tej chciwości, tym zaborom postawić niewzruszoną zaporę. Jeżeli zakładał fundamenta, to chyba pod barbakan krakowski, bo ta budowa wymownie objaśniała zadania jego i Polski. Jedną tylko plamę na imię swe ściągnął król, gdy ustępując zawistnemu sąsiadowi, Stefanowi Mołdawskiemu, kazał ściąć pretendenta do tronu Mołdawii, Eliasza. Przez czyn ten zatracił król poczestne miejsce sławnego rycerskiego króla w dziejach Europy, wszakże pretendent ów był przyjęty do państwa... dla którego spokoju pozwolił król uczynić zadość tyrańskiemu żądaniu sąsiada. Prawda, że i Gonsalvo z Korduby miał na sumieniu złamanie słowa Cezaremu Borgii; Gonsalvo jednak był wodzem szczęśliwym, o nieśmiertelnej sławie, której blaskiem pokrył wady życia. Olbracht zaledwie zdążał do niej, zaledwie torował drogę, gdy los zabrał mu życie. Ale i w torującym sobie drogę odgadywano potężnego ducha, domyślano się, że do wielkich zmierzał celów i jak biskup Barlolo Cagli, jak kardynał Pietro da Reggio w pregadzie wenecyańskiej rozpływano się w pochwałach polskiego króla. Jeżeli do owego sojuszu polsko-węgierskiego przystąpił 1502 r. angielski król Henryk VII. i on uczcił temsamem pamięć Olbrachta, obiecując sobie pomyślnych skutków dla chrześcijaństwa, w myśl króla, twórcy tego sojuszu...

Wielkodusznym jak Alfons V. aragoński nie był Olbracht, listów Seneki jak ów król nie tłumaczył, ale wśród niebezpieczeństw, podobny onemu, umiał być dzielnym, może nie tak wytrwałym, ale nie poddawał się rozpaczy, a prostotą obyczajów, umiarkowaniem, niestrudzoną czynnością ducha dorównywał jemu. Był też wykształconym na wzorach starożytnych, mowcą, samodzielnym na wskróś umysłem i szlachetnym rycerzem i gdyby mu danem było dłuższe życie, pewno zajaśniałby w dziejach, jak ów Gonsalvo, słynny królewski współcześnik.

Bo też w latach przygotowań do wyprawy czyni wrażenie owego młodego księcia medycejskiego, wykutego ręką Michała Anioła w *sagrestia nuova*, z majestatem królewskim bijącym od twarzy patrzącego śmiało przed siebie, jakby stał na straży państwa, gotowego stanąć każdej chwili w jego obronie i wydać rozkazy wojskom . . . Po wyprawie bukowińskiej postać króla nieco się zmienia i przypomina nam owego drugiego Medycysza, zatopionego w myślach, przemyśliwającego nad sposobami umocnienia państwa: *Il pensieroso* Michała Anioła.

Tak wszystko zgodne było w pracach króla, tak zdążało do jednego celu, że było wyrazem jednej wielkiej myśli, jak w nieśmiertelnem dziele rzeźbiarza . . . A jednak ani rozkaz króla wojskom dany, ani myśli jego wyprawy na wroga nie ostały się; cały kierunek rządów zarzucono i potępiono. Powiedziano sobie, jak to stoi na czele konstytucyi mielnickiej, że gdy książęta usiłują panować według własnego zdania, naówczas na skutek opozycyi możnych w radzie, powstają w państwie zaburzenia i niepewność osób i mienia. Toż zarządzono, by odtąd senatorów nie sądził król, lecz tylko senat, który dwoma trzeciemi głosów mógł zasądzić obżałowanego. Gdyby atoli król poważył się magnatowi uczynić krzywdę lub niesprawiedliwość, naówczas znosi się przysięga wierności i poszkodowany uciec się może po ratunek do innego księcia przeciwko własnemu królowi, jako przeciwko tyranowi. W taki sposób senat szeroko otworzył drogę Glińskim i Radziejowskim do podkopywania państwa, sobie zapewniając pierwszorzędną w państwie powagę, a króla spychając na stanowisko przewodniczego w radzie. Z Stefanem Wołoskim, z Mendligirejem, z Bajazetem wreszcie dał sobie radę król . . . senat możnowładczy zatryumfował nad całą pracą dziesięcioletnią króla . . . prawda, że po tegoż śmierci.

Słusznie podniesiono, że konstytucya mielnicka była druzgocącą krytyką rządów Olbrachtowych, których kierunek zarzucono . . . mniejsza o to, czy z wielkim pożytkiem dla państwa. Co za nieszczęśliwy król[1]), którego sprawy cały naród

[1]) Komorowski Mon. Pol. V, 262 infortunatus.

na sejmie zebrany uznaje jako zgubne dla ojczyzny, naród, dla którego szczęścia król z całem wytężeniem sił przez cały przeciąg panowania nieustannie pracował! Jak wielkie prześladowało go nieszczęście, skoro jedyny większy czyn życia, wyprawa 1497 r. uległa fatalnemu losowi, o ileż bardziej od innych nieszczęśliwszy, że dzieło życia tłumaczono sobie opacznie jako kondotyerską wyprawę, celem zdobyczy, a nawet na zgubę szlachty przedsięwziętą. Niepowodzenie tak stałym jest towarzyszem dzieł tego króla, że nawet rady jego dla brata rodzonego nie przyniosły temu szczęścia — on to bowiem doradził Aleksandrowi przyspieszyć małżeństwo brátu z Heleną Iwanówną, a małżeństwo to było przyczyną klęsk najprzód Litwy a potem i Polski. Zakonny kronikarz słusznie podnosi [1]), że podobnie jak ojca prześladowało Olbrachta nieszczęście, gdziekolwiek się tylko zwrócił, a kronikarz Zakonu Braci Mniejszych [2]) wyraża zdziwienie, że tak bystrego umysłu króla dziewięcioletnie panowanie zaznaczone było niepowodzeniami. Niezawodnie Olbracht był entuzyastą i chybił w tem, że nie przeczuł, iż stan rycerski, ziemiański nie dojrzał do podjęcia olbrzymiego zadania, że zapory były zbyt duże, ponad siły królestwa, ale z drugiej strony nie trzeba zapominać, że żył i działał w narodzie, z pośród którego niebawem już pchnięto bryłę świata z bierności jej na kolej słoneczną, cóż przeto dziwnego, że król takiego narodu jasno widział, zgodnie z zapatrywaniami papieży i Zachodu, że torem właściwym dla Polski była obrona jej i Zachodu od muzułmaństwa grożącego zalewem chrześcijańskiej cywilizacyi, i że do tego celu mimo zapór, mimo przeszkód, mimo niedostateczności środków dążył i nawet niepowodzenie nie zdołało go zrazić od przedsięwzięcia. Do końca życia był entuzyastą, ale w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. Entuzyazm jego odpowiadał potrzebom nietylko własnego państwa, ale całej Europy, cywilizacyi, Zachodu.

Znakomity dzisiejszy dziejopis uniwersytetu krakowskiego, idąc za głosem dawnych tegoż mistrzów, przyznaje Olbrachtowi

[1]) Mon. Pol. VI, 471 Chron. Claratumb.
[2]) Ibidem V, 262.

duże zdolności, ale porównywując z nimi rezultat działań króla, wypowiada sąd, że tym zdolnościom nie dorównywała tęgość woli ani charakteru. Zważając jednak na przeszkody, jakie Olbracht stale aż do ostatniej chwili życia usuwał z drogi w kierunku rozpoczętej chociaż raz już zwichniętej pracy, należałoby raczej może zastosować o rezultacie działalności królewskiej sąd, jaki współczesny Olbrachtowi historyk zachodni Comines wydał o Karolu Burgundzkim: że nie może zmiarkować przyczyny, dla której dotykała go ręka Boża, chyba więc z tego powodu, że więcej ufał własnym siłom i własnej zasłudze, aniżeli łasce Boga[1]).

Antoni Prochaska.

---

[1]) Por. Cron. Claratumb. M. Pol. VI, 473.

Pitagoreizm dawniej — a dziś.

I.

Zdziwilibyśmy się zapewne niepomiernie, gdyby dziś wystąpił jakiś uczony i ogłosił twierdzenie, że wszyscy ludzie, z którymi żyjemy i stykamy się, jak niemniej cały ten świat piękny, który nas otacza — pochodzą właściwie z l i c z b y. Jakto — spytalibyśmy się — więc i to słońce, które nas oświetla i ogrzewa i owe szumiące lasy, które nam dostarczają w lecie przyjemnego chłodu i ta droga nam wszystkim ziemia ojczysta, pokryta w dobie dzisiejszej niezabliźnionymi dotąd ranami i my sami wreszcie jako istoty rozumne, myślące, walczące niejednokrotnie przeciwko opadającym nas zwątpieniom, a chcące przecież żyć zdrojami ożywczej nadziei, jakie w nas wywołały rozgrywające się wypadki — więc to wszystko miałoby pochodzić z jakiejś liczby, jednej czy wielu? Jaki związek może mieć to, co jest rozciągłem czyli posiada cechy p r z e s t r z e n n e i trwa czas jakiś: tworzy się, istnieje i zanika, a więc wykazuje znamiona c z a s o w e z liczbą powiedzmy: t r z y czy s i e d m, które wspomnianych cech wcale nie posiadają, a są tylko uogólnieniem pewnych zauważonych między „rzeczami“ stosunków? Nie ulega wątpliwości, że posłuchu i wiary u ludzi doby dzisiejszej filozof taki wcaleby nie znalazł, albowiem myśl ludzka odbyła już tak olbrzymią drogę swojego rozwoju, że wszelkie próby podobnego tłumaczenia świata i jego pochodzenia nazwałaby nieuzasadnionym m i s t y c y z m e m i odrzuciłaby je jako nienaukowe pomysły

marzyciela, który nie odróżnia tworów swojego umysłu, tj. l i c z b, istniejących tylko dla uzdolnionego do ich tworzenia rozumu od rzeczy takich, jak: las, słońce, góra, które istnieć zupełnie dobrze mogą bez względu na to, czy j e s t umysł, rzeczy owe spostrzegający, czy też go wcale n i e m a!

To, co się nam w tym wypadku wydaje tak jasnem i zrozumiałem, nie było jednak takiem dla tych ludzi, którzy żyli kilka wieków przed nami, nie mówiąc już o tych, którzy żyli w zaraniu kultury ludzkiej i którym przypadł obowiązek torowania drogi dla pierwszych prób samodzielnej pracy ludzkiej. Kto zna cokolwiek dzieje myśli ludzkiej, będzie się jednak odnosił do wielu pomysłów poprzedników z szacunkiem i należytą uwagą, chociażby mu się one w stosunku do stanu nauki obecnej wydawać miały najbardziej nawet dziwne i nienaukowe; wie bowiem, że wiele z nich — choć były fałszywe — nosiło już w sobie zarodki prawdy, która dopiero później miała się rozwinąć w systemat wiedzy; a zresztą, nauczony doświadczeniem, spodziewać się może, że także i te poglądy, które dziś żywi, którymi się zachwyca oraz innych o nich poucza, wydać się kiedyś mogą pokoleniom późniejszym jako „dziwne i nienaukowe".

Z tego więc powodu wydaje mi się rzeczą pożyteczną i wskazaną przeprowadzić rozważania na temat pomysłów i toku rozumowania tej grupy ludzi filozofujących, którzy próbowali wespół ze sławnym P i t a g o r a s e m na czele (żył w VI w. przed Chr.) wyprowadzić cały wszechświat, jego byt i istnienie z jednego tylko pierwiastka, z jednej zasady, którą miała być: l i c z b a. Jest także i drugi powód, który budzi naszą ciekawość dla owego okresu kunsztownych pomysłów matematyczno - mistycznych szkoły czy zakonu p i t a g o r e j c z y k ó w oraz prądów pokrewnych — a jest nim doba obecna rozgrywających się przed oczyma naszymi zapasów orężnych, w której, jak wiadomo, nie brak wielu pomysłów konstrukcyjnych, ogłaszanych niejednokrotnie w prasie codziennej, które starają się uzależniać dokonywujące się lub też spodziewane wypadki od jakichś związków liczbowych, a więc dat dni, miesięcy, lat; związków arytmetycznych między rozmaitemi przyjętemi liczbami, wyrażającemi okres na-

rodzin, śmierci lub obecnego wieku panujących osób, sławnych wodzów i t. p. Znana zasada „nic nowego pod słońcem" także i w tym wypadku święci swoje tryumfy. Wystarczyłoby w podanem przez pitagorejczyków twierdzeniu, iż „wszystko jest liczbą" zmienić tylko treść i powiedzieć, że „liczba r z ą d z i wszystkiem", a znajdziemy podłoże, na którem zrozumieć będziemy mogli wiarę wielu ludzi w przypuszczalny związek, który ma łączyć z jednej strony twory liczbowe, a z drugiej wypadki, rozgrywające się w świecie objektywnym. Niema już wprawdzie myślicieli, którzy próbują wyprowadzić wszechświat z l i c z b y, jak już niema Talesów, którzyby mówili, że wszystko pochodzi z w o d y lub Anaximenesów, toż samo o p o w i e t r z u twierdzących — są jednak i dziś i byli w ciągu wieków zawsze tacy ludzie, którzy przyznają liczbom pewien wpływ na przebieg wypadków, a którzy nierzadko — znajdują posłuch i wiarę! Pamiętać bowiem trzeba, że pitagoreizm właściwie nigdy nie zamarł i odradzał się w rozmaitych postaciach w tych zwłaszcza okresach, w których ludzkość, nawiedzana jakimś ogromem nieszczęścia lub będąca w dobie nagłych przeobrażań, skłaniać się zwykła ku prądom mistycyzmu. Tak było — idąc za świadectwem H e r o d o t a — w okresie przed wojnami perskiemi u wieszczów: B a k i s a i M u s ä u s a ; podobnie w dobie s o f i s t ó w, gdy Ateny, owo „prytaneum mądrości greckiej", wstrząsane było burzą nieszczęść i świetności zarazem; tak wreszcie w okresie zmagania się idei chrystyanizmu ze zmierzchem pogaństwa, gdy n o w o p i t a g o r e i z m zawładnął umysłami. Także i nasz naród, który takich doznał wstrząśnień, jak mało który na świecie, dowodzi przez przodujące swoje jednostki, że okres jakiegoś załamania się, doba rozpaczy wielkiej lub wielkiej nadziei łączyć się zwykła z prądem mistycznym, a zarazem z przodującą w nim wiarą we wszechpotęgę związków liczbowych.

„Patrz... Ha! To dziecię uszło... rośnie... to obrońca!
Wskrzesiciel narodu!
Z matki obcej; krew jego, dawne bohatery;
A imię jego będzie c z t e r d z i e ś c i i c z t e r y".

W taką formę l i c z b o w ą przyobleka ks. Piotr Mickiewicza swojego wymarzonego bohatera, snując i dalej swoje refleksye liczbowe:

„Któż ten Mąż?.....
. . . . . .
Mąż straszny... ma t r z y oblicza,
On ma t r z y czoła.
. . . . . .
Podnóżem jego są t r z y stolice.
T r z y końce świata drżą, gdy on woła;
. . . . . .
Na t r z e c h stoi koronach, a sam bez korony;
. . . . . .
Sława! Sława! sława!“

Możnaby, biorąc asumpt z tego faktu, że prąd mistycyzmu łączy się zazwyczaj z wiarą we wszechpotęgę liczbową, postawić sobie pytanie, c z e m n a l e ż a ł o b y t ł u m a c z y ć o w ą ł ą c z n o ś ć o r a z j a k i e s ą j e j p o w o d y. Kwestya to niezmiernie ciekawa, choć przekraczająca ramy niniejszej rozprawy. Zdaje mi się, że rozwiązania szukaćby należało w samej i s t o c i e matematyki, jako nauki o elementach liczbowych, będącej zarazem nauką umysł nasz już b e z w a r u n k o w o zadowalniającą [1]). Wszak wiemy, że każda z umiejętności poszczególnych, zajmujących się rozmaitemi dziedzinami, spełnia już ideał swojego zadania, dochodzi do kresu swoich dociekań, a zarazem dostarcza umysłowi naszemu ostatecznego zadowolenia, jakiego dostarcza każde badanie rozumowi, jeżeli połączy się z matematyką i wyniki swoje powiąże związkami liczbowymi. Dlaczego to j e j jest tylko przywilejem oraz j e j właściwością, dowiódł tego słynny filozof niemiecki Im. K a n t. Wielu też rzeczy nauczy się, a wielu nietrafnych i niesłusznych oduczy się ten, kto sumiennie przeczyta małą książeczkę Kanta p. t.: „Prolegomena zu einer jeden

[1]) In jeder besonderen Naturlehre nur so viel eigentliche Wissenschaft angetroffen werden könne, als darin Mathematik anzutreffen ist“. Kant. — Metaph. Anfangsgr. der Naturw. Vorrede.

künftigen Metaphysik, die als Wissenschaft wird auftreten können" (wyd. Reclama w Lipsku). Jeżeli tedy mistycyzm jest próbą wysnucia odpowiedzi na gniotące nas pytania i piekące problematy od wnętrza nas samych a kresem ostatecznym wszelkiego poznania jest systemat związków liczbowych — zrozumiećby można, dlaczego te dwa prądy: mistycyzmu i pitagoreizmu tak często się wzajemnie przenikają. Schodzą się, gdyż drugi jest niejako uwieńczeniem pierwszego. Zdaje się też, że to poważanie, jakie ma nasz rozum dla „liczby", a także ta wiara, która się łączy na tle uczucia w jej wszechpotęgę, dawniejsze są od wszelkich systemów, jakie utworzone zostały przez pitagorejczyków czy też platończyków. Tkwią one bowiem niejako w istocie naszego rozumu.

* * *

Już u Homera mamy dowody na to, że liczby odgrywają w świecie pewną rolę, a z nich znowu tylko pewne są uświęcone i wyróżnione. Do nich należy liczba: trzy, która miała odegrać tak bardzo ważną rolę w dziejach całego rozwoju ludzkiej myśli. Możnaby zapełnić całe szpalty uwagami na temat tej właśnie liczby, która zjawia się w rozmaitych pomysłach, jako ich niezbędny przydatek. Wspomnę tu tylko o micie trzech gracyj, trzech park, przędących nicie żywota, trzech nornach starożytnych Germanów (bogiń śmierci, urodzin i małżeństwa), o takich wreszcie wymagalnikach owej liczby świętej, które są przepisane np. przy cytowaniu dyabłów i rozmaitych zaklęciach [1]) i zwykły kończyć we formie trzechkrotnych okrzyków wszelkie przemowy uroczyste, a także w biblii i w Piśmie św. nie są bez znaczenia. Homeryckie modlitwy łączą, w celu ich skuteczniejszego wyniku, trzy bóstwa (Zeusa, Atenę i Apollina) w jednem zawołaniu. Myśl tę zawiera w sobie zresztą także indyjskie trimurti, będące połączeniem trójjistności brahmy, wisznu i szi wy. Podobną wreszcie rolę odegrała przyjęta przez Phe-

[1]) Np. znany w starożytności kult przodków wymagał wymienienia z całego szeregu przodków koniecznie trzy osoby: ojca, dziadka i pradziadka, tzw. tritopatores.

rekydesa z Syros (pierwszego przedstawiciela nauki mistycznej t. zw. orfików) t. zw. troistość: Chronosu (czasu), Zeusa i Chthonii t. zn. chaosu. Pierwszym, który przynajmniej próbował dać tłumaczenie owej świętości liczby trzy, był Pitagoras, znający zresztą nauki orfików i rozmaite obrzędy mistyczne, który też ujął naukę liczbową oraz jej świętość w pewien system zamknięty. Dowód to naturalnie nie szczególny, gdyż wyprowadzający świętość trójki stąd, iż „łączy" ona początek, środek i koniec! W dziejach myśli ludzkiej w starożytności, a nawet i później podobnie przekonywujących „dowodów" znamy zresztą więcej, a jednak np. wspomnianemu dowodowi Pitagorasa umysł tak potężny, jakim był niewątpliwie Arystoteles, nie miał — nic do zarzucenia!

Rozkwit filozofii Pitagorasa i jego nauki przypada na lata 532—530 przed Chrystusem, kiedy to w zwartem bractwie religijno-naukowem, utworzonem w mieście Krotonie (we Włoszech) przez przybyłego z dalekich podróży mędrca i wybitnego matematyka Pitagorasa poczęto dyskutować nad kwestyą, jakim sposobem mógł świat powstać z liczby i jakie jest jej znaczenie dla wszechświata. Związków takich powstawało z czasem coraz więcej — w Krotonie było członków około 300, w innych miejscowościach nawet więcej, przyczem dopuszczano do nich także kobiety — i nabyły one niebawem pewne uprawnienia polityczne oraz wywierały na rządy wpływ niemały w duchu arystokratycznym.

Aby módz zrozumieć samo postawienie kwestyi przez pitagorejczyków, trzeba pamiętać koniecznie o jednej rzeczy. Trzeba wiedzieć, że wyraz „liczba" nie oznaczał wówczas przedmiotu abstrakcyjnego, odpowiadającego naszej czynności umysłowej, jeno miał wskazywać na takąż samą rzecz konkretną i realną, jaką jest np. stół, szafa, lampa i t. p. Nawet szkoły o wiele późniejsze jak np. stoików (III w. po Chr.) uważały nietylko przedmioty i dusze jako ciała, ale zaliczały do nich także własności takie, jak ciepło — zapatrywanie to przetrwało zresztą długie wieki — barwę a nawet pojęcia takie, jak: mądrości, sprawiedliwości i t. p. Być może, że nie była tu bez winy i sama mowa ludzka, która

mając na oznaczenie tak przedmiotów jakoteż ich własności, cech i stosunków jeden znaczek t. zw. rzeczowniki, mogła nasunąć nie dość jeszcze krytycznemu umysłowi przypuszczenie, że także: jedność, dwojakość i t. d. są również przedmiotami. Pitagoras, który jako pierwszy odkrył był pewne związki liczbowe, wyrażające stosunek długości struny na monochordzie do wysokości tonu, a który w dodatku miał wielkie zdolności do matematyki i ogromny dla niej szacunek, mógł bardzo łatwo wpaść na myśl, że właśnie l i c z b a, która rządzi „harmonią" strun i ciał brzmiących, która jest zresztą równie dobrze ciałem, jak np. woda lub powietrze, a przecież od nich o wiele ważniejszą, r a c z e j może dać prapoczątek światu, niż głoszone przez Talesa czy Anaximenesa, jego poprzedników, elementa.

Pitagorasa zna się ogólnie jako odkrywcę znanego twierdzenia o trójkątach prostokątnych. Mniej może znaną jest rzeczą, że położył on olbrzymie zasługi na polu badań nad zjawiskami, związanymi z powstawaniem tonów i dźwięków — w dziedzinie zwanej dziś a k u s t y k ą — i że przez odkrycie praw mechaniki akustycznej założył podwaliny pod rozwój mechaniki wogóle. Trzeba, — wciąż bacząc na stan wiedzy tego okresu, w którym żył i działał — zrozumieć zachwyt i zdziwienie współczesnych, którym wykazał, że znana wszystkim harmonia tonów zale w dość prosty sposób od długości struny lub ilości materyału (jego ciężaru) ciała brzmiącego. Od wykrycia stosunków liczbowych do głoszenia przekonania, że te stosunki liczbowe oraz same liczby są p a n a m i ś w i a t a — był tylko krok jeden! Krok wprawdzie fałszywy, nie mniej jednak szczęśliwy — najbardziej może owocny, jako w zaraniu tworzenia się poglądów fizykalnych uczyniono. Dlatego też legenda, która tak bardzo i tak chętnie zajęła się osobą Pitagorasa i jego zwolennikami (dla niej Pit. był bogiem i umarł śmiercią nadnaturalną), ubiera to jego odkrycie w szatę następującą.

Kiedy Pitagoras przechodził razu jednego, zatopiony w myślach nad powodami, sprawiającymi współbrzmienie i harmonię kilku tonów, koło kuźni kowala, usłyszał, ku swemu ogromnemu zdziwieniu, wspaniałą harmonię, rozlegającą się z owej kuźni,

która powstawała stąd, że kilka młotów uderzało równocześnie na kowadło. Badając tę sprawę bliżej i dokładniej, wyróżnił w tych tonach takie, które dziś nazywamy: kwartą, kwintą i oktawą jakiegoś tonu zasadniczego, a ważenie odnośnych młotów wykazać mu miało, że młot, wytwarzający o k t a w ę, waży d w a razy m n i e j niż najcięższy, podczas, gdy młot, dający k w i n t ę, ważył jego dwie trzecie, a ten, który odpowiadał k w a r c i e, jego trzy czwarte ciężaru. To odkrycie dozwoliło mu dane stosunki liczbowe przenieść z ciężarów na długości strun metalowych, które sobie napiął na zrobionym przez się monokordzie, i dało mu podstawę do przeniesienia spekulacyj matematycznych na teren muzyki i harmoniki.

Opowiadanie to, podane przez Nikomachusa, nie oddaje wprawdzie faktycznego stanu rzeczy, gdyż stosunek ciężarów owych młotów nie jest w danym wypadku trafnym, jest jednak dowodem na to, iż zastanawiano się już w starożytności nad tem zagadnieniem, w jaki sposób mógł Pitagoras wpaść na to swoje bardzo doniosłe odkrycie matematyczne w zakresie przebiegu zjawisk fizycznych. Odtąd bowiem droga do zastosowywania pewnych tworów abstrakcyjnych, t. zw. i d e i do zagadnień o świecie i jego powstawania, stała już otworem, dając powód do t. zw. hipostazowania pojęć, aby później zapłonąć jasną łuną poetyckich pomysłów wielkiego filozofa greckiego Platona, który rozpiął ponad światem dostrzegalnym naszym zmysłom — świetlistą kopułę świata innego, lepszego i wiecznego, którego tylko cieniem jesteśmy marnym: ś w i a t a i d e i. Jeżeli kierunek ów, który przypisuje b y t p r a w d z i w y pojęciom ogólnym (ideom) takim, jak: człowiek, koń, lampa, dobro, sprawiedliwość, miłość i t. p., nazwiemy r e a l i z m e m, to przyznać musimy, że realiści tacy istnieli już p r z e d Platonem, w okresie t. zw. s o f i s t ó w (V w. przed Chr.), że mieli nawet swoich przeciwników, twierdzących, że to nie są wcale byty, lecz jedynie s ł o w a (t. zw. n o m i n a l i ś c i [1]), że jednak Plato był z nich największym i najbardziej

1) Pierwszym n o m i n a l i s t ą był grek-sofista A n t i p h o n, choć właściwie prąd ten, jako k i e r u n e k systematyczny, występuje dopiero później w VI w. po Chr. (D r T w a r d o w s k i: O filozofii średniowiecznej. Wykładów sześć. 1910. Str. 25 i inne).

wpływowym. Taż sama myśl Pitagorasa, zastosowania abstrakcyi do fizyki, która była tak płodną dla rozwoju tejże nauki, oddziałać też miała w przyszłości — po przez pomysły platońskie i megarejskie — na rozwój zagadnień i pomysłów ludzkich o konkrecie i abstrakcie. A więc, jakżeż jest właściwie? Czy jest jeden tylko „człowiek", który istnieje gdzieś w zaświatach, sam będąc ideą, a wysyła ze siebie tylko odblaski, jakoweś wzory na ziemię, w postaci miliona czy ilu tam żyjących na świecie ludzi, on sam niezniszczalny, wieczny i najdoskonalszy — czy też istnieje naprawdę tylu odrębnych zupełnie ludzi, ilu ich tu widzimy, a wyraz: „człowiek", jako zbiór cech ogólnych, to tylko dźwięk pusty, nazwa tylko i znaczek?! Oto zagadnienie, które, zrodzone na ziemi greckiej, zaognić miało w wiekach średnich dwa zwalczające się obozy Dominikanów i Franciszkanów i przeciwstawić je sobie jako realistów i nominalistów w sporze o t. zw. uniwersalia, prowadzonym równie namiętnie, jak wszystkie wogóle ówczesne dysputy.

Nakreślony powyżej zarys przebiegu myśli, które z taką żywotnością poruszały umysły wielu pokoleń, jest dowodem na to, jak nieobliczalnym w następstwa stać się nieraz może pozornie nieznaczny błysk twórczej idei, która się zjawia w głowie jednego genialnego człowieka. Urok Pitagorasa wystąpi przed nasze oczy tem jeszcze wyraziściej, jeżeli uwzględnimy, iż jemu (albo przynajmniej jednemu z jego uczni) zawdzięczamy inną nowość, która rozstrzygnąć miała o całym wspaniałym rozwoju wielkiej naszej kultury współczesnej, a jest nią: wprowadzenie do arytmetyki używanego obecnie znakownictwa cyfrowego t. zw. arabskiego. Nie możemy sobie wprost przedstawić, jakiego ułatwienia doznały dociekania matematyczne, skoro się je uwolniło z niezdarnego i niewygodnego znakownictwa greckiego, oznaczającego liczby za pomocą systemu kilku liter. Zwykło się wprawdzie za Librim, historykiem francuskim w XIX w. uważać za twórców systemu cyfrowego Hindusów, a za ich krzewicieli i popularyzatorów Arabów — zdaje się jednakowoż, że nowsze poszukiwania uczonych francuskich

wykazały niezbicie, że właściwymi ich twórcami byli pitagorejczycy, jednakowoż nauka ich nie zdołała zapuścić wśród ludzi głębszych korzeni, tak, że — wyjąwszy nielicznych może uczonych — system ten został w Europie zupełnie zapomniany i musiał być, niejako po raz wtóry, przez uczonego Gerberta (późniejszego papieża Sylwestra II około 1000 r. po Chr.) wykryty i rozpowszechniony.

I oto wchodzimy obecnie w dziedzinę pomysłów czysto matematycznych, jakie snuł Pitagoras oraz jego uczniowie, pomysłów często może dziwacznych i nieraz nieusprawiedliwionych, zrozumiałych jednak na tem tle, iż nęcące były horyzonty, jakie się rozmiłowanemu w harmonii umysłowi otwierać poczęły.

* * *

Wszystkie liczby, jakie istnieją, dzieli Pitagoras na trzy klasy: 1) parzyste, t. zn. takie, które dadzą się podzielić przez dwa, nie stawiają temu żadnej zapory, są przeto synonimem nieograniczoności; 2) nieparzyste, t. zn. te właśnie, które temuż podziałowi stawiają opór, będąc zarazem czemś ograniczonem i 3) parzysto-nieparzyste, którą jest liczba jeden, nie będąca wszak parzystą, nie posiadająca jednak pewnych cech, które cechować powinny nieparzyste. Te bowiem, dodawane do kwadratu liczby dowolnej, powinny dawać nowy kwadrat, co jest rzeczywiście ważnem dla wszystkich z wyjątkiem liczby jeden. Weźmy bowiem szereg: 1, 2, 3, 4, 5..., wypiszmy ich kwadraty: 1^2; 2^2; 3^2; 4^2; 5^2; i dodawajmy do nich po kolei liczby nieparzyste, to dla wszystkich — z wyjątkiem „jednego" — otrzymamy nowy kwadrat. I tak: $1^2+3=4=2^2$; $2^2+5=9=3^2$; $3^2+7=16=4^2$; $4^2+9=25=5^2$; $5^2+11=36=6^2$; czyli po kolei: 2^2, 3^2, 4^2, 5^2 itd. Liczby parzyste zowią się (według świadectwa Arystotelesa) arthios arithmos a liczby nieparzyste magiczną nazwą gnomony. Można takich gnomonów wziąć, ile się komu podoba, i dodać do owej liczby granicznej, do jedynki — a zawsze

powstaną nowe kwadraty, czyli liczby jednego typu, podczas gdy jedynka, powiększona o liczby parzyste lub dwu gatunków, dać może wyniki rozmaite. I tak: $1+3=4=2^2$; $1+3+5=9=3^2$; $1+3+5+7=16=4^2$; $1+3+5+7+9=25=5^2$; znowuż po kolei: 2^2; 3^2; 4^2; 5^2; itd. gdy zaś dodamy $1+4=5$ (t. zn. liczba nieparzysta bez kwadratu); $1+3+4=8$ (t. zn. parzysta bez kwadratu); $1+2+6=9$ (t. zn. nieparzysta kwadratowa) i wreszcie: $1+5+10=16$ (parzysta kwadratowa). Pitagoras dzieli jednak tak liczby parzyste jak i nieparzyste na dalsze poddziały (po trzy w każdej klasie), znajduje bowiem dalsze jeszcze znamiona. A więc:

I. Liczby parzyste są:

1. artiakis artion; 2. perissaition; 3. artioperisson. Trudno te nazwy, wzięte z greckiego, spolszczyć, można jednakowoż opisać, jakie są właściwości liczb, tymi znakami opatrzonych. Do rzędu 1. należą takie, które dadzą się podzielić jakąś parzystą aż do jednostki np. $64:2=32:2=16:2=8:4=2:2=1$! Do rzędu 2. takie, które „dozwalają" się podzielić tylko dwójce na parzyste zaś następnej parzystej (wyższej) na nieparzyste — np. $12:2=6$ zaś $12:4=3$. Albo: $20:2=10$ — natomiast $20:4=5$[1]) a wreszcie 3. są te, które, podzielone przez 2, dają nieparzystą jak np. $6:2=3$. Pitagorejczycy zaliczają też nieraz do tego rzędu także jednostkę! Podział ten dokonany jest bezsprzecznie wedle zasady fałszywej, nie odpowiada bowiem wymogom logiki i nie obejmuje wszystkich liczb parzystych. Cóż należałoby bowiem zrobić ze sławną liczbą mickiewiczowską (44), jeśliby nam miało zależeć na tem, aby ją gdzieś umieścić w schemacie pitagorejskim? Nie zmieści się ona w żadnej z grup wymienionych!

II. Liczby nieparzyste są:

1. Liczby dziś t. zw. pierwsze, nie mające żadnego podzielnika, prócz 1 i siebie, więc: 3, 5, 7 i t. d. (proton kai asynthe-

[1]) Tę grupę interpretuje Zeller (Philos. der Griechen) I. str. 366, fałszywie.

ton); 2. liczby, będące iloczynem kilku innych prostych, jak: 9, 15, 21, 25, dające się przeto podzielić; (deuteron kai syntheton), wreszcie 3. takie, które brane oddzielnie są podzielne, których stosunek do siebie jest jednak — jak się wyrażamy — prosty. Np. 9 : 25. Nie potrzeba i tutaj specyalnej bystrości, aby dostrzedz, że i ten podział jakoś nie bardzo się udał.

Minęło już wprawdzie 26 wieków od czasu, kiedy łamano sobie głowę nad takiemi cechami liczb i umysł ludzki rozwinął się tymczasem do tego stopnia, że nie bardzo jest skłonny do traktowania tych liczb jako rzeczy, albo pewne siły czy organizmy — a jednak i dziś zaprzeczyć się nie da, że rozważanie zagadnienia, czy jakieś „10“ „dozwoli się“ rozłożyć liczbie „2“ czy też stawiać jej będzie „opór“; czy „16“, które da się podzielić do końca (t. zn. do „1“) przez liczbę „2“ nie jest przecież inne, doskonalsze np. od swojego sąsiada: „15“ i t. d. przecież nasunąć może myśl, iż jedne liczby są „gorsze“, inne są „lepsze“; jedne np. pewnym procesom „pomagają“, inne są jakby „martwe“ i „leniwe“. I tak zupełnie niepostrzeżenie można przejść do poezyi liczbowej, którą od czasu Pitagorasa tylekrotnie już uprawiano, a której on dał właściwy początek. Sądził więc, że w liczbach parzystych przewagę ma liczba: „2“, a w liczbach nieparzystych „1“. Ponieważ liczby to są właściwie „rzeczy“, co więcej, raczej „rzeczy“, aniżeli to wszystko, co mianem tem zwykliśmy określać, gdyż one im dają początek, nic więc dziwnego, że cały „wszechświat“ posiadać musi cechy wymienione. Cokolwiekbądź jest w znaku jedynki, jest: stałem, boskiem i niezniszczalnem; w znaku dwójki wyrażać się muszą rzeczy ludzkie, zmienne i znikome. Pierwsze są czemś czynnem, a utworzona z nich nieparzystość jest pierwiastkiem męskim, drugie są tylko bierne, a pochodząca z nich parzystość jest elementem kobiecym. Czyż nie widać tu zawiązków dualizmu, tj. zapatrywania o dwu zupełnie odmiennych stronach bytu, które przechodzić miało we filozofii aż po dni dzisiejsze tak rozmaite koleje, a wzięło swój początek w zaobserwowaniu różności, jaka zachodzi między dwiema płciami: mężczyzną a kobietą? Myśl tę:

czynności i bierności podjęli dwaj najwięksi filozofowie greccy: Plato i Arystoteles, pierwszy przez przeciwstawienie świata idei rzeczom ziemskim, na podole płaczu bytującym, drugi przez rozdzielenie bytu na formę jako zasadę żywotności i materyę, tj. tego, co ma być kształtowane. Nie pozostała owa myśl bez wpływu także na pokolenia następujące, a i dziś jeszcze, wyrzucana przez drzwi poznania, wciska się oknem etyki i moralności!

Cóż się dzieje, jeżeli mężczyzna i kobieta zapłoną ku sobie miłością i złączyć postanowią swoje losy we wspólnem istnieniu? Wchodzą w związek małżeński, czego wyrazem w dziedzinie liczbowej jest liczba: „5", jako połączenie liczby męskiej i kobiecej! „Co związano na ziemi — związanem zostało w liczbach"— oto twierdzenie biblii pitagorejskiej. A w ślad za tem pójdą już i inne twierdzenia. „Jedynka" jest czemś, co trwa, co jest stałem i niezachwianem, jest przeto „rozumem", który w swym biegu wyłania ze siebie „coś innego" — wtedy właśnie, kiedy myśli i wydaje sądy. Musi stać się zatem „dwójką", aby odźwierciedlić „mniemanie". „Czwórka" powstać może z „dwójek" w sposób dowolny, mnożeniem czy dodawaniem, w porządku na wynik nie wpływającym, jest więc symbolem sprawiedliwości, uznającej usprawiedliwione prawa każdego składnika. Jest jeszcze jedna liczba w łonie pierwszej dziesiątki, t. zw. dekady, która ma dla Pitagorasa olbrzymie znaczenie, której sława i „ważność" przetrwała zresztą całe wieki i która miała odegrać olbrzymią rolę w zakresie podań i legend, dostępując nawet godności pasowania na literę „boską"! Jest nią: siódemka. Być może, że już codzienna obserwacya astronomiczna zmian księżyca była dla ludzi starożytności powodem, dlaczego stosunkowo wcześnie włączono ją w zakres rozmaitych pomysłów i pomawiano o różne czyste i nieczyste sprawy. Faktem jest, że Biblia zajmuje się nią ze szczególną predylekcyą, ma ona nawet dla Boga pewne znaczenie, gdyż Bóg dnia siódmego odpoczywa i toż samo ludziom uczynić przykazuje. Świątynia jerozolimska posiada siedm słupów, lichtarze siedm ramion, niewolnik żydowski odzyskuje w siódmym roku swoją wolność, a nawet sprawiedliwy może siedm

razy w dniu zgrzeszyć. Nie mówię już o tem, że Faraon śni o siedmiu krowach, a i my skarżymy się często na siedm boleści i pociechy szukamy w strapieniach naszych, rozpamiętywując siedm słów, przez Chrystusa na krzyżu wyrzeczonych. Wreszcie wiemy, że istnieje Siedmio-gród, Siedmio-góra w okolicy Bonn, a także na Syberyi oglądać można miasta o „siedmiu bramach" — których jest jednak tylko pięć! Pitagoras nie poszedł jednak w swoich rozważaniach za śladem obserwacyj fizykalnych, ale zwrócił swoją uwagę na liczbę siedm właśnie z punktu widzenia interesu matematycznego. Wszakże liczba ta posiada pewne ciekawe właściwości, których nie wolno lekceważyć. Przedewszystkiem jest jedyna w całej dekadzie, która ani sama nie jest czynnikiem dla innych ani z nich się nie składa. Ma zresztą jeszcze jedną właściwość, która także nie może być „bez znaczenia". Napiszmy sobie szereg:

1, 2, 3, **4**, 5, 6, **7**, 8, 9, 10.

i przyjrzyjmy się liczbom podkreślonym. Liczba „4" jest od początku tak samo oddalona, jak liczba „7" od końca. Jeżeli uwzględnimy, że 1+3=4; 4+3=7; 7+3=10, zaczniemy podejrzywać, czy też nie ma ona czegoś wspólnego z tak zw. „średnią arytmetyczną"? I rzeczywiście „4" (a) jest wobec „1" i „7", tak samo rozmieszczonem, jak „7" (b) wobec „4" i „10" gdyż: 1—a=a—7; albo: 4—b=b—10; co znaczy po prostu: „4" jest średnią arytmetyczną między „1" a „7", zaś „7" średnią między „4" a „10". Mamy już tedy „dostateczny" powód, aby zająć się nią szczegółowiej, tembardziej, że „4" naszej opieki już nie potrzebuje, gdyż ma swoją określoną rolę we wszechświecie, którą powyżej przedstawiłem. I staje się ona tedy liczbą „dobrego znaku", króluje w astronomii i „włada" księżycem.

Zresztą rola owej „czwórki" nie jest jeszcze — zdaniem Pitagorasa — ukończoną. I jakżeż tak być może, skoro ona jest pierwszym kwadratem i skoro dodawanie pierwszych czteru liczb: 1 + 2 + 3 + 4 daje na sumę dziesięć, ową dekadę świętą, dla której nawet Arystoteles ma taki szacunek, iż właśnie nie komu innemu tylko jej przypisuje wszelką wie-

dzę, jaką mieć możemy. Jest ona dla pitagorejczyków tem, czem była na przełomie starożytności dla ich naśladowców p r a - j e d n i a: panią i mistrzynią wszechbytu. Dlatego też Pitagoras jest sławiony i czczony przez swoich wyznawców jako objawiciel „tetraktysu", który tajemnicę wydarł bóstwu i światło przyniósł na ziemię, jak Prometeusz natchniony.

Naturalną konsekwencyą tego zapatrywania była myśl, że trzeba wszystko wyprowadzić z tej d e k a d y, a zadania tego podjęli się właśnie pitagorejczycy. Sprowadzili oni przedewszystkiem całość bytu do schematu „dziesięciu przeciwieństw", z których, jak z chaosu, wyłania się wszystko, co istnieje, które to „tablice" my jednak raczej jako chaos „logiczny" uważaćbyśmy skłonni, zasada bowiem podziału, w nich przeprowadzonego, jest— bez żadnej zasady! Oto ich nazwy:

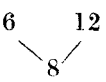
1) ograniczoność - nieograniczoność; 2) nieparzystość - parzystość; 3) jedność - wielość; 4) prawo - lewo [1]); 5) męski - kobiecy; 6) spoczynek - ruch; 7) proste - krzywe; 8) światło - ciemność; 9) dobro - zło, a wreszcie 10) kwadrat i czworobok!

Wyrównywanie tych sprzeczności ma się dokonywać w h a r m o n i i, którą byli odkryli w stosunku liczbowym, jaki zachodzi między długościami strun jakiegoś tonu do jego oktawy, wyrażającego się — jak wiadomo — liczbami 1 : 2. Oddawano się tedy ze szczególnem zamiłowaniem wszelkiemu badaniu na temat stosunków liczbowych oraz ich połączeń, a cała niemal dzisiejsza wiedza o p r o p o r c y a c h była im znaną w zupełności. Dość wspomnieć, że oni pierwsi zwrócili uwagę na t. zw. ś r e d n i ą h a r m o n i c z n ą, która wiąże trzy takie liczby, jak: 6, 8, 12 ze sobą. Polega ona zaś na tem, że 8 jest o takąż samą część ze

---

[1]) Lewa strona jest tu zestawiona w tym samym rzędzie, w którym mieści się np. nieograniczoność (jako synonim parzystości), wielość, kobiecość, ciemność, zło, wogóle coś, co jest m n i e j d o s k o n a ł e m. Już tedy tak dawno przed nami uważano, że „lewa" strona ma w sobie coś złego, a P l u t a r c h zakazuje wprost kładzenia nogi lewej na prawą jako czegoś, co nieszczęście może przynieść. Jest kwestyą, czy znany nakaz „przyzwoitości" niekładzenia nóg na sobie, nie pochodzi w gruncie rzeczy z przesądu, a co za tem idzie, czy wiele obecnych „reguł" i „przepisów" nie ma podstaw doświadczalnych!

sześciu w i ę k s z e, niż 6 o jaką część z dwunastu jest ono m n i e j s z e, niż 12. Jest bowiem:



gdzie $6+6^1/_3 = 6+2 = 8$ a także $12 - 12^1/_3 = 12 - 4 = 8$; w obu tedy wypadkach wchodzi w rachubę jednaki ułamek $^1/_3$. Nazywają ją zaś h a r m o n i c z n ą z tego powodu, że też same liczby 6, 8, 12 odgrywają także rolę w harmonii. Albowiem 6 : 8 jest stosunkiem (częstości drgań) primy do kwarty, 8 : 12 primy do kwinty, a 6 : 12 primy do oktawy. My ustawilibyśmy dziś wzór na ów stosunek harmoniczny dla liczby jakiejś **s**, zawartej między **a** i **b** we formie następującej: a: (s — a) = b: (b — s), przyczem **a** i **b** byłyby znane zaś **s** w łatwy sposób wyliczyć się dające.

Zauważyli zresztą pitagorejczycy, że wymienione trzy liczby występują także w bryle, mianowicie t. zw. sześcianie, który ma 6 ścian, 8 naroży, a 12 krawędzi, dlatego też nie omieszkał jeden z nich (Philolaos) nazwać tej bryły poprostu: h a r m o n i ą wprawdzie nie arytmetyczną, tylko g e o m e t r y c z n ą. Bryła ta była uważaną jako „doskonałość“ i posiadała swoje siostrzyce, znane dziś pozostałe cztery bryły r e g u l a r n e czyli p l a t o ń s k i e, nie mogła jednak wchodzić w zawody z ciałem „najdoskonalszem“, tj. kulą, która jako taka „musiała“ być kształtem ziemi. I znów widzimy prawdziwy wniosek, wynikły przypadkowo z zupełnie mylnych przekonań o jakiejś doskonałości formy, w tym wypadku: kuli. Nie zawsze się jednakowoż takie rozumowanie pitagorejczykom udaje. Wychodząc z poszanowania dla uwielbianej przez się dekady, twierdzą np., że musi być dziesięć ciał niebieskich, a kiedy obserwacya wykazywała ich tylko dziewięć, nie wahają się i stwarzają naprędce dziesiąte, t. zw. p r z e c i w z i e m i ę (antichthon), której wprawdzie nie widzimy, która jednak być musi, bo — nie byłoby ich dziesięć!

Wspomniany Philolaos — pitagorejczyk odnosił zresztą bardzo często spekulacye matematyczne do brył, a te znów włączał w zakres zagadnień o wszechbycie. Tak jak „jedynka“ jest pun-

ktem, „czwórka“ bryłą i t. p., tak składniki wszystkich rzeczy na świecie, pra-cząsteczki (atomy) posiadać będą pewne kształty przepisane, wzięte oczywiście z brył „najdoskonalszych“. W historyi filozofii przyjmuje się, że pierwszym, który starał się we formie pozornie naukowej wyprowadzić cały świat z czterech tylko pierwiastków (ziemi, powietrza, ognia i wody)[1]) był filozof i pierwszy wogóle chemik Empedokles z Agrigentu, który żył w V w. przed Chr., a którego nauki dostały się dość wcześnie do szkoły pitagorejskiej, gdzie je poczęto na znany nam już sposób obrabiać. Ponieważ jednak głównie uczniowie Platona — a i on sam także — sprawą tą gorąco się zajmowali, przeto poświęcimy z kolei tej kwestyi naszą uwagę.

(C. d. n.)

Dr. Leopold Wołowicz.

---

[1]) Myśl ta była jednak dawniejszą, wyrażała się bowiem we fizyce ludowej nietylko u Greków ale i Hindusów, a utrzymywała się stosunkowo bardzo długo. Jeszcze w XVIII. w. naszej rachuby musiał Lavoisier, twórca chemii nowożytnej, walczyć przeciwko niej z trudem niemałym.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Krytyka literacka ostatnich lat.

Czasopisma: „Życie“ i „Chimera“. — *Chmielowski Piotr*: Współczesna krytyka literacka. — *Feldmann Wilhelm*: Współczesna krytyka literacka w Polsce. — *Brzozowski Stanisław*: Współczesna krytyka literacka w Polsce. — *Brzozowski Stanisław*: Legenda młodej Polski. — *Antoni Potocki*: Polska literatura współczesna.

Niewdzięczną, choć ważną, bywa rola krytyki literackiej. Niewdzięczną zwłaszcza w okresach przejściowych, kiedy nowy jaki kierunek w sztuce toruje sobie drogę do myśli zbiorowej, bezwzględnie i jednostronnie rugując przestarzałe we własnem mniemaniu poglądy. Zaciekłość walki oślepia i ogranicza bystrość widzenia prawdy; przez to ubliża powadze doraźnych sądów, jakie się w tych okresach zwykle odbywają. Ostrowidze nie rodzą się na kamieniu. Stąd wraz z wrzeniem w łonie sztuki powstaje zazwyczaj zamęt w krytyce. Tak było i u nas przed laty kilkunastu, to jest wówczas, kiedy t. zw. modernizm w pojęcie i treść literatury wplótł nowe wartości. Czyż mogła wtedy u nas powstać jakakolwiek szkoła krytyczna? Czy choćby na krótką metę można było przewidywać ustalenie się jakichkolwiek podstaw krytyki? Zarozumiałość, gniew i pogarda dyktowały wyroki potępienia dla jednych, sztuczny zapał, ślepe uwielbienie i zuchwała pewność wieńczyły drugich. Odkryjmy na chwilę karty Życia i Chimery. Życie wystąpiło pierwsze i zasadniczo: w szeregu artykułów, pisanych przez Quasimodo (Artura Górskiego) p. n. Młoda Polska, podjęto analizę duchowości polskiej dawnej a przyszłej. Właśnie wtedy Stanisław Szczepanowski ogłaszał swe studya, zebrane później w całość.

Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych. Dowodził żywotności katolicyzmu i twierdził, że „Polska będzie katolicką albo jej nie będzie". Właśnie wtedy prof. Zdziechowski Maryan, powołując na świadków Ruskina, Sekretana i Hello, wzywał do kultury ideału moralnego w sztuce. Przeciwko nim uzbroiło się Życie przez wywody Górskiego i Jellenty. Pierwszy rozumował tak:

Nawraca się u nas ku pojęciom i wierzeniom, które ongi miały swą piękną przeszłość, wykonywały władzę nad duszami, dziś jednak utraciły panowanie nad umysłami; odbiera się duszy możność wyższego kulturalnego rozwoju, gdy się ją odgradza od przyrody, która jest źródłem odrodzenia i przedziwną siłą twórczą; narzuca się duszy teoryjkę, odbierającą swobodę badania; nakłada się więzy psychiczne, do jakich skłonne warstwy o starej kulturze obyczajowej, jak właśnie szlachta katolicka. Ponieważ taka „tradycya" i taki „duch narodowy" łamie młodą duszę współczesną, przeciwstawia ona szlacheckiemu katolicyzmowi swobodny przejaw indywidualności w sztuce. Rozumowanie to, dość jeszcze ostrożne, rozwija bez ogródek Cezary Jellenta w artykułach: Proces moralny, ujmując system etyki młodych w trzy punkty wytyczne: należy zrzec się widoków i pretensyi do bezwzględnej powagi; zapewnić społeczeństwu samorzutny postęp moralny; przyjąć czysto przyrodniczy, ziemski rodowód nakazów i popędów moralnych. Te same tezy kodyfikuje równocześnie w Confiteor Przybyszewski, popiera je w Pałubie Irzykowski, genetycznie w związku z filozofią i estetyką europejską rozpatruje w dziele Dobro i zło Kurnatowski. Takie zasadnicze stanowisko Życia nie przekonało atoli ogółu: pozostał on chłodnym na propagandę nowej etyki i odwrócił się od Życia, które zagasło, przekazawszy spuściznę nowych haseł warszawskiej Chimerze. Miriam (Zenon Przesmycki) zapewnił Chimerze artystyczne oblicze, odsunąwszy pokusy społeczności, nowej etyki i t. p. Zajął się głównie literaturą, w szerszym zakresie sztuką. Sam poeta, gruntowny znawca piękna i cięty stylista, skupił w wydawnictwie całą rzeszę młodych talentów, a w dziale krytyki przyjął dwa środki: w Glossach bez miłosierdzia smagał każdy pojaw literacki, uznany przez siebie za mierność; w artykułach szerzył nowe prawdy — estetyczne i literackie. Stał się tedy pierwszym u nas i jedynym znaczącym teoretykiem modernizmu.

Ale jako naczelny bojownik modernizmu ulegał i Miriam odwiecznym zwyczajem pionierów słabości: był bezwzględnym w naganie i w pochwale. Ton, w jakim odpiera przeciwników lub zwalcza mier-

notę, urąga spokojowi i powadze. Przykłady. Glossa w drugim numerze Chimery daje odprawę recenzentom pierwszego jej zeszytu. Ogółowi ich zarzuca ignorancyę zupełną w rzeczach sztuki i literatury, zdziecinnienie w myśleniu i wnioskowaniu, gruboskórność w estetyce. Adam Krechowiecki — jeden z krytyków — maluczki duchem i nieuczciwy, bo fałszuje cytaty, przeto pogarda mu — to motłoch, to denuncyant, to cham... Ksiądz-recenzent w „Przeglądzie katolickim“ jest ignorantem, popełnia błędy gramatyczne, pisze „niesłychanie dowcipne bzdurstwa“, jest nieukiem, „kłamie świadomie“, twierdząc, że pierwszy akt Axela „pełen najstraszniejszych i najszkaradniejszych inwektyw przeciwko zakonnemu życiu“; oszczerczym jest jego zarzut niemoralności przeciw poematom Kasprowicza; sam on jest „duszą zepsutą...“.

Glossa żali się, że recenzye pisały się „z pianą na ustach“ recenzentów; pienią się też usta, takimi argumentami odpierające poczynione zarzuty. Ale to gorączka sporu: unieść się i krew zimną stracić może w gniewie każdy. Jak Chimera mówi o sobie i o innych, gdy się nie gniewa? Po półtorarocznem istnieniu Miriam ocenia Chimerę w ten sposób: Zawarła ona tyle dzieł szczerego, głębokiego natchnienia, tylę kapitalnych tworów ducha ludzkiego, że żadne czasopismo nie tylko u nas, ale i za granicą w przeciągu dwakroć i nawet trzykroć dłuższego czasu takiem żniwem się nie pochlubi. Czyni ono sześć wydanych tomów skarbnicą, z której nie tylko dziś, lecz i jutro i dalekie pojutrza czerpać będą. Ona obdarzyła piśmiennictwo polskie kolosalną postacią Cypryana Norwida; ona ogłosiła spiżowe słowa Dygasińskiego, natchnione hymny Kasprowicza, utwory wysokiej piękności St. Brzozowskiego, Langego, Micińskiego, Wyrzykowskiego, ona była owem miejscem cudu, na którem olśniewająco objawił się Berent; ona odsłoniła w całej świetności pierwszorzędne talenty Komornickiej, Lemańskiego, Leśmiana, Wroczyńskiego, Zawistowskiej... Miriam przewiduje od większości kolegów po piórze zarzut: laus propria. Dziś, po latach piętnastu, nie czynię go; ma swoją wymowę, spis nazwisk powyższych; powie on wyraźnie, co było prawdą, co było złudzeniem. A jeżeli więcej było ułudy, niż prawdy, któż Miriamowi za okoliczność łagodzącą nie poczyta jego niezawodnej dobrej wiary?

W recenzyach — mówi on dalej — baczyliśmy, aby cechy omawianych dzieł i duchowe postacie ich twórców zarysowały się wyraziście, aby rozbiór godnego uwagi utworu uwydatniał jego związki z epoką i z najgłębszemi niezmiennemi podstawami sztuki, aby analiza faktu

była zarazem roztrząśnięciem pewnego zagadnienia, nie na dziś tylko mającem znaczenie...

I tak też się stało — niekiedy. Znakomita była np. recenzya dzieł Kasprowicza — pióra Miriama. Ale czy tak się działo — zwykle? Oto próby:

— W s z p o n a c h p. Wandy Grot-Bęczkowskiej. Cnotliwie-filisterska, zmysłowo-idealna, buduarowo-sypialniana, różowo-błękitna-woda.

— B e z d u s z y przez Cecylię Walewską. Tytuł jest najzwięźlejszem określeniem...

W b i u r z e t e l e g r a f i c z n e m przez Matyldę Serao. Jedno z nielicznych zagranicznych rupieci, które powiększają domorosłe śmietnisko.

— P r z e k o n a n a przez A. Suszczyńską. Bezecna banalność, łączy się w tej ramocie z hańbą zgniłego języka! Świat oglądamy z five o'clockowej kanapy, zdobny poezyą „oka“ i „drażniących“ kostyumów. Tragedya Sroki.

— S z k i c e z p a m i ę c i przez Kaz. Witte'go. Mazanie ślimaka śluzem po piasku.

Prawda — nie brak tym recenzyom wyrazistości rysunku, ale brak dalszych zapowiedzianych warunków rozbioru.

Uwzględnia je C h i m e r a w specyalnych artykułach krytycznych i tym przyznać się godzi dzielność myśli. Takie artykuły, jak R o z s t r o j o w c y i z a m ę t o w c y, W a l k a z e s z t u k ą, W a l k a o S n o b ó w — bywały w negacyi jednostronne, napastliwe i namiętne, ale bywały też częstokroć i potrzebne i słuszne. Do klasycznych studyów należy doskonały przekład Emersona, studyum p. t. P o e t a. Chimera zawdzięczała go Miriamowi.

Po paru latach istnienia poszła C h i m e r a śladem Ż y c i a: znikła z widowni. Nikt jej nie odnówi piękna i zasługi. Silnie akcentując potrzebę ideału w literaturze, sama doń zmierzała wielkim wysiłkiem dobrej woli; utrzymywała się zawsze na górnym poziomie prawdziwej sztuki, była czujnym stróżem na progu świątyni sztuki i zazdrośnie strzegła wejścia do niej wszystkiemu, co uważała za niegodne.

Ale wysoko niosąc sztandar piękna, za mało dbała o prawdę. Nie piękno samo, lecz piękno i prawda i dobro jednoczyć się winny. Krasiński nazwał poezyę „matką piękności i zbawienia“; Krasiński potępił poetę, „przez którego płynie strumień piękności, lecz który sam nie jest pięknością“. A prawda naszej sztuki polega na jej wiekami uświę-

conym związku z duchem narodu. W okresie romantyzmu europejskiego powiedział genialny pisarz: „Głos tych, których już niema, mówi często słodkimi szeptami do tych, którzy łączyć umieją wiarę ze wspomnieniem. Głęboko głuche jest to serce, na które daremnie wołają lary w tajemniczem milczeniu bezludnego domu". Żyć z teraźniejszością i żyć z przeszłością narodu swego — to główny nakaz polskiego artysty, to główne przykazanie polskiej sztuki. Nie przestrzegała go Chimera i nie wzywała doń jej krytyka. A ponieważ spółcześnie w duszy zbiorowej czy to dzięki potokowi wypadków z lat 1904—6, czy też dzięki wpływom Szczepanowskiego, Sienkiewicza i Wyspiańskiego miłość przeszłości i samopoczucie narodowościowe potężniało, przeto bojowniczce czystej sztuki, Chimerze, zabrakło gruntu pod nogami. Gdyby zatem nawet mogła wypełnić swe zadanie do kresu, to i tak teorya jej estetyczna na wątłe powodzenie skazaną była, gdyż duch narodu odwróciłby się od niej z uczuciem: siedź w bańce własnych marzeń! Religijne, narodowe i społeczne tętno życia zbiorowego poczęło bić coraz żywiej. Stało się sprawą niezwłoczną, ażeby krytyka ujawniła swą rolę. Rozwinęła się dyskusya o zadaniach krytyki. Prawie równocześnie o współczesnej krytyce literackiej w Polsce wyszły trzy dzieła: Chmielowskiego, Feldmanna i Brzozowskiego [1]). Pierwszy, znany oddawna wyznawca metody H. Taine'a, niepospolity erudyt i historyk literatury, autor cennych, nieraz głębokich rozmyślań nad modernizmem, umysł pozytywny i jasny, nazbyt tkwił jednak w swym dawnym systemie filozoficzno-krytycznym, iżby zdołał zadowolnić bezwzględnych wielbicieli nowego kierunku w literaturze. Więcej miał na to widoków W. Feldmann. Redaktor postępowej Krytyki, ogłosił był już przedswem dziełem o krytyce poczytną książkę p. t. Piśmiennictwo polskie ostatnich lat dwudziestu (1902). Autor rozróżnia krytykę: utylitarno-społeczną, realistyczną, metafizyczną, moralistyczną, impresyonistyczną, subjektywną, historyczno-filologiczną. Podział sztuczny i bez naukowej wartości. Żaden krytyk z całą swą działalnością nie zmieści się w przeznaczonej dlań klatce po prostu dlatego, że krytyczne metody i środki, których jest wiele, zależą od dzieł twórczych, nie zaś od tego lub owego systemu filozofii, polityki, ekonomii

---

1) Chmielowski Piotr: Współczesna krytyka literacka.
Feldmann W.: Współczesna krytyka literacka w Polsce. Lwów 1905.
Brzozowski Stanisław: Współczesna krytyka literacka w Polsce. Stanisławów Warszawa 1907.

samego krytyka. Wtłaczanie więc szeregu krytyków w tego rodzaju klatki wywołało jednostronną i fałszywą ocenę ich działalności. Ale p. Feldmannowi o naukowość i gruntowność tej oceny nie chodziło; trzeba było niemiłych i niewygodnych ludzi pognębić, sympatycznych zareklamować. Nie zadaje sobie trudu rozbierania prac krytycznych Tarnowskiego, Spasowicza, Chmielowskiego, Tretiaka, Zdziechowskiego, Gostomskiego, Brücknera, Kallenbacha, Windakiewicza i t. d. Są to ludzie w dziedzinie krytyki polskiej najzasłużeńsi; p. Feldmann odmawia im nietylko jakiejkolwiek zasługi, lecz nawet kwalifikacyi do miana krytyków. Podług jego mniemania Tarnowski np. „nie wydobył z przeszłości literackiej narodu ani jednego dzieła, ani jednego autora". (str. 43). Zarzuca mu dogmatyzm i nietolerancyę, ale także „formułki dydaktyczne, szkolarskie tendencye moralizatorskie", tępe odczuwanie w dziełach twórczych „wibracyi uczucia, czynnika muzycznego". Chmielowskiego nazywa „tylko historyografem i zbieraczem dokumentów literackich" (str. 115). Wobec wymienionych okazują się geniuszami krytyki polskiej według dzieła p. Feldmanna: Cezary Jellenta i Stanisław Witkiewicz. Tak zaprojektowawszy wymiary krytyków, nie zadaje sobie p. Feldmann wiele fatygi, aby naukowo uzasadnić teoryę krytyki wogóle i własne stanowisko filozoficzno-estetyczne. Filozofia i estetyka — to są umiejętności rozległe i wymagają dużego nakładu czasu i pracy dla zgruntowania; autor zaś jest nader wszechstronny w swej działalności literackiej: powieściopisarz i dramatyk, polityk i publicysta, wydawca i redaktor, krytyk literacki i działacz społeczny, nie ma czasu na zgłębianie systemów lub tworzenie nowego. Zaleca przeto „wczuwać się w utwór piękny, dać na siebie działać jego czarowi, zdawać sobie sprawę z tajemnicy jego wpływu, wgłębiać się w ukryte tajnie dzieła sztuki, odczuwać je i odtworzyć syntetycznie" (13). Jakkolwiek gdzieindziej dowiadujemy się od tegoż autora, że „krytyk musi objektywnie poznawać indywidualności drugich, potem dopiero przeciwstawić im swoje ja", to jednak na pozór niezgodne obie recepty nie przeczą domniemaniu, że p. Feldmann w krytyce hołduje zasadzie impresyonizmu. Dzieło sztuki ma się wyczuwać, własne wyczucia syntetycznie formułować, indywidualności twórcze ma się poznawać i swoje „ja" im przeciwstawiać. A oczywiście w takim razie wartość krytyki nie zależy od nauki i wiedzy krytyka, lecz od jego wnikliwości i uzdolnienia odtwórczego, od impulsywnej siły przeciwstawienia indywidualnościom artystycznym — no, i poniekąd od jego pisarskiego daru, a co podobno najważniejsze, od jego „ja", na które się zapewne

składają i naturalne uzdolnienia i nabyte przekonania. Wizerunek natomiast twórczości w oświetleniu takiego krytyka przesłania się, niby mgłą gęstą; nie jest on już przedmiotowym komentatorem sztuki, lecz staje się mocną przegrodą pomiędzy sztuką a czytelnikiem, narzucając temu ostatniemu własne j a.

Jakież jest owo j a p. Feldmanna?

Na to odpowiedź daje dzieło tego pisarza o literaturze polskiej lat dwudziestu, względnie pięćdziesięciu. Mam przed sobą akta procesu, wytoczonego z powodu tej książki autorowi przez krytyków i artystów: akta procesu i samoobrony. Oskarżał Jerzy Żuławski, Kazimierz Tetmajer, Jan Bełcikowski i najsurowiej Ignacy Rosner. Zarzuty dwóch pierwszych — aczkolwiek w niektórych momentach sprawiedliwe — zbyt są osobiste i zbyt namiętne, a stąd jednostronne. Mocno i nieubłaganie nacierają na krytyczną powagę autora P i ś m i e n n i c t w a Bełcikowski i Rosner, Brzozowski, Potocki i Herbaczewski. Posługują się biczem ostrego sarkazmu, wizerunek tedy musi być skrzywiony karykaturalnie. O taki mi nie chodzi; pragnę, aby był prawdziwy. Że p. Feldmann wielu ma niechętnych, to już jego sprawa. Powieściopisarz i dramatyk lubi analizę indywidualności i skutkiem tego cała struktura jego książki o literaturze wspiera się nie na rozbiorze dzieł, lecz na charakterystykach indywidualności. Sam temperamentu niespokojnego, nawet burzliwego, w stylu swym patetyczny i jaskrawy, w usposobieniu obcesowy, a równie zarozumiały, jak bezwzględny, w środkach niewybredny, nie umie przekonać, łacno zrazi, rzadko kogo porwie i mocą uczucia przesili. Nikt mu nie odmówi dobrej woli służenia literaturze; nikt nie odmówi wpływu na młode głowy, jeszcze nie skrystalizowane w swych poglądach na literaturę i sztukę. Ale w perspektywie czasu pierwsza jest małej wartości, drugi — tanim sukcesem. Jako wielbiciel i krytyczny apostoł modernizmu — nie służy mu pożytecznie. Dlaczego?

Wprawdzie w przedmowie do książki pisze, że „zbudowana jest na podstawie jednolitego, konkretnego poglądu na świat i wynikającego z niego poglądu na artyzm i stosunek do życia", ale ścisłego określenia tego poglądu i sam nie udziela i książka nie dostarcza. Lubi filozoficzne uogólnienia, szermuje niemi często, a owo własne j a, przeciwstawiane indywidualnościom, wydaje się czytelnikowi wciąż zmienianą maską. Rosner posądza go o racyonalizm i monizm [1]), p. Herbaczewski

[1]) Ignacy Rosner: Literatura p. Feldmanna. Kraków 1909, str. 24 i 24.

określa je, jako „krytykę mądrego rozumu“ i „wolnej myśli“ [1]), p. Brzozowski, ogólnie nazwawszy Feldmanna „niewolnikiem myśli postępowej“, oddaje niezachęcający komentarz: [2]) „Feldmann, przerobiwszy tyle różnych rzeczy we frazesy, przypuszcza, że w imię tych frazesów może przeciwstawiać się rzeczom samym: przezwyciężać marksizm, mówić o prawach twórczości — w imię bezkostności swego feljetonowego synkretyzmu“. Jako teoretyk modernizmu nie ma stałej zasady poza swoją postępowością, w różnych kierunkach i w różnych czasach zmieniającą oblicze. Zdawałoby się pozornie, że uznaje czystą sztukę, że wskutek tego kryteryum oceny stanowi dlań forma twórczości, ale bez trudu można udowodnić, że sztuce przypisuje też i moc organizowania życia. Postępowość nie wynika z tego źródła. Postępowym bywa chyba, jako sympatyk socyalizmu, jako wolnomyśliciel religijny, jako pogromca szlachty i żywiołu mieszczańskiego, lecz z estetyką i krytyką te przekonania niewiele mają do czynienia. Literatury dawnej nie zna, nawet jej nie lubi. Dla teoretyka krytycznego brak to zabójczy. Dlatego możliwy był zarzut, tylokrotnie mu czyniony, że ducha literatury naszej nie rozumie. [3]) Brak mu i odpowiedniego przygotowania naukowego do tego, brak mu i wrodzonego zmysłu, brak i czasu i ochoty. Nie wystarcza to, że Feldmann w dawnych prądach literackich — romantyzmie, realizmie i naturalizmie widzi dodatnie i ujemne strony, a dla modernizmu ma tylko miodowe słowa uwielbienia. Mało powiedzieć: „poezya polska stoi dzisiaj bez wątpienia na czele poezyi wszystkich ludów europejskich“; bez dowodu będzie to tylko frazesem, dla ogółu niemiarodajnym, dla poezyi — nieużytecznym. Mało powiedzieć: „przedewszystkiem jest młoda literatura moralną i zbawczą, ponieważ jest artystyczna“; mówiono to już na różne tony tysiąc razy — zawsze dotąd w pustkę. Ubogi to i płonny dorobek w dziedzinie teoryi modernizmu. Kto krytyce powag tyle poświęcał wysiłku w celu ich pomniejszenia, kto w tym wypadku za główny punkt ataku przyjął tendencyjność tych powag, oraz ich dogmatyzm, ten, zdawałoby się, powinien sam strzedz się i dogmatyzmu i tendencyjności. Prawda — p. Feldmann zmienny i nieuchwytny w swych przekonaniach i wbrew zapewnieniu w swym niekonkretnym światopoglądzie może uchodzić za krytyka —

---

1) Józef Albin Herbaczewski: I nie wódź nas na pokuszenie. Kraków 1910. Str. 112 i 108.

2) Współczesna krytyka literacka w Polsce. Stanisławów 1907, str. 175.

3) Dowodzi gruntownie p. Rosner, str. 32 i dalsze.

bez dogmatu; niemniej tendencyjnym bywa zawsze i w jaskrawy sposób. Jestto atoli tendencyjność dość taniego gatunku, fundamentem jej i dźwignią: „car tel est mon plaisir“ [1]). Fundament nawet tak dobry, jak inny, o ile krytyk imponuje głęboką i rozległą wiedzą, zrozumieniem duszy narodowej i ducha literatury, o ile jego pogląd na świat i na życie zdobył moc budzenia czci i zaufania u ogółu. Wówczas „mon plaisir“ krytyka nieraz już zadecydował o wyroku ogółu względem dzieła sztuki. W tym wypadku nie zachodzą podobne okoliczności. To też działalność p. Feldmanna, jako teoretyka romantyzmu, niewielkie ma znaczenie w perspektywie czasu.

O wiele głębiej sięga w istotę zjawisk literackich Stanisław Brzozowski. I on jak Feldmann wydał książkę p. t. Współczesna krytyka literacka w Polsce (1907), zanim w dziele p. t. Legenda Młodej Polski. Studya o strukturze duszy kulturalnej (1910) zajął się modernizmem; i on jak Feldmann, stałsię powieściopisarzem przez historyozoficzną książkę: Sam wśród ludzi; przedewszystkiem atoli był filozofem i krytykiem. Studya nad filozofią ścisłą wyrobiły w nim pochop do syntezy, natchnęły szacunkiem dla myśli i kultury Zachodu; długa przynależność do partyi socyalistycznej i udział w jej walkach zabarwiły sądy jego bezwzględnością i radykalizmem w atakach na wszelkie powagi. „Prawości umysłowej bardzo mało w Polsce“, „zastarzałe polskie nieuctwo“, „leniwa i niedbała uprawa polskich mózgów“, „ciasnota widnokręgów umysłowych“, „graniczące ze zdziczeniem zobojętnienie“ — oto epitety, nalepiane na treści polskiej umysłowości [2]).

Pominąc tego stanowiska Brzozowski, jako krytyk młodej Polski, w obu dziełach głębszy od Feldmanna, bardziej konsekwentny, prawie jednolity: ma swój pogląd na świat. Krytyka ma, zdaniem jego, zrozumieć „daną dziedzinę rzeczywistości, jako dzieła ludzkości“ i wyjaśnić znaczenie tych „form twórczych, których dziełem jest dana dziedzina rzeczywistości kulturalnej“. Może być krytyka: subjektywną, dogmatyczną lub objektywną. Subjektywizm w krytyce odrzuca: „to metoda wygodna, uwalnia od studyów, od sprawdzania wygłaszanych sądów“; „subjektywizm w krytyce jest unicestwieniem wszelkiej krytyki“ [3]). Dogmatyczną nazywa krytykę, która „rozstrzyga zagadnienia

---

1) Rosner, str. 45.
2) Legenda 156, 269 i inne.
3) Współczesna krytyka, str. 50.

wartości w imię jakiegoś ideału moralnego, sprawiedliwości, dobra itp.; w imię jakiegoś pojęcia o wzorowym ustroju społecznym lub też w imię jakiegoś ideału estetycznego, w imię jakiegoś wzoru piękna, wzniosłości“ [1]). Objektywizm wreszcie jest metodą społecznie wartościowego zużytkowywania swych wrażeń i uczuć subjektywnych — metodą społecznie najcenniejszą ze wszystkich, jakie są możliwe [2]). Zdawałoby się zatem, że Brzozowski, tak sobie uświadomiwszy zadanie i metody krytyki, przyjmie i zastosuje metodę objektywną.

Nie czyni tego.

Ma on oczywiście swój ideał; ale to nie jest ideał ani filozoficzny, ani literacki, ani estetyczny, tylko społeczny. Przytem objektywizm jego nie jest zgoła bez kompromisu. „Sądzić można tylko dzieła własne. Kto czuje, że twórcy dokonują jego własnej pracy, że dźwigają gmach, do którego dusza jego w bezsenne noce tęskni, ten jest krytykiem“ [3]).

Uzbrojony tedy w swój dogmat i metodę subjektywno-objektywną, potępia w czambuł wszystkich krytyków, o ile ich ideał i ich metody okazują się odmienne lub krańcowo przeciwne. Oczywiście i on najgwałtowniej i najnamiętniej bije w Tarnowskiego, Kallenbacha i Tretiaka, ostro uderza na Spasowicza, Brücknera, Zdziechowskiego, Gostomskiego; Chmielowskiego obsypuje, jak mistrz żaka nieudolnego, strofowaniem: „nie pojmował“, „nie zdawał sobie sprawy“, „nie rozumiał“, „nie przeczuwał“, „nie miał w sobie zrozumienia“, „nie był w stanie zrozumieć“ [4]); uznaje, jako „malum necessarium“ Chlebowskiego, Witkiewicza, Matuszewskiego, za doskonałość uważa: Ortwina, K. Krauza, Krzywickiego, Mokłowskiego. Skoro już to wiemy, nietrudno wyjaśnić dogmat krytyczny Stanisława Brzozowskiego, oraz jego ideał. W tej mierze wypowiada się on jednako i w książce o Współczesnej krytyce i w trzy lata później w Legendzie Młodej Polski. „Jeżeli nowa Polska, Polska ludowa, nie znajdzie myśli na swoją miarę, w języku polskim wyrażonej, przestanie być Polską“. Dziś zadaniem całej Europy „uczynić z pracy ludzkiej, jej wymagań, potrzeb, interesów, podstawę całej kultury, urządzeń prawnych, moralności, nauki, sztuki“. Oto jest „objektywny ideał naszych czasów“ [5]).

„Jeżeli nadal pokolenia młode przystępować będą do spuścizny

---

1) Współczesna krytyka: str. 17, 18.
2) Współczesna krytyka, str. 24.
3) Tożsamo: str. 135.
4) Tożsamo: str. 112 i dalsze.
5) Tożsamo: str. 55—6.

literackiej przeszłości przed wyjaśnieniem sobie stanowiska swego we współczesnem życiu, przed wyrobieniem sobie. podstaw przynajmniej światopoglądu, który byłby planem pracy dla tego życia, literatura klasyczna pozostanie nadal tem, czem jest, metodą wykrzywiania umysłów, szkołą nieszczerości moralnej". [1])

„Jedynie stawanie się i rozwój ludzkości mogą być miarą objektywnych naszych sądów i wartości. Materyalizm dziejowy staje się z tego punktu widzenia filozofią czynu, metodą i dyscypliną moralną w najszerszem znaczeniu tego wyrazu". [2])

Rozległem i szczegółowem uzasadnieniem tych myśli jest Legenda Młodej Polski.

„Zadaniem książki jest zbadać, w jaki sposób literatura przyczynić się może do zwycięstwa świadomości klasy robotniczej nad całym naszym ludem pracującym, w jakiej mierze przyczynić się może do przekształcenia Polski całej w wielki organizm pracy, samoistnie rządzący sobą". [3])

„Sprawcie — woła do pisarzy [4]) — niech myśl, urodzona w miejskiej klasie robotniczej, zawładnie polskiem włościaństwem, niech skojarzy się z ziemią, przepoi jej oddechem, skąpie w słońcu, rozszerzy, uspokoi, stężeje, a stanie się rzecz niebywała: nowy lud, nowa moralność, prawo, kultura. Nie w literaturze szukać Młodej Polski, lecz między fabrycznym młotem a chłopskim pługiem, między proletaryuszem-robotnikiem a polską chłopską wsią zaczyna się Polska".

„Młoda Polska — to właśnie ten mit ojczyzny swobodnej pracy, najdojrzalszego prawa, najpromienniejszej myśli, to jest to pobojowisko, na którem każdej chwili może stanąć myśl, dusza, cała istota każdego z nas, by w słońcu walki kuć dla swych najgłębszych tęsknot, dla swej wewnętrznej swobody nie baśniowe, lecz rzeczywiste z ciała i krwi zwycięstwo. Praca dla Polski swobodnych robotników albo bezpłodne przemijanie: życie pełne znaczenia i treści, życie twórcze i zwyciężające lub beznadziejne błąkanie się wśród rozkradających duszę upiorów". [5])

Co są owe upiory — Brzozowski wyświetla długo i szeroko. Według niego „życie wytwarza zawsze całą treść psychiczną, niema i nie może w niej być nic innego prócz tego, co życie wytworzy". „Materya,

---

1) Współczesna krytyka: str. 64—5.
2) Tożsamo: str. 18.
3) Legenda, str. 58.
4) Legenda, str. 57.
5) Legenda, str. 135

energia, Bóg, eter, nieskończoność — jest zawsze tylko z n a s i p o z a n a s nie prowadzi. Są to różne formy antropomorfizmu". Kościół nauczа, że istnieje świat pozagrobowy, byt niezależny od wytwórczości materyalnej na ziemi. „Kościół jest systematycznem rozwinięciem typu współżycia ludzkiego, nie opartego na wytwórczości". [1]) Trzeba ścigać bezlitośnie we wszystkich jej formach myśl dawną o gotowym świecie. [2]) Życie tworzyło się poza świadomością i nauką Kościoła. „Gdy myśl jest wytwarzana przez sfery, nie biorące udziału w pracy i tworzeniu, treścią jej staje się skamieniała bezczynność i pustka. Dzisiaj katolicyzm oficyalny jest takim martwym ciężarem, leżącym na życiu. Mówi się, że jest on tem, co nas łączy z Zachodem ; połączenie to prowadzi od jednych pobielanych grobów do innych : są to kurytarze pomiędzy kryptami, pełnemi zaduchu i zgnilizny. W życiu naszem martwy ciężar katolicyzmu zagłusza całe obszary psychiczne i społeczne. [3])

Należy zburzyć pojęcia o pozażyciowym gotowym bycie ; [4]) należy zarządzić „hurtowną wyprzedaż starego rupiecia" [5]).

Jasnym staje się ideał Brzozowskiego. Materyalizm dziejowy — filozofią czynu. Bóg — stare rupiecie. Objawienie i wiara w byt zagrobowy — rozkradający duszę upiór. Katolicyzm — martwy ciężar, leżący na życiu. Nowa moralność, nowe prawo, nowa kultura ma się budować na pracy i wytwórczości ogółu ludzkiego — dla przyszłego szczęścia czysto ziemskiego ludzkości. Polska ma stać się zwiastunem tego nowego objawienia dla ludzkości. W Polsce pionierami — robotnicy, którzy mają posiać nowe te hasła między lud. Robotników o konieczności tych haseł przekona i do czynu zawezwie młoda literatura. „Być Polakiem — musi się stać dla człowieka przywilejem, rzeczywistą mocą. Słowo polskie zwiastować ma myśli, do których nikt w świecie jeszcze się nie dopracował. To musi się stać. Musi, bo wy to uczynicie, pisarze polscy, wszystkie umysły polskie, cała przednia straż narodowa. Od woli waszej, tylko od waszej woli to zawisło".

Taki jest ideał i taki dogmat Brzozowskiego. [6]) Problemat pracy, jako czynnika twórczego, nie jest w literaturze naszej nowością. Nie co

---

1) Legenda : str. 70.
2) Tożsamo, str. 171.
3) Legenda, str. 83.
4) Legenda, str. 97, rozdział p. t. „Mity i legendy".
5) Legenda, str. 155, rozdział p. t. „Wyprzedaż starych zabawek".
6) Rozumiem Br. Chlebowskiego, że L e g e n d ę M ł o d e j P o l s k i powitał w warszawskiej „Książce" z niesłychanym entuzyazmem, wprost

innego miał na myśli Krasiński, kiedy wysyłając w 1835 r. swego Irydiona do „ziemi mogił i krzyżów", wołał doń: „Idź i czyń! Choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać, czyń ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, a zmartwychwstaniesz, nie ze snu, jako wprzódy było, ale z pracy wieków i staniesz się wolnym synem niebios". Nie kto inny też, jeno Krasiński około roku 1840 napisał pamiętne słowa: „W prostem, wieśniaczem plemieniu zaród wszystkich wielkości narodu". Nie co innego na naczelnem miejscu swego programu przed styczniowem powstaniem umieścił Korzeniowski, zwłaszcza w powieści Krewni; nie co innego głosili po 1863 r. i pozytywiści i stańczycy. Problemat zatem nie nowy. Nowością jest pozbawienie naszego życia przyszłego tych czynników, wśród których ono od wieków się rozwijało. „Nowa generacya młodych umysłów ujmie zagadnienie Młodej Polski z innej strony, za punkt wyjścia weźmie realne, zoologiczne widzenie Polski dzisiejszej wśród Europy i dążyć będzie z brutalną bezwzględnością do wydźwignięcia biologicznej wartości Polaka". [1]) O ile Brzozowski ma na myśli czyn zbiorowy w kierunku zdobycia niepodległości, ideał jego jest sprawiedliwy, lecz także nie nowy. Miał wielu apostołów, zacząwszy od Mickiewicza, Słowackiego, Ujejskiego, Romanowskiego, a skończywszy na Wyspiańskim. Żaden z nich jednak ze światopoglądu przyszłego Polaka nie wyrzuca ani Boga, ani religii, ani katolicyzmu, ani wiary w byt zagrobowy; żaden nie dyktuje ani nowego kodeksu praw, ani nowej moralności... I w tem Brzozowski nietylko jest krańcowo odmienny np. od Kajsiewicza z jego znanem porównaniem: narodowość polska — to obraz, wrośnięty w mur katolicyzmu; nie tylko krańcowo odmienny od Libelta z dziewiątem przykazaniem jego dekalogu; ale także krańcowo odmienny od Lutosławskiego i Szczepanowskiego. Z początku i końca XIX. wieku filozofowie, kazno-

---

jako ewangelię narodu. Nie szkodzi pamiętać o tem, że Brzozowski we Współczesnej krytyce polskiej odmówił wszelkiej wartości krytykom starszej daty — wyjąwszy Chlebowskiego, którego chwalił bez zastrzeżeń. Nie rozumiem zaś Gostomskiego. Ogłosił on w styczniowym zeszycie Sfinksa z 1911 r. artykuł o Legendzie p. t. Problemat pracy polskiej. Ogranicza się wyłącznie do wyjaśnienia problematu pracy i roli proletaryatu w organizacyi społecznej, milczeniem osłaniając resztę przesłanek Brzozowskiego. W świetle tedy artykułu p. Gostomskiego Legenda Brzozowskiego ma przełomowe znaczenie dla naszego zbiorowego życia. Takie oświetlenie idei trzeba uznać za nie odpowiadające jej intencyi.

1) Legenda, str. 305.

dzieje i społecznicy, najwybitniejsi i o rozmaitych zabarwieniach, ogromnie powołani do organizowania życia zbiorowego i sami ogromnie w organizowaniu tego życia zasłużeni, jak Libelt i Szczepanowski, przeczą p. Brzozowskiemu nie w tem, że praca jest wartością pierwszorzędną w dziele odrodzenia i nie w tem, że do wydźwignięcia biologicznej wartości Polaka z brutalną bezwzględnością trzeba dążyć, lecz w tem, że Bóg — to stare rupiecie, że wiara w byt zagrobowy — to rozkradający duszę upiór, że katolicyzm — to martwy ciężar. Jeżeli atoli w konstrukcyi Brzozowskiego ideał nienowy, a przesłanki tak nadzwyczajnie... nowe, to wielkiej na to trzebaby odwagi, iżby temu światopoglądowi wróżyć powodzenie.

Ojcem tego pomysłu był niezawodnie rozum, rozwaga i przemyślenie spraw narodowych. Dobra wola w świat go wysłała. Nie bez szacunku zastanawiałem się nad nim. Wielki pisarz powiedział niegdyś: „Rozwaga niekiedy wystarcza, żeby dobrze rządzić państwem, ale zapał tylko może naród odrodzić... lub zgubić". Hasło „rozumni szałem" wiodło nieraz już nasze wysiłki ku czynom. Jeżeli jednak pozbędziemy się w życiu i pracy odwiecznych czynników, z krwią przodków odziedziczonych i z pokolenia przekazywanych dotąd pokoleniu, to lękam się, że rozwaga i zapał otworzą nam wrota nie ku odrodzeniu, lecz ku zgubie.

W swoich wywodach o literaturze Młodej Polski Brzozowski wszystkich pisarzy i wszystkie dzieła traktuje dość konsekwentnie z tego punktu widzenia, jaki powyżej wyjaśniłem. Nie jest przeto estetykiem i krytykiem literackim w ścisłem znaczeniu słowa. Jest dogmatystą i tendencyjnym. Systemu krytycznego nie tworzy ani teoryi modernizmu. Podług niego Miriam i Chimera źle przygotowali inicyatywę nowej kultury. Podług niego Dzieje grzechu Żeromskiego były artystycznym czynem, Duma o Hetmanie tegoż była frazeologią, kompromisem. Podług niego najgłębszą spuścizną Wyspiańskiego był tragiczny żywot twórcy, przeświecający przez jego utwory. Są to orzeczenia równie przygodne, jak tendencyjne, osobiste i nieobowiązujące. Sprawdzian do przyjęcia lub odrzucenia tych orzeczeń nie leży w dziełach, lecz poza niemi — w przekonaniach społecznych i politycznych czytelnika. Taka miara oceny twórczości i talentów nie ma znamion długiego trwania. Można nad nią przejść do porządku dziennego i wyrazić tylko zdumienie, że sam dogmatysta i sam tendencyjny w sądzie o krytykach-poprzednikach nie umiał zdobyć się na ślad, znikomy choćby, objektywizmu. Radykalizm niektórych sądów o ludziach i dzie-

łach czyni nawet rażące wrażenie zacietrzewienia partyjnego i nienaukowości, wrażenie sadzenia się na dowcip, z mozołem wydobywany z głowy, zazwyczaj poważnej, nawet melancholią owianej. „Chociażby dziesięciu Apuchtinów kark skręcić miało na zrusyfikowaniu Królestwa, działalność galicyjskiej Rady szkolnej nie przestanie być skrytobójstwem, na duszy narodu popełnianem".

„Chociażby noc ciemnoty, którą roztacza Kościół nad naszem włościaństwem stała się jeszcze ciemniejszą, nie stanie się Kościół ten życie budzącem słońcem. Nie — zaiste nie, ale pozostanie wrogiem i przeszkodą".

„Chociażby list, pisany przez Sienkiewicza do Wilhelma był dużem upokorzeniem narodowem, to i ten cios jednak nie pogłębił psychologii Quo vadis i po nim, jak i przed nim nie udaje mi się na żaden sposób postawić tego autora obok Stendhala, Balzaka, Dickensa, Mereditha, Dostojewskiego, Tołstoja, Żeromskiego".

Z krwawą pogardą prawi o obskurantyzmie polskim, a zwłaszcza o specyalnej gwarze c. k. profesorów krakowskich on, który wzbogacił w Legendzie nasz język takimi kwiatkami, jak: demaskator, „coś zastanego", intoksykacya, bowaryzm, utopizm, rozhistoryczniona, rozsubjektywizowana i t. p.

Przysłowie o drzazdze i balu nieraz się przypomina.

W rok po Legendzie ukazało się dwutomowe dzieło Antoniego Potockiego p. t. Polska literatura współczesna[1]). Autor, niegdyś społecznik i nowelista, później krytyk literacki, zainteresował uwagę czytającego ogółu przed wysłaniem w świat dużego dzieła szeregiem ładnie pisanych studyów o indywidualnościach ostatniej doby. Można było tuszyć, że oczekiwana i zapowiadana wielka praca o modernizmie wyda plon cenny. Nadzieje zawiodły.

Autor obejmuje swem dziełem zjawiska literackie lat pięćdziesięciu: od r. 1860—1910.

Zapewnia u wstępu, że metoda jego jest jednolitą, a rękojmią jednolitości ma być „ścisłe przestrzeganie pokoleniowego następstwa grup i jednostek, pracujących dla literatury, oraz następstwa dokonanych dzieł". „Twórca i dzieło, rodowy, pokoleniami idący pochód istnień indywidualnych i koleją czasu postępująca ich krystalizacya — boski pierwiastek różnicy, we wszystkich pokrewieństwach obecny — oto założenie obrazu. Bezwzględna uczciwość w przedstawieniu tego, co człowiek i dzieło ma z tego pierwiastku — oto wykonanie".

---

1) T. I. Warszawa 1911, t. II. Warszawa 1912.

Spełniając tę zapowiedź, podzielił autor literaturę na dwie grupy zjawisk i pierwszą grupę od 1860—1890 zatytułował: Kult zbiorowości; drugą od 1890—1910 — Kult jednostki. Większą grupę podzielił na dziesięciolecia. Można to uznać za sztuczną konstrukcyę, powstałą w głowie krytyka i narzuconą literaturze. W każdym bowiem okresie są pisarze, którzy zbiorową duszę odtwarzają i w każdym okresie są, którzy samotni idą. Ładnie myśl tę uzasadnił niegdyś p. Potocki w swojem studyum o Konopnickiej. W okresie romantyzmu i poromantyzmu nie daliby się w kult zbiorowości wcisnąć ani Słowacki, ani Norwid, ani Berwiński, ani Faleński, ani Asnyk; w okresie modernizmu nie da się w kult jednostki wtłoczyć ani Reymont, ani Żeromski, ani Kasprowicz, ani Wyspiański. Takie zatem ujęcie jest i za obszerne i za ciasne zarazem — słowem nietrafne. Podział na dziesięciolecia jest już zgoła schematyczny. Autor w dziesięcioleciu np. 1860—1870 lub następnem wyśledza ogólny prąd dedukcyjnie. Potem rozgląda się w kształtach: powieść, dramat, komedya, poezya; wybiera z setki nazwisk autorów jakieś jedno — drugie nazwisko typowe; poświęca mu dłuższy artykulik, resztę zbywa krótkiemi określeniami albo wyliczeniem imion i nazwisk, albo nawet samych nazwisk bez imion.[1])

Zmiany w sztuce i życiu narodu nie odbywają się tak szybko. Pozostaje to w związku z wzajemnym wpływem dzieł, pisarzy i prądów. W zbiorowym potoku bystre oko niełatwo odróżni znamiona nowe wówczas, gdy obserwuje krótki przeciąg czasu. Z kolejnej analizy dziesięcioleci wynikło też powtarzanie zjawisk, monotonność spostrzeżeń, łamanie autorów na kawałki i duszna schematyczność.

Utrudnił sobie sprawę autor i tem, że usiłował ująć każdego pisarza w formułę. Najczęściej sam autor wynajdzie jakąś zasadę i wtłacza w nią pisarza. „Wszędzie dążymy do ustalenia wzajemnego stosunku indywidualności, wyrażonych w swem najbardziej charakterystycznym dla całej poezyi rysie". (II. 205).

Sienkiewicz przez cały ciąg swej pracy pisarskiej ma przed oczyma „pryzmat szlachetczyzny"; Prusa areną zapasów były „niziny społeczne"; Asnyka cechą główną jest „rezygnacya"; za cenę jej osiągnięta „harmonia"; „chłop" stanowi syntezę twórczości Dygasińskiego; Żeromski w pierwszem dziesięcioleciu twórczej pracy zamyka się

---

1) Str. 199, t. I. — 28 nazwisk z dodatkiem „i wiele innych". — t. I. str. 303—32 nazw. — t. I. str. 258—50 nazwisk, wyliczonych bez tchu, jedno za drugiem

w klatce z etykietą: „patos"; „daje wizyę Kalwaryi sumienia jednostki w służbie u zbiorowości"; na imię całości Reymonta w takiemże dziesięcioleciu jest „życie"; w twórczości Kasprowicza ton główny stanowi „pierwiastek bohaterski"; Zapolska „odsłoniła w das ewig weibliche, jak i w „mężkości" coś jak kłąb robactwa pod figowym listkiem" i t. d. Takie ujęcie pisarza w „symbol i indywidualność" wymaga kunsztu niewątpliwie, zwłaszcza jeżeli ma się do czynienia z tysiącem pisarzy; takie „ściąganie każdej charakterystyki do najtreściwszego jej wyrazu" (II. 181) metodycznie nawet uznania godne, ale wówczas, gdy się opiera na obrazie rozwoju talentu. Jeśli brak dowodowych przesłanek, wypływających z rozbioru rozwoju działalności — a u p. Potockiego brak tego wszędzie i zawsze — wtedy etykiety, nalepiane na pisarzach, podokresach i okresach muszą być przyjmowane na wiarę i odpowiedzialność — i w rezultacie tracą znamiona naukowości. Jakąż wartość naukową może mieć n. p. charakterystyka liryki z lat 1900—1910. „ściągnięta do najtreściwszego wyrazu": „oczyszczające się z wszelkiej konwencyi sensoryum psychiki pokolenia"? (II. 76). Albo też charakterystyka liryki polskiej od pół wieku: „jest brzmieniem jednej jedynej struny patryotycznej — na ton patetyczny z Ujejskim, rozpaczny z Sowińskim, zrezygnowany z Asnykiem, retoryczny z Konopnicką"? (II. 152). Jakże w to „ściągnięcie do najtreściwszego wyrazu" pomieścić T r z y s t r u n y Ujejskiego, W i d z i a d ł a lub S a t y r ę Sowińskiego, N a d G ł ę b i a m i Asnyka lub setkę różnych liryków Konopnickiej?

Skutkiem dociąganych do zasadniczej jednej tezy uogólnień zarówno okresów, jak podokresów, skutkiem równoczesnego usiłowania wciągnięcia w błędne koło wywodów wszystkich zjawisk literatury i choćby nawet małoznaczących nazwisk autorskich, — ulegli całkowitemu przeoczeniu, skróceniu do wzmianki o nazwisku lub wskazaniu paru dzieł jedni, z drugiej zaś strony rozpostarli się wcale szeroko wbrew istotnej zasłudze i znaczeniu — drudzy. Znikł z widowni Romanowski Mieczysław, znikł Berwiński Ryszard. Pominięcia pierwszego nie umiem sobie wyjaśnić, boć przecież lata 1858—63 w jego twórczości najważniejsze, a p. Potocki bada literaturę od r. 1860. Trudno uwierzyć, żeby nie czytał dzieł Romanowskiego, on, który rości daleko sięgające pretensye do powagi. A jeżeli czytał i jeżeli równorzędnym z tegoż czasu: Ujejskiemu i Sowińskiemu poświęca po stron parę [1]), czemuż lekceważąco zamilczał o Romanowskim?

1) I. 85—87; I. 87—89.

Łatwiej mi już wyjaśnić brak Berwińskiego. Wszak i on zmarł po 60 r. i nawet pisał po nim. Potocki dzieł jego oczywiście nie zna; mógłby się był o tym zajmującym autorze dowiedzieć z książki K. Jarochowskiego: Literatura poznańska. Na stronie 34 I. tomu czyta się nawet: „wiem o wielkiej zasłudze jedynego monografisty literatury w Poznańskiem K. Jarochowskiego"; ale owo „wiem o zasłudze" daje tem bardziej do myślenia, że Jarochowski z całym swym dużym wkładem naukowym po r. 1860, jako historyk — również pominięty. Tem dziwniejsza, że Szajnocha cieszy się względami p. Potockiego. W najosobliwszy sposób wliczony on został do „grupy krakowskiej w ściślejszem rozumieniu" [1]); uzupełnił, jako piąty, cztery nazwiska tej grupy: Szujskiego, Kalinki, Tarnowskiego i Koźmiana — on, którego arcydzieło Jadwiga i Jagiełło powstało przed r. 1860, którego cała naukowa praca poprzedziła historyczną szkołę krakowską. Szajnocha więc należy do grupy krakowskiej; Jarochowskiego, Berwińskiego, Romanowskiego brak, Kondratowicz wymieniony tylko z nazwiska, o Lenartowiczu cztery wiersze, tj. literalnie tyle, ile zajął druk paru tytułów, ale za to sute ustępy poświęcone Adamowiczowi, Eminowiczowi, Jabłczyńskiemu, Muellerowi, Runbakenowi, Nossigowi, Rufferowi, ale za to zabłąkał się tu i Daszyński, i Franko, i Winawer...

Przed trzema bez mała wiekami wydał Starowolski drugą u nas po Warszewickim historyę literatury polskiej, układając nazwiska pisarzy w porządku, koleją zasług i znaczenia. Pominął Reja, Miaskowskiego, Szarzyńskiego, Paprockiego, na końcu umieścił Kopernika i Szymonowicza, a wysunął przed nich Ujazdowskiego, Broniewskiego, Nerwickiego i innych. Było to w r. 1625. Ktoby uwierzył, że w trzysta lat po Starowolskim powtórzy się ten dziw w ocenianiu dzieł i pisarzy. P. Potocki we wstępie zapewnia o „bezwzględnej uczciwości". Wszystko pono względne na świecie, a dużej trzeba względności, gdy się mówi o ocenach p. Potockiego.

Uważa się on bowiem za ostatnią instancyę, za nieomylnego sędziego, powołanego z wyższych przeznaczeń do ferowania nieomylnych wyroków.

Staje on poza narodem i ponad ludźmi wraz z ich dziełami. Widzi ludzkość i „bezwzględne ludzkie wartości". Społeczność rozdziela na wewnętrzną i zewnętrzną (II. 399). Pierwsza — to dusza, druga — to ziemia, zwyczaje, obyczaje, instytucye i t. p. formy życia.

---

1) I. 35.

Młoda Polska za zadanie miała — przezwyciężyć w literaturze i życiu kult zbiorowości, a natomiast uświęcić kult jednostki. Dokonała tego zadania. Odtąd sztuka Młodej Polski stwarza „moralnego człowieka". Pełni rolę religii. Nie zajmuje się społeczeństwem. Cóż jest społeczeństwo? „Korpus żandarmeryi", „burżuazya", „kler", „wojsko", „arystokracya" — to typy społeczeństwa — i zawsze one stoją poniżej społeczności wewnętrznej. Nie może przeto „nakaz twórczości jednostki w postaci tendencyi przychodzić z zewnątrz" (II. 399). Tylko w społeczeństwie upośledzonem i zagrożonem literatura musi pełnić służbę publiczną.[1]) Nasze społeczeństwo XIX. w. o składzie „wpół-średniowiecznym" musiało się stawać społecznością nowoczesną i w niedoświadczeniu brało jedną z funkcyi, a względnie z grup, jak dawniej rycerskość i szlachetczyznę, za kryteryum stawania się.[2]) W duchowości polskiej zespół narodu i geniuszu miał przez długie lata szczególne zabarwienie społeczne. Literatura dawna rozszerzała się zakresem coraz to nowym, społecznym; literatura Młodej Polski pogłębia się kosztem twórcy samego.

Tak określa się stanowisko Potockiego wobec literatury dawnej i nowej, wobec jej stosunku i związku z narodem i życiem, wobec sztuki, twórczości, twórcy i dzieła.

Nowa sztuka stworzyła nowego człowieka, wyzwolonego, wraz z „przepływającym przez niego nurtem Tajemnicy", — przeto godna apoteozy.

Ale błąd zasadniczy tkwi w owem stanowisku poza narodem, w owem widzeniu „bezwzględnych ludzkich wartości". Potocki, zahipnotyzowany kultem jednostki, nie zdaje sobie sprawy, czem jest naród i narodowość. Nie „dusza" powinna być dla każdego polskiego twórcy źródłem natchnień, lecz dusza narodu. Ona to stanowi największy skarb biologiczny, owoc wiekowego życia narodu. Moc i energia duszy narodu rozstrzyga o jego losie. O ile w duszy jednostkowej płonie miłość i cześć ku temu narodowi, do którego należy, o tyle źródłem natchnień może być i dusza jednostkowa. „Którzy Polacy Polskę ganią, tacy ją najprędzej zgubią" — powiedział niegdyś Andrzej Maksymilian Fredro. „Naród — mówi ceniony przez p. Potockiego Mochnacki[3]) — nie jestto zbiór ludzi zamieszkałych na przestrzeni, określonej pewnemi

---

1) II. 154.
2) II. 155.
3) O literaturze polskiej w wieku XIX. Poznań 1863, str. 36.

granicami. Ale raczej istotą narodu jest zbiór wszystkich pojęć i uczuć, odpowiadających religii, instytucyom politycznym, prawodawstwu, obyczajom; a nawet będącym w ścisłym związku z położeniem geograficznem, klimatem i innymi warunkami empirycznego bytu".

„Przez narodowość — mówi Libelt [1]) — nigdy nie rozumiemy życia tegoczesnego pod wpływem nowej oświaty i nowych wyobrażeń, bo te się jeszcze w krew i soki narodowości nie zamieniły, ale rozumiemy życie domowe przodków naszych. Wszelka obczyzna jest zatraceniem narodu, a gwałtem do kraju wciskająca się albo naród zatraci, gdy był wątłego, bezsilnego ducha, albo sama przenarodowi się i w obyczaj narodowy zamieni, gdy duchowa potęga rodowa jest dość silna do przetrwania jej. Naród się kocha w obyczajach swoich. Jestto rozległa podstawa wszystkiej duchowości narodu. To tylko jest narodowe, co na tej podstawie, jak na tle, się odbija. Okrom tej podstawy niema narodowości".

A literatura?

„Wyrażenie ducha, wyciągnienie myśli spólnej na jaśnią, ogólna masa wszystkich razem wyobrażeń i pojęć, cechujących istotę narodu, stanowią literaturę tego narodu".

Naród, dawnych czasów nie mający w pamięci, to gałązka od szczepu oderwana, którą wiatr daleko odnosi na pustynię, gdzie uschnąć musi. Nie chodzi zgoła o to, żeby literatura pełniła służbę publiczną, chodzi o to, żeby się stała narodową. Według p. Potockiego literatura połowy XIX w., która szlachetczyznę brała za kryteryum stawania się, czyniła to z niedoświadczenia, gdyż należało czemprędzej przejść do „kultu jednostki". Nie wiem, czy z niedoświadczenia — nie chcę sądzić, ale wiem, że czyniła z przekonania. „W literaturze naśladowanej — mówi mądry teoretyk romantyzmu — zniknęła stara Polska. Pogasły były stare tradycye, pocichły wieści i powiastki, tak potrzebne każdemu ludowi i każdemu wielkiemu poecie, wielkiemu sztukmistrzowi". [2]) Teorya o nowym człowieku, czy nadczłowieku p. Potockiego, w imię której kruszy kopię w całym drugim tomie swego dzieła, jest zapewne tak godną uwagi, jak dziesiątek innych teoryi i teoryjek Feldmanna, Brzozowskiego i innych. Ale też i nic nadto. To znaczy, że jestem bardzo daleki od mniemania, jakoby ona stała się wielkiem h e u r e k a przyszłości. Po prostu dlatego, że jeżeli Młoda Polska położyła tę teo-

1) O miłości ojczyzny, str. 52—65.

2) Mochnacki. O literaturze XIX w., str. 92.

ryę jako fundamentalny kamień swej twórczości, to nie wzięła jej z duszy narodu, a zatem czeka tę teoryę los, przewidziany przez Libelta. P. Potocki jest wielbicielem większym tego, co obce, niż tego, co swojskie. To jego sprawa. Ale że usiłuje z nakładem wyższości wmusić ogółowi uznanie swej teoryjki za świętość — to warte dyskusyi.

„Poezya — mówi Potocki — jest jako matecznik energii narodowej, jest ona miejscem przemiany sił. Wszystkie, jak w soczewce, zbiegają się w duszy ludzkiej, która jest j e d y n y m tematem poety. O nią ma dbać i o nic więcej — przy niej nie zabraknie nigdy pracy, ona zaś zawsze stokrotnie odda życiu, co wypracuje w sobie...".

Ładne słowa. I nic nadto. Dusza bywa matecznikiem siły, ale i słabości, dobra, ale i zła. Bywa ona zbiornikiem woli najrozmaitszych: w działaniu mogą stać się czynnikami dobrymi lub złymi. Poezya może też stać się matecznikiem energii, lecz i marazmu. Dusza — to pojęcie oderwane, życie zaś tworzy się z faktów. Czyn poetycki, a czyn realny: dwie bardzo odmienne rzeczy. Kto tak pojmuje i tak określa zadania poezyi, niech milczy o wartości jej dla życia. Stałaby się ona bowiem minimalną przez takie ściągnięcie różnych założeń do najmniejszego wspólnego mianownika. Człowiek oburęczny np. oddałby niewątpliwie życiu wielkie zasługi, dla poezyi zaś pozostanie on nazawsze zapewne obojętnym.

Modernizm, za którym Potocki ogranicza sztukę wyłącznie do duszy, popełnia ten sam błąd, jaki popełniają dziś modernistyczni politycy. Jeden z nich, Kazimierz Tetmajer, utrzymuje, że „j e d y n y m obrońcą honoru niewolnego narodu jest jego żołnierz. To tylko frazes. Każdy rozumie, że honoru niewolnego narodu może bronić i nauczyciel, i kapłan, i sędzia, i ziemianin. Drugi, Stanisław Witkiewicz, twierdzi, że „Kozietulski ze swymi stu dwudziestu szwoleżerami więcej zrobił dla Polski, niż wszystkie fabryki, banki, młyny, założone przez Lubeckiego; koleje, budowane przez Kronenberga, niż wszyscy razem ludzie realni i trzeźwi". To także frazes. Polityka i życie — to sprawy realne, a także frazesy, głoszone i brane na wiarę powag, rodzą tylko zamęt w narodzie niewolnym. *A. Mazanowski,*

Polskie satyry wojenne.

(S t e f a n N o w i ń s k i: **„Gruba Berta".** Echa z lat 1915—1916. Z przedm. L. Szczepańskiego, Kraków, Gebethnera 1916).

Dziennikarstwo wymaga, a następnie i potęguje zdolności szybkiego obserwowania i ujmowania zjawisk życia społecznego, zaś nad-

miar trosk wywołuje wprost im przeciwne odruchy — humor i śmiech. Oto są źródła satyr Nowińskiego. Jego „Gruba Berta" jest zbiorem satyr wojennych, galicyjskich, krakowskich specyficznie — kalibru iście niezwykłego, ale lekką francuską woń raczej przypominającego, jak to słusznie zauważył L. Szczepański. „Bertą" nazwał autor swą książkę z wrodzonej przekorności. Jak Perzyński rozśmieszał Warszawę, tak Nowiński Kraków, a raczej zawstydzał go nieraz swoją satyrą, niby żartem, w którym przez łzy, maskowane śmiechem, sykał ból patryotyczny, zmysł zdrowego społecznika i szczerego miłośnika pozagalicyjskiej kultury. Wyraźny sentyment poetycki zdradza niby humoreska, „Ona". „To wszystko, co już było" omawia autor, zdałoby się obojętnie, zupełnie jak ów karp, który, smażąc się na patelni, mówił do siebie, iż „do wszystkiego się można przyzwyczaić — tylko cierpliwości"...

Wojna, która wszystko w życiu społecznem do góry nogami wywraca, uczyniła i z dziennikarskiej głowy Nowińskiego „dziurawy worek, przez który przesypują się pyłki wrażeń i udręczeń". A wrażeń tych moc i udręczeń „cywilnych" co nie miara. Według nich notował sobie echa pozafrontowe, na ich podstawie wyliczał za alfabetem litanię wszelakich naszych braków, broniąc awansującego, choć pogardzanego kartofla. Powiada on między innemi: „Setki komunikatów, odezw, apelów itp., zamieszczanych przez pisma, są zwierciadłem bezpotrzebnego używania armaty na wróble, t. j. wielkich słów do małej treści". O satyrach zaś jego przeciwnie można powiedzieć, że choć je nazwał armatą i to tak grubego kalibru, przecież mówił w nich o bolączkach i zjawiskach codziennego szarego życia Krakowa czasu wojny, ale czynił to nie w wielkich i namaszczonych retoryką słowach, jeno w żartach i słówkach lotnego, pełnego iskier dowcipu.

Nowiński jest humorystą, nie tylko z urodzenia, ale i z potrzeby i celowo, wiedząc najlepiej, jakim skarbem jest możność śmiechu. „Gruba Berta" jest tedy i dokumentem chwili i świadectwem człowieka, a wreszcie pierwszym zbiorem satyry polskiej w dzisiejszej Galicyi.

J. A. Teslar.

Schneider Stanisław. **Ze studyów mitologicznych i ludoznawczych:** 1. Mit o „kurze niebieskiej". 2. Święto majowe. 3. Święto umarłych. 4. Religia Dyonizosa. 5. Dyoskurowie i Helena. (Odbicie z LV tomu „Rozpraw wydziału filologicznego Akademii Umiejętności). Kraków 1916. Nakładem Akad. Umiej, 8⁰ lex. kt. nlb. 1, str. 84.

Nowy zbiorek studyów zasłużonego na innem polu autora rozpo-

czyna dociekanie w sprawie mitu o „kurze niebieskiej“ (str. 1—10). Tok rozumowań jego jest taki: Z przypisku do „Pokucia“ Kolberga wypływa, że znaną z podań kurą mityczną jest ziemia, a jajem, które zniosła owa kura niebieska, jest słońce. Jaja, jakie się je na Wielkanoc, przedstawiałyby zmartwychwstanie jaja niebieskiego, symbolu obfitości i słońca wiosennego. Chyba nikt utrzymywać nie zechce, by tego rodzaju kosmogoniczny pomysł stworzenia słońca wyłonił się wogóle w mitologii indoeuropejskiej, a w szczególności w słowiańskiej. W swoim czasie już wyraził był szanowny autor zdanie, że pierwszym na świecie Κοῦρος był Zeus, a odpowiednią mu oblubienicą Kora (= kura). Obdarowanie Chtonii ziemią przez Zeusa u Ferecydesa przemawia za tem, że ziemi przyznawał on początek uraniczny i że „święte wesele“ pana niebios z panią podziemnych mocy miało charakter niebiański. Doszło ono do skutku po usunięciu z drogi i pokonaniu trzeciej kosmicznej i odwiecznej potęgi, którą przedstawia Chronos, t. j. można wnioskować, iż Zeus sprzymierzył się z bogiem wężowym Orfioneusem, odniósł zwycięstwo nad Kronosem (Chronosem) i Tytanami, wreszcie zawładnął światem całym.

Wyłuskując myśl z mitu, można powiedzieć: słońce wiosenne odniosło zwycięstwo nad wrogiemi siłami zimy i nocy. Teraz dopiero mógł odbyć się ożenek Kurosa z Korą lub Zeusa z Herą. W starobiblijnej Genezie dopatrzył się jeden z głośnych jej komentatorów (H. Gunkel, Genesis übersetzt und erklärt. 2 Aufl. Göttingen, 1902, str. 92) w „duchu Bożym, unoszącym się nad wodami“, pierwotnie żeńskiego ptaka, składającego i wysiadującego kosmiczne jaje. Stojąc na stanowisku tej spekulacyi naiwnej, znanej na całym Wschodzie o jaju świata, którego jedna połowa ma przypominać sklepienie niebios, a druga ziemię, nietrudno w owej samicy ptasiej, znoszącej jaje, domyśleć się zwykłej kury. Albo nie różnicując rodzaju, można w tej roli widzieć koguta czyli kura. Kogut zaś przedstawia jedną z przemian i przeobrażeń węża. Świadczy o tem wymownie ta okoliczność, że regularnie pojawia się w towarzystwie bogów, których początek wężowy jest niewątpliwy, jak Ares i Asklepios lub wielce prawdopodobny, jak Swantewit. To też w polskiem: greckie nazwy: κοῦρος i κούρα, oznaczające pana młodego i pannę młodą żywcem wzięto i przyswojono na wyrażenie drobiu i kur i kura, które też lud nazywa do dzisiaj pokrewnem mianem węża: „gad“ lub „gadzina“, co nie powinno wcale dziwić, gdyż w języku polskim niejedno wyrażenie przejęto dosłownie z języka starogreckiego. Nie daleko szukając, np. kogut (= kokot), zwie się w dzisiejszej Attyce i w okolicy Parnasu

κόκκοτας. Wszędzie dotarliśmy do źródła, skąd wypłynęło śmiałe obrazowanie o jaju „kury niebieskiej". Prędzej było to jaje kury, czyli Kory podziemnej, wężowe jaje. Przynajmniej z baśni ludowej wiemy, że kogut t. j. kur, równoznacznik węża, jej podziemnego małżonka Plutona, nawet sam znosi w starości jaje, z którego wylęga się bazyliszek. Ale pierwotnie żaden zły duch nie wykluwał się z wężowego jaja, ponieważ wąż uchodził za ducha dobrego i darzył ludzi szczęściem, bogactwem i powodzeniem ziemskiem, a nawet odrodzeniem pośmiertnem, czego do dziś dnia z pogańskich czasów symbolem jest wielkanocne kurze jajo.

Jako domowy Bóg, przyjacielski i dobroczynny, przybierał wąż czyli smok na Rusi i w Polsce od XIV—XVI wieku postać kurczęcia. Pod takim również kształtem wyobrażano sobie wówczas i dzisiaj jeszcze gdzieniegdzie wyobrażają, n. p. w polskich okolicach Górnego Śląska duchy domowe, t. zw. skrzaty. Pomysł, że kur płodzi jaje lub jako wąż obcuje z królową podziemia, nie jest ani rdzennie litewskim, ani fińskim, za jakiego chciano uważać, ale wschodnim, który za pośrednictwem Greków dostać się mógł do Słowiańszczyzny, Litwy, Finlandyi i innych ludów europejskich.

Ofiarowanie zwyczajem żniwiarzy koguta, urobionego z ostatnich kłosów zboża, lub zabijanie koguta żywego cepami i zjadanie go podczas obrzędów wiosennych, weselnych czy dożynkowych, wszystko to są zabytki dawnych zwyczajów i obchodów ludowych, napotykanych niemal wszędzie, świadczące o zanikaniu kultu koguta, jako byłego godła urodzajności i małżeństw. Natomiast wchodzi w swe prawa nieprzestarzałe wywłaszczony przez podziemnego węża, smoka czy kura inny opiekun świętych ślubów małżeńskich, słoneczny młodzian z dziewiczą ziemią, co uzmysłowiło się w teologii Ferecydesa z Syros i kosmologicznym micie o zaczarowanej dziewicy, której smok podejrzliwie strzeże. Ona — to pogrążona w zimowym śnie wegetacya; źródła życia broniący smok, który nie może ścierpieć, by się corocznie odbywał na nowo proces, odmładzający przyrodę, to wroga zima; silny zaś i bohaterski młodzieniec, który zabija smoka, wodę życia zdobywa, a następnie żeni się z księżniczką, to mocne słońce wiosenne, które ciepłymi promieniami odpędza mroźną zimę i powoduje odrodzenie przyrody.

Z umysłu podaliśmy obszerniej tok rozumowań szan. autora w pierwszej rozprawce, ażeby tem lepiej uzmysłowić ich wartość, która jest więcej niż problematyczna. Z tego też powodu nie będziemy trudzić czytelnika rozpatrywaniem dalszych rozdziałów książki omawianej, me-

tęda bowiem badań mitologicznych p. Schneidra grzeszy cała przeciwko nauce. Przeciwko ogłaszaniu tego rodzaju fantazyi w publikacyach akademickich należy założyć stanowczy protest.

Dr. Stanisław Zdziarski.

Z piśmiennictw obcych.

Abdul Baha Abbas **Ewangelia Pokoju i Miłości dla czasów naszych.** Z angielskiego na niemieckie przełożył *Wilhelm Herrigel* Z niemieckiego na polskie Związek śląskich spirytystów. Łąki 1915.

Książka ta zawiera na str. 96, a w 51 rozdziałach główne zasady nauki Bahai, skreślone według notatek z przemówień, jakie w jesieni r. 1911 wygłosił w Paryżu Abdul Baha, przewodnik Baha-istów. Celem jego propagandy jest:

1. Usunięcie wszelkich uprzedzeń religijnych i narodowych.

2. Zaprowadzenie religii powszechnej (jedna owczarnia i jeden pasterz), w której jako główna zasada ma być miłość Boga i bliźniego i wprowadzenie w czyn tych nauk.

3. Zaprowadzenie powszechnej mowy światowej (ewentualnie esperanto udoskonalone).

4. Usunięcie wojny i zaprowadzenie trybunału dla załagodzenia międzynarodowych sporów.

5. Zaprowadzenie lepszych warunków społecznych we wszystkich krajach ziemi (na drodze prawnej, bez gwałtu). Równouprawnienie kobiety pod względem wychowania i wykształcenia.

6. Zaprowadzenie międzynarodowego zbratania przez wprowadzenie w życie zasady: „wszystko, co chcecie, żeby Wam czyniono — to czyńcie także ludziom".

Dewiza książki głosi: Przyszliśmy, by połączyć wszystkich mieszkańców ziemi i doprowadzić ich do zupełnej harmonii i jedności.

Wstęp do polskiego tłómaczenia: Widząc, że treść tej książki zawiera dążenia, zawarte w prośbie: „przyjdź królestwo Twoje", zapragnęłam, by dążenia te mogły urzeczywistnić się w polskiem społeczeństwie. Leć tedy, książko, w Imię Boże, do naszej polskiej chaty, a bądź w niej białą gołębicą pokoju!

A więc religia powszechna, miłość powszechna, język powszechny — pokój powszechny.

Jak wygląda ta powszechna religia? Jak odnosi się do katolicyzmu? Nasz Ojciec Niebieski nie chce nas czynić odpowiedzialnymi za to, że odrzucamy dogmaty, w które ani wierzyć, ani ich pojąć nie możemy, bo jest zawsze sprawiedliwym względem swych dzieci (str. 12). Twierdzenie łatwo da się zbić przykładem o misyonarzu, który murzynom opowiadał o zamarznięciu rzek w jego ojczyźnie, co dla nich zdawało się też niepojęte, a jednak jest prawdą niezbitą. Abdul Baba wierzy jednak w Ducha św. i do niego usilnie modlić się każe i szukać prawdy! Religia jest dla niego najdoskonalszą podstawą cywilizacyi, cywilizacya chrześcijaństwa była najlepszą i najświatlejszą w całym świecie. Nauki chrześcijaństwa były oświetlone Słońcem Prawdy, dlatego ich zwolennicy nauczeni kochać wszystkich ludzi jak braci, nie bać się niczego, nawet śmierci.

Wielkim celem nauki religii Chrystusa było przyciągać wszystkie serca ludzkie bliżej do Boskich promieni Prawdy. Lecz cóż się stało? Ludzie odwrócili się od Prawdy, więc zima duchowa oziębiła serca ludzkie.

Religia, która nie staje się przyczyną miłości i jedności, nie jest religią. Baha, jak Chrystus, każe miłować nieprzyjaciół i obchodzić się z nimi jak z przyjaciółmi, unikać sporów. Prawa świeckie mają być w zgodzie z Bożemi. Wszyscy prorocy byli lekarzami duchowymi. Lecz jako takich proroków uznaje Baha: Abrahama, Mojżesza, Chrystusa, Mahometa i wszystkich stawia na równi. Raz powołuje się na Chrystusa, innym razem na koran i na zięcia Mahometa. Gdy światło Bożej Prawdy świeciło w Chrystusie — musicie też przyznać, że świeciło też w Mojżeszu i Buddzie. — Wszystkie religie mają swoje przesądy. Wszystkie religie z czasem krępowano dogmatami i podaniami. Wszyscy są sprzeczni, wszyscy nie mogą być prawdziwi! A znowu prawda jest jedna i ta sama we wszystkich religiach! (str. 68).

Baha-iści są zasadniczymi przeciwnikami obrzędów. Porzućmy te różne spory co do form zewnętrznych i połączmy się, by dążyć naprzód ku sprawie Bożej jedności! Spirytyści według doświadczenia dotychczasowego trzymają się zdala od Sakramentów św. Cała ta propaganda przypomina historyę czasów wojennych, gdzie to w braku niektórych artykułów spożywczych, trzeba się oglądać za surogatami, któreby żołądek na jakiś czas zapychały i okłamywały.

A więc zamiast smacznego pożywnego chleba, silna domieszka

ziemniaczanej mąki lub kasztanowej lub też innego nieznanego pochodzenia. Głód ducha trzeba zaspokoić również, a więc choćby konglomeratem Baha-i.

To, co Baha ma najlepszego, to okruszyny zaledwie z nauki Chrystusa Pana, a nie dochodzi on nawet do źródeł łaski Bożej, jakiemi z woli Bożej są święte Sakramenta. Tak ważnej sprawy odpuszczenia grzechów książka ani słówkiem nie porusza!

I wobec tego myśli polska tłumaczka, że spełnia żądanie prośby Pańskiej: „przyjdź królestwo Twoje", a choćby tylko pośrednio, jednak wstrzymuje katolików od wnijścia do pełni łask królestwa Bożego, a chrześcijan innowierców od chrztu dzieci, tej resztki nadszarpanego silnie dziedzictwa po opuszczonej matce — Kościele katolickim, powszechnym. Tendencye Baha-i byłyby dobre dla jego ziomków, by ich zapoznać choć z dwoma głównymi przykazaniami nauki Chrystusowej, lecz dla narodów z wiekową kulturą katolicką lub choćby w cząsteczce chrześcijańską, są obniżaniem dotychczasowego poziomu, odciąganiem od praktyk religijnych, co jest równoznaczącem z wkroczeniem na pochyłą linię zobojętnienia dla religii, agnostycyzmu i ateizmu.

W swoim kościółku parafialnym znalazłby nasz Baha-ista-spirytysta czystsze i obfitsze bez porównania źródło prawdy i łaski Bożej, niż w perskich teoryach teozoficznych z domieszką małych zaledwie okruszynek nauki Chrystusowej. „Warum also in die Ferne schweifen, sieh' das Gute liegt so nah'! so nah'!"

Wstęp do niemieckiego wydania zauważa: Możnaby może powiedzieć, że mamy już wiele z tego, do czego się tu dąży; przy tem jednak proszę zauważyć, że z jednej strony te przykazania zostały założone przez założyciela ruchu Baha-i (Baha o'llas) już przed 60 laty, w czasie, kiedy wiele myśli i celów dzisiejszych nie było jeszcze znanych, a z drugiej strony w innych krajach, mianowicie na Wschodzie brak jeszcze wiele z tego, co my już mamy... i nam przynosi (ta książka) wiele nowego. Myli się tłumacz niemiecki. Ruch Baha-i nie przynosi nic nowego. Pozytywna treść jego nauki, to zaczynienie, które nie dopiero od 60 lat przekwasza narody. Mamy na myśli dwa przykazania miłości, bo chyba drugi z wyliczonych punktów programowych powinien stać na pierwszem miejscu, bo on jest główną treścią, a wszystkie inne oznaczają albo środki albo skutki.

Nie chcemy wchodzić w to, czy sprawa powszechnej mowy pozostanie na zawsze utopią czy nie, ale mrzonką trąci również to pojmo-

wanie słów Chrystusowych o jednej owczarni i jednym pasterzu w tym znaczeniu, jakie znajdujemy w tej książce. Takie tłumaczenie nie jest zresztą odosobnione i między ludem katolickim. Podobnie, jak i inne zdania Ewangelii św., jeżeli się je wyrywa zupełnie z kontekstu, ulegają mylnemu tłumaczeniu. Pan Jezus użył tych słów do Izraelitów, którym obcą stała się myśl o powołaniu pogan do królestwa Bożego. A do nich mówi Zbawiciel: „Mam i inne owce, które nie są z tej owczarni, ale i one trzeba, abym przywiódł, aby słuchały głosu mego i będzie jedna owczarnia i jeden pasterz".

A więc jedna owczarnia i jeden pasterz nie stanie się dopiero kiedyś na krótko przed końcem świata, lecz jest już od czasów Chrystusa i ma się rozszerzać aż do końca świata. Jeden Kościół powszechny dla wszystkich narodów pod jednym najwyższym pasterzem Chrystusowym. Trzeba tylko wstępować do tej owczarni i starać się, by stać się jak najlepszą owieczką.

Tymczasem mylnie tłumaczą sobie różni, powiedzmy Baha-iści, jakoby kiedyś wszyscy ludzie mieli się stać dobrymi, jakoby wszelkie grzechy miały ustać, a wszyscy nie należący do jednej owczarni Bożej mieli do niej wstąpić co do jednego. (Und allen soll vergeben werden und die Hölle nicht mehr sein!) Pragniemy tego z głębi duszy i jest to wolą Bożą, by wszyscy byli zbawieni i doszli do poznania prawdy, lecz jest jedyna przeszkoda — wolna wola.

Walka między dobrem a złem pozostanie tak długo, jak długo stanie rodzaju ludzkiego. Przecież na ostatnie czasy przepowiedziany jest ów wielki przeciwnik Chrystusa ze swoimi zwolennikami. Do zupełnej harmonii i jedności nie dojdzie się ani drogą najdalej posuniętej niwelizacyi pojęć religijnych, jak chce Baha o'llas. A któżby wreszcie miał być owym pasterzem w tej owczarni?!

Podobni marzyciele jakby nie chcieli uznać wielkiej siły złej woli w człowieku, nie zważają, że wiara jest łaską i że każdy, który źle czyni, nienawidzi światłości, aby nie były zganione uczynki jego. Wszak i Baha twierdzi, że człowiek może od prawdy się odwrócić i zatykać niejako uszy, a Pismo św. stwierdza, że od prawdy odwracają się nieraz ku bajkom, a znowu i o czasach ostatnich to twierdzi: Chleb twardy, a nóż nie chce krajać!

Gdyby wiara nie pociągała za sobą tak daleko sięgających konsekwencyi moralnych, wtedy nie byłoby większych trudności i każdy z chęcią przyjąłby choć coś w rodzaju powyższych niwelistycznych mrzonek altruistycznych.

Józef Buryan.

Der Christ im betrachtenden Gebet. Anleitung zur täglichen Betrachtung, besonders für Priester und Ordensgenossenschaften. Von *Augustin Lehmkuhl S. J.* In vier Bänden. SS. 403 & 586 & 387 & 503, Erste und zweite Auflage. Freiburg im. Br. Herder.

Rozmyślania O. Lehmkuhla oparte są na św. Ewangeliach, których poniekąd są praktycznym i ascetycznym komentarzem. Ugrupowanie materyału odpowiada rokowi kościelnemu, tudzież perykopom niedzielnym. Te systematyczne rozważania na tle życia Pana Jezusa przegradzają rozmyślania o uroczystościach Najśw. Maryi Panny i o najgłówniejszych Świętych Pańskich, dalej szereg rozważań majowych i kompletny miesiąc Czerwiec ku czci Serca Jezusowego. Jak już z góry można się było spodziewać po uczonym profesorze teologii moralnej, cechuje dzieło od początku do końca wzorowa gruntowność w opracowaniu, zdrowa katolicka asceza, daleka zarówno od jednostronnego kształcenia tylko rozumu i poznania, zaczerpniętego z prawd wiary, jak od bezpłodnej uczuciowości i afektacyi, wreszcie metoda wychowawcza, pojęta w duchu „Ćwiczeń duchownych" św. Ignacego Lojoli.

Autor wychodzi z tej słusznej zasady, że codzienne rozmyślanie powinno być modlitwą myślną; stąd z jednej strony ma pouczać o drodze cnoty, nie wogóle tylko, ale konkretnie o tych krokach, które w tym właśnie dniu stawiać należy na drodze doskonałości, rozbudzając równocześnie zamiłowanie cnoty, z drugiej zaś strony ma jako modlitwa kształcić i ćwiczyć wolę, oraz zjednywać łaskę Bożą, będącą drugim czynnikiem cnotliwego życia i postępu duchownego. Tej zasadzie jest autor wierny w każdej medytacyi — nie chodzi mu o to, aby karmić umysł tylko ciekawemi i genialnemi myślami, ale nakłania w każdej części rozważania do aktów woli i do obudzania afektów, tudzież do gorących i szczerych modlitw, których przedmiot zawsze jest należycie przygotowany przez uprzednie treściwe refleksye. Niesprawiedliwą byłaby zatem taka ocena rozmyślań ks. Lehmkuhla, któraby odmawiała im racyi bytu w niemieckiej literaturze ascetycznej dlatego, że nie przynoszą nic nowego, nie podają nowych myśli i punktów widzenia, któreby skądinąd nie były nam jeszcze znane. W książkach bowiem do rozmyślania codziennego nie chodzi o zaciekawiające umysł nowości, ale o ćwiczenie się w aktach wewnętrznych, stąd nie tyle przedmiot, ile metoda budzenia wewnętrznego życia rozstrzyga o wartości dzieła.

Na końcu czwartego tomu znajdujemy bardzo cenny dodatek, zawierający schematy rozmaitych seryi rekolekcyi rocznych, na prze-

ciąg ośmiu lub pięciu lub trzech dni, trzydniówek dla osób zakonnych przed odnowieniem ślubów, wreszcie miesięcznych odnawiań ducha i rozmyślań na pierwsze piątki miesiąca.

Możnaby jeszcze życzyć sobie, aby w spisie osobnym tekstów z Ewangelii uwidoczniono, gdzie dany tekst umieszczony został jako przedmiot rozważania. Wtedy dla swej gruntowności, prostoty i praktycznej metody dzieło O. Lehmkuhla byłoby prawdziwym podręcznikiem życia wewnętrznego, skarbnicą także dla kaznodziejów i katechetów, wielce pomocną przy wykładach z historyi biblijnej Nowego Zakonu w celu uwzględniania w nich także praktycznej ascezy, tego niezbędnego czynnika w religijnem wychowaniu.

Ks. Ernest Matzel.

Polen. Mit einem geschichtlichen Überblick über polnisch-ruthenische Frage, von *Dr. R. F. Kaindl*, Prof. an d. Univ. Graz. Verlag und Druck v. B. G. Teubner in Leipzig u. Berlin, 1916. Str. 109, 6 mapek w tekscie.

Powyższa broszura ukazała się jako 547-my tomik znanego wydawnictwa „Aus Natur und Geisteswelt". Ze względu na aktualność polityczną budzi ona swym tytułem zainteresowanie. Z ciekawością też bierzemy ją do ręki.

Już we wstępie powiada autor, że „kładzie nacisk w swej pracy na to, by wykazać, iż winę za fatalny rozwój dziejowy Polski ponosi od wieków szlachta, której zgubnym wpływom należy także przypisać ostre przeciwieństwa, istniejące pomimo powinowactwa kultury, między Polakami a Niemcami". I w tym też duchu rzecz swoją napisał.

Składa się ona z 10 rozdziałów. Pierwsze cztery podają króciutki rys dziejów Polski aż do trzeciego rozbioru, reszta zaś nosi tytuły: Polacy po rozbiorach. — Rusini. — Niemcy w Polsce. — Stosunki kulturalne. — Statystyka. — Panslawizm. — Kwestya polsko-ruska. — Niemieckie żądania.

Tytuły te brzmią obiecująco. Niestety, przeciętny czytelnik niemiecki dowie się z odnośnych rozdziałów niewiele więcej ponadto, co spotyka na szpaltach najbardziej polakożerczych organów prasy niemieckiej. Dr Kaindl przedstawia np. naszą przeszłość w najczarniejszych barwach, nie zestawiając wcale stosunków, panujących u nas, ze stosunkami w krajach ościennych. Wskutek tego czytelnik niemiecki nabrać musi przekonania, że tylko w Polsce istniała pańszczyzna, nietolerancya religijna, ucisk miast przez szlachtę i t. d.

Co się zaś tyczy ścisłości wywodów historycznych Dra Kaindla, to wystarczy, aby nabrać o nich wyobrażenia, przytoczyć następujące curiosum. Pisząc o najściu Szwedów na Polskę w 1655 r., twierdzi on, iż „dopiero śmierć króla szwedzkiego, Gustawa Adolfa (sic !) położyła kres tej straszliwej wojnie“ (str. 40).

Inny ustęp z nowożytnych dziejów polskich równie dobrze świadczy o bezstronności autora. Mianowicie wyraża się on o wypadkach z 1846 roku w ten sposób :

„Polska szlachta postarała się o rozszerzenie po całym świecie bajki, jakoby rząd austryacki nakłonił chłopów do mordowania szlachty przez wyznaczenie nagrody za głowę każdego zabitego szlachcica. Natomiast prawdą jest tylko to, że rząd austryacki przez ciągłe popieranie pozyskał sobie chłopów, których szlachta drażniła przez większy ucisk. Rząd austryacki czynił to świadomie w celu zyskania w nich przeciwwagi wobec niespokojnych właścicieli ziemskch (str. 54)“.

Odnośnie do informacyj o czasach ostatnich, wystarczy przytoczyć z nich takie :

„Polacy składają hołd Aleksandrowi II w r. 1880 (str. 57) ; historyk Helcel jest poplecznikiem panslawizmu (str. 57); polskie duchowieństwo i polscy nauczyciele uciskają niemiecką młodzież szkolną i niemieckich katolików w Galicyi (str. 61) ; w Galicyi rozpoczął się srogi ucisk Niemców po 66-ym roku (str. 82) ; w lipcu 1914 r. przyszło w Galicyi do wstrętnych wykroczeń przeciw Niemcom (str. 82); między polskim światem umysłowym a masą narodu niema żadnego związku (str. 89) i t. p.

Mówiąc zaś o polskiej kulturze, wygłasza autor pewnik, że powstała ona na podłożu kultury niemieckiej i że dopiero po usunięciu tejże kultura włoska i francuska niejaki, ale ujemny wpływ na Polaków wywarła (str. 84).

Podobną ścisłością odznacza się garść danych, zebranych na „chybił trafił“, a odnoszących się do statystyki ludności polskiej w trzech zaborach, oraz jej gospodarki społecznej.

Z łatwych do zrozumienia powodów nie tykamy zapatrywań Dra Kaindla na aktualne sprawy polityczne i na nasz stosunek do Rusinów. Zaznaczamy jedynie, że nacechowane są one grubą nieznajomością faktycznego stanu rzeczy a przepojone wielką do Polaków nienawiścią.

Wreszcie jeszcze jedno stanowi ujemną stronę omawianej broszury, a mianowicie niemiły, wcale niepoważny, gazeciarski ton, w jakim została napisaną.

Wielka szkoda, że w wydawnictwie popularnem i tak dużą poczytność mającem ukazała się t e g o r o d z a j u praca. Czasby już był przecież, aby uczciwi i oświeceni Niemcy zaczęli mądrze i uczciwie o nas pisać. Sądzimy, że obie strony wyszłyby na tem dobrze.

J. Trepka.

Povidky lidu opavského a hanackého vydal a komentařem kriticko-bibliografickym opatřil *Jiří Polivka*. (Rozpravy Ceske Akademie cisaře Františka Josefa pro vědy, dovesnost a uměni, Tvida III. čisko 43). V Praze. Nakladem Ceske Akademie, 1916. 8⁰ lex. kt. nlb. 1, str. 176.

Zasługi prof. dra Polivki dla badań etnograficznych, dotychczas już olbrzymie, pomnażają się rok rocznie nie tylko nowemi stydyami z zakresu bajkoznawstwa porównawczego, ale też wydaniami nowych tekstów, do których komentarze szanownego wydawcy są wprost niezrównane, tak, że mogą poniekąd zastąpić samodzielne rozprawy o poszczególnych motywach bajkowych. Tem większa jest w tej mierze zasługa prof. Polivki, skoro weźmie się pod uwagę tę jeszcze okoliczność, że do niedawna nie poświęcano należytej uwagi prozaicznym trądycyom ludowym w Słowiańszczyźnie. Naturalnie, wynikająca stąd szkoda była wprost niepowetowana dla nauki.

Nie da się bowiem zaprzeczyć, że to, co lud opowiada, nie jest czemś zupełnie nowem, a tylko waryantami znanych powszechnie motywów i wątków bajkowych oraz, że lud opowiada częstokroć to, co jest wydrukowane w groszowych książeczkach ludowych. A jednak trzeba zdać sobie sprawę z tego, w czem lud kocha się w wolnych chwilach i czem zaprząta umysł po znojnej pracy codziennej, poznać jego karmę duchową, wreszcie badać, jak lud reprodukuje wątki bajkowe, jak różne wątki zlewają się razem i mieszają się ze sobą, jak znane zresztą powszechnie motywy bajkowe łączą się w coraz to nowe bajki, czyli jednem słowem śledzić życie wątków i motywów bajkowych we wszystkich warstwach ludowych. Stąd bowiem można poznać twórczość ludową, skutkiem czego studyum bajek ludowych może oddać niemałe usługi głębszemu poznaniu psychy ludowej.

Na książkę omawianą złożyły się dwa zbiory opowiadań ludowych: pierwszy z nich zapisał p. Fr. Stavař na zachodnim Śląsku

opawskim z zachowaniem wszystkich właściwości dyalektologicznych narzecza miejscowego, drugi pochodzi od prof. Józ. Tordego i został zebrany wśród Hanaków.

Wydanie tekstów zostało uskutecznione w sposób nadzwyczaj sumienny, który jest zresztą właściwy wszystkim wydawnictwom etnograficznym prof. Polivki. Komentarze, zajmujące bodaj czy nie więcej miejsca od samychże tekstów ludowych, są nadzwyczaj dokładne, przyczem wyczerpują niemal że w zupełności nader zwięźle cały materyał porównawczy, przyczem słowiański został zawsze wysunięty na plan pierwszy.

Oryentacyę w całości ułatwia znakomicie przedewszystkiem: spis alfabetyczny wątków i motywów bajkowych, rejestry imion własnych i miejscowości, wreszcie dokładna bibliografia dzieł i źródeł, zużytkowanych w komentarzach prof. Polivki, które jak wyżej zaznaczyłem, są wprost niedoścignione. Wystarczy chyba, jeśli powiemy, iż w całej bogatej literaturze etnograficznej polskiej niema dotychczas ani jednego zbioru opowiadań ludowych, któryby pod względem wydawniczym mógł mierzyć się z omawianą książką, w której każdy słowiański badacz motywów bajkowych znajdzie rzeczy wagi pierwszorzędnej. Może ona służyć snadnie za wzór, godny naśladowania, w jaki sposób winny być dokonywane edycye opowiadań ludowych.

Dr. Stan. Zdziarski.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Misye katolickie w czasie wojny światowej r. 1916.

Jakiekolwiek polityczne cele mają mocarstwa Europy, prowadzące już trzeci rok wojnę, bezprzykładną w dziejach co do rozmiarów zniszczenia i co do ilości krwi przelanej, Opatrzność Boża czuwa nad Kościołem Chrystusowym i prowadzi go nadal do celu jego założenia: aby wszystkich zjednoczyć we wierze, uświęcić i zbawić.

Jedności Kościoła Chrystusowego najsilniejszy i najgroźniejszy opór stawiała zawsze schizma wschodnia, nie przebierająca w środkach, ażeby Kościół przez Chrystusa Pana założony, Kościół katol. zniszczyć.

Narody, zamieszkujące ziemie Królestwa Polskiego w dawnych jego granicach, najbardziej doświadczyły tego na sobie w ciągu prawie 150-letniej niewoli rosyjskiej. Byłoby zbytecznem przypominać czytelnikom naszym bezustanne znęcania się a nawet krwawe prześladowania katolików ziem polskich, które musieli znosić jedynie dlatego, że chcieli pozostawać w jedności z rzymskim Kościołem. Echo prześladowania rosyjskiego przedostawało się do innych ziem słowiańskich i niesłowiańskich, na południu i wschodzie i wywoływało naśladowanie w oporze przeciw jedności w Kościele, że tylko wspomnę sąsiadujące z nami schizmatyckie królestwa: Czarnogórę, Serbię, Rumunię.

Wojna światowa ten pierwszy skutek przynosi, że zrywa kajdany z naszej ojczyzny, tem samem wyzwala Kościół katolicki z niewoli i dozwala mu rozniecić iskrę wiary św., tlejącą pod popiołami i gruzami moralnie zniszczonych kresów wschodnich Polski.

Orędzie z dnia 5 listopada 1916 r., orzekające niezłomną wolę monarchów Austryi i Niemiec wskrzeszenia Królestwa Polskiego, naturalnie dla ich własnego interesu, zupełnie niezależnie od tej intencyi, jest równocześnie zwycięstwem Kościoła katolickiego nad schizmą. Oręż tychże cesarzy opanował Czarnogórę, Serbię, Rumunię, satelity schizmatyckiej Rosyi. Jakikolwiek los czeka te królestwa, odtąd nie będzie im wolno stać na usługach północnego mocarstwa. Zupełna wolność sumienia, którą muszą otrzymać w imię europejskiej kultury, a także w interesie mocarstw centralnych, stanie się równocześnie źródłem rozwoju chrześcijańskich zasad etycznych i uściele drogę do jedności wiary św., do wypełnienia obietnicy Chrystusowej: iż będzie jeden pasterz i jedna owczarnia.

Tę samą ufność mamy, lecz bardziej uzasadnioną, co do Bułgaryi. Wojna obecna otworzyła oczy już niejednemu mężowi stanu na niebezpieczeństwo grożące państwu ze strony Rosyi. Przecież ona oddawna posługuje się rzekomym interesem religii, aby swą rękę opiekuńczą ściągnąć na różne królestwa i włożyć kajdany na ich polityczne i religijne życie. Bułgarya zerwała te pęta, łącząc się politycznie z mocarstwami centralnemi, a przez przyjęcie kalendarza gregoryańskiego zrobiła krok pierwszy, aby się zbliżyć do kultury europejskiej— katolickiej.

Trudniejsza sprawa z religijną ambicyą Grecyi, która nie tyle prawdy szuka, ile pierwszeństwa w Kościele. Ta pycha przodowników greckiego Kościoła największą jest przeszkodą do unii z rzymskim Kościołem. Może wojna obecna i — jak spodziewamy się — zdrowsze ułożenie się stosunków międzynarodowych po jej ukończeniu, ułatwią drogę do pożądanej jedności z macierzystym Kościołem.

Powyższa dodatnia strona toczącej się wojny w dzierżawie Kościoła, okupiona została wielu stratami, które nie prędko dadzą się wyrównać. Pomijam stronę czysto materyalną, zburzenie tysięcy kościołów i zakładów katolickich, tę wielką stratę w dziedzinie kultury, oświaty i miłosierdzia chrześcijańskiego, co spowoduje zmniejszenie ofiar na cele misyjne w krajach nawiedzonych katastrofą wojenną. Najboleśniejszym jest ubytek sił do pracy misyjnej, spowodowany wojną, a tem samem zastój w rozwoju ewangielizacyi.

Wiadomo, że państwa prowadzące wojnę jeszcze w r. 1914 powołały do służby wojskowej także personal misyjny, i to ze stron nawet bardzo odległych. Już sama nieobecność misyonarzy na dawnych ich posterunkach, trwająca trzeci rok, przyniosła wielką szkodę misyom, a będzie jeszcze większą, skoro wielu misyonarzy już nie powróci na

pole swej pracy. Niedawno dzienniki podały, że we francuskiej armii w boju zginęło dotychczas 7800 osób duchownych. Wprawdzie nie wszyscy między nimi byli misyonarzami, lecz przerzedzone szeregi duchowieństwa francuskiego dadzą się bardzo odczuć także na polu misyjnem. Z Austryi i Niemiec posiadamy dokładniejszą statystykę. Otóż z zakonów i zgromadzeń zakonnych, oddających się pracy misyjnej, od wybuchu wojny do połowy lipca 1916 r. 5878 osób z konieczności lub dobrowolnie było na usługach wojska. Z tych zmarło w boju 350, rannych było 695, do niewoli dostało się 80.

Podobną proporcyę strat w personalu misyjnym należałoby zestawić z innych państw biorących udział w wojnie, a mianowicie z Belgii i Włoch, aby utworzyć sobie obraz uszczerbku ewangelicznych pracowników.

Najdotkliwiej ten brak dał się odczuć na najbliższym Wschodzie, tj. w zachodniej Azyi. Po przywróceniu w r. 1847 łacińskiego patryarchatu w Jerozolimie i po ukończeniu wojny krymskiej pokojem, zawartym w Paryżu w r. 1856, chrześcijanie, znajdujący się w Turcyi, otrzymali wolność kultu, zagwarantowaną przez Austryę, Francyę i Anglię. Dzięki tej opiece rozwinęła się działalność Kościoła katolickiego na Wschodzie bardzo znacząco. Z biegiem lat przybyło do Turcyi 20 męskich, a 30 żeńskich kongregacyi zakonnych, w liczbie przeszło 5000 osób. Budowano domy dla pielgrzymów, szpitale, domy dla sierot, klasztory, szkoły elementarne, szkoły dla rzemieślników, wyższe zakłady naukowe i seminarya, a przytem rozwinięto pracę duszpasterską.

Wojna światowa położyła kres temu rozwojowi pełnemu nadziei. Wskutek udziału Turcyi w wojnie z Francyą, Włochami i Anglią i odwołania tak zwanych „kapitulacyi“ z r. 1856, zarówno misye łacińskie, jak i wschodniego obrządku doszły prawie do ruiny. A najpierw mobilizacya i wygnanie około 4000 francuskich, belgijskich i włoskich zakonników-misyonarzy osierociły setki kaplic i kościołów, do nich należących w patryarchacie jerozolimskim i w wikaryacie patryarchalnym Konstantynopola. Przerwa w duszpasterstwie spowodowała równocześnie zamknięcie około 700 szkół i zakładów miłosierdzia, zabudowania misyjne w znacznej części przeszły na własność tureckiego rządu, albo przez tenże zostały do czasu zajęte. Austrya, jako jedyne mocarstwo z tych, które były upoważnione do opieki nad chrześcijanami w Turcyi, i z nią pozostaje w przymierzu, nie zapomniała o swoim obowiązku, mimo zniesienia przez Turcyę „kapitulacyjnych“ przywilejów. Owocem zjazdu biskupów monarchii austryackiej w listopadzie 1915 r. było wy-

słanie kilkudziesięciu kapłanów, poddanych Austryi i Niemiec, na Wschód. Stosunkowo do potrzeb jest to niewielka liczba, która wystarczy zaledwie na zaspokojenie potrzeb duszpasterskich we większych miastach Turcyi. W przyszłości trzeba będzie zorganizować cały personal szkolny katolicki, ażeby uchronić ludność chrześcijańską od utraty wiary.

Najnowsze rozporządzenia rządu tureckiego, dotyczące szkolnictwa, znoszą zupełnie dawne przywileje szkół misyjnych katolickich i zaprowadzają system upaństwowienia szkoły. Między innemi rozporządzeniami odtąd język turecki ma być zaprowadzony w nauczaniu historyi i geografii Turcyi.

W Azyi środkowej i wschodniej wojna światowa wpłynęła również bardzo niekorzystnie na stan misyi. Przedewszystkiem w Indyach angielskich wszyscy misyonarze narodowości niemieckiej zostali zaraz na początku wojny wyrwani z pól swej pracy i odesłani do obozów zamkniętych. Tylko część z nich otrzymała zezwolenie na powrót do Niemiec, inni pozostają jeszcze dotychczas w niewoli, wśród największych niedostatków. W Chinach, Japonii, Korei, Indochinach, misyonarze francuscy (a tych było tam najwięcej) otrzymali wezwania mobilizacyjne i byli zmuszeni powrócić do Francyi, gdzie ich wciągnięto do armii. Temuż losowi uległo także dwóch biskupów: Perros, wikaryusz apostolski Siamu i Desmange, wikaryusz apostolski Taiku w Korei. Po roku służby pozwolono im jednak powrócić do swych misyi.

Gdyby nie okoliczność, iż europejscy misyonarze, pracujący w Azyi, już od dłuższego czasu pozakładali seminarya duchowne dla wykształcenia krajowego kleru, misyom groziłaby zupełna ruina. Na szczęście kler krajowy ratuje zagrożone posterunki, przynajmniej ważniejsze.

Wśród zawieruchy wojennej w Europie niepostrzeżenie zaszły ważne zmiany w Chinach, które skupiają w sobie prawie czwartą część ludzkości całej kuli ziemskiej i chociażby tylko z tego względu nie mogą być obojętne dla Europy, a przedewszystkiem dla misyi.

W dniu 7 czerwca 1916 r. telegram z Pekinu doniósł o śmierci prezydenta Juanszikaja i że tymczasowo objął rządy wiceprezydent Li-Juan-hung. Zachodzi wątpliwość, czy śmierć prezydenta była naturalną. Bezpośrednio przed jego śmiercią bardzo charakterystyczne szczegóły o położeniu w Chinach podał listownie w dniu 11 kwietnia wikaryusz apostolski wschodniego Kiang-Si, Mgr. Clerc Renaud. X. biskup w swym liście donosi, że prezydent Juanszikaj w dniu 13 grudnia 1915 roku wy-

dał dekret, w którym zawiadamia Chińczyków, że wbrew własnemu pragnieniu, a jedynie na ich życzenie, przywraca w Chinach rządy monarchiczne. Niebawem wyszedł drugi dekret, ogłaszający powrót Chin do monarchii, i że objął rządy pierwszy cesarz z dynastyi Juan.

Republikanie jednak czuwali i tak umieli przycisnąć do muru Juanszikaja, że tenże wydał nowy dekret w dniu 22 marca 1916 r., którym znosi poprzedni, twierdząc, że go wydał tylko wskutek błędnych informacyi swoich obłudnych przyjaciół i że przywraca rządy republikańskie. Wspomina w nim także, że chciałby się usunąć w zacisze domowe, lecz jedynie dobro ludu zmusza go do pozostania na stanowisku.

Nieprzyjaciele Juanszikaja nie dali się rozbroić jego chytrym oświadczeniom. Zażądali, aby Juanszikaj, jako zdrajca ojczyzny i konstytucyi, niezwłocznie abdykował, że jego potomkowie aż do trzeciego pokolenia zostają pozbawieni praw do piastowania urzędów obywatelskich i że wszyscy promotorzy ruchu monarchicznego mają być skazani na śmierć. Niebawem po tem Juanszikaj nie żył.

Pierwszy prezydent chińskiej rzeczypospolitej nie był wrogiem dla misyi katolickich, lecz też nie można powiedzieć, ażeby był ich przyjacielem. W każdym razie misye mogły się rozwijać, i dlatego ze strony naszej należy się wdzięczność dla zmarłego Juanszikaja.

Statystyka misyjna z r. 1915 wykazuje 1,748.383 katolików i 424.586 katechumenów, tj. wzrost o 102.028 dusz w porównaniu ze statystyką z r. 1914. W Chinach z chwilą śmierci Juanszikaja znajdował się jeden katolik na 244 mieszkańców, jeden kapłan katolicki na 754 katolików, a na 183.648 wszystkich Chińczyków.

Jak się zachowa nowy prezydent względem katolickich misyonarzy, jeszcze nie mamy żadnych danych, abyśmy mogli sąd swój w tym względzie wypowiedzieć .

Tę samą rezerwę musimy zachować względem nadziei Kościoła katolickiego w Japonii, po wstąpieniu na tron nowego monarchy. Wprawdzie legat papieski, arcybiskup Petrelli, który przywiózł gratulacye J. Ś. Benedykta XV dla cesarza japońskiego, bardzo uroczyście był przyjmowany, a dzienniki miejscowe z wyszukaną uprzejmością wypowiedziały swe zdanie o nim i jego poselstwie, jednak te objawy zewnętrzne nic nie przesądzają o ich wewnętrznej wartości.

„W Japonii — pisał 26 grudnia 1915 O. Alfred Hutt, który pracuje już lat 18 na dalekim Wschodzie — my misyonarze jesteśmy obcymi, których się znosi, lecz się do nich nie zbliża z ufnością...". Powód zaś tej nieufności jest dwojaki: materyalny i religijny. Jedni obawiają się,

że przez przyjęcie chrześcijaństwa zamkną sobie drogę do posad rządowych i wogóle takich, które zależą od niechrześcijan. Drudzy ulegają wpływom Szintoizmu, wskrzeszonego do życia. Chociaż warstwy rządzące nie nazywają go kultem religijnym, lecz tylko odnowieniem prastarych zwyczajów czczenia wielkich bohaterów w Japonii, w rzeczywistości szintoizm jest jednak kultem religijnym. Pod pretekstem patryotyzmu zmuszają władze całą ludność japońską do tej wiary jedynej. We wszystkich wioskach powstają szintoistyczne świątynie, których bonzowie uznani są i płatni przez rząd. Co roku obchodzą się w nich ceremonie z wielką okazałością, z współudziałem władz cywilnych i wojskowych, a nauczyciele prowadzą na nie uczącą się młodzież. W podręcznikach szkolnych szintoizm jest otoczony aureolą, a najbardziej fantastyczne opowiadania są przedmiotem poważnych wyjaśnień. Chociaż nie wszyscy nauczyciele ludowi dają wiarę tym bajkom, jednak młodzież przejmuje się niemi zupełnie, wytwarza w sobie jakąś zamgloną, łatwą w praktyce religię i stroni od misyonarza.

Ostatecznie świat dusz zostaje przez szintoizm tak dla misyonarza zamknięty, jak kiedyś rząd japoński zamknął przed nim granice swego państwa.

Pomimo tak wielkich trudności w nawracaniu Japończyków ilość wiernych zwiększyła się w ostatnim roku o 1847 dusz i wynosi w samej Japonii 74.132 osoby. Stosunkowo większy owoc wykazuje praca misyonarzy w Korei, bo wynosi 4165 dusz, a wszystkich wiernych w Korei jest obecnie 84.869.

W Afryce, pokawałkowanej w kraje kolonialne mocarstw europejskich, lub pozostających w ich „sferze interesów kolonialnych", misye katolickie uległy mniej więcej temu samemu losowi, co w Azyi. Misyonarze w znacznej części zostali odwołani do służby wojskowej we Francyi i Włoszech, a niemieccy internowani lub wprost uwięzieni. Naszych polskich misyonarzy w Rhodezyi szczęśliwszy los spotkał. Mogą oni nadal oddawać się pracy apostolskiej, jednak z pewnemi ograniczeniami co do swobody odwiedzania wiosek, przez nich ewangelizowanych.

Z państw niezależnych w Afryce Abisynia przechodzi od dnia 27 września 1916 r. chwile krytyczne, wskutek czego misye katolickie także znajdują się w niebezpieczeństwie. Młody władca Abisynii, Lidżi Jassu, który wstąpił na tron po cesarzu Meneliku, podobno popełnił w ostatnich czasach wiele nieroztropności, a nawet, jak mówią, miał przyjąć mahometanizm. Wskutek tego naczelnicy plemion abisyńskich złożyli go z tronu, a na jego miejsce powołali, jako regenta, młodego księcia Tafari,

syna Ras Makonszena. Lidżi Jassu zebrał wojska muzułmańskie Daukalisów i Somalisów, ażeby się bronić przeciw swym przeciwnikom. Lecz Abisyńczycy pobili te wojska, a Lidżi Jassu musiał w ucieczce szukać schronienia.

Nie możemy nie czuć żalu, że ten młody władca, który umiał w sposób życzliwy zachować się wobec papieża Benedykta XV i wobec misyonarzy katolickich, dał się uwieść złemu otoczeniu i jego złym radom. Z drugiej strony książę Tafari, regent obecny Abisynii, dotychczas okazywał również życzliwość względem misyi katolickich, a nawet z pewną sympatyą do niej się odnosił. Misyom więc wcale nie grozi usposobienie głowy rządzącej, lecz raczej rozruchy, jakie są prawie nieuniknione przy zmianie tronu abisyńskiego, gdzie zakulisowe intrygi możnowładców istniały od dawna.

Wielkiej doniosłości dla rozwoju misyi katolickich jest amerykańskie stowarzyszenie katolickie dla misyi zagranicznych (Catholic Foreign Mission Society of America). Utworzyło ono przed kilku laty seminaryum nad zatoką Hudsońską, w odległości 30 mil angielskich na północ od Nowego Jorku. Jego organizacya wzorowała się na paryskiem seminaryum dla misyi zagranicznych, a pozostaje pod kierunkiem kapłanów świeckich. Pierwszą myśl do założenia takiego zakładu podali kardynał Gibbons i owczesny delegat Stolicy apostolskiej w Stanach Zjednoczonych Ameryki, a obecnie kardynał Falconio. Amerykańscy biskupi, zebrani na konferencyę do Waszyngtonu (27 kwietnia 1911 r.), a następnie papież Pius X (29 czerwca 1911) pochwalili to dzieło. Od 15 lipca 1915 r. w którym Stolica apostolska wydała pierwszy dekret pochwalny dla tej instytucyi, pozostaje ona bezpośrednio pod władzą św. Kongregacyi dla Rozkrzewiania Wiary (Propagandy).

To stowarzyszenie misyjne uzyskało w Stanie nowojorskim prawa korporacyi, a duchowną jurysdykcyę nad niem wykonywa każdorazowy arcybiskup katolicki Nowego Jorku, któremu ulegają honorowi prezydenci tegoż stowarzyszenia.

Celem jego jest wykształcenie kapłanów-misyonarzy dla pracy apostolskiej na całym świecie, a równocześnie rozbudzenie i szerzenie idei misyjnej w Stanach Zjednoczonych. Posiada ono swój własny organ p. t.: „The Field afar“, wydawany wzorowo. W krótkim przeciągu czasu pismo to zjednało wielu przyjaciół dla „amerykańskiego seminaryum misyi zagranicznych“, czego najlepszym dowodem jest fakt, że jego czytelnicy utworzyli dotychczas 48 burs, czyli fundacyi, na wychowanie kapłanów-misyonarzy.

Pierwszem polem działalności tego seminaryum ma być Azya, a w szczególności Chiny.

Instytucya powyższa jest pocieszającą z dwojakiego względu. Najpierw dlatego, ponieważ Kościół katolicki zyska w pracy misyjnej nowych dzielnych pracowników, którzy na swe utrzymanie nie będą potrzebowali oglądać się na zasiłki wyczerpanej wojną Europy, bo znajdą we wzbogaconej Ameryce obfite źródła pomocnicze do pracy apostolskiej; powtóre fakt powyższy nam mówi, iż Ameryka obecnie tak silnie stanęła w rozwoju hierarchicznym Kościoła, że nietylko może zaspokoić potrzeby duchowne ludności swoimi kapłanami, lecz jeszcze daje pomoc Kościołowi macierzystemu w nawracaniu pogan.

Co do stosunków panujących w Meksyku, w niczem się one nie zmieniły od ubiegłego roku. Najsroższe prześladowanie Kościoła trwa dalej. Wieść o śmierci prezydenta Carranzy, ogłoszona w dziennikach w roku ubiegłym, okazała się mylną. Lecz i zło ma swoje granice, po których następuje reakcya. Opatrzność Boża czuwa również nad nieszczęśliwym Meksykiem i zmiana na lepsze nastąpi niezawodnie.

Co do południowej Ameryki, jakkolwiek słyszy się nieraz utyskiwania nad stanem opłakanym katolickiego Kościoła, przecież jest tam pod wielu względami nawet lepiej, niż wogóle w Europie. Ustawy państwowe republik: Argentyny, Boliwii, Kolumbii, Ekwadoru, Paragwaju, Urugwaju, Wenezueli, uznały religię rzymsko-katolicką jako religię państwową; w Peru religia katolicka jest uznana jako religia narodu; w Chili państwo wspiera Kościół katolicki. W jednej tylko Brazylii nastąpił rozdział państwa od Kościoła, lecz i tam Kościół katolicki cieszy się zupełną wolnością.

Zdarzają się wprawdzie nieraz trudności w stosunkach państwa do Kościoła i nie we wszystkich republikach jest tak, jak zasadnicze ustawy nakazują, jednak byłoby bez porównania gorzej, gdyby wolnomularstwo i niewiara nie napotykały dzielnych obrońców katolickiego Kościoła w zastępach miejscowego duchowieństwa. Niestety, w południowej Ameryce daje się odczuwać brak dostatecznej liczby duchowieństwa i jego kadry, zwłaszcza misyonarzy, muszą być uzupełniane europejskimi kapłanami.

X. M. Czerminski T. J.

Stan urzędniczy w nowem państwie polskiem.

Zbliża się wielka chwila rzeczywistego tworzenia państwowości polskiej i czas już przejść od wypowiadania ogólnikowych postulatów do szkicowania konkretnych planów budowy. Nie przystępujemy do niej zbrojni w te wszystkie narządy, któreby umożliwiły nam rozwiązanie zadania za jednym zamachem ręki. Niestety, nie posiadamy wykwalifikowanego stanu urzędniczego, gotowego do objęcia i umiejętnego sprawowania wielorakich stanowisk, w skomplikowanem życiu państwa nowoczesnego niezbędnych. W ostatnich dziesiątkach lat panowania rosyjskiego w Polsce nie mianowano już Polaków wcale na urzędy wyższe albo średnie. Pozostała z dawniejszych czasów liczba ich nieznaczna, a i te niedobitki przeważnie z kraju ewakuowane zostały lub też same, potrzebując swoich pensyi, do Rosyi wyjechały. Więc tej kategoryi urzędników w rachubę brać nie można, i liczyć trzeba wyłącznie na siły nowe. Nie mamy wprawdzie zupełnie ludzi, obeznanych praktycznie z administracyą państwową, rozporządzamy jednak dość poważnym zastępem obywateli, wyrobionych w życiu społecznem, tych, którzy prowadzili komitety obywatelskie i rady opiekuńcze, a obecnie pracują w zarządach miejskich i sejmikach powiatowych, którzy oddawna kierowali naszemi instytucyami finansowemi, przemysłowemi, dobroczynnemi.

Ludzie ci mają pewną rutynę pracy w zakresie częściowo publicznym. Winni oni obecnie uzupełniać swoje wykształcenie, zwłaszcza w kierunku administracyi i skarbowości. Z chwilą rozpoczęcia faktycznego funkcyonowania Rady Stanu, tej pierwszej podwaliny nowego państwa polskiego, trzeba będzie dążyć do tego, aby kandydaci na urzędy wchodzili do obecnie istniejących biur administracyjnych rządów okupacyjnych w celu wyrobienia się praktycznego, które umożliwi im faktyczne obejmowanie urzędów na miejsce urzędników okupacyjnych. Wkrótce ukończy też istniejące w Warszawie kursa administracyjne pierwsza serya słuchaczów i w ten sposób otrzymany będzie poważny zastęp stu kilkudziesięciu ludzi, który po stosunkowo krótkiem, praktycznem przygotowaniu byłby już gotów do objęcia odpowiedzialnych posad w administracyi krajowej. Oczywiście, to wszystko wystarczyć jeszcze nie może. Posiadamy jednak poważny rezerwoar wyszkolonych polskich sił urzędniczych w Galicyi i z tego rezerwoaru czerpać powinniśmy. Nie wątpię, że wielu wyższym i średnim urzędnikom galicyjskim uśmiechać się będzie myśl współpracy przy budowie

niepodległego państwa polskiego i chętnie na wezwanie naszej Rady Stanu czy innego polskiego organu państwowego swoje talenty i znajomość rzeczy sprawie ofiarują.

Pomyślniej niż w innych dziedzinach przedstawia się stan rzeczy w sądownictwie i szkolnictwie. Nie mamy wprawdzie stanu sędziowskiego w kraju, gdyż jedyni sędziowie Polacy t. j. sędziowie gminni, nie posiadając wykształcenia prawniczego, wyższych stanowisk sądowych zająć i do stanu sędziowskiego w ścisłym tego słowa znaczeniu zaliczeni być nie mogą — ale mamy dużo adwokatów i rejentów, którzy wymiar sprawiedliwości objąćby mogli odrazu i pełnić sumiennie.

Dowodem tego chociażby sądownictwo obywatelskie w Warszawie, które dosłownie w dniu ewakuacyi rosyjskiej, t. j. w dniu 5 sierpnia 1915 r. powstało i zdołało objąć odrazu wszystkie stopnie i gałęzie sądowej hierarchii.

Wśród naszego nauczycielstwa posiadamy znaczną ilość ludzi, zdatnych do zajęcia stanowisk w administracyi szkolnej, tak, iż z tą administracyą będzie zapewne mało kłopotu. Wogóle sądownictwo i szkolnictwo mogłyby być zorganizowane odrazu i stanowić pierwsze, całkowicie polskie, wydziały rządowe.

Gdy mowa o naszem przygotowaniu do obejmowania władzy w kraju, potrzeba też zwrócić uwagę na czynniki natury moralnej i duchowej, które w sprawie tej ważną odgrywają rolę. Nie dość jest, abyśmy mieli pewną ilość ludzi na urzędników publicznych, mniej lub więcej wykwalifikowanych, należy też zapytać się, czy jest w nich duch służby publicznej. Pytanie to tylko postawić możemy, — rozwiązanie, daj Boże, pomyślne, da nam dopiero doświadczenie życia. Naród jest do służby publicznej usposobiony wówczas, gdy służba taka stanowi cel pragnień i zabiegów obywatelskich, gdy w świadomości powszechnej żyje myśl, iż urzędowanie w swojem własnem państwie to rzecz wielka, wprawdzie brzemienna obowiązkami i odpowiedzialnością, ale zaszczytna i zabiegów godna.

W ostatnich dziesiątkach lat społeczeństwo nasze, od życia publicznego zupełnie odsunięte, odsunęło też od myśli o niem swoje zabiegi i plany życiowe, stało się społeczeństwem ludzi prywatnych, będących biernym substratem obcej władzy państwowej. Praca w rolnictwie, przemyśle i handlu — to był cel osobistych zamierzeń życiowych i do tego tylko przygotowywaliśmy dzieci nasze. Potrzeba, aby społeczeństwo wyszło z tego czysto prywatnego życia na arenę publiczną w zakresie także i poszczególnych indywidualnych planów życiowych.

Naród nasz stawał się już na podobieństwo żydów społeczeństwem, że tak powiem, prywatnem. Koniecznem jest, ażeby znów stał się narodem państwowym nietylko w tem znaczeniu, iżby państwem własnem kierował, ale ażeby z państwem tem życie obywateli ściśle związane zostało. Bez tego samokierownictwo byłoby tylko teoryą.

Długoletnie panowanie nad nami wrogiej a nędznej biurokracyi rosyjskiej wywołało w społeczeństwie najżywszą niechęć, a nawet pogardę, do biurokracyi wogóle, do urzędnika, jako takiego. Byłoby bardzo źle, gdybyśmy mieli uczucia te w zmienionych warunkach politycznych zachować, przeciwnie, powinniśmy wykrzesać w sobie poczucie wielkiego poważania dla władzy polskiej i dla jej organów, i starać się do karyery urzędniczej kierować najlepsze nasze siły umysłowe i moralne. Z drugiej strony, oczywiście, ci pierwsi pionierzy, którzy jako urzędnicy państwa polskiego działalność swoją rozpoczną, powinni być przejęci duchem publicznym, pełni świadomości wielkiego zaszczytu i wielkiej odpowiedzialności, która im w udziale przypada.

Ich zachowanie się wpłynie przedewszystkiem na pierwsze ukształtowanie stosunku społeczeństwa do urzędników i stanowiska ich w życiu narodowem. A gdy raz pewien stosunek i pewne stanowisko się ustalą, to już nie tak łatwo i nie tak prędko będzie można je zmienić. Tylko mocny duch publiczny i wysokie poczucie obowiązku zdołają wypełnić te znaczne braki i luki, które w zawodowem przygotowaniu pierwszych naszych urzędników nieodzownie wystąpią. Ale jeśli te momenty moralno-psychologiczne w samych urzędnikach oraz odpowiedniki ich w podłożu społecznem — będą mocne, to wypełnią wszystkie braki przygotowania zawodowego z nadmiarem, stworzą solidny grunt dla budowy organizmu administracyjnego naszego państwa.

Nie można też powiedzieć, abyśmy byli w sprawie tej zupełnie pozbawieni dobrej tradycyi. Wprawdzie Rzeczpospolita nie miała prawie zupełnie hierarchii urzędniczej, która zaczęła się tworzyć dopiero w przeddzień upadku państwa; pomimo to jednak z chwilą wyzwolenia kraju od obcych najeźdźców w r. 1806 społeczeństwo polskie przystąpiło niezwłocznie do tworzenia własnej administracyi i zadaniu temu w czasie toczącej się na jego ziemi wojny sprostało. Ówczesny stan rzeczy jak pod wielu innymi tak i pod tym względem zbliżony był do obecnego. Trzeba było w czasie wojny tworzyć władze a gotowego materyału na kadry urzędnicze brakowało prawie zupełnie.

Potrzebne zaś były kadry bardzo poważne, gdyż Księstwo Warszawskie organizowane było na obraz i podobieństwo Francyi napoleoń-

skiej, t. j. kraju z nadzwyczaj rozwiniętym systemem biurokratycznym, i zbudowało też u siebie system tak rozgałęziony, że w niektórych dziedzinach obecnie nawet nic więcej stworzyćby nie było potrzeba. Zadaniu temu wówczas sprostaliśmy i wkrótce powstał polski stan urzędniczy liczny, uczciwy, poważny, duchem obywatelskim przejęty, który posiadaliśmy w Księstwie i późniejszem Królestwie Kongresowem. A stać się to mogło dlatego, że żył w narodzie duch silny, który trudności przełamywał, do tworzenia własnego życia pobudzał i wymaganiom jego sprostać potrafił. Wierzę, że i teraz duch polski tak w innych jak w tym kierunku obudzi to, co śpi jeszcze, do życia dla niepodległego państwa. Proklamowanem ono zostało przez mocarstwa, ale my sami tylko możemy je do istotnego, własnego i owocnego życia powołać, następnie zaś życie to w nim utrwalić i rozwinąć.

Stanisław Bukowiecki.

Nowe kursy dla wychowawczyń.

W połowie grudnia minionego roku rozpoczęły się w Krakowie przy ul. Karmelickiej 36 (seminaryum żeńskie S. Münnichowej) wykłady na kursie teoretyczno-praktycznym dla wychowawczyń. Kurs ten doszedł do skutku staraniem Pol. Zw. Niew. kat. Celem jego jest wyszkolenie kobiet na kierowniczki „żłóbków“ i ochron oraz wyręczycielki matek w domach prywatnych, a także pouczenie młodych, niedoświadczonych matek o tej najważniejszej, trudnej i odpowiedzialnej pracy, ich powołaniu właściwej. Tyle doniosły już dzienniki, na tem miejscu chcę omówić szczegóły, dotyczące powstania kursu oraz myśl przewodnią, która przyświecała inicyatorkom tegoż. Już w czerwcu 1914 r. na zebraniu przewodniczących sekcyj P. Z. N. K. uchwalono wniosek jednej z członków, by zająć się utworzeniem szkoły wychowawczyń. Wyznaczone do tego celu osoby opracowały plan nauki, oraz nawiązały stosunki z instytucyami, zajmującemi się pielęgnowaniem niemowląt, chcąc pozyskać teren do przeprowadzania praktyki.

Korespondencyę z identycznymi zakładami w Warszawie, Wiedniu, Londynie i Genewie dla zoryentowania się w programie prac, oraz dla zdobycia fachowej kierowniczki, przerwał wybuch wojny.

Dopiero obecnie, dzięki pobytowi w Krakowie wykształconej wszechstronnie w zakresie pedologii kobiety, która podejmuje się prowadzenia kursu, sprawa, z dawna przemyślana i upragniona, poczyna się urzeczywistniać. Trudności jest wiele, o założeniu szkoły w całem

tego słowa znaczeniu na razie niema mowy, rozwinięcie programu prac na dwuletni kurs odkładamy na najbliższy czas powojenny, a teraz dla naglącej potrzeby wykwalifikowania wychowawczyń tworzymy 7-miomiesięczny kurs tymczasowy; powstające bowiem coraz liczniej ochrony, żłóbki, czy domy dziecięce dla sierót po poległych, czynią tę sprawę bardzo aktualną. W kursie dwuletnim mogą być obszerniej traktowane przedmioty wykładowe, można też urządzić oddział dla osób o niższem wykształceniu, jest też w planie utworzenie internatu dla zamiejscowych. Wszystko to jednak jest muzyką przyszłości, na razie, licząc się z trudnościami chwili, kurs o przyspieszonem tempie musi też być bardziej jednolity, z tego powodu wymagany jest od słuchaczek pewien stopień wykształcenia, odpowiadający t. zw. średniemu.

Poza stroną praktyczną istnieje cel idealny: pogłębienia wiadomości o racyonalnem wychowywaniu dzieci, a to, co było bodźcem dla P. Z. N. K., istnieje chyba w duszy każdego rozumnego człowieka, a szczególnie każdej matki, choć może w uśpieniu podświadomie, iż wytężyć należy wszystkie siły fizyczne i umysłowe, aby rozwinąć ów cudowny pączek na drzewie ludzkości, jakim jest dziecko, w kwiat wonny, barwny, mający wszystkie warunki do przeistoczenia się w owoc dojrzały człowieczeństwa. Aby osiągnąć jakiś cel, musimy znać środki *doń prowadzące*, oraz nabyć wprawy w używaniu ich, czyli przyswoić sobie teoryę i praktykę danej umiejętności. I ten jest zasadniczy cel kursu; chociaż bowiem każda matka przy dobrej woli i staranności potrafi wychować swe dzieci odpowiednio do sfery pojęć, w której żyje, chociaż widzimy tysiące przykładów ofiarności i poświęcenia ze strony osób bądź zakonnych, bądź świeckich, oddających się całą duszą wychowaniu powierzonych sobie maleństw, mimo to nie wolno społeczeństwu, dążącemu do postępu, zaniedbywać postulatów dalszego rozwoju, ale przeciwnie, umożliwiać go ułatwianiem dotychczasowych dróg, przemyśliwaniem nad coraz lepszymi sposobami osiągnięcia celu idealnego. A tembardziej, gdy mimo setek przykładów dobrych i wysiłków szlachetnych widzimy tysiące i tysiące zaniedbań, błędów i marnowania energii, nie zawsze z własnej winy popełnianych, ale dla tej prostej, a tak smutnej w konsekwencye przyczyny: „nie wiem".

Jakiż procent śmiertelności noworodków przypadłby na powód nieodpowiedniego karmienia, gdyby ta rzecz dała się ściśle statystycznie obliczyć! Ileż matek nie wie na przykład, że krzyk dziecka nie zawsze zaspokaja się nakarmieniem i nieopatrznem przeładowaniem wrażliwych organów trawienia niemowlęcia, że takie przeładowywanie

wpędza je w groźne katary kiszek. A wybieram z pośród wielu przyczyn marnowania fizycznego dzieci ten właśnie, jako przykład, bo może najczęściej zdarza się, a niepostrzeżenie uchodzi uwagi ogółu, jako na pozór rzecz nieszkodliwa.

Cóż dopiero mówić o subtelniejszej stronie wychowania, o wpływie na urobienie charakteru? I to odnosi się nietylko do sfer niewykształconych, gdzie spopularyzowanie wiadomości o wychowaniu wyrugowałoby może choć najdrastyczniejsze błędy, przynoszące nieobliczone szkody, jak znęcanie się nad dziećmi przez zbyt srogie kary, przyzwyczajanie do kłamania, pochlebianie możniejszym i t. p., ale także brak wprawy we władaniu środkami pedagogicznymi święci tryumfy w sferze inteligencyi, niszcząc szczerość i prostotę charakteru, sprzyjając wyrabianiu płytkości sądu, poniewierania bliźnim, pożądania dostatków i wygód. Co dzień i co godzina zdarzają się zaniedbania najpierwotniejszych zasad dobrego wychowania, nawet z pobłażliwym uśmiechem przechodzi się w tem do porządku dziennego. Ale złe ziarno, niebaczną ręką zasiane w wrażliwy umysł dziecka, zrodzi niebawem plon niepożądany.

Śmiesznem byłoby łudzenie się, aby otwarcie kursu wychowawczyń było uniwersalnym środkiem na te liczne braki w wychowaniu, ale niechby było choć jednym szczeblem mocno ustalonym w drabinie, wiodącej społeczeństwo do osiągnięcia królestwa Bożego na ziemi, choćby w małym zakresie działania matki w kole rodzinnem, ochroniarki wśród powierzonej jej pieczy dzieciątek.

Opierając się na tej zasadzie, że wychowawczyni musi w całokształcie zagadnień rozpatrzeć się, zrozumieć je i umieć zastosować, wykłady na kursie w części teoretycznej będą:

I. Wychowanie religijno-moralne, umysłowe i estetyczne.

II. Metody wychowawcze (stare i nowe).

III. Język polski (z specyalnem uwzględnieniem literatury dziecięcej).

IV. Psychologia dziecka.

V. Fizyologia i hygiena wieku dziecięcego.

W części praktycznej:

I. Pielęgniarstwo dzieci zdrowych i chorych (żłóbki, szpital).

II. Ćwiczenia w metodach nauczania: rysunku, modelowania, gimnastyki, ślöjdu, śpiewu i szycia.

Następujące osoby objęły wykłady na kursie:

Ks. prałat M. Ślepicki (dział religijno-moralny).

Dr. Otokar Lang (pielęgniarstwo dzieci na tle wymagań fizyologii i hygieny).

A. Winiarzowa (psychologia, metody wychowawcze, literatura dziecięca).

Prócz tego w ćwiczeniach praktycznych:

M. Niedzielska (rysunki, modelowanie).

M. Matusiakówna (śpiew).

Słójd, gimnastyka i szycie w najbliższym czasie będą obsadzone.

Zofia Korczyńska.

Współpracownikom naszego pisma.

Trzydziestolecie pracy naukowej K. Krotoskiego i K. Matyasa.

Wybitny współpracownik i przyjaciel naszego pisma, Dr. K. Krotoski, obchodzi w tym roku 30 lecie swojej pracy naukowo-publicystycznej. Z rzewną radością wspominamy na te chwile współpracy i wspólnej doli i niedoli.

Plon tej pracy jest obfity. Nieprzejrzany prawie jest szereg rozpraw w różnych czasopismach, ogłaszanych z zakresu historyi, pedagogiki, publicystyki, zwłaszcza publicystyki, związanej z życiem polskiem i katolickiem. Jedna z takich prac publicystycznych, p. t.: „Walka ekonomiczno-rasowa w Poznańskiem“ urosła w większe studyum i spełniła zbawienne swoje zadanie.

Z prac historycznych zanotujemy najpierw studyum ważniejsze, pod tytułem: „Walka o tron krakowski w r. 1228“. O wartości tej pracy naukowej świadczy najwymowniej obszerne rozstrząsanie naukowe wyników jej naukowych prawno-politycznych ze strony tej miary uczonego, co prof. Balcer. Główną zasługą jednakże Dra Krotoskiego jako historyka są jego studya nad wiekiem XI z powodu sporu o św. Stanisława biskupa, którym poświęcił szereg lat pracy. Owocem tych badań są prace pod tytułem: „Gall, scholastyk poznański“. Lwów 1888. „Św. Stanisław, biskup krakowski w świetle historyi nowożytnej“ .Poznań 1902. „Św. Stanisław, biskup krakowski w świetle źródeł“. Kraków 1902. „Łaciński Panegiryk na cześć Bolesława Śmiałego z połowy wieku XIII“. Kraków 1904, a zwłaszcza najlepsze dzieło Dra Krotoskiego „Św. Stanisław, biskup krakowski i jego zatarg z Bolesławem Śmiałym“. Lwów 1904.

Prace te odnoszą się do jednej z najciekawszych i najsporniejszych kwestyi w historyi polskiej, kwestyi, która od 100 lat przeszło zajmuje umysły historyków polskich i obcych, a równocześnie jest nietylko kwestyą naukową, ale i kwestyą religijną. Chodzi przecież o to, czy główny patron narodu polskiego jest świętym czy zdrajcą.

Cokolwiek kto o wynikach sporu tego sądzić będzie, to faktem pozostanie, że żaden z badaczy, biorących w nich udział, nie zabrał się tak gruntownie i metodycznie do rzeczy, jak Dr Krotoski, żaden nie przedstawił konfliktu między królem a Biskupem tak wyraziście na tle stosunków zachodnio-europejskich, a zwłaszcza na tle walki Henrycyan z Gregoryanami. Stosunki społeczno polityczne XI wieku w Polsce zyskały przez badania Dra Krotoskiego nowe oświetlenie, a równocześnie dla historyi powszechnej przyniosły one tę trwałą zdobycz, że dzisiaj nie ulega prawie wątpliwości, iż Kanossa i upokorzenie Henryka IV to głównie dzieło Śmiałego Polski króla, związanego nietylko rodzinnymi, ale i politycznymi węzłami z możnowładztwem saskiem.

Jako nauczyciel i pedagog, Dr Krotoski i na niwie pedagogicznej rozwinął wszechstronną działalność literacką. Wychowanek szkół pruskich, a zwłaszcza jednego z najtęższych pedagogów niemieckich, Dra Leuchtenbergera, musiał rychło zauważyć różnicę między systemem austryacko-galicyjskim, a gruntownym systemem pruskim. Skonstatował przedewszystkiem, że plany gimnazyalne austryackie, mimo rzeczywistych zalet i pozornej błyskotliwości, nie są wykonalne dlatego, że są dziełem nie rutynowanych rzeczoznawców-szkolników, lecz głównie głośnych uczonych, którzy od zielonego stolika decydując o planach, instrukcyach i metodach naukowych szkół średnich, nigdy nad ich wykonaniem się nie trudzili. Wykazał to w sposób dosadny młody pedagog w pracach pod tytułem: „Czy plan naukowy w gimnazyach galicyjskich jest wykonalny bez nadmiernego obciążenia młodzieży?“, Kraków ,1895 i w pracy „O przeciążeniu naszej młodzieży w szkołach średnich“. Zasady tak zwanej reformy Marchetowskiej z roku 1908 omówił Dr Krotoski w pracy: „Nowe idee w naszem szkolnictwie“, Kraków 1908, „Przegląd powszechny“. W niej jak i poprzednich rozprawkach autor podnosi zasadę: że o szkołach średnich, a zwłaszcza ich planach naukowych i metodach na wzór szkolnictwa niemieckiego w pierwszej linii decydować winni rzeczoznawcy i szkolnicy i póki tej zasady w czyn nie wprowadzimy, szkolnictwo nasze chorzeć będzie zawsze na dyletantyzm i niefortunny eksperymentalizm. Najsilniej napiętnował to Dr K. w broszurze: „W sprawie nauki historyi w naszych

szkołach średnich", gdzie przeciwko niemetodycznym podręcznikom występuje nie tylko jako krytyk w teoryi, ale jako autor podręczników dla szkół średnich.

Napisał podręcznik pod tytułem „Historya starożytna dla klasy II-ej szkół średnich", Kraków 1908. Z polecenia Rady szkolnej krajowej ułożył „Opowiadania z dziejów Monarchii austryacko-węgierskiej dla szkół średnich", Kraków 1910. Podręcznik ten, stosownie do postulatów nauki historyi z r .1909, musiał uwzględnić nie tylko dzieje Monarchii, ale dzieje powszechne średniowieczne, dzieje nowożytne, a wreszcie jako przeznaczony dla młodzieży polskiej musiał uwzględnić w szerszych ramach historyę polską. Nie dziw, że okazał się zbyt ciężkim i zbytnim materyałem przeładowanym.

Podręczniki Dra Krotoskiego nie są łatwe, ale też autor wzorem wszystkich podręczników zachodnio-europejskich usiłuje młodzież uczyć, nie zabawiać. Podręczniki jego wprowadziły do naszej literatury podręcznikowej nietylko wspaniałe ilustracye i mapki, ale co więcej, na wzór szwedzki wyjątki, ilustrujące najważniejsze wypadki dziejowe. W dalszym ciągu napisał autor podręcznik „Historya powszechna, tom II-gi". Historya średniowieczna, Poznań 1912, aprobowany dla liceów galicyjskich. Jest to najlepszy podręcznik historyi średniowiecznej, o ile autor jako mediewista jest specyalnym znawcą tych dziejów, i daje w nim własne, do użytku szkół zastosowane poglądy. Dalej wydał Dr K. „Dzieje powszechne dla seminaryów nauczycielskich, tom I", Dzieje starożytne i średniowieczne, Lwów 1912, oraz tom II „Dzieje nowożytne", Lwów 1915.

Całą tę pracę naukowo-literacką, całą czynność profesora, dyrektora gimnazyalnego, obywatela i katolickiego działacza ożywiał zawsze wysoki idealizm, duch poświęcenia i bezwzględna, nie wchodząca w kompromisy miłość prawdy. Życie tego człowieka bez skazy, pracowite, ofiarne, zaważyło dodatnio w rozwoju naszego społeczeństwa.

* * *

Trzydziestolecie pracy naukowej obchodzi również w tym roku etnograf, Karol Matyas. Obszerniejsze fejletony poświęciło temu jubileuszowi kilka pism, za którymi powtarzamy następujące szczegóły:

W „Przeglądzie literackim i artystycznym" w r. 1886 pojawiły się dwie rozprawki młodego studenta uniwersytetu Jagiellońskiego, Karola Matyasa, p. t. „Górale i mieszkańcy miast w pojęciu Sosnowia-

nów" i „Z ust ludu", studyum etnograficzno-dyalektologiczne. Obydwie rozprawki zwróciły uwagę etnografów tej miary, co Kryński, Karłowicz, i spotkały się z bardzo przychylną oceną. To nieprzewidywane powodzenie zachęciło folklorystę do dalszych prac. Zamiłowanie do folklorystyki wyniósł młody autor jeszcze z ławy gimnazyalnej, wtajemniczany w piękności i właściwości mowy ludowej przez znanego etnografa, prof. Bronisława Gustawicza, który odkrywszy w swym uczniu talent i zamiłowanie, gorliwie go do zbierania materyałów etnograficznych i językowych zachęcał i zaprawiał.

Rwał się do tej pracy gorączkowo Karol Matyas, ale konieczności życiowe i wola rodziców inną wytknęły mu drogę życia. Ukończywszy wydział prawa w Krakowie i uzyskaszy doktorat, zgodnie z wolą ojca wstąpił do służby w namiestnictwie i posuwając się po szczeblach urzędniczej karyery, dorywczo tylko poświęcać mógł czas wolny od zawodowych zajęć ulubionym studyom. Mimo to wyniki tej pracy stworzyły taki poważny dorobek, że dziś autor-jubilat z chlubą patrzeć może na przebieżoną drogę, a nauka folklorystyczna ma dostateczny tytuł zaliczyć go do poważnych i zasłużonych badaczów. Jako urzędnik polityczny, przenoszony z jednego powiatu do drugiego, miał sposobność zapoznawać się z różnemi okolicami kraju i podczas objazdów zapisywać w notatniku wszystko, co go w życiu, języku i obyczajach ludu zainteresować mogło. W ten sposób powstawał w biegu lat cykl szkiców, rozpraw i studyów, z których każdy wnosił interesujące szczegóły, stawał się cennym przyczynkiem do literatury etnograficznej.

Prace swe umieszczał Matyas po różnych czasopismach. Obok „Przeglądu literacko-artystycznego", gdzie pojawiły się dalsze rozprawy „Dwa cmentarze" i „Kilka szczegółów z historyi naturalnej ludowej", ogłoszone w latach 1886 i 1887, drukuje „Czas" jego pracę „Z fantazyi gminnej" — poczem mając już za sobą powagę drukowanego słowa, puka młody badacz do progów Akademii i ogłasza w „Zbiorze wiadomości do antropologii krajowej" i „Sprawozdaniach komisyi językowej Akademii umiejętności", studya p. t. „Podania o Tatrach" i „Słowniczek gwary ludu, zamieszkującego okolicę północno-wschodnią Nowego Sącza".

Gdy Zygmunt Sarnecki założył w Krakowie wytworny swój dwutygodnik ilustrowany „Świat" i podobnie jak Bartoszewicz, otworzył łamy pisma tego dla młodych, stanął w szeregu jego współpracowników Karol Matyas i powierzył redakcyi barwnę swe prace p. t.

„Chłop czarownik", „Z poza rogatek krakowskich", „Motas-chłop poeta", które pojawiły się ozdobione pięknemi ilustracyami pierwszorzędnych artystów.

Gdy zabrakło „Świata", ku wielkiej żałości rzeszy jego popleczników i współpracowników, przeniósł się Matyas ze swą etnografią na szpalty „Przeglądu Powszechnego" — gdzie zamieścił cykl dalszych swych prac, na które się złożyły: „Cholera w górach", „Nasze sioło", „Podania ze Szczepanowa", oraz na szpalty fachowych pism etnograficznych, jak „Lud" i „Wisła", które odtąd stale wynikami swych poszukiwań obdarzał. Tu pojawiły się kolejno: „Dramat gminny polski", „Śmierć w wyobraźni i ustach ludu", „Jeden epizod z wesela w okolicy Nowego Sącza", „Z poza rogatek krakowskich", „Wesele Stalowskie", „Chłopskie serce", „Nasze sioło" i „Przezwiska ludowe". Oprócz tego na szpaltach codziennych pism pojawiają się fejletony: „Podania i baśnie krakowskie", „Wilia", „Z pod Sandomierza", „Z krynicy mądrości ludu", „Boże Narodzenie" i „Nowy Rok". W miesięczniku „Lud": „Zapust-Popielec-Wielkanoc" oraz „Ludowe nazwy miejscowe w powiecie brzeskim w Galicyi". Kilka ostatnich prac jubilata drukowała „Gazeta Narodowa" i „Przewodnik naukowy i literacki".

Nie ulega wątpliwości, że dorobek lat trzydziestu, zbierany umiejętnie ręką metodycznego i zamiłowanego badacza, przysporzył nauce folklorystycznej plon poważny, dopełniający cennymi przyczynkami zakres dotychczasowych wiadomości. Wszystkie niemal większe prace swe ogłaszał Matyas w osobnych odbitkach. Broszurki te, dziś już przeważnie wyczerpane, przypominają potrzebę ogłoszenia ich w wydaniu zbiorowem. Wypełniłyby one kilka poważnych tomów, któreby były cennem dopełnieniem zbiorów Kolberga.

Obydwu zasłużonym pracownikom zasyłamy życzenia długiej jeszcze i owocnej pracy dla społeczeństwa.

Ks. J. Pawelski.

Ze świata wynalazków.

ZNISZCZENIA WOJNY. — WALKA O ŻYWNOŚĆ. — HANDEL PODMORSKIEMI ŁODZIAMI. — KUCHNIE MASOWE. — ODŻYWIANIE MASOWE W HAMBURGU. — TROSKA O NIEMOWLĘTA. — USTAWA ROZPŁODOWA WE FRANCYI. — TANIE ŹRÓDŁO TŁUSZCZU.

(Ciąg dalszy).

Mimo tak świetnych sukcesów z łodzią podwodną Deutschland, jasną jest rzeczą, że drogą podmorską Niemcy nie zdołają sprowadzać żywności z Ameryki, przynajmniej w takim stopniu, by choć w części wyrównać braki, jakie powstać musiały z powodu zawieszenia zwykłego handlu morskiego. Mocarstwa centralne, już od szeregu lat przedwojennych, musiały braki domowej produkcyi zboża i innych środków spożywczych uzupełniać importem zamorskim. Nadto wojna oczywiście niesprzyja samej produkcyi krajowej, bo najpierw zniszczyła wiele żywności i okolic rolniczych, a nadto spowodowała brak wyćwiczonego robotnika, bydła pociągowego, a co najważniejsza, niedostatek nawozów, zwłaszcza sztucznych, a z drugiej strony, utrzymując pod bronią olbrzymie masy, ogromnie przyczynia się do zwiększenia konsumpcyi wielu niezbędnych artykułów użytku codziennego. By powstałym stąd niedomogom zaradzić, rozpoczęto zaraz z początku wojny walkę ze zbytkiem w społeczeństwie, następnie walkę z dostatkiem, nawet sfer zamożnych, a gdy wojna i jej skutki przeciągają się ponad wszelką rachubę, musimy stanąć jasno i śmiało wobec rzeczywistości, która nam grozi niedostatkiem. Dawnymi czasy, gdy wojna zniszczyła kraj jakiś, z powodu niedoskonałości środków komunikacyjnych i braku organizacyi nowożytnej wymierały z głodu całe okolice, wsie i miasta. U nas, chociaż gnębi nas wojna, jakiej dzieje nie znają, do takiej ostateczności jeszcze nie doszło, i choć to może kogo urazi, przyznać trzeba, że często najgłośniej narzekają ci, którzy narazie uczuwają skutki wojny tylko o tyle, że muszą sobie odmówić zwykłych wygód i nawyczek rozdelikaconego życia nowożytną cywilizacyą. Ale niema wątpliwości, że poważny brak i niedostatek nam grozi, chociaż znowu błędnem byłoby przekonanie, że tylko mocarstwa centralne tym brakiem są dotknięte. Niestety, rząd nasz, w przeciwieństwie do niemieckiego, trzyma się tej zasady, że nie dopuszcza zupełnie czasopism zagranicznych i stąd raz poraz sły-

szeć można najdziwaczniejsze poglądy i pojęcia o obecnych stosunkach społecznych państw ententy, a wyciągi z gazet francuskich, podawane przez prasę naszą, wykazujące, że tamtejsi mieszkańcy, tak samo, a pod niektórymi względami, jak np. co do węgla i cukru, srożej jeszcze ponosić muszą dotkliwe skutki wojny, nie wiele znajdują wiary. Tymczasem zaglądając wprost w gazety tamtejsze, widzi się jasno, że stosunki ekonomiczne są tam bardzo już naprężone. Przed krajami tymi wprawdzie stoi otworem morze, a poza jego brzegami niewyczerpalne prawie zapasy Stanów Zjednoczonych Ameryki, Kanady, Brazylii i Australii, ale przez to morze trzeba towary przewieźć, a to wobec niemieckich wojennych łodzi podwodnych, które do listopada b. r. zniszczyły już przeszło 1700 okrętów handlowych o pojemności trzy i pół miliona ton, staje się coraz trudniejszem i coraz kosztowniejszem. Porto np. z Anglii do „zaprzyjaźnionych" Włoch powiększyli właściciele angielskich statków przewozowych przeszło dziesięciokrotnie, to też centnar węgla we Włoszech, o ile go wogóle dostać można, wynosi dwadzieścia kilka koron.

Bądź co bądź wielka wojna wydobyła na wierzch i uwydatniła należycie znaczenie pewnej kwestyi, którą przed wojną tylko prawie ubocznie i czasami się zajmowano, bo regulowała się wówczas sama, automatycznie, zapomocą kupieckiej konkurencyi, a która przecież jest najważniejszą ze wszystkich zagadnień społecznych. Jest nią sprawa odżywiania, zwłaszcza odżywiania masowego.

Dawniej w czasach wojen lub głodu ginęli masami biedni, a bajeczne sumy za żywność płacili bogaci. Dziś ceny także poszły niepomiernie w górę, i coraz trudniej zdobyć artykuły żywności, ale poczucie demokratyczne społeczeństw nowoczesnych wzdryga się na to, by klasy biedne rzucić na pastwę śmierci głodowej.

Chociaż bezwątpienia dzieją się nadużycia, chociaż niesumienni kupcy i pośrednicy zgarniają olbrzymie zyski, to przecież uczciwa część społeczeństw mężnie i wytrwale podejmuje tę najtrudniejszą z walk społecznych, walkę z kapitalizmem, i twarde konieczności wojny stara się pogodzić z zaspokojeniem codziennych potrzeb ludu. Dla socyologa usiłowania te, tak ustaw państwowych, jak i zrzeszeń prywatnych, przedstawiają niezmiernie obfite i przebogate źródło rozważań, bo niespodzianie i w jak największym

stylu powołują do życia urządzenia społeczne, które przed niedawnym czasem najśmielsi zaliczać musieli do nigdy niedających się urzeczywistnić utopii. Nas tutaj, ze stanowiska hygieny społecznej, zajmować będzie jeden sposób tej walki z niedostatkiem, mianowicie odżywianie masowe.

Wiele argumentów, mniej lub więcej szczerych, podają w ostatnich zwłaszcza czasach za urządzaniem ludowych kuchni, a niektórzy idą tak daleko, że żądają wspólnej miski dla całego społeczeństwa. Głównym argumentem za takim niesłychanie rewolucyjnym i komunistycznym eksperymentem ma być taniość masowej produkcyi pokarmów. Kto jednak zna się na prowadzeniu kuchni zbiorowej, dla większej ilości osób, to wie, że często ta taniość jest tylko pozorną, bo wprawdzie „jedno przy drugiem" wypada taniej, ale też jedno przy drugiem łatwiej nieraz się trwoni. Zapobiegliwa gospodyni i matka w małem gospodarstwie domowem dojrzy, by i najmniejsza ilość artykułów spożywczych się nie zmarnowała, dopilnuje, by jak najtaniej kupić i jaknajsmaczniej przyprawić, a w małych, jedno lub dwuizbowych mieszkaniach ognisko kuchenne służy zarazem do ogrzewania całego mieszkania. W kuchniach natomiast wielkich, na kilkaset osób gotujących, taka oszczędność praktycznie wprost jest niemożliwą, zwłaszcza że moralnie niemożliwą jest rzeczą znaleźć setki kucharzy lub kucharek tak sumiennych, żeby pracując „na cudzem" oszczędzały z równą zapobiegliwością, jak pani domu. Znaną np. wtajemniczonym jest rzeczą, że sposób podsycania ognia kuchennego, używany w Panu Tadeuszu przez Wojskiego, zapomocą masła lub tłuszczu, w wielkich kuchniach, gdy tylko właściciel nie dojrzy, wcale do wyjątków nie należy, a wiem z ust właścicielki pewnego wielkiego hotelu zagranicznego niemieckiego o wypadku, gdzie kucharz, w ciągu pół dnia użył do podsycenia ognia kuchennego cztery litry masła. To jedno. A drugie, to strona hygieniczna i ideowa kwestyi.

Chociaż społeczeństwo jednej okolicy mniej więcej w ten sam odżywia się sposób, to przecież każda rodzina ma pewne własne zwyczaje, swoje ulubione potrawy, swoisty sposób ich przygotowywania, gospodyni musi nadto uwzględnić potrzeby słabowitych, o których jakoś nikt obecnie się nie troszczy tak, że każde rozporządzenie obecne, tyczące się żywności, milcząc mówi przy końcu: „To dla zdrowych, a słabi niech albo ozdrowieją, albo zczezną". Odsyłanie chorych wszystkich w czambuł do kuchni szpitalnych,

wydać się musi każdemu, kto choć ze słuchu zna te kuchnie, zwłaszcza w czasach wojennych, ironią.

Cokolwiek tedy i ktokolwiek przemawiałby za wspólnem masowem odżywianiem, zawsze jest faktem, że będzie ono ruiną obecnego życia cywilizacyjnego, i za takiem odżywianiem istnieje tylko jeden jedyny prawdziwy argument: niedostatek, brak środków żywności taki, że niemożna ich będzie nawet w obecnych, zmniejszonych popod zwykłą fizyologiczną potrzebę dawkach, dostarczać pojedynczym rodzinom. Wtedy wspólna masowa kuchnia ma ten sens, że każdy musi jeść tylko to i tyle, ile mu wydać zdołają. Jakość i ilość porcyi stosować się musi do zasobów ogólnych, a rzeczą będzie indywidualnego organizmu, czy i o ile przy takiem sposobie życia zastosuje się do owego hasła: durchhalten. W każdym razie jest bardzo ciekawem przyglądnięcie się bliższe takiemu sposobowi odżywiania, toteż sprawozdanie z kuchni wspólnych w Hamburgu, jakie podaje za dwa lata ostatnie tamtejszy fizyk i lekarz miejski, Dr. G. H. Sieveking, czyta się z wielkiem zainteresowaniem. Zaraz jednak na wstępie zauważyć trzeba, że daty tam podane nie dają wcale wyczerpującego pojęcia o tem, jakby wyglądało masowe odżywianie przymusowe, bo najpierw korzystała tam z niego znaczna wprawdzie część ludności, lecz nie wszystka, a powtóre społeczeństwo dodaje do tych kuchni ogromne, jak zobaczymy, sumy, najpierw w gotówce, a następnie pod postacią bezpłatnej pracy ze strony wielu pań i stowarzyszeń.

Kryzys żywnościowa w Hamburgu wybuchnęła zaraz na początku wojny. To miasto olbrzymie, liczące milion kilkadziesiąt tysięcy ludności, tworzy oddzielną jednostkę polityczną, a wszystkie środki żywności czerpać musi bądź drogą morską, bądź z innych krajów niemieckich. Gdy więc przyszła wojna, a z nią zamilkły krany portowe, opustoszały zupełnie przystanie, a nadto ustał dowóz z niemieckiego kontynentu, nad miastem zawisło widmo ogólnego głodu. Niemcy jednak nie czekają katastrofy z założonymi rękoma. Już w sześć dni po wybuchu wojny, bo dnia 6. sierpnia 1914 roku utworzył senat komisyą, złożoną z 10 członków, która miała się zająć kwestyą żywności, i komisyi tej natychmiast dano do rozporządzenia 5 milionów marek. W rok potem utworzono stałą *Kommission für Kriegsversorgung*, mającą za zadanie zakupywać i dostawiać dla Hamburga żywność i paszę, i na to do rozporządzenia oddano kapitał 24 milionów marek.

Równocześnie społeczeństwo wytężyło wszystkie siły, by wspomódz usiłowania rządu. Zawiązano zaraz 2-go sierpnia 1914 r. towarzystwo HK *(Hamburgische Kriegshilfe)*, celem zajęcia się wyżywieniem mas ludu. Jeden z podkomitetów tego towarzystwa ma za zadanie odpowiednie pouczanie gospodyń, i w tym celu wydaje pisma ulotne (dotychczas wyszło ich 14 w 96.800 egzemplarzach), książki kucharskie (sprzedano przeszło 24 tysiące egzemplarze) i kursa praktyczne; w ciągu jednego roku od 1-go marca 1915 do 1-go marca 1916 urządzono okazowych gotowań wieczornych 325, w których brało udział 13102 uczestniczek i 325 gotowań dziennych z 2561 uczestniczkami.

Drugi podkomitet zajął się bezpośrednio żywieniem średnich klas ludności w urządzonych odpowiednio kuchniach, co o tyle przyszło łatwiej, że posiadano gotowe lokale i przybory w istniejących już od r. 1887 ludowych kawiarniach. Udział ludności w tych kuchniach był bardzo żywy, i jedni spożywają jadło na miejscu, inni biorą je do domów. Ponieważ towarzystwo HK mimo podrożenia cen artykułów żywności utrzymywało ceny za jadło te same, więc do końca roku 1915 dopłacić musiało z własnych funduszów 52.700 marek, nie licząc bezpłatnej pracy swych członków. Od kwietnia r. 1916, wobec niezmiernie wysokich cen targowych, musiano podwyższyć cenę jadła, i obecnie za obiad, złożony z trzech potraw, pobiera się 85 fenigów od osoby, czyli na naszą monetę 1 k. 20 hal. Mianowicie porcya zupy kosztuje 15 fenigów, mięso 50 f., jarzyna zaś 20 f. — O ogromie obrotu tych kuchni świadczą następujące cyfry: W r. 1914 wydano pojedynczych porcyi (to znaczy, zupy, mięsa lub jarzyny) 2,652.324, w r. 1915 wydano porcyi 2,132.890, zaś w r. 1916 w pierwszym kwartale 619 572.

Prócz tego od kwietnia r. 1916 towarzystwo zaprowadziło bardzo pożyteczną nowość, mianowicie dostarcza dla urzędników do budynków sądowych, cłowych itp. w południe po litrze na osobę gotowanego razem jadła, w cenie po 40 fen. za liter. Takich porcyi wydaje się około 2000 litrów dziennie. Nie zapomniano też o niezamożnych dzieciach, którym codziennie wydaje się po kilka tysięcy porcyj takiego jadła, przyczem jedno dziecko otrzymuje pół litra.

Lecz kuchnie opisane powyżej byłyby za drogie dla ubogiej ludności, dla nich też HK urządziło 78 kuchni, rozsianych

po całem mieście, głównie zaś w dzielnicach ubogich, gdzie za 20 fenigów (do 1-go sierpnia 1915 r. 15 fen.) sprzedaje się każdemu, kto się zgłosi, lub daje się do spożycia na miejscu w porcelanowych miskach 1 liter pożywnej strawy. Każda kuchnia zaopatrzona jest w dwa lub trzy kotły o pojemności 500 litrów, pod którymi wprost pali się ogień. Olbrzymia centrala HK zakupuje potrzebną żywność i dostarcza ją kuchniom, przyczem obrót miesięczny wynosi koło miliona marek. Każda kuchnia stoi pod zarządem damy, zwyczajnie pełniącej swe funkcye honorowo, a mającej pod sobą płatną kucharkę i posługaczki. Zarządczyni musi za pobrane artykuły z centrali uiścić całkowitą należytość, odtrącając sobie tylko 2 fen. od sprzedanego litra na pokrycie kosztów służby i administracyi. Ponieważ jednak owe 20 fen. nie starczą na pokrycie wszystkich kosztów, więc centrala HK dopłaca znowu zarządczyni odpowiednią różnicę, stosownie do cen targowych. Dopłata ta wynosiła w lecie b. r. 18 fen. do litra, że zaś dziennie wydaje się okrągło 85.000 litrów, więc dopłata wynosi miesięcznie okrągło 425.000 marek. Jest to więc jałmużna, którą społeczeństwo z funduszów publicznych dawać musi na utrzymanie biednej ludności.

Rodzaj jadła na każdy dzień przepisany jest z centrali, we wszystkich kuchniach w tym samym dniu podają to samo, tylko sposób przyprawienia i podania zostawiony jest kierowniczce, której usiłowaniem powinno być jak najsmaczniejsze przyrządzenie i najponętniejsza postać potrawy, Dla przykładu podajemy przepis i skład potraw na parę dni od piątku 2-go czerwca 1916 r., do środy 7-go czerwca 1916 roku. Każdy przepis jest obliczony na 50 osób,

Piątek 2/VI.: Zupa jarzynowa z knedlami. — 100 gramów viandalu, 5 funtów białej fasoli, 4 funty knedli, 2 funty jarzyny suszonej, 2 funty jarzyny świeżej, 20 funtów kartofli, sól.

Sobota 3/VI.: Mięso ze szpinakiem. — 6 funtów mięsa, 15 funtów szpinaku, 7 funtów ryżu, 25 funtów kartofli, sól.

Poniedziałek 5/VI.: Grysik z rabarbarem. — 12 funtów grysiku, 10 litrów niezbieranego mleka, roztworzonego 5-ma litrami wody, 10 funtów rabarbaru, 2 funty cukru, 3 funty tapioki, korzenie, sól.

Wtorek 6/VI.: Mięso ze szparagami i ryżem. — 6 funtów mięsa, 25 funtów kartofli, 8 funtów szparagów, 8 funtów ryżu, sól.

Środa 6/VI: Zupa posilna z jarzyną. — 5 funtów mąki po-

silnej (Kraftmehl), 20 funtów kartofli, 2 funty jarzyny suszonej i tyleż świeżej, 4 funty knedli, pietruszka, sól.

Jak widzimy, menu wcale nienajgorsze, chodzi teraz o to, jaka jest jego fizyologiczna wartość odżywcza. Będę starał się obliczyć ją używając przytem tablic zawartości składników odżywczych w pokarmach, podanych przez Brugscha i Schittenhelma [1]). Weźmy np. sobotę. Mamy tam:

	białka	tłuszczu	węglowodanów
6 funtów mięsa zawiera	540 gr.	600 gr.	—
15 funtów szpinaku „	278	37	270
7 funtów ryżu „	276	18	2723
25 funtów kartofli „	273	19	2608
Suma	1367	674	5601
na jedną porcyę	27,34 gr.	13,58 gr.	112,2 gr.

Gdy do tego dodamy 12 gramów białka i około 100 gramów węglowodanów, które zawierają się w dziennej wojennej porcyi chleba — o ile się rzeczywiście w niej zawierają, to znaczy o ile piekarz nie zastąpił zboża innymi surogatami, otrzymamy w rezultacie połowę tego, co według najskromniejszych oceniań zjeść powinien każdy człowiek dorosły, by utrzymać swe siły i zdolność do pracy. Na to więc, by 80 tysiącom ludzi śmierć głodową zamienić na powolne wyniszczanie się organizmu, dodawać trzeba jak widzieliśmy, 425 tysięcy marek miesięcznie, a więc blizko 8½ milionów koron rocznie, przyczem przeszło drugie tyle dawać musi sama dotycząca ludność. Te cyfry dają niejakie pojęcie o ogromie zadania, które leży dzisiaj przed rządami, a tem samem o natężeniu zbrodni, jaką Anglia, przez wojnę i swój upór przeciwko pokojowi, na ludności Europy dokonuje.

W sprawozdaniu dra Sievekinga interesująca jest jeszcze wzmianka o ochronie od śmierci głodowej niemowląt w Hamburgu. Zawiązane w tym celu towarzystwo stara się o to, by dla każdego niemowlęcia, względnie dla karmiącej matki, dostarczono tygodniowo 300 gr. cukru, 350 gr. mąki pszennej lub owsianej, codziennie liter niezbieranego mleka i miesięcznie funt mydła.

[1]) W dziele p. t.: Technik der speziellen Klinischen Untersuchungsmethoden. II. Teil. Berlin-Wien 1914.

W ten sposób Niemcy, prowadząc chociaż zwycięską, lecz bądź co bądź niezmiernie wyniszczającą walkę na wszystkich rubieżach, mimo niezwykłych wysiłków, jakich ta wojna się domaga, myślą i o przyszłości zwycięskiego państwa, by naród wzmagał się nietylko w potęgę, lecz by nie malał liczebnie.

Inaczej do rozwiązania tego ostatniego problemu zabierają się Francuzi. Jak dobrze wiadomo, narodowi temu grozi gwałtowny zanik z powodu ciągle malejącej liczby urodzin, która znowu ma swe źródło w moralnej atmosferze, tam panującej, w atmosferze, która cuchnie tylko żądzą zbytku i materyalnego dobrobytu, a unika wszystkiego, co trąci surowym idealizmem. Jak nizko pod tym względem naród, ten niegdyś tak świetny, upadł, świadczy o tem projekt ustawy, który deputowany Bénazet przedłożył francuskiemu parlamentowi. Oto celem zapobieżenia wyludnienia kraju ma się wzorem metody stosowanej dotychczas w hodowli zwierząt, premiować matki ludzkie. Każda z nich ma otrzymać za pierwsze dziecko 500 franków, za drugie tyleż, za trzecie 1000 franków, za czwarte 2000, a za każde dalsze po 1000 franków. Najcharakterystyczniejszy może ustęp tej ustawy stanowi klauzula, że premia ta ma być wypłacana każdej matce, bez względu na to, czy dziecko jest ślubne, czy nieślubne; by zaś zachęcić matki do starannego wychowywania fizycznego, nagroda będzie wypłacaną dopiero w rok po narodzeniu dziecka. Premiowane także mają być samce francuskie. Każdy z nich, w chwili gdy udowodni, że jest ojcem czworga ludzkich istot, o których utrzymanie starał się bez przerwy od ich urodzenia, otrzymuje 2000 franków. Fundusze potrzebne na te premie zebrać się mają z podatków, które w tym celu płacić będą osoby bezdzietne obojga płci, czy ślubne, czy nieślubne, jakoteż familie cieszące się tylko jednym potomkiem.

Oczywiście ustawa taka, świadcząca wymowniej nad wszystko o niebywałym w chrześcijaństwie fizycznym i duchowym upadku narodu, skutek zamierzony osiągnąć może tylko w sferach ubogich, gdzie nagrody powyższe mogą posiadać jakieś znaczenie, ale strach pomyśleć, jaki wpływ wywrą one w tych właśnie sferach, gdzie niedostatek i tak już duchowe szerzył spustoszenia. Nikt się też dziwić nie powinien, gdy widzi, jak w obronie takiej „cywilizacyi“ walczą Francuzi wspólnie z pozganianymi z poza światów czerwonoskórcami i ze swymi sprzymierzeńcami z drugiego krańca

Europy. Możeby jednak i ci oburzyli się, gdyby im zaproponowano, by ustawę podobną zaprowadzili w swych krajach.

Bieda, ta pani twarda, lecz mądra i zapobiegliwa, uczy przetrząsać wszystkie zaułki przyrody, czy gdzieś skądś nieda się wytrząsnąć jeszcze czego, coby z nią można zjeść. I rzeczywiście udało się odnaleźć niejedno, że tylko wspomnimy o drożdżach azotowych, które dostarczają tanim kosztem wiele substancyi białkowych. Ale prócz białka brak obecnie i tłuszczu. Otóż radca sanitarny i przełożony stacyi bakteryologicznej w Berlinie dr. C. S. Engel zwraca uwagę, że pulchne larwy znanej obrzydliwej muchy Musca vomitoria, te same, których używa się jako przynętę na haczyk wędki, odznaczają się obfitą zawartością tłuszczu, stanowić więc mogą wcale wydatne, a niezmiernie tanie źródło tego dzisiaj tak cennego artykułu spożywczego. Nie trzeba jednak wzdrygać się zawczasu i sądzić, że dr. Engel każe chleb wojenny smarować wprost pędrakami — co zresztą nieraz całkiem byłoby w harmonii — lecz tłuszcz pędraczy przedtem, zanim dojdzie pod nasze podniebienie, ma jeszcze oczyścić się w żołądkach wyższych zwierząt jak prosiąt, kur, gęsi, kaczek i t. p. Osobom zbyt wrażliwym, o ile one jeszcze na chlebie wojennym żyjąc, tej wady się nie pozbyły, przypomina dr. Engel, że tłuszcze, jak bardzo prawdopodobnie biologia i fizyologia wykazuje, nieprzechodzą do organizmu wprost z pożywienia, lecz najpierw pod wpływem soków trawiących rozpadają się na połączenia prostsze, które znowu w tkankach pod wpływem działania komórek, zespolą sie w związek tłuszczowy. To znaczy, że nie należy brzydzić się i czuć wstręt do drobiu spasionego na pędrakach, bo ten smalec z nich otrzymany nie jest tłuszczem pędraczym, lecz tłuszczem, utworzonym w organizmie gęsi czy kury, z materyału zaczerpniętego z pędraka. A zresztą czy ta teorya fizyologiczna jest prawdziwą czy nie — byleśmy tylko nie wiedzieli, co jemy...

Dr. Engel polaje bardzo praktyczny sposób produkowania tych larw. Nad starym zużytym wiadrem lub kubłem zawiesza się w siatkę drucianą lub inną zawinięte świeże, lub cuchnące odpadki, jak zwłaszcza wnętrza ryb, głowy drobiu, różne zepsute mięsa lub ścierwa, odpadki kuchenne i t. p. rzeczy wogóle nawet takie, których i wieprzkom dać nie można. Wszystko to stawia

się na słońcu, gdzie muchy, zwabione wstrętnym zapachem zgnilizny, przylatują skwapliwie i składają tam swe jaja. Po kilku dniach cała masa roi się od pędraków, tłustych, na półtora centymetra długich, które przez oka siatki spadają obficie do wiadra. W ten sposób w jednym kuble zyskiwać można, oczywiście przy odpowiednim dostarczaniu materyału, w niedługim czasie kilka kilogramów pędraków. Istoty te zaś, jak pokazały badania chemiczne i mikroskopijne, zawierają w sobie stosunkowo olbrzymią masę tłuszczu, tak, że kilo pędraków zawiera w sobie 45 gramów tłuszczu. Tłuszczu tego albo można używać jako karmy dla zwierząt, jak to wspomnieliśmy wyżej, przyczem daje się zwierzętom wprost pędraki, albo też do celów przemysłowych, a wtedy pędraki, po uzyskaniu z nich tłuszczu, użyte być jeszcze mogą jako bardzo dobry nawóz. — Przy dzisiejszym braku karmy dla drobiu warto naprawdę spróbować sposobu, podanego przez dra Engla. *Ks. F. Hortyński.*

Żydzi-nacyonaliści o niepodległości Polski.

W nrze 109 „Wiadomości Polskich“ czytamy następujące ciekawe zestawienie:

Prasa żydowska — ściślej żargonowa — w Królestwie Polskiem jest wytworem warunków rosyjskich. Dawność jej datuje się u nas od lat zaledwie dziesięciu. Powstała w okresie t. zw. „czasów wolnościowych“, ale rozwinęła się i wpływ swój wśród szerokich mas ugruntowała w latach porewolucyjnych, w okresie reakcyi. Znaczenie tej prasy wzrastało w miarę tego, gdy przewrotna polityka rządu carskiego usiłowała z jednej strony siać waśń niezgody i nienawiści między ludnością polską i żydowską, z drugiej zaś nastrajała ludność żydowską w duchu antypolskim.

Kierowana przeważnie przez elementy niemiejscowe, przenosiła prasa żydowska spór polsko-żydowski na forum ogólno-rosyjskie i ogólno-europejskie. Szczególnie uciekała się ona we wszystkich sprawach pod opiekuńcze skrzydła postępowej prasy rosyjskiej.

Przed wojną, a nawet jeszcze w r. 1915 skłaniały się one w stronę państwowości rosyjskiej, zachowując rezerwę wobec polityki czynnej polskiej.

Wyżej wspominaliśmy, że wpływ na masy żydostwa ugruntowała sobie prasa żargonowa w latach porewolucyjnych. Środkiem do

tego celu była krzykliwa „obrona“ interesów żydowskich wobec wszelkich istotnych i urojonych niebezpieczeństw. Rywalizowały między sobą pod tym względem wszystkie pisma, opierając się również na propagandzie odrębności kulturalno-narodowej żydów w Polsce.

Ta rezerwa i pozycya obrony interesów żydowskich przejawiła się naogół w ocenie przez prasę żydowską znaczenia aktu 5 listopada.

Najmniej zastrzeżeń wypowiedziała hebrajska syonistyczna „Hacefira“ warszawska. W artykule pod tytułem „Polska zmartwychwstała“ (nr. 248 z d. 7-XII) autor p. N. Frenk z nieukrywaną sympatyą mówi o walkach narodu polskiego o wolność. Kreśląc w zarysach ogólnych dzieje tych walk i historyę rządów carskich w Polsce, stwierdza dalej, że w konsekwencyi aktu 5-go listopada „Polska weszła w skład państw wolnych i samodzielnych“.

Stanowisko żydów polskich do tej nowej ery w życiu narodu określa „Hacefira“ jak następuje:

„My, żydzi, z których wielu walczyło wespół z lepszymi synami Polski o Jej swobodę, i z których wielu jest teraz w Legionach Polskich, smucimy się ich smutkiem i radujemy się ich radością“.

A dalej: „Jako obywatele, wierni krajowi, w którym żyjemy setki lat i wierni narodowi, wśród którego przebywamy, zawsze tęskniliśmy do swobody Polski, jej niepodległości. Nietylko jako obywatele przeciętni, ale może więcej, niż tacy, marzyliśmy o swobodzie Polski. Niezależnie od ucisku, na który wystawieni byli wszyscy obywatele kraju, znosiliśmy specyalne zarządzenia antyżydowskie rządu rosyjskiego. Rosya, usiłując obniżyć poziom ducha polskiego, starała się, zgodnie ze swemi interesami, skierować przeciwko żydom naród polski“.

Horoskopy na przyszłość stawia „Hacefira“ następująco: „Teraz, gdy jarzmo rosyjskie zostało usunięte, a duch Polaków nie będzie gnębionym, — mamy nadzieję, że Polacy powrócą do tradycyi swoich ojców, że pojmą, iż partya, która szerzyła nienawiść ku żydom i która hasło nienawiści przejęła od Rosyi, — mało troszczyła się o dobro kraju. Polska powróciła do życia jako państwo, a razem z państwem powrócą dobre tradycye narodu, przyświecać mu będzie duch Jego wielkich przodków, którzy dalecy byli od nienawiści i wrogich uczuć, i którzy potępiali ucisk i prześladowania“.

Mniej ugodowo, niż powyższy, brzmią głosy pism żargonowych. I one witają wskrzeszenie państwa naszego. I one nie szczędzą słów pochwały i uznania dla narodu polskiego za jego walkę bezwzględną i nieugiętą o wyzwolenie. Ale zamiast życzeń co do sanacyi stosunków

polsko-żydowskich w duchu „Hacefiry" wysuwają swe żądania, na które społeczeństwo polskie dotąd aprobaty swej dać nie mogło.

W dniu proklamowania wskrzeszenia państwa polskiego wystąpił zbliżony do władz niemieckich „Warschauer Tageblatt" z artykułem p. t. „Historyczny moment", w którym redakcya określa swe stanowisko wobec nastąpić mającego aktu historycznego: „Nieraz jużeśmy podkreślali, że my, żydzi z obozu narodowo-ludowego, solidaryzujemy się w zupełności z dążeniami politycznemi narodu polskiego i popierać będziemy narówni z innymi obywatelami kraju żądania historyczne do samodzielności i niepodległości".

A dalej: Domagamy się, aby nowa Polska uznała prawa żydów, jako mniejszości narodowej".

Konkretniej jeszcze formułuje „Warsch. Tagb." w sposób następujący: W wolnej Polsce trzeba będzie przysłuchiwać się głosowi całego narodu. A głos ten jest następujący: My, żydzi, jesteśmy narodem z własnemi specyficznemi narodowemi interesami. W wolnej Polsce muszą te nasze interesy być zagwarantowane przez konstytucyę. W wolnej Polsce musi naród żydowski, który posiadał na tej ziemi przed kilkuset laty urządzenia autonomiczne i żydowski sejm, odzyskać odpowiednie autonomiczne urządzenia narodowe (podkreślenie nasze), któreby zarządzały interesami żydów".

W temże piśmie pojawiły się jeszcze dwa artykuły omawiające akt 5-go listopada. W nrze 256 z d. 8-XI p. Sz. Stupnicki pisze w art. p. t.: „W uroczystej chwili": Dzień 5-go listopada jest równocześnie punktem zwrotnym w historyi żydów w Polsce. Obecnie, gdy Polska uzyskała wolność i niepodległość, powtarzamy w chwili uroczystej, gdy orzeł biały dumnie rozpostarł skrzydła nad naszemi głowami, obwieszczając urodziny nowego państwa polskiego, — iż spodziewamy się od nowej Polski, że strzedz będzie zasady prawa i sprawiedliwości, ludzkości i braterstwa; że będzie wierną matką dla wszystkich jej dzieci bez różnicy wyznania i narodowości i że da narodowi żydowskiemu możność rozwijania jego odrębności narodowo-kulturalnej".

W artykule „Niech żyje Polska" (Nr. 254 6-XI) czytamy: „My, żydzi, witamy podwójnie wielki dzień Polski. Witamy go jako obywatele kraju, z którym los nasz związaliśmy, gdyż wierzymy niezłomnie, że wolność Polski będzie również naszą wolnością pod względem obywatelskim i narodowym, i witamy ten dzień jako naród, który tak wiele cierpiał i nadal cierpi niesłusznie.

Jest to wielki dzień w historyi Polski, dzień znaczny w historyi ludzkości. Niech żyje Polska!".

W tym samym mniej więcej duchu wystąpił „Hajnt". Organ nacyonalistów grupy ludowej „Moment" (redaktorem jest Pryłucki, tej grupy kierownik) oprócz artykułu okolicznościowego pomieścił w nrze 259 i 261 dwa artykuły pióra Friszlendera p. t.: „Obowiązki państwowe, a obowiązki narodowe", omawiające stosunek żydów nacyonalistów do nowego państwa. Usiłuje on wyjaśnić przyczyny nieporozumienia polsko-żydowskiego gospodarką rządu rosyjskiego, zapowiada, że po proklamowaniu państwa polskiego kwestya żydowska musi być rozstrzygnięta i usiłuje przekonać czytelników, że można być dobrym obywatelem polskim i jednocześnie... nacyonalistą-żydem. Kończy następującym ustępem:

„Nowe państwo (polskie) tworzone jest w wyjątkowo trudnym okresie. Wiele sił i energii potrzeba będzie ze strony ludności kraju dla jego odbudowy po katastrofie wojennej i doprowadzenia go do stanu kwitnącego i biada polskim mężom stanu, jeżeli ślepy szowinizm będzie u nich silniejszy i przezwycięży rozum stanu. Niech każda narodowość dba o swą odrębność narodową, ale niechaj wszyscy wspólnie pracują dla dobra ich wspólnego państwa. Patenty na patryotyzm są zupełnie zbyteczne. Jeżeli państwo będzie wierną matką wobec mieszkańców, to wszyscy oni będą jego wiernymi synami".

Dla czytelnika polskiego nie są pozbawione zainteresowania głosy prasy żydowsko-niemieckiej i jej stosunek do państwa polskiego. Wiązankę tych głosów podaje zbliżony do władz niemieckich łódzki „Lodzer Volksblatt", organ nacyonalistyczno-syonistyczny. Pisze on (nr. 419, 13-XI), komentując te głosy prasy żydowsko-niemieckiej:

„Obecnie powinno się prędzej, niż kiedykolwiek, wyjaśnić, że nie liczymy na żadnych dobrodziejów, i że zależymy od sił własnych. Z chwilą ogłoszenia niepodległości przypieczętowana została w pewnym sensie również niepodległość „żydów wschodnich". Organ syonistów berlińskich „Jüdische Rundschau" — wywodzi dziennik łódzki — wita w dłuższym artykule usamodzielnienie Polski i tak pisze: „Nie czas dziś na wystawianie narodowi polskiemu rachunku ze strony narodu żydowskiego. Polacy wiedzą dobrze, czego żydzi żądają. Wiedzą oni, że żydzi na terenie okupowanym nie wyrzekną się za żadną cenę swej odrębności i tradycyi narodowych".

„Frankfurter Israelitisch Familienblatt" wyraża życzenie, aby

„oswobodzenie całej Polski odnosiło się również do żydów, aby dla nich rozpoczęła się nowa przyszłość".

Ortodoksyjny „Israelit" wyraża nadzieję, że nowa Polska zapewni żydom możność swobodnego rozwoju politycznego.

Mówiąc o prasie żydowsko-niemieckiej, warto przytoczyć głos dra Adolfa Friedemanna w zeszycie listopadowym „Neue Jüdische Monatshefte". W artykule tym, powtórzonym przez „Warschauer Tageblatt", proponuje on, aby wszyscy żydzi niemieccy porozumieli się co do kwestyi żydowskiej na gruncie następującego programu minimalnego.

„Żądać, aby konstytucya Polski zapewniła bezwzględne równouprawnienie z Polakami wszystkim mniejszościom narodowym w kraju, a więc też żydom. W prawach kraju niechaj mają ochronę swej odrębności kulturalnej i religijnej. Odrzucić należy każdy przymus polonizacyi i unikać germanizacyi.

Jak widzimy z powyższych głosów, usiłują wszystkie grupy nacyonalistyczne żydowskie krajowe i pozakrajowe zastrzedz sobie prawo odrębności żydowskiej w Królestwie. Pomijając już kwestyę, jak się do tego odniosą miarodajne czynniki żydów polskich, należy zaznaczyć, że nawet najliberalniejszy rząd na świecie nie mógłby się zgodzić na tworzenie i umacnianie w państwie nowoczesnym „getta" w formie sejmu żydowskiego, jak tego żąda „Warsch. Tagbl.". Państwo polskie dążyć będzie do rozwiązania kwestyi żydowskiej, kierując się przedewszystkiem i wyłącznie miarą pożyteczności tego rozwiązania dla dobra ogółu. Jest wątpliwem, czy intencye rządu polskiego i miarodajnych czynników wśród żydów polskich wypadną po myśli nacyonalistów żydowskich.

Problem socyalny obecnej wojny światowej.

Wśród obfitej a płytkiej przeważnie literatury wojennej, w czasie, kiedy krwawe opary wojenne przesłaniają jeszcze objektywną prawdę, pojawiła się w Brukseli ciekawa książka p. t. La Leçon d'une Crise, która odrazu znalazła tłómacza w Berlinie i żywotny znalazła oddźwięk w łonie potężnych stronnictw politycznych w Niemczech, Austryi i Szwajcaryi. Autorem tej książki, pisanej w „chwilach poważnych, kiedy dzień po dniu, tydzień po tygodniu pod jego oknami mknęły chyżo i ponuro pociągi z rannymi, kiedy pióro drgało od grzmotu dział, dolatującego zdala", jest belgijski dyrektor ministeryalny, Hektor Lambrechts, wybitny badacz społeczny, zaszczytnie znany z uczonych studyów nad kapitalizmem i pracy organizacyjnej jako sekretarz generalny de l'Institut international des classes moyennes w Brukseli. Treścią tej książki jest problem socyalny obecnej wojny światowej, która w rozumieniu autora niczem innem nie jest, jak światowem krwawem przesileniem ekonomicznem, jak ogólnem bankructwem dzisiejszej polityki i systemu gospodarczego, jak nowem tylko polem i nową formą zysków, stworzonem przez potentatów finansowych w pogoni za złotem.

„Gdyby kto twierdził, że wielkie przesilenie krwawe, które obecnie przeżywamy w Europie, jest tylko rezultatem praw nie-

odmiennych, pracujących od początku świata w społeczeństwach ludzkich, należy odpowiedzieć:

Nauka nie zna praw takich i nie odkryje ich nigdy, bo nie istnieją i istnieć nie mogą.

Gdy wam powiedzą: przesilenie obecne jest rezultatem zawiści rasowej, należy odpowiedzieć:

Nauka ani odrobiny przeciwieństw rasowych nie znalazła dotąd w żadnem przesileniu ekonomicznem. Nie sposób znaleźć dwu uczonych, zgadzających się w tej mierze.

Gdy w dziennikach czytacie: przesilenie obecne nie byłoby doprowadziło do krwawego wybuchu, gdyby w roku 1865 zastosowano się do polityki Napoleona III t. j. gdyby uregulowano granice według układu etnograficznego, należy odpowiedzieć:

Język jest tylko objawem tajemniczych i pokrewnych strun duszy, które, razem wzięte, stanowią o łączności jakiejś grupy ludnościowej. Wprawdzie zgodność granic politycznych z granicami grupy etnograficznej, przeświadczonej o swojej jedności, jest tylko czemś dodatkowem, i dowodzi, że koncentracya bezwarunkowo prowadzi do ruiny, ale przesilenie obecne przybrało tak wielkie rozmiary, że nie da sprowadzić się do jednej przyczyny, która zresztą zdawien dawna zawsze nader słabą okazała siłę pod tym względem.

Niektórzy jako łagodzącą okoliczność przytaczają aksyomat, że parcie ludu z północnego wschodu na zachód jest stałem zjawiskiem, towarzyszącem wszystkim przeludnieniom:

I to nie, bo przeludnienie występuje tylko w pewnych okolicach dlatego, że w sposób nieudolny zacieśniono naturalny rozrost ludności.

Wreszcie inni powołują się na fata morgana panowania nad światem.

Tu już zbliżamy się do prawdy, ale tłumaczenie to jest zarazem wyznaniem, że tu duża krzywda stała się ludzkości. Groźnych przestróg nie brakło. Doświadczenie dziejów przemawiało głośno i dojmująco, że „pierwszy krok do panowania nad światem jest zarazem pierwszym gwoździem do trumny narodów". Der

erste Schritt zur Weltherrschaft bildet zugleich den ersten Nagel zum Sarge der Völker[1]

„Nasze rozważania są tylko świeżem potwierdzeniem tezy prof. Ruhlanda, który dowodzi, że przyczyną upadku potężnych państw w historyi była zawsze fałszywa polityka gospodarcza[2]).

Oto nauka rzucająca się w oczy z obecnego przesilenia krwawego.

Nauka to straszna i dojmująca. Odpowiednie słowa na jej wyrażenie znajdujemy tylko w przepowiedni króla wieszcza, który przed trzema tysiącami lat zdarł zasłonę z przyszłości: „A teraz, królowie, rozumiejcie, ćwiczcie się, którzy sądzicie ziemię"[3]).

Według słów tedy autora książka jego jest tylko potwierdzeniem i uzupełnieniem tezy Ruhlanda, który jako profesor ekonomii politycznej na uniwersytecie fryburskim, a później jako rzecznik potężnego stronnictwa agrarnego w Niemczech, podjął walkę nieprzejednaną przeciwko anarchii na rynku zbożowym i lichwiarskiemu kapitalizmowi pożyczkowemu, bankowemu i giełdowemu. Przenikliwa krytyka jego nabiera niekiedy siły proroczej. „Sięgnijmy wzrokiem w przyszłość — czytamy np. w III. tomie jego ekonomii politycznej w r. 1908 — jak groźnie rysują się tam przedewszystkiem te wielkie bitwy, rozstrzygające pomiędzy Niemcami a Anglią... pomiędzy Niemcami a Stanami Zjednoczonymi (str. 298). To też dziś po jego śmierci szerzy się w Niemczech w łonie stronnictwa agrarnego prawdziwy kult i cześć dla jego pracy naukowej i to nadaje tezom jego programowym doniosłe znaczenie[4]).

[1]) Edmund Klapper: Leitgedanken aus Ruhlands-System str. 34.

[2]) Volkswirtschaftliche Grundbegriffe str. 10.

[3]) Hector Lambrechts: Grundursachen und Grundlehren der Weltkrieges. Mit Genehmigung des Verfassers nach dem Original „La Leçon d'une Crise" ins Deutsche verkürzt übertragen. Berlin, Issleib str. 128. Szkoda tylko, że w tłumaczeniu, w dodatku skróconem, jasna myśl autora urywa się niekiedy i gubi jakby we mgle. Czy z winy autora, czy tłumacza, czy cenzury wojennej, nie mając oryginału pod ręką, trudno nam stwierdzić.

[4]) W roku 1915 pod wpływem wydarzeń wojennych, zgadzających się z poglądami i przepowiedniami Ruhlanda powstało w Berlinie w celu szerzenia jego nauki w szerokich kołach publiczności stowarzyszenie pod nazwą „Ruhland-Gesellschaft". Przewodniczącym stowarzyszenia jest Burggraf zu Dohna-Potsdam. Sekretaryat związku znajduje się w Berlinie SW. 48, Friedrichstr. 246.

Poglądy te zresztą są zaczerpnięte i wspólne i pokrewne programowi katolickich polityków socyalnych szkoły Vogelsanga, którzy budując na encyklice Leona XIII „Rerum novarum“ i filozofii sosyalnej średniowiecza, w anarchii produkcyi i urabiania cen i w lichwiarskim kapitaliźmie upatrują główną przyczynę dzisiejszych niedomagań społecznych i klęsk wojennych.

„Obecna wojna światowa — czytamy w noworocznem rozważaniu wiedeńskiego dziennika stronnictwa chrześcijańsko-socyalnego — jest owocem życia bez Boga, które, toczone rozterką, utraciło panowanie nad rzeczami materyalnemi. To owoc dzisiejszego systemu gospodarczego, który, pomijając człowieka i kulturę duchową, zysk materyalny stawia na pierwszem miejscu, który prowadzi produkcyę dla produkcyi tylko...

Wszystkie tu ludy zawiniły, które przejęły się dzisiejszą pseudokulturą i fałszywemi zasadami gospodarczemi. Pokój trwały zakwitnąć może tylko po pokonaniu i zniszczeniu plutokracyi po wszystkich krajach. Jedno z czasopism w Niemczech problem ten tak określa: „Nie książęta, ani wodzowie, ale lichwiący potentaci finansowi zapragnęli wojny. Oni to wzniecili ten pożar w łupieżnem współzawodnictwie o obszary handlu światowego, w nadziei, że w tej rozpaczliwej walce ludów ujarzmią opornych, że wyczerpanym narodom narzucą swe usługi łupieżne...

Jeżeli osiągną swój cel, to ludy, przytłoczone olbrzymiem brzemieniem długów, będą musiały pracować dzień i noc, by wyzwolić się z tej niewoli finansowej.

Nie może zatem być trwałego pokoju, dopóki właściwi gnębiciele ludów nie zostaną zdemaskowani i pokonani. Droga atoli do celu tego jest daleka... Bo oni zręcznie posługują się frazeologią, ażeby omamić i podbić w moc swoją ludy, bo oni rzucają piękne hasła o wolności, prawach ludu i postępie, a wszystko poddają w podejrzenie, co podnosi lud i niesie mu pomoc, nazywając to zacofanem, przestarzałem, nieodpowiadającem kulturze wieku. W służbie ich są liczne dzienniki, posłowie i dostojnicy na wysokich częstokroć urzędach, ażeby w sfery rządowe wnieść zamieszanie i ludy z góry i dołu ująć w tłócznię.

Dopóki plutokratyczni ci fałszerze polityki nie zostaną usu-

nięci, a w ich miejsce nie wejdą ludzie uczciwi, którzy mają serce dla ludu i zrozumienie dla jego spraw, pokoju trwałego nie będzie".

Do silnych słów tych dodajmy jeszcze dwa znamienne głosy przeciwnego obozu z pola walki, umieszczone w styczniowym numerze 1917 r. miesięcznika „Die Tat", organu kultury niemieckiej.

„Jest ścisła łączność — czytamy w pierwszym z tych listów — pomiędzy techniką a dążeniem do potęgi „Willen zur Technik", a „Wilien zur Macht" w rozwoju ludu naszego. Technika jest przyczyną hiperprodukcyi a hiperprodukcya stworzyła dążenie do potęgi. A gdzie prawo moralne?

Hiperprodukcya była tylko pozorną koniecznością. Drogi i środki, żeby ją obejść, znalazłyby się i to nietylko z przyczyn socyalnych.

Zrozummy się jako Niemcy. Wojna szaleje. Wygrana musi być po naszej stronie...".

Drugi korespondent frontowy pyta się, jaką naukę społeczeństwo wyciągnęło z tej wojny straszliwej. „Gdy czytam — pisze — wasze artykuły wstępne, gdy czytam o tajnych, a w gruncie rzeczy zgoła nie tajnych preludyach wojny, o waszej „Mitteleuropa" i t. d., powiem wam i powtarzam to raz jeszcze, że niczego nie nauczyliście się z tej klęski światowej. Jesteście i dziś jeszcze takimi, jakimi byliście, gdy krwawe „mane tekel" ukazało się na ścianie gmachu kulturalnego. Niema wogóle żadnych tajnych preludyów wojny. Jest tylko jedno wielkie, europejskie, światowe preludyum, mianowicie, wasza siła i wasz interes. To jest ten wielki fakt epokowy, wciąż kłócący się z etyką, wciąż owiany kłamliwą estetyką. Jest to ten kult powodzenia, wyhodowany w szkole, ta sofistyka materyalistyczna i cały zachodni nihilizm logiczny, z pomocą którego z wydarzeń kujecie zasady, a z faktów budujecie teorye. Oto wojna europejska.

Nie Niemcy, jak niektórzy niepoprawni mniemają, ale cała nasza kultura europejska wogóle pracowała nad tym krwawym dokumentem historyi".

Głosy te z wręcz przeciwnych obozów dziwnie przypadają do tezy autora, który cały dzisiejszy problem socyalny sprowadza

do trzech przyczyn, toczących dzisiejszy organizm społeczny, do trzech śmiertelnych rysów, występujących na smętnem obliczu dzisiejszego społeczeństwa.

Pierwszą znamienną cechą rozwoju dzisiejszych społeczeństw kulturalnych jest niepomierny wzrost wielkich miast. Co ciągnie ludzi do tych mrowisk pracy i życia społecznego?

Pęd naśladowczy, odpowiada Tarde. Zapewne, przykład pociąga, ale więcej jeszcze różne ponęty i pozory, publiczne obchody i festyny, blask komfortu. Ponęty wielkiego miasta mamią fantazyę, atmosfera psychiczna wpływa na wolę i rozpościera wokoło moc atrakcyjną.

Od szeregu lat — tłumaczy autor — usiłowałem zrozumieć motywy, pchające ludzi do wielkich miast i przekonałem się, że zawsze największą moc atrakcyjną wywierały chęć używania i chciwość. Inni to samo zrobili spostrzeżenie. Prof. Ruhland mówi: „Wyludnienie wsi jest koniecznem następstwem rozpościerającego się panowania kapitalizmu, który krzewi wśród ludu chęć do zysków i używania".

Vandervelde przyrównuje wielkie miasta do potworów morskich, które wszystko, co im się nawinie, w swoje straszliwe ramiona i macki obejmują i duszą.

Rousseau nazwał wielkie miasta otchłaniami, pożerającemi rodzaj ludzki.

Miasta wielkie podcinają wszystkie źródła i więzy tradycyi i solidarności rodzinnej, burzą życie i niszczą żywotność rodziny, i prowadzą ostatecznie do zachwiania równowagi i zupełnej ruiny zdrowia i życia społecznego.

Dziś miasta nie są jak ongi stłoczone i ściśnięte murami, ale spekulacya gruntów budowlanych wywołuje w nich pod względem socyalnym i zdrowotnym dużo może większe, niż dawniej niedomagania. W miastach możność zarobkowania nie da się pomnożyć w nieskończoność, a mieszkanie, utrzymanie i wszystko, co do życia jest potrzebne, wskutek rosnącej renty gruntowej i zwiększających się podatków i komfortu życia z dniem niemal każdym drożeje.

To też ciężka troska o chleb codzienny przygniata każdą

niemal rodzinę, tem dotkliwiej, im liczniejszą jest. I tu tkwi główna przyczyna i źródło tego jadu, który wżera się w życie rodziny i sprawia, że potężne i ludne narody własną dobijają się ręką.

Żywotność rodziny zamiera, a życie jej rozprzęga się. Atmosfera indywidualistyczna wielkiego miasta wyciska niezatarte piętno na życiu ludności. Zrywa się łańcuch tradycyi i solidarności życia rodzinnego. Syn, gdy uzyska samodzielność, nie buduje już na spuściźnie ojca, nie krępuje się normami tradycyjnej uczciwości i sumienności, nie dopomaga, nie wygładza drogi rodzeństwu do zdobycia sobie egzystencyi i polepszenia dobrobytu. Solidarność rodzinna, zacieśniona zwyczajnie do nielicznych form konwencyonalnych, znika prędko, często jeszcze za życia ojca. Tak życie rodzinne, na którego straży stał Bóg, wyradza się w instytucyę cywilno-prawną, która przestaje być filarem nieporuszonym życia społecznego.

W dziejach przeszłości rozwój taki prowadzi zawsze do upadku materyalnego i samobójstwa narodów. Tak zginął świat antyczny.

Polibyusz pisze o Grecyi:

„Depopulacya, brak ludzi daje się dziś w całej Grecyi odczuwać. Miasta pustoszeją, ziemia leży odłogiem. Ludzie wynoszą hardo głowę, oddają się chciwości i próżniactwu. Nikt nie chce żenić się i w małżeństwie dzieci wychowywać. Mieć jedno albo najwyżej dwoje dzieci, ażeby im większy pozostawić majątek, oto szczyt marzeń dzisiejszych rodzin".

Nie inaczej było w Rzymie, gdzie z rosnącą depopulacyą podjęto bezskuteczną walkę za pomocą ustawy.

Co się tyczy współczesnych ludów kulturalnych, prof. Ruhland, porównując ówczesny stan z dzisiejszym, dochodzi do takiej konkluzyi:

„Tak tedy, żądzą złota opanowane, ludy kulturalne po tej i tamtej stronie Oceanu, skazane są na wymarcie, jak ludność świata antycznego"[1]).

Drugim groźnym momentem w rozwoju dzisiejszej kultury

[1]) System der pol. Ökonomie t. III, str. 189.

to żadnem prawem etycznem nieokiełznana chciwość i koncentracya finansowa.

W dzisiejszem społeczeństwie i porządku gospodarczym pracują bezustannie dwie wrogie potęgi nad wywołaniem strasznych przesileń i wojen, mianowicie duch industryalizmu, ogarniający i znieprawiający wszystkie pola działalności ludzkiej i koncentracya finansowa, wysadzająca na czoło ludzkości kilka tysięcy potentatów finansowych. Industryalizm, według autora, należy odróżnić od kapitalizmu, który polega na indywidualnem zagarnięciu owoców cudzej pracy lub ziemi. Industryalizm natomiast w ogólnem znaczeniu to chciwość, która znieprawia wszelką działalność, a w ścisłem wstrząsa równowagą ekonomiczną i toruje drogę do koncentracyi. Industryalizm popycha i pociąga ludność roboczą ze wsi do przemysłu, bo tam wyższe zarobki. Średnie warstwy nęci pokusą zdobycia sobie synekury albo jakiejś posady za cenę wolności osobistej. Wyższe zaś warstwy i arystokracyę, która powinna zaciągnąć się do służby publicznej, choćby ze szkodą prywatnego majątku, zjednywa sobie wysokiemi dywidendami, tantyemami i zyskami giełdowymi.

Industryalizm owionął swoim zatrutym duchem rolnictwo, przemysł i handel. Tylko rzemiosła, które trzymają się zdala od produkcyi współdzielczej i zadowalniają się mniej wydatną wytwórczością, nie poszły w jego służbę. „Na dnie industryalizmu, mówił już Perin, tai się dużo złych namiętności, nieokiełznanych pożądań i nienasyconej chciwości".

Przebiegnijmy tylko olbrzymie pole wytwórczości ludzkiej, jak tam hula industryalizm:

„Nieokiełznana żądza zysków popchnęła wielu do bezwstydnego wyzysku robotnika (kwestya robotnicza), spowodowała ruinę całego szeregu samodzielnych rzemieślników (kwestya rzemieślnicza), podbiła ziemię w moc kapitału (kwestya agrarna) i pochłonęła handel drobny przez wielki (kwestya handlu detalicznego).

Sam proces wytwórczy nie uchronił się od zgubnych jego skutków. „Do przyczyn bowiem obecnego przesilenia należy zaliczyć też nadużycia, jakich dopuszczano się z nowemi odkryciami".

Powtarzano zawsze, że fabryka, pracująca intenzywnie i na wielką skalę, że przeobrażenie małego warsztatu w wielkie przedsiębiorstwo jest wyłącznie postulatem i rzeczą techniki.

Niewątpliwie, dużo w tem prawdy, ale czyż maszyna nie poczęła odrazu wszędzie rugować robotników, zanim zdano sobie sprawę, jaka korzyść stąd będzie? Co było powodem tych gorączkowych przeobrażeń postępowych? Czy przedsiębiorcom tym szło o dobro fizyczne lub moralne robotników, o solidność wyrobów?

Wyzysk częsty i przeciążenie pracą robotników, lichy towar, napływ ludności, zebranej ze wszystkich stron świata do ognisk przemysłu i wszystko złe, co za tem idzie, oto cena, za którą garść przedsiębiorców zdobyła sobie pewne korzyści kosztem zdrowia życia społecznego.

Czyż w przemyśle nie sposób było za pomocą elektryki przeprowadzić technicznej decentralizacyi? Dlaczego liczne motory drobne nie zastąpiły fabryki, jak ongi maszyna położyła koniec rękodzielnictwu warsztatowemu? Bo w życiu gospodarczem element techniczny tylko podrzędną odgrywa rolę, bo tylko drogą centralizacyi dochodzi się do wielkich zysków.

Dziś, co się stało z życiem rodzinnem? Zaledwie się zawiąże, już ulega rozprzężeniu. Matka, ojciec, dzieci, od dzieciństwa aż do późnego wieku są tylko gośćmi w domu.

Rozstrój rodziny wnosi rozstrój do społeczeństwa. Wśród robotników niezadowolenie i raz po raz wrzenie. Wśród stanu średniego zaginęły energia w pracy, opatrzna zapobiegliwość, talent administracyjny, inteligencya i wykształcenie. Wśród warstw wyższych industryalizm szerzy tylko chciwość i żądzę używania.

W ostatniem stadyum swego rozwoju industryalizm, gdy się przyoblecze w potęgę finansowych zespołów, gdy wejdzie w okres koncentracyi, łatwo prowadzi do bezroboci, hiperprodukcyi i różnych przesileń.

Do bezroboci zresztą siłą rzeczy rozwój techniki maszynowej prowadzi, rugując niekiedy robotników masami z fabryki i rzucając ich na targ pracy... Fabryki coraz mniej potrzebować będą robotników, bo praca coraz więcej przybiera charakter automatyczny. Przyjdzie czas, że zaledwie robotnika ujrzysz przy warszta-

cie, że może wnet spotkamy się z groźnym problemem o g ó l n e g o b e z r o b o c i a".

Dodajmy do tego hiperprodukcyę, z powodu której w wielu krajach trzeba za każdą cenę szukać rynków zbytu, żeby uniknąć wielkiego bankructwa, usunąć zastój i uchylić się od strasznych przesileń.

„Japonia tylko dlatego wypowiedziała wojnę Rosyi, żeby zawładnąć niepodzielnie azyatyckim rynkiem" [1]).

W rolnictwie pojawia się industryalizm, gdy średnia własność poczyna zanikać pod tłocznią koncentracyi finansowej. Tak było w dawnym Rzymie, tak w Anglii w połowie 18. wieku. Cechą charakterystyczną i celem agrarnego industryalizmu jest znowu podobnie jak w przemyśle wyższy zysk kosztem zdrowia fizycznego i moralnego ludności, kosztem harmonii pomiędzy właścicielem a robotnikiem rolnym. Przeobrażenie to zwyczajnie idzie w parze z tworzeniem się latyfundyów.

Socyolog francuski, De la Tour du Pin, który pokazał nam na oko przerażające skutki industryalizmu w ludnych ongi i bogatych prowincyach Francyi, mówi, że system ten na ludność rolniczą podobny wpływ wywiera jak fabryka na robotników przemysłowych. A więc wyższe, ale niestałe zarobki, praca kobiet i dzieci, lokalne przeludnienia, upadek życia rodzinnego, przypływ robotników sezonowych i straszna demoralizacya młodzieży.

„Dlaczego, pyta się autor, tak łatwo tworzą się bandy robotników sezonowych we Flandryi i w Polsce, dlaczego system ten pracy w Anglii w 19 wieku tak szybko się rozszerzył? Bo one się tworzą pod wpływem żądzy używania i wyrastają na tle popędów swawolnych i brudnych".

W dziedzinie handlu industryalizm dziś w dwu przedewszystkiem pracuje kierunkach: przeprowadza różne operacye, żeby stosownie do potrzeb chwili podbić lub obniżyć ceny i zdobyć monopol na dane towary lub też w celu uzyskania wyższych zy-

[1]) Méline Jules: Le Retour à la Terre et la Surproduction industrielle Paris, Hachette.

sków kojarzy, przetwarza i w nowe łączy przedsiębiorstwa różne i odrębne instytucye finansowe, handlowe i produkcyjne.

„Zakłada się lub zwija np. fabrykę lub jakąś instytucyę finansową, wciela się ją w kartel lub trust. O chleb zaś codzienny, o dobrobyt ludności, zawisłej od przedsiębiorstwa nikt się nie troszczy, ani nie dba o to, żeby robotnicy mieli egzystencyę zabezpieczoną i przejście do innych zajęć ułatwione".

„Chciwością podyktowany industryalizm techniczny dba tylko o to, żeby dywidendy rozdzielono, a nie troszczy się, by towary dostały się tam, gdzie są potrzebne w konsumcyi. Przecież z braku towarów i codziennej fluktuacyi cen kupiec większe ciągnie zyski, niż ze stałych cen i wielkich zapasów. Nowa technika handlowa polega właśnie na tem, żeby stworzyć fluktuacyę cen i wywołać sprytnie upozorowany niepokój i sprzedawać fikcyjne towary, spekulując na różnicę cen".

Solidny natomiast handel dbał zawsze przedewszystkiem o zaspokojenie potrzeb konsumentów i o rozesłanie towarów tam, gdzie były potrzebne.

W ślad za industryalizmem idą liczne bankructwa i bezrobocia, bo tak się zwyczajnie kończą te przygodne kojarzenia instytucyi finansowych i produkcyjno-handlowych. Rozprzężenie rodziny i duch buntu ludzi, wytrąconych bezwinnie ze swojej pracy zawodowej, a z drugiej strony serwilizm oficyalistów i robotników, zawsze pasorzytnie krzewiący się na gruncie zawisłości ekonomicznej.

„Industryalizm, przenikający szeroko i głęboko życie gospodarcze w dziedzinie przemysłu, rolnictwa i handlu, wywołuje zawsze przesilenia międzynarodowe".

Ale bo też „nędza społeczna, mówi Perin, rośnie w prostym stosunku do zasad i obyczajów, szerzonych przez industryalim" [1]).

A powtóre „w miarę, jak industryalizm, dodaje De la Tour du Pin, całą działalność gospodarczą poddaje w moc przemysłu, bierze górę kapitalizm, który pieniądz czyni panem świata" [2]).

[1]) La Richesse str. 310.

[2]) Vers un ordre social chrétien str. 208.

W końcu, co najważniejsza, industryalizm w ścisłem znaczeniu wstrząsa zawsze podstawami i równowagą świata ekonomicznego i nieuchronnie prowadzi do ciężkich przesileń społecznych i politycznych.

Warunkiem i podstawą kwitnącego życia i rozwoju ekonomicznego w narodzie jest zawsze zdrowy stosunek pomiędzy przemysłem a rolnictwem.

Wiadomo, że Malthus oparł swój system na wydajności ziemi, w jego mniemaniu nie dotrzymującej kroku wzrostowi ludności. Dziś postęp techniki rolniczej, nawozy sztuczne i maszyny rolnicze sprawiły, że tam, gdzie rolnictwo na wysokim znajduje się stopniu rozwoju, nie zabraknie nigdy środków do życia dla rosnącej w liczbę ludności. „Historya belgijskiego rolnictwa w ostatniem stuleciu pokazuje nam na oko, co praca wydobyć potrafi z ziemi przy najgęstszem w Europie zaludnieniu". Zapewne i wydajność ziemi i hodowla bydła ma swoje granice, ale do granic tych nie dotarło jeszcze żadne społeczeństwo, dziesiątkowane zresztą od czasu do czasu przez różne klęski i wojny.

„Przemysł natomiast wytwarza tylko narzędzia albo towary. Gdy potrzeby rynku są zaspokojone, trzeba wstrzymać pracę, bo produkty przemysłowe nie zużywają się tak prędko, jak płody rolne i nie docierają wszędzie. Producenci zaś mogą tymczasem z głodu umrzeć, jeżeli rolnictwo nie zdoła zużyć, ani zamienić wyrobów przemysłowych".

Zwolennicy teoryi manczesterskiej powiedzieli sobie: w jednej części świata zakwitną nieprzejrzane łany zboża, w innej pracować będą warsztaty przemysłowe. Handel pośredniczyć będzie pomiędzy państwami przemysłowemi a rolniczemi. „Myśl wspaniała dla zmechanizowanego społeczeństwa, w którem żadne kółko nie stanie, ani żadnej nie zazna przeszkody. Społeczeństwo wszelako stanowi organizm, a wolność woli i mnogie namiętności ludzkie udaremniły ten ideał".

Państwa w dziedzinie handlu wprowadzają granice celne, handel zaś w ręku spekulantów podbija lub obniża dowolnie ceny i pomnaża fikcyjnie masy zboża. „Zdarzyło się, że rolnicy zbiory

swoje wrzucili w morze, żeby ceny wskutek nadmiaru nie obniżyły się, że kupcy zastrejkowali".

„Prawdziwy postęp w tym kierunku polega na tem, żeby ogniska produkcyi zbożowej rozrzucone były po całej ziemi, i żeby jak najmniej było stacyi pośrednich". Im bliżej konsumenci są źródeł produkcyi, tem obfitsze i tańsze są środki żywności.

„Gdym porównywał ceny przesilenia w roku 1911, przekonałem się niezbicie, że tu dokonała się spekulacyjna koncentracya handlowa, którą było można rozbić tylko przez zniesienie przestrzeni, dzielącej konsumentów od kraju produkcyi".

Krajowy warsztat rolniczy powinien zawsze dostosować się do potrzeb ludności i wciąż się pomnażać i swoją wydajność powiększać.

Gdy atoli poczną tworzyć się latyfundya i obdłużenie ziemi rość będzie niepomiernie, zabraknie ziemi dla robotników rolnych, a gdzie dawniej kwitnące rozwijały się wsie, uganiać się będą jelenie i sarny za skąpem pożywieniem.

Prawda, i przemysł zdoła wyżywić masy ludności, ale ekspanzya jego zależy zawsze od rynków zbytu. „Nadmiar robotników pociąga za sobą chroniczne bezrobocia. Emigracya jest niemożliwa, albo bardzo utrudniona. Bo za socyalizacyą produkcyi idzie podział pracy, przeprowadzony w najdrobniejszych szczegółach tak, że robotnik, który porzuca swoją pracę, rychło ginie w masie niewykwalifikowanych robotników".

To też zachwianie równowagi produkcyi na niekorzyść rolnictwa prowadzi nieuchronnie do przesilenia.

Gdy bowiem zabraknie rynków zbytu dla produkcyi przemysłowej albo środków żywności dla ludności, albo jednego i drugiego, gdy zawiodą wolny handel i polityka i traktaty handlowe, jedynym środkiem pozostanie wojna. „Potrzebujemy zboża! Wolny handel dostarczy nam go. Być może, ale czy tak długo trwać będzie? Czy nie zabraknie wam rynków zbytu? Czy zawsze będzie można dotrzeć do konsumentów? Historya już nieraz na pytania te odpowiedziała przecząco i wówczas, aby wrzenie ludu poskromić, trzeba było z mieczem w ręku postarać się o chleb i mięso.

W ciągu lat dziesięciu wystąpiły niebezpieczeństwa te z całą

grozą. Nieraz spichlerze były przepełnione towarami, i ażeby zbyć je, trzeba było użyć dowcipu, przekupstwa albo siły brutalnej, podbijając i wypierając słabszych współzawodników.

Zabiegi polityków nie zawsze zdołają przywrócić równowagę w warsztacie produkcyi narodowej bez krwi przelewu".

Główną wszelako przyczyną i najpotężniejszym czynnikiem przesileń w naszych czasach jest koncentracya.

Przekonanie i pogląd ten, tłumaczy autor, „opieram na obserwacyi życia ekonomicznego lat ostatnich, na studyum historyi i analizie rozwoju i celu koncentracyi", jako zjawiska ekonomicznego.

Że koncentracya odbywa się we wszystkich dziedzinach życia ekonomicznego, choć nie według praw immanentnych, jak chciał Marks, nie podlega żadnej wątpliwości. „Wszyscy uczeni, którzy rozważali problemy przemysłu, handlu, rolnictwa i ruchu finansowego, jednego w tej mierze są zdania". Tylko ludzie, którzy nie chcą wogóle przyznać, że istnieje kwestya socyalna, że grozi wogóle jakieś przesilenie, przeczą temu.

Koncentracya ta tai się najczęściej pod legalną własnością. Na przykład w rolnictwie panem jest właściwie ten, kto naznacza ceny na produkty rolne, i kto ma w ręku skrypty dłużne właściciela albo dzierżawcy. W południowej Ameryce przecież doszło do tego, że bankierzy zastrzegają sobie prawo zakupna zboża. Koncentracya finansowa jest tylko koroną procesu skomplikowanego i tajemniczego, którego poszczególnemi fazami jest koncentracya w handlu, przemyśle i rolnictwie. Koncentracya ta dokonywa się przedewszystkiem tam, gdzie napotyka na najmniejszy opór w tej lub owej gałęzi zarobkowej, i kończy się zwyczajnie na koncentracyi finansowej.

Tak na giełdzie dokonywa się fikcyjna koncentracya całego handlu.

W dziedzinie agrarnej rozróżnić należy trzy fazy koncentracyi, które w razie dużych niedomagań niekiedy zlewają się w jedno: koncentracyę płodów rolnych, koncentracyę pracy i ziemi.

Koncentracya produktów rolnych obejmuje przedewszystkiem te, bez których obejść się nie można. Tak zboże, mięso stały

się przedmiotem chciwej zysków spekulacyi. Pole olbrzymie dla operacyi giełdowych i sztucznie wywołanych przesileń.

Stworzono fikcyę „rynku światowego". W miejsce lokalnych rynków i związków, gdzie się spotykali producenci z konsumentami, powstał szereg targów bankowych, gdzie spekulujący maklerzy ustanawiają ceny na zboże. Dzięki fikcyjnemu uruchomieniu zboża za pomocą kontraktów terminowych koncentracya pracuje z taką chyżością, że już nieraz monopol zboża zagrażał światu.

Pierwszem następstwem tej koncentracyi jest zanik rolnego stanu średniego wskutek rosnącego obdłużenia ziemi. Ziemia poczyna zmieniać swoje oblicze: część przybierze charakter industryalny, reszta pójdzie na cele luksusowe i spekulacyjne.

Latyfundya wszelako nie mają warunków rozwoju. Trzeba je sztucznie podtrzymywać prawem majoratu, bo industryalizm w gruncie rzeczy rujnuje rolnictwo. Ziemia wnet dostanie się w niewolę tych samych bankierów, którzy wyniszczyli i obrócili w ruinę stan średni, i przechodzić będzie z rąk do rąk lub pójdzie na parcelacyę. Uruchomienie ziemi poddaje ją nieuchronnie w niewolę kapitału pieniężnego.

Do tego samego celu zmierza koncentracya w przemyśle.

Gdy fabryka pochłonęła szereg warsztatów drobnych, zdawało się, że koncentracya osiągnęła swój cel. Stało się przecież zadość prawu techniki i postępu. Ale koncentracya jest nienasycona. Niebawem rozpoczyna się nowa faza. Fabryka pochłania fabrykę, jak firma handlowa inną firmę, współzawodniczącą z nią. Kilka fabryk łączy się w kartel, ażeby zniszczyć słabszego współzawodnika. Fabryka wreszcie zamienia się w przedsiębiorstwo handlowe, ażeby za pomocą trustu prędzej zapanować nad rynkiem i zawładnąć monopolem, który jest koroną i celem koncentracyi w przemyśle.

Walka konkurencyjna w przemyśle nie zmierza do pomnożenia towarów, przeciwnie im mniej towarów, tem większe zyski. To też duże kapitały obraca się na to, aby zniszczyć lub doprowadzić do dobrowolnego zwinięcia współzawodniczące fabryki. Większość akcyi przechodzi w ręce banków, które pracują nad stwo-

rzeniem trustu i ujmują w ręce swoje ster całego przedsiębiorstwa. I oto koncentracya przemysłowa znowu kończy się na koncentracyi finansowej.

Cechą znamienną koncentracyi pieniężnej jest pasorzytnictwo. Nie potrzeba pracy twórczej, wystarczy spekulować na różnice. Idzie przecież o to, żeby za pomocą senzacyjnych telegramów i sfałszowanej statystyki wyłudzić jak najwięcej pieniędzy od publiczności. Jaką mnogość papierów, akcyi i obligacyi wszelkiego rodzaju nie rzucili szefowie tego samego trustu naftowego pod najróżniejszemi nazwami po całej kuli ziemskiej? Ruhland opowiada szeroko na podstawie studyów na miejscu, jak układa się statystykę najbliższych żniw według potrzeb giełdy albo potrzeb fiskalnych [1]).

Znamienne i w oczy bijące objawy koncentracyi w życiu ekonomicznem i politycznem są: „Liczne transakcye w dziedzinie własności i rosnące w sposób nienormalny bogactwa; oraz pojawienie się w państwie tajnej władzy, która udaremnia wszelkie uczciwe rządy".

W dzisiejszych państwach panuje wogóle prawo większości, a jednak wszędzie w życiu publicznem i prywatnem rządzi oligarchia. Prof. Ruhland na podstawie rozważań ekonomicznych i bogatego doświadczenia doszedł do przekonania, że cały majątek narodowy Niemiec właściwie rozdzielićby można pomiędzy 80 ludzi.

Garstka więc ludzi trzyma w ręku swym cały prawie majątek narodowy. Czy potęga taka zatrzyma się na granicy życia ekonomicznego? Przenigdy! Im więcej żądza zysku przenika jakieś społeczeństwo, tem większe w niem znaczenie socyalne mieć będą potentaci finansowi koncentracyi.

Wyborców można sobie pozyskać lub kupić, za pomocą gazet, które w gruncie rzeczy najczęściej są interesem tylko pieniężnym, można wpłynąć i pokierować opinią publiczną. Z posła nietrudno zostać ministrem, który będzie pracował w duchu partyi lub na rzecz jakiejś potęgi finansowej. Pod wpływem też gazet

---

[1]) Lambrechts: Phénomènes de concentration i System t. III, str. 250.

i opinii publicznej powstają prawa i konstytucye, funkcyonuje cały aparat administracyjny. Potężnego też wpływu tych czynników szukać należy w traktatach międzynarodowych, w sojuszach dyplomatycznych, w rewolucyach wewnętrznych i wojennych kombinacyach.

„Dzisiejszy rząd, pisał w r. 1847 Karol Marks w manifeście komunistycznym, jest niczem innem, jak komitetem administracyjnym dla interesów klasy mieszczańskiej".

„Kapitalizm zmierza coraz usilniej do tego, żeby stworzyć niezawisłą i samodzielną potęgę, któraby panowała nad produkcyą i pracą. Antagonizm ten utrudnia niezmiernie rozwiązanie problemu socyalnego".

„Kapitalizm opanował państwa. Organizmy polityczne popadają coraz więcej w długi i zawisłość kapitału. Właściwymi panującymi są bankierzy" (Dr. Hitze, Kapital u . Arbeit).

I wojna jest tylko formą konjunktury ekonomicznej, dodaje prof. Ruhland:

„Literatura strategiczna przeważnie uważa wojnę za pojedynek pomiędzy państwami. Pogląd ten jest za ciasny. Wojna nie jest tylko szczękiem broni, ale czemś więcej jeszcze. Trzeba się patrzeć na to, c o p o p r z e d z i ł o w o j n ę i c o p o n i e j n a s t ą p i". I metodę tę stosując do ostatnich 24 wojen, które rozgrywały się za życia jego, konkluduje :

„Wojny już oddawna stały się znowu polem zysków dla bogatych".

Wszystkie przyczyny i czynniki, które powodują i wywołują przesilenia ekonomiczne, pracują też bezustannie i niepostrzeżenie nad wywołaniem krwawych przesileń na tle międzynarodowem. Historya wyświetli nam kiedyś, „jaką rolę przy wybuchu przesilenia w r. 1914 odegrali pewni magnaci finansowi i przedstawi nam ich tajną robotę, dziś jeszcze zaciemnioną i przesłoniętą wirem wydarzeń".

A więc trzeba wziąć rozbrat z dzisiejszą polityką ekonomiczną, która doprowadziła do bankructwa narody. „Drobne środki już nie wystarczą, tu potrzeba wielkiej, moralnej i socyalnej reformy" (Brants).

Potrzeba, żeby rodzina znowu zakwitła przyrodzoną płodnością, a miasta nie rosły w olbrzymie mrowiska ludności, żeby industryalizm i finansowa koncentracya nie zatruwała i nie przeobrażała nam handlu, przemysłu i rolnictwa".

A więc powrót do intenzywnego gospodarstwa rolnego. Parcelacya i rozległa kolonizacya wewnętrzna, decentralizacya w miejsce pasorzytnie wybujałej koncentracyi, reorganizacya wiejskiego i miejskiego stanu średniego, a przedewszystkiem uzdrowienie rodziny, oto wielkie hasła programowe, które zdaniem autora przyświecać winny wielkiej tej reformie moralnej i socyalnej. „To, co było wczoraj, już umarło. Niech umarli pogrzebią swoich umarłych! Prawda, która jutro światem rządzić będzie, domaga się decentralizacyi, powstrzymania wyludnienia wsi i przywrócenia równowagi w produkcyi narodowej! To fakt, że potrzebujemy mniej maszyn, a więcej chleba i więcej mięsa. To fakt, że największem bogactwem narodu jest jego ludność. Niech się wypełni świat ludźmi, a ziemia zakwitnie dobrobytem i bogactwem materyalnem.

Pług krwawy przeorał wnętrze świata starego i przygotował posiew przyszłości. Oby tylko ziarno, rzucone na pole nowe, było zdrowe, i z ruin życie wykwitło".

Ks. Leonard Lipke

Wolni Mularze w obecnej wojnie.

(Z powodu książki „Die * *_* Brueder im Weltkrieg von Dr. iur. Heinz Brauweiler" oraz rozprawy „Die angelsaechsische, die romanische und die germanische Freimaurerer von P. H. Gruber S. J.". Theolog.-prakt. Quartalschrift, 69 Jahrg. 654—671, 1916, III Heft).

Z pamiętników znamy obrazy uczt, na których biesiadnicy wolnomularscy wznosili puhary za braterstwo narodów. Głoszone przy tem mowy odwoływały się na wytyczny obowiązek wolnomularza, żeby żył uczciwie i dobroczynnie zdala od walk wyznaniowych i sporów osobistych, albowiem wolnomularstwo zakłada środowisko zgody i tworzy zadatek wiernej przyjaźni śród ludzi, którzyby inaczej wiecznie od siebie boczyli. Dlatego niech w progi loży nie wkracza zatarg jakibądź czy rozdźwięk osobisty a nadewszystko odgłos walk wyznaniowych, narodowych czy państwowych: wszyscy należymy do wszystkich narodów, plemion, szczepów i języków a oświadczamy się przeciw wszelkiemu udziałowi w polityce[1]). Posłannictwo wolnomularza wymaga od niego, żeby jak nowy Mojżesz oswobodził naród w jękach, zgasił żagiew waśni roznieconej po świecie i zjednoczył wszystkie rodziny spólnym ich trzonem, a przez to odnowił wiek złoty[2]).

Zgodnie z owym obowiązkiem wytycznym działali wolnomularze, którzy najruchliwiej krzątali się koło wieców w sprawie wszechświatowego pokoju: na czele wiedeński mason-pacyfista

1) Brauweiler, str. 10—11.
2) Brauweiler, str. 12—13.

Fried i brukselski Lafontaine[1]). W tymże duchu wolnomularze francuscy i niemieccy przeciwdziałali usilnie w ostatniem dziesięcioleciu wojowniczym zapędom, które w Paryżu coraz bezwzględniej żądały odwetu za Sedan i kazały w Berlinie opatrzyć się zbrojnem pogotowiem: francuscy wolnomularze gorliwie tedy ścieśniali braterskie węzły z niemieckimi[2]). Równocześnie angielski król objeżdżał Europę z zamiarem nie dość ściśle zachowanym w tajemnicy, żeby zgromadzić przy sobie wszystkie mocarstwa do walnych zapasów z niemieckiem spółzawodnictwem na morzu: niebawem wyszła z Wielkiej Loży angielskiej pobudka do uroczystych zjazdów obojga wolnomularstwa angielskiego i niemieckiego w Berlinie i w Londynie z hasłem pokoju międzynarodowego[3]).

Zdarzyły się nawet niesnaski między zarządami poszczególnych odnóg wolnomularstwa, nie dosięgły jednak braterskich stosunków między podwładnymi, — owszem przez ich braterskie zabiegi przeważnie ustały. Tak okólnik Wielkiego Wschodu belgijskiego z 21/10 1834 zapoczątkował nowe stosunki z władzą świecką a przez to uraził przeciw sobie Wielkie Loże niemieckie, które z belgijskim odłamem wolnomularstwa zaprzestały stosunków urzędowych; również usunęły się od Wielkiego Wschodu włoskiego, — dla jego zasad demokratycznych. Ale dobre stosunki z Belgią i z Włochami odżyły już od 24/5 1875 a trzydniowy zjazd od 20-go do 22-go paźdz. 1876-go uroczyście poświadczył, że braterstwo wolnomularskie przemogło nad surowymi poglądami poróżnionych urzędów[4]). Również wojna z r. 1870-go przerwała urzędowe stosunki między wolnomularskimi władzami we Francyi i w Niemczech, ale „czułe“ zabiegi postronnych wolnomularzy zjednoczyły przed kilkunastu laty powaśnione urzędy i utorowały drogę do wspomnianych wieców, aby zażegnać grozę odwetu za Sedan[5]). Niemniej poróżniły się władze wolnomularskie — angielska z jedną z kilku francuskich — od r. 1877-go o godło „Wszech-

[1]) Brauweiler, str. 7.
[2]) Brauweiler, str. 7—39.
[3]) Brauweiler, str. 7—75.
[4]) Gruber, Th. Pr. Quart. 1916. Str. 659.
[5]) Gruber. Str. 659.

budowniczego"; mianowicie tylko z Wielkim Wschodem, nie z W. Lożą, ani nie z W. Radą; ale znowu usilne zabiegi wolnomularzy amerykańskich i francuskich, z Quartier-la-Tente na czele, znalazły w angielskich pomoc życzliwą, aby pojednać urzędy poróżnione[1]).

W biegu obecnej wojny wolnomularskie władze niemieckie ogłosiły dnia 10/1 1915, że zawieszają urzędowe stosunki z W. Brytanią, Belgią, Portugalią i Serbią a dnia 29/5 1915 zrywają z Francyą i Włochami; tegoż dnia Wielka Loża węgierska wypowiedziała urzędowe stosunki z władzami wolnomularstwa we Francyi[2]). Jednak wydawca urzędowego pisma wolnomularskiego w Berlinie, Dierks, ogłasza uroczyście wobec wolnomularzy amerykańskich, że „stosunki wolnomularskie między podwładnymi nie ulegają zmianie najmniejszej"[3]). Zrywane też nieraz stosunki między urzędami nigdy nie sprawiają, żeby wolnomularskie kalendarze jednego narodu opuszczały w drugim narodzie odnogę usuniętą od stosunków: tak i ostatni kalendarz Dalena dla Niemiec podaje zupełnie jak przed wojną spis wolnomularzy z państw nieprzyjacielskich[4]).

Słowem, — duch wiernej braterskiej przyjaźni międzynarodowej, — oto przewodni obowiązek wolnomularzy, którzy wydają ze siebie takich zwolenników pokoju, jak minister angielski Burns: ten zrzekł się teki raczej niżby w radzie gabinetowej przystał na udział Anglii we wojnie obecnej[5]). Tacy wolnomularze kazali po sobie liczyć, że jako rozjemcy narodów, po obecnej wojnie utorują drogę do wieczystego pokoju, ziszczą zapowiedzi wieku złotego.

Ale złote czasy w pojęciu wolnomularskiem wymagają, żeby znikła władza Kościoła z katownią sumień[6]); wolnomularstwo usiłuje zrównać wszystkich ludzi i zatrzeć między nimi wszelkie ró-

---

[1]) Br., str. 72, — Gr., str. 668—669.
[2]) Gruber, str. 659 i 660.
[3]) Gruber, str. 661.
[4]) Gruber, str. 662.
[5]) Gruber, str. 73.
[6]) Gruber, str. 670.

żnice sztuczne, więc towarzyskie, narodowe i wyznaniowe do tego stopnia, żeby świat cały otrząsł się z wszelakiego „sekciarstwa" i wyznaniowych zasad[1]). Taka to bezwzględna swoboda myśli i sumień wymaga zagłady Kościoła przedewszystkiem, zatem przewrotu wszelkich ustrojów państwowych, które Kościołowi idą na rękę pod monarchami otwarcie katolickimi, jak Habsburgowie. Wolnomularscy pisarze z Pikem na czele świadczą jednogłośnie, że „gdziebądź lud się zbroi do walki o swobodę, gdziekolwiek duch ludzki ogłasza się wolnym i naród żąda swoich praw człowieka nieprzenośnych na władzę, — tam wolnomularze spieszą z sercem najgorętszem"[2]). Zwłaszcza w katolickich państwach wolnomularstwo popierało wszelkie spiski przeciw rządowi, — stawało na ich czele w osobach Kossutha, Mazziniego, Garibaldiego, Magalhaesa de Lima w najnowszych przewrotach portugalskich.

Po tych ostatnich zjazd belgijskich wolnomularzy dnia 12/2 1911 żywo oklaskiwał Furnemonta, urzędowego mowcę W. Wschodu belgijskiego, gdy wzywał zebranych: „pamiętajcie, jak głęboko czuliśmy się dumnymi wszyscy wobec nowiny o przewrocie w Portugalii: w kilka godzin stolica króla znikła, naród panem. rzeczpospolita stoi. Dla ogółu niewtajemniczonych błysnął grom z czystego nieba. Ale dla nas, bracia fartuszkowi, dla nas nic nie zaszło niespodziewanie: znaliśmy wyćwiczonych znakomicie braci, żarliwych niestrudzenie, czynnych wytrwale. Znaliśmy tajemnicę sławnego wypadku. I nasz kraj nieszczęsny doczeka się dnia, gdy wyzwolony z ciężkiego jarzma zapłaci nam świadomym, że belgijskie wolnomularstwo przoduje w walce o narodową swobodę".

Obecną wojnę rozpoczął dzień 28/6 1914 zbrodnią w Sarajewie. Śledztwo wykryło w królobójcy Czabrynowiczu narzędzie związku „Narodna Obrana", w którym wodzili rej wolnomularze Cyganowicz i Tankosicz[3]). Wielki Mistrz loży białogrodzkiej, b. prezydent gabinetu Swetomir Nikołajewicz, wydał odzew do wszystkich lóż w Europie, żeby czynnie poparły Serbów w boju

[1]) Gruber, str. 667.
[2]) Gruber, str. 668.
[3]) Brauweiler, str. 36—37.

z Habsburgami, żeby wszyscy mularze biegli na pomoc, żeby wszędzie pisma wolnomularskie po bratersku za sprawę Serbii kruszyły kopie. Aby prośbę poprzeć ustnym wywodem, zapowiedział Nikołajewicz przyjazd do Rzymu i Paryża w nadziei, że pozyska dla Serbów całe Włochy i Francyę[1]).

Że wolnomularska Francya stanie przeciw Austryi na pierwsze zaprosiny Serbii, o tem czytelnicy „Przeglądu Powszechnego" mieli od lat najwyraźniejsze wskazówki z ust wolnomularskich[2]): od lat piętnastu uchwały wolnomularskich wieców godziły w Hiszpanię i Austryę imiennie, jako w siedliska zastoju i niewoli ducha pod znamionami władców katolickich. Więc nikt nie mógł długo wątpić o wyniku podróży Nikołajewicza do Paryża, tylko o jej skutku w Rzymie wątpić kazało dzieło wolnomularza Crispiego: „Trójprzymierze Włoch z Austryą obok Niemiec". Przecie wolnomularz serbski przewidział, że owo trójprzymierze nie skrępuje wolnomularzy włoskich w zamachu na zagładę państwa Habsburgów. Zawarł to przymierze wolnomularz Crispi w zamiarach dla wolnomularstwa pożądanych, ale z myślą o pożytku tylko doraźnym. Wolnomularską chorągiew rozwinął Mazzini z Garibaldim nad Włochami, aby je zjednoczyć, ale zjednoczone państwo nie odrazu okazało się wolnomularzom dość potężnem, aby przeprowadzić niezwłocznie zamiar ich całkowity: musiało się przez lata pokoju rozwinąć i ustalić na mocarstwowem stanowisku, nim wystąpi na światową widownię walk przeciw ciemięzcom ducha, — klechom i władcom katolickim. Więc nie zawiódł nadziei Nikołajewicza W. Mistrz wolnomularzy włoskich, Hektor Ferrari, gdy dnia 6/8 1914 wydał okólnik o wojnie, w którym pisze: „Przez półwiecze oddawał się naród pokojowej pracy, aby się wzmocnić i podnieść. Trójprzymierze wynikło wprawdzie z zimnej dyplomacyi a nie z gorącego serca narodu, umożliwiło przecie przez trzydzieści lat Włochom zażywać pokoju i zaważyć w Europie jako czynnik równowagi... Ale w obecnej chwili ogarnia mię troska o ojczyznę... Włochy żeby o sobie radziły, gdyby pozostały zdaleka od krwawego widowiska, w którem rozstrzygają się losy Europy dla wielu pokoleń. Wolnomular-

1) Brauweiler, str. 37.

2) Por. Prz. Powsz. Sprawy Kościoła. R. 1902 od stycznia do czerwca.

stwo, dumne ze swej spuścizny jako ustrój narodowy i wychowawczy, wdzięcznie czci pamięć przodków-bohaterów poległych w boju o zjednoczone Włochy, musi się w obecnej chwili okazać godnem swojego posłannictwa. Bądźcież bracia wierni ślubowi, złożonemu u wstępu do zakonu, i pierwsi do czynu, gdy uderzy godzina"[1]).

Słowa W. Mistrza zerwały ze serc wolnomularskich pęta, któremi je krępował Crispi przez dyplomacyę trójprzymierza. Polityka ta zbyt zimna dla zapaleńców spotkała przeważnie opór u wolnomularzy, a jeden z nich, Leopold Wolfgang[2]), zdaje sprawę, że jeszcze podobałoby się dwuprzymierze z Niemcami, bo im po Koenigraetzu zawdzięczają Włochy odzyskaną Wenecyę, a po Sedanie drogę na Rzym pozbawiony załogi francuskiej: ale przeważną niechęć budziła sprzymierzona Austrya, tyloletnia obrończyni papieskiej stolicy. Dały też wyraz tej niechęci Loże włoskie, a niektórzy ich członkowie z osobistych pobudek znienawidzili berło Habsburgów, bo pod niem jeszcze w Wenecyi za młodych lat odsiadywali karę sądową, wyśledzeni na spiskach karbonarów i związkach przeciw Habsburgom. To też Crispi naczytał się do przesytu wymówek w dziennikarstwie wolnomularskiem z Trybuną na czele, która ujadała na niego ustawicznie aż do jego upadku. Król Wiktor Emanuel III mianował sternikiem rządu Zanardellego, który poskromił gniew wolnomularski na trójprzymierze, bo zapowiedział przy niem zwrot ku Francyi, aby z nią wrócić do bliższych stosunków. Rzeczywiście w roku 1902-m nadchodził koniec pierwotnie naznaczonego czasu na trójprzymierze: minister spraw zewnętrznych Prinetti odnowił je ale po myśli wolnomularskiej, zastrzegł w niem wyraźnie, że przy niem wolno Włochom zawierać układy z państwami postronnemi. Wolnomularskie zjazdy przyklasnęły tej zmianie stanowiska Włoch, a członek loży francuskiej Delcassé śmiało w Izbie zapowiedział, że Włochy nigdy przeciw Francyi nie wystąpią do walki. Po dwu latach Loubet, ówczesny prezydent francuski, odwiedził po przyjacielsku dwór włoski i przybył do Loży wolnomularskiej na uroczystą ucztę powitalną. Przypadały

1) Brauweiler, str. 46—47.
2) Brauweiler, str. 43—44.

te wypadki właśnie na dobę zapowiedzianych prac wolnomularskich, aby Hiszpanię i Austryę wydrzeć władcom katolickim i posiąść dla Loży.

Rząd francuski posłem swoim przy Kwirynale mianował wolnomularza, p. Barrère, którego przyjazd do Rzymu zapoczątkował nową dobę coraz żywszej współpracy siostrzanych Lóż włoskich z francuskimi w duchu wrogim dla trójprzymierza [1]).

Tak Nikołajewicz znalazł w Rzymie umysły przygotowane przez kilkanaście lat usługi wolnomularskiej Włochów dla Francuzów, aby rozwieść trójprzymierze. Niewyczerpane strugi złota płynęły z Paryża, rychło zjednały sobie dziennikarstwo poczytne, zdobyły wymownych popleczników w Izbie poselskiej, zasypały kraj podszczuwaczami do przeniewierczej wojny z Austryą, nie szczędziły kłamstw najwierutniejszych, aby pozyskać chwiejnych polityków[2]), przedstawiały tę wojnę jako ścisły obowiązek narodowy, bo Austrya gnębi w Trentyno Włochów przez rządy katolickie, więc trzeba uciśnionych wyzwolić z katowni sumienia. Tymczasem co się pokazało, ledwo Austrya ustąpiła z części Trentynu? Oto wolnomularska ustawa we Włoszech „wyzwoliła" młodzież z wykładu religii po wszelkich uczelniach, więc zamknęła przed katechetami drzwi do trentyńskich uczelni; ale przez to wywołała taką wrzawę śród mieszkańców przeciw rządom zaborców, że ci złamali narodową ustawę i zaprowadzili wykład religii — mimo gromkiego sprzeciwu wolnych mularzy: ich wrzask nie groził takim wstydem wobec całego świata, jak dowód rozgłośny, że Włosi trentyńscy wolą rzekomy ucisk sumienia pod ustawą katolicką w Austryi od bezbożnej swobody pod włoską ustawą[3]). Nie chciał rząd zaborczy, żeby świat dowiedział się o jego kłopotach, gdy znalazł się obcym w Trentyno, przybyszem nie związanym z mieszkańcami ani wiarą, ani obyczajem, ani nawet mową, znacznie różną od dantejskiej, jak np. bawarska od saksońskiej. I jak Bawarzy nie chcą nad sobą berła saskiego, choć się również Niemcami czują, tak trentyńscy katolicy włoscy nie chcą nad sobą berła wolnomu-

1) Brauweiler, str. 24, 44, 59, 70 i 72.
2) Str. 60.
3) Brauweiler, str. 68.

larskiego i przed niem się zawzięcie bronią w pułkach bersaglierów tyrolskich, najwierniejsi Habsburgom.

I nietylko w Trentyno okazało się, że hasło zjednoczonych Włoch służy jedynie wolnomularzom za przynętę dla bezmyślnego narodu do wojny z katolickim mocarstwem; nie tylko przeciw sobie ma i Sabaudyę i Korsykę, więc kilka razy więcej niż Trentyno, zatem dowód oczywisty, że państwo włoskie wierne trójprzymierzu sowitą widziałoby nagrodę na Francyi; ponadto poszkapiła się Loża włoska owem hasłem wobec swoich członków z Malty, gdy ci dobrodusznie przejęci ponętnem hasłem zauważyli, że także ich rodacy powinni z pod berła angielskiego wrócić pod włoskie: za tę uwagę Loża wyrzuciła przemądrzałych[1]).

Równie przemądrzałych uwag bała się Loża co do braterstwa broni z Moskalami przeciw Austryi. Wszak nawołuje w bój z tą Austryą, jako gnębicielką narodów wbrew ich przyrodzonemu prawu do samobytu państwowego: ależ Moskal nie nadał samorządu z narodowym rozwojem żadnemu narodowi, jak w Austryi rozwija się każden! Jak jedni arcymędrcy wytknęli Anglikom ich chorągiew nad Maltą, tak drudzy gotowi carowi wytknąć pokrwawione knuty nad Polską, Gruzją, Finlandyą i. t. d. Toć trzeba takim uwagom zapobiedz: więc loża przyklasnęła swojemu wnioskodawcy Galantiemu, aby przy wiecach ludowych prześlizgiwać się milczkiem nad Rosyą[2]), również miał się dostać do dzienników okólnik W. Mistrza z wskazówką,żeby do walki przeciw Austryi nawoływać w imię wspólnych Włochom z Francyą zasad demokratycznych i bezwyznaniowych oraz zdobyczy postępu i oświaty, — ale przytem jak można najmniej mówić o Rosyi: każdy wolnomularz niech to głęboko sobie wrazi do serca[3]).

Tak zapałem wojennym owiani wolnomularze ściągnęli legie ochotników pod wodzą Józefa Garibaldiego, nie czekali wypowiedzianej potem wojny i zgłosili się do francuskiego rządu, żeby wysłał po nich flotę a pod jego flagą wpadną do Dalmacyi. Francya od takiej pomocy wymówiła się jakimś jeszcze wzlędem międzyna-

1) Brauweiler, str. 58.
2) Brauweiler, str. 70.
3) Brauweiler, str. 50.

rodowym ale nie mogła odepchnąć zagorzalców, aby stanęli obok jej wojsk w Ardennach. Niesforna hałastra, puszczona w bój i wnet zdziesiątkowana, widziała niedobitki ostudzone z wojennego zapału w powrocie na rodzinne pielesze, — ale wolnomularstwo witało hucznie bohaterów, zadowolnionych udziałem w bitwie jednej jedynie[1]).

Na ten wyłączny zastęp ochotników zdobyły się najzapalniejsze umysły w narodzie; na trzeźwiejsze nie dość działały podniety do wojny przeniewierczej w imię obowiązków względem ciemiężonego Trydentu. Loża wystąpiła z pobudką nową, ale na tej jeszcze mniej zyskała; podniosła sprawę międzynarodowej rękojmii, którą papiestwo otrzymało po zaborze Rzymu, że Watykan nie dozna przeszkód w urzędowych stosunkach swoich z wiernymi całego świata. Wolnomularstwo nie mogło strawić tej rękojmii, która w stolicy zjednoczonych Włoch pielęgnowała rozsadnictwo ciemnoty wyznaniowej i poniewierkę praw człowieka. Oto w jakiej myśli bezwyznaniowe pisma podżegały do wojny z państwem Habsburgów, która oczywiście zakończona zwycięstwem Włoch wyswobodzi je z owego jarzma międzynarodowej rękojmii: „Dla Włoch rozstrzyga się sprawa nie między pokojem a wojną, choć jej żąda Paryż z Londynem i Pietrogradem, ani nie sprawa Trentynu, tylko ważna sprawa wnętrznej polityki: czy nie popadną Włochy na dziesiątki lat pod jarzmo zachowawczo-wyznaniowe. Wiadomo, że Benedykt chce z Kwirynałem zgody bardzo przystępnej: otóż ledwo ją zawrze, zaraz wypuści w zapasy polityczne całe duchoweństwo i wielmożnych właścicieli, niebawem wprowadzi do Izb olbrzymie stronnictwo wstecznikow, bo każdy łatwo się doliczy we Włoszech na stu mieszkańców 85-ciu zachowawczych. Otóż temu zapobiedz usiłują wolnomularze: wojna obali królestwo i pogłębi przepaść między narodem a Watykanem[2]). Więc prof. Otto Hoetzsch pisze w Kreuzzeitung już dn. 2/6 1915 (nr. 275): „Dotąd nic Papież nie rzekł, jak nadal przebędzie te dnie ciężkie, czy we Włoszech pozostanie, czy do Hiszpanii ustąpi. W każdym razie stosunki obecne wytoczyły przy mnóstwie innych również

1) Brauweiler, str. 50.
2) Brauweiler, str. 65—66.

i tę sprawę i może ją rozstrzygną jeszcze w ciągu wojny ze względu choćby na konklawe, na które trzeba ubezpieczyć miejsce swobodne... Włochy mogłyby uniknąć sprawy pierwszorzędnej dla milionów, gdyby zawczasu i jasno oświadczyły, że wojna nie dotyczy zgoła rękojmii międzynarodowej Watykanu: nie oświadczyły tego — i uprawiają przeciwnie wniosek, że istotnie wolnomularstwo do wojny parło z myślą wrogą Kościołowi: nadto niepodobna przypuścić, żeby w tej mierze mało działała przez swoje wpływy zawzięcie nieprzyjazna Watykanowi królowa Elena"[1]). Również prof. Dr. Konrad Bornhak w Grenzboten (zesz. 24-ty) pisze: „Przewrót państwowy, do którego wolnomularstwo dąży z myślą o rzeczpospolitej we Włoszech, nie uważałby bram Watykanu za święte i nietykalne... Stanowisko Papiestwa niegodziwie wisi między wybuchem żądz ulicznych a swobodą wolnomularskich ustaw we Włoszech[2]).

Przeliczył się w nadziejach na rozwagę Wołochów W. Mistrz Edw. Frosini, gdy przybył do nich z Włoch zachęcać ich do wojny z Austryą. Przedstawiciel narodu, przywykłego spiskować milczkiem i gotować w tajemnicy zamach, nie spodziewał się gadulstwa u próżnych Wołochów, którzy się chełpliwie zdradzili z powierzonej tajemnicy, jako jednej ze zachęt dla wolnomularzy wołoskich do udziału z Włochami we wojnie przecim Habsburgom: „Przedewszystkiem powinniśmy wytężyć siły, aby usunąć rękojmię przyznaną papiestwu. Watykan nie mami nas rzekomem przedstawicielem prawd Boskich a uosabnia dla nas wieczysty zamach na zjednoczone Włochy i na oświatę, wiekuistą zasadzkę na postęp, więc musimy z niem skończyć: teraz na to pora albo nigdy! ...Wszystkie Loże czynne nas poprą: zapewniam o tem, bo ze wszystkimi znosiłem się po całym świecie. Niewątpliwie obowiązaniśmy we Włoszech znieść jarzmo rękojmii: i poddać wyznanie katolików ogólnemu prawu państwa o związkach i wiecach. Wedle przepowiedni Cagliostro, papiestwo przed pogromcami swoimi padnie. Musimy papieżowi uniemożliwić zabiegi o zgubę naszej ojczyzny, więc go odstawić na którąś wyspę bliższą

[1]) Brauweiler, str. 66.
[2]) Brauweiler, str. 66.

czy dalszą. Oto w czem poprą nas Loże przez nacisk na swoje rządy po całym świecie. Proroctwo Malachiasza, sprawdzone na Piusach 9-tym i 10-tym oraz na Leonie 13-tym, sprawdzi na Benedykcie godło: wiara spustoszała. W najgorszym razie dopiero w roku 2000-ym zniknie papiestwo"[1]).

Skuteczny nacisk wolnomularstwa na rządy: oto chełpliwa nadzieja W. Mistrza, ziszczona pospolicie, — tylko nie w cesarstwie niemieckiem. Tu samodzielny władca niepowodował się ze swoim rządem poglądami wolnomularzy na Austryę, ale rzetelnie trwał przy obowiązkach sprzymierzeńca. Wrzask wolnomularski na jego „imperializm" huczał po dziennikach całego świata od dnia wypowiedzenia wojny między cesarzem Niemiec a samodzierżcą Moskali. Wolnomularze niemieccy niezdolni ukrócić tego imperializmu, usłyszeli najpogardliwsze wyroki za niedołęstwo, niegodne wolnomularza. Jak mogli popuścić wodze takiej samowoli nie ludzkiej? Z kim zestawić takiego okrutnika bez serca? Chyba z despotą wschodnim albo z papieżem? Tak! odpowiedział z Loży w Kolonji przy obchodzie rocznicy Mazziniego Vaccaluzzo: „Wobec militaryzmu, wobec imperializmu, wobec bractwa austro-teutońskiego nie pozostaniemy neutralni i neutralnymi być nie możemy... Neutralnem jest papiestwo Benedykta 15-go... we Watykanie serce wyschło już od wieków i rozum spaczył się na dyplomatycznych wybiegach, aby może przygotować nowe ‚Przymierze święte' ze Sułtanem muzułmanów, Kajzerem lutrów i Cesarzem antysemitów... Ale nas czeka zwycięstwo! Ta wojna nie wysączy rzek krwi jak po to, aby zapoczątkować ‚Święte Przymierze' wolnych narodów! Europa z przełomu dziejowego wyniesie ziszczoną zasadę narodów samoistnych. Od roku 1870-go tli zarzewie zatargów w nierozwiązanych zagadkach francuskiej, włoskiej, polskiej i bałkańskiej. Stare i nowe krzywdy narodów kipią i wrą przeciw bezmyślnemu podziałowi Europy na kongresach paryskim i wiedeńskim. Powracamy do tych zagadek od miejsca, gdzie je złożył Mazzini. Jemu należy się ostatnie słowo, temu

---

1) Brauweiler, str. 64.

ostrowidzowi w polityce, który wskazał ich klucz jedynie przydatny..."[1])

A jakże brzmi owo słowo Mazziniego ostatnie? Za hasło Mazzini podał okrzyk: delenda est Austria[2]).

Otóż nie dał zburzyć tej Austryi, nie dopuścił nad sobą rządów wolnomularskich cesarz niemiecki: więc już dnia 6/8 1914 wydaje W. Mistrz Ferrazi okólnik o „rozpaczliwym boju pomiędzy szczepowym imperializmem, żądnym światowładztwa z jednej strony, a obroną niezawisłych narodów, zasadą ich samobytu i podstawnymi podwalinami praw z drugiej strony"[3]). Vaccaluzzo dnia 10/3 1915 zapowiada: „Zaprawdę powiadam wam, że dzień nad niemieckim narodem już w mroku zapada: dla nas świta dzień, na który nas wzywał zgasły nasz wieszcz:

W on dzień, gdy z prochów naszych wzrośniecie potomni[4])
Na boje z dzikim szczepem niech każdy z was pomni!"

Już dnia 17/5 1915-go mógł W. Wschód francuski wysłać do W. Wschodu włoskiego telegram ze słowami:

„Ramię przy ramieniu przeciw Dzikim w imię Prawa, słuszności i oświaty zaciąga Francja z Włochami na polach walki i zwycięstw węzły łączni nierozerwalnej na wieki".

Odpowiedź brzmiała:

„W. Wschód włoski dziękuje za życzenia nadeszłe w chwili, gdy Włochy podnoszą oręż oparci o prawo za zwycięstwo zasady narodowej i wielkie dzieło oświaty i słuszności"[5]).

Prócz włoskiego W. Wschodu z W. Mistrzem przemówił także W. Komandor innego odłamu wolnomularstwa: Włoskiej Rady Najwyższej szkockiego wolnomularstwa wyższych stopni. Oświadcza, że „Włochy wypowiadają wojnę nie tylko o swoje prawa narodowe, ale i o międzynarodową słuszność i ludzkość: aby zwyciężyły wespół z narodami, które walczą o prawo, wolność,

---

1) Brauweiler, str. 51.
2) Brauweiler, str. 21.
3) Brauweiler, str. 46.
4) Brauweiler, str. 50—52.
5) Brauweiler, str. 56.

ludzkość i postęp; zwycięstwo ich a pogrom zaborczego imperializmu austro-teutońskiego utoruje w Europie drogę jedynie prawdziwą do braterstwa wszystkich ludzi i narodów[1]).

Francja i Anglja powtórzyły i przyswoiły sobie wykręt włoskiego wolnomularstwa, że w imię prawa i wolności prze do wojny (przeniewierczej) przeciw militaryzmowi teutońskiemu, który równo targa prawa i wyzuwa z wolności zarówno własny naród jak narody popadłe pod jego moc. Oba rzeczone mocarstwa zwróciły się z powyższym hasłem wolnomularskiem do państw postronnych, aby pozyskać ich względy a w następstwie dostawę potrzeb gospodarczych i wojennych. Pośrednictwa podjęły się Loże a na co je stać w Rumunii i Grecyi, to widoczne z ich wykazów urzędowych: w Rumunii obecna W. Loża powstała z 9-ciu Lóż W. Wschodu francuskiego i 10-ciu Lóż W. Wschodu Włoskiego oraz jednej W. Wschodu węgierskiego. Również w Grecyi narodowa W. Loża powstała przeważnie z Lóż W. Wschodu włoskiego a po jednej ze Wschodów angielskiego i francuskiego. Dziwić się tedy nie można wpływowi wolnomularstwa na wypadki wołoskie i zamęt w Grecji.

Więc w Hiszpanii dziennik zależny od Loży, El Liberal sławi czwórporozumieńców za ich szeroki światopogląd a potępia środkowe mocarstwa za ich wstecznictwo i klerykalizm. Od dnia 21/9 1914, Hiszpania słyszy burzliwe na wiecach mowy, słyszy w dziennikach wolnomularskich ogniste zachęty, aby ze stanowiska bezstronnego przeszła do czwórobozu[2]).

Z argentyńską W. Lożą wiele tamtejszych odnóg wolnomularstwa, jak symboliczna W. Loża, Loża Wolnej Myśli i Gwiazdy Wschodu oraz inne wysyłają telegramy z życzeniami do Francyi, aby wygrała jej słuszna sprawa przeciw nieludzkim Teutonom i ochroniła świat cały przed kajdanami absolutnego despotyzmu[3]).

Brazylia przedstawia widok podobny: W. Mistrz Loży, Seré wodzi rej w Lidze, która ściąga do Czwórobozu, jako do be-

---

[1]) Brauweiler, str. 63.
[2]) Brauweiler, str. 76—77.
[3]) Brauweiler, str. 81—82.

jowników o Prawo, Słuszność i Rozum przeciw teutońskiemu militaryzmowi i imperializmowi[1]).

W Urugwaju dotychczasowy prezydent, wolnomularz Battle wymyślał — jakby postradał rozum — na Niemców w swoim dzienniku El Dia. Następca jego W. Mistrz urugwajskich wolnomularzy Viera, wnet po wyborze zaprowadził od roku 1915-go nowy dzień święty na cześć Francyi, mianowicie 14-go lipca: „Uroczyste Święto zburzonej Bastylli“[2]).

Jak Loża tchnęła hasłem Mazziniego o zagładzie Austryi, tak o jej pogromie marzył carat długo już przed wojną i przechwalał się półgębkiem, że na spółkę z Niemcami podzieli się koroną Habsburgów. Dziś setki jeńców moskiewskich mruczą o wiele nienawistniej na „Germańca“ niż na „Austryjca“: zawód na spodziewanym spólniku dogryza tem głębiej, im dzielniej jego wojska tępią najezdzów na Austrją, zamiast ją z nimi rozszarpać.. Również Lożę oburzył zawód na nieporuszonym jej wpływami mocarzu: jej wodzireje mniej mówią w duchu Mazziniego o Austrji, a często powtarzają groźbę, którą przyswoiły już sobie rządy czwórporozumieńców, że wieść muszą bój w imię nowożytnej oświaty oraz praw ludzkich i narodowych aż do pogromu i zaguby imperializmu średniowieczno-kleszego w sercu Europy[3]).

Ale jak na polach bitw, tak we walce duchowej przeciw kleszym rządom, wolnomularstwo musi się przyznawać, że widzi dziś przeciwników górą. W odpowiedzi na zgodliwe słowa ze środkowej Europy i północnej Ameryki, czwórporozumieńcy odepchnęli pokojową myśl, jakby podsuwana im przebiegle, aby ośmić ich butną chwalbą z przewagi nad nimi dzisiejszej: więc się za zwyciężonych jeszcze uważają dziś a grożą dopiero na jutro. W zapędach przeciwkościelnych zaznali podobnież ciężkich porażek: duch nabożeństwa widocznie się potęgował. Śród trwogi wojenej Francuzi i Włosi widocznie ocknęli się na obowiązki względem Boga, pilnie spieszą do świątyń, często przystępują do źródeł łaski. Oburzyło to wolnomularzy nad miarę. Oto skutek nie-

1) Brauweiler, str. 82.
2) Brauweiler, str. 82—83.
3) Gruber, str. 670.

spodziany ich trudu: pchnęli co siła ich naród do wojny a w następstwie nie widzą jeszcze papieża wygnańcem, kościołów próżnych, wiary opustoszałej, a wręcz przeciwnie klechów coraz gęstszymi otaczanych tłumami. Przez myśl im nic podobnego nie przeleciało, gdy opiewali wojnę jako cios śmiertelny dla katów wolnego ducha. Wściekle ułożyli wniosek z dnia 7/1 1916, w którym oświadczyli rządowi, że dłużej nie wytrzymają z tem natręctwem klechów i żądają sprężystej pomocy od władz[1]). Usłużne władze znalazły powód do nagonki na klechów: dziesiątkami ich odprowadzano do urzędu śledczych sędziów pod zarzutem szpiegostwa na rzecz katolickiej Austryi. Więzieni długo i badani o każdy szczegół żywota spotykali sędziów przeważnie usposobionych prześladowczo, ale przecie dbałych o tok całego śledztwa zgodny ściśle z ustawą. Dzięki przestrzeganym przepisom, mogli się księża bronić świadkami i ledwo wyjątkowo któryś znalazł się przekonanym o jakieś słowo nie po myśli wolnomularzy urzędników i zapłacić za nie mógł grzywną, ale od zarzutu szpiegostwa uwolnili się najpomyślniej, — przynajmniej dotychczas, bo końca nie widzą tym skargom raz po raz przykrzejszym i pozwom ustawicznym przed sąd.

Ale ani ten rozpęd prześladowczy nie ubezwładnił klechów, owszem wywołał odruch przeciw wolnomularstwu w obozie najgorliwiej narodowo-włoskim a dotychczas oziębłym na różnice między Kościołem a Lożą. I ten obóz powstał „przeciw narzuconej narodowi włoskiemu wojnie odrazu podwójnej: i postronnej, i domowej. Nie możemy znieść państwa w państwie: niech to wiedzą panowie przewrotowcy i obładowani angielskimi funtami przemytnicy haseł obcokrajowych... Włochom wojnę narzuca kto? ci sami panowie od kielni, którzy przeszkodzili Włochom do zdobyczy libijskich w Afryce, dziś służą rozkazom Paryża i Londynu, ci wszczynają wojnę domową. A przecie śród obywateli włoskich nie widzimy stronnictwa, któreby spełniało obowiązki narodowe szczerzej i chlubniej niż katolicy; na to dowodów nie brak ani też na to, że wolnomularstwo działa wrogo dla narodu, wprzężone

1) Brauweiler, str. 68.
2) Brauweiler, str. 67.

w jarzmo obce. Katolicy tworzą obóz najściślej wierny ustawom: do nich należy jutro"[1]).

Rozjuszone sporem wolnomularstwo zebrało się we W. Wschodzie na naradę, jakby zapobiedz wpływowi katolickich Włochów na społeczeństwo coraz im uleglejsze —? Wszak ośmnaście tysięcy zakonników i duchownych działa we wojsku na wszelakich stanowiskach. Trzeba z całym wysiłkiem przeszkodzić temu wrogowi w jego zamysłach![1]).

Tak z żagwią podwójnej wojny w ręku wolni mularze parzą ręce na obie strony, ale przed drogowskazem do pokoju przechodzą z zapowiedzią obfitszego rozlewu krwi... rozjemcy narodów.

Nałęcz.

---

1) Brauweiler, str. 63—64.
2) Brauweiler, str. 67.

Donacye w Królestwie Polskiem[1].

Za czasów Rzeczypospolitej według spisu z 1765 roku było starostw 293, dzierżaw 169, wsi odrębnych 338, wybraniectw 7, wójtostw 382, i sołectw 25, a zatem dóbr skarbowych, które przynosiły dochód 2.310.871 zł. pol. groszy 15 rocznie.

Po dokonanym rozbiorze Polski z dóbr królewskich pod zaborem pruskim utworzono jeden zarząd na mocy dekretu króla z 1796 roku. Sołectwa, wójtostwa i wybraniectwa pozostały jak dawniej.

W zaborze austryackim dekret z 1773 r. ustanawiał zasady postępowania z dobrami stołowemi i koronnemi, majątki te uznane zostały za własność monarchii, dochody zaś przechodziły do kas rządowych. Dobra duchowne zabrano na rzecz skarbu na mocy patentu z 30 października 1830 roku.

W zaborze rosyjskim majątki stołowe i królewskie, wraz z puszczami zajęte zostały na rzecz skarbu a dobra klasztorne zaliczono do własności rządowych.

W Prusach majątki ziemskie wypuszczane były w dzierżawę, rząd zabiegał o zaprowadzenie racyonalnego gospodarstwa. Część dóbr została rozdana 52 donataryuszom, między którymi byli i Polacy.

W zaborze austryackim staraniem rządu było zabezpieczyć sobie dochody z dóbr koronnych, oraz zajętych na fundusz religijny i stypendyalny. Gdy przez długie wojny i zbrojenia skarb austryacki był bliskim ruiny, wydano patent z 16 czerwca 1811 r., nakazujący sprzedaż

[1]) Józef Kaczkowski. Warszawa 1917, str. 520.

wszystkich dóbr narodowych. Przez publiczną licytacyę rozprzedano do końca 1817 r. 71 dóbr za cenę 2 i pół mil. złr., w drugim okresie do 1848 r. sprzedano 174 dóbr za cenę 7.8 mil. złr. W trzecim min. finansów w 1855 r. oddało bankowi narodowemu w Wiedniu dobra kameralne austryackie w zastaw, za dług 155 milionów, z upoważnieniem sprzedaży na zaspokojenie długów. Wreszcie w okresie czwartym, od 1863 r. począwszy, spółka, złożona z żydów i Austryaków, z przedstawicielami Samuelem Simentem i Wincentym Kirchmayerem upoważnioną została do sprzedaży dóbr skarbowych za cenę 12 i pół mil. złr. Wchodziły tu dobra w Galicyi. Ustawa z 1863 r. polecała sprzedaż dóbr wartości poniżej 25 tysięcy złr. oraz różne realności, m. i. zakład kąpielowy w Truskawcu.

W zaborze rosyjskim obszerne ekonomie i puszcze przeszły też w zarząd skarbowy. Dobra duchowieństwa uległy sekularyzacyi. Już Katarzyna II nadała Suworowi Kobryń. Dobra pojezuickie, należące do funduszu edukacyjnego, za wstawiennictwem Czartoryskiego podczas panowania Aleksandra zostały chwilowo funduszowi temu zwrócone, następnie przeszły do ogólnego zarządu skarbowego. Dobra te powiększone zostały przez konfiskaty w różnych okresach czasu. Dziś po uwłaszczeniu włościan, utworzeniu majoratów i nadaniu dużej ilości ziem bezrolnym, w posiadaniu skarbu rosyjskiego znajduje się na Litwie w guberniach: Wileńskiej, Grodzieńskiej, Kowieńskiej, Mińskiej, olbrzymia przestrzeń leśna 1,949.854 dziesięcin.

W skład tych przestrzeni nie wchodzą majątki z innych dawnych ziem polskich, których obszar leśny w Królestwie samem wynosi obecnie przeszło milion morgów.

Na mocy dekretu Ks. Warszawskiego z 1808 r. ustanowione zostały dwa zarządy: jeden dla dóbr koronnych, składających się z 55 ekonomii popruskich, drugi dla reszty dóbr, którym nadano nazwę narodowych. Z tych dóbr Napoleon obdarował swoich marszałków i jenerałów obszernemi donacyami, które znów po ustanowieniu Królestwa Kongresowego z powrotem na skarb zajęte zostały.

Kongres wiedeński zmieniał na nowo granice ziem polskich. W Królestwie ogólny obszar dóbr rządowych według danych z 1815 r. obejmował 532 mile kwadratowe wraz z liczbą 5299 wsi, miast 213, co w stosunku do ogólnej przestrzeni Królestwa stanowiło czwartą część całego obszaru kraju. Największy odsetek własności rządowej, przeszło połowa całej, znajdował się w wojew. Augustowskiem, w mazowieckiem czwarta część, w lubelskiem najmniej, tylko 1/15.

Ogólna przestrzeń dóbr rządowych w morgach w 1835 r. wynosiła w przybliżeniu 5.2 mil. morgów. Zarząd dóbr i lasów w Królestwie Polskiem początkowo był rozdzielony. Dobrami zarządzała jeneralna dyrekcya dóbr rządowych i dyrekcya jeneralna lasów rządowych, oraz Izba administracyi dóbr koronnych i powróconych, wreszcie Izba administracyjna dóbr narodowych.

W dawnej Polsce postanowień specyalnych pod względem zarządu lasami nie spotykamy, przepisy co do lasów na Litwie, pochodzące z czasów Zygmunta Augusta, były niezmiernie niedokładne. Przestrzegano jednak już wtedy, żeby lasy w dobrach stołowych nie były niszczone. We wszystkich kontraktach, zawieranych z dzierżawcami ekonomii królewskich stawiano jako warunek, że las może być cięty tylko na odcinkach, przez jeometrów wskazanych.

W 1816 r. mianowano dyrektora jeneralnego lasów rządowych, którego obowiązkiem był dozór nad lasami. Wszystkie dobra narodowe górnicze i podstarościńskie, złączone pod jednym zarządem, ostatecznie przeszły na mocy dekretu z 1824 roku do wydziału górnictwa krajowego, pod zawiadywanie komisyi skarbowej. Sposób administrowania dobrami rządowemi za czasów Księstwa wzorowano na przepisach rządu pruskiego, który uformował ekonomię, podzielił je na dzierżawy celem skoncentrowania administracyi lokalnej. Za Królestwa Kongresowego każda większa lub mniejsza dzierżawa stanowiła całość sama w sobie i była oddawana przez rząd z wolnej ręki lub z licytacyi na lat 12.

Komisya przychodów i skarbu pod rządami Lubeckiego, potrzebując funduszów na spłatę długu publicznego, na podniesienie handlu, na stworzenie przemysłu krajowego i ustalenie kredytu, uznała dobra skarbowe za hipotekę dla towarzystwa kredytowego, którego ta komisya stawała się członkiem. Wysokość zaciągniętej pożyczki na dobra prywatne i narodowe ustalano do wysokości 3/5 ich wartości.

Na obciążenie pożyczką przeznaczonych zostało 184 dóbr, a pożyczka wynosiła 64.9 mil. zł. pol. W związku z tą czynością Lubeckiego stała sprzedaż dóbr rządowych, której główną przyczyną była chęć pozbycia się kosztownej i mozolnej administracyi. W 1828 r. został wydany dekret dozwalający tę sprzedaż osobom prywatnym . Sprzedano jednak tylko 9579 morgów.

II.

Prawo własności da się określić jako możność pełnego rozporządzania rzeczą zmysłową. W rozporządzaniu tem mogą zajść przeszkody

i z tego powodu prawo własności bywa ograniczane. W stosunku do własności gruntowej występują w Rzymie tego rodzaju ograniczenia pod formą fideikomisów. Motywem historycznym ich powstania była niemożność dziedziczenia przez cudzoziemców. Inne prawodawstwa znają także ograniczenia cudzoziemców, a w Polsce prawo podobne nosiło specyalną nazwę „jus caducum". Spadek po bezdzietnym cudzoziemcu aż do 1768 r. przechodził zawsze na króla. Dopiero uchwała sejmowa z tego roku przyznała prawo spadkowe krewnym zagranicznym na równi z krajowcami.

Zasadniczo przeciw ograniczonym formom władania przemawiało w Polsce prawo zwyczajowe. Za ogólne prawidło przyjęto równy podział między braćmi. Występowało przecież dążenie do utrzymania znaczenia rodu i to już od najdawniejszych czasów. Wyjątki od prawa zwyczajowego występują pod koniec XV stulecia. Pierwsza ordynacya przypada na Jarosławskich z miastem Jarosław w Galicyi. Inne rody polskie podjęły również w pierwszej połowie wieku XVI starania, aby dla swych następców utworzyć ordynacye.

Spadki ordynackie, stanowiąc szczególny rodzaj spadkobrania, musiały być w Polsce zatwierdzane przez władzę prawodawczą i mogły powstawać tylko za pozwoleniem króla.

Uważane to było zawsze za wyjątek i ordynacye nie znajdowały szerszego zastosowania. Do rozbioru Polski ugruntowało się zaledwie 5 ordynacyi: 1. Radziwiłłów, których masa dóbr w jednej gub. Mińskiej posiada dziś około 228 tys. morgów obszaru i 8 miasteczek (Nieśwież, Dawidgrodek, Kleck, Siniawka, Ciemkowicze, Siemierzew, Stary i Nowy Świerzeń). 2. Ordynacya Zamoyskich, założona przez Jana Zamoyskiego, kanclerza i hetmana koronnego, a zatwierdzona przez sejm w roku 1589. Do uwłaszczenia włościan ogólna przestrzeń ordynacyi Zamoyskiej wynosiła koło 160 tys morgów. 3. Ordynacya Myszkowskich powstała w XVII stuleciu, a na początku XIX wieku przynosiła jeszcze dochodu 400.000 złp. 4. Ordynacya Ostrogskich na Rusi założona była przez książąt: Janusza, kasztelana krakowskiego i Aleksandra, wojewodę wołyńskiego, którzy zawarli między sobą układ w r. 1603. 5. Ordynacya książąt Sułkowskich w Wielkopolsce urządzona była przez ks. Augusta Sułkowskiego, który piastował liczne dostojeństwa krajowe i zagraniczne i otrzymał pozwolenie na tę formę władania w 1783 r. W końcu wieku XVIII, już za rządów pruskich utworzono w Prusach Zachodnich ordynacyę Zboińskich w Kozłowie, jedyną polską w tej dzielnicy.

Za czasów Napoleona wyłoniła się znów sprawa majoratów. Dokonano darowizny dóbr rodzinie Napoleona i uposażono rody, które mu dopomogły do zdobycia cesarskiej korony; dobra te zwrócone zostały skarbowi na zasadzie prawa z 1818 roku. Marszałkowie francuscy władali zatem dobrami w Księstwie Warszawskiem, jakkolwiek prawo donacyi przeszło na księcia Warszawskiego.

Cywilny kodeks francuski wywarł wpływ na prawodawstwa innych krajów. Fideikomisy w prowincyach nadreńskich zostały zniesione, natomiast utrzymały się w Austryi i w Niemczech, a z przejściem prowincyi polskich pod zabór pruski i austryacki zaczęły obowiązywać prawa tych państw.

W Prusach w 1914 r. było 45 fideikomisów, z których na ordynacye polskie przypadało 16.

Na ziemiach polskich pod zaborem austryackim znajdowały się ordynacye Myszkowskich i Zamoyskich. Za rządów austryackich w Galicyi powstały ordynacye: Przeworska książąt Lubomirskich, Wysuczka Czarkowskich, Sieniawska książąt Czartoryskich, Poturzycka hr. Dzieduszyckich, Łańcucka Potockich, Chorostkowska hr. Siemińskich.

Na Śląsku austryackim istnieje ordynacya polska hr. Sułkowskich na Bielsku. Sułkowscy dostali tytuł książęcy od cesarza niemieckiego, Franciszka I, i wynarodowili się zupełnie. Bielsk stał się placówką germanizmu.

Powstawanie nowych ordynacyi napotykało w Królestwie Kongresowem na poważne trudności. Za rządów Królestwą Kongresowego nie mogło być mowy o zakładaniu ordynacyi, ponieważ znalazłoby to opozycyę ciała prawodawczego wobec ogólnego kierunku liberalnego umysłów. Po powstaniu listopadowem szlachta polska uznaną została za najniebezpieczniejszy element dla państwowości rosyjskiej, przeciw któremu podjął walkę Paszkiewicz. Jedyna ordynacya powstała w 1844 roku w Opinogórze hr. Krasińskiego. Okres po powstaniu 1863 roku nie sprzyjał również tworzeniu nowych ordynacyi. Nie przestawano widzieć w szlachcie niebezpiecznego żywiołu, a polityka agrarna rządu rosyjskiego dążyła do wytworzenia coraz większej przepaści między dworem a chatą. Zezwolono jedynie na założenie ordynacyi Kozłowskiej w r. 1903, dzięki stosunkom jej właściciela, Adama hr. Zamoyskiego, na dworze petersburskim.

Początek majątków ordynackich w Rosyi pochodzi z czasów, kiedy przedstawiciele znakomitych rodów pragnęli utrzymać w rodzinie część lub całość majątków nieruchomych, motyw był ten sam, co

i na Zachodzie. Pierwszy taki majątek należał do hr. Czernyszewa. Za jego przykładem poszli inni magnaci, zanosząc prośby o ustanowienie majątków niepodzielnych lub majoratów, któreby przechodziły drogą spadków według z góry ustanowionego trybu.

W 1840 roku było wszystkich majoratów w Rosyi 12. Prawo o majoratach zostało zatwierdzone w 1845 r., a wyraz majorat zastąpiony przez z a p o w i e d n o j e i m i e n j e.

Do r. 1899 było w Rosyi zapowiednych majątków zaledwie 85. Stało to w związku z wymaganiem, że te tylko majątki mogą być zamienione na ordynackie, które przynoszą przynajmniej 12.000 rubli rocznego dochodu lub zawierają najmniej 10.000 dziesięcin ziemi. Ordynacye w Rosyi może tworzyć tylko szlachcic.

W byłych prowincyach polskich pod zaborem rosyjskim powstały na zasadzie przepisów (1845 i 1899 roku) następujące ordynacye: Teplicka hr. Potockich, hr. Tyszkiewiczów na Birżach i tychże na Zatroczach, Bispingów na Masalanach, hr. Branickich na Rosi i Snipowie, ks. Sanguszków na Sławutach; wszystkie te ordynacye powstały w końcu XIX, a nawet w wieku XX. W ostatnich czasach Józef hr. Potocki z dóbr swych po matce, z domu księżnej Sanguszkowej, o wartości do 100 milionów rubli ufundował dla swych synów dwie ordynacye.

Przechodząc do d o n a c y i, wyjaśnić należy genezę prawną rozdawnictwa dóbr skarbowych w państwie rosyjskiem. W Rzeczypospolitej Polskiej nadawanie ziemi skarbowej na własność osobom prywatnym nie było pod żadną formą możliwe. Inaczej było w Rosyi. Posiadamy z XIV wieku dane o darowiźnie ziem przez książąt osobom prywatnym, co było znanem i w innych krajach. W wiekach XVI i XVII tego rodzaju darowizny ze strony carów zdarzały się bardzo często. Dobra ziemskie nadawano przeważnie tym osobom, które zajmowały posady rządowe. Darowizny były nagrodą za okazane usługi. Jako tytuł własności wydawano przywilej cesarski, w którym wskazywano przyczynę darowizny z nadmienieniem przestrzeni ziemi i wyłuszczeniem praw właściciela. W prawie rosyjskiem, jako jeden ze sposobów nabywania nieruchomości, spotykamy darowiznę przez panującego.

Donacye w Królestwie Polskiem mają przeto swe źródło w tradycyi rosyjskiej. Bez namysłu zwrócono się do rozdawnictwa majątków rządowych tembardziej, że poza celem wynagrodzenia różnych dygnitarzy, odgrywających rolę uśmierzycieli powstania w 1830 i 1863 roku, niemałą rolę odgrywały tendencye polityczne. Ostatni motyw znalazł

wyraz w tworzeniu majoratów, których obdarowani pozbyć się nie mogli.

Między ordynacyami a donacyami zachodzi zasadnicza różnica: pierwsze powstawały z majątków prywatnych, a władza publiczna sankcyonowała tylko zmianę spadkobrania i ograniczała prawo obciążania dóbr ordynackich i przekazywania ich drogą darowizny lub sprzedaży.

Przy donacyach rząd wyzbywał się w zupełności majątku, przechodzącego na donacye, utworzone z dóbr do niego należących, nie pozostawiając sobie żadnych do majątku tego uroszczeń. („Majątek nadaje się wiecznymi czasy na dziedzictwo z takiemi prawami i użytkami, z jakiemi skarb go posiadał" — art. I przep. o don. z 1835 r.). Z innych postanowień również widzimy, że rząd, wyzbywając się majątku, zrzekał się praw. Nadzór nad lasami donacyjnymi ustanowiony został nie w celu zachowania tych praw, ale, jak powiedziano, w interesie przyszłych spadkobierców. Z wprowadzeniem ustawy o ochronie leśnej rozciągnięto nadzór na wszystkie lasy prywatne ze względu na interes publiczny. Lasy donacyjne uznane zostały za prywatne.

W roku 1845 wydane zostały przepisy o donacyach w guberniach zachodnich: W artykule 495 powiedziano, że ziemie i inne użytki, wchodzące w skład majoratów, stanowią własność dziedzica, któremu został majątek nadany z prawem przekazywania go sukcesorowi rodzaju męskiego. Co do zakazu obciążania majątków tej kategoryi nowemi zobowiązaniami, to w tym względzie donacye nie odróżniają się od ordynacyi. Wydzierżawienie dóbr donacyjnych na jakikolwiek przeciąg czasu było wzbronione, natomiast gdyby donataryusz nie mógł sam zarządzać majątkiem, pozwalano na ustanowienie rządcy. Na gruncie tym wynikały rozmaite nieporozumienia. Donataryusze w Królestwie, nie posiadając inwentarza i kapitału obrotowego, a starając się wyciągnąć jak największy dochód z majątku, wchodzili w stosunek umowy, który właściwie był dzierżawą. W akcie tego rodzaju administrator poręczał donataryuszowi za ściśle oznaczony dochód, cała zaś przewyżka miała do niego należeć, jako wynagrodzenie za ryzyko i pracę, związane z administracyą majątku.

S p r a w a w ł o ś c i a ń s k a w programie politycznym rządu rosyjskiego w Królestwie Polskiem odegrała, jak wiadomo, niezmiernie ważną rolę.

Pierwszym aktem, a nawet próbą urządzenia włościan był za czasów rządu Królestwa Kongresowego ukaz z 1820 r., który miał na

względzie urządzenie włościan w dobrach skarbowych.Te same zasady stosować miano i do dóbr donacyjnych. W ukazie z 1835 roku o nadawaniu donacyi wymagano, żeby wszystkie dobra, przechodząc na własność prywatną, były pomierzone a wsie oddzielone od folwarków. Włościanie, w tych dobrach osiedli, mieli otrzymywać nie mniej niż jedną włokę ziemi na osadę. O ile posiadana przez włościan przestrzeń była mniejszą, należało ją uzupełnić do 30 morgów, o ile zaś była większą, miała przy użytkownikach pozostać.

Zasady przyjęte dla majątków skarbowych, a następnie donacyjnych posłużyły do dalszego postępu w prawodawstwie włościańskiem.

Ukaz o uwłaszczeniu z 12 marca 1864 roku zawierał we wstępie program rządu. Klasę posiadającą starano się zdyskredytować przed narodem, któremu wszczepiano przekonanie, że jedynie w rządzie może znaleźć opiekę. Ukazy o uwłaszczeniu obejmowały postanowienia i co do donacyi. Dziedzice dóbr majorackich otrzymać mieli na równi z właścicielami prywatnymi od rządu wynagrodzenie za zniesienie powinności włościańskiej, według zasad podanych w ukazie o komisyi likwidacyjnej. Dodana była również obietnica, że włościanie otrzymają grunta rządowe, „o ile zasłużą na to postępowaniem prawomyślnem". Obietnice te nie zostały spełnione. Zamiast nadać ziemie proletaryatowi wolnemu, którego było 1,340.000 głów, komitet urządzający wyznaczył z dóbr, będących w jego rozporządzeniu, dla włościan 27 proc., na sprzedaż dla osób pochodzenia rosyjskiego 13 proc., a na majoraty 60 proc. W ten sposób około 350 tys. morgów poszło dla dygnitarzy rosyjskich, a bezrolni otrzymali tylko 140 tys. morgów.

Po powstaniu 1863 r. rozpoczęło się na nowo rozdawnictwo donacyi, które w społeczeństwie polskiem otrzymało nazwę czwartego rozbioru. Ponieważ cel politycznej rusyfikacyi nie został osiągnięty przez poprzednie nadania donacyi, pozostał tylko motyw wynagradzania działaczy za zasługi. Kiedy rozeszła się wiadomość o bliskiem rozdawaniu dóbr, dygnitarze cywilni i wojskowi, jeden przez drugiego, czynili starania o otrzymanie donacyi, w czem dopomagali im administratorowie i dzierżawcy majątków skarbowych, obawiając się utracić korzystnej dzierżawy.

Stan ówczesny posiadłości rządowych według sprawozdania, złożonego przez głównego dyrektora komisyi skarbowej komitetowi urządzającemu (z 5 marca 1865 r.), przedstawia się tak:

	w tysiącach morgów
Przestrzeni leśnej wraz z osadami, łąkami itp. . . .	1.422
w użytkowaniu zakładów górniczych było	5
drobne przestrzenie	28
ziemi folwarcznej w dzierżawie krótkoterminowej . .	276
ziemi folwarcznej w dzierżawie wieczystej	69
drobnej przestrzeni w dzierżawie wieczystej . . .	25
ziemi włościańskiej	2.129
drobne posiadłości w miastach i osadach	23
pod osadami szkolnemi	1
w posiadaniu różnych osób na zasadzie przywilejów . .	27
w posiadaniu parafii cerkiewnych	29
w posiadaniu włościan cerkiewnych	4
ziemi, oddanej na ogólne potrzeby	6
Razem	4.050

Według ukazu z 1865 r. nadano 8 donacyi z łącznym dochodem 22.000 rubli.

Co do konfiskat, to w r. 1863 nie miały być stosowane do mienia skazanych. Namiestnik jednak, powołując się na kodeks z 1847 r., spowodował orzeczenie cesarskie, że kara konfiskat ma być stosowaną, o czem zawiadomiono komisyę wojenno-sądową w 1864 r. Jen. policm. wydał rozporządzenie, ażeby utworzono listę osób, których majątki nakazano skonfiskować. Liczba konfiskat do 1 stycznia 1865 wynosiła 1660, a mianowicie w oddziałach: warszawskim 442, siedleckim 170, płockim 320, radomskim 113, lubelskim 320, kaliskim 172, augustowskim 187, łomżyńskim 146. Okazało się jednak, że z powyższej liczby 318 osób nie posiadało majątku.

Ukazem z 1867 r. nadano dobra z łącznym dochodem 305 tys. rubli 12 dygnitarzom wojskowym. Ukaz z 1868 r. obejmował 17 nadań z dochodem rocznym 34.500 rubli. Obdarowanymi byli głównie działacze reformatorzy z zarządu Królestwa.

W okresie II rozdano 67 nowych donacyi z dochodem 155.000 rb.

Razem w okresie obu rozdawnictw t. j. za Paskiewicza i Berga użyto 992 folwarków przestrzeni ornej 464.898 morgów i lasu 205.667 morgów, czyli 670.747 morgów. Komitet statystyczny w 1906 r., zaliczając do majoratów także majątek ordynacki Paskiewiczów, oraz odliczywszy majoraty Trepowa i Muchanowa, wykazał obszar majoratów na 677.185 morgów. Najwyższy procent donacyi obejmuje majątki poni-

żej 1.000 morgów (333), następnie idą majątki do 3.000 morgów (140), do 5.000 morg. (37) i wreszcie większe do 7.000 morg. i powyżej (27).

Przestrzeń majoratów ornej ziemi i lasu wynosiła 652.124 morgów i rozkłada się na gubernie w sposób następujący według danych z roku 1909.

	Ogółem
Królestwo Polskie	652.124
Gubernia Kaliska	60.238
„ Kielecka	67.616
„ Lubelska	50.680
„ Łomżyńska	42.260
„ Piotrkowska	73.599
„ Płocka	14.998
„ Radomska	84.326
„ Siedlecka	83.326
„ Suwalska	117.012
„ Warszawska	56.802

W okresie konstytucyjnym wydano w 1906 r. przepisy, które zezwalały właścicielom majątków ordynackich, majorackich i lennych w gub. zachodnich, tudzież donacyjnych i poduchownych w Królestwie Polskiem sprzedawać działki ziemi ze swych dóbr przy pomocy banku włościańskiego, lub bez jego pomocy włościanom małorolnym lub rolnikom innych stanów. Przy sprzedażach powinny były być przestrzegane normy sprzedaży gruntów skarbowych. Komisye powiatowe w Cesarstwie, a urzędy gubernialne dla spraw włościańskich w Królestwie winny były konstatować potrzeby sprzedaży. W Królestwie opierano się na tem, że donacye nie spełniły swoich celów rusyfikacyi i że zaledwie 15 właścicieli prowadzi samodzielnie gospodarstwo rolne. Rozporządzenie stosowano w różny sposób, sprzedając działki według gubernii albo wszystkim, albo wyłącznie włościanom, najczęściej jednak usuwano od kupna małorolnych i bezrolnych, nabywcami byli przeważnie włościanie z tej samej gminy.

Wśród narad komisyi, w Dumie i Radzie państwa ulegało prawo z 1906 r. kilkakrotnym przeobrażeniom. Pojawił się również projekt Stołypina o rozkolonizowaniu donacyi między włościan rosyjskich, dla których powinny się były znaleźć wolne grunta w Rosyi europejskiej. Wreszcie wydane zostało w 1913 r. prawo, które nie rozstrzyga kwe-

styi sprzedaży gruntów donacyjnych Polakom, a sprawę dzierżaw podporządkowuje ogólnym przepisom prawa cywilnego, wykluczając od dzierżawy żydów.

W gub. zachodnich zastosowano również prawo z 1906 r., pozwalając sprzedawać majątki donacyjne włościanom katolikom, oraz osobom nie wyznającym religii prawosławnej. Neydhardt, który przeprowadzał słynną rewizyę senatorską w 1910 r., oznacza wartość donacyi na 100 — 150 milionów rubli.

Oprócz streszczonych powyżej dziejów donacyi i majoratów na ziemiach polskich, najcenniejszym w dziele J. Kaczkowskiego jest ułożony tabelarycznie wykaz donacyi z I i II okresu, w którym autor podaje: nazwisko i rangę każdego z obdarowanych, nazwisko właściciela w 1909 r., nazwę donacyi, gubernię i powiat, obciążenie pożyczką tow. kredytowego, roczny dochód, przestrzeń i t. d., oraz w uwagach krótką historyę każdej miejscowości, wskazując tomy i stronice źródeł, z których dokładnie informować się można o szczegółach.

W okresie I między 1830 a 1863 rokiem rozdano 133 donacyi, w okresie II po powstaniu styczniowem 112 donacyi.

Dzieło J. Kaczkowskiego nie mówi nam o stanie gospodarczym donacyi. Wymagałoby to odrębnych studyów, których dotychczas nie przeprowadzono. Natomiast daje prawodawcy i publicyście do ręki doskonały materyał, niezbędny w chwili, w której los donacyi powinien być rozstrzygnięty, a rząd polski będzie miał sposobność upomnienia się u Rosyi o te zrabowane dobra i postanowienia, jak je dla dobra kraju zużytkować.

B. P. E.

Wychowanie polskiej młodzieży dla polskiego przemysłu.

Odbudowa ziem polskich nie powinna polegać li tylko na wznoszeniu zburzonych budynków, puszczeniu w ruch zamkniętych fabryk i warsztatów i podniesieniu zniszczonego rolnictwa, ale odbudowa w szerokiem pojęciu musi ogarnąć całokształt braków i potrzeb społecznych, odbudowa musi zajść na samo dno, dotrzeć do samych fundamentów gmachu społecznego i wszystko obejrzeć i podać pod odbudowę, co potrzebuje budowy. Odbudowa bowiem, to zdrowy rozwój całego życia społecznego na przyszłość, by w narodzie polskim była równowaga społeczna, zdrowie społeczne, potęga i świetność społeczna, nie tylko trzeba odbudować, co zniszczało, ale trzeba też pomyśleć, kto i czyjemi rękami ma Polskę w przyszłości budować. Odbudowa Polski w teraźniejszości, a zwłaszcza w przyszłości bez czysto polskich rąk i rodzimych sił fachowych czy da się pomyśleć i czy da się przeprowadzić z pożytkiem wszechstronnym całokształtu dobra narodowego?

Wszak przed światową wojną kolosalny był brak rąk i sił fachowych czysto polskich, a cóż dopiero po wojnie. Stąd jedno z pierwszorzędnych zadań odbudowy to dostarczenie w odpowiedniej liczbie krajowi całemu i polskim ziemiom w dziedzinie przemysłu, rękodzieła, handlu i rolnictwa rodzimych rąk i sił fachowych. Nadto, jak słusznie zauważa znany autor „Galicyi", prof. Franciszek Bujak: „Nasz chłop, rzemieślnik, kupiec pracuje dro-

żej i gorzej niż gdzieindziej przez brak zawodowego wykształcenia i systematyczności, było to jaskrawe np. w nowej produkcyi budowlanej, która ostatnio ściągała licznych pracowników z zachodu. i wytrącających kielnię i cyrkiel leniwym i nieumiejętnym naszym siłom".

To wszystko nas naprowadza na myśl, że musimy na gwałt poddać rewizyi dotychczasowe niektóre systemy wychowawcze i rozpocząć budowę od podstaw t. j. od młodzieży, a polskiej zaś młodzieży dać wychowanie odpowiednie do potrzeb narodowych i pożytku samejże polskiej młodzieży. A ponieważ jedne z największych braków w Polsce są w dziedzinie fachowych sił dla polskiego przemysłu i rękodzieła, dlatego tych kilka myśli rzucamy, by one posłużyły do głębszego rozświetlenia tej arcyważnej kwestyi na chwałę, pożytek i potęgę Polski.

I.

Z trzech jakby części składowych każde społeczeństwo składa się, lub jakby z trzech warstw ogólnych: z bogatych, średnich i ubogich.

1. Bogacze i bogactwa nie tyle są potrzebą bezwzględną społeczeństwa, ile raczej każdego społeczeństwa dopełnieniem, ozdobą i upiększeniem, nazewnątrz uplastycznieniem świetności, wielkości,potęgi materyalnej każdego narodu.

2. Druga część czyli warstwa to klasy i stany średnie społeczne, które mają i poprzestają na dobrach tego świata w formie umiarkowanej. Im dobra tego świata przeciętnie wystarczają zupełnie dostatnio, umiarkowanie, spokojnie na wszelkie potrzeby całego życia we wszystkich jego objawach rodzinnych, społecznych, zawodowych, kulturalnych i t. d. Na tę warstwę składają się najliczniejsze tak zwane średnie stany jak: drobni właściciele roli, posiadacze średniego i małego przemysłu, rękodzielnicy, drobni kupcy, dostatnio zarabiający robotnicy, oficyaliści mniejsi i t. p.

3. Trzecia ogólna warstwa społeczna to ubodzy. Są to jednostki społeczne, które dóbr tego świata nie mają w odpowiedniej

ilości i wiele im jeszcze brakuje, by zaspokoić konieczne wymogi we wszystkich okresach i objawach życia indywidualnego, rodzinnego, społeczeństwa, kulturalnego i t. d.

Na tę warstwę składają się jednostki społeczne jak: wszelkiego rodzaju biedoty, komorniki, robotnicy mało i niewystarczająco na utrzymanie siebie i rodziny zarabiający, nędzarze, kaleki, niedołęgi, pozbawieni wszelkich lub wystarczających środków do normalnego życia, czy to pozbawionych z własnej winy czy z powodu innych przyczyn i wypadków i t. p.

Społeczeństwo każde można porównać do w s p a n i a ł e g o g m a c h u. Ozdoby zwłaszcza zewnętrzne i upiększenie, przepych zewnętrzny gmachu i budowy, to są bogacze danego społeczeństwa. Fundamenta zaś, dach i wszystkie urządzenia budowy to w a r s t w a ś r e d n i a.

Wszelkie zaś braki, niedomagania i błędy budowy, które są nieodzowne przy każdej budowie, jako rzeczy ludzkiej na ziemi, bo *„Nihil perfectum in mundo“* bo nic doskonałego na świecie, to trzecia warstwa ubogich i nędzarzy.

Otóż jak w każdej budowie siłą i równowagą każdej budowy są fundamenta, ściany i dach, tak samo i w budowie, jaką jest budowa organizmu społecznego, fundamentem, siłą i równowagą jest średnia warstwa.

Dlaczego?

Warstwa bogaczy jest dobra, piękna, na zewnątrz lśniąca i ponętna, dla świata materylnego potrzebna. Ludzkość bowiem stworzoną została bogatą; przez grzech popadła w ubóstwo, i bogatą być nie może tylko w niektórych swych członkach, by spełnić swe posłannictwo na ziemi. Jak słusznie mówi belgijski socyolog Perin: „Przez bogactwo właśnie i przez bogatych szczególniej objawia się panowanie ludzkości nad światem materyalnym: taka jest przyczyna bytu bogatych i bogactwa w porządku opatrznościowym“.

W warstwie ubogich zaś trzeba dwie rzeczy rozróżnić, nędzę od ubóstwa. Ubogich zawsze mieć będziemy, jak mówi P. Jezus i jak stwierdza historya ludzkości i ubogich musimy tolerować a nawet szanować, bo ubóstwo jednostek ma w sobie dużo pe-

wnego dobra moralnego, względnie pożytku tak dla doczesnego życia jednostek w społeczeństwie, a zwłaszcza dla zasług w wieczności. Lecz jeżeli ludzkość skazana jest na znoszenie ubóstwa, stąd bynajmniej nie wypływa, aby jej przeznaczono było pozostać w nędzy. Nędza bowiem odznacza się moralnym i materyalnym upadkiem, od którego ubóstwo może być zupełnie wolnem.

Ubóstwo godzi się bardzo dobrze z wysokim stopniem moralnej działalności, przez którą właśnie ludy ubogie otwierają sobie nieznane poprzednio drogi uczciwego zarobku. Nie wyłącza ono także prawdziwych życia pociech, których dusza ludzka jest daleko obfitszem źródłem, niż korzyści materyalne. Przeciwnie zaś nędza poniża moralną i fizyczną stronę człowieka. Pod względem fizycznym jest to ogołocenie z rzeczy niezbędnych do życia, za czem idzie wycieńczenie organizmu i skrócenie życia. Pod względem zaś moralnym zniechęcenie, upadek na duchu, obojętność na wszystko, co duszę podnieść może, i nader często zepsucie obyczajów i zwyrodnienie.

Nędza jest rezultatem pogwałcenia praw, nakreślonych przez Boga życiu społecznemu. Społeczeństwo, w którem się ona zagnieżdża i szerzy, zagrożone jest ruiną i śmiercią. Pomimo blasku, jaki może otaczać życie klas bogatych, wzmagająca się nędza ludu kopie pod społeczeństwem przepaść, która pochłonie prędzej czy później wszystkie jego dorobki, jeżeli nie zdobędzie się ono na tyle sił moralnych i gospodarczych, aby źródło tego zatamować. Od nędzy upadło państwo rzymskie, które wszystkie bogactwa materyalne i umysłowe świata starożytnego w sobie skupiło.

Niepodobieństwem jest, aby nawet dobrze urządzone społeczeństwo od nędzy uwolnić. Słabość ludzkiej natury jest tak wielka, iż zawsze dziać się będą mniejsze lub większe wykroczenia przeciwko moralnym i gospodarczym prawom, których fatalnym skutkiem zawsze bywa nędza. Lecz jeżeli dotykając tylko nielicznych jednostek, nie przechodzi ona w stan normalny znacznej części społeczeństwa, to choć złem być nie przestaje, nie jest wszakże niebezpieczeństwem społecznem. Kiedy wszakże nędza staje się udziałem znacznej części społeczeństwa, kiedy niepodobna prze-

widzieć, gdzie się zatrzymają szerzone przez nią spustoszenia, dopiero wtedy jest ona straszną dla każdego społeczeństwa.

O ile ubóstwu więc należy się cześć i tolerancya, o tyle nędzy w każdem społeczeństwie trzeba wydać bezwzględną walkę jako pasożytowi, który organizm ludzki podkopuje, gangrenuje, toczy, zatruwa, obciąża i t. d.

Dlatego największą troską każdego społeczeństwa powinnabyć troska o warstwę średnią, jako część składową najistotniejszą całego gmachu społecznego... A dlaczego? Już to, że to jest warstwa najliczniejsza; już to dlatego, że dobra tego świata nie są zgromadzone zbytnio u nielicznych jednostek, ale rozdzielone o ile możności sprawiedliwie i równomiernie na liczniejsze warstwy; że niema tam nędzy, która jest złym doradcą; że nie naraża, jak bogaczy na folgowanie rozmaitym namiętnościom; rozpusty, chciwości, pychy, próżniactwu, co każde społeczeństwo podgryza i niszczy i t. d. Już to, daje przystęp najliczniej, najrozumniej i najprawdziwiej do wszelkich wyższych dóbr jak do: zdrowej kultury materyalnej i duchownej, do harmonii, spokoju i ładu osobistego i społecznego i do wszelkiego szczęścia, o ile ono jest możliwe na tej ziemi. Już to, że praca ich rąk przedewszystkiem żywi wszystkich i zaopatruje wszystkie potrzeby i wymogi społeczne, na ich barkach spoczywa wszelka spoistość, sprężystość, sprawność, produktywność każdej machiny społecznej; czyli jednem słowem, warstwa średnia dobrze urządzona jest równowagą całego i każdego społeczeństwa tak ze względu na doczesność jak i na wieczność. Wprawdzie żadne społeczeństwo nie uwolni się od ubóstwa i trudno będzie jakiemukolwiek społeczeństwu całkowicie nawet nędzy się pozbyć, lecz nędza nie przybierze w niem takich strasznych rozmiarów, w jakich zawsze ona występuje, gdy ta równowaga jest zachwiana i podkopana.

A ponieważ stany drobnego przemysłu, rękodzieła i robotników dostatnio zarabiających i pewnie ubezpieczonych są w warstwie średniej najliczniejsze i najdoskonalej w sobie urzeczywistniają własności równowagi, stąd troska o te stany powinna być zawsze największą i najtroskliwszą. Dla

tego wychowanie dla przemysłu i rękodzieła nie jest jakąś tylko kwestyą miłosierdzia, litości, współczucia, ale jest prawdziwie pracą, działalnością nadzwyczaj pożądaną dla równowagi społecznej, bo nie gromadzi zbyt bogactw w jednym ręku, zapobiega stanowczo wszelkiej nędzy. Zaniedbanie zaś stanu średniego zawsze wstrząsa równowagą społeczeństwa, zaraz bowiem majątki gromadzą się zbytnio w nielicznych jednostkach bogaczy, a z drugiej strony coraz większa szerzy się nędza społeczna. Stąd słynny angielski ekonomista Mac Cullucha (str. 332) stwierdza: że „nędza i upośledzenie bardzo licznej klasy ludności i rozpościerające się obok ogromnych bogactw wybrednego zbytku pewnej części klas bogatych, wytwarzają niebezpieczne położenie rzeczy, z którego wypłynąć kiedyś muszą zawichrzenia, nienawiść i anarchia". Dlatego słusznie i prawdziwie mówi Perin: „Przez spokojną i regularną działalność zarobkową wielcy, i mali, posiadający i robotnicy, będą mogli dojść do tego bogactwa umiarkowanego, które może niezaspakajać nienasyconej ambicyi i pożądliwości człowieka oderwanego od Boga, ale które wystarczą człowiekowi, gdy przejęty myślą Bożą, dąży w pracy i ofiarach swego życia do osiągnięcia prawdziwej wielkości, wielkości moralnej".

II.

Gdy niema równowagi w budowie, to wiemy dobrze, że się rysuje, grozi zawaleniem, a nieraz zapadając się, wraz ze sobą w gruzach grzebie wiele ofiar.

Coś podobnego w społeczeństwie każdem — z powodu braku równowagi wytwarzają się rozmaite choroby i złowrogie rysy.

Otóż i u nas z powodu anormalnego i upośledzonego stanu warstwy średniej i zapoznania tej sprawy — prócz innych chorób wywiązały się duże, ciężkie, bolesne, szkodliwe i niebezpieczne rany. A niemi są w Polsce: Wychodźtwo do cudzych krajów i zalanie stanu średniego po miastach obcymi, a na wsi i roli zapuszczenie ziemi zbyt licznemi nieużytkami i brak uprzemysłowienia rolnictwa.

Jak jest wychodźtwo wielkie, to nie tu miejsce pokazywać. Faktem, że polskie syny i córki po całym świecie chodzą i szukają chleba zwłaszcza w Niemczech, Czechach i Ameryce i t. d.

Jakie szkody dla naszego społeczeństwa w dziedzinie narodowej, religijnej, moralnej, ekonomicznej, społecznej, to na ten temat już wiele mamy rozpraw i rozmyślań.

Nie obroni wychodźtwa obrona niektórych, że wychodzący do kraju znoszą od 7 do 10 milionów rocznie i trochę tężyzny życiowej. Prawda, że tak jest, a l e z y s k i n i e i d ą w p a r z e z e s t r a t a m i. Przynoszą społeczeństwu naszemu rocznie z kilka lub kilkanaście milionów, a społeczeństwo przez wychodźtwo traci przeszło kilkadziesiąt a może kilkaset milionów rocznie. Przynoszą trochę tężyzny gospodarczej, a za to społeczeństwo polskie traci tysiące i tysiące swych obywateli i ich dusze i charaktery dla życia naszego narodowego, religijnego i gospodarczego.

Ale ponad wszystko to zalanie przemysłu i handlu obcymi i roli i wsi naszej zapuszczenie nieużytkami i brakiem przemysłu rolnego. Niema chyba większej tragedyi na świecie jak nasza. Polskie syny i córki, tysiące i tysiące muszą pójść do obcych, nieraz wrogich nam narodów na poniewierkę, na upokorzenie, na wyśmiewisko i wyzysk, by zdobyć dla siebie i rodziny kawałek chleba, a na ziemi polskiej przeszło 3 miliony żydów i przeszło milion Niemców, Francuzów, Belgijczyków, Anglików, Czechów i t. d. znachodzi obficie i dostatnio chleba, pieniędzy i bogactwa. Stąd nie bez słuszności jeden ze zajmujących się kwestyą rękodzielniczą w kraju pisze[1]): „Dla konsumenta jest rzeczą obojętną, kto a raczej w jaki sposób dany przedmiot produkuje, obojętnem, czy wytworzył go wielki fabrykant czy też rękodzielnik. Fakt ten jednak nie jest obojętnym dla społeczeństwa, dla którego nie może być jednoznacznem, czy posiada samych wielkich producentów otoczonych zawisłą od nich rzeszą robotniczą, c z y t e ż w i ę c e j j e d n o s t e k s a m o i s t n y c h, p r o d u k u j ą c y c h na własną rękę i odpowiedzialność. Nie może to zaś być obojętnem

---

1) T. L. S. Kilka uwag nad kwestyą rękodzielniczą w kraju naszym. Str. 9.

przedewszystkiem dla naszego kraju, gdzie kwestya ta ma inne doniosłe znaczenie. Przemysłu fabrycznego nie mamy, są zaledwie słabe początki. Jeżeli zatem przemysł rękodzielniczy będzie w dalszym ciągu upadał, to bilans handlowy kraju naszego z każdym rokiem pogarszać się musi, bo nasz przez wiele jeszcze dziesiątek lat prawie jedyny przemysłowiec, rękodzielnik, ginąć będzie kosztem obcego wielkiego przemysłu. Jeżeli zatem kwestya ratowania rękodzieła przyszła na tapet dyskusyi publicznej i zewsząd słychać głosy nawołujące do akcyi w tym kierunku, to u nas poświęcić jej należy baczniejszą uwagę, u nas bowiem ma ona donioślejsze znaczenie, obok względów społecznych właściwych innym narodom, ma również znaczenie ekonomiczno-narodowe". Otóż wielce skuteczne na te rany lekarstwo to wychować zdrowe, obrotne, wyszkolone, energiczne jednostki w przemyśle, handlu i rolnictwie. A przedewszystkiem pchnąć polską młodzież do przemysłu polskiego. Bo te miliony obcych zdobywają pieniądze, majątki i bogactwa przedewszystkiem w wszelkiego rodzaju przemyśle na ziemiach polskich. A w jaki sposób? Dopomódz trzeba polskiej młodzieży przy pomocy państwa, kraju, działalności publicznej i prywatnej. A więc potworzyć i pokryć liczną siecią cały kraj dobrze urządzonemi zawodowemi szkołami: rolniczemi, przemysłowemi, handlowemi. Pootwierać sekretaryaty wraz z biurem, któreby się zajęły przyszłem stanowiskiem starszej młodzieży na roli, w handlu, a zwłaszcza w przemyśle i rękodziele[1]).

Po miastach i wsiach pozakładać wszędzie na ziemiach polskich organizacye i ogniska ochronnej i wychowawczej kultury, któreby nie polegały przeważnie na zabawach, deklamacyach, śpiewach, podwieczorkach i t. p. ale na prawdziwie obywatelskiem wychowaniu umysłu, charakteru, rąk do powyższych zawodów. Również i w tej arcyważnej sprawie wielką usługęby wyświadczyły liczne zakłady, jak bursy i t. p. pobudowane po ziemiach

[1]) Informacyi i praktycznych wzorów prowadzenia organizacyi sekretaryatów i burs dla młodzieży rękodzielniczej i przemysłowej zasięgnąć można codziennie wieczorem od 6—8 w generalnym sekretaryacie, Kraków ul. Krupnicza 29.

polskich, w którychby młodzież nie posiadająca z domu rodzinnego potrzebnych zasobów na zawodowe wykształcenie, a przytem zdolna i utalentowana, o charakterze dobrym, mogła się w rozmaitego rodzaju zakładach wychowywać celem wykształcenia się w odpowiednich zawodach: przemysłu, rękodzieła, handlu i rolnictwa. Jasna rzecz, że kierownictwo i urządzanie takich zakładów bezwzględnie oprzećby się musiały o umiejętną i energiczną administracyę zarządu, narodowe i fachowe zasady wychowawczo-obywatelskie.

Na to wszystko potrzeba pracy i funduszów, dlatego słusznie woła do społeczeństwa Prof. Henryk Mianowski w swem dziele „Przemysł krajowy" — „nie żałujmy grosza na cele przemysłowe, zerwijmy z zaściankową polityką ekonomiczną, obudźmy się z apatyi". (Str. 95).

Ale trudność największa, że nasze społeczeństwo nie chce zrozumieć tego wychowania młodzieży dla przemysłu polskiego.

Jak nie chcieliśmy zrozumieć przed setki laty, kiedy to nasi królowie i inne im podobne czynniki zamiast swojemi własnemi wykształconemi siłami ziemię polską zapełnić, wpuścili do Polski żywioły obce, by zapełnić nimi stan średni w Polsce: tak samo i teraz nie możemy się wydobyć z tego k o ł a z a c z a r o w a n e g o, by przecież raz wreszcie stan średni utworzyć całkowicie, zwłaszcza w przemyśle i handlu, tylko i tylko ze swoich. Bogate społeczeństwa mogą sobie pozwolić na podzielenie się ze swemi bogactwy i dobrami z pewną odpowiednią liczbą obcych, ale by nasz zubożały naród mógł się dzielić jeszcze z milionami obcych, to już jest za wiele, i nie dziw, że my tego nie możemy wytrzymać. Musi to być nadzwyczaj ciężka choroba i głęboko zakorzeniona w organiźmie polskim, kiedy taki pasorzyt potrafi tak szeroko się rozrastać i tak długo wysysać soki narodowe i tak wszechstronnie przeszkadzać wszelkim prądom ożywczym i organicznym. I to polski organizm społeczny tak długo już jest dotknięty tą chorobą i dotychczas pomimo prób nie może w żaden sposób się pozbyć tego chorobotwórczego pasorzytu. Otóż na zagojenie tej rany i na usunięcie tego pasorzytu to praca w dostarczeniu średniemu stanowi naszego społeczeństwa jak najwięcej jednostek zdrowych,

wykształconych i wyszkolonych, bo tylko w miarę bowiem zdobycia i szerzenia się równomiernego rozdziału dóbr tego świata znikać będzie stopniowo wyzyskiwanie i upośledzenie uboższych, a szerzyć się będą zasady miłości i sprawiedliwości, które jak mówi Perin: „wyzwolą uciśnione klasy społeczeństwa, a przez wolność i pomoc wzajemną zapewnią im odpowiednią część w sumie zarobku powszechnego“ (§ XVI str. 300, Bogactwo w społeczeństwie chrześcijańskiem).

III.

Rozłożenie równomierne dóbr tego świata na najliczniejsze jednostki społeczeństwa z natury rzeczy nie tylko zabezpiecza przed błędami, chorobami, anormaliami społecznemi, ale wytwarza wszechstronny złotodajny grunt dobrobytu materyalnego i zdobyczy kulturalnych umysłu i serca.

1. Każde ognisko, mające wystarczająco dóbr materyalnych, nie potrzebuje się borykać zbytnio i przeciążająco zdobywać chleb i stanowisko. A to jest wielkie plus.

2. Nadto każden, mający dostatecznie dóbr tego świata, może swobodnie usiłować o powiększenie bogactwa gospodarczego i narodowego. A zatem każde takie ognisko, każda taka komórka, swobodna i samodzielna jest warsztatem wytwórczym dobrobytu i kultury. To też wielką prawdę wypowiada Roscher (zasady ekonomii politycznej § 253): „Najwyższym celem postępu ekonomicznego jest dostarczenie jak najkorzystniejszych warunków życia jak największej liczbie ludności“. Te same słowa wypowiada Wołowski (str. 241), rozbierając słowa Henryka IV: „Siła i bogactwo królów polega na liczbie i zamożności poddanych“. Tem się też tłumaczy, że np. dobrze uporządkowany drobny przemysł, wzorowa mała pracownia rękodzielnicza są najsilniejszą podstawą wielkiego przemysłu.

3. Również mając nie za mało i nie za wiele, tylko średnio i wystarczająco dóbr materyalnych, stają się takie ogniska i komórki społeczne znakomitem wytworzyskiem dóbr wyższych,

jakiemi są: oświata wyższa, formy towarzyskie, zdobycze prawdziwej kultury, poświęcenia, cnoty obywatelskie, dobroczynność publiczna, sztuka, poezya, klasyczne i podniosłe zabawy i odpoczynek hygieniczny i t. d. Tem samem całe społeczeństwo jest kulturalniejsze i gruntownie ozdobione przymiotami rozumu, ducha, serca i ciała.

4. Najliczniejsze jednostki społeczne, oparte o równomierne rozłożenie dóbr tego świata, są najbardziej przystępne dla życia religijnego, duchownego, nadprzyrodzonego. Bogaczowi trudno, bo ma za wiele; nędzarzowi, bo ma za mało. Religijność bogacza zabijają rozkosze i zbytnie używanie, religijność nędzarza zagłusza i zadusza zbytnia troska o chleb i sposoby do życia.

Nie dziw, że socyolodzy chrześcijańscy, średni dobrobyt w najliczniejszych jednostkach społecznych nazywają złotym dobrobytem, nie dlatego żeby dawał najwięcej złota, ale dlatego złotym, że jest najlepszym, jak nazywamy okresy w historyi „złotym wiekiem", „złotym okresem" i t. p. A więc, wynikiem twórczym średniego czyli „złotego dobrobytu" są: wyższa kultura duchowa i materyalna i prawdziwa religijność w najliczniejszych jednostkach społecznych, a to jest prowadzić prawdziwie, rzeczywiście i najdoskonalej do wspaniałej potęgi i świetności narodowej.

Dlatego słusznie mówi słynny belgijski socyolog, Perin, w swem dziele: „Bogactwa w społeczeństwie chrześcijańskiem", że „najpotężniejszem będzie to społeczeństwo, w którem warstwy najliczniejsze będą posiadały cnoty, stanowiące siłę i wielkość duszy, a przez duszę siłę i wielkość wszystkiego innego".

A otóż wychowanie młodzieży dla przemysłu polskiego właśnie najbardziej zbliża jednostki młode do tego średniego złotego dobrobytu. Liczne jednostki przemysłowe czy po wsiach czy po miastach są właśnie te wymarzone jednostki, co to

nie mają za wiele, ani za mało, a l e w ł a s n ą p r a c ą są w posiadaniu wystarczających środków materyalnych, by życie fizyczne utrzymać dostatnio, by świadomie z godnością zdobyć i utrzymać wyższe dobra kulturalne, by gorliwie, ochoczo służyć Bogu i wypełniać Jego przykazania.

Stąd Syn Boży w odkupieniu i odrodzeniu ludzkości stawszy się człowiekiem i przyjąwszy formę społeczną, zapewno nie dla innego powodu, ale właśnie dla średniego czyli złotego stanu najliczniejszej warstwy, nie przyjął postaci ani żebraka w łachmanach, ani bogacza w złocie i pałacach, ani okrył swej natury ludzkiej w togę uczoności, ale przyjął postać rękodzielnika... „Syna cieśli z Nazaretu". Jest to wielki i głęboki wskaźnik dla stwierdzenia powyższej prawdy.

Ks. Mieczysław Kuznowicz.

Mickiewiczowe widzenie księdza Piotra.

I.

Są pewne problemy naukowe, które trudnością swego rozwiązania tak szeroko się rozsławiły, że ze sfer naukowych spadły aż na bruk; tu zaś znalazły tylu i takich objaśniaczy, że po nich „strach o tej skórze pisać". Taka śmieszność cięży od dawna nad tłumaczeniem liczby 44 z Widzenia księdza Piotra, a odświeżyła się w dzisiejszych czasach, kiedy się pojawiają odkrycia, że to przepowiednia 44-go południka ziemskiego, przez który przechodzi wschodni front bojowy niemiecki na południe od Rygi, lub 44-go z rzędu króla polskiego, już już nadchodzącego... Samo szukanie u Mickiewicza klucza do otwarcia najbliższej przyszłości jest ciekawym przyczynkiem do historyi kultu wieszcza i poczucia ciągłej aktualności jego poezyi; niemniej przytoczone i liczne inne sposoby objaśniania tajemniczej liczby dopełniły miary zdyskredytowania samego problemu. To też do podjęcia go na nowo skłania mnie jedynie wzgląd pedagogiczny, wzgląd na tych młodych uczonych, którzy nie doceniają sztuki niewiadomości w pewnych kwestyach i za punkt honoru uważają ich rozwiązanie, przyczem zapominają o granicach, dzielących egzegezę historyczno-literacką utworu literackiego od egzegezy proroctwa. A przecież nie brak kryteryów, które choćby nie miały ostatecznie rozwiązać sa-

mej zagadki, to przecież wyjaśniają jej treść i formę, a zarazem określają granice możliwości poznania na tem polu.

Widzenie ks. Piotra rozpada się na trzy główne części: Pierwsza przedstawia prześladowanie niewinniątek przez Heroda-cara i kończy się ujściem z rąk jego dziecięcia, które rośnie na obrońcę i wskrzesiciela narodu. Mistyczna formuła, zawierająca jego genealogię i imię, zamyka tę część o treści z r. 1824 (prześladowanie i wywiezienie filaretów). W części drugiej maluje prorok barwami męki Pańskiej męczeństwo narodu od rozbiorów, więc treść tego ustępu jest chronologicznie wcześniejsza, niż poprzedniego. Część trzecia nawiązuje wyraźnie do pierwszej (znałem go, był dzieckiem, znałem, jak urósł duszą i ciałem) i przedstawia owego wskrzesiciela narodu mężem, a kończy się tą samą formułą (z opuszczeniem b ę d z i e), co część pierwsza. Najjaśniejsza jest część druga i ją też najpierw objaśnimy, by na niej poznać technikę stylu proroczego.

Jeżeli uwzględnimy „Improwizacyę A. Mickiewicza z powodu wysyłania filaretów na linię kaukaską, d. 12 paźdz. 1824 o godzinie 4-tej rannej" (W wydaniu Pism A. M. przez J. Kallenbacha, Brody, West 1911, t. VII str. 232 mn.), to musimy przyznać, że jądro Widzenia ks. Piotra, wizya męczeństwa Polski, sięga czasów wileńskich. Improwizator bierze assumpt z nadchodzącego Piątku, dnia męki Chrystusa i ogłasza, że wśród prześladowanej młodzieży „równe tu chęci, równe zamiary — i równe są męczenniki". Chrystus był „umęczon w Piątek, — nim się na skrzydłach kołysał. — Nim się kołysał, skoczył z Taboru, — wprzód pośród śmierci był cieni; — nim anielskiego posłuchał chóru, — bili go kaci zjuszeni". Tych, co poszli w ślady Chrystusa, biorą sobie pozostali za wzór i przyrzekają zawsze pamiętać o tych, co pierwsi poszli, pierwsi cierpią i pierwsi zyskali chwałę. — Parallela męczeństwa filaretów i Chrystusa nie zupełna, ale jest.

Zupełniej nawet, niż w Widzeniu ks. Piotra, rozprowadził ją Mickiewicz dopiero w Księgach narodu polskiego [1]), w dziele, któ-

[1]) „Porównanie umęczenia Polski z męką Chrystusa jest wiernem odtworzeniem odpowiedniego ustępu z widzenia X. Piotra". S. P i g o ń, O księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego A. M., Prace hist.-liter. Nr. 1. Kraków, Gebethner 1911, str. 86.

rego pierwszy rzut powstał w Dreźnie w „błogosławionych miesiącach wiosennych" 1832 r. równocześnie z „Dziadów" częścią III (ukończoną 20 maja tegoż roku). Ewangieliczna historya Polski kończy się w nich opisem zbrodni, popełnionej na Polsce, gdy ogłosiła wolność wszystkim obywatelom (w Konstytucyi 3 Maja). Przestraszeni wrogowie wolności, królowie, knowają między sobą zdradę przeciw narodowi polskiemu; król pruski, jak Judasz, sprzedaje za trzydzieści miast wielkopolskich swego sprzymierzeńca, dwaj inni królowie rzucają się na naród polski i wiążą go: „Gal (Kazimir Perier) sądził i rzekł: zaprawdę nie znajduję winy w tym narodzie... A wszakże weźcie a umęczcie ten naród — i umył ręce... I umęczono naród polski i złożono w grobie, a królowie wykrzyknęli: Zabiliśmy i pochowaliśmy wolność". Tu następuje uwaga, że naród polski nie umarł. Chwilowo ciało jego leży w grobie, a dusza zstąpiła do otchłani, do życia domowego ludów, cierpiących niewolę w kraju i za krajem (aby widzieć cierpienia ich), a trzeciego dnia dusza wróci do ciała i naród zmartwychwstanie i uwolni wszystkie ludy Europy z niewoli.

To przedstawienie, identyczne w scenie przed Piłatem-Galem z widzeniem ks. Piotra, wykazuje poza tem pewne różnice: Podaje mianowicie motyw zamachu tyranów na Polskę, którego w wizyi niema. Ksiądz Piotr widzi motłoch, tyranów, zbójców, jak biegną, wiążą, porywają naród, wloką go, urągają mu. Zdrajca wciąga niewinnego na trybunał. Dopiero z Ksiąg narodu dowiadujemy się, że to król pruski. Są jeszcze dalsze różnice. W „Księgach" Gal powołuje się na złe sny swej żony, Francyi — według ewangelii św. Mateusza (27, 19): „A gdy (Piłat) siedział na trybunale, posłała do niego żona jego, mówiąc: Nic tobie i owemu sprawiedliwemu; wiele bowiem cierpiałam dziś przez widzenie senne z powodu niego". Wizya szczegół ten pomija, natomiast rozprowadza dalsze opowiadanie synoptyków o postępowaniu Piłata: Sama propozycya uwolnienia Jezusa lub Barabasza jest przemilczana, a uwzględniona tylko odpowiedź tłumu i kapłanów. Słowa: „Potęp i wydaj go męce! Krew jego spadnie na nas i na syny nasze" odpowiadają wersyi św. Mateusza (27, 25), podczas, gdy dalszy ciąg: „Ukrzyżuj, on cesarza koronę znieważa! Ukrzyżuj, bo

powiemy: żeś ty wróg cesarza"[1]) opiera się na tradycyi św. Jana (19, 12): „Jeśli tego wypuścisz, nie jesteś przyjacielem cesarza. Każdy bowiem, kto się królem czyni, występuje przeciw cesarzowi". Dalsze zachowanie się Gala jest w wizyi niejasne. Wydaje on niewinnego w ręce pospólstwa, które go wieńczy cierniową koroną, podnosi przed świat cały, pokazuje ludom. A Gal krzyczy: Oto naród wolny, niepodległy! Jest to naśladowanie[2]) opowiadania św. Jana (19, 1—5), zakończonego słowami: „Oto człowiek!"

Wszystkie szczegóły podane w wizyi po umyciu rąk Piłata-Gala, pominięte są w „Księgach narodu polskiego" dla tego, że nie mają właściwie żadnego przystosowania do historyi polskiej, boć Francya ani nie proponowała rozbioru jakiegoś innego kraju zamiast Polski (wydanie Barabasza lub Jezusa) ani nie starała się wzruszyć rozbiorców widokiem Polski, dotkniętej pierwszym rozbiorem („Ecce homo!"). Musimy więc stwierdzić, że wizya, jak z jednej strony pomija pragmatyczny związek wypadków (motywy zamachu królów na Polskę, rola zdrajcy, propozycye Gala), tak z drugiej powtarza pewne motywy wzoru (ewangielii), jakkolwiek one nie mają żadnego zastosowania do Polski. Czy tego rodzaju technikę przypiszemy ekstatycznej koncepcyi samej wizyi, czy też odniesiemy ją do naśladowania stylu proroczego, specyalnie proroków starego Zakonu (ten wzór podyktowany był i samym przedmiotem: wizyą mesyańską i osobą ekstatyka: ks. Piotr), to pewna, że jest ona ta sama, co u proroków starego Zakonu. Oto, co pisze o tej kwestyi specyfista, Herman Gunkel[3]): „Prorocy nie są spokojnymi, przedmiotowymi myślicielami, prze-

[1]) A. Niemojewski (str. 9 por.. niżej) pisze, że domyśleć się możemy — rosyjskiego. Porównaj z „Reduty Ordona": Gdy Turków za Bałkanem Twoje straszą spiże, gdy poselstwo paryskie twoje stopy liże, Warszawa jedna twojej mocy się urąga, podnosi na cię rękę i koronę i ściąga — zapomina przytem, że wiersze wizyi odnoszą się do — rozbiorów, nie do roku 1830/1.

[2]) Zauważył to już A. Niemojewski, Któż ten mąż, Kraków 1903, str. 9.

[3]) Die Religion der Propheten, Preuss. Jahrb. 166, 11 (listopad 1916). Str. 189 n.

strzegającymi związek. Są oni w swoim rodzaju najwybitniejszymi impressyonistami, jacy kiedykolwiek istnieli na świecie. Jak błyskawica zadrga nagle w nocy, tak i ich zaskoczy jakaś myśl i często jest to tylko jeden punkt, który oni spostrzegają. W tak namiętnem myśleniu występują czasem nagłe, gwałtowne zwroty, także przykre sprzeczności, które byłyby niemożliwe u rozważnego badacza dzisiejszego". Z tego sposobu myślenia proroków wyprowadza Gunkel metodę badania proroctw: Szukanie w nich logiki rozumowej nawet przedstawianie ich idei w formie systematycznej sprzeciwia się przedmiotowi, opartemu na innej podstawie myślenia, nadaje temu przedmiotowi postać, jakiejby sami prorocy nie byli nigdy obrali. Ale ponieważ n a s z e myślenie wymaga takiej formy logicznej, nie możemy się bez niej zupełnie obejść; musimy tylko przy tem mieć świadomość, że przez to przenosimy niejako melodyę w inną tonacyę; że przywracamy związki które u proroków istniały jedynie pod progiem świadomości.

Ustaliwszy w ten sposób zapomocą porównania części wizyi ks. Piotra z odpowiedniem przedstawieniem „Ksiąg narodu" charakter stylu wizyjnego, proroczego, przystępujemy do sceny ukrzyżowania. Z opowiadania synoptyków pozostały w niej następujące szczegóły: Jezus, niosąc krzyż (za ciężki na jego siły, dlatego zmuszono Szymona Cyrenejczyka do pomocy w niesieniu), przybył na Golgotę. Tu dano mu pić wino z żółcią. Ukrzyżowany zawołał: „Boże mój, Boże, czemuś mię opuścił". Wtedy jeden ze stojących w pobliżu napełnił gąbkę octem i podał Mu ją na trzcinie. Pod krzyżem stały trzy Marye (Joa. XIX 25). Jezus, napojony octem, skłonił głowę i wydał ducha. Jeden z żołnierzy otwarł bok Jego włócznią i natychmiast wyszła krew i woda [1]). — Te rysy ewangeliczne tak są zastosowane do krzyżowanego narodu, że ks. Piotr widzi krzyż, który naród długo musi nosić. Krzyż ten, z ramionami długiemi na całą Europę, jest ukuty z trzech wy-

[1]) Szczegół o niewiastach Jerozolimskich, opłakujących Chrystusa, wiedzionego na Kalwaryę (Luc. 227 n.) znalazł umieszczenie na końcu prozaicznej przemowy do „Dziadów" cz. III: „do litościwych narodów europejskich, które płakały nad Polską, jak niedołężne niewiasty w Jeruzalem nad Chrystusem, naród nasz tylko przemawiać będzie słowami Zbawiciela: Córki Jerozolimskie, nie płaczcie nademną, ale nad samemi sobą".

schłych ludów, jak z trzech twardych drzew. Te trzy wyschłe ludy, tworzące krzyż z Polski, to chyba trzy państwa rozbiorcze. Ze względu na złożenie z trzech drzew musimy krzyżowi przypisać formę grecką ✝. Spodziewalibyśmy się, że naród zostanie przybity do tego krzyża. Tymczasem czytamy niespodziewanie: „Już mój naród na tronie pokuty", a krzyż chyba trudnoby było nazwać tronem. Więc albo wyraz tron trzebaby uważać za zepsuty i przypuszczać, że Mickiewicz zamierzał napisać „na d r z e w i e p o k u t y", albo raczej stwierdzić, że dotąd była mowa o pochodzie na wzgórze czaszek, a teraz naród znalazł się wreszcie na Golgocie czy Kalwaryi, nazwanej tronem pokuty. Samo ukrzyżowanie narodu zupełnie pominięte. Jeśli jednak u nóg narodu stoi zapłakana Matka-Wolność, to naród chyba nie siedzi na tronie pokuty, ale wisi na krzyżu. Pojenie octem i żółcią przypisane jest Rakusowi i Borusowi, wytoczenie krwi niewinnej z narodu żołdakowi-Moskalowi, oczywiście nie bez alluzyi do stłumienia powstania listopadowego. Jeżeli ten najgłupszy, najprostszy z siepaczy ma się poprawić i uzyskać przebaczenie Boga, to powód takiego zwrotu leży w znanej legendzie o św. Longinie, który jeszcze w obliczu Ukrzyżowanego miał się nawrócić. Wizya kończy się skonem narodu.

Bez komentarza, podanego w „Księgach narodu" („Bo naród polski nie umarł i t. d.") myśl poety byłaby niezupełna, czytelnika bałamucąca. Jedynie też ów komentarz pozwala nam zrozumieć wizyę następującą, umieszczoną na tle chórów aniołów, śpiewających pieśń wielkanocną z refrenem: Alleluja! To tło wydaje się na pierwszy rzut oka anachronizmem, skoro wielka improwizacya Konrada odbywała się w wigilię Bożego Narodzenia, a echa kolend kościelnych i głosy aniołów betleemskich towarzyszyły snowi bluźniercy, uwolnionego już z pod władzy złego ducha. Nie trzeba jednak zapominać o tem, że między sceną egzorcyzmu po improwizacyi a widzeniem ks. Piotra umieszczone jest jako scena czwarta widzenie Ewy, która właśnie dowiedziała się od jakiegoś przejezdnego Litwina o prześladowaniu studentów wileńskich: „Zły car kazał ich wszystkich do ciemnicy wsadzić — i jak Herod, chce całe pokolenie zgładzić". W więzieniu przebywa

także ulubiony jej poeta, za którego Ewa zmówi osobny pacierz. Przed obrazem Najświętszej Panny w jej sypialni stoją kwiaty, a w wizyi sennej dziewczyna mówi: „Poznałam kwiatki moje... w moim ogródku wczora nazbierałam — i uwieńczyłam Matki Boskiej skronie — tam nad łóżkiem na obrazku". Ten szczegół botaniczny zmusza nas do uznania, że scena czwarta rozgrywa się przynajmniej w pełną wiosnę (kwitną narcyzy, lilje, róże), a w takim razie i następująca po niej wizya ks. Piotra nie odnosi się do chwil tuż po improwizacyi i egzorcyzmie Konrada, lecz do czasu późniejszego, jak poeta chce do Wielkiej-nocy.

Jednak mimo pieśni resurrekcyjnej nie możemy dalszego obrazu wizyi ks. Piotra uznać za wizyę zmartwychwstania: Polska ulata ku niebu, od stóp jej wionęła biała, jak śnieg, szata, spadła szeroko i cały świat się w nią obwinął: Naród nie ginie na niebie. „Jako trzy słońca, błyszczą jego trzy źrenice i ludom pokazuje przebitą prawicę". Rysy do tej wizyi wzięte są z synoptycznego opowiadania o Przemienieniu Pańskiem, uwzględnionem już przy improwizacyi filareckiej z r. 1824: „I przemieniony został przed nimi. I rozbłysła twarz Jego jak słońce, a szaty Jego stały się białe, jako śnieg" (Mat. 17, 2; por. Marc. 9, 1; Łuk. 9, 29). Bo też nie ze zmartwychwstaniem, lecz z przemienieniem narodu polskiego mamy tu do czynienia.

Jak należy pojmować tę „P o l o n i a t r a n s f i g u r a t a", dowiadujemy się z „Ksiąg Pielgrzymstwa polskiego". To, co na końcu „Ksiąg narodu" (w. 422) nazwane jest zstąpieniem duszy polskiej do otchłani, z której trzeciego dnia owa dusza ma wrócić do ciała, wskrzesić naród i uwolnić wszystkie ludy Europy z niewoli, to w „Księgach pielgrzymstwa" (Wstęp) nazywa się pielgrzymstwem polskiem. Polak nazywa się pielgrzymem, iż uczynił ślub wędrówki do ziemi świętej, Ojczyzny wolnej. Polscy pielgrzymi mają zainicyować nową epokę w życiu ludzkości przez wzbudzenie nowego wybuchu najdoskonalszej miłości ojczyzny[1]). Cechą najwyższą takiej miłości będzie dobrowolne, całkowite poświęcenie się jednostki dla narodu. Że pielgrzymi polscy są godni

[1]) Por. S. Pigoń, O Księgach nar. i pielgrz., str. 63.

i powołani do tego ciężkiego zadania, dowodzi wyjątkowy wśród świata charakter emigracyi, która opuściła Ojczyznę i odważyła życie swoje, by znaleźć wolność, jak uczniowie Chrystusa opuszczali ojca i matkę swą, by iść za nauczycielem (R. VII pocz.). Powstanie listopadowe było wyprawą do gniazda pożaru i siedziby wilków i siedliska zarazy, wyprawą podjętą także w obronie europejskiej, a przedewszystkiem francuskiej wolności (R. VII. VIII. IX). Czuli to Niemcy, którzy emigrantów, ciągnących przez ich kraj, ugaszczali i śpiewali im pieśni polskie, bo czuli, że oni wojują za Wolność świata. (R. XXI, w. 1338 nn). Jeżeli do tych stwierdzeń Mickiewicza dodamy, że tak samo zapatrywali się na znaczenie powstania listopadowego niektórzy Anglicy [1]) (Adres Birminghamczyków do emigrantów z 15 paźdz. 1832), Włosi (Odezwa Mazziniego z 6 paźdz. 1832) i wielu Francuzów, zrozumiem, dlaczego w widzeniu ks. Piotra Polska, błyszcząca na niebie, pokazuje ludom przebitą prawicę. To rana, odebrana w powstaniu listopadowem, przez które biała szata wolności spada szeroko i obwija cały świat.

Jest w tem oczywiście i pewna antycypacya skutków zmartwychwstania Polski, które miało uwolnić wszystkie ludy Europy z niewoli, ale na razie dusza polska, błyszcząca na niebie, jeszcze nie połączyła się z ziemskiem ciałem narodu, jest jeszcze ową niebiańską Jeruzalem, ziemią świętą, ową ojczyzną wolną, do której wędrują pielgrzymi. Jeśli „Polonia transfigurata“ zamiast ewangielicznej twarzy, błyszczącej jak słońce, ma trzy źrenice, błyszczące jak trzy słońca, to w tym rysie wolno uznać technikę stylu proroczego. Tak w najpopularniejszej z tego rodzaju pism, Apokalipsie św. Jana (5, 6) baranek, który otwarł księgę, zamkniętą na siedm pieczęci, ma siedm oczu („które są siedmiu duchami Boga, posłanymi na całą ziemię“); cztery zwierzęta apokaliptyczne są pełne oczu z przodu i z tyłu (4, 6). Oczy jak płomień ma Syn człowieczy (1, 14), król królów, jadący na koniu (19, 12). — Trzy ziemie pielgrzymującej Polonii Mickiewicza możnaby najłatwiej łączyć z trzema głównemi plemionami państwa polskiego, których odrębne charaktery tak poeta opisywał wśród

[1]) S. Pigoń, j. w., str. 19.

Konfederatów barskich (Lit. słow. t. II str. 147 wyd. Poznań 1865): „Południowi są najzuchwalsi, coś kozackiego odbija się w ich dowódcach; litewscy dbają o legalność, postępują zawsze z porządkiem i wytrwaniem; tak zwani koroniasze zakrawają już na rewolucyonistów francuskich..." Jeśli podobne rysy zaobserwował poeta wśród drezdeńskich emigrantów z Rusi, Litwy i Korony, to mogła mu się nasunąć myśl zróżniczkowania niebiańskiej Polonii zapomocą trzech źrenic. Ale taka możliwość nie jest jeszcze pewnikiem i nikogo nie obowiązuje. Przykłady z Apokalipsy wystarczają do stwierdzenia, że w stylu proroczym wielość oczu u postaci wizyjnych jest zwykła. Możnaby też przypuszczać, że obraz nowej Jeruzalem, pojawiającej się jako oblubienica Baranka (Apoc. 21, 11), nie pozostał bez wpływu na zjawisko Mickiewiczowskie, a biała jego szata odpowiada białym szatom, noszonym w Apokalipsie (7, 13 n; 22, 14) przez tych, „którzy przyszli z ucisku wielkiego i wyprali szaty swoje i wybielili je w krwi Baranka". Ale i samo miejsce św. Mateusza o transfiguracyi Chrystusa wystarcza zupełnie do objaśnienia transfigurowanej Polonii..

Konfrontacya tej części widzenia ks. Piotra, która odnosi się do męki i przemienienia Polski, ze wzorem (ewangielie) i kopią czy dubletem w „Księgach narodu", pozwoliła nam dokładniej, niż to dawniej czyniono, objaśnić obraz końcowy (Polska na niebie) i poznać pewne właściwości stylu proroczego (pomijanie jednych szczegółów wzoru, przytaczanie innych — bez potrzeby). Dla pokonania trudności w objaśnieniu wizyi męża opatrznościowego, wydobywamy z niej tę główną treść, że ów mąż nietylko Polskę wskrzesi, ale także dla całej Słowiańszczyzny będzie miał znaczenie. Bo wolno na razie w formie hipotezy wyrazić zdanie, że budowanie Kościoła na sławie i ostatnią aklamacyę: „Sława, sława, sława!" należy odnosić do słowiańskiej misyi wskrzesiciela. Otóż tę misyę jego w Polsce i w Słowiańszczyźnie można bliżej określić z wyrzeczeń Mickiewicza w tej materyi, rozsypanych po Kursach literatur słowiańskich[1]).

Zdaniem profesora literatur słowiańskich w Kollegium fran-

[1]) Zbierał je już w podobnym celu Stanisław Ptaszyński, Mąż czterdzieści i cztery, wskrzesiciel narodu. Poznań, Żupański 1875. str. 62 nn.

cuskiem (II str. 274 Wrotnowski t. 3), lekcya z 17 maja 1842) „plemię słowiańskie i naród polski są przeznaczone do utworzenia społeczności nowej" (uzasadnienie pomijam). „Kwestya politycznej formy rządu dla plemienia słowiańskiego i dla Polski w tych samych wyrazach i w jednaki sposób jest położona" (tamże). Kwestyę słowiańską, a zarazem europejską, rozwiąże polski mesyanizm (II 377, z 1 lipca 1842). Wyrósł on na gruncie popularnej filozofii Słowian, którzy postęp społeczeństwa wywodzili z objawień ludzi godnych, przygotowanych do tego, by mieć objawienie (III 5 n). Z chwilą, gdy się takie objawienie zjawi, „trzeba, żeby w tym duchu Czesi, Polacy i Rosyanie ujrzeli, że są braćmi", (III 299 n). — Ktoby wątpił, że tego rodzaju poglądy, poparte cytatami z r. 1842 i 1843, były własnością Mickiewicza już w r. 1832, niech sobie przypomni przedostatnią strofę wiersza: „Do przyjaciół Moskali" („Gorycz, wyssana ze krwi i łez mej ojczyzny, — niech żre i pali — nie was, lecz wasze okowy") lub zakończenie „Pomnika Piotra Wielkiego" („Lecz skoro słońce swobody zabłyśnie — i wiatr zachodni ogrzeje te państwa — i cóż się stanie z kaskadą tyrańskiego?"), a przedewszystkiem, niech uwzględni przepowiednię z widzenia ks. Piotra o żołdaku - Moskalu, który poprawi się, uzyska przebaczenie Boga... To wszystko pozwala nam uznać w mężu widzenia — bohatera nietylko polskiego, ale i słowiańskiego.

By położyć tamę wszelkim kombinacyom o bohaterze zbiorowym, przypominamy, że zdaniem Mickiewicza (Kursa L. sł. III 11) Bóg nie używa innego sposobu przemawiania do ludzi, jak tylko przez powołanie, obranie człowieka; „przemawia przez ducha takiego, co pilnował się jego praw, udoskonalił siebie, jak należy, czyniąc zadość warunkom do tego potrzebnym, wytrzymał próby, osiągnął mądrość". Duch taki, „który pracuje, który się podnosi, który bez ustanku szuka Boga, otrzymuje przez to samo światło wyższe, zwane s ł o w e m i staje się objawicielem" („Jest to główny dogmat messyanizmu", III 11). Dokładniej jeszcze określa tego człowieka przeznaczenia w lekcyi z 30 kwietnia 1844 (III 147): „Człowiek ten będzie powinien mieć żarliwość apostołów, poświęcenie się męczenników, prostotę mnichów, śmiałość rewolucyoni-

stów 93-go, męstwo niezachwiane i piorunującą odwagę żołnierzy wielkiej armii francuskiej a geniusz ich wodza". Sprawdzianem, że podobny ideał człowieka przyszłości miał Mickiewicz w duszy już w epoce Dziadów części III, jest artykulik, umieszczony w „Pielgrzymie polskim" z dnia 22 czerwca 1833. Zdaje się, że autor nawiązuje go do wspomnienia owej wyroczni, której na wiadomość o wybuchu powstania listopadowego zasięgnął w Biblii za radą jakiegoś kardynała. Ten mu kazał oznaczyć miejsce, gdzie ma czytać w Biblii. Mickiewicz musiał wskazać Ew. św. Jana 5, 7, skoro kardynał odczytał: „Domine hominem non habeo". Artykuł „Pielgrzyma" o „przyszłym wielkim człowieku" zaczyna się od słów: „Było to powszechnem narodowem narzekaniem, że nie znaleźliśmy w rewolucyi człowieka, któryby wolę mass odgadnął i oczekiwaniom ich zadość uczynił". Gdy dalej ciągnie: „O takiego człowieka Polska wołała, wygląda go dotąd i w przyszłości przeczuwa", to to przeczuwanie może odnosi do widzenia ks. Piotra. Na pytanie, skąd przyjdzie ten przyszły wielki człowiek, ten spodziewany Messyasz narodowy i po czem go poznać, odpowiada: „Niema na to zgody. Rodacy wystawiają go sobie w różnych kształtach, z różnymi attrybutami. Wszystkim ukazuje się naturalnie z mieczem w ręku; ale mu jedni przydają gilotynę, inni drzewo genealogiczne, inni zwój protokółów". Mickiewicz polemizuje specyalnie z nadzieją Niemcewicza, że jakiś nowy Pizystrat, Kromwel, Cezar lub Napoleon nas uratuje, zaznacza, że historya się nie powtarza i wyraża przypuszczenie, że przyszły wielki człowiek do żadnego z dawnych nie będzie podobny. Duch narodu wróży mu, że mógłby to być tylko mąż o pokroju Washingtona czy Kościuszki: „Zdaje się, że przyszłym warunkiem przyszłego wielkiego człowieka musi być ta szlachetność charakteru, ta serdeczność, ta dobroduszność, która Kościuszce i Washingtonowi zjednała miłość współczesnych i szacunek potomnych. Na tym tylko gruncie zasadzone wielkie talenta militarne i polityczne dojrzeć mogą w teraźniejszym stanie atmosfery narodowej".

Ten ideał, to Katonowy „vir bonus", który jest zarazem i „bonus miles" i „bonus orator" (polityk). W połowie roku 1833 Mi-

ckiewicz już czy jeszcze nie widział jego spełnienia. Dopiero w jedenaście lat później (28 maja 1844) ogłosił z katedry Collège de France, że ideał spełniony, dodając, że jemu samemu było dane przewidzieć go w duchu i nakreślić jego wizerunek" (IV 176). Przytoczona francuska parafraza tej części widzenia ks. Piotra (w L'église officielle et le Messianisme) brzmi[1]): „D'une nation détruite un seul échappé. Je l'ai entrevu petit; il grandit ... sa grandeur devient incommensurable. Il a trois fronts et trois faces, trois esprits et trois tons. Il paraît aveugle et cependant il lit dans le livre mystérieux. Il est conduit par un genie, l'homme terrible, à la voix duquel la terre tremble. Il est debout sur les trois couronnes, mais il ne porte pas la couronne. Sa vie est la peine des peines et son nom est le peuple des peuples". Słusznie S. Ptaszyński zauważył, że opuszczenie liczby imienia dowodzi podrzędności tego szczegółu dla charakterystyki bohatera i jego zidentyfikowania, nie słusznie jednak twierdzi (str. 97 n), jakoby Mickiewicz w ostatnich lekcyach literatury słowiańskiej nie miał na myśli Towiańskiego. Przeczy jego mniemaniu i sam tenor lekcyi 13. i 14. z r. 1844 i świadectwa zewnętrzne[2]): Stefan Witwicki (Towiańszczyzna wystawiona i aneksami objaśniona, Paryż, 1844, str. 10) i zjadliwy autor bezimiennego artykułu („Pisarze polscy wobec potrzeby narodowej" w piśmie zbiorowem: Rok 1845 pod względem oświaty, przemysłu i wypadków czasowych) zupełnie wyraźnie stwierdzają, że Towiańszczycy powoływali się na wizyę ks. Piotra w Dziadach i rozwiązanie mistycznej liczby 44 widzieli w Towiańskim, choć anonim dodaje, że przedtem członkowie Towarzystwa literackiego rozwiązywali ową zagadkę na korzyść swego prezesa (księcia Adama Czartoryskiego[3]), potem inni na korzyść

[1]) U S. Ptaszyńskiego. Mąż czterdzieści i cztery, str. 90.

[2]) U Dra Erazma Krzyszkowskiego, Czterdzieści i cztery, przyczynek do studyów nad Dziadami Mickiewicza. Czerniowce 1888 (2 wyd. 1903) (Odbitka z „Gazety polskiej"), str. 22 nn. i St. Ptaszyńskiego, j. w., str. 23 nn.

[3]) Podobno powołując się na assonancyę ruskiej nazwy 44 (sorok czatery) z nazwiskiem Czartoryski, patrz W. Cybulski. Odczyty o poezyi polskiej w pierwszej połowie XIX w., przekład Fr. Dobrowolskiego, Poznań-Drezno, 1870.

samego Mickiewicza. Pomijając na razie dwie ostatnie wersye i nie powtarzając uzasadnienia, dlaczego Mickiewicz uwierzył w Towiańskiego, stwierdzamy, że choćby cała ostatnia lekcya Kursu z r. 1844 wypełniona była szczegółową interpretacyą widzenia ks. Piotra i choćby wszystkie cechy i attrybuty męża z widzenia zgadzały się rzeczywiście z ówczesnym Towiańskim, tobyśmy do tej interpretacyi samego Mickiewicza nie mogli przywiązywać większej wagi, jak do interpretacyi wszelkiego rodzaju innych proroctw. Styl proroczy tem właśnie się odznacza, że znosi najróżnorodniejsze wykłady, z których każdy pozostaje tak długo grą słów, póki go nie poprą fakta. A że bieg wypadków nie usprawiedliwił przepowiedni, łączonych przez samego Mickiewicza w r. 1844 z osobą Towiańskiego, wykład jego, przez niego samego uznany w parę lat potem, po rozczarowaniu się co do Mistrza, za błędny, nie mógł znaleźć uznania, jakoby był kluczem do tajemnicy czy zagadki owej wizyi.

Inna rzecz, że samo przepowiadanie przyszłości narodu i jego zbawcy uważał Mickiewicz nietylko za zadanie, ale nawet za obowiązek poetów i poezyi. Taką teoryę sztuki wyłożył najsystematyczniej dopiero w szóstej lekcyi ostatniego kursu (30 stycznia 1844), ale praktykował ją znacznie dawniej. Dla wyłuszczenia pewnej formuły z początku „Biesiady“ Towiańskiego, przypomina Mickiewicz, że nawet w jego czasach, kiedy wszystko, co jest z ducha, podległo ostatecznemu skażeniu, jedna sztuka tylko zachowuje jeszcze coś duchowego. Ma ona swój urok, swoją tajemniczość, których rozum nie zdołał wytłumaczyć. Pochodzi to stąd, że nie jest ona naśladowaniem lub przypomnieniem rzeczywistości, ale tworzeniem nowych dzieł na wzór idei Platońskich. „Sztuki powołaniem jest ideał wcielić w formę widoczną, dać nam uczuć i zobaczyć ducha przedstawionej osoby, wyzwalając go z powłoki ziemskiej, którą był zaćmiony, a przywracając mu formę, będącą wyrazem jego natury wewnętrznej, formę, jaką mógłby i powinien byłby mieć na ziemi“. Jakież stąd wymagania od artysty? „Żeby tak wystawić ducha w formie jemu właściwej, potrzeba pierwej go widzieć; tak jest, potrzeba widzieć! Sztuka zatem jest pewnym rodzajem wywoływania duchów“, albo we-

dług definicyi Saint-Martina: „Sztuka nie jest niczem innem, tylko widzeniem; artyści, choć często sami nie wiedzą o tem, mają dar widzenia". To, co nazywamy talentem, darem nieba, co artyści czują w sobie, a czego nie starają się dosyć pojąć, nie jest niczem innem, jak tylko spójnią, łączącą ducha artysty ze światem niewidomym; jest to przywilej stykania się z krainą duchów.

Pod tym kątem patrzy Mickiewicz na całą porozbiorową poezyę polską, począwszy od poezyi Konfederatów barskich, a skończywszy na „Przedświcie" Krasińskiego. Wernyhora rozpoczął szereg utworów lirycznych, tylko objawiając proroctwo. Przepowiednie te nie są jeszcze same poezyą, ale torują już drogę do niej, prowadzą w krainę cudu, do źródeł wyższego natchnienia. (II 157). Ksiądz Marek jest autorem tylko jednej kartki, jednego proroctwa, ale w kilku jego wierszach zamyka się nasienie całej nowej (messyanistycznej) literatury polskiej (II 159). W jednej zwrotce pieśni Legionów („Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę...") mieści się cała historya Księstwa Warszawskiego i nawet Królestwa Polskiego aż do rewolucyi 1830 r. Pieśń nie zajmuje ani Niemna ani Dniepru w zakres spodziewanej Polski. Kiedy wszyscy publicyści na krótki czas przed rokiem 1812 głosili odbudowanie Polski, przepowiadali jej przyszłość świetną, żaden z poetów legionowych nie podzielał tych złudzeń (II 281). Nową epokę literatury polskiej rozpoczyna Brodziński w chwili, gdy w „Mowie o narodowości Polaków" (czytanej na ostatniej sesyi Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie 3-go maja 1831, a ogłoszonej drukiem w maju 1833 w „Pielgrzymie Polskim"), wytłumaczył scientyficznie historyę polityczną Polski (II 323), a zwłaszcza, kiedy w „Poselstwie z ziemi ucisku do synów jej w rozprószeniu" (Paryż 1838) przepowiadał przyszłość, mówiąc między innemi: „Natchnie Pan tego, kogo upatrzy i który wszystko, co zbawienne jest, skutecznie wypowie, i tam zaprowadzi, gdzie myśli w czyny się wcielą"; a dalej: „Nie dała Ci jeszcze Wola Najwyższego takiego pośrednika, coby całe rozumienie Twoje splótł w jedność i na tablicy naznaczone od Boga powołanie Twoje ku widzeniu i wykonaniu twemu wystawił" (II 380).

Pomijamy uwagi Mickiewicza o proroczym charakterze pism

Garczyńskiego (II, lekcya 30. 31. 32.), Zaleskiego (III l. 3), Krasińskiego (III l. 8—11. 16. IV l. 4), a przytaczamy tylko dwa wyjątki poetyckie, zacytowane przez poetę dla charakterystyki messyanizmu (II 379): W formie pominięcia zwraca on uwagę na proroctwo Trembeckiego, włożone w usta tureckiego paszy z myślą o Janie III (Przyjdzie taki, który przypomni Zachodowi oswobodziciela Wiednia i t. d.), ale uważa je za zwyczajną przechwałkę, a nie za wieszczbę, pochodzącą z głębokiego uczucia. Prawdziwą przepowiednią wydaje mu się natomiast dwuwiersz, którym Cypryan Godebski zamknął swój „Wiersz do legionów polskich" (1805): „Wieszcza przeczucia mi tuszą — powstanie Polski Maro z Jasińskiego duszą". „To połączenie naczelnika powstania litewskiego z Wirgiliuszem, jest myślą dziwną — powiada Mickiewicz. Zdaje się, że poeta nie zapowiadał tu Polakom pisarza, ale chciał wyrazić, że taki tylko mąż, taki żołnierz, coby miał razem duszę poetycką, mógłby zbawić Polskę".

Temu objaśnieniu proroctwa Godebskiego warto poświęcić parę uwag, ze względu na samego Mickiewicza. Legionista Godebski ciężko ranny w bitwie pod Weroną, dostał się do szpitala w Mantui i tam przeleżał cały czas oblężenia. Mantua, to kolebka Wergiliusza. Widocznie długie godziny rekonwalescencyi skracał sobie inwalida lekturą poety mantuańskiego, skoro i w powieści „Granadyer filozof (z dziennika podróży r. 1799)" i w „Wierszu do legionów" tyle pomieścił z niego reminiscencyi [1]). Do techniki Wergiliuszowskiej należą, jak wiadomo, proroctwa. Otóż takie proroctwo zamyka wiersz do legionów w następującym związku:

O wy, drogie narodu ogromnego szczątki!
czyż nie dość ginąć marnie? trzebaż bez pamiątki?
Nikt-że waszych dzieł świetnych nie ogłosi światu,
ni rzuci na mogiły ojczystego kwiatu?
Macie-ż dla nas pić gorycz wszędy rozprószeni?
albo ginąć, a jeszcze ginąć zapomnieni?

[1]) Zwrócił na to uwagę prof. Chrzanowski w odczycie: Czem był Wirgiliusz dla Polaków po utracie niepodległości. Kraków 1915.

Nie! — Myśl słodka mnie cieszy, że Pamięci córa
dar nam gotuje w płodzie ojczystego pióra;
i że z waszych popiołów (przeczucia me tuszą)
powstanie polski Maro z Jasińskiego duszą;
on wasze czyny poda do wiecznej pamięci,
a gasząc moje rymy, wspomni dobre chęci.

Wergiliusz, opisawszy bohaterską śmierć Euryalusa i Nisusa (Aen. IX 176 nn), kończy ją takiem westchnieniem (446 nn):

Fortunati ambo! siquid mea carmina possunt,
nulla dies umquam memori vos eximet aevo,
dum domus Aeneae Capitoli immobile saxum
adcolat imperiumque pater Romanus habebit.

Co Maro zapewnił swym bohaterom, to Godebski chciałby zapewnić legionistom za sprawą przyszłego polskiego epika — z duszą Jasińskiego, z duszą, jak ten Litwin, miłującą Polskę. Taki polski Maro znalazł się w autorze epopei o Panu Tadeuszu. Epopeja Napoleońska i epopeja legionistów stanowi w niej niby tylko wielkie tło historyczne, ale zarazem jest oceanem, do którego zmierzają i w którym toną wszystkie przedsięwzięcia indywidualne. Że Mickiewicz, pisząc Pana Tadeusza, miał w pamięci poemat Godebskiego, dowodem na to dwuwiersz o tem, „jak on (Dąbrowski) rodaków zbiera na lombardzkiem polu, — jak Kniaziewicz rozkazy daje z Kapitolu (I 920 n)", przejęty z Godebskiego: „Tam, okryty laurami na werońskiem polu — dzienne rozkazy Polak dawał z Kapitolu". Choć więc Mickiewicz nie napisał osobnej epopei o legionach [1]), to na podstawie Pana Tadeusza mógł się uważać za przepowiedzianego przez Godebskiego „polskiego Marona z Jasińskiego duszą". Tymczasem widzieliśmy, że w r. 1842 tę narzucającą się interpretacyę nietylko od siebie samego odsunął, ale nawet o tyle ją wypaczył, że zaprzeczył oczywistej treści (konwencyonalnego) proroctwa Godeb-

[1]) Wiadomo, że berliński prof. Gans ogłosił go na wykładzie, któremu asystował sam poeta, za jedynie powołanego do napisania epopei napoleońskiej.

skiego, nie uznał w niem zapowiedzi wielkiego piewcy legionów. Przy innej sposobności[1]) zwróciłem uwagę na pewną (równie konwencyonalną) przepowiednię Sarbiewskiego, który sławiąc rzekę Bug (Laus Bugi, Epod. 15), każe mu porozumieć się z Narwią i donieść przez nią Nimfom mazowieckim: Nie długi łańcuch wieków wyda ze zdumieniem wieszcza, który rozniesie po miastach rzeki, pełne naszej sławy, i wspanialszą je opiewać będzie pieśnią:

Si vera praesens vaticinantibus
Latous edit, credite, posteri!
Non longa saeclorum catena
Attonito dabit ore vatem,

Qui plena nostrae flumina gloriae
Feret per urbes: non humili lyra
Cantuque vos olim sonabit
Et cithara generosiore...

Jakiś teozof mógłby te wiersze odnosić do piewcy Niemna i Wilii, do Mickiewicza, równie dobrze, jak do mazowieckiego śpiewaka Wisły, Lenartowicza. Historyk literatury przypomni, że Sarbiewski pod wpływem biskupa Łubieńskiego, którego raził zbytni kosmopolityzm europejskiej poezyi Jezuity, nie pomnego na swą mazurską ojcowiznę, zaczął starać się (po r. 1635) o związek i styczność z polskiem otoczeniem i sławić polską krainę. Po dawniejszej odzie do Narwi (Lyr. II 15) przyszła pochwała Bugu (epod. 15) z zapowiedzią, że i ojczyste wody mazowieckie nie będą zapomniane przez — Sarbiewskiego. Bo on jest tym wieszczem, który nie za szereg wieków, ale wkrótce już będzie roznosił po miastach sławę rzek mazowieckich. Forma tej zapowiedzi, z odwołaniem się do potomności (credite posteri!) pochodzi z Horacego, jest konwenansem poetyckim.

Poświęciliśmy krótki ekskurs konwencyonalnym przepowiedniom poetyckim w rodzaju tej, którą sam Mickiewicz uznał

---

1) Około sonetu do Niemna, Księga Orzechowicza, Lwów 1916, str. 430.

u Trembeckiego za konwenans, by tu podnieść, że wieszcza poezya Mickiewicza nic z takimi konwenansami niema wspólnego. Poezya według jego myśli, to poezya taka, jaką znamy z proroków starego Zakonu [1]). Byli to religijni politycy, którzy w czasie największego upadku narodu, wyrwanego z ziemi ojczystej między pogan assyryjskich, nie stracili nadziei zbawienia, lecz głosząc potęgę swego Boga nad całym światem, dawali wyraz oczekiwaniom narodu: Wiedzą oni, że Izrael, choć tak nizko upadł, wstaje na nowo, wygnańcy wracają do swych siedzib, obcy się do nich przyłączają, gruzy się odbudowują, święte miasto wstaje w niewidzianym blasku. Nowe królestwo ze starego szczepu Dawida wypełnia jego testament i kładzie rękę na okolicznych ludach. Spełnienie tych nadziei narodowych zależy od religijnego i moralnego odrodzenia się narodu: Izrael nawraca się do swego Boga i dotrzymuje mu odtąd wierności; bezbożni znikają z kraju a Jahwe okazuje swemu ludowi łaskawość. Powrót tego złotego wieku łączy się z powrotem na tron króla Dawida lub jakiegoś godnego potomka jego. Inni prorocy nie wymieniają żadnego władcy ziemskiego, lecz spodziewają się, że sam Jahwe wprowadzi królestwo Boże na ziemię. Sami uważają się za niewolników Jahwego, który właśnie na najniewinniejszego zsyła największe cierpienia, aby przez nie okupić grzechy całego narodu. Największy prorok, Mesyasz, poniesie śmierć męczeńską, by przez swoje zmartwychwstanie wskrzesić Izraela i całą ludzkość do nowego życia.

(C. d. n.)

Tadeusz Sinko.

---

1) Gunkel, — Die Religion der Propheten. Preuss. Jahrb. 166, 2, list. 1916. Str. 195, 197, 210, 214.

ZŁOTY RÓG.

MŁODZIENIEC.

Przez łunę złotą, na tęczowej dali
Widzę ich — widzę... o, powiedz mi szczerze,
Czy to tęczowa baśń — słońcem się pali?
Czy ten mur wielki — to śpiący Rycerze,
O których starzy bardowie śpiewali?
Czy to jest w kształty zaklęta — baśń stara...?

DUCH NARODU.

Tak! Pogrobowce to — z wielkiej mogiły —,
Czekają, aż je obudzi fanfara
I dawne wróci w ich łona, lwie siły...!
Czekają w ciszy — surmy Archanioła,
Patrzaj, w tęsknocie zastygły ich twarze,
Dziejowa krzywda zciemniła im czoła —
W śnie — stoją murem przy starym sztandarze
Czekając, aż je w bój hasło powoła...

MŁODZIENIEC

O, nie wiedziałem, że huf tak olbrzymi:
Hen — aż po morza, zakryte mgłą brzegi

Nieprzeliczone ich stoją szeregi,
W zbroicach rdzawych, z orłami białymi
Na tarczach; nieme, zastygłe ich lica...
Więc śpią powiadasz?

DUCH NARODU.

Niechaj cię nie dziwi
Ten mur stojący w śnie — to tajemnica:
Oni w śnie śmierci nawpół — przecież żywi,
Stoją zaklęci pod martwicą srogą,
Lecz czują sercem — wszystko, co pierś boli...
Widzą kraj, wojny przytłoczon pożogą,
Lecz dłoń ich skrzepła z wiekowej niewoli,
W pancerzach stoją, z tęsknotą na skroni,
Ale się ruszyć w bój wielki nie mogą,
Aż czarodziejski róg złoty zadzwoni
Bojowe hasło...!

MŁODZIENIEC.

Patrz, choć nie ma słońca,
Migocą zbroje... widzę konne roty,
Oszczepów fala się wznosi iskrząca,
Po hełmach łuna swe ognie roztrąca,
O, czemuż hasła nie zagra róg złoty?
W milczeniu stoją...

DUCH NARODU.

Smęt zdrętwił im serca,
Stuletnią wżarty w głąb łona katuszą —
I rdza już zbroje stalowe przewierca...
W letargu ciężkiej martwoty stać muszą,
Ażby się czasów wyroki spełniły, —

Na poły w życiu, wpół we śnie mogiły
Śpią — lecz na surmę, z niebios zesłaną,
Poczują w piersiach praojców lwie siły
I w łunie jasnej do boju powstaną.
Patrz tam...

MŁODZIENIEC.

O widzę — rycerz, Anioł wojny
Na koniu przypadł, zastępy obiega...
Chrzęst zbroic słychać, jak szum od mórz brzega —
Lecz hufiec we śnie pozostał — spokojny...!

DUCH NARODU.

Tam, tam — czy widzisz? od jednego końca,
Wolności ciepłem ogrzana podmuchem,
Fala się jeźdźców ruszyła błyszcząca
I na bój płynie — z drżeniem ziemi głuchem.
Z tętentem koni — to garstka jedynie...!
O patrzaj! poprzez oparów smug siny
Sztandarów wieniec nad głową ich płynie
I świeci światłem tęczowem, niezgasłem —:
To są wstających orłów pierwociny,
Porwane wichrem w praojców swych czyny,
To ochotnicy, zbudzeni przed hasłem;
Tamci śpią jeszcze...

MŁODZIENIEC.

Z krańców widnokręga
Raz po raz zygzak przelata pioruna,
Przez stepy puste, jak oko zasięga,
Płomienna boju rozszerza się łuna
I grają działa od Styru, Prypeci...
Oni śpią. —

DUCH NARODU.

Słyszysz? Pod chmurą, wysoko
Zakrakał orzeł — na wschód, patrzaj, leci.
Czy widzisz w chmurze co? — wytężaj oko...!

MŁODZIENIEC.

Nic! — krąg objęła znowu cisza senna,
Gdzieniegdzie zgliszcza spalenisk się dymią
I głuche jęki, poprzez Polski lenna,
Z pól krwawych skargę mi niosą olbrzymią...!

DUCH NARODU.

O! zakryj lice, nie słuchaj tej skargi,
Bo z niej ostatni ból jękiem wylata:
Odtąd nie pójdzie krew polska na targi
I brat nie zwróci bagnetu w pierś brata...,
To ból ostatni...!

MŁODZIENIEC.

Płonią się niebiosa,
Jakby nadchodził świt i słońca zorze—,
Widzę, z chmur w ziemię spływają z ukosa
Anieli jakby — jakieś widma Boże...
Kto oni?

DUCH NARODU.

Cicho — Patroni to starzy
Lechickich ziemic — promienne zjawiska,
Co niegdyś piorun w grot kładli hussarzy...
Ku szykom idą, z pogodą na twarzy,
W rozbrzaskach świtu — znać, że chwila bliska...

MŁODZIENIEC.

Niebo roztwiera się... pękają chmury,
Łuna w nich złotych odbłysków sieć kładzie;
Widzę: w promiennej tych świateł kaskadzie
Królowa schodzi, Pani z Jasnej Góry,
Manifest trzyma i pieczęć w swem ręku...
O, jakże cudna! — jak rajskich zórz rano,
Jak pełna ciszy, dobroci i wdzięku;
Teraz zapewne rycerze powstaną
Ze swojej niemej, bezsilnej martwoty...

DUCH NARODU.

Na fale zdarzeń wielki idzie przełom:
Wśród wielkiej burzy, pod łuną świetlaną
Wiosna ku śmiałym zespoli je dziełom,
Gdy hasło zagra potężne — róg złoty...
Patrz tam...!

MŁODZIENIEC.

O, widzę: drżą w wietrze sztandary,
Wschodzące łuny potężniej tam złocą
Szyszaki mężów; przez opar mgły szary
Szelesty jakieś zrywają się z mocą,
Po tarczach wicher w rozgłośnej gra nucie
I dźwięczą zbroje, jakgdyby z serc tętna...
Co to jest? powiedz—!

DUCH NARODU.

Wolności przeczucie:
Już — patrzaj! niemoc opuszcza je smętna,
Szyszaki łuną się płonią niezgasłą,
Dłoń ich na miecza drży już rękojeści —

Chwila — a zabrzmi wielkie z niebios hasło,
Nieznane dotąd — przez lat sto czterdzieści —
Ta chwila idzie...!

MŁODZIENIEC.

O tam — w mrocznej sferze
Cóż to jest? — błysła modra wstęga rzeki —,
Niegdyś mi znane widzę domy — wieże...
To mój gród — oczom — nie sercu daleki!
O, znam...!

DUCH NARODU.

Ty płaczesz?

MŁODZIENIEC.

Niegdyś, dzieckiem małem
Ztamtąd mnie zawiść wyrzuciła wroga
I odtąd grodu mego nie widziałem —
Aż teraz, w wizyi...

DUCH NARODU.

Tam, u zamku proga,
Gdzie sterczy w niebo Zygmunta kolumna,
Powiedz, co widzisz?

MŁODZIENIEC.

W lśniącej, złotej zbroi
O filar wsparta jakaś postać dumna,
Jakiś posępny, cichy hetman stoi
Nad uśpionego rycerstwa lawiną,

— Twarz jego w smutku zastygła i niema —
Na poły w mroku, obwity w mgłę siną,
Na mieczu dłońmi się wspiera obiema...

DUCH NARODU.

To Wódz narodu — gdy zagra dźwięk gromki,
Dźwięk, niesłyszany od pięciu pokoleń,
Z mogiły — ojców poruszy się goleń
I wnijdzie grzmiący duch bitew w potomki —
I wstaną... Żegnaj! — Nie mogę tu zostać,
Ogromna chwila do czynu mnie woła...

MŁODZIENIEC.

Rzucasz mnie? dziwy — cuda! Twoją postać
Obwija tęcza... jasność bije z czoła,
Kto ty? o dziwy! w blasku, z twoich ramion
Tryskają złote skrzydła Archanioła...,
Tyżeś to, Duchu, rdzą cienia nie splamion,
Wskrzesiciel — Anioł, narodu Obrońca,
Wieszczony w pieśniach przez dawnych gęślarzy?
Królewska duma na twojej lśni twarzy,
Oblicze twoje jaśniejsze od słońca —,
A w ręku błyska promienny róg złoty...!
O tryumf! zorza przestwory różowi
Ogromną łuną... o, powiedz mi: kto ty?

(CHWILA MILCZENIA).

Widzę go... lekko wzniesiony od ziemi,
Ku posępnemu płynie hetmanowi —
A teraz, świecąc skrzydłami białemi,
Nad wojskiem słania się, niby mgła ranna,
Kształt jego jasną rozpływa się tęczą

I znika w fali zbrój — tryumf! hosanna!
Zbroice nagle zadrgały i dźwięczą...
Błysnęły miecze, łom słychać dokoła,
Pożarem świtu krąg ziemic się pali,
Rycerze z głuchej się budzą martwoty...!

GŁOS.

Wytężaj ucho! Czy słyszysz? — W oddali
Dźwięk surmy leci na miasta i sioła,
Bojowe hasło wydzwania — róg złoty...!

Ks. Tadeusz Karyłowski.

Na powitanie państwa polskiego.

Głosy zagranicy.

Wspaniałymi dowodami prawdziwie braterskich uczuć Węgrów wobec Polaków są te rezolucye, które za inicyatywą naszego klubu komitaty i miasta w tak imponującej liczbie uchwaliły na swoich radach. Rezolucye te zjawią się w niedługim czasie na porządku dziennym sejmu, skoro tylko przyjdzie kolej na ich merytoryczne traktowanie, i ten mąż stanu, który przy zawarciu pokoju reprezentować będzie Węgry, odpowiednio do życzeń i intencyi naszych ciał prawodawczych, z pewnością gorąco i z wielką energią reprezentować będzie w imieniu Węgrów i sprawę Polaków.

To, że w chwili decydującej znajdzie się po ich stronie bezinteresowny, stary prawdziwy przyjaciel, bardzo powinno uspokajać Polaków. Niewątpliwą bowiem, sądzę, rzeczą jest, że nasz reprezentant stosować się będzie do życzeń i oświadczeń kraju i że w interesie Polaków podniesie głos dla ich obrony. Rycerski naród węgierski całą siłą i wpływem będzie za tem, by wołające o pomstę do nieba bezprawie, popełnione na Polakach, zostało naprawione przez obecną wojnę światową, rozpoczętą w imię sprawiedliwości. Niemcom i naszej monarchii nie trzeba będzie zwracać uwagi na to, że wojska ich z tem hasłem przekroczyły polską granicę, iż niosą wolność Polakom. Ani cesarz Niemiec, ani cesarz Austryi, prawdziwy wzór rycerskości, nie wy-

kreślą ani jednej litery z tego, co w ich imieniu i za ich zgodą ktoś komuś obiecał. Jakiego stopnia dosięgnie ta wolność, to będzie jeszcze przedmiotem rozważań. Lecz sama zasada tych rozważań wyklucza już dziś jedno, to jest ten wypadek, w którymby podzielona Polska, może w zmniejszonych granicach, lecz i nadal istotnie podzieloną Polską pozostała. Wolność ta musi być tej miary, by w stosunku do dawnych warunków tworzyła stanowczy postęp. W pierwszym rzędzie więc trzeba stworzyć jednolitą Polskę, któraby w tej formie włączona została w koło zwycięzców w tej wojnie, iżby dawne historyczne prawa Polaków otrzymały swój wyraz i by stworzyły silną podstawę do dalszego swobodnego rozwoju Polaków. I dopóki zawarcie pokoju nie zapewni tych warunków, dotąd Węgry swego zwycięstwa i niezwykle ciężkich ofiar nie będą uważały za wynagrodzone. Zupełna solidarność z Polską — oto hasło, pod którem prowadzić muszą Węgry dyplomatyczną akcyę przy zawarciu pokoju.

Dr. Albert Bar. Nyary.
Prezes Klubu polsko-węgierskiego.

Religia, kultura, historya i język narodu polskiego są jednolite i nierozdzielne i dlatego przyszłość jego nie może się ukształtować inaczej, niż wynika to z przeszłości. Łacińsko-niemiecką kulturę i cywilizacyę europejską tylko wówczas obronić można przed barbarzyńskim Wschodem, przed niepoprawną Rosyą, jeżeli jednolita Polska, opierając się na armiach i potędze politycznej mocarstw centralnych, stanie się monarchicznem państwem konstytucyjnem. Kto będzie w niej panował, o tem jeszcze nie dyskutuję; Polska zaś przez 120 lat ucisku pod rządami rosyjskimi nauczyła się tyle, że błędów przeszłości, zasad „liberum veto“ nigdy już nie powtórzy.

Niech więc przywódcy narodu polskiego oświecą szerokie masy, żeby, gdy zażąda tego potrzeba, było świętym obowiązkiem patryotycznym każdego zdolnego do broni syna narodu polskiego dobrowolnie, bez branki, zgłosić się do służby wojskowej, aby do

ostatniej kropli krwi bronić swej ojczyzny przed rosyjskim najeźdzcą. Niech Polacy wystawią wówczas wielką ochotniczą armię, która jako uzupełnienie reszty naszej siły zbrojnej dostateczną będzie do zupełnego wyparcia rosyjskiego potwora. Skoro zaś Rosya ostatecznie będzie pobitą i ostatecznie zrezygnuje z Królestwa Polskiego, to wówczas otwierają się przed narodem polskim perspektywy takiej wolności, takiej kultury i takiej wielkiej przyszłości, jakie posiadamy my, Węgrzy, bratni dla Polaków naród. Wznowią się wtedy czasy Ludwika Wielkiego.

Ks. Emeryk Vodicska,
ref. prasy słow. w min. spraw wewn.

Gdy cały świat stanie się katolickim.

Z powodu książki R. H. Bensona.

„Volorem“ wyjeżdża nasz Monsignor w podróż, która ma uspokoić jego nadszarpane pracą wytężającą nerwy i wyleczyć go z choroby pamięci. Ten volor to wcale dowcipnie obmyślany przez autora latający w powietrzu przyrząd, niby nasz balon do sterowania, lecz tem różny od wszystkich dotychczasowych systemów, że obchodzi się zupełnie bez gazu, a więc i bez balonu, a jednak nie jest latawcem. Zasada, na której go zbudowano — oczywiście dotychczas tylko w wyobraźni autora — bardzo prosta. Przypomnijmy sobie, że nasz dzisiejszy balon wypełniony jest lekkim gazem, zwyczajnie gazem do oświetlania, po to, by, jak się popularnie mówi, gaz nadał mu pęd do góry, unosił cały balon w powietrze. W rzeczywistości jest jednak inaczej, gaz nietylko balonu nie unosi, lecz go znacznie obciąża, a stąd pcha ku ziemi, a wznoszenie się balonu ku górze tłómaczymy, jak wiadomo, prawem Archimedesa, które orzeka, że ciało zanurzone w cieczy, a wypychające swą objętością ilość płynu o wadze większej, niż ta, którą posiada ciało, doznaje od cząstek cieczy parcia do góry, o sile równej różnicy wagi wypartej cieczy i ciała zanurzonego. To prawo, tłómaczące zjawisko pływania w wodzie, wyjaśnia także fakt wzbijania się ku górze balonu, naładowanego gazem lekkim. Rzeczą jest widoczną, że gdybyśmy zamiast gazu użyli próżni, to znaczy gdyby się udało zrobić balon ze sztywnej i cienkiej, a tak niezmiernie sil-

nej powłoki, żeby się oparła zewnętrznemu ciśnieniu powietrza, to taka próżna bania miałaby daleko silniejszy pęd ku górze, niż tej samej wielkości balon wypełniony gazem, chociażby nawet tak lekkim, jak wodór. Na tej prawdzie oparł autor pomysł swego voloru, który obywa się zupełnie bez osobnego zbiornika gazowego, a natomiast wszystkie jego sprzęty i cały szkielet zbudowano z próżnych wewnątrz rurek, z których więc każda z osobna posiada swój własny pęd ku górze, tak, że nietylko sam volor, ale i znajdujące się na nim pełne przedmioty, unosi ku niebu. Sposób ten podróżowania na próżni miałby jedną jeszcze niezmiernie ważną zaletę, mianowicie byłby zupełnie bezpieczny, bo próżnia, w przeciwieństwie do gazu, nie eksploduje, a gdyby w całym skomplikowanym systemie rurek voloru powstała jaka nieszczelność, to spowodowałaby ona tylko powolne opuszczanie się statku ku ziemi.

Nie będziemy oczywiście wdawać się tu w szczegóły opisu podróży pełnej komfortu takim próżnoduchem, ani też lecieć myślą w ślad za uroczą wyprawą naszego bohatera, czeka nas bowiem sprawa ważniejsza, problem nawrócenia się z materyalizmu narodu i cesarza niemieckiego, z materyalizmu teoretycznego, wcielonego w cesarza i materyalizmu praktycznego, socyalistycznego, znachodzącego jeszcze podłoże żyzne w społeczeństwie niemieckiem. Trzeba tu jednak zaraz u wstępu zająć się uporządkowaniem kwestyi formalnej i stwierdzić, że personifikacya autorowi całkiem się nie udała.

Ale pomijając niesłuszność symbolu, którą zresztą łatwo wytłómaczyć można stanowiskiem narodowem autora, trzeba podnieść, że z przeprowadzenia akcyi pokonania materyalizmu, zarówno teoretycznego u cesarza, jak i praktycznego u socyalistów, znakomicie autor się wywiązał. Materyalizm teoretyczny legnie pod ciosami ścisłej, bezstronnej nauki, która wykaże niezbicie istnienie cudów, a stąd i rzeczywistość znajdującego się poza nimi świata niemateryalnego, zaś materyalizm społeczny cofnie się przed siłą moralną papiestwa, popartą siłą materyalną państw chrześcijańskich. Jeden i drugi epizod stanowi także i pod względem literackim, zarówno jak naukowym i psychologicznym, najpiękniejszą

część książki, odpowiadającą w zupełności sławie znakomitego autora.

Cesarz niemiecki nawraca się w Lourdes. Miejsce to było polem ostatecznej walki między materyalistycznym sceptycyzmem a wiarą nadprzyrodzoną. „Tu bowiem religia wstąpiła niejako na arenę, zastrzeżoną dotychczas wyłącznie działaniu sił fizycznych. Odkładała ona na bok swe prawa wyrokowania, swe stosunkowo niepoparte doświadczeniem twierdzenia o swej boskości; odrzuciła swe szaty, przynależne jej godności i powadze, i stanęła tutaj do współzawodnictwa z mistrzami prawa przyrody na równych warunkach. Jej jedynem pragnieniem praktycznem było leczyć chorych, jedynem dążeniem teoretycznem ustalić coraz ściślej i ściślej, krok za krokiem, dokładną linię, przy której kończyła się przyroda a zaczynały zjawiska nadprzyrodzone. I, jeżeli ludzka pewność, oparta na rzeczywistości, ma jaką wagę, jeżeli tomy radiografii (t. zn. zdjęć fotograficznych, dokonanych za pomocą promieni rentgenowskich. Przyp. tłóm.) i przysięgą stwierdzonych świadectw ma jakie znaczenie, to ustaliła ona po tysiąckroć razy w ciągu ubiegłego stulecia, że pod jej i wyłącznie jej przewodnictwem działały siły lecznicze i odbudowcze, którym podobnych nie może wykazać żadna czysto przyrodzona myślna nauka".

Że ta część twierdzenia nie jest utworem wyobraźni powieściopisarza, lecz faktem rzeczywistym, to już dziś wie każdy, kto umyślnie nie zamyka oczu i uszu na fakta ponad wszelką wątpliwość naukowo stwierdzone i ciągle stwierdzane uzdrowień cudownych w Lourdes, jak o tem niedano znowu mieliśmy sposobność w naszem piśmie obszerniej wspomnieć. Mgr. Benson idzie jednak o krok, i to wielki krok, dalej. U niego w Lourdes ustawicznie urzędująca komisya, złożona z najdzielniejszych lekarzy i przyrodników, przy współudziale teologów, między którymi odznacza się Dom Adrian, stara się przy pomocy cudownych uleczeń w Lourdes zbadać, jak daleko sięga władza medycyny przyrodzonej, a gdzie się zaczyna działanie sił nadprzyrodzonych. Jestto idealna synteza wszech nauk ludzkich, nauk przyrodniczych i teologicznych, która będzie zawsze najbardziej interesującym i najważniejszym problemem, którym zająć się muszą wszystkie ogólniejsze szkoły filozo-

ficzne, a który też leży na dnie dopiero co stłumionego modernizmu. Autor wróci jeszcze do tej sprawy, jak poniżej zobaczymy, mówiąc o dalszych dziejach wspomnianego Dom Adriana.

Experimentum crucis dla chwiejącego się jeszcze cesarza niemieckiego ma być uleczenie szesnastoletniej panienki niemieckiej, która doznała zupełnego złamania stosu pacierzowego pomiędzy jedenastym i dwunastym kręgiem grzbietowym, i już sam fakt, że jeszcze pacyentka żyje, jest nadzwyczajnym. Ponieważ nadto dziewczyna utrzymuje, że we śnie objawiła się jej Matka Najśw. i przyrzekła jej w Lourdes uleczenie, a jej ojciec, *freethinker*, wolnomyślny, najpierw sprzeciwia się podróży do Lourdes, a potem zgadza się na nią, lecz w tym celu by z tego ukuć broń przeciwko wierze, więc wypadek stał się głośnym.

Nie potrzeba dodawać, że uleczenie dziewczyny nastręcza sposobność autorowi do wspaniałego opisu znanych scen z procesyi uzdrawiającej w Lourdes, gdzie wśród tożsamościowo jednakich warunków chorzy złożeni na swych łożach, nie wszyscy, lecz tylko wybrańcy Bożej wszechmocy otrzymują upragniony dar zdrowia. Wiara tryumfuje, nie nad nauką, lecz w r a z z nauką; obie, wyzute z wszelkiej zazdrości i zawiści, zgodnie i z prostotą oddają hołd należący się oczywiście Temu, od którego wyszły. Pozostał jeszcze materyalizm praktyczny, wcielony w socyalizm.

Tych epigonów socyalizmu, ostatnie zastępy ginącego nowożytnego pogaństwa, usadawia autor w Berlinie, ale bezstronność przyznać nakazuje, że w metodach i sposobie działania są to anglicy z krwi i kości. Oburzeni na cesarza za jego nawrócenie się na katolicyzm, buntują się i wtrącają do więzienia, i następnie w imię wolności wysyłają do całego świata chrześcijańskiego orędzie, w którym wzywają go do poddania się im na łaskę i niełaskę, w razie zaś przeciwnym grożą całemu światu zniszczeniem za pomocą wynalezionych przez siebie piekielnych machin — zawsze w imię wolności. Jakaż tu analogia między tą wolnościową odezwą a orędziami obecnej ententy, która również w imię wolności rzuca na Europę piekielne machiny, ściąga nań dzikie wojska z całego świata i jako cel swój ogłasza zniszczenie wielkiego, cywilizowanego narodu, rozbiór katolickiej Austryi i poddanie całego nie-

szczęśliwego narodu polskiego pod carską nahajkę, by jeszcze gdzieś w jakimś zakątku Europy nie tlił się duch buntu i reakcyi katolickiej — wszystko także w imię wolności! Benson w tym pomyśle całym okazał się prawdziwym anglikiem, który do celu dąży bezwzględnie i okrutnie, tylko że poczucie patryotyczne nakazało mu owe ponure przymioty narodu swego podsunąć wrogom.

Ojciec św. w imieniu państw zagrożonych wysyła do Berlina księcia Ottona, celem traktowania z tą ententą, lecz ci w imię wolności zabijają wysłannika, oświadczając, że nie myślą „traktować, lecz tylko stawiać warunki (jakaż znowu analogia!) i że zabiją każdego, kto do nich w poselstwo się wybierze, jeżeli zaś państwa nie poddadzą się do czterech dni, ten sam los spotka cesarza. Niezrażony tem Ojciec chrześcijaństwa, uznany przez wszystkich zwierzchnikiem całego cywilizowanego świata, raz jeszcze próbuje ratować świat od krwi rozlewu. W jego imieniu udaje się, na pewną śmierć, nowy wysłannik, a jest nim kardynał Londynu, ukochany zwierzchnik Mgra Mastermanna, który wyprasza sobie też pozwolenie od Ojca św., by mógł kardynałowi towarzyszyć. W kilka godzin za pomocą szybkiego voloru znajdują się w Berlinie, gdzie oczekuje ich nieustająca Rada Stanu, pod przewodnictwem kapłana apostaty. Niebawem kardynał zostaje stracony, a Rada Stanu wzywa przed siebie Mgra Mastermanna, oświadczając mu, że wkrótce będzie obecny przy straceniu cesarza, a następnie ma jechać do Rzymu, by jeszcze raz oświadczyć Papieżowi niezmienną wolę socyalistów doprowadzenia do końca całej sprawy w sposób uprzednio zapowiedziany. W tem, gdy Mgr. Mastermann jeszcze znajdował się na Radzie, wpada posłaniec z jakimś papierem do przewodniczącego, wszczyna się niepokój, i oznajmują, że nowy posłaniec od papieża przybył. Za chwilę posłaniec ten się zjawia, a jest nim ku ogólnemu zdumieniu, sam Ojciec św., który bez wojsk i straży pospieszył ratować ginących, nawrócić ich gorącymi, ojcowskimi słowy, oznajmić jednak zarazem, że floty powietrzne wszystkich państw cywilizowanych, a nawet dalekich państw wschodnich, oczekują i jeżeli socyaliści do północy się nie poddadzą, wyruszą wszystkie na Berlin. Postać Ojca św., który zjawia się w swych białych szatach, z pierścieniem rybaka na palcu,

i z swobodą zupełną i miłością, a bez najmniejszej trwogi przemawia do Rady, porusza wszystkich, prócz przewodniczącego apostaty, który oświadcza, że i papież musi zginąć i przerywa dyskusyę. Papież w tej chwili decydującej odwołuje się do Rady, a ta po raz pierwszy wyłamuje się z pod żelaznej ręki przewodniczącego i wyraża pragnienie, że chce dalej słuchać mowy Papieża. W prostych a głębokich i pełnych namaszczenia słowach Ojciec święty raz jeszcze wzywa zbuntowanych do posłuszeństwa, a wymowa jego i nadprzyrodzona, chociaż niewidzialna siła dokazuje tyle, że gdy zegar uderzył pierwszą głoskę godziny dwunastej, wszyscy padli na kolana przed Ojcem św., wszyscy, z wyjątkiem kapłana-apostaty.

W Londynie uroczystość światowa, hołd ludzkości swemu władcy, Ojcu, Papieżowi rzymskiemu. Nasz bohater powieści, Mgr. Mastermann, już jako kardynał arcybiskup Londynu, oczekuje przybycia voloru Ojca św., który zjawia się w otoczeniu volorów wszystkich państw: „Francya, Austrya i Niemcy, następnie Belgia i Holandya, dalej królestwa skandynawskie, następnie rzesze mniejszych państw bałkańskich, Grecyi i Morza czarnego, dalej przyozdobiona orłem barka Rosyi, i wreszcie okręty Hiszpanii i Włoch, a na każdym siedziała postać królewska pod baldachimem“ — Polski jednak niema. Nic dziwnego, w umysłowości Anglika Polska jest pod opieką troskliwą czarnego orła. A tylu z nas ciągle się jeszcze łudzi...

Ze stanowiska literackiego uderza w znakomitej tej powieści jeden wielki brak, który dzieło całe usuwa prawie z rzędu powieści. Jest nim zupełna nieobecność postaci kobiecych, tem bardziej uderzająca u autora, który w innych swych utworach, jak np. w „Lord of the World“, albo w „Come Rack, Come Rope!“ mistrzowską ręką tak prześliczne kreśli charaktery kobiece i któ-

ry przecież, jako głęboki psycholog, wie dobrze, że żadne zdarzenie na świecie, małe czy wielkie, nie dzieje się i dziać nie może bez udziału obu połów rodzaju ludzkiego. Autor o tem wie i to uznaje, czego dał dowód w tej uwadze, że całe uchrystyanizowanie świata dokonało się właśnie w tym dopiero okresie, gdy kobiety otrzymały zupełne polityczne równouprawnienie z mężczyznami. Dlaczego idei swej nie wcielił w jakąś postać kobiecą i stworzył tak rzadki przykład powieści zupełnie męskiej, chociaż nigdzie nie przebija w niej prąd antyfeministyczny — trudno dociec.

Ale prócz zarzutu powyższego spotyka autora inna jeszcze i znacznie cięższa krytyka. Chodzi tu o stanowisko, jakie zajął autor w sprawie niezmiernie trudnej a drażliwej, w sprawie herezyi i jej stosunku do państwa katolickiego. W ciągu powieści kwestyi tej poświęcono duży epizod, z którym trzeba się osobno załatwić.

Młody, pełen zapału dla wiary i nauki Benedyktyn, wspomniany już Dom Adrian, doktor teologii i nauk przyrodniczych, pisze dzieło o cudach, dowodząc w nim, że niektóre uzdrowienia, które teologowie uważają powszechnie za nadprzyrodzone, dadzą się wytłómaczyć działaniem środków naturalnych. Ponieważ dekrety soboru powszechnego z r. 1960 treścią swą poparły pogląd teologów, więc Dom Adrian oświadczył, że dekreta te należy rozumieć inaczej, niż przedstawiają to teologowie, że więc nie mogą być stosowane do obecnej dyskusyi. Tezę swą wysłał Adrian do Rzymu, zanim jeszcze dzieło okazało się w druku, Rzym zaś ją odrzucił. Zbadaniem więc sprawy zająć się miał trybunał duchowny w Londynie, złożony z trzech członków, mianowanych przez kardynała Londynu, z których jeden był Dominikaninem, dwaj zaś inni kapłani świeccy, znani z głębokiej nauki. Według ustaw państwowych każdy heretyk ma być sądzony przez taki duchowny trybunał, który jednak ma tylko wydać wyrok co do samej herezyi. Gdy naukę i zdania podsądnego potępiono, jako nie katolickie, miał on prawo albo zdanie swe odwołać, albo mógł wystąpić z Kościoła katolickiego i wtedy jako akatolik staje się co do swych przekonań swobodnym. Jeżeli jednak nie chce spełnić ani jednego, ani drugiego, wtedy dostaje się pod „brachium saeculare“, podpada pod państwowe ustawy karne, które go stanowczo skazują na śmierć.

Ponieważ Dom Adrian z jednej strony trwał przy swem zdaniu, z drugiej zaś ani na chwilę nie przyszło mu na myśl, by z Kościoła występować, więc wyrok potępiający trybunału duchownego miał jeszcze tylko dla formalności iść do potwierdzenia do Rzymu, a potem Benedyktyn miał być oddany przez władzę świecką w ręce kata.

Rozprawie trybunału duchownego przysłuchiwał się z galeryi Mgr. Mastermann, nie rozumiejąc jeszcze dobrze całej sytuacyi, gdy jednak po rozprawie poznał grozę jej i to z ust samego Dom Adriana, zawrzał szalonem oburzeniem na prawodawstwo ówczesne i cały porządek społeczny; jako wierny przedstawiciel ducha naszych czasów, nie mógł pojąć i zgodzić się na to, by za rzecz czysto duchową, jaką jest herezya, wymierzano najsroższą karę doczesną. Następuje piękna i tragiczna scena, w której Dom Adrian, chociaż poszkodowany, staje w obronie nowego porządku rzeczy przeciwko Mgrowi Mastermannowi.

„Czyż możebne, — woła wzburzony do najwyższego stopnia Mgr. Mastermann — by jaka żyjąca istota mogła żyć pod taką tyranią, pod takim uciskiem wolnej myśli i sądu! Cóż stanie się z nauką i odkryciami pod systemem takim, jak ten? Co stanie się z wolnością, z prawem myślenia dla siebie samego? Co?“

Młody zakonnik sparł się nieco na stole.

Monsignorze — mówił spokojnie, położywszy rękę na jego ramieniu, — jesteś zanadto podrażniony. Czy mogę postawić Ci kilka pytań?

Monsignor skinął potakująco.

— Dobrze. Nie bierz pod rozwagę tylko mego wypadku. Weź system, jak dopiero co powiedziałeś. Ja rzeczywiście chcę wiedzieć... Myślisz, że socyalistów nie należy tłumić, że każdy człowiek powinien być wolny w wyrażaniu swych opinii, jakiekolwiek być one mogą. Czy tak?

— Tak.

— Jakkolwiek rewolucyjnemi byłyby one?

Monsignor się zawahał. Zastanawiał się nad tym punktem poprzednio. Czuł, że odpowiedź, jaką dał sam sobie, nie była całkowicie zadowalniającą. Lecz zakonnik mówił dalej.

— Przypuśćmy, że te opinie wywracają wszelkie prawo i po-

rządek. Przypuśćmy, że są ludzie, którzy głoszą mord i cudzołostwo — nauki, które oznaczają zniszczenie społeczeństwa. Czyżbyś i tym także dozwolił rozsiewać na wszystkie strony swe przekonania ?

— Oczywiście, należy pociągnąć gdzieś granicę — zaczął Monsignor. — Oczywiście.

— Gdzie-?

— No, zależeć ona musi od stopnia.

— Bez wątpienia zależeć ona musi od zasady... Czy możesz mi, Monsignorze, podać pod tym względem jakąkolwiek zasadę, na którąbyś się zgodził?

Namiętność uprzednia, zdaje się, zniknęła całkowicie. Monsignor miał niemiłe uczucie, że zachował się jak dziecko, i że ten młody zakonnik stał na silniejszym, niż on sam, gruncie. Lecz znowu się zawahał.

— Więc czy przyjmiesz tę zasadę? — pytał Dom Adrian. — Czy chciałbyś powiedzieć, że każde społeczeństwo ma prawo do tłumienia przekonań, podrywających wprost fundamenty, na których ono stoi? Pozwól, że dam przykład: Przypuśćmy, że istnieje kraj o republikańskiej formie rządu, który jednak przyznaje, że inne formy rządu są również dobre. (Przypuśćmy naprzykład, że gdy wszyscy zgadzają się mniej lub więcej na rzeczpospolitą, wielu z obywateli osobiście wolałoby monarchię). Więc, jak widzę, powiedziałbyś, Monsignorze, że byłoby tyranią ze strony republiki karać monarchistów śmiercią ?

— Z pewnością.

— I ja także. Lecz, gdyby niewielka liczba obywateli odrzuciła wszelką formę rządu i ogłosiła anarchię, to przypuszczam, że dozwoliłbyś, by rząd miał doskonałe prawo do zmuszenia ich do milczenia ?

— Tak przypuszczam.

— Oczywiście — rzekł Dom Adrian spokojnie. — Społeczeństwo może i musi się bronić.

— Cóż to należy do rzeczy? Ci socyaliści nie są anarchistami. Ty nie jesteś ateuszem. A nawet, gdybyś nim był, jakież prawo miałby Kościół skazywać cię na śmierć?

— O, to właśnie miałeś na myśli, nieprawdaż Monsignorze? Lecz w rzeczywistości, wiesz, że społeczeństwo musi się bronić. Kościół nie może w to się mieszać. Bo to nie Kościół, ani na chwilę nie on, jest tym, który karze śmiercią. Przeciwnie, powagi katolickie są prawie jednomyślnie przeciw temu... Błąd twój polega na tem, że nie zdajesz sobie dostatecznie sprawy z faktu, iż jedynym fundamentem społeczeństwa jest obecnie katolicyzm. Widzisz, my wiemy, że katolicyzm jest prawdziwy. Stwierdził on się ostatecznie. Próbowano wszystkich innych systemów i te zawiodły; i katolicyzm, chociaż nie umarł nigdy, znowu został powszechnie przyjęty. Nawet kraje pogańskie przyjmują go de facto jako plan, wedle którego zbudowano rodzaj ludzki. Tak, więc człowiek, który godzi w katolicyzm, godzi w społeczeństwo. Gdyby mógł iść za swemi dążeniami, społeczeństwo znowuby się rozkruszyło. Cóż więc ma robić społeczeństwo katolickie, jak tylko bronić się, nawet za pomocą kary śmierci? Pamiętaj, Kościół nie zabija; nigdy tego nie czynił i nigdy czynić nie będzie. Tym, który skazuje na śmierć, jest społeczeństwo.

...Społeczeństwo chrześcijańskie przed stu laty skazywało na karę śmierci za zabójstwo ciała; społeczeństwo chrześcijańskie dzisiejsze skazuje na śmierć za większą przeciw niemu samemu zbrodnię, mianowicie za ataki mordercze przeciwko jego własnej zasadzie żywotnej.

...Kościół nigdy nie prześladuje za same przekonania. Nigdy nie rościł sobie prawa do tego, by używać siły. Lecz skoro tylko jakiś kraj jest z przekonania katolickim, a więc skoro cywilizacya jego spocznie na katolicyzmie i na n i c z e m i n n e m w i ę c e j, taki kraj ma zupełne prawo chronić się za pomocą kary śmierci przeciwko tym, którzy zagrażają samemu jego istnieniu jako społeczności cywilizowanej. I tak czynią heretycy; i tak czynią socyaliści. Czy władze mają słuszność lub nie w jakimś danym wypadku, jest rzeczą inną. Niewinnych ludzi wieszano. Wierni katolicy cierpieli niesłusznie. Ja osobiście wierzę, że jestem niewinny; lecz całkiem mi jest jasno, że jeżeli jestem heretykiem, muszę być przez społeczeństwo skazany na śmierć.

— Lecz kara śmierci! — krzyczał Mgr. Mastermann —

Śmierć! W tem leży cała okropność. Kara duchowa za zbrodnię duchową, rozumiem, lecz fizyczna...

Dom Adrian uśmiechnął się nieco znużony.

— Mój drogi Monsignorze — rzekł — sądziłem, iż wyjaśniłem, że to za zbrodnię przeciwko społeczeństwu. Nie jestem skazany na śmierć za moje przekonania, lecz dlatego, że trzymając się tych przekonań, które uznano za heretyckie, i nie chcąc poddać się pod rozstrzygnięcie władz, jestem nieprzyjacielem c y w i l n e g o p a ń s t w a, które podtrzymuje wyłącznie sankcya katolicyzmu. Pomnij, że nie Kościół jest tym, który mnie skazuje na śmierć. To nie jest jego sprawa. On jest społecznością duchową.

— Lecz śmierć, śmierć, bądźcobądź.

Twarz zakonnika nabrała wyrazu powagi i tkliwości.

— Czyż to tak straszne — rzekł — dla zdecydowanego katolika?

Monsignore wstał gwałtownie. Zdawało mu się, że całe jego moralne poczucie znalazło się w niebezpieczeństwie. Uczynił ostatni wysiłek.

— Lecz Chrystus! — krzyczał — Jezus Chrystus! — Czy możesz wyobrazić sobie, że ten nasz łagodny Pan cierpiałby to wszystko chociażby na chwilę! Ja w tej chwili nie mogę ci odpowiedzieć na twe wywody, chociaż wiem, że odpowiedź istnieje. Lecz czyż można pojąć, by Ten, który powiedział: „Nie stawiajcie złemu oporu, by Ten, który sam milczał wobec swych morderców...

Dom Adrian powstał także. Nadzwyczajna siła odbiła się w jego oczach, a twarz przybladła jeszcze więcej. Zaczął cichym głosem, który jednak przy końcu rozbrzmiewał silnie w małym pokoju.

„To wy właśnie znieważacie naszego Pana — rzekł. — Bezwątpienia cierpiał On, jak i my katolicy umiemy cierpieć także, jak to kiedyś zobaczysz, jak widziałeś już po tysiąckroć razy, jeżeli ci przeszłość cokolwiek jest znaną. Lecz czy to wszystko, czem On jest? Czyż jest On tylko Księciem Męczenników, najwyższym Mężem boleści, milczącym Barankiem Bożym? Czyż nigdy nie słyszałeś o gniewie tego Baranka? o oczach, które są jakby płomie-

niem ognia? o berle żelaznem, którem w kawałki gruchocze królów ziemi? Chrystus, do którego apelujesz, jest niczem. Jest to niespełna człowiek, bez Boskości... książę sentymentalistów i tej złej starej religii, która niegdyś śmiała się nazywać Chrześcijaństwem. Lecz Chrystus, którego my czcimy, jest czemś więcej, niż to — Wieczyste Słowo Ojca, Rycerz na Białym Koniu, zwyciężający i mający nadal zwyciężać... Monsignorze, zapominasz, jakiego Kościoła jesteś kapłanem! Jest to Kościół Tego, który wydarł królestwa tego świata szatanowi, by zyskać je dla siebie. On to spełnił. Chrystus króluje! Monsignorze, o tem właśnie zapomniałeś! Chrystus nie jest już opinią albo teoryą. Jest On faktem. Chrystus króluje! On rzeczywiście rządzi światem. A świat wie o tem...".

„...Chrystus jest znowu królem ludzi, teraz, nietylko wyłącznie ludzi pobożnych, religijnie usposobionych. Panuje, bo ma do panowania prawo... I władza cywilna zastępuje Go w rzeczach świeckich, zaś Kościół w duchownych. Mam być skazany na śmierć! Dobrze, oświadczam, że jestem niewinny, lecz nie twierdzę, iż zbrodnia, o którą mnie obwiniają, nie zasługuje na śmierć. Protestuję, lecz nie biorę tego za złe. Czy myślisz, że boję się śmierci? Czyż i ona nie jest także w ręku Jego? Chrystus króluje, i my wszyscy to wiemy. I ty także musisz o tem wiedzieć".

Może cytat, który przytoczyłem, jest nieco za obszerny, lecz w tak teoretycznie subtelnych, a praktycznie tak łatwo wzbudzających zapał i namiętności sprawach trzeba jasno i spokojnie poznać stanowisko autora i sposób, w jaki stan kwestyi stawia. Przytoczone ustępy dokładnie i wiernie to stanowisko oddają. czytelnik zaś sam osądzi, o ile zarzut nietolerancyi, czyniony Bensonowi, byłby słuszny. Błąd w każdym razie byłby w postępowaniu Dom Adriana. Jeżeli chce być katolikiem, to powinien poddać się rozstrzygnięciu Kościoła. Jeżeli zaś Dom Adrian woli raczej ponieść śmierć, i przez to, jak się wyraża, zaapelować w swej sprawie do samego Chrystusa, to mogłoby się nasunąć przypuszczenie, jakoby dopuszczał możliwość, iż Chrystus rozstrzygnie inaczej, niż Kościół. To też Dom Adrian mówi: „Ja nie chcę się poddać, bo utrzymuję, że różnię się nie od Kościoła katolickiego, jakim on jest

w rzeczywistości (co byłoby heretyckiem), lecz od Kościoła katolickiego, jak go tłumaczą ci teologowie, (którzy go potępili. Przyp. recenz.). Wiem, że to jest z mej strony zbyt śmiałem stawać przeciwko tłómaczeniu, praktycznie powszechnie przyjętemu, lecz czuję się w sumieniu do tego zobowiązanym. ...Ja jestem skazany, mianowicie, jako uparty heretyk, jako nie chcący poddać się jasnemu znaczeniu dekretu soboru powszechnego".

Z tego ustępu mogłoby się zdawać, że autor bohatera swego skazuje na śmierć nie za herezyę, lecz za trwanie uparte w zdaniu sprzecznem z opinią ogółu teologów. Zdaje się, że autor w polowaniu za literackim efektem zanadto kroczy po linii subtelnych, teologicznych dystynkcyi, zwłaszcza, jeżeli się zważy, że to czyni w powieści, a więc w książce z natury swej przeznaczonej dla kół bardzo szerokich, dla czytelników, w delikatne różniczkowania teologiczne nieraz niewprawionych.

Wogóle rzadko spotkać można powieść, jeżeli wogóle spotkać ją można, któraby zajmowała się tyloma i tak ważnymi a zarazem subtelnymi problematami, zarówno filozoficznymi i społecznymi, jak teologicznymi. Dlatego też ktoby chciał ją czytać w tłómaczeniu, jeżeli jakie istnieje, trzeba czytać bardzo ostrożnie. Język książki trudny, a przedmiot taki, iż z pewnością tylko teolog fachowy może go bezpiecznie i to często po dobrym namyśle, oddawać go w obcym języku. Ale kto zna gruntowniej język angielski, a lubi zajmować się poważnymi myślami, dla tego lektura tej jedynej w swym rodzaju książki będzie bezsprzecznie prawdziwą ucztą duchową. A tem bardziej drogą, że jestto jakby testament zmarłego przedwcześnie znakomitego autora i znanego w świecie katolickim angielskim mowcy.

Ks. Feliks Hortyński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Ks. Władysław Szczepański T. J. **Cztery Ewangelie.** Wstęp. Nowy przekład. Część I. 1916, str 160.

Tuż prawie przed wybuchem wojny wydał znany i sławny polski biblista, O. Szczepański, dzieło, które długo zapewne pozostanie pomnikowem w literaturze polskiej, „Bóg-Człowiek". Znaczenie i zalety tego wydawnictwa miałem sposobność podnieść r. z. w Ateneum kapłańskiem, wychodzącem we Włocławku. W dziele tem O. Szczepański podniósł myśl, że należy pomyśleć o nowem tłumaczeniu Pisma św. na język polski, a raczej nie tyle pomyśleć, jak rękę do tego przyłożyć. „Bóg-Człowiek" miał być, jakby próbą, czy polskie społeczeństwo przyjmie na miejsce Wujka nowy przekład. Próba ta tem więcej była zachęcającą, że nasi Najprzewielebniejsi Arcypasterze gorąco dzieło O. Szczepańskiego pochwalili. To było, zdaje mi się, główną pobudką do wydania tej wspaniałej harmonii ewangelicznej. Dzieło to krytyka przyjęła bardzo przychylnie, ale naogół zaznaczono, że zasady w tłómaczeniu ewangelii poszczególnych na język polski muszą być przestrzegane ściślej, niż to ma miejsce w harmonii, gdzie bądź co bądź, ma uczony daleko więcej swobody, a raczej ma więcej okazyi do wypowiadania swych własnych opinii w szeregu zagadkowych i kwestyonowanych ustępów. Prędzej niż się można było spodziewać w tych tak trudnych dla naszego narodu czasach z niezwykłą energią i odwagą wielką O. Szczepański swój zamiar zamienił w czyn. Jak się okaże w następnej części, zawierającej tekst i komentarz ewangelii, napotkał O.

Szczepański daleko więcej trudności przy przekładzie ewangelii na język polski, niż może się spodziewał, kiedy wydawał „Boga-Człowieka". Czyn O. Szczepańskiego, jakkolwiek na jego dzieło będzie się zapatrywał nasz naród polski cały, w każdym razie jest wielki i oby P. Bóg pozwolił mu dokonać tej pięknie poczętej pracy.

Przypatrzmy się jednak najpierw tej części pierwszej, która jest właściwie tylko wprowadzeniem czytelnika w świat ewangeli. Dobrze się jednak stało, że wydano ją jako osobną książkę, bo sama dla siebie stanowi odrębną całość i może służyć znakomicie, jako podręcznik do zapoznania się z problemem żywota Chrystusa Pana. Prócz historyi epoki i ludzi występujących w ewangelii, znajdzie się tu wszystko, co jest potrzebne do zrozumienia tła, na którem się rozgrywa dramat ewangeliczny. Szkoda oczywiście, że pominięto ten rozdział; stało się to zapewne, by nie przedłużać za bardzo już tak obszernego ustępu, — zresztą mamy w języku polskim odpowiednie dzieło X. Dra Trzeciaka, „Chrystus Pan i współcześni ludzie". W każdym razie nikt inny może więcej niż O. Szczepański nie byłby powołany do napisania takiego podręcznika, bo on ma potrzebne ku temu zdolności: krótkiego, zwięzłego, a szczególnie syntetycznego i pięknego przedstawienia przedmiotu. Zalety te ujawniły się zaraz we dwóch pierwszych rozdziałach „Wstępu": „Palestyna za czasów Chrystusa" i „Stosunki religijne wśród żydów palestyńskich". Bezsprzecznie są te rozdziały napisane świetnie, umieć dobrać z całego olbrzymiego materyału to, co jest najistotniejsze, umieć to przedstawić logicznie i jasno, ze sądem o rzeczy tak wytrawnym, to trzeba mieć to przygotowanie, co O. Szczepański. Rozdział I. daje nam kwintessencye tego, co po mistrzowsku wyłożył O. Szczepański w pierwszym zeszycie swojej „Palestinologii". Postać i fizyognomia Palestyny znakomicie i zgodnie z najnowszemi badaniami została tu nakreślona, trafnie opisano i scharakteryzowano ten tak bogaty co do form geologicznych, klimatycznych i orograficznych kraj. Nie mniej pięknie i głęboko ujęto charakterystykę tej mozaiki ludów najprzeróżnorodniejszych, nadającej Palestynie Chrystusowej tak interesujący wygląd. Czytelnik ze zdziwieniem konstatuje, co za różnorodność ras i typów przedstawiała Palestyna wówczas i to mu zapewne wyjaśni niejeden sekret z historyi ewangelicznej, z ewolucyi późniejszej chrześcijaństwa, jego charakteru nawskróś uniwersalnego.

Do wytknięcia miałbym omyłkę „Karmul" na str. 7 zamiast Karmel — ja nie powiedziałbym, że ukształtowanie gór galilejskich jest wspanialsze, niż judzkich (str. 8), raczej, że one są więcej urocze. Co do

wspaniałości, to górom judzkim daleko więcej się ten przydomek należy; są wspaniałe, lecz zarazem przygniatające, ale rzecz to zapatrywania subjektywnego. Nie wiem, czy Palestyna rodzi „wspaniałe grusze", bo te, co oglądałem w ogrodach, gdzie je najstaranniej chodowano, były w porównaniu z naszemi gruszami bardzo marne (str. 14). Nie nazywałbym również Lizaniasa z Alili Lizaniasem II., bo Lizanias wspomniany w historyi Flawiusza był królem Chalcis, zatem zgoła innego kraju.

Charakterystyka religijności żydowskiej mojem zdaniem w stosunku do tego, co napisano o świątyni, synagogach, sanhedrynie itd., jest za krótka i ogólnikowa, ale jest bardzo trafna, kiedy ją nazwano powierzchowną, ciasno-narodową i drobiazgową — wielkie znaczenie tej kwestyi dla zrozumienia ewangelii nakazałoby traktować to szerzej, to samo bym powiedział o mesyanizmie u żydów, a jeszcze bardziej o pojmowaniu królestwa mesyanicznego u żydów współczesnych — należało choć słowem zaznaczyć, jak różnie na to się zapatrywał rabinizm a jak odrębnie apokaliptyka żydowska, szkoda, że więcej nie zaznaczono o wynikach pracy O. Lagrange'a w tych kwestyach. Jabym również nie powiedział, że faryzeusze i saduceusze, to sekty, wynikłe z rozłamu tak zwanych „ἀσιδαιο" epoki machabejskiej. Saduceusze zdają się być raczej partyą, powstałą na tle umiarkowańszych prądów wśród tak zwanego stronnictwa helenistycznego czasów machabejskich w każdym razie początki tych stronnictw są spowite w ciemnościach, szkoda, że nie powiedziano coś o partyi zelotów. Pro domo sua zaznaczyłbym, że należało przy opisie uczty paschalnej odróżnić tak zwany kielich pierwszy od innych części uczty paschalnej, jak wskazywałem w mej broszurze. Pascha i ostatnia wieczerza (str. 39—41), pierwszy kielich i łamanie chleba jest część nie uczty samej, ale część przedwstępnej, od której każda uczta się zaczynała. Jestto konieczne, by zrozumieć opis u św. Łukasza.

Rozdział o ewangeliach jest przedrukiem z „Boga-Człowieka" — trafne i bardzo głębokie są krótkie charakterystyki poszczególnych ewangelii, jednak na jedno trudno mi się zgodzić, na tak schematyczne rozbieranie treści ewangelicznej, jeżeli się je dzieli według lat nauczania, to mojem zdaniem jest niewłaściwem i niejednokrotnie wpływa niekorzystnie na ich zrozumienie. Ogółem ewangeliści nie uważali podział na lata za coś zasadniczego, z czego też nie można wyłuszczyć ich myśli przewodniej. Jestto konieczne w harmonii, ale w komentarzu i tłumaczeniu trzeba od tego abstrahować.

Bardzo dobrze się stało, że na końcu dodano niektóre kwestyę, które należało dłużej traktować, jak genealogię, chronologię i kwestyę ostatniej wieczerzy, a raczej dnia, w którym ją odbyto. Naturalnie, że miłem mi jest skonstatować, że O. Szczepański przychyla się do tłumaczenia mojego „słowa πρῶτος " w wyrażeniu: „primo die azymorum" Mateusza i Marka, a także że mu nadał ten sam sens u Luc. II. Tak a nie inaczej należy tłumaczyć ten wyraz, bo tak go rozumiał już Jan ewangelista, jakto poznał św. Chryzostom. Kwestya czy ostatnia wieczerza była zarazem ucztą paschalną, to już rzecz drugorzędna, w każdym razie jednak musimy przyjąć, że według IV ewangelii paschę pożywali żydzi dopiero w dniu śmierci Chrystusowej, — gdyż Jan to jasno i wyraźnie mówi. Pytanie to O. Szczepański rozbiera bardzo objektywnie i rzeczowo.

Jeżeli się ośmieliłem, co do niektórych twierdzeń Czc. autora, wygłosić odmienne zapatrywanie, nie myślałem w niczem umniejszyć powagi i znaczenia tej znakomitej ze wszech miar książki, napisanej pięknie i zarazem nadzwyczaj przejrzyście. W nauce, jak wszędzie, dużo waży indywidualność każdego z nas. Jedno tylko mam jeszcze do powiedzenia, że nikt u nas w Polsce nie jest więcej powołanym do przyłożenia ręki do nowego przekładu, jak O. Szczepański. Zakon OO. Jezuitów przez świetny przekład N. Testamentu O. Wujka ma już swoją wyrobioną u nas tradycyę — a nadto stanowisko O. Szczepańskiego w największej katolickiej Akademii biblijnej, oraz długoletnie jego prace wytrawne nad Pismem św., do tego szczególniej go upoważnia. — Oby te coraz częściej ukazujące się nowe przekłady utorowały drogę zrozumieniu, że czas najwyższy, byśmy mieli nowy przekład Biblii i by one się wciąż mnożyły. Kraje zachodnie niemal z każdem pokoleniem wydają nowe tłumaczenia. Biblia, co prawda, jest zawsze ta sama, ale jej rozumienie z wieku na wiek coraz bardziej się pogłębia — język również z każdem pokoleniem nowym ulega zmianom, jak każda rzecz żywa — zatem z każdem nowem pokoleniem okazuje się potrzeba nowego przekładu. Oczywiście do użytku kościelnego zawsze miarodajną będzie Vulgata i tłumaczenia z niej dokonywane, ale do lektury prywatnej trzeba czerpać coraz głębiej z tekstów oryginalnych, z których jak ze żywego źródła wciąż nowe płyną strumienie łaski i prawdy.

W tak świetnie napisanym Wstępie słuszna jest nadzieja, że tłumaczenie i komentarz, przyczem zresztą O. Szczepański nie chciał opie-

rać się na swojem własnem tylko zdaniu, odpowiedzą taksamo znakomicie celowi.

Ks. Dr. Wilhelm Michalski C. M.

Korespondencya literacka Kajetana Koźmiana z Franciszkiem Wężykiem (1845—1856), zebrał, objaśnił i wstępem opatrzył *Stanisław Tomkowicz* (Osobne odbicie z „Archiwum dla hist., lit. i ośw"). Kraków 1915. Nakładem Akademii Umiejętności. 8-ka duża, kt. nlb. 1, str. 276.

W czasie, objętym ogłoszoną przez dra Tomkowicza korespondencyą, przebrzmiały już były od dawna odgłosy walki klasyków z romantykami. Niedoczekawszy się zwycięstwa, odszedł smutny z tego świata cały zastęp starych klasyków. Dwóch tylko przeżyło ich wszystkich, dosięgnąwszy późnego wieku: Koźmian i Wężyk. Osamotnieni, zniechęceni brakiem oddźwięku, przygnębieni klęskami politycznemi narodu, dwaj ostatni Mohikanie klasycyzmu warszawskiego po upadku powstania listopadowego usunęli się na zawsze z widowni stołecznej. Wprawdzie ani jeden ani drugi liry nie strzaskał, pióra nie złamał; owszem obaj szukali ulgi w ożywionej a pełnej gorącego patryotyzmu twórczości poetyckiej, której płodów nie ogłaszali, czując, że przestali rozumieć swoje społeczeństwo i nawzajem nie będą przez nie zrozumiani.

Mimo różnicy wieku, na zbliżenie ich wzajemne do siebie wpływały zarówno: pokrewieństwo zapatrywań na świat, smaku literackiego, skłonności i usposobień, jak same nawet koleje życia „podobieństwo losów", o którem pisze w pamiętnikach Wężyk. A jednak dziwną losów koleją przez długich piętnaście lat po powstaniu listopadowem nie utrzymywali ze sobą stosunków. Dopiero w r. 1845 nastąpiło przełamanie lodów, a od r. 1851 stała wymiana listów raz na miesiąc umożliwiła wzajemną wymianę myśli.

Bywa to znanym objawem, że fizyczne oddalenie wywołuje duchowe i uczuciowe zbliżenie się, zacieśnia węzły przyjaźni i zaufania, którym nie stają na przeszkodzie niknące z oddali ludzkie ułomności, różnice przyzwyczajeń, falowania humoru i t. p. okoliczności, w gruncie rzeczy uboczne, a jednak często trudne do zniesienia, przykre i odsuwające ludzi od siebie. Potęguje się sympatya, uwolniona od szumowin drobnych niedoskonałości i przypadłości, tęsknota idealizuje obraz dalekiego przyjaciela, wytwarza stosunek jakiś sentymentalny czystej duchowej wspólności. Ludzie, podobnie jak dwa namagnety-

zowane ciała, z daleka czują się nieraz przyciągani do siebie, choć potem, gdy się wreszcie zetkną, obojętnieją i odsuwają się.

Niewiadomo, czy to ostatnie byłoby nastąpiło, bo dwaj starcy nie mieli się już na tym świecie spotkać oko w oko. Późny wiek i choroba wstrzymywały obu od długiej jazdy powozem. Nie pozostawało tedy nic innego, jak poprzestać na listach. Biegły też w jedną i drugą stronę pisma, nie tylko częste, ale obszerne, wyczerpujące, długie, jakich dziś już ludzie nie pisują. Można powiedzieć, że były one specyalnością epoki około połowy XIX wieku. W wiekach dawnych pisywano także nieraz długie listy, ale ciągłe i częste stosunki pisemne uniemożliwiał brak dobrej komunikacyi. Dziś, gorączkowość naszego życia zabiła dłuższe korespondencye, zwłaszcza w miarę rozpowszechnienia się telegrafu, telefonu, kolei żelaznych i automobilizmu.

Ogłoszona przez dra Tomkowicza korespondencya obejmuje ogółem 111 listów, przeważnie bardzo obszernych, jakkolwiek skrócono je opuszczeniem ustępów, tyczących się szczegółów rodzinnych, osobistych, majątkowych, oraz formułkowych wstępów i zakończeń, wreszcie dołączonych do listów poezyi dwu przyjaciół-pisarzy, które są znane z późniejszych wydań ich dzieł.

Pierwsze listy obu klasyków-korespondentów są jakieś sztywne, ceremonialne — choć odrazu przebija się w nich żywa nuta sympatyi i dążenie do większego zbliżenia. Stopniowo początkowa etykietalność ustępuje, listy stają się poufalsze, tylko forma ich pozostała do końca nieco uroczysta. Zresztą ta pozorna ceremonialność, ten styl nieco konwencyonalny, wydający się nam dziś niemal pompatycznym, nie przeszkadzał Koźmianowi i Wężykowi pisać swobodnie i szczerze o wszystkiem, co obu zajmowało i obchodziło. Obaj z młodości zaprawieni byli do spraw publicznych, obaj mieli żyłkę pisarską i poetyczną. Więc załatwiwszy się zwykle na początku listu z wiadomościami o sobie, przechodzili zaraz do rzeczy szerszego znaczenia. Pisali o polityce krajowej i europejskiej, o stosunkach społecznych i ekonomicznych, ale najwięcej pisali o literaturze, którą się żywo zajmowali .

Choć stali zdala od spraw życia czynnego, nie zasklepiali się bynajmniej w zakresie życia rodzinnego i w granicach własnej twórczości. Każdy objaw współczesnego życia literackiego poruszał ich żywo i zaraz udzielali sobie wrażeń i spostrzeżeń o nim. Obaj byli surowymi w sądach o literaturze współczesnej, ale w nich różnili się nieraz znacznie. Koźmian, podobny do posągu z jednej sztuki ulanego, z natury bardzo stanowczy, niemal zacięty w zdaniu, wskutek odosobnienia u-

twierdzał się w dawnych zapatrywaniach, został do śmierci nieprzejednanym klasykiem, wierny hasłu:

„Lepiej być głupcem z Wirgilim, Horacym,
Niż geniuszem tych czasów"...

Potępiał w czambuł wszystko i wszystkich — z małymi tylko wyjątkami: miał np. słabość do Zygmunta Krasińskiego, który mu imponował wykształceniem, tudzież filozoficzną głębokością. Ale do Mickiewicza nic go nie zdołało przekonać i nawrócić. W listach swoich potępia „Wallenroda" ze stanowiska moralnego, wyznaje, że autora jego „nienawidzi jako kaziciela młodzieży", nazywa go „Genzerykiem naszej literatury". Nie znajduje u niego uznania nawet wspaniała epopeja szlachecka. Jeżeli tak ostro sądził Mickiewicza, cóż się dziwić, że nie był względniejszym dla pisarzy mniejszej miary. Znajdujemy w listach jego drwiny z „Maryi" Malczewskiego, zaliczonej lekceważąco również jak utwory Norwida do „wierszydeł". Bardzo mało cenił poezye Goszczyńskiego, nie przyznając wogóle zalet całej literaturze współczesnej. Powieściopisarzy z czasów około 1850 r. potępia bez miłosierdzia, nazywając ich stale „bajdopisarzami", a dzieła ich prostą „gadaniną" bez wartości. Autorowie powieści są to dla niego przeważnie „zarobkowicze", fabrykujący powieści dla księgarzy lub z dnia na dzień dla wydawców gazet, poprostu dla zysku tylko, bo ten rodzaj popłaca. Piętnuje przy każdej sposobności „głupstwo, zarozumiałość, próżność i pychę mistrzów szkoły literackich banialuk i bredni". Literatura nasza to dla niego raczej „barbarzyństwo literackie"; zachęca nawet Wężyka, by „wychłostał brednie powiastkowe i chwalców i chwalonych". Dawniej pocieszał się, że szał minie. Pod koniec długiego żywota stracił tę nadzieję, więc woła rozpaczliwie: „Otóż to potomność, o której wyrok dbali, pracowaliśmy i teraz dopiero nad grobem poznajemy prawdę słów Ekklezyasty: „Vanitas vanitatum".

Wężyk był od Koźmiana młodszy nie tylko latami, ale całem usposobieniem i zapatrywaniami. Raziły go wprawdzie wybryki nowej szkoły przeciw zdrowemu sensowi i regułom smaku, zaniedbania formy i języka, — ale mimo to miał dla młodych wiele wyrozumienia, uznawał dobre strony w ich utworach, nawet ulegał niekiedy ich wpływowi. Dość wymienić poemacik liryczny „Smutno mi, Panie", który nastrojem, a po części też formą tak dziwnie schodzi się z hymnem Słowackiego „Smutno mi, Boże". Być może, iż na tę wyrozumiałość

dla prądów nowatorskich wpłynęło otoczenie Wężyka, który stykał się w Krakowie ze światem literackim. Zresztą z samego już usposobienia nie przysięgał nigdy ślepo na teorye Ludwika Osińskiego, rozumiejąc, że poza klasycyzmem jest jeszcze miejsce dla prawdziwej poezyi.

Odmienne stanowisko Wężyka występuje przedewszystkiem w ocenie Mickiewicza. Już w r. 1831 po przeczytaniu „Konrada Wallenroda" zwrócił był do jego twórcy płomienistą odezwę poetyczną, w której wołał:

„Słuchajcie bacznie...
Władca ptaków, orzeł opiewa!"

i unosił się bez zastrzeżeń nad pięknościami „Grażyny", części II i IV „Dziadów" i „Świtezi". Dopiero część III „Dziadów" ostudziła pierwotny zapał Wężyka, zwłaszcza przez „Improwizacyę", w której widzi pychę, bluźnierstwo. Niemniej jednak uznaje poetyckie zdolności autora, a w liście z końca 1854 r. stwierdza bez ogródki, że z pośród zastępu współczesnych poetów polskich jego „imię na wierzch wypływa, imię znakomite i świetne, znane od swoich i obcych", nazywając resztę pisarzy bez ceremonii „motłochem".

Ten sąd, nieco sumaryczny, nie przeszkadza mu w dalszym ciągu korespondencyi oddać sprawiedliwość kilku jeszcze innym poetom młodszego pokolenia i nowszego kierunku. I tak niejednokrotnie mówi nawet z uwielbieniem, o Krasińskim, nazywając go „gwiazdą wyższego rzędu", wyraża pewność, że „Psalmy przyszłości" mieć będą „zawsze oddźwięk w sercach".

O Słowackim nie napotykamy tymczasem w całej korespondencyi obu przyjaciół prawie ani wzmianki.

Mniej znowu zrozumiałym jest — co prawda — krótkotrwały zachwyt Wężyka nad talentem Pola, w którego utworach podziwia nie tylko zacność myśli i styl, ale w jednem miejscu posuwa się aż do entuzyastycznej pochwały, że „myśli jego, to iskry z niebios, a dźwięk wyrazów — muzyka", podczas, gdy trzeźwy Koźmian z okazyi „Mohorta" okazuje chłód graniczący z lekceważeniem dla jego autora. W latach późniejszych zachwyt Wężyka zbliżył się do poglądu, dziś powszechnie przyjętego. Podczas, gdy Koźmian pomiata w czambuł wszystkimi powieściopisarzami współczesnymi, Wężyk broni np. Kaczkowskiego, a dość stanowczo wyraża uznanie dla niezwykłych zdol-

ności Korzeniowskiego. Natomiast bardzo surowo sądzi Kraszewskiego i Czajkowskiego. Natomiast zupełna niemal zgoda panuje między dwoma korespondentami co do opinii o Deotymie. I nie dziw, że wzrokiem zmąconym łzą rozrzewnienia patrzyli na polską Safonę, ale w tym wypadku powodowali się względami osobistej natury.

Choć nie tak szczegółowo i wyczerpująco, niemniej żywo interesowali się wogóle całym współczesnym ruchem piśmienniczym w Polsce. Udzielali sobie nawzajem spostrzeżeń o długim szeregu pisarzy; spotykamy dalej w ich listach przyczynki do charakterystyki różnych wybitnych osobistości z pierwszej połowy XIX wieku, żeby tylko wymienić: Potockiego Stanisława, jenerała Krasińskiego, Chłopickiego, Skrzyneckiego, Cezarego Platera, Adama Potockiego, Helcla, ks. Antoniewicza, że pominiemy wielu. wielu innych.

Jakkolwiek obaj biadają nad upadkiem literatury, społeczeństwa, narodu i świata, przecież pod względem pesymizmu Koźmian przewyższa o wiele Wężyka, jaśniej na świat patrzącego. Pomimo to w ich zwierzeniach poufnych znajdujemy nie tylko akt oskarżenia, ale też zarazem wyznanie wiary. Mogą one przyczynić się niemało do zrozumienia nie tyle sądzonych romantyków, ile sądzących klasyków naszych, których Koźmian i Wężyk są niepoślednimi przedstawicielami. Są to jakoby pamiętniki, nieprzeznaczone do druku, a pisane wspólnie przez dwóch zbliżonych do siebie ludzi, dwie inteligencye pokrewne i podobne choć nie całkiem jednako na świat patrzące. Obraz na podstawie takiego dyalogu powstały w umyśle czytelnika będzie rodzajem stereogramu, w którym zestawienie dwóch zdjęć fotograficznych, wziętych z dwóch punktów różnych, ale niezbyt od siebie odległych, wywołuje plastykę efektu.

Ogłoszeniem omówionej korespondencyi dał dr. Tomkowicz historykom literatury do rąk cenny materyał, a zarazem szerszym kołom publiczności zajmującą książkę do czytania. Zwłaszcza wstęp obszerny do korespondencyi, napisany barwnie, powinien stanowić dla wydawców wszelkich materyałów historycznych wzór godny doścignięcia.

Dr. fil. Stanisław Zdziarski

Z piśmiennictw obcych.

Bismarcks Erbe von *Hans Delbrück*. 1915. Verlag von Ullstein et Co., Berlin—Wien, in 16⁰. Str. 221.

Rzecz, napisana pod względem literackim — wyśmienicie, pod względem treści — bogato, a co się tyczy tendencyi — gorący hymn pochwalny „żelaznego księcia". Inaczej nie mógł oczywiście pisać o nim pruski historyograf i profesor berlińskiego uniwersytetu. My, Polacy, posiadamy od dawna wyrobione zdanie o Bismarcku, żadna więc jego apologia nie może zmienić na tym punkcie polskich zapatrywań, sądzimy jednak, że dziełko prof. Delbrücka powinien przeczytać każdy z nas, interesujący się stosunkiem Polaków do Niemców.

Są ku temu dwa powody.

Po pierwsze, ponieważ „Bismarcks Erbe" jest rodzajem króciutkiego a treściwego „compendium" historyi Prus i Rzeszy niemieckiej od r. 1860 aż do wybuchu wojny światowej, u nas zaś znajomości historyi czasów najnowszych jest wogóle bardzo mało i po drugie dlatego, że prof. Delbrück stanął w swej pracy na stanowisku względnie bezstronnem wobec Polaków.

Dziełko prof. Delbrücka czyta się z zajęciem, podobnem do tego, jak gdyby się słuchało doskonałego w formie wykładu z katedry uniwersyteckiej; jest się do pewnego stopnia pod jego urokiem. Mimo tego nasuwają się uważnemu czytelnikowi — ze ściśle rzeczowego punktu widzenia — znaczne wątpliwości co do oceny czynów Bismarcka i ich pobudek przez autora. Ów „wielki" człowiek, nawet w przedstawieniu niemieckiego uczonego, okazuje się często bardzo „małym" człowiekiem, dla którego etyka w jakiejkolwiek formie nie istniała.

Z omawianej pracy największy dla nas interes przedstawia oczywiście ustęp, poświęcony sprawie polskiej w Rzeszy niemieckiej, względnie stosunku Bismarcka do niej. Prof. Delbrück w ten sposób streszcza swe zapatrywania w tej sprawie, zaznaczywszy poprzednio, że pierwszy kanclerz niemiecki „nie kierował się względem Polaków nienawiścią doktrynerską, lecz względami praktycznej polityki, zmieniającej się w miarę okoliczności".

„Rząd niemiecki, któryby się spodziewał wojny z Rosyą, lub ją przygotowywał, starałby się przedewszystkiem usposobić dla siebie przyjaźnie Polaków. I, jako najlepszy dowód, że Niemcy nie chciały

wojny światowej, może służyć to właśnie, że zastosowywano względem Polaków coraz to ostrzejsze środki, aż do ustawy o wywłaszczeniu. Nie było to dowodem rozumnego patrzenia w przyszłość... Wielu ludzi jest tego zdania, że przebieg wojny na wschodzie byłby dla nas korzystniejszym o wiele, gdyby Polacy, rosyjscy poddani, zamiast zająć stanowisko wyczekujące wobec zwalczających się dwóch ich wrogów, byli stanęli od początku po naszej stronie. Bądź, jak bądź, Bismark nie ponosi winy za ten, prawdopodobnie największy błąd polityki prusko-niemieckiej w ostatnich dziesiątkach lat. Byłoby grubem wprowadzaniem w błąd niemieckiej opinii publicznej, gdyby ciągle w nią wmawiano uprawianie takiej polityki, uzasadniając to tem, że chodzi tu o urzeczywistnienie myśli bismarkowskiej" (str. 154).

Dużo trafnych uwag zawiera także ustęp, poświęcony polityce kolonialnej Niemiec i historyi jej rozwoju.

Pracę swą kończy prof. Delbrück temi słowy:

„Spuścizna po Bismarku została przechowaną, ponieważ utrzymano pokój przez 24 lat po jego ustąpieniu. Ale dopiero wtedy jego wskazania zostały wypełnione, gdy — skoro pokój nie dał się dłużej utrzymać — wystąpiono do walki, podobnie, jak on, z odwagą i pewnością zwycięstwa, aby bronić swego istnienia i aby stać się obok innych mocarstw światowych także mocarstwem światowem".

Z pracy prof. Delbrücka odnosi się jednak wrażenie, że tylko druga część powyższego zdania odpowiada rzeczywistości. Wynikałoby to również z opinii, jaką wyraża co do najważniejszego warunku, który, jego zdaniem, będą musiały Niemcy postawić przy zawieraniu pokoju, a warunkiem tym ma być „stworzenie wielkiego państwa kolonialnego niemieckich Indyj".

J. Trepka.

Die Welt des Islam von *Friedrich Delitzsch*. 1916 Verlag Ullstein et Co. Berlin—Wien. Str. 189, 8 ryein, in 16⁰.

Przedstawić w niewielkiej broszurze całokształt wierzeń i kultury, połączonej z islamem, jak to autor zamierzył, jest przedsięwzięciem, niemożliwem do wykonania. Toteż broszura jego posiada charakter raczej ulotnego pisma agitacyjnego na rzecz wyznawań koronu, niż poważnej pracy popularno-naukowej. A że napisał ją Niemiec-protestant, więc „comme de raison" przedstawia w niesłychanie pochlebnem świetle stosunki świata muzułmańskiego — co jest teraz wskazanem przez względy polityczne — oraz wykazuje zupełną nieświadomość

stosunku islamu do chrystyanizmu, względnie nieukrywaną nienawiść autora do tegoż chrystyanizmu.

Poza ogólnikowemi wiadomościami, jakie w każdym podręczniku historyi znaleźć można, o Mahomecie, o kalifacie, o historyi Turków, o poezyi wschodniej, o sztuce etc., spotykamy w broszurce p. Delitzscha tylko dwa rozdziały oryginalniej opracowane, a mianowicie: „Obyczaje i prawo“ i „Koran — Muzułmanin i chrześcijanin“.

Jakiemi jednak źródłami posługuje się autor, porównywując mahometan do chrześcijan, wystarczy powiedzieć, że powołuje się dla poparcia swych twierdzeń na dziełko niejakiego Marin'a (str. 102), napisane w XVIII-tym wieku w duchu encyklopedystów, a ziejące nienawiścią do chrystyanizmu i malującego Saracenów na idylliczny wolterowski sposób. Metoda zaś, jaką chce usprawiedliwić Mahometa w jego wielożeństwie, nie wytrzymuje wcale krytyki.

W drugim z wymienionych rozdziałów stara się autor przedstawić koran, jako arcydzieło pod względem treści i stylu. Przytem przytacza — niewiadomo czyje — zdanie, które ma tego dowodzić: „Gdyby porozumieli się ludzie z dżynami (złymi duchami), aby stworzyć coś podobnego do koranu, to nie wykonają tego, choćby sobie nawzajem dopomagali“ (str. 126). W dalszym zaś ciągu, nawiązując do potępiającego sądu o koranie, jaki wydał swego czasu Gladstone, powiada dosłownie: „A czyż pomimo Gladstone'a nie pozostanie faktem słusznie stwierdzonym, że dla wielu półdzikich jeszcze narodów Afryki i Azyi islam jest religią, łatwiejszą do pojęcia i wychowawczo skuteczniejszą, aniżeli każda inna:“ (str. 129).

Tak pisać może albo zupełny ignorant, albo człowiek złej wiary. A gdzież są wyniki tysięcy misyonarzy katolickich na „czarnym kontynencie“, niosących światło prawdziwej wiary i zwalczających tam niewolnictwo. I jeżeli p. Delitzsch uznać ich nie chce, to czemu jako protestant, zapoznaje usiłowania takich ludzi, jak np. Livingstone, którzy niosą Biblię pomiędzy czarnych?

Ale czegóż można się spodziewać po autorze osławionej książki „Bibel und Babel“, porównywującym obrzędy „Kościoła grecko-katolickiego“ do fetyszyzmu (str. 131), a o kilkanaście wierszy wyżej wyrażającym się w ten sposób: „Co się tyczy wyższości wiary chrześcijańskiej i postępowania chrześcijan, to stało się dotąd bardzo mało, aby coś ź tego można było stawić przed oczy muzułmanom“.

Gdyby omawiana broszurka ukazała się była za czasów Abdul Hamida, to byłoby pewnem, że jej autor został dobrze zapłacony złotem

tureckiem — co praktykowało się często w publicystyce europejskiej. Dziś — powtarzamy to z naciskiem — podyktować ją mogły chyba tylko względy taktyki politycznej.

J. Trepka.

Fr. W. Foerster: **Die deutsche Jugend und der Weltkrieg.** 3 verm. Auflage (Lipsk, 1916).

W r. 1915 wyszła pod tym tytułem niewielka broszura, złożona z kilku przemówień znakomitego niemieckiego myśliciela i pisarza, zwróconych do młodzieży wszelkich wyznań i stronnictw.

W jesieni tegoż roku wydrukował „Przegląd powszechny" obszerny artykuł prof. Krotoskiego, omawiający przewodnie myśli tej pracy Foerstera. W roku ubiegłym pojawiło się na półkach księgarskich jej spolszczenie, wydane we Lwowie u Połonieckiego.

Obecnie mamy przed sobą nowe wydanie niemieckie, pomnożone o siedem rozdziałów. Treść ich, przeważnie natury polemicznej, nie nadaje się skutkiem tego do całkowitego przyswojenia jej naszemu społeczeństwu, dla którego niejedna z poruszonych tam kwestyi nie byłaby dosyć blizką. Ale to, co w każdem z pism Foerstera jest pierwiastkiem o ogólno-ludzkiej, a wysoce etycznej wartości, zasługuje, by je choć pobieżnie rozebrać i ocenić.

W Liście otwartym do senatora d'Estournelles de Constant wypowiada Foerster zdanie, że jedyną przyczyną kataklizmu dziejowego, jakim jest obecna wojna, jest ogólny stan świata, wynikły ze wspólnych win wszystkich t. zw. kulturalnych narodów, a dający się usunąć tylko przez wspólną pracę dla stworzenia nowego, europejskiego sumienia. Tylko takie odnowione, oczyszczone sumienie zdoła pokonać zbrojny pokój — nie dokażą tego same sądy rozjemcze, układy i kongresy.

Kto tu bez winy, niechaj rzuci kamieniem potępienia. Co czynić, aby zmienić stan rzeczy, którego następstwem gorączkowy wyścig w zbrojeniu się?

Dokona tego tylko i jedynie podniesienie poziomu etycznego u wszystkich narodów i zastosowana doń organizacya społeczna, doprowadzająca do założenia podwalin pod trwałe, pokojowe współżycie narodów.

Jak długo płonąć będzie jeszcze europejski ogień czyścowy, któż zdoła przewidzieć?

Spełniajmy wszyscy naszą powinność i przygotowujmy w du-

szach naszych siły odradzające i twórcze dla przyszłego, tak gorąco upragnionego pokoju.

*

W jednym z rozdziałów, zatytułowanym „Średnioeuropejska polityka okopów“ zwalcza Foerster poglądy, wypowiedziane w książce Fr. Naumanna p. t. „Europa środkowa“ (Mitteleuropa) dążące do zmechanizowania myśli politycznej, a przygotowujące tem samem paliwo do następnej wojny światowej, działając bezwiednie pod natchnieniem jej złego ducha. Wedle Foerstera, głównym i zasadniczym błędem w wewnętrznej i zewnętrznej polityce nowożytnych narodów jest okoliczność, że „dążono do rozwiązania wysoce skomplikowanych zagadnień za pomocą grubych, czysto mechanicznych metod. Wynikiem takiego sposobu działania jest owładnięcie wielkości przez małość, wywyższenie się złota ponad duchowe wartości, zastąpienie miłości nienawiścią, uczuć społecznych zazdrością“.

Foerster nie pomawia autora o złą wolę, lecz żąda, by zasada federacyi, która jest myślą przewodnią jego książki, nie zacieśniała się w militaryźmie, aby związki i przymierza „miały swoje źródło w głębszych moralnych pierwiastkach, a nie w przypadkowem ułożeniu się potrzeb, które z dnia na dzień zmienić się może.

Jeżeli przyszły pokój nie ma być jeno zawieszeniem broni przed następną wojną światową, która pogrążyłaby ludy Europy w bezsilności i barbarzyństwie, musimy już dziś wytężyć myśl i wolę w kierunku wzajemnego uzupełniania się narodów przez zdrowe organizowanie ich poszczególnych darów i właściwości.

Niewątpliwie, po sztucznym rozdziale narodów, jaki spowodowała wojna, ozwie się po niej, silniej niż kiedykolwiek, potrzeba wzajemnego zbliżenia się i wymiany.

Nasze ludzkie zagadnienia są tak skomplikowane, a my wzajem tak ze sobą związani, że zagadnień tych nie zdołamy nigdy rozwikłać samą tylko siłą, lecz zasadniczem uznaniem praw i dobrą wolą, zmierzającą do ugody i porozumienia się“.

*

Rozdział zatytułowany: „Chrystus organizator“, zaczyna Foerster od słów ewangelicznych: „Kto nie zbiera ze mną, ten rozprasza“. Podnosząc organizacyjną technikę wojenną, zaznacza jednak, że nie

rozwiązuje ona kulturalnych zagadnień organizacyi, która o ile trudną jest do przeprowadzenia pod względem czysto technicznym, o tyle prostą jest w znaczeniu psychologicznem. „Nacisk zewnętrzny, konieczność walki o byt, usuwają na dalszy plan poszczególne cele jednostek i korporacyi". Sprzeczność poszczególnych interesów i poglądów zaznaczała się przed wojną w sposób wprost zastraszający — „a czemże ona była, jeśli nie zanikiem wyższej, społecznej siły organizatorskiej?...

Organizowaliśmy się zanadto czysto zewnętrznie, technicznie, a zbyt mało duchowo i etycznie. Wojna światowa jest tylko wyrazem tej sprzeczności pomiędzy zewnętrznem a wewnętrznem uspołecznieniem; jest ona nietylko wybuchem międzynarodowych nienawiści, ale wyrazem ogólnego zdziczenia uczuć w stosunku człowieka do człowieka". Nienawistna walka o byt nie jest wytworem czasów najnowszych, ale komplikujące się coraz więcej stosunki wywołują coraz silniejsze tarcia i konflikty, pomimo wzrostu cywilizacyi i środków komunikacyi, która jest jednak tylko „komunikacyą szyn żelaznych i drutów telegraficznych, a nie obcowaniem dusz...

Przeczuwamy dzisiaj, czem była niegdyś wieża Babel, była to cywilizacya bez kultury, potęga techniczna bez miłości".

Taki stan rzeczy panował w świecie przed wybuchem wojny; na każdem polu zawiść i wrogie uczucia, faryzeizm i intrygi.

„Staliśmy naprzeciw siebie w nieprzyjacielskich okopach, choć wojny jeszcze nie było — a nasza t. zw. cywilizacya pozostanie i nadal zakapturzoną walką pozycyjną, jeżeli w duszach naszych nie zbudzi się do życia palący wstyd, jeśli nie zmartwychwstanie miłość... Ewangelia św. Jana mówi, iż „światłość w ciemnościach świeci...". Dziś, w strasznym tym i krwawym chaosie widzimy, że tylko Chrystus jest tym organizatorem, który stworzy nowy ład i utrwali pokój. „Bez Niego każda organizacya jest tylko nową wieżą Babel, mechanicznym zlepkiem. ale nie prawdziwem, ludzkiem zjednoczeniem".

Potrzeba siły wyższej, potęgi, jaka tkwi w dobroci, potrzeba ogromu miłości, którą Chrystus zlewa na świat, by świat ten mógł się odbudować, przeistoczyć, odrodzić.

Trzeba, by szeroko w tym świecie zapanowała chrześcijańska myśl i chrześcijańska „caritas", trzeba, by zawładnęła dziedziną zagadnień politycznych, społecznych, ekonomicznych. Ludzkość, którą nienawiść wpędziła w dzisiejsze położenie rozpaczliwe, dojrzałą jest do zrozumienia konieczności zasadniczej zmiany i przewartościowania rządzących nią kierunków myśli. „Chrystus niech się stanie jej organizato-

rem. Biada nam, gdybyśmy uwielbiali zewnętrzną siłę, miast dobroci, karności i szlachetności serca, które pozwolą nam uznać prawa drugich, bo panować, to znaczy służyć, łączyć, pomagać do rozwoju. Tylko z takiego społecznego ducha, a nie z samolubstwa i ubóstwienia siły wyrasta prawdziwy, twórczy postęp i żywotność".

*

Ostatni rozdział pracy Foerstera poświęconym jest „Sprawie własnej". Chodzi tu o wyświetlenie zarzutów, jakie spadły na Foerstera za jego artykuł p. t. „Dzieło Bismarka w oświetleniu krytyki", oraz za jego mowę w Wiedniu w auli uniwersytetu w r. 1913, której zasadnicze poglądy powtórzył i rozwinął w książce p. t. „Austryacki problem".

Jakkolwiek polemika ta rozgrywa się na tle niemieckich stosunków, to, co stanowi w niej ogólny psychologiczny pierwiastek, godnem jest, by mu poświęcić słów parę.

Przemawiając do niemieckiej młodzieży w Wiedniu, uwydatnił Foerster germańsko-słowiańskie porozumienie jako postulat zasadniczy, wykazując niebezpieczeństwo propagandy niemieckiej, która w upojeniu swej siły zapoznaje słuszne uczucia i prawa innych narodowości, wchodzących w skład monarchii austro-węgierskiej. Te poglądy, jak również poddanie krytyce polityki Bismarka, wywołały burzę nienawiści i zjadliwych ataków. W artykule p. t. „We własnej sprawie" odpowiada na nie Foerster z tym spokojem, jaki daje przeświadczenie, że służy się prawdzie i sprawiedliwości.

„Miarę wielkości narodu nie stanowi posiadanie wielkiej armii, która zdolną jest do pokonania nieprzyjaciół, wielkim jest on wtedy, gdy stawia sobie wielkie cele, a dążenie do ich zrealizowania rodzi prawdziwie wielkie czyny.

Prawo narodów jest sankcyą i utrwaleniem pojęcia prawa wogóle, tak samo jak anarchia w stosunkach międzynarodowych osłabia i podkopuje moc wewnętrznych stosunków prawnych". A dalej: „Silna indywidualność nie wyrasta z ciągłego mówienia o sobie i zajmowania się sobą, lecz właśnie przeciwnie, tak samo nie utrwala się miłość własnego narodu przez bezkrytyczne jego ubóstwienie... Dlatego precz z bałwochwalstwem politycznej przeszłości, jeżeli chcemy wyratować Europę z tej krwawej toni... Świętym naszym obowiązkiem jest stworzyć moralną atmosferę, w której pokój zrodzić się i rozwijać może. Inaczej, spełniłyby się słowa Japończyka, który powiedział: „Czekajmy spokojnie, aż Europa skończy swoje harakiri".

Zagadnienie polityki i moralności zajmowało zawsze Foerstera i stanowiło treść licznych jego pism i przemówień, które wyrobiły mu opinię pierwszorzędnego myśliciela u międzynarodowego, poważnego ogółu. Wystąpienia jego w wyż wymienionych kwestyach ściągnęły na niego w Niemczech zarzut, że podburza przeciw sobie plemiona niemieckie, stanowiące narodową i państwową całość.

Tak o tem mówi Foerster: „Nikt nie ma prawa pomawiać mnie o brak miłości ojczyzny dlatego, że inne mam pojęcie o tem, co stanowi jej zbawienie i wielkość. Miłość mocniejszą jest nad śmierć, ale większą jest jeszcze ta miłość, którą spotyka zarzut, iż wrogiem jest tego, co miłuje, dlatego, że wypowiada bolesne prawdy".

Takie zarzuty posypały się na Foerstera ze strony niemieckich uniwersytetów i prasy. Natomiast psychologicznie zajmującem jest, iż otrzymał on z linii bojowej mnogie listy, pełne uznania. Przytacza niektóre ustępy: „Tak (pisze pewien oficer) muszą powstać ludzie, którzy na cały świat wołać będą, że Europa nie znajdzie wyjścia z tego krwawego szału, jeżeli nie wytworzy sobie nowego sposobu myślenia, jeżeli nie zapyta siebie: Co było fałszem i złem w życiu Europy, co stało się powodem tej olbrzymiej krzywdy dla ludzkości?" A inny list z okopów tak o tem mówi: „Jakiż cel miałyby nasze znoje i cierpienia, gdyby nie myśl, że wyjdzie z nich świat nowy i oczyszczony? Ale ten nowy porządek rzeczy nie spadnie nam z nieba, musimy go przygotować przez własne, osobiste oczyszczenie się i podniesienie. Musimy wysyłać dobre, kojące słowa, jak gołębice z gałązką oliwną, z jednego kraju do drugiego. To uszlachetnienie międzynarodowych nastrojów, ta gotowość do samokrytycyzmu o wiele są ważniejsze od prób rokowań pokojowych. Trzeba stworzyć dla nich właściwą moralną atmosferę, na pokój musimy sobie zasłużyć".

A oto jeszcze inny list: „Pragnę z całej duszy, by słowa Pańskie znalazły oddźwięk w całej Europie, by hasło wewnętrznej przemiany odbiło się w sercach prawdziwych patryotów, aż stworzy się atmosfera, w której trwały pokój jedynie zrodzić się i rozwijać może. Oto cel, dla którego nie żal, iż oddało życie tylu drogich towarzyszy, nie żal będzie oddać życie własne".

I znowu ustęp z listu: „Gdybyśmy nie mieli niewzruszonej wiary, iż musi nadejść czas, gdy ludzkość rozwijać się będzie bez możliwości powrotu obecnych okropności, nie mielibyśmy siły je znosić... Życzę tym, którzy od spokojnego zielonego stolika, dalecy od strasznych

scen wojny, śpiewają pienia na jej cześć, by przeżyli tylko jedną taką noc, jakie są na froncie naszym udziałem".

Jeszcze inne słowa: „Wobec przeżywanych teraz okropności wojny nasuwa się z konieczności pytanie: W jakim stosunku jest ten stan rzeczy do chrystyanizmu? Jeżeli prowadzę z kimś spór, to muszę, chcąc doprowadzić do pokoju, zacząć krytyką od siebie, a obie strony zdołają wyjść poza granice własnego ja tylko w imię wspólnego, wyższego celu. Nie popełniam więc zdrady wobec siebie samego i własnej sprawy, jeżeli zacznę od skrupulatnego badania mego sumienia. Jeżeli to sumienie zbudziło się najpierw w mojej ojczyźnie, jak to czytam w Pańskich słowach, to uważam to za zaszczyt dla naszego narodu".

Listów takich odebrał Foerster całą moc, a dodaje im przekonywającej siły fakt, że ich autorzy pełnią z całych sił swoją żołnierską powinność, więc słowa ich nie są wypływem słabości i znużenia.

Głębokie, chrześcijańskie myśli Foerstera — pragniemy i wierzymy — przygotowują tę atmosferę moralną, która dać może pokój narodom i duszom, torują jej drogi i utorują je, mimo nienawistnych protestów — zwycięży je prawda i miłość.

Helena Skolimowska.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Stulecie archidyecezyi warszawskiej.

W obecnym miesiącu marcu mija sto lat, jak istnieć poczęła arcybiskupia stolica warszawska. Ku Warszawie kierują się dziś oczy Polski całej, niemniej także i ku stolicy arcybiskupiej. Stuletni więc jubileusz przychodzi bardzo w porę.

Nieznającym dokładnie historyi wyda się niepojętem, że w stolicy kraju, przez cały czas trwania Polski, nie było biskupstwa. Istniał tylko archidyakonat, należący do biskupstwa poznańskiego. Były w swoim czasie zabiegi księżnej Anny mazowieckiej o utworzenie biskupstwa w Warszawie, spełzły jednak na niczem wskutek oporu Zygmunta I. Później, pod koniec panowania Stanisława Augusta, zaczęto ponownie myśleć o tej sprawie, upadły jednak plany z rozbiorem Polski. Dopiero król pruski, zająwszy Warszawę, mianował w roku 1797 biskupem warszawskim Miaskowskiego, co Pius VI w rok później aprobował, podpisując erekcyę biskupstwa warszawskiego. Miaskowski był pierwszym i ostatnim biskupem warszawskim. Po rychłej śmierci jego w r. 1804 rządził dyecezyą administrator, co trwało aż po czasy Królestwa Kongresowego. Dopiero w nowem Królestwie Polskiem stała się stolica warszawska arcybiskupią, na podstawie bulli Piusa VII. z dnia 11 marca 1817 roku. To jest właśnie data jubileuszowa.

Miała ta arcybiskupia stolica odrazu prawo purpury, jakby symboliczny znak swoich przyszłych męczeńskich losów. Całe wiekowe męczeństwo Polski i polskiego Kościoła odbijało się łuną w szybach arcy-

biskupiego pałacu, a także i bezpośredniem echem w jego komnatach. Stąd po roku rządów wywieziono do Jarosławia arcybiskupa Felińskiego, podobny los spotkał administratorów: Rzewuskiego i Białobrzeskiego. A ileż cichego męczeństwa, ileż udręczeń w szarpaniu się z biurokracyą rosyjską, pozostało w cieniu tych komnat, jako zasługi i błogosławieństwo dla przyszłych pokoleń.

Przesuwa się przed myślą szereg podniosłych postaci w mitrach na głowie, z pastorałami w dłoni, które losy tej archidyecezyi w rękach dzierżyły — staje szczególniej w pamięci Popiel, Feliński, Woronicz.

Ci dwaj ostatni rządzili tylko przez rok. Wogóle krótkość rządów była własnością tej stolicy aż po ostatnie długoletnie rządy arcybiskupa Popiela. Rządy te trwały najdłużej lat kilka, najczęściej rok. Za to długie były lata przerwy, w których rządzili administratorzy; po jednorocznych rządach arcybiskupa Choromańskiego przerwa trwała lat 19, po jednorocznych rządach Felińskiego stolica przez lat 20 nie była obsadzoną.

Na jubileusz obecny zjechali arcypasterze Polski całej i wzięli udział w uroczystości. Uroczystość samą opisuje pięknie jeden z jej świadków, oddajemy mu przeto słowo:

„Tłumy w kościele. W prezbiteryum prałaci, kanonicy, kler, zaproszeni przedstawiciele instytucyi. Nieco później wkroczyli pasterze narodu polskiego, ci, którzy razem z nim postępowali drogą cierniową, broniąc go własnemi piersiami, jak przystało na zastępców Tego, który duszę swą wydał za owce swoje, zajęli miejsca koło siebie poważni, przejęci doniosłością chwili, zatopieni w modlitwie, za naród polski, który wstaje z grobu. Przedstawiciele Polski przed Bogiem tego ludu, tak wiernego Kościołowi, biednego a nieszczęśliwego. Ci, którzy prowadzą lud do Boga, zjednoczyli się w modlitwie, owiani jednym duchem, jednym żarem miłości.

Później wszedł na ambonę ks. arcybiskup Teodorowicz. Zaczął mówić cichym a dobitnym głosem, który powoli podnosił się i napełniał sklepienia katedry. Tajemnicę swą zwierzał pasterz. A była to prawda, zapomniana przez wielu, że Kościół — to matka polskiego narodu, że ona to wychowała go, ukształtowała jego język, naukę, kulturę, że ona z nim wspólnie królowała, walczyła, a w strasznych latach niewoli krzepiła, własną piersią broniła. Tę Matkę swą, Kościół, winien naród polski czcić nietylko dla tradycyi, lecz również we współczesnem życiu społecznem. Kościół ma zawsze w sobie życie i żywotność, jakie daje

prawda, bez niej zaś nie może istnieć moralność jednostki, ani węzły rodzinne, ani posłuch i karność społeczna.

Argumentował arcymistrz słowa spokojnie a mądrze, z miłością wielkiego patryoty i pasterza, który chce dobra narodu i dlatego ostrzega przed niebezpieczeństwem.

Dalej odprawiono mszę świętą, poczem ks. arcybiskup warszawski, w poczuciu głębokiej pokory chrześcijańskiej, w słowach serdecznych dziękował swym braciom biskupom za ich przyjazd, za trudy, z nim połączone, i obejmował każdego i całował.

Wszyscy pasterze całej Polski błogosławili lud. O sklepienia katedry odbiła się pieśń: „Boże, coś Polskę", śpiewana przez biskupów i lud pobożny".

Blaskiem tej uroczystości były złączone z nią obrady Episkopatu. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów obraduje zjednoczony Episkopat całego polskiego Kościoła. Jest to moment, przy którym wznosi się serce wdzięcznością ku Bogu; wita się tę chwilę, jakby zaróżowienie tego nieboskłonu, na którym w dniu 5 listopada rozpoczął się blady świt Polski. Następcy tych, którzy przynieśli chrzest do Polski, a z nim i polską państwowość, zjawiają się wspólnie w stolicy kraju, który do nowej państwowości się budzi.

Dostojny Arcypasterz Warszawy miał w dniach jubileuszu i zjazdu ludzką i bożą zapłatę za ten hart duszy, z jakim dźwigał dotąd ciężkie lata rządów dyecezyą, lata okropnej wojny, które w szczególniejszy sposób na Warszawie się odbiły.

Koło Polskie w parlamencie niemieckim o sprawach katolicyzmu

Z dzielnicy, która jest kolebką naszej ojczyzny, przychodzi miła wiadomość, że położono tam kres wewnętrznym nieporozumieniom w sprawie stosunku Koła Polskiego do akcyi za niezależnością Ojca świętego. Koło Polskie w parlamencie berlińskim złożyło przez usta swego wiceprezesa deklaracyę, która zdolna jest wszystkie przypuszczenia rozproszyć. Cały ten ustęp powtarzamy dosłownie:

„Podczas kiedy Kościół katolicki w Niemczech cieszy się dość daleko idącą swobodą, u nas podlega bardzo poważnym ograniczeniom. M. P. fakt, że dzieci nasze zawsze jeszcze zmuszone są pobierać naukę religii w języku niemieckim, fakt ten nietylko zwraca się przeciwko językowi polskiemu, ale i przeciwko religii katolickiej; przedstawia się bowiem jako nieznośny przymus sumienia. (Bardzo słusznie na różnych

ławach.) Do nadzoru nad nauką religii nie dopuszcza się księży prawie wcale.

Tak samo ma się rzecz z zakonami. Męskich zakonów niema prawie zupełnie. A żeńskim, nawet takim, które zajmują się opieką nad dziećmi i chorymi, robi się jaknajwiększe trudności i ograniczenia.

Oczywiście w tym związku musimy także ponownie podnieść tylokrotnie już powtarzane żądanie zniesienia prawa o Jezuitach.

Reasumując wszystko, musimy domagać się stanowczo, aby i na tych polach uprzątnąć się z wszystkimi stosunkami wyjątkowymi i to nie dopiero po wojnie, ale natychmiast. Tego wymaga sprawiedliwość, tego wymaga interes publiczny. (Bardzo słusznie.)

M. P. Skoro badamy stosunki kościelne u nas, myśl nasza mimowoli biegnie ku głowie Kościoła katolickiego, którą świat cały czci, ku Ojcu św. i tu musimy z żalem stwierdzić, że według naszego przekonania, położenie, w którem Ojciec św. się znajduje, nie odpowiada godności i wymaganiom wzniosłego urzędu apostolskiego, który spełnia nietylko ku dobru katolików, ale całego świata. Wszystkim jest świadome, jak wspaniałej pomocy papież w wojnie stale udziela w sprawie pokoju, humanitarności i kultury. O ile więcej mógłby on światu dopomódz, gdyby miał zapewnione to stanowisko w zupełnej niezależności, które podług historycznego rozwoju ku wypełnianiu zadań apostolskich mu przysługuje. Na jakiej drodze, kiedy i w jakiej mierze winno to nastąpić, o tem Ojciec św. sam dotąd się nie wypowiedział, a my sądzimy, iż nam nie wypada go w tem uprzedzić! Zawsze jednakże będziemy domagali się tego, aby rozwiązanie tej kwestyi nastąpiło w myśl Stolicy Apostolskiej. (Brawa na ławach polskich i w Centrum.) Czujemy też głęboką potrzebę przy tej sposobności z tego miejsca wyrazić Ojcu św. uczucia najgłębszej wdzięczności i uległości, któremi ku niemu przejęty jest cały naród polski w zamian za miłość ojcowską, jaką w tej wojnie niejednokrotnie Polsce tak serdecznie okazał. Odezwa jego do całego świata katolickiego o pomoc dla narodu polskiego, przez wojnę tak straszliwie dotkniętego, nigdy przez naród polski nie będzie zapomniana. Polonia semper fidelis — et grata. (Brawo.)"

Podobne oświadczenie złożyło Koło Polskie w sejmie pruskim.

Kolęda w Księstwie.

Niejedna z dyecezyj naszych posiada prześliczne miejscowe zwyczaje, które z wielkim pożytkiem możnaby na cały Kościół polski rozszerzyć. Są to zwyczaje jużto starszego, jużto

nowszego pochodzenia. Taki nowy, naprzykład, a bardzo piękny zwyczaj wprowadził przed kilku laty do swojej dyecezyi ks. arcybiskup Bilczewski, postanawiając, by w dniu św. Trójcy wszyscy wierni odnawiali publicznie przysięgę na chrzcie złożoną.

Dziś chcielibyśmy zwrócić powszechniejszą uwagę na sposób, w jaki odbywa się w archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej tak zwana kolęda. Nie chodzi o pieśń kolędą zwaną, ale o objazd parafii przez księży proboszczów, w okresie Bożego Narodzenia, objazd, który odbywa się w całej Polsce, a w Księstwie doszedł do wydoskonalonej techniki.

Opiszę chwilę z takiego objazdu w Księstwie. Rok temu, dzięki łaskawej uprzejmości księdza proboszcza w Środzie, znanego zaszczytnie i poza granicą z szerokiej działalności charytatywnej, księdza Meisnera, towarzyszyłem mu przy takim objeździe. Pojechaliśmy do miejscowości Pentkowo.

Darują czytelnicy kilka słów dygresyi, ale wstrzymać się trudno od krótkiego opisu tej miejscowości, która, jak wiele innych rzeczy w Księstwie, nakazuje wprost cześć dla rozwoju społecznego tej dzielnicy. Otóż Pentkowo jest wioską małą, liczącą ledwie dwadzieścia kilka numerów, ale jak zagospodarowaną! Najuboższy chłop w Pentkowie posiada 70 morgów pola, są tacy, co posiadają 120 i 150 morgów. Mieszkania niektórych chłopów niczem się nie różnią od obywatelskich dworów; domostwo murowane, rozległe, mieszczące w sobie szereg pokoi gustownych, zaopatrzonych w cały komfort dzisiejszy, w kanapy, fotele, biurka, lustra, firanki, biblioteczki i t. d. Dzieciarnia w każdym domu obfita; jeden z chłopów na przyjęcie nasze sprawił rodzinę swoją w oddział z dwójek złożony — oddział ten ciągnął się wzdłuż całego rozległego domu. Dodajmy do tych szczegółów, że ten dobrobyt nie osłabił dotychczas w niczem przekonań moralnych i religijnych, że pod tym dachem mieszka i patryotyzm i odpowiednie stanowi wykształcenie. Przy tem wszystkiem wielka prostota. Jeden z chłopów, wystrojony na przyjęcie gości w dzisiejsze miejskie ubranie, dowiedziawszy się, że przybywam z innej dzielnicy, nie robił sekretu ze swej garderoby: „To tylko dzisiaj tak — rzekł do mnie — jutro po chłopsku przy robocie“.

Wracając do rzeczy, określmy odrazu istotę kolędy poznańskiej. Jest to przedłużenie biskupiej wizytacyi parafii na wizytacyę każdej rodziny i każdego członka rodziny. Pasterz parafii, który w ciągu roku styka się z wiernymi w kościele, w kancelaryi parafialnej, w stowarzy-

szeniach, raz na rok styka się jako pasterz z każdą rodziną i z każdym członkiem rodziny bezpośrednio, pod dachem tej rodziny. Tu trzeba pocieszyć, tam upomnieć, tu złe sprostować, tam dobre utrwalić, trzeba wglądnąć w stan społeczny, moralny i religijny każdej rodziny, ażeby przyjść z pomocą w tej chwili lub obmyślić środki na przyszłość.

Po serdecznem przywitaniu, po pokropieniu domu i poświęceniu nowych obrazów, po modlitwie, gromadzą się wszyscy mieszkańcy domu w jednej izbie, w której na naczelnem miejscu, wśród dwu palących się świec, stoi krzyż. Zaczyna się przemowa księdza proboszcza, zastosowana do potrzeb danej rodziny. Po ogólnym wstępie, składającym życzenia z okazyi świąt, zaczyna ksiądz proboszcz życzyć tego, co jest tej rodzinie szczególnie potrzebnem. Wszystko, co ma powiedzieć, w tej mowie wypowiada, najczęściej w formie serdecznych życzeń, raz ostrzej raz łagodniej, zależnie od usposobień i potrzeb danych ludzi. Że w poprzednich latach nie żałował także upomnień, poznałem to stąd, że w jednym domu jeden ze starszych członków rodziny pokazał głowę w otworze strychu dopiero wtedy, gdy konie z nami ruszyły.

Po przemowie zaczyna się rozmowa, w której ksiądz proboszcz informuje się o losach rodziny, ze szczególniejszem uwzględnieniem tego, co do jego obowiązku pasterskiego należy. Jak stoi sprawa z katechizmem dzieci, jak z uczęszczaniem członków rodziny do kościoła, zwłaszcza do Sakramentów świętych. W tem miejscu wchodzi w grę notes, w który wpisuje się, kto nie był jeszcze do bierzmowania, które dzieci mają pójść do pierwszej spowiedzi i komunii świętej.

Następuje szereg pytań o różnych sprawach, z których ważniejsze notujemy. Do jakich związków, bractw i stowarzyszeń religijnych są członkowie rodziny zapisani? Tu ksiądz proboszcz wymienia ważniejsze stowarzyszenia i patrzy pytająco na ojca i matkę rodziny. W odpowiedzi otrzymuje nazwy kilku stowarzyszeń. Gdy jednak w dwu domach nie potrafiono nic wymienić, widziałem na twarzy zapytanych zasromanie. Wyrażona przez księdza proboszcza ufność w poprawę na przyszłość była wdzięcznie przyjęta, jako najlepsze wyjście z kłopotliwej sytuacyi. W tensam sposób idą pytania i zachęty, odnośnie do różnych związków gospodarczych i społecznych.

Drugie takie ważniejsze pytanie brzmiało: jakie pisma są prenumerowane? W odpowiedzi wymieniano jedno, czasem kilka pism. Ksiądz proboszcz wyliczył szereg pism, które prenumerować można, inne, które prenumerować się godzi. Zdarzyło się także, że przekony-

wał, iż takie pismo, jakie między innemi wymieniono, w domu katolickim być nie powinno.

Pytania ważniejsze i mniej ważne były dobrane tak, że pozwalały wglądnąć w stan rodziny, że dawały sposobność do udzielania informacyj i rad, czasem do upomnienia lub zachęty. Przy opuszczaniu każdego domu czuło się, że na tej roli pozostał ślad pasterskiego lemiesza, że w rozoraną ziemię rzucone zostało ziarno.

Ta cicha praca, corocznie odbywana, jest niewątpliwie wielkiem budowaniem królestwa bożego, wzmożeniem błogosławionem sprawy obyczajowej, religijnej i społecznej.

Co do datków, jakie na kolędę swemu pasterzowi lud daje, nie mogłem nic zauważyć, gdyż proboszcz Środy zapowiedział z ambony, że wszystko odstępuje na bezdomnych w Królestwie.

Ks. J. Pawelski.

Z działalności K. B. K.

Utworzony pod koniec 1914 r., kiedy zawierucha wojenna najsroższej po ziemiach polskich szalała, Książęco-Biskupi Komitet miał za zadanie łagodzenie klęski, ulżenie niedoli i leczenie ran, zadanych wojną. W tym celu starał się, ile sił, nakarmić głodnych, przyodziać obdartych i bosych, leczyć choroby, tępić zarazy, przygarnąć sieroty, nieść pomoc wysiedlonym, o dach zabiegać dla bezdomnych.

Rozszerzając swą działalność śladem świeżych pobojowisk, K. B. K. założył po kraju 70 delegacyi, nie tylko celem niesienia pomocy doraźnej, lecz również celem organizowania pomocy i opieki stałej. Z pośród tych delegacyi, trzy główne, a mianowicie: tarnowska, przemyska i lwowska, wsparte o K. B. K., z jego pomocą rozwinęły szeroko zakreśloną działalność samodzielną, z której ogłoszą sprawozdania własne. W ścisłym również stosunku pozostawał K. B. K. z Komitetami Ratunkowymi w Warszawie i Lublinie, wspomagając je tak funduszami, jak współdziałaniem.

Nie wliczając sum, wydanych na pomoc ofiarom wojny przez wyż wymienione delegacye samodzielne, K. B. K. wydał na ten cel:

na Galicyę	K 3,120.000
na Królestwo, Warszawę i Litwę . .	K 2,378.000
Razem . . .	K 5,498.000

Zużycie tak wielkich sum na powyższe cele było możliwem dzięki znacznym funduszom, jakimi zasilał K. B. K. Generalny Komitet szwajcarski w Vevey.

Bezpośrednio z Krakowa rozpościerała się na cały kraj, w porozumieniu i z pomocą c. k. Namiestnictwa i c. k. Jenerał-gubernatorstwa lubelskiego akcya sanitarna.

Najpierw, z osobistej inicyatywy ks. Biskupa krakowskiego, powstały Kolumny sanitarne, mające za zadanie tępić po całym kraju epidemie, a przedewszystkiem tyfus plamisty. Ruchome Kolumny sanitarne z lekarzami, pielęgniarkami i całem urządzeniem szpitalnem, udawały się do ognisk zarazy i, zwalczając ją, zakładały szpitale kolejno w miejscowościach następujących:

W Galicyi: Powiat cieszanowski: Zapałów, Sucha Wola, Ruda Rożaniecka, Miłków, Narol, Stare Sioło. Powiat łańcucki: Łańcut, Rakszawa, Albigowa. Powiat niski: Jeżowe, Rudnik, Kamień.

W Królestwie: Powiat wierzbnicki: Pętkowice. Powiat sandomierski: Zawichost. Powiat lubelski: Jaszczów, Piaski. Powiat krasnostawski: Wygnanowice.

Obecnie działają jeszcze szpitale w Królestwie: Powiat opatowski: Ćmielów, Opatów, Łagów. Powiat biłgorajski: Tarnogród. Powiat zamojski: Radecznica.

W szpitalach Kolumn sanitarnych K. B. K. leczyło się chorych 2.000, a dni leczenia było w nich ogółem 40.000.

Dalszym krokiem Sekcyi sanitarnej K. B. K. było zorganizowanie i przeprowadzenie szczepienia ochronnego przeciw ospie. Rozpoczęte w r. 1915, dzięki dopiero czynnej pomocy Wszechnicy Jagiellońskiej szczepienie mogło w r. 1916 przybrać rozmiary, odpowiadające grozie epidemii. Wyszkolone i wyekwipowane przez K. B. K. setki młodzieży uniwersyteckiej rozjechały się po kraju i zaszczepiły w Galicyi około 2,000.000, a w Królestwie około 400.000 osób.

Koszta całej akcyi sanitarnej, uwieńczonej powodzeniem zupełnem wyniosły ogółem K 1,400.000.

Również cały kraj obejmowała działalność krakowskiej Szatni K. B. K., która potrzebującym dotąd rozdała bezpłatnie sztuk odzieży i par butów z górą 160.000 ,a prócz tego po cenie kosztów dostarczyła im obuwia za K 220.000, a odzieży i materyałów za K 190.000.

Celem opieki nad dziećmi, K. B. K. powołał do życia w zachodniej Galicyi własne zakłady w Krzeszowicach, w Łososinie, w Kalwaryi, Nowym Targu i Krakowie i umieścił w nich 238 dzieci.

W innych 26 zakładach prywatnych umieszczono kosztem K. B. K. 546 dzieci, a 850 sierót powierzono opiece rodzin zasługujących na zaufanie i stale kontrolowanych.

Prócz tego K. B. K. subwencyonował 120 zakładów opiekujących się dziećmi.

Dla złagodzenia niedostatku żywności w okolicach wojną nawiedzonych, krakowska Sekcya aprowizacyjna K. B. K. sprowadziła mąki, kaszy, grochu, słoniny, smalcu, śledzi, mleka kondensowanego i t. p. za K 1,600.000 i tych artykułów spożywczych rozdała za darmo za K 400.000, a resztę rozsprzedała po cenie kosztu.

Celem dostarczenia ludności taniej odzieży i obuwia, K. B. K. utrzymuje lub subwencyonuje w Krakowie następujące zakłady:

Fabrykę tanich ubrań,
Fabrykę obuwia półdrewnianego,
Fabrykę podeszew drewnianych, oraz
Trzy szwalnie bielizny i odzieży.

Na wszystkich tych polach działalności K. B. K. robota jest w pełnym toku i nie mogłaby być ograniczoną ani tem bardziej zatrzymaną bez dotkliwej straty powszechnej. Co więcej, powstające ustawicznie coraz to nowe potrzeby palące sprawiają, że działalność K. B. K. obejmować musi coraz to nowe dziedziny.

I tak K. B. K. wszedł w porozumienie z c. k. Centralą odbudowy kraju i uzyskawszy poważny kredyt, przystąpił do odbudowy niektórych gmin powiatów wielickiego i brzeskiego. Komitet zapewnił sobie już około 5000 m. kub. drzewa budulcowego, jak również odpowiednią ilość robotników i liczy, że w ciągu r. 1917 będzie mógł dostarczyć ludności poważną ilość domów, zarówno mieszkalnych, jak gospodarczych.

Również nie mógł się cofnąć przed wdrożeniem kroków celem objęcia opieki nad wysiedlonymi, dając im pomoc doraźną i organizując rozdawnictwo odzieży i obuwia.

Dalsza praca w wytkniętym kierunku i dalszy rozwój działalności K. B. K. zależy w znacznej mierze od poparcia, jakiego K. B. K. dozna od społeczeństwa.

Wielkie zadania, jakie K. B. K. ma jeszcze przed sobą do spełnienia, wymagają też wielkich środków.

Zniszczone kościoły i cerkwie w Galicyi wschodniej.

W „Kuryerze Lwowskim“ znajdujemy interesujące informacye o zniszczonych wskutek działań wojennych kościołach i cerkwiach w Galicyi, ułożone podług powiatów, z którego przytaczamy następujące dane:

W powiecie przemyskim z kościołów uszkodzone zostały częściowo przez zniszczenie wież nowe murowane kościoły w Kosienicach i Żurawicy; ten ostatni ma wewnątrz ładną polichromię Tadeusza Popiela, na motywach ludowych opartą.

W powiecie jarosławskim największe zniszczenie widać w gminach nad Sanem i na wschód od Sanu. Kościołów uległo wówczas zniszczeniu trzy, cerkwi kilkanaście. Natomiast w zachodniej części powiatu, dokoła Pruchnika, zniszczenia niema wcale.

Oprócz kościoła farnego w Sieniawie, który aż do Józefa II był kościołem dominikańskim, został zrównany z ziemią nowy (1890) murowany kościół w Wiązownicy, oraz bardzo stary, drewniany kościół w Radawie, zbudowany przez Jezuitów w roku 1594; zniszczyła go rosyjska artylerya. Nieco tylko uszkodzony jest dominikański kościół P. Maryi w Jarosławiu, w którego murach tkwi przeszło tysiąc kul niemieckich z bitwy pod Jarosławiem w dniu 15 maja 1915 roku; nie zrządziły one jednak większej szkody, podziurawiły jedynie dach, obiły tynk, a tylko kilka z nich porobiło dziury w pokrytem freskami sklepieniu nad wielkim ołtarzem.

Wśród zniszczonych cerkwi drewnianych, najstarsza z roku 1688, znajdowała się w Nienowicach, inne w Cetuli (1859), Czerwonej Woli, Makowiskach (1781), Sośnicy (1772), Grabowcu (1846), a wreszcie bardzo stare, być może jeszcze z XVII wieku pochodzące cerkwie na Garbarzach pod Jarosławiem i w Laszkach koło Radymna. Z pośród cerkwi murowanych zniszczono cerkiew w Świętem (1906), Łazach (1893) i Wietlinie (1826). Także mury i ściany pozostałych cerkwi i szczerby od kul armatnich i karabinowych, a w szczególności cerkwie w Surochowie, Radymnie i Wiązownicy.

W powiecie mościskim uległy uszkodzeniu liczne cerkwie w południowej części powiatu, koło Husakowa i Krukienic. Zniszczono wtedy częściowo przez rozbicie jednej z kopuł nową cerkiew murowaną w Pakości, zbudowaną tuż przed wojną; w północnej części powiatu spaliła się ładna drewniana cerkiew w Starzawie (1831), z obrazami Ha-

dziewicza, we wschodniej stronie drewniana cerkiewka w Nikłonicach z roku 1648.

W powiecie drohobyckim w północnej części powiatu, na bagnach w okolicy Medenic, widać względnie największe zniszczenie. Uszkodzonych jest cerkwi dużo, zniszczonych całkowicie tylko dwie, mianowicie w Hruszowej (murowana w roku 1902) i w Oparach ładna okrągła cerkiew murowana, fundowana w roku 1830. Nadto uległ zniszczeniu kalwiński kościół w kolonii niemieckiej Josefsbergu.

W powiecie stryjskim spaliła się jedynie cerkiew w Zawadowie.

Cerkwie powiatu skolskiego odznaczają się specyalnie ładną i oryginalną architekturą; mają one zazwyczaj po trzy wieże z kilku kondygnacyami. Olbrzymia większość zachowała się nietknięta, spalono jedynie w czasie odwrotu w listopadzie 1914 roku cerkwie w Żubaniu i w Klimcu, tuż przy granicy węgierskiej, zaś w czasie bitwy na Żwininie, w kwietniu 1915 roku dużą cerkiew w Koziowej. Wiele ucierpiała też od kul ładna cerkiewka w Tarnawce obok Ławocznego.

Powiat żydaczowski ucierpiał stosunkowo niewiele. Uszkodzeniu częściowemu uległy jedynie cerkiew drewniana w Młyniskach (z roku 1738), nowa cerkiew drewniana w Starej Wsi koło Żurawna, która została podziurawiona szrapnelami i obrabowana, a wreszcie nowa (1910) murowana cerkiew we Włodzimiercach. Nieco został uszkodzony też stary kościół farny w Żydaczowie, gdzie podziurawiono mury nawy bocznej, przyczem jednak ładne pomniki i nagrobki szczęśliwie ocalały.

Między dawnymi a nowszymi laty.

Za ostatniej bytności w Poznańskiem minionej jesieni odczułem jeden wielki brak — brak Kazimierza Chłapowskiego. Liczył lat 84, a więc żył długo, a jednak gdy odszedł po nagrodę zasłużonego życia, odczuło się to tak, jakby ubył człowiek w pełni sił i działalności.

Już sama zewnętrzna postać pięknego starca pociągała ku sobie; w harmonijnych rysach, w wyrazistych oczach tyle było szlachetności i ludzkiej dobroci, tyle ciepła i pogody, że trudno było oprzeć się temu urokowi. Cóż dopiero, gdy miało się sposobność poznać go bliżej i gorące serce i idealny polot duszy, myśl spokojną i trzeźwą, i wielkie doświadczenie życia i tę nieprzebraną skarbnicę żywej i wielkiej tradycyi porozbiorowych lat.

Spotykałem się z nim kilkakrotnie w życiu, zwłaszcza na wie-

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

NOWE IDEE POKOJOWE. Przez *Ks. J. Pawelskiego T. J.* 1

LIST DO PRZYJACIÓŁ POLSKI W ZACHODNICH PAŃSTWACH KOALICYI. Przez *Alfonsa Parczewskiego* . . .

WIOŚNIE WOLNOŚCI. Przez *Ks. Tadeusza Karyłowskiego T. J.* 11

NA POWITANIE PAŃSTWA POLSKIEGO. (Głosy zagranicy). Przez *Prof. Jana Delbrücka* i przez *Dr. Fryderyka Naumanna* 15, 372

SPRAWA POLSKA PRZED STU LATY. Przez *Stanisława Starzyńskiego* 18

W DNIACH GROZY, — W SZPITALU. Przez *W. Krzyżanowską* 35

ZMIANY W ZNACZENIU GOSPODARCZEM WOJNY. Przez *Dr. Adama Krzyżanowskiego* 37

JAK RZYM ZDOBYŁ ŚWIAT. Przez *Tadeusza Sinkę* . 64

PASTERKA W R. 1916. Przez *Maryę Czeską* . . . 73

I BYŁA BURZA. Przez *Maryę Czeską* 75

EMIL VERHAEREN. Przez *W. Lednickiego* 88

NAD WYBRZEŻEM. Przez E. Verhaerena. Przełożył *Kazimierz Filip Wize* 94

POGŁOSY MŁODEJ POLSKI W POWIEŚCI. Przez *A. Mazanowskiego* 98

DOKTOR ANIELSKI. Przez *Ks. J. St. Adamskiego T. J.* 119

PRZYPOWIEŚCI CHRYSTUSA. Przekład *Ks. Wład. Szczepańskiego T. J.* 131

Strona

Gdy cały świat stanie się katolickim. (C. d.). Przez *Ks. J. Horlyńskiego T. J* 134, 375

Z nieznanych autografów Lelewela. Przez *Dr. Wład. Bogatyńskiego*. 145

Z ekonomii chowu drobiu u nas i za granicą. Przez *Ks. Leonarda Lipkego T. J* 152

Z polityki wschodniej księcia Adama Czartoryskiego. Przez *Janinę Brzozowską* 167

Olbracht. Przez *Antoniego Prochaskę*. 179

Pitagoreizm dawniej a dziś. Przez *Dr. Leopolda Wołowicza*. 204

Z powodu dyskusyi na temat kościoła narodowego. Przez *Ks. J. Pawlskiego T. J.* 1*

Problem socyalny obecnej wojny światowej. Przez *Ks. Leonarda Lipkego T J.* 289

Wolni mularze w obecnej wojnie. Przez *Nałęcza* 307

Donacye w królestwie polskiem. Przez *B. P. E.* 323

Wychowanie polskiej młodzieży dla polskiego przemysłu. Przez *Ks. Mieczysława Kuznowicza T. J.* 334

Mickiewiczowe widzenie księdza Piotra. Przez *Tad. Sinkę* 346

Złoty róg. Przez *Ks. Tadeusza Karylowskiego T. J.* 364

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Krytyka literacka ostatnich lat A. Mazanowski. 221

Polskie satyry wojenne. Stefan Nowiński. *(J. A. Teslar)*. 241

Ze studyów mitologicznych i ludoznawczych Schneider Stanisław. *(Dr. Stanisław Zdziarski)*. 242

Cztery Ewangelia. Ks. Władysław Szczepański T. J. *(Ks. Dr. Wilhelm Michalski C. M.)*. 388

Korespondencya literacka Kajetana Kożmiana z Franciszkiem Wężykiem. Stanisław Tomkowicz. *(Dr. Stanisław Zdziarski)*. 392

Z piśmiennictw obcych.

Ewangelia Pokoju i Miłości dla czasów naszych. Abdul Baha Abbas. *(Józef Buryan)*. 247

Strona

Der Christ im betrachtenden Gebet. Augustin Lehmkuhl S. J. (*Ks. Ernest Matzel T. J.*) 249
Polen. Dr. R. F. Kaindl. (*J. Trepka*). 250
Povidky lidu opavského a hanackého. Jiřl Polivka. (*Dr. Stanisław Zdziarski*) 252
Bismarcks Erbe. Hans Delbrück. (*J. Trepka*). 397
Die Welt des Islam. Friedrich Delitzsch. (*J. Trepka*) 390
Die deutsche Jugend und der Weltkrieg. Fr. W. Foerster. (*Helena Skolimowska*). 400

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ—LUTY.

Sprawy kościoła: Misye katolickie w czasie wojny światowej r. 1916. (*Ks. M. Czerminski T. J*) 254
Stan urzędniczy w nowem państwie polskiem. (*Stanisław Bukowiecki*) 262
Nowe kursy dla wychowawczyń. (*Zofia Korczyńska*) 265
Współpracownikom naszego pisma: Trzydziestolecie pracy naukowej K. Krotoskiego i K. Matyasa. (*Ks. J. Pawelski T. J.*) . . . 268
Ze świata wynalazków. (*Ks. F. Hortyński T. J.*) 268
Żydzi-nacyonaliści o niepodległości Polski. 282

MARZEC.

Sprawy kościoła: Stulecie archidyecezyi warszawskiej. — Koło Polskie w parlamencie niemieckim o sprawach katolicyzmu. — Kolęda w Księstwie. (*Ks. J. Pawelski T. J.*) 406
Z działalności K. B. K. 412
Zniszczone kościoły i cerkwie w Galicyi wschodniej 414
Między dawnymi a nowszymi laty. (*Ks. J. Pawelski T. J.*) 416
Ze świata wynalazków. (*Ks. F. Hortyński T. J.*) 419